



Elizabeth George

KRWAWA ZAPĘŁATA

Pracownia 15-ka

Elizabeth
George

KRWAWA ZAPŁATA

Przełomki 1 2014

George Elizabeth

Thomas Lynley 02

Krwawa zapłata

(Niebezpieczne pasje)

Młoda autorka sztuk teatralnych zostaje zasztyletowana w położonej na odludziu posiadłości w Szkocji. Czy winien brutalnego morderstwa jest ktoś z kręgu ludzi sceny, którzy również tam przebywali? Władze z niewiadomych przyczyn zlecają śledztwo nie lokalnej policji, lecz Scotland Yardowi.

Inspektor Lynley przy pomocy swojej asystentki,

niezmordowanej sierżant Havers, boryka się zarówno z odnalezieniem motywu zbrodni, jak i jej sprawcy, gdyż, jak się okazuje, niemal każdy może być podejrzany...

1

Gowan Kilbride nigdy nie był zwolennikiem zbyt wczesnego wstawania. Gdy mieszkał na farmie swoich rodziców, co rano pomrukiwał z niezadowoleniem, zwlekając się z łóżka, aby każdy w zasięgu słuchu mógł wywnioskować z jego licznych sarkania i utyskiwań, jak bardzo nie odpowiada mu wiejskie życie. Nic zatem dziwnego, że gdy Francesca Gerrard, wdowa po niedawno zmarłym właścicielu największej posiadłości w okolicy, postanowiła otworzyć w swoim okazałym szkockim domu hotel, żeby uzyskać środki na spłatę podatku spadkowego, Gowan stawiał się u niej do pracy. Uważał się za odpowiedniego kandydata do obsługi gości przy stolikach, pełnienia funkcji barmana, a także nadzorowania młodych panien na wydaniu, które, jak sądził, będą się licznie ubiegały o posady służących i pokojówek.

Wkrótce odkrył jednak, że dał się ponieść fantazji. Nie minął tydzień jego pobytu w Westcrae, kiedy zrozumiał, że wszelkie prace w tym ogromnym domu z granitu są rozpisane wyłącznie na czteroosobowy zespół: na samą panią Gerrard, na kucharkę -

kobietę w średnim wieku z wąsikami nad górną wargą, na niego oraz na siedemnastoletnią dziewczynę, która niedawno przyjechała z Invernes - na niejaką Mary Agnes Campbell.

Zaszczyty spływające na chłopca z racji wykonywanych zajęć odpowiadały zajmowanej przez niego pozycji w hotelowej hierarchii - to znaczy równały się zeru.

Gowan pełnił obowiązki totumfackiego, zatrudnianego do wszelkich robót - od pielęgnacji rozległego ogrodu i zamiatania podłóg po malowanie ścian, naprawę starych bojlerów i tapetowanie pokoi przyszłych gości. Były to poniżające doświadczenia dla młodego człowieka, który zawsze widział siebie w roli następcy Jamesa Bonda. Jedyłą osłodę w irytującej codzienności Westerbrae stanowiła zachwycająca obecność Mary Agnes Campbell, która przybyła tu, aby pomóc w doprowadzeniu do porządku domu przed przybyciem pierwszych turystów.

Po miesiącu spędzonym przy boku dziewczyny nawet wczesne wstawanie przestało być dla Gowana zmartwieniem, gdyż im wcześniej rano wyskakiwał ze swojego pokoju, tym szybciej miał okazję ujrzenia Mary Agnes, porozmawiania z nią i uchwycenia w przelocie woni jej odurzających perfum. Prawdę mówiąc, wystarczyły zaledwie trzy miesiące, aby chłopak zupełnie się wyrzekł swoich dawnych marzeń o picciu martini z wódką oraz wyraźnych upodobań do włoskich pistoletów ze szkieletową rękojeścią. Ich miejsce zajęły oczekiwania na jeden z promiennych uśmiechów Mary Agnes, na widok jej ślicznych nóg, a także typowa dla wieku młodzieńczego bolesna i dręcząca nadzieja muśnięcia w przelocie na którymś z korytarzy cudownych wypukłości biustu dziewczyny.

Realizacja tych pragnień wydawała się całkiem realna aż do wczoraj, do chwili przybycia pierwszych gości - grupy aktorów z Londynu, którzy przyjechali tu wraz ze swoim producentem, reżyserem oraz kilkoma pieczęmi i arzą mi, aby popracować nad inscenizacją nowej sztuki. Z powodu obecności londyńskich artystów, jak również odkrycia zapisków, na jakie Gowan natknął się dzisiaj, marzenie o szczęściu u boku Mary Agnes stawało się z każdą chwilą coraz bardziej odległe.

Powyciągał skrawki papieru listowego z kosza na śmiecie i ruszył na poszukiwanie dziewczyny. Zastał ją samą w przestronnej kuchni. Szykowała poranną herbatę, która miała być rozniesiona do pokojów.

Kuchnia od dawna była miejscem chętnie odwiedzanym przez Gowana, głównie z powodu jej odosobnienia, a także dlatego, że w przeciwieństwie do pozostałej części domu nie została zniszczona przeróbkami. Dokonywanie w niej zmian służących gustom i upodobaniom przyszłych gości było całkiem zbyteczne. Nikt tutaj nie zaglądał, aby skosztować sosu czy podyskutować o sposobach pieczenia mięsa.

Kuchnia wyglądała dokładnie tak samo, jak ją Gowan zapamiętał w czasów dzieciństwa. Stara posadzka z czerwono-kremowej terakoty tworzyła wzór przypominający ogromną szachownicę. Na spękanej podłodze przy ścianie, na której błyszczały mosiężne rondle zawieszane rzędem na dębowych kołkach, stały żelazne urządzenia przypominające wyglądem osmolone cienie. Czteropoziomowa sosnowa półka na jednym z blatów mieściła talerze codziennego użytku.

Pod nią znajdowała się trójkątna suszarka, przechylona na bok pod ciężarem ścierek i obrusów. W glinianych donicach na parapecie okiennym rosły dziwaczne, egzotyczne rośliny o wielkich, palczastych liściach - które w nie sprzyjającym, mroźnym szkockim klimacie powinny obumrzeć, a tymczasem dobrze się miały w ciepłe domowego wnętrza.

Ale dzisiaj nie było tu ciepło. Gdy Gowan wszedł do kuchni, dochodziła siódma i ogień rozpalony w olbrzymim kamiennym piecu przy ścianie nie zdążył jeszcze przełamać w porannym powietrzu zimna. Na fajerce buchał parą olbrzymi czajnik.

Młodzieniec wyjrzał przez jedną z okiennych kwater i stwierdził, że obfite opady śniegu podczas ubiegłej nocy utworzyły na trawnikach gładką, puchową pierzynę schodzącą w dół aż do jeziora Achimore. Kiedy indziej, być może, napawałby oczy tym widokiem. Obecnie jednak słuszny gniew uniemożliwiał mu dostrzeżenie czegokolwiek oprócz jasnołicej sylfidy stojącej przy stole na środku kuchni i nakrywającej tace serwetami.

- Czy możesz mi to wyjaśnić, Mary Agnes Campbell? - Zarumieniona twarz Gowana zlała się niemal barwą z kolorem włosów. Wyraźnie pociemniały mu też piegi. Wyciągnął strzępy papieru listowego, trzymając szeroki, stwardniały kciuk na herbie posiadłości Westerbrae.

Mary Agnes obrzuciła podartą korespondencję pobieżnym spojrzeniem swoich błękitnych, niewinnych oczu. Zupełnie nie zmieszana weszła do pomieszczenia kredensowego i zaczęła zdejmować z półek dzbanki do herbaty, filiżanki i spodki.

Zachowywała się tak, jak gdyby to kto inny, a nie ona, zapisał całą kartkę niewprawnym pismem: *pani Jeremy'owa irons, Mary Agnes Irons, Mary Irons, Mary i Jeremy Irons, Mary i Jeremy Irons z rodziną.*

- O co ci chodzi? - zapytała, odrzucając do tyłu bujne hebanowe włosy. Gest, którego celem było zniechęcenie Gowana do dalszych dociekań, sprawił, że biały czepek nasadzony zawadiacko na loki opadł na oko dziewczyny. Wyglądała teraz niczym czarujący pirat.

I właśnie w tym tkwił problem. Nigdy dotychczas krew Gowana nie zawrzała na widok żadnej kobiety. Wychowywał się na farmie Hill-view - jednym z gospodarstw dzierżawnych Westerbrae - a życie na świeżym powietrzu, wśród owiec oraz pięciorga braci i sióstr, zupełnie go nie przygotowało na wrażenie, jakie za każdym razem wywierała na nim Mary Agnes Campbell. Jedynie wiara, że któregoś dnia ją zdobędzie, pozwalała mu zachować zdrowe zmysły.

Pragnienia chłopca nie wydawały się całkiem nierealne pomimo istnienia Jeremy'ego Ironsa, którego miła twarz o sentymentalnych oczach, uwieczniona na niezliczonych zdjęciach wyciętych z magazynów filmowych, zdobiła ściany pokoju usytuowanego w dolnym, północno-zachodnim skrzydle wielkiego domu. Czyż zauroczenie czymś, co nieosiągalne, nie jest typowym dziewczęcym uczuciem? W

każdym razie pani Gerrard starała się przekonać o tym Gowana. Codziennie otwierał przed nią swoje skołatane serce, gdy doskonalił pod jej okiem umiejętność napełniania kieliszków bez rozlewania wina na obrus.

Wszystko było w porządku, dopóki nieosiągalne rzeczywiście pozostawało w sferze marzeń. Teraz jednak, w domu pełnym londyńskich aktorów, chłopak doskonale wiedział, że zdaniem Mary Agnes, Jeremy Irons znalazł się w jej zasięgu. Z

pewnością ktoś z tych ludzi go znał, mógł mu ją przedstawić i pozwolić dalej działać prawom natury. Przypuszczenie to potwierdzał świstek, jaki Gowan trzyma! w garści -bezsprzeczne świadectwo przewidywać dziewczyny co do przebiegu przyszłych wydarzeń.

- O co mi chodzi? - powtórzył z niedowierzaniem. - Przecież to ty zostawiłaś tę kartkę w bibliotece!

Mary Agnes wyrwała mu z ręki zapiski i wcisnęła je do kieszeni fartucha.

- To miło, że ją zwracasz - odparowała. Jej spokój był irytujący.

- Doskonaliłam pismo, Gowanie.

- Doskonaliałaś pismo? - Wewnętrzny ogień rozpałił jego krew do temperatury wrzenia. -1 do tego był ci potrzebny Jeremy Irons? Przecież ten facet jest żonaty!

Twarz Mary Agnes pobladła.

- Żonaty? - Postawiła spodek jeden na drugim. Rozległ się niemiły dla ucha brzęk porcelany.

Gowan natychmiast pożałował swoich impulsywnych słów. Nie miał pojęcia, czy Jeremy Irons ma żonę. Doprowadzała go jednak do rozpaczmyśli, że Mary Agnes, leżąc w łóżku, marzy o aktorze po nocach, podczas gdy on w pokoju tuż obok zastanawia się uporczywie, w jaki sposób zdobyć prawo do pocałowania jej. To skandaliczne. I nieuczciwe z jej strony. Powinna za to srogo odpokutować.

Kiedy jednak spostrzegł drżenie jej ust, skarcił się w myślach za własną głupotę.

Jeśli nie będzie postępował ostrożnie, to Mary Agnes znienawidzi jego, a nie Jeremy'ego Ironsa. Nie mógł do tego dopuścić.

- Nie jestem całkiem pewien, czy Jeremy zawarł związek małżeński - przyznał.

Mary Agnes prychnęła, dźwignęła zastawę i wróciła do kuchni. Gowan podążał za nią jak domowy piesek. Dziewczyna poustawiała na tacach dzbanki, nasypała do nich herbaty, wygładziła serwetki i ułożyła srebrne nakrycia, rozmyślnie nie zwracając na młodzieńca uwagi. Czuł się ukarany i szukał właściwych słów, aby na nowo wkupić się w jej łaski. Obserwował ją, gdy się pochyliła, sięgając po mleko i cukier. Jej pełne piersi napięły miękkiego materiału wełnianej sukienki.

Miał całkiem wyschnięte wargi.

- Czy opowiadałem ci o mojej wyprawie na Wyspę Grobu? Wymyślił niezbyt frapujący temat do ożywienia rozmowy. Wyspa

Grobu była porośnięta drzewami hałdą ziemi, leżącą czterysta metrów od brzegu na jeziorze Achimore. Widoczna z oddali dziwaczna konstrukcja - wymyślnie zdobiony wiktoriański twór architektoniczny - była ostatnim miejscem spoczynku Phillipa Gerrarda, niedawno zmarłego męża obecnej właścicielki Westerbrae.

Dowiosłowanie do niej w łódce dla chłopaka przywykłego do pracy fizycznej nie stanowiło wielkiego wyczynu i nie mogło zaimponować Mary Agnes, która prawdopodobnie sama potrafiłaby sprostać temu zadaniu. Dlatego szukał sposobu, żeby swoją opowieść bardziej uatrakcyjnić.

- Znasz historię o Wyspie Grobu, Mary?

Dziewczyna, nadal ustawiając filiżanki na spodkach, wzruszyła ramionami, ale jej roztańczone oczy zatrzymały się na nim przez chwilę, co Gowan odebrał jako wystarczającą zachętę, aby dać upust swojej elokwencji.

- Czy to możliwe, żebyś o niczym nie słyszała, Mary? Wszyscy mieszkańcy wioski wiedzą o tym, że

kiedy księżyc jest w pełni, pani Francesca Gerrard staje nago w oknie swojej sypialni i przywołuje pana Phillipa. Pragnie, żeby do niej wrócił z Wyspy Grobu, gdzie został pochowany.

Niewątpliwie udało mu się przykuć jej uwagę. Przestała ustawiać nakrycia na tacach i z założonymi na piersiach rękoma pochyliła się nad stołem, nadstawiając ciekawie ucha.

- Nie uwierzyłam w ani jedno twoje słowo - uprzedziła, nim zdoła! rozwinąć opowieść. Ton jej wypowiedzi świadczył jednak zgoła o czymś innym i nie zadała sobie trudu, żeby ukryć figlarny uśmiech.

- Ja też nie chciałem w to wierzyć. Dlatego podczas ostatniej pełni popłynąłem łodzią na wyspę. - Gowan ze zniecierpliwieniem czekał na jej reakcję. Uśmiech dziewczyny stał się bardziej promienny. A jej oczy się zaiskrzyły. Chłopak, zachęcony, mówił dalej: - Ach, cóż to był za widok! Pani Gerrard naga w oknie! Z szeroko rozpostartymi rękami. I wiszącym do pasa biustem! Przerazający obraz! - Dramatycznie wzruszył ramionami. - Aż dziw bierze, że pan Gerrard nadal nieruchomo leży! - Obrzucił tęsknym spojrzeniem zachwycające wdzięki Mary Agnes, - Mężczyzna jest zdolny do wszystkiego, widząc piękne piersi.

Dziewczyna zlekceważyła niezbyt subtelną aluzję, ponownie skierowała uwagę na swoje tace i skwitowała krasomówcze wysiłki Gowana stwierdzeniem:

- Radzę ci się zająć pracą. Czy nie powinieneś sprawdzić bojlera? Na tę chłodną sugestię zamarło w nim serce. Z pewnością historia o panu Gerrardzie nadmiernie pobudziła wyobraźnię dziewczyny. Kto wie, może będzie się domagała, aby on, Gowan, podczas pełni księżyca zabrał ją łódką na jezioro? Poczłapał zgarbiony w stronę pomy walni i trzeszczącego bojlera.

Jak gdyby litując się nad nim, Mary Agnes powiedziała:

- Pan Phillip nie wróci do żony, nawet jeśli jej na tym zależy. Gowan przystanął.

- Dlaczego?

- „Moje ciało nie będzie leżeć w przeklętej ziemi Westerbrae” - zacytowała Mary Agnes. - To słowa samego pana Gerrarda. Jego żona mi je powtórzyła. Jeśli więc twoja opowieść jest prawdziwa i pani Gerrard ma nadzieję go odzyskać, na próżno tkwi w oknie. Dawny dziedzic nie przejdzie tu po wodzie, niczym Jezus. Pomimo nęcącego widoku jej cycek, Gowanie Kilbride.

Skwitowawszy swoją uwagę stłumionym śmiechem, podeszła do kuchni i wzięła czajnik. Gdy wracała do stołu, żeby nalać wodę do dzbanków, otarła się o Gowana w przejściu. Ponownie zawrzała w nim krew.

Licząc panią Gerrard, do pokoi trzeba było roznieść dziesięć tac z poranną herbatą.

Mary Agnes postanowiła wykonać to zadanie bez najmniejszego potknięcia, bez rozlania jednej kropli i bez zaambarasowania któregokolwiek z dżentelmenów przez zaskoczenie go, w chwili gdy będzie się ubierał. Albo w znacznie bardziej kłopotliwej sytuacji.

Wiele razy powtarzała swoją rolę przed debiutem w charakterze pokojówki hotelowej. „Dzień dobry, czyż nie cudowny mamy dzisiaj poranek?” Zamierzała prędko podejść do stołu i zostawić tacę, starając się przy tym omijać wzrokiem łóżko. „Na wszelki wypadek”, jak zwykł żartować Gowan.

Minęła pokój kredensowy oraz zasłoniętą kotarami jadalnię i znalazła się w przestronnym, wyłożonym dębową boazerią holu Westerbrae, który podobnie jak schody po drugiej stronie, nie był wyłożony dywanem. Z sufitu zwisał

osiemnastowieczny żyrandol, którego kryształowe przechwytywały i rozszczepiały na barwy tęczy jasny snop światła lampy w recepcji, którą Gowan zawsze zapalał

wczesnym rankiem. W powietrzu unosiła się woń oliwy, trocin i ledwie wyczuwalny zapach terpentyny, co świadczyło o wysiłkach, jakie podjęła pani Gerrard w celu odnowienia starego domu i przerobienia go na hotel.

Nad wszystkimi zapachami dominował jednak jeden, szczególny - rezultat niespodziewanego i niewytłumaczalnego wybuchu gniewu, jaki miał miejsce wczorajszego wieczoru. Gdy Gowan pojawił się w głównym holu z tacą zastawioną kieliszkami i pięcioma butelkami alkoholu, które niósł dla gości, pani Gerrard wypadła gwałtownie z salonu, zanosząc się płaczem jak dziecko. Na skutek zderzenia z nią Gowan runął jak długi na podłogę, a szczątki kryształów firmy Waterford, które rozprysnęły się wokół i potoczyły aż pod schody przy recepcji, pokryła olbrzymia kałuża alkoholu. Niemal godzinę zajęło chłopcu doprowadzenie holu do porządku. Za każdym razem, ilekroć Mary Agnes pojawiała się w polu widzenia, przeklinał dramatycznie. W czasie gdy sprzątał, na korytarzu kręcili się ludzie, wbiegali na górę po schodach, nawoływali się i krzyczeli na siebie. Wszędzie ich było pełno.

Mary Agnes nie zdołała dociec przyczyny ogólnego podniecenia. Wiedziała tylko, że ekipa teatralna udała się razem z panią Gerrard do salonu, aby przeczytać scenariusz, i zaledwie po upływie kwadransa próba przekształciła się w zażartą kłótnię. Chwilę potem niezwykle posiedzenie dobiegło końca i wydarzył się ów nieszczęśliwy wypadek z alkoholami i kryształami.

Mary Agnes minęła hol, dotarła do schodów i zaczęła wchodzić na górę. Starła się nie dudnić stopami i ostrożnie stawiała kroki na gołych, drewnianych stopniach.

Pewności siebie dodawał jej objijający się o prawe biodro i dostojnie wyglądający pęk kluczy.

- Najpierw cicho zapukaj - poinstruowała ją wcześniej pani Gerrard. - Jeśli nie usłyszysz odpowiedzi, otwórz drzwi, używając uniwersalnego klucza, i zostaw tacę na stole. Rozsuń zasłony i wygłoś uwagę, jaki uroczy mamy dzień.

- A jeśli poranek nie będzie pogodny? - spytała Mary Agnes figlarnie.

- To udawaj, że jest,

Dziewczyna dotarła do szczytu schodów, zaczerpnęła głęboko powietrza, starając się wyrównać

oddech, i obrzuciła wzrokiem pozamykane drzwi. Pierwsze z nich prowadziły do pokoju lady Helen Clyde. I choć Mary Agnes widziała wczoraj wieczorem, że kobieta odniosła się do Gowana w bardzo życzliwy sposób, okazując mu pomoc w uporaniu się ze skutkami wypadku w głównym holu, to jednak nie czuła się na tyle pewnie, aby zanieść swoją pierwszą w życiu tacę z poranną herbatą córce lorda. Istniało zbyt wielkie ryzyko popełnienia błędu. Dlatego minęła pokój lady Helen, wybierając następny, którego lokatorka była o wiele mniej skłonna przywiązywać wagę do kilku rozlanych kropel herbaty na Imanej serwecie.

Mary Agnes zapukała, lecz nie doczekała się odpowiedzi. Drzwi były zamknięte.

Zmarszczyła brwi i, balansując tacą, oparła ją na lewym biodrze. Poszperała w pęku kluczy i znalazła uniwersalny - pasujący do wszystkich pokojów gościnnych.

Następnie przekręciła go w zamku, pchnęła drzwi i weszła do środka, powtarzając w myślach wyuczoną formułkę.

W pokoju panował straszliwy ziąb, nieprzenikniona ciemność i niczym nie zmacona cisza. Mary Agnes spodziewała się przynajmniej cichego syczenia kaloryfera. Może lokatorka pokoju postanowiła wskoczyć do łóżka bez włączania ogrzewania. Albo, Mary Agnes uśmiechnęła się do własnych myśli, nie była tam sama, lecz tuliła się pod kołdrą do jednego z dżentelmenów. I nie tylko tuliła. Dziewczyna stłumiła chichot.

Podeszła do stolika pod oknem, postawiła tacę i zgodnie z instrukcją pani Gerrard rozsunęła zasłony. Niedawno nastał świt i słońce niczym żarząca się drzazga wystawało sponad spowitych mgłą wzgórz za jeziorem Achiemore. Jezioro się srebrzyło. Jego tafla, w której wiernie odbijały się góry, niebo i pobliskie lasy, przywodziła na myśl swoim wyglądem mieniący się jedwab. Kilka postrzępionych chmur przypominało wstęgi dymu. Zapowiadał się piękny dzień, niepodobny do wczorajszej zameci.

- Uroczy mamy dzisiaj poranek - zauważyła Mary Agnes lekkim tonem. - Dzień dobry pani.

Stanęła tyłem do okna i wyprostowała ramiona, zamierzając wrócić do drzwi. Nagle znieruchomiła.

Coś wzbudziło jej niepokój. Być może nienaturalna cisza, która sprawiała wrażenie, że lokatorka pokoju zbyt długo wstrzymuje oddech. A może unoszący się w powietrzu zapach - intensywny i nieuchwytnie przypominający woń siekanego mięsa. Albo spiętrzona pościel, która wyglądała tak, jak gdyby ktoś ją ułożył

pośpiesznie i przez nikogo nie zatrzymywany opuścił pokój. Lub absolutny bezruch pod nakryciem. Jak gdyby nic pod nim nie drgało, jakby nikt nie oddychał...

Mary Agnes poczuła, że jeżą jej się włosy na karku. Przez chwilę stała nieruchomo, niby wryta w ziemię.

- Proszę pani? - szepnęła po chwili słabym głosem. A potem powtórzyła trochę głośniejszym, gdyż kobieta mogła mieć przecież mocny sen: - Proszę pani?

Nie usłyszała żadnej odpowiedzi.

Mary Agnes zrobiła niepewny krok. Miała zimne dłonie i zeszywniałe palce.

Zmusiła się jednak, żeby wyciągnąć rękę przed siebie. Drżąc na całym ciele, dotarła do łóżka.

- Proszę pani?

Trzecie wezwanie nie przyniosło większego skutku niż dwa poprzednie.

Palce dziewczyny, działając najwyraźniej niezależnie od jej woli, zacisnęły się na pościeli i zaczęły ją ściągać. Materiał, nasiąknięty przeszywającą do szpiku kości wilgocią - z rodzaju tych, jakie towarzyszą obfitym śnieżycom - zahaczył o coś, nim się zsunął. Przed oczami Mary Agnes pojawił się najbardziej zatrważający widok, z jakim się zetknęła w całym swoim życiu.

Na prawym boku leżała zastygła w bezruchu kobieta. Miała rozchylone usta, a jej głowa i ramiona spoczywały w kałuży krwi. Jedna dłoń była wyciągnięta i odwrócona wewnętrzną stroną ku górze w błagalnym geście. Drugą trzymała wsuniętą pomiędzy uda, jak gdyby usiłowała ją ogrzać. Długie czarne włosy rozrzucone na poduszce przywodziły na myśl skrzydła kruka - nasączone papkową mazią, zawijały się pod ramię. Krew uległa już procesowi koagulacji, a purpurowe grudki okolone czarną obwódką przywodziły na umysł skrzepnięte oka w czarcim rosole. W szyi kobiety tkwił sztylet z rogową rękojeścią. Ostrze przeszło na wylot i wbiło się w materac, tak że ofiara wyglądała niczym owad przyszpilony do planszy.

2

Inspektor Thomas Lynley otrzymał wiadomość tego samego dnia, tuż przed dziesiątą rano. Doglądał właśnie nowego inwentarza na farmie Castle Sennen i gdy wracał należącym do posiadłości samochodem marki Land Rover, brat zatrzymał go w drodze. Ściągnął cugle i zawołał na niego z grzbietu wzburzonej gniadej klaczy, z której nozdrzy buchała para. Panował

przenikliwy ziąb, nietypowy dla Korn-walii nawet jak na tę porę roku. Lynley wychylił się z okna pojazdu i zmrużył oczy, chroniąc je przed zimnym wiatrem.

- Nadeszła dla ciebie wiadomość z Londynu - oznajmił Peter, owijając wprawnie lejce wokół dłoni. Klacz podrzuciła łbem, odskakując w bok, w stronę kamiennego muru wytyczającego granicę pomiędzy polem a drogą. - Od nadinspektora Webberly'ego. Chce, żebyś się z nim możliwie jak najszybciej skontaktował w związku z przekazaniem sprawy z urzędu śledczego w Strathclyde.

- I to wszystko?

Klacz tańczyła, jak gdyby chciała się pozbyć ciężaru. Petera rozbawiło to wyzwanie rzucone jego autorytetowi jeźdźca. Człowiek i zwierzę walczyli przez moment, każde zdecydowane zdobyć przewagę nad drugim, lecz Peter panował nad wodzami, instynktownie wyczuwając, kiedy trzeba popuścić nieco cugli, a kiedy takie posunięcie osłabiłoby zapal wierzchowca. Zawrócił nagle klacz, jak gdyby zatoczenie koła było wspólnie uzgodnionym manewrem, i ponownie doprowadził

ją pod pokryty szronem murek.

- Hodge odebrał telefon. - Peter wyszczerzył zęby w uśmiechu. -Znasz jego reakcję:

„Scotland Yard do jasnie pana. Który z nas pojedzie go zawiadomić?" Kiedy to mówił, jak zwykle z każdego poru jego skóry emanowała dezaprobata.

- Już nigdy się nie zmieni - odparł Lynley. Zatrudniony od ponad trzydziestu lat w jego rodzinie lokaj uparcie odmawiał pogodzenia się z

„fanaberiami jasnie pana", jak gdyby liczył na to, że Lynley lada moment odzyska rozsądek, dozna olśnienia i zacznie prowadzić życie zgodne z najgorętszymi pragnieniami Hodge'a, to znaczy: przywyknie do Konwalii, do posiadłości Howenstow i będzie się trzymał możliwie jak najdalej od Scotland Yardu. - Co Hodge powiedział Web-berly'emu?

- Prawdopodobnie oświadczył, że jesteś zajęty wizytowaniem dzierżawców. „Jego lordowska mość przebywa aktualnie w swoich włościach". Peter z dużym talentem naśladował grobowy ton lokaja. Obaj bracia wybuchnęli śmiechem. Chcesz wrócisz konno? To szybszy środek transportu.

- Dzięki, ale nie. Za bardzo jestem przywiązany do swego karku, żeby go stracić.

Lynley uruchomił silnik. Wystraszona hałasem klacz stanęła dęba i wstrząsnęła zadem, pragnąc się wyswobodzić. Nie zwracała uwagi na wędzidło ani na ostrogi.

Podkowy zadzwoniły o skały, a radosne rzenie przemieniło się w skowyt przerażenia. Lynley nic nie powiedział, przyglądając się bratu staczającemu walkę ze zwierzęciem. Wiedział, że bezcelowe są wszelkie prośby o rozwagę.

Niebezpieczeństwo oraz fakt, że jeden nieopatrzny ruch może oznaczać połamane kości, był właśnie tym, co najbardziej pociągało Petera w koniach.

Jak gdyby na potwierdzenie tych myśli Lynleya brat w radosnym geście odrzucił do tyłu głowę. Przyjechał bez kapelusza i jego włosy błyszczały w promieniach zimowego słońca krótko przystrzyżone wyglądały jak złota czapka. Miał

stwardniałe od pracy dłonie, a skóra nawet zimą zachowywała opaleniznę, jakiej nabierała podczas miesięcy przepracowanych przez niego w pocie czoła pod słońcem południowo-zachodniej Anglii. Peter tryskał życiem. Był jeszcze bardzo młody. Przyglądając mu się, Lynley miał wrażenie, że jest nie o dziesięć, lecz o kilkadziesiąt lat od niego starszy.

- Hej, Szafranko! - zawołał Peter, nawracając klacz spod muru. Pomachał bratu na pożegnanie dłonią i wystrzelił w pola. Rzeczywiście dotarł do Howenstow na długo przed Lynleyem.

Kiedy koń i jeździec zniknęli za jaworami rosnącymi na odległym krańcu uprawnego gruntu, Lynley nacisnął pedał gazu. Mruknął z rozdrażnieniem, gdy bieg się prześlizgnął. Po chwili poprowadził stary pojazd wąską aleją w stronę zabudowań mieszkalnych.

Zatelefonował do Londynu z małej alkowy przy salonie - ze swojego prywatnego sanktuarium, znajdującego się bezpośrednio nad gankiem u wejścia do rodzinnego domu. Pokój został umeblowany

na przełomie wieku przez dziadka - człowieka, który miał doskonale wycucie, jakie sprzęty i przedmioty czynią życie przyjemniejszym. Między dwoma gotyckimi oknami stało ogromne mahoniowe biurko. Na półkach piętrzyły się liczne tomy literatury pięknej i kilkadziesiąt roczników „Puncha”. Zegar z połączanego brązu tykał na obramowaniu kominka, przy którym stał wygodny fotel. Wszystko razem sprawiało, że pomieszczenie było wprost wymarzone miejsce odpoczynku pod koniec nużącego dnia.

Gdy Lynley czekał, aż sekretarka Webberly'ego wytropi nadinspektora, zastanawiał

się, co oboje robią w Scotland Yardzie w ten zimowy weekend. Wyjrzał przez okno na pięknie utrzymany ogród w dole. Stała tam jego matka - wysoka, szczupła kobieta, w zapiętej pod samą szyję ciepłej kurtce w groszkowym kolorze. Jej włosy o odcieniu piasku zakrywała amerykańska czapeczka baseballowa. Pani Lynley była pogrążona w dyskusji z jednym z ogrodników. Nie od razu spostrzegła, że jej pies rzucił się na upuszczoną niechcący rękawiczkę, traktując ją niczym poranną przekąskę. Lynley uśmiechnął się na widok przerażonej miny matki, która w końcu narobiła krzyku i wyrwała psu swoją własność.

Gdy głos Webberly'ego rozległ się w słuchawce, Lynley miał wrażenie, że nadinspektor biegł do telefonu.

- Sytuacja jest bardzo delikatna - oświadczył Webberly bez ogródek. - Mamy zwłoki, a funkcjonariusze lokalnej policji zachowują się tak, jak gdyby nastąpiła plaga dymienicy morowej. Skontaktowali się z miejscowym urzędem śledczym do spraw kryminalnych w Strathclyde. Ale tam nie chcą się tykać tej sprawy. Zostawili ją nam.

- Strathclyde? - powtórzył Lynley obojętnym tonem. - Ależ to w Szkocji.

Stwierdził oczywisty fakt. Szkocja miała własnych specjalistów od kryminalistyki, którzy rzadko zwracali się o pomoc do Yardu. A nawet jeśli się to zdarzało, zawilości szkockiego prawa utrudniały londyńskiej policji skuteczne działanie i uniemożliwiały jej uczestnictwo w dalszym postępowaniu przed sądem. Coś było nie tak. Lynley nie mógł zdusić w sobie podejrzliwości. Na razie jednak starał się jej nie okazywać:

- Czy nikt podczas tego weekendu nie ma dyżuru? - Wiedział, że Webberly pojmie kryjącą się pod tą uwagą aluzję: po raz czwarty w ciągu pięciu miesięcy wzywano Lynleya do Londynu w czasie wolnym od pracy.

- Doskonale pana rozumiem, ale nic innego nie można było zrobić - rzucił obcesowo nadinspektor. ~ Wynagrodzimy panu pańskie trudy, gdy tylko sprawa się skończy.

- Co to za sprawa?

- Istne piekło. - Głos Webberly'ego ucichł, gdyż inna osoba w londyńskim biurze zaczęła teraz wygłaszać długi i hałaśliwy wywód.

Lynley rozpoznał huczący baryton sir Davida Hilliera, głównego nadinspektora.

Coś rzeczywiście wisiąło w powietrzu. Podczas gdy Lynley słuchał, uważnie starając się uchwycić sens słów Hilliera, obaj mężczyźni najwyraźniej doszli do porozumienia, gdyż Webberly odezwał się teraz bardziej poufnym tonem. Mówił, jak gdyby linia telefoniczna była niepewna, a on wystrzegając się podsłuchu:

- Jak już powiedziałem, sytuacja jest bardzo delikatna. W sprawę jest zamieszany Stuart Rintoul, lord Stinhurst. Zna go pan?

- Stinhurst? Ten producent teatralny?

- Tak. Midas sceny.

Lynley się uśmiechnął. Epitet był wyjątkowo trafny. Lord Stinhurst zdobył sobie sławę i uznanie w środowisku teatralnym Londynu dzięki finansowaniu jednego udanego przedstawienia za drugim. Uchodził za człowieka mającego dobre rozeznanie w gustach widowni, a jednocześnie za inwestora skłonnego do ryzykowania ogromnych sum. Posiadał zdolność odkrywania nowych talentów i wybierania ze stert śmieci zalegających codziennie jego biurko sztuk nominowanych potem do zaszczytnych nagród. Jego ostatnim posunięciem, co mogli odnotować wszyscy czytelnicy „Timesa”, było nabycie i odnowienie opuszczonego Agincourt Theatre, w którego projekt odbudowy lord Stinhurst zainwestował ponad milion funtów. Otwarcie teatru - zapowiadane jako ogromny sukces - zostało zaplanowane za dwa miesiące. I właśnie tak bliski termin owego przedsięwzięcia sprawiał, że decyzja producenta o wyjeździe z Londynu, nawet na krótki weekend, wydawała się Lynleyowi niezrozumiała. Ten prostoduszny mężczyzna po siedemdziesiątce lubił, żeby wszystko było zapięte na ostatni guzik, i od lat nie pozwalał sobie na urlop. To zresztą stanowiło część legendy o nim. Co w takim razie robił w Szkocji?

Webberly odpowiedział! na nie wyartykułowane wątpliwości Lynleya:

- Najwidoczniej Stinhurst zawiózł tam grupę aktorów, aby popracowali nad sztuką, która miała podbić stolicę po otwarciu podwojów Agincourt Theatre. Zabrali ze sobą dziennikarza z „Timesa”. Sądzę, że to krytyk teatralny. Prawdopodobnie to on opublikował w prasie artykuł o renowacji teatru. Jak się dowiedziałem dzisiaj rano, facet aż się pieni, żeby dotrzeć do telefonu, zanim przyjedziemy na miejsce i na-

łożymy mu kaganiec.

- Dlaczego mielibyśmy to robić? - spytał Lynley i w tej samej chwili pojął, że najbardziej pikantną wiadomość Webberly zachowa! na koniec.

- Ponieważ Joanna Ellacourt i Robert Gabriel mają być gwiazdami spektaklu finansowanego przez lorda Stinhursta. Oni także są w Szkocji.

Zdumiony Lynley nie zdołał się opanować i zagwizdał cicho. Joanna Ellacourt i Robert Gabriel! Tych dwoje najbardziej obecnie wziętych aktorów w kraju stanowiło prawdziwą arystokrację teatralną. Partnerując sobie od wielu lat, elektryzowali widownię stworzonymi przed siebie kreacjami w rozmaitych sztukach, począwszy od Szekspira, na Stoppardzie i O'Neillu kończąc.

Chociaż często pracowali osobno, dopiero gdy stawali się parą aktorską, magia działała w pełni. A recenzje prasowe zawsze były takie same: prawdziwa alchemia, niezrównany dowcip oraz bezbłędnie wyczuwane przez publiczność napięcie seksualne. Lynley przypomniał sobie, że ostatnio oboje grali w „Otellu”, wystawianym przez Haymarket: spektakl miesiącami gromadził tłumy, nim dramat został zdjęty z afisza trzy tygodnie temu.

- Kto został zamordowany? - spytał Lynley.

- Autorka nowej sztuki. Dobrze zapowiadająca się dramatopisar-ka. Nazywała się...

- rozległ się szelest papieru - ...Joy Sinclair. -Webberly wydał pomruk zniecierpliwienia, co zawsze stanowiło wstęp do niemiłych wiadomości. Tak było i tym razem. - Obawiam się, że ciało zostało zabrane.

- A niech to wszyscy diabli! - syknął Lynley. Naruszono ślady na miejscu zbrodni.

Okoliczność ta była poważnym utrudnieniem w pracy.

- Doskonale rozumiem pana niezadowolenie, ale nic nie możemy na to poradzić.

Wracając do rzeczy - sierżant Havers spotka się z panem na lotnisku Heathrow.

Oboje polecicie o pierwszej do Edynburga.

- To nie robota dla sierżant Havers, sir. Skoro ciało zostało usunięte, będę potrzebował pomocy St. Jamesa.

- St. James nie jest już pracownikiem Scotland Yardu, inspektorze. Nie będę w stanie załatwić niezbędnych formalności w tak krótkim czasie. Jeśli chce pan zabrać ze sobą specjalistę z dziedziny medycyny sądowej, proszę skorzystać z pomocy któregoś z naszych ludzi.

Lynley gotów był pominąć milczeniem decyzję o swoim udziale w dochodzeniu, intuicyjnie wyczuwając powód, dla którego został do niego przydzielony zamiast inspektora pełniącego dyżur podczas weekendu. Stuart Rintoul, lord Stinhurst, był

najwidoczniej jednym z podejrzanych o tę zbrodnię i komuś zależało na tym, żeby sprawa została załatwiona w białych rękawiczkach. Gwarantowała to obecność ósmego hrabiego Ashertona, czyli samego Lynleya: arystokrata rozmawiający z arystokratą, jak równy z równym, i ostrożnie dociekający prawdy. Wszystko to było bardzo piękne, ale jeśli Webberly zamierzał zlekceważyć wykaz dyżurów, aby zaaranżować spotkanie lordów Stinhursta i Ashertona, Lynley nie zamierzał

dotatkowo utrudniać sobie pracy i godzić się na obecność sierżant Barbary Havers.

Dziewczyna wprost kipiała entuzjazmem, żeby być pierwszą wychowanką szkoły policyjnej, zakuwającą w kajdanki przedstawiciela angielskiej arystokracji .

Dla sierżant Havers główne problemy życia - od kryzysu ekonomicznego po wzrost zachorowań na

choroby weneryczne - były skutkiem systemu klasowego. Problem klasowości społeczeństwa był najbardziej drażliwym punktem spornym pomiędzy nią a Lynleyem; stawał się zwykle przyczyną fundamentalnego braku porozumienia i wpływał na wynik każdej utarczki słownej podczas piętnastu miesięcy ich współpracy.

- Ten przypadek nie przemawia za udziałem sierżant Havers - argumentował

rozsądnie Lynley. - Gdy tylko się dowie, że w sprawę zamieszany jest lord Stinhurst, nie będzie miała żadnych wątpliwości, kto dokonał przestępstwa.

- Wyrosła już z takiego rozumowania. A jeśli nie, to najwyższy czas, żeby tak się stało, jeśli ma zamiar coś osiągnąć przy pańskiej pomocy.

Lynley wzruszył ramionami na sugestię przełożonego, że on i sierżant Havers mieliby się stać stałym zespołem, połączonym dożgonnym węzłem karier. Szukał

sposobu, aby wykorzystać decyzję nadinspektora o obecności policjantki w sprawie i zmusić go do kompromisu, który pozwoliłby mu upiec własną pieczeń - to jest obstawać przy swoim poprzednim życzeniu.

- Skoro już pan tak zdecydował, sir... - rzucił pojednawczo. - Co się zaś tyczy komplikacji związanych z usunięciem ciała, St. James ma więcej doświadczenia, jeśli chodzi o badanie miejsca zabójstwa niż każda inna osoba z obecnego personelu.

Wie pan lepiej ode mnie, że St. James był naszym najlepszym fachowcem...

- To prawda, ale obowiązuje mnie procedura, inspektorze. A z tym wiąże się problem czasu. Nie mogę przydzielić St. Jamesa... - Wywód przerwała dobiegająca z głębi pomieszczenia krótka, burkliwa wypowiedź głównego nadinspektora HilHera, która została natychmiast zagłuszona, niewątpliwie przez dłoń Webberly'ego na słuchawce. Po chwili nadinspektor oznajmił:

- W porządku. St. James ma naszą zgodę. Niech pan tam jedzie i dokona rozeznania w tej kłopotliwej sprawie. - Zakasłał, odchrząknął i dokończył: - Nie jestem zachwycony całą tą sytuacją, podobnie jak pan. Tommy.

I natychmiast się rozłączył, nie dopuszczając do dalszej dyskusji ani pytań. Dopiero trzymając głuchą słuchawkę w ręce, Lynley zwrócił uwagę na dwa dziwne fakty. Po pierwsze, z rozmowy z szefem nie dowiedział się dosłownie niczego o zbrodni, a po drugie, podczas dwunastoletniej współpracy nadinspektor po raz pierwszy zwrócił

się do niego po imieniu. Był to dość osobliwy powód do niepokoju, lecz Lynley przyłapał się nad tym, że naprawdę zaprzęta go myśl, co leży u korzeni morderstwa w Szkocji.

Gdy opuścił alkowę przy salonie i zmierzał do swojego apartamentu we wschodnim skrzydle posiadłości Howenstow, w końcu uświadomił sobie, że nazwisko Joy Sinclair już styszał. Gdzieś się z nim zetknął. I to niezbyt dawno temu. Przystanął na korytarzu obok skrzyni z drzewa grusowego i spojrzał bezmyślnie na stojącą na niej porcelanową misę. Sinclair. Sinclair, Brzmiało to znajomo,

bardzo znajomo.

Delikatny niebieski wzór na białym tle naczynia zamaza! mu się przed oczami, desenie zaczęły na siebie zachodzić, przecinać się i przestawiać....

Właśnie, przestawiać. Zmieniać szyk. Wyrazy, które widział, to nie *Joy Sinclair*, lecz *Sinclair's Joy* - „Radość Sinclair” - tytuł w jednej z niedzielnych gazet. Po tej grze słów następowało dość złośliwe zdanie: *Poprzez akt „Ciemności” do większych dokonań.*

Przypomniał sobie, że nagłówek ten przywiódł mu na myśl sportsmenkę ubiegającą się o udział w olimpiadzie. Z artykułu dowiedział

się jednak, że jego bohaterka nie była sportsmenką, leci autorką, której pierwszy utwór dramatyczny został dość dobrze przyjęty zarówno przez krytykę, jak i przez publiczność, szukającą wytchnienia od pełnych zadęcia londyńskich inscenizacji teatralnych. Jej druga sztuka miała być wystawiona na otwarcie Agincourt Theatre.

Lynley nie zdążył wtedy zdobyć więcej informacji o młodej dramatopisarce, gdyż odebrał telefon ze Scotland Yardu - wysłano go do Hyde Parku, gdzie w krzakach pod Wężowym Mostem znaleziono ciało pięcioletniej dziewczynki.

To zastanawiające, że dopiero teraz przypomniał sobie nazwisko Sinclair.

Zatrważający widok Megan Walsham i świadomość, co przeżyła przed śmiercią, na długie tygodnie wymazały z jego umysłu wszystko inne. W tamtym czasie chodził

wściekły, a wszelkie wykonywane czynności podporządkowane były tylko jednemu celowi: znalezieniu zabójcy Megan... Potem nastąpiło aresztowanie wuja ofiary, brata matki... a na Lynleyu spoczął obowiązek powiadomienia nieszczęsnej kobiety, kto jest winien zgwałcenia, okaleczenia i zabójstwa jej najmłodszego dziecka.

Prawdę mówiąc, Lynley wciąż jeszcze nie przyszedł do siebie po tamtej historii.

Nadal czuł znużenie długimi dniami i jeszcze dłuższymi nocami, kiedy to nie mógł

zaznać wypoczynku i tęsknił za jakąś duchową ablucją, która by zmyła z jego duszy plugastwo bestialstwa i mordy.

Ale wytchnienie wciąż nie nadchodziło. Westchnął, klepnął się mocno dłonią w pierś i poszedł się pakować.

Konstabl Kevin Lonan nie znosił picia herbaty z termosu. Zawsze tworzyła się na jej powierzchni odrażająca powłoka, która przywodziła mu na myśl pianę w kąpielu.

Dlatego też, gdy spragniony popołudniowej herbaty, musiał skorzystać z poszczerbionego termosu, wyciągniętego z pełnego pajęczyn kąta posterunku policji w Strathclyde, wypił tylko łyk, a resztę wylał na niewielki pas startowy miejscowego lotniska. Skrzywił się, otarł usta wierzchem dłoni w

rękawicze i poklepał się po plecach, żeby poprawić krążenie. Dziś, w przeciwieństwie do dnia wczorajszego, pokazało się słońce. Lśniło wśród gęstej zamieci, niczym fałszywy zwiastun wiosny, ale temperatura nadal nie przekraczała zera. Napływające z północy ciężkie chmury zapowiadały kolejną śnieżną nawałnicę. Lepiej, żeby towarzystwo ze Scotland Yardu nie zwlekało długo z przybyciem, pomyślał

posepnie Lonan.

Jak gdyby w odpowiedzi na jego życzenie powietrze przecięło równomierne drganie łopatek nadlatującego ze wschodu śmigłowca. Chwilę później w polu widzenia pojawił się helikopter Królewskiej Policji Szkockiej. Zatoczył koło nad zatoką Ardmucknish, by sprawdzić, gdzie teren nadaje się do lądowania, po czym powoli dotknął kwadratu na pasie, który zaledwie pół godziny temu odczyścił pług śnieżny.

Śmigła wciąż się obracały, rozsypując zaspy na obrzeżach lotniska. Panował

ogłuszający hałas.

Drzwi od strony pasażera się otworzyły i ukazała się w nich krępa, zwalista postać, opatulona od stóp do głów, niczym mumia, w brązowe okrycie przypominające stary dywan. Sierżant Barbara Havers, odgadł Lonan. Kobieta wyrzuciła z kabiny trzy walizki, które gruchnęły o płytę z łoskotem, a potem sama zeskoczyła ze schodków na ziemię. Za nią podążał mężczyzna. Był bardzo wysoki, miał

jasnoblond włosy i, pomimo zimna, gołą głowę. Nosił dobrze skrojony płaszcz z kaszmirskiej wełny oraz szalik i rękawiczki, które były jedynymi ustępstwami na rzecz mrozu. To pewnie inspektor Lynley, pomyślał Lonan, obiekt szczególnego zainteresowania urzędu śledczego do spraw kryminalnych w Strathclyde, zważywszy na to, że jego przybycie od samego początku zostało zręcznie ukartowane przez Londyn. Lonan przyglądał się mężczyźnie, który wymieniał

jakiś uwagi z towarzyszącą mu policjantką. Kobieta wskazała w kierunku furgonetki. Lonan spodziewał się, że zaraz do niego dołączą. Tymczasem oboje ruszyli w stronę helikoptera, gdzie ukazała się trzecia osoba. Ostrożnie i z dużym trudem stawiała kroki, posuwając się niezdarne, gdyż lewa noga tkwiła chyba w ciężkim aparacie ortopedycznym. Podobnie jak blondyn, ułomny mężczyzna również był bez kapelusza, a jego kręcone, czarne i o wiele za długie włosy wiatr zwiewał na bladą twarz. Miał ostre, kanciaste rysy. Wyglądał na człowieka, którego uwagi nie uchodzą żadne szczegóły.

Lonan patrzył ze zgrozą na widok nieoczekiwanego gościa. Zastanawiał się, czy wieść przekazano już inspektorowi Macaskinowi. Londyn sięgnął po ciężką artylerię - przysłał specjalistę od medycyny sądowej, Simona Allcourta-St. Jamesa.

Konstab] oderwał się od furgonu i pełen zapachu ruszył w stronę helikoptera.

Przybysze zdążyli już wrzucić schodki do środka i zebrali z płyty lotniska swoje rzeczy.

- Czy nigdy nie przyszło pani do głowy, że mogę mieć w walizce jakiś łatwo się tłukący przedmiot,

Havers? - spytał Lynley.

- Zabrał pan ze sobą alkohol? - padła opryskliwa odpowiedź. -

Jeśli wziął pan whisky, to straszliwy z pana głupiec. Równie dobrze mógłby pan wozić węgiel do Newcastle.

- Mam wrażenie, że od miesiący czekała pani na sposobność wygłoszenia tej kwestii. - W chwili gdy Lonan do nich dołączył, Lynley pomachał i skinął głową pilotowi śmigłowca, dziękując mu za podwiezienie.

Po wzajemnej prezentacji Lonan oświadczył:

- Byłem kiedyś na pańskim odczycie w Glasgow. - Potrząsając dłonią St. Jamesa, wyczuł przez rękawiczkę, jaka jest drobna, a jednak odwzajemniła uścisk z zadziwiającą siłą. - Był poświęcony zabójcy Cradley.

- Ach tak. Facet został wsadzony za kratki na podstawie materiału dowodowego, jakim okazał się włos łonowy - mruknęła sierżant Havers.

- Co było posunięciem nader wątpliwym uzupełni! Lynley.

Nie ulegało wątpliwości, że St. James jest przyzwyczajony do utarczek słownych swoich dwojga towarzyszy, gdyż uśmiechnął się tylko i rzekł:

- Szczęściarze z nas, że mieliśmy ten dowód. Gdyby nie to, pozostałyby nam jedynie słabo zachowane odciski zębów na ciele ofiary.

Lonana korciło, żeby omówić wszystkie zagmatwane szczegóły owego morderstwa z człowiekiem, który cztery lata temu rozwikłał sprawę, zadziwiając sąd. Jednakże, gdy Lonan już zbierał siły, żeby wdać się w zawile rozważania, przypomniał sobie o inspektorze Macaskinie, który niecierpliwie oczekiwał ich przybycia na posterunku policji i niewątpliwie pełen napięcia nerwowo krążył po pokoju.

Tam stoi furgonetka - oznajmił, rezygnując z podzielenia się swoimi błyskotliwymi obserwacjami na temat zniekształconych śladów po zębach zachowanych na ciele umieszczonym w formalinie. Wskazał ruchem głowy pojazd policyjny. Był nieco zmieszany, gdyż nie przypuszczał, że przyjezdnych będzie troje. Nie przyszło mu na myśl, że zabiorą ze sobą St. Jamesa. Gdyby wiedział, należałby na przydzielenie odpowiedniejszego samochodu - na przykład nowego volvo inspektora Macaskina, które przynajmniej miało przednie i tylne siedzenia oraz dobrze funkcjonujące ogrzewanie. W pojeździe, do którego prowadzi! gości, były tylko dwa siedzenia - z obu sterczała wyściółka i sprężyny - oraz jedno składane krzesło, wetknięte z tyłu między dwie kabiny do przewożenia przestępców, trzy zwoje liny, kilka ziozonych peleryn z impregnowanego płótna, drabina, pudło z narzędziami i sterta zatłuszczonych łachmanów. Sytuacja była żenująca. Jeśli jednak trójka z Londynu spostrzegła te niedostatki, to nie skomentowała tego ani jednym słowem. St. James usiadł z przodu, a tamci we dwójkę usadowili się z tyłu. Na usilną prośbę sierżant Havers Lynley

zajął miejsce na składanym krześle.

- Nie chciałabym, żeby pan sobie pobrudził swój piękny płaszcz - oświadczyła i przycupnęła na pelerynach, po czym odwinęła z twarzy mniej więcej piętnastocentymetrową warstwę szalika.

Lonan skorzystał z okazji, żeby się jej lepiej przyjrzeć. Swojska uroda, pomyślał, obserwując ukradkiem zadarty nos, szerokie brwi i okrągłe policzki. Sądząc po wyglądzie, z pewnością nie zabiegała o tak wysoko postawione towarzystwo. Lonan uznał, że dziewczyna musi być wobec tego prawdziwym objawieniem w dziedzinie kryminalistyki i powziął poważne postanowienie bacznego obserwowania każdego jej posunięcia.

- Dziękuję, Havers - powiedział Lynley pogodnie. - Tylko Bóg wie, że jedna tłusta plama sprawia, iż w niespełna minutę staję się osobą całkowicie bezużyteczną.

- Zapalmy w takim razie papierosa - prychnęła.

Lynley posłusznie wydobyl złotą papierośnicę i podał ją koleżance, a następnie podsunął jej srebrną zapalniczkę. W Lonanie zamarło serce. Palacze, pomyślał i zrezygnowany zebrał siły, szykując się na piekący ból w oczach oraz podchodzące do gardła nudności. Havers nie zapaliła jednak, gdyż St. James, słysząc ich rozmowę, otworzył okno. Ostry powiew mroźnego powietrza uderzył Barbarę prosto w twarz.

- Wystarczy. Zrozumiałam - odezwała się gderliwym tonem. Bezwstydnie schowała sześć papierosów do kieszeni, nim oddała papierośnicę Lynleyowi. - Czy St. James zawsze jest taki subtelny?

- Od urodzenia - odparł inspektor.

Lonan ruszył, przechylając wóz na boki. Jechali w stronę posterunku w Oban.

Tylko jedna siła napędowa kierowała życiem inspektora Iana Macaskina z urzędu śledczego w Strathclyde - duma. Przyjmowała szereg różnych i dość odległych od siebie form, a pierwszą z nich było przywiązanie do rodziny. Lubił, aby ludzie wiedzieli, że potrafi sprostać trudnościom. Ożeniony w wieku dwudziestu lat z siedemnastoletnią dziewczyną, trwał w związku małżeńskim od dwudziestu siedmiu lat, wychował dwóch synów i wykształcił ich na uniwersytetach - jednego na weterynarza, a drugiego na biologa morza. Był również dumny ze swojej postury i formy fizycznej. Miał sto siedemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, a nie ważył więcej niż wtedy, kiedy był dwudziestojednoletnim konstabłem. Zachował muskularne i jędrne ciało dzięki wiosłowaniu w każdy letni wieczór i wykonywaniu tych samych ćwiczeń przez całą zimę na symulatorze łodzi w swoim mieszkaniu. I choć w czasie ostatnich dziesięciu lat zdążył całkiem posiwieć, to jego włosy wciąż były gęste i mieniły się srebrem we fluoryzującym świetle posterunku policji. I wreszcie ostatnim źródłem dumy inspektora był właśnie ów posterunek. W swojej karierze Macaskin ani razu nie zamknął sprawy bez aresztowania przestępcy i wiele energii poświęcał na to, aby jego ludzie mogli powiedzieć to samo o sobie. Kierował komórką śledczą, a jego podwładni dogłębnie badali każdy szczegół, niczym sfora psów tropiących lisa. Zawsze osobiście nadzorował przebieg śledztwa. W rezultacie był wszechobecny w swoim biurze.

Bardzo nerwowy, miał brzydki nawyk obgryzania paznokci, a próbując z nim walczyć, ssał miętusy, żuł gumę i pożerał całe paczki chrupek ziemniaczanych.

Inspektor Macaskin czekał na przybyłe z Londynu towarzystwo nie w swoim gabinecie, lecz w sali konferencyjnej - w niezbyt dobrze oświetlonym i dusznym pomieszczeniu o wymiarach trzy metry na cztery, zastawionym niewygodnymi meblami. Zrobił to świadomie.

Od samego początku nie podobał mu się sposób prowadzenia tej sprawy. Lubił mieć wszystko zaszufadkowane - umieszczone w odpowiednim miejscu - bez bałaganu i zamieszania. Każda osoba związana z dochodzeniem odgrywała ściśle określoną rolę - ofiary ginęły, policja zadawała pytania, podejrzani udzielali odpowiedzi, a pracownicy służby kryminalnej zbierali dowody. Tymczasem w tym przypadku od pierwszej chwili - z wyjątkiem ofiary, która zgodnie z regułami gry była martwa - to podejrzani przejawiali nadmierną dociekliwość, a policja zajmowała się składaniem wyjaśnień. Zastrzeżeń nie budził jedynie sposób zbierania materiału dowodowego.

- Proszę mi to opowiedzieć jeszcze raz. - Głos inspektora Lynleya był opanowany, lecz brzmiała w nim znajoma nutka, która skłoniła Macaskina do przypuszczeń, że szczególne okoliczności towarzyszące przydzieleniu inspektora do tej sprawy nie wpłyną na jego bezstronność. To dobrze. Fakt ten zadecydował, że Macaskin od pierwszej chwili polubił detektywa ze Scotland Yardu.

Przybysze zdjęli wierzchnie okrycia i usiedli wokół sosnowego stołu konferencyjnego - tylko Lynley pozostał w pozycji stojącej i trzymał ręce w kieszeniach. Jego oczy rzucały niebezpieczne błyski.

Macaskin ponownie zrelacjonował przebieg wydarzeń.

- Moi ludzie nie przebywali w Westerbrae dłużej niż pół godziny, gdy szef posterunku poinformował mnie, że Scotland Yard przejmuje tę sprawę. To wszystko. Nic więcej nie zdołałem od niego wydobyć. Kazał mi zostawić tam ludzi, wrócić tutaj i czekać na wasz przyjazd. Moim zdaniem, to jakaś szycha od was podjęła decyzję o przekazaniu tej sprawy funkcjonariuszom Scotland Yardu.

Wydała polecenie naszemu szefowi posterunku, a my, w ramach dobrze pojętej współpracy, musieliśmy się „zwrócić o pomoc”.

Lynley i St. James wymienili między sobą nieodgadnione spojrzenia.

- Dlaczego ruszaliście ciato? - spytał St. James.

- Taki mieliśmy rozkaz - wyjaśnił Macaskin. - Według mnie, bardzo dziwny. Gdy lekarz sądowy na miejscu zbrodni stwierdził zgon, kazali nam zapakować zwłoki, przetransportować je na sekcję i opieczetować pokoje.

- Dziwny podział kompetencji - zauważyła sierżant Havers.

- Rzeczywiście dość osobliwa decyzja przyznał Lynley. - Strathclyde zajmuje się materialnymi dowodami zbrodni, a Londyn podejrzanymi o morderstwo. A jeśli któremuś z nich dopisze szczęście, bo nie zdołamy się porozumieć jak należy, wszystko zostanie starannie zatuszowane.

- Ale przez kogo?

- Właśnie. Oto jest pytanie. - Lynley wbił wzrok w stół konferencyjny, przyglądając się niezliczonym plamom po filiżankach z gorącą kawą, tworzących zawity wzór na powierzchni blatu. - Co się dokładnie stało? - zwrócił się do Macaskina.

- Pokojówka, Mary Agnes Campbell, znalazła ciało o szóstej trzydziści rano. O

siódmej dziesiątce zostaliśmy o tym zawiadomieni telefonicznie. Dotarliśmy na miejsce o dziewiątej.

- Dlaczego dopiero po upływie dwóch godzin?

- Z powodu nieprzejezdnych dróg po nocnej burzy śnieżnej - odparł Lonan. -

Westerbrae jest oddalone o osiem kilometrów od najbliższego miasteczka i dojazd do posiadłości nie był możliwy.

- Dlaczego, na miłość boską, grupa z Londynu wybrała się do aż tak odległego miejsca?

- Francesca Gerrard, wdowa po właścicielu Westerbrae, jest siostrą lorda Stinhursta

- wyjaśnił Macaskin. - Najwyraźniej miała wielkie plany założenia w posiadłości eleganckiego wiejskiego hotelu. Westerbrae leży nad brzegiem jeziora Achimore i, jak sędzę, kobieta wyobrażała sobie, że jej dom stanie się miejscem romantycznego wypoczynku i celem podróży poślubnych nowożeńców, pragnących spędzić tu miodowy miesiąc. - Macaskin się skrzywił, gdyż uznał, że jego relacja bardziej przypomina wywody agenta reklamowego niż policjanta, i dokończył pośpiesznie:

- Wyremontowała budynek. Z tego, co wywnioskowałem dzisiaj rano, Stinhurst przywiózł tutaj gości, żeby dać jej szansę podreperowania się finansowo przed oficjalnym otwarciem hotelu.

- A czego dowiedział się pan o zamordowanej Joy Sinclair?

Macaskin skrzyżował ramiona i rzucił gniewne spojrzenie. Żałował, że nie zdołał

wycisnąć więcej informacji z grupy przyjezdnych w Westerbrae, zanim nie został

stamtąd odwołany.

- Niewiele. Była autorką sztuki, nad którą grupa zamierzała pracować w czasie weekendu. A także posiadaczką pewnych listów, o ile zdołałem wywnioskować z rozmowy z Vinneyem.

- Z Vinneyem?

- To dziennikarz. Jeremy Vinney, krytyk teatralny pisujący do „Timesa”. Wygląda na to, że był w bardzo bliskich stosunkach z Sinclair. Odniosłem wrażenie, że jest najbardziej ze wszystkich załamany z powodu jej śmierci. Trochę dziwne, kiedy się nad tym zastanowić.

- Dlaczego?

- Ponieważ jej siostra również jest tam obecna. Ale podczas gdy Vinney domagał się natychmiastowego ujęcia sprawcy zabójstwa, Irenę Sinclair wykazała całkowitą obojętność. Nie spytała nawet, w jaki sposób siostra została zamordowana. Moim zdaniem, zupełnie jej to nie obchodziło.

- Rzeczywiście dosyć dziwne - przyznał Lynley. St. James poruszył się niespokojnie.

- Mówił pan, że opieczętowano więcej niż jeden pokój? Macaskin skinął głową.

Podszedł do drugiego stołu, stojącego pod

ścianą, i wziął do ręki kilka skoroszytów oraz arkusz papieru. Rozłożył go na blacie, pokazując zebrany bardzo skrupulatnie sporządzony rozkład domu. Plan był

niezwykle szczegółowy, zważywszy na poważne ograniczenia czasowe, jakie narzucono inspektorowi w Westerbrae dzisiaj rano. Macaskin uśmiechnął się, z prawdziwym zadowoleniem patrząc na swoje dzieło. Obciążył arkusz po obu koń-

cach skoroszytami i wskazał na prawą stronę szkicu.

- Pokój ofiary znajduje się we wschodniej części domu. - Otworzył jedną z tekturowych teczek i zajrzał do notatek, zanim przystąpił do dalszych wyjaśnień. - Z jednej strony sąsiaduje z sypialnią, która należała do Joanny Ellacourt i jej męża... Davida Sydehama, a z drugiej z pokojem zajmowanym przez młodą kobietę... oto jej nazwisko: lady Helen Clyde. Właśnie jej pokój również został

opieczętowany. - Gdy podniósł wzrok, dostrzegł zdumienie malujące się na twarzach wszystkich gości z Londynu. - Znacie te osoby? - zapytał.

- Tylko lady Helen Clyde. Pracuje razem ze mną - odparł St. James. Spojrzał na Lynleya.

- Wiedziałaś, że Helen się wybiera do Szkocji, Tommy? Sądziłem, że zamierzała wyjechać razem z tobą do Konwalii.

- Odwołała podróż w zeszły poniedziałek wieczorem, dlatego pojechałem tam sam. -

Lynley spojrział na plan domu i, zamyślony, dotknął go odruchowo. - Dlaczego pokój Helen został opieczętowany?

- Jest połączony z pokojem ofiary - odparł Macaskin.

- Trzeba mieć szczęście, tak jak nasza Helen, żeby się ulokować tuż obok miejsca zbrodni - orzekł z uśmiechem St. James. - Chcielibyśmy natychmiast z nią porozmawiać.

Macaskin zmarszczył brwi i pochylił się do przodu, oddzielając obu mężczyzn od siebie, jak gdyby

poprzez to fizyczne wtargnięcie pomiędzy nich chciał zwrócić na siebie ich uwagę.

- Muszę panów powiadomić o pewnym fakcie w związku z lady Helen Clyde. - Ton jego głosu sprawił, że Lynley i St. James przerwali rozmowę. Obaj spojrzeli po sobie, gdy Macaskin dodał ponuro - Chodzi o jej pokój. Wszystko wskazuje na to, że morderca skorzystał z przejścia przez sypialnię lady Helen Clyde, żeby dotrzeć do ofiary.

Lynley wciąż usiłował zrozumieć, co Helen robiła w towarzystwie aktorów w Szkocji, gdy inspektor Macaskin wystąpił z tą nową rewelacją.

- Co pana skłania do takiego przypuszczenia? - spytał w końcu, choć jego umysł był całkowicie zaprzątnięty rozpamiętywaniem ostatniej rozmowy z Helen, niespełna tydzień temu w jego bibliotece w Londynie. Kobieta miała wówczas na sobie piękną wełnianą suknię w kolorze jadeitu, skosztowała nowej hiszpańskiej sherry, którą ją poczęstował, i roześmiana, w dobrym humorze, gawędziła z nim jak zwykle niefrasobliwie. A potem pośpiesznie wyszła, gdyż była umówiona na kolację. Z

kim? - zastanawiał się teraz. Nie powiedziała mu wtedy. A on nie pytał.

Zauważył, że Macaskin uważnie mu się przygląda, jak gdyby cisnęły mu się do głowy różne myśli, on zaś tylko czekał na stosowną okazję, by się nimi podzielić.

- To, że drzwi do pokoju zamordowanej od strony korytarza były zamknięte -

wyjaśnił Macaskin. - Kiedy Mary Agnes chciała ją dzisiaj rano obudzić, musiała skorzystać z uniwersalnego klucza...

- Gdzie ten klucz jest przechowywany?

- W biurze. - Macaskin wskazał na plan. - Na parterze, w północno-zachodnim skrzydle. Dziewczyna otworzyła drzwi kluczem - mówił dalej - i znalazła ciało.

- Kto ma dostęp do tego klucza? Czy jest drugi egzemplarz?

- Nie, klucz jest jeden. Korzysta z niego Francesca Gerrard i pokojówka, Mary Agnes. Trzymają go w zamkniętej szufladzie w biurku właścicielki posiadłości.

Tylko one dwie mają klucze do szuflady.

- Nikt inny? - dociekał Lynley.

Macaskin spojrział w zamyśleniu na szkic, przesuwając wzrokiem wzdłuż korytarza w północno-zachodnim skrzydle na parterze. Stanowi! on część czworokąta, na którego planie prawdopodobnie dobudowano jakąś część do pierwotnego budynku, i w pobliżu schodów przechodził w ogromny hol. Macaskin wskazał na pierwszy z brzegu pokój.

- Tu mieszka Gowan Kilbride - rzekł po zastanowieniu. - Chłopak od wszystkiego.

Mógł mieć dostęp do kluczy, gdyby wiedział, że tam są.

- A wiedział?

- Bardzo możliwe. Wywnioskowałem, że obowiązki Gowana w zasadzie nie wymagają jego obecności na wyższych piętrach domu, dlatego klucz uniwersalny nie był mu potrzebny. Mógł jednak zostać poinformowany przez Mary Agnes, gdzie go należy szukać.

- A jak pan sądzi, czy dziewczyna to zrobiła? Macaskin wzruszył ramionami.

- Niewykluczone. Oboje są nastolatkami. A młodzi ludzie starają się zaimponować sobie nawzajem w najbardziej nieoczekiwany sposób. Szczególnie gdy są sobą zainteresowani.

- Czy, zdaniem Mary Agnes, klucz uniwersalny znajdował się rano na swoim zwykłym miejscu? Nie uderzyła jej żadna zmiana?

- Najwyraźniej nie. Biurko było jak zwykle zamknięte. Jest jednak mało prawdopodobne, żeby dziewczyna cokolwiek spostrzegła. Otworzyła szufladę i sięgnęła po pęk kluczy. Nie wie, czy znajdował się do-kładnie w tym miejscu, w którym zostawiła, gdyż ostatnim razem wrzuciła go tam po prostu bez zastanowienia. Był w nim również klucz otwierający pokoje.

Lynley nie mógł się nadziwić, jak wielki zasób informacji zdołał zgromadzić Macaskin podczas swojej krótkiej wizyty w posiadłości. Spojrzał na mężczyznę z rosnącym szacunkiem.

- Wszyscy ci ludzie się znali, prawda? To dlaczego drzwi do pokoju Joy Sinclair były zamknięte?

- Z powodu przepychanki, do jakiej doszło ubiegłego wieczoru -rzucił Lonan ze swojego krzesła w kącik.

- Miała miejsce kłótnia? Co ją wywołało?

Macaskin zmierzył konstabla surowym spojrzeniem, najwidoczniej z powodu kolokwializmu, jaki mu się wymknął.

- Tylko tyle zdołaliśmy się dowiedzieć od Gowana Kilbride'a. zanim władca pani Gerrard nie odesłała go, polecając poczekać na przybycie Scotland Yardu. Doszło do awantury, w której uczestniczyło wiele osób. W ferworze sprzeczki zostało stłuczone porcelanowe naczynie, a w dużym holu zdarzył się wypadek z alkoholem.

Jeden z moich ludzi znalazł w śmieciach kawałki potłuczonej porcelany, szkła i kryształów firmy Waterford. Najwyraźniej kłótnia miała burzliwy przebieg.

- Czy Helen również w niej uczestniczyła? - St. James nie czekał na odpowiedź. -

Skąd ona tak dobrze zna tych ludzi, Tommy?

Lynley powoli pokręcił głową.

- Nie mam zielonego pojęcia.

- Nie opowiedziała ci o nich?...

- Odwołała wyjazd do Kornwalii z powodu innych planów, St. James. Nie wdawała się w szczegóły. A ja o nic nie pytałem. - Lynley podniósł wzrok i dostrzegł zmianę w wyrazie twarzy Macaskina - niemal niedostrzegalne poruszenie jego oczu i ust. -

O co chodzi?

Macaskin przez chwilę się namyślał, nim sięgnął do skoroszytu, otworzył go i wyjął

kartkę. Nie był to raport, lecz raczej wiadomość -rodzaj poufnej informacji, jaką przekazują sobie tylko profesjonaliści.

- O odciski palców na kluczu od drzwi łączących pokój lady Helen Clyde z pokojem ofiary - wyjaśnił. I jak gdyby zdając sobie sprawę z tego, że tańczy na bardzo cienkiej linii, balansując pomiędzy nieprzestrzeganiem poleceń własnego szefa, który kazał mu się wyłączyć z dochodzenia i zostawić problem przedstawicielom Scotland Yardu, a udzieleniem pomocy oficerowi z bratniej jednostki, dodał: - Będę bardzo zobowiązany, jeśli nie wspomni pan w swoim raporcie o pochodzeniu tej wskazówki. Gdy tylko stwierdziliśmy, że z przejścia pomiędzy pokojami mógł skorzystać morderca, przywieźliśmy tutaj w tajemnicy klucz do zbadania i porównaliśmy odciski, które na nim były, z pozostawionymi na szklankach w innych pokojach.

- W innych pokojach? - zdziwił się Lynley. - A więc to nie odciski Helen były na kluczu?

Macaskin zaprzeczył ruchem głowy. Gdy się odezwał, ton jego wypowiedzi był wyraźnie wymijający:

- Nie. Należały do reżysera sztuki. Do Walijszyka - niejakiego Rhysa Davies-Jonesa.

Lynley nie od razu się odezwał. Dopiero po chwili rzeki:

- A zatem Helen i Davies-Jones musieli zamienić się pokojami ubiegłej nocy.

Dostrzegł grymas na twarzy siedzącej naprzeciwko sierżant Havers. Kobieta unikała jego wzroku. Przesunęła grubymi palcami wzdłuż krawędzi stołu i utkwiała oczy w St. Jamesie.

- Inspektorze... - zaczęła ostrożnie, lecz Macaskin jej przerwał:

- Według Mary Agnes Campbell, nikt nie nocował w pokoju Davies-Jonesa.

- Gdzie zatem, na Boga, Helen spędziła... - Lynley przerwał, czując w gardle narastanie nieprzyjemnego ucisku. - Przepraszam - powiedział po chwili. - Sam nie wiem, o czym właściwie myślałem. - Wbil wzrok w plan domu.

Usłyszał, jak sierżant Havers zaklęła pod nosem. Sięgnęła do kieszeni i wyjęła z niej sześć

papierosów, które zabrała mu w furgonetce. Jeden był złamany, więc wyrzuciła go do kosza i wzięła następnego.

- Niech pan zapali, sir - westchnęła.

Lynley uznał, że jeden papieros to za mało dla poprawy samopoczucia. Nie masz żadnych praw do Helen, powiedział sobie brutalnie. Łączy was tylko przyjaźń oraz lata dzielonego wspólnie śmiechu. I nic więcej. Miał w niej zawsze zabawną towarzyszkę, powiernicę i przyjaciółkę. Lecz nigdy kochankę. Oboje byli na to zbyt rozważni i przezorni. Zanadto się kontrolowali, żeby do tego dopuścić.

- Czy zaczęliście już sekcję? - zwrócił się do Macaskina. Najwyraźniej Szkot czekał na to pytanie od chwili ich przybycia.

Zamaszyście, w sposób typowy dla magików na scenie, wyjął z jednej z teczek kilka kopii doskonale opracowanego raportu i podał je zebranym, wskazując na najbardziej istotne dla sprawy informacje: ofiara została ugodzona w szyję czterdziestopięciocentymetrowym szkockim sztyletem.

Cios uszkodził tętnicę szyjną. Kobieta wykrwawiła się na śmierć.

- Nie przeprowadziliśmy jednak pełnej sekcji - dodał z żalem.

- Czy zaatakowana była w stanie krzyczeć, wywołać haias? - zwrócił się Lynley do St. Jamesa.

- Nie przy takim rodzaju zranienia. Przypuszczam, że mogła co najwyżej mamrotać.

Ale na pewno nie zdołała wydobyć z siebie dźwięków, które zostałyby usłyszane w sąsiednim pokoju. - St. James skierował wzrok na kartkę. - Czy wykluczycie obecność narkotyków w organizmie? - spytał Macaskina.

Inspektor był dobrze przygotowany.

- Strona trzecia. Wynik negatywny. Była czysta. Żadnych barbituranów, toksyn ani amfetaminy.

- Uznaliście, że śmierć nastąpiła między drugą w nocy a szóstą rano?

- To wstępne ustalenia. Nie badaliśmy jeszcze treści jelit. Nasi ludzie stwierdzili jednak obecność w ranie włókien pochodzących ze skóry oraz króliczego futra.

- Zabójca miał rękawiczki?

- Tak sądzimy. Ale nie zostały znalezione. Zanim zdążyliśmy się rozejrzeć po domu, zostaliśmy odwołani. Możemy jedynie powiedzieć, że zarówno skóry, jak i sierści nie znaleziono na broni. Na ostrzu nie było niczego, z wyjątkiem krwi ofiary.

Rękojeść została dokładnie oczyszczona.

Sierżant Havers przejrzała kopię raportu i rzuciła go na stół.

- Czterdziestopięciocentymetrowy sztylet - rzekła powoli. - Gdzie morderca mógł znaleźć taki przedmiot?

- W Szkocji? - Macaskin był najwyraźniej zdumiony jej niewiedzą. - Pełno ich w każdym domu. Niegdyś żaden Szkot nigdzie się nie ruszył bez noża u boku. Tutaj na przykład - wskazał na planie jadalnię - wisi na ścianie cała ich kolekcja. Ręcznie rzeźbione rękojeści, ostrza jak w rapierach. Prawdziwe eksponaty muzealne. Broń mordercy pochodziła najwyraźniej stamtąd.

- Proszę pokazać na planie, gdzie spała Mary Agnes.

- Zajmowała pokój w północno-zachodnim skrzydle, pomiędzy sypialnią Gowana a biurem pani Gerrard.

St. James podczas wyjaśnień inspektora robił notatki na marginesie swojej kopii raportu.

- A co pan powie na temat zachowania ofiary? - spytał. - Ten rodzaj zranienia nie kończy się natychmiastową śmiercią. Czy są jakieś dowody na to, że zaatakowana szukała pomocy? Macaskin wyjął wargi i pokręcił głową.

- To nie wchodzi w rachubę.

- Dlaczego?

Szkot otworzył papierową teczkę i wyjął z niej plik fotografii.

- Nóż przybił ją do materaca - wyjaśni! bez ogródek. - Sądzę, że nie mogła się ruszyć z miejsca. - Położył zdjęcia na stole. Duże, dwadzieścia centymetrów na dwadzieścia pięć, kolorowe i błyszczące. Lynley sięgnął po nie.

Był oswojony z widokiem śmierci. W ciągu lat przepracowanych w Scotland Yardzie spotkał się z wieloma jej niewyobrażalnymi postaciami. Nigdy jednak dotychczas nie widział, żeby została zadana z tak wyrafinowaną brutalnością.

Zabójca wbił sztylet po samą rękojeść, jak gdyby - powodowany atawistyczną wściekłością - pragnął czegoś więcej niż tylko unicestwienia Joy Sinclair. Leżała z otwartymi oczami, lecz ich kolor był zmieniony i pociemniały, gdy zastygły w śmiertelnym bezruchu. Patrząc na martwą kobietę, Lynley zastanawiał się, jak długo jeszcze żyła od chwili, kiedy ostrze przeszło jej gardło. Był ciekaw, czy wiedziała, co się dzieje, gdy morderca wbijał w nią sztylet, czy też pod wpływem szoku w jednej chwili ogarnął ją mrok niepamięci. A może leżała, bezradnie czekając na śmierć i błogosławioną nieświadomością?

To była potworna zbrodnia, której ogrom unaoczniła! nasączony krwią materac, ręka kobiety wyciągnięta po pomoc, która nigdy nie nadeszła, i rozchylone w niemym krzyku usta. Nie ma zbrodni bardziej odrażającej niż morderstwo, pomyśl! Lynley.

Bezceści i plugawi, a każde życie, o jakie się ociera, nigdy już nie jest takie samo.

Poda! fotografie St. Jamesowi i spojrzął na Macaskina.

- Czy możemy się teraz zastanowić nad intrygującym pytaniem, co się wydarzyło w Westerbrae pomiędzy szóstą pięćdziesiąt, kiedy to Mary Agnes znalazła ciało, a siódmą dziesięć, kiedy wreszcie ktoś zdołał dotrzeć do telefonu i powiadomić policję?

3

Droga do Westerbrae była źle utrzymana, Zakręty, wyboje, strome wzniesienia pośród wrzosowisk i ostre zjazdy do górskich dolin sprawiały, że przebycie jej nawet latem nie należało do łatwych zadań. Ale pokonanie tej trasy zimą było prawdziwym piekłem. Pomimo że za kierownicą land roveru należącego do posterunku w Strathclyde - samochodu dobrze przystosowanego do poruszania się w trudnych warunkach terenowych - siedział sam Lonan, prawie zmierzchało, gdy dotarli do Westerbrae. Obaj szkoccy policjanci zaklęli szpetnie, gdy na końcowym zakręcie za lasem pojazd wpadł w poślizg na tafli grubego lodu. W

rezultacie ostatnie czterdzieści metrów Lonan przejechał z żółwią prędkością i z nie ukrywaną ulgą wyłączył silnik.

Przed nimi na tle krajobrazu zarysowały się kontury budowli kojarzącej się z koszmarnym, gotyckim upiorem. Była pograżona w całkowitych ciemnościach i w ciszy. Zbudowana wyłącznie z szarego granitu, miała rozłożyste skrzydła, sterczące kominy i groźny wygląd -pomimo śniegu, którego hałda leżała na dachu, przywodząc na myśl świeżo ubitą śmietaną. Stada kruków licznie obsiadły osobliwe szczyty, uformowane z mniejszych, ułożonych w szachownicę granitowych bloków.

Za jednym z nich, w miejscu styku dwóch skrzydeł domu, wyrastała dodatkowa, dziwaczna wieża, kryta dachówką. Jej okna, osadzone w głębokich wykuszach, były nic zasłonięte i ciemne. Wejście do budynku osłaniał portyk z białymi doryckimi kolumnami, nad którym z heroicznym wysiłkiem pięły się bezlistne o tej porze roku pnącza winorośli. Budowla łączyła w sobie wpływy co najmniej trzech epok i stylów architektonicznych. Lynley, oceniając jej wygląd, uznał za mało prawdopodobne, aby stałą się kiedykolwiek romantycznym gniazdkiem dla nowożeńców.

Podjazd, na którym zaparkowali samochód, złobiły liczne koleiny, co świadczyło o dużym ruchu panującym tutaj w ciągu dnia. Teraz jednak Westerbrae było całkowicie opustoszałe. Nawet śnieg na otaczających budynek trawnikach i schodzących do jeziora zboczach wydawał się dziewiczy i nietknięty.

Przez chwilę nikt się nie ruszał. W końcu Macaskin obejrzał się przez ramię na przybyłą z Londynu ekipę i otworzył drzwi samochodu od swojej strony. Uderzył

ich rzeźki powiew lodowatego wichru. Niechętnie wysiedli z wozu. Porywiste i mroźne podmuchy znad pobliskiego jeziora przypominały o tym, jak daleko na północy leży jezioro Achiemore i Westerbrae. Arktyczne wręcz powietrze powodowało odrętwienie ciała, szczypało w policzki i wdierało się do płuc. Niosło ze sobą zapach sosen oraz słabą woń palonego w ogniskach torfu.

Zbili się w gromadkę dla ochrony przed zimmem i prędko przeszli podjazd. Macaskin zastukał do drzwi.

Dzisiaj rano zostawił tutaj dwóch swoich ludzi i jeden z nich wpuścił ich do środka.

Był nim piegowaty konstabl o nieproporcjonalnie dużych dłoniach i krępym, umięśnionym ciele, na którym nadmiernie opinał się mundur. Mężczyzna trzymał w ręku tacę z mało pożywnymi kanapkami, jakie zazwyczaj stanowią dodatek do popołudniowej herbaty. Żarłocznie pochłaniał jedną z nich, zachowując się niczym przerośnięty podrzutek, który od dawna nic nie miał w ustach i obawia się, że przez wiele następnych dni znowu nie zobaczy pożywienia. Skinął na nich, żeby weszli do głównego holu, i przełykając łąpczywie, z hukiem zatrzasnął za nimi drzwi.

- Kucharka przysłała dopiero przed półgodziną - pośpiesznie wyjaśnił Macaskinowi, który zmierzył go wzrokiem od stóp do głów i z dezaprobatą zacisnął usta. - Właśnie niosę gościom jedzenie. Uznałem, że nie powinno się ich dłużej trzymać o głodzie.

Zamilkł pod miażdżącym spojrzeniem szefa. Zaczerwienił się i wystraszony przestępował z nogi na nogę, niepewny, czy powinien kontynuować wyjaśnienia.

- Gdzie są wszyscy? - spytał Lynley, obrzucając wzrokiem hol. Jego uwagę przykuła ręcznie wykonana boazeria oraz olbrzymi, nie zapalony żyrandol. Świeżo odnowiona podłoga nie była niczym przykryta. Szpeciła ją rozległa plama na samym środku, która przechodziła w wąską smugę ciągnącą się wzdłuż jednej ze ścian. Wszystkie wychodzące na korytarz drzwi były pozamykane, a jedyne oświetlenie zapewniała lampka przy wciśniętym pod schody stanowisku recepcji.

Najwyraźniej konstabl wybrał je sobie na miejsce dzisiejszego dyżuru, gdyż byto zastawione kubkami po herbacie i zarzucone gazetami.

- W bibliotece - odparł Macaskin. Spojrzał podejrzliwie na swojego podwładnego, jak gdyby grzeczność polegająca na dostarczeniu pożywienia podejrzanym prowadziła do kolejnych uprzejmości, których policjant miał potem gorzko żałować. - Czy przebywają tam od czasu naszego wyjazdu? - zwrócił się do konstabla.

Młody czowiek uśmiechnął się szeroko.

- Oczywiście, nie licząc krótkich wizyt w toalecie w północnym skrzydle budynku: dwie minuty, nie zamknięte drzwi i zawsze ja lub William pod nimi - sprawozdawał szczegółowo, podczas gdy Macaskin prowadził przez hol londyńską ekipę. Jedna z kobiet wciąż się piekli. Przypuszczam, że nie przywykła do spędzania dnia w koszuli nocnej.

Lynley natychmiast się zorientował, że refleksja konstabla idealnie oddaje stan psychiki lady Helen Clyde. Gdy inspektor Macaskin otworzył drzwi do biblioteki, ona pierwsza zerwała się na nogi. Nie ulegało wątpliwości, że z trudem nad sobą panuje, a kipiąca w niej złość w każdej chwili grozi wybuchem. Zrobiła trzy kroki, bezszelestnie poruszając się w rannych pantoflach po dywanie - udanej imitacji rękodziela z Aubusson.

- Proszę mnie posłuchać. Absolutnie nalegam... - Jej rozgorączkowanie ostudził

widok nowo przybyłych. Wytrzeszczyła oczy, wpatrując się w nich w niemym osłupieniu.

Lynley nie wiedział, jak zareaguje na widok lady Helen, ale z pewnością nie był

przygotowany na to, że poczuje przyływ tkliwości. Kobieta wyglądała niezwykle dramatycznie. Była w domowych pantoflach i obszernym męskim płaszczu narzuconym na nocną koszulę. Wierzchnie okrycie miało wprawdzie podwinięte rękawy, ale nie można było zaradzić jego długości oraz szerokiemu, raglanowemu krojowi ramion. Wisiało na niej luźno i sięgało do kostek. Jej długie, zwykle gładko uczesane, kasztanowe włosy były potargane, nie miała makijażu i w mrocznym świetle przywodziła na myśl dwunastoletniego wyrostka w opałach.

Lynleyowi nasunęła się refleksja, że prawdopodobnie po raz pierwszy jest świadkiem chwili, kiedy Helen odjęło mowę.

- Potrafisz się stosownie ubrać na każdą okazję - zauważył cierpko.

- Tommy - przemówiła w końcu. Jej dłoń powędrowała do włosów. Jednak gest ten bardziej podyktowany był roztargnieniem niż konsternacją. - Nie jesteś w Kornwalii

- dodała niezbyt odkrywczo.

- Rzeczywiście, skoro przyjechałem tutaj.

Ta krótka wymiana zdań pobudziła do gwałtownych działań resztę przebywających w bibliotece osób. Byli rozproszeni po całym pokoju, Jedni siedzieli nieopodal kominka, inni stali przy barze, a jeszcze inni okupowali krzesła przy oszklonych półkach na książki. Teraz niemal wszyscy poderwali się z miejsc i jednocześnie zaczęli wydawać okrzyki. Zewsząd dobiegały głosy. Nikt nie oczekiwał

odpowiedzi, każdy chciał jedynie dać wyraz swojemu oburzeniu. W jednej chwili w bibliotece rozpętało się piekło.

Powiadomię o tym swpjego adwokata...

- Przekłęci policjanci trzymali nas pod kluczem...

- ... najbardziej skandaliczne zachowanie, jakie kiedykolwiek widziałam!

wcale mnie nie dziwi, że nasz kraj stacza się w przepaść!

Lynley, nie poruszony tymi wybuchami złości, rozejrzał się po twarzach, a potem szybko omiół wzrokiem pokój. Ciężkie różowe zasłony były szczelnie zaciągnięte i

pały się tylko dwie lampy. Zapewniały jednak dostateczną ilość światła, aby mógł

się uważnie przyjrzeć towarzystwu nie ustającemu we wrzaskliwych żądaniach, na które on w

dalszym ciągu nie zwracał uwagi.

Rozpoznał najważniejsze postacie dramatu, głównie dzięki ich bliskiemu sąsiedztwu z niewątpliwie najbardziej atrakcyjną i dominującą osobą w bibliotece -

wybitną angielską aktorką, Joanną Ellacourt. Chłodna blond piękność stałą przy barze, miała na sobie biały sweter z anory i białe wełniane spodnie, a ubiorem tym potrafiła podkreślić pogardę, z jaką powitała przybycie policjantów. U boku gwiazdy stał, nie odstępując jej ani na chwilę, jak gdyby w stałej gotowości zaspokojenia zachcianek artystki, tęgi, niemłody już mężczyzna o obrzmiałych powiekach i prostych siwiejących włosach - z pewnością jej małżonek, David Sydeham. Miejsce po drugiej stronie, zaledwie dwa kroki dalej, zajmował partner teatralny Joanny, Robert Gabriel. Gwałtownie odwrócił się w stronę baru, skupiając uwagę na swoim drinku. Najwyraźniej nie był zainteresowany przybyszami i przed spotkaniem z nimi zamierzał się solidnie pokrzepić alkoholem. Siedzący na kanapie naprzeciwko gwiazdora Stuart Rintoul, lord Stinhurst, zerwał się na równe nogi i bacznie obserwował londyńskiego inspektora, jak gdyby rozważał możliwość obsadzenia go w kolejnej finansowanej przez siebie inscenizacji.

Tożsamości pozostałych osób w bibliotece Lynley mógł się jedynie domyślać. Jedną ze starszych pań, które zajmowały miejsca na kanapie przy kominku, była zapewne żona lorda Stinhursta, a drugą jego siostra, Francesca Gerrard. Rozeźlony, niski, tęgi mężczyzna około trzydziestki, ubrany w tweedy i palący fajkę, wyglądał na dziennikarza, Jeremy'ego Vtnneya. Na sofie obok niego siedziała nadzwyczaj źle ubrana, nieatrakcyjna kobieta - typowy okaz starej panny w średnim wieku. Nie tyle jej podobieństwo do lorda Stinhursta, co wyjątkowo ostre rysy twarzy wskazywały na to, że jest jego córką. Para za-trudnionych w hotelu nastolatków wbiła się w najodleglejszy kąt pokoju, a w niskim fotelu, niemal całkowicie pogrążonym w półmroku, usadowiła się ciemnowłosa kobieta. Uniosła teraz twarz, mierząc Lynleya udręczonym spojrzeniem. Miała zapadnięte policzki, ciemne oczy i z wysiłkiem trzymała na wodzy targający ją gniew. Lynley odgadł, że to siostra ofiary, Irene Sinclair.

Jednakże żadna z tych osób nie była obiektem jego zainteresowania. Jeszcze raz rozejrzał się po twarzach, aż wreszcie odnalazł tę, której szukał - reżysera sztuki.

Rozpoznał go po oliwkowej cerze, czarnych włosach i ciemnych, typowo walijskich oczach. Rhys Davies-Jones stał obok krzesła, które przed chwilą zwolniła lady Helen. Ruszył za nią, gdy wstała, jak gdyby chciał ją uchronić przed samotną konfrontacją z policją. Zaraz jednak przystanął, gdyż dla wszystkich stało się oczywiste, że przybyły inspektor jest dobrze znaną kobiecie osobą.

Poprzez szerokość pokoju oraz przepaść społeczną i kulturową dzielącą ich obu Lynley spojrział na reżysera i poczuł, jak wzbiera w nim niechęć do tego człowieka -

uczucie tak silne, że niemal przyprawiające o mdłości. Kochanek Helen, uświadomił

sobie. I po chwili, aby mocniej się utwierdzić w ponurej nieodwracalności tego faktu, powtórzył w myślach: oto mam przed sobą kochankę Helen.

Trudno było wyobrazić sobie kogoś mniej odpowiedniego do tej roli. Walińczyk wydawał się przynajmniej o dziesięć, a może nawet i więcej lat od niej starszy. Miał

kręcone, siwiejące na skroniach włosy, szczupłą, ogorzałą twarz o ostrych, nieprzyjemnych rysach, i tak jak jego celtycy przodkowie, twarde, utrzymane w dobrej kondycji, ciało. Podobnie jak oni nie był też ani wysoki, ani przystojny.

Lynley nie mógł jednak zaprzeczyć, że spojrzenie mężczyzny świadczyło zarówno o inteligencji, jak i o wewnętrznej sile - cechach, na których Helena się poznała i które ceniła najwyżej.

- Sierzancie Havers! - Głos Lynleya gwałtownie uciął nie kończące się protesty. -

Proszę zaprowadzić lady Helen do jej pokoju, żeby się mogła ubrać. Gdzie są klucze?

Z kąta wyłoniła się młoda dziewczyna o pobladłej twarzy i szeroko otwartych oczach. Mary Agnes Campbell, która znalazła zwłoki. Trzymała przed sobą srebrną tacę, na której ktoś złożył wszystkie klucze. Pobrząkiwały teraz w jej drżących rękach. Lynley przez chwilę im się przyglądał, a potem skierował wzrok na zgromadzone towarzystwo.

- Pozamykałem wszystkie drzwi i pozbierałem klucze, kiedy ona... zaraz, gdy tylko ciało zostało znalezione. - Lord Stinhurst ponownie zajął miejsce na kanapie przy kominku obok jednej ze starszych pań, która odszukała rękę męża; ich palce się splotły. - Nie jestem pewien, jak wygląda procedura w takich wypadkach - dodał

lord Stinhurst, kończąc swoje wyjaśnienia. - Postąpiłem w sposób, który uznałem za najbardziej właściwy.

Lynley nie palił się do udzielenia mu pochwały. Do rozmowy wtrącił się Macaskin:

- Gdy przyjechaliśmy tutaj dziś rano, wszyscy znajdowali się w salonie. Jego lordowska mość wyświadczył nam przysługę, zamykając ich w jednym pomieszczeniu.

- Co za niebywała przezorność - przyznała uprzejmym tonem sierżant Havers i przeszła lorda Stinhursta zimnym jak stal spojrzeniem.

- Odszukaj swój klucz, Helen - polecił Lynley. Od chwili gdy po raz pierwszy się do niej odezwał, ani na moment nie spuszczała oczu z jego twarzy. I teraz też czuł na sobie jej wzrok, palący jak dotyk.

- Niestety, pozostałe osoby będą nieco dłużej narażone na niewygodę.

Jego uwaga została powitana burzą nowych protestów. Lady Helen chciała coś powiedzieć, lecz na scenę wkroczyła Joanna Ellacourt. Aktorka przemierzyła pokój i zbliżyła się do Lynleya, skupiając na sobie uwagę wszystkich zebranych. Nie ulegało wątpliwości, że dobrze wie, jak wykorzystać swój moment. Jej długie, rozpuszczone włosy spływały na plecy, niczym połyskujący w słońcu jedwab.

- Inspektorze - powiedziała, kierując się z wdziękiem w stronę drzwi. - Chciałabym na chwilę zostać sama. Byłabym bardzo zobowiązana, gdyby wyraził pan na to zgodę. Chyba nie proszę o zbyt wiele. Mogę się udać dokądkolwiek, byleby mi tylko było wolno na chwilę się stąd wydostać. Wystarczy mi jedno krzesło, na którym będę mogła usiąść, pomyśleć i wziąć się w garść po tym strasliwym dniu.

Zadowolę się nawet pięcioma minutami, Będę wdzięczna, jeśli mi to pan umożliwi.

Uroczu odegrała tę scenę. Przywodziła na myśl Blanche Dubois w Szkocji. Tyle tylko że Lynley nie zamierzał się wcielić w postać dżentelmena z Dallas.

- Przykro mi, ale proszę nie liczyć na uprzejmość z mojej strony -rzekł i ponownie zwrócił się do Helen:

- Odszukaj swój klucz.

Lady Helen wykonała dobrze znany Lynleyowi gest, jakim miała zwyczaj poprzedzać swoje wypowiedzi. Inspektor odwrócił się do niej tyłem.

- Idziemy do pokoju Sinclair - powiadomił sierżant Havers. - Proszę dać mi znać, kiedy lady Helen już będzie ubrana. Lonan, niech pan dopilnuje, żeby nikt z pozostałych nie opuszczał biblioteki.

Znowu podniosła się wrzawa wzburzonych głosów. Lynley jednak zignorował je i wyszedł. St. James i Macaskin podążyli za nim.

Barbara Havers pozostawiona z grupą podejrzanych, tak nietypową w przypadku sprawy o morderstwo, z przyjemnością oddała się spekulacjom dotyczącym ich potencjalnej winy. Miała na to czas, gdy wśród pretensji i przekleństw, jakie rozległy się po wyjściu Lynleya, lady Helen prowadziła cichą rozmowę z Rhysem Davies-Jonesem.

Barbara uznała, że zgromadzone osoby stanowią dobrane towarzystwo. Wszyscy mieli na sobie szykowne, doskonale skrojone ubrania i prezentowali się bardzo godnie. Z wyjątkiem lady Helen mogli uchodzić za żywą reklamę ubiorów odpowiednich na okoliczność morderstwa. Zachowywali się również dokładnie tak, jak należy się zachować po przybyciu policji - okazywali słuszne oburzenie, domagali się obecności adwokatów i wygłaszali nieprzyjemne uwagi. Jak dotychczas, całkowicie spełniali oczekiwania Barbary, Liczyła się z tym, że w każdej chwili któreś z nich wspomni o swoich bliskich powiązaniach z jakimś członkiem parlamentu, o zażyłych stosunkach z Margaret Thatcher lub o cieszącym się powszechnym szacunkiem krewnym. Wszyscy ci wysoko postawieni gogusie byli tacy sami.

Do towarzystwa nie pasowała jedynie kobieta o zbolącej twarzy, która wcisnęła swoje korpulentne ciało w siedzenie niewygodnej i źle wyprofilowanej otomany, starając się przy tym zachować jak największy dystans od sąsiadującego z nią mężczyzny. To Elizabeth Rintoul, pomyślała Barbara. Lady Elizabeth Rintoul, jedyna córka lorda Stinhursta.

Kobieta zachowywała się tak, jak gdyby mężczyzna zajmujący miejsce obok rozsiewał zarazki niebezpiecznej choroby. Wbiła się w kąt kanapy, przytrzymując u szyi granatową kamizelkę i w napięciu przyciskając obie ręce do tułowia. Jej stopy były obute w proste czarne pantofle bez obcasów; zwykle określa się je mianem „praktycznych”. Wysuwały się one spod zmechaconej czarnej spódnicy z wełnianej flaneli, tworząc dwie bezkształtne plamy. Elizabeth Rintoul nie zabierała głosu nawet wtedy, kiedy rozmowa dotyczyła jej osoby. Coś w postawie kobiety sugerowało jednak, że jest bliska załamania.

- Elizabeth, kochanie - mruknęła siedząca naprzeciwko niej kobieta. Uśmiechała się przy tym przymilnie i znacząco, jak gdyby przemawiała do zbuntowanego i źle zachowującego się w towarzystwie dziecka. Barbara była pewna, że to matka panny Rintoul. Lady Stin-hurst miała na sobie beżowy kostium, a na szyi sznurek bursztynów. Siedziała z nogami skrzyżowanymi w kostkach i złożonymi na kolanach dłońmi. - Trzeba dolać panu Vinneyowi alkoholu.

Elizabeth spojrzała na matkę tępym wzrokiem.

- Być może - odparła, celowo nadając swoim słowom opryskliwe brzmienie.

Lady Stinhurst rzuciła mężowi błagalne spojrzenie, jak gdyby oczekiwała od niego wsparcia. Nie dawała za wygraną. Mówiła łagodnym i niepewnym głosem, jakim niezamężne i nie przyzwyczajone do dzieci kobiety zwracają się zwykle do cudzych pociech. Nerwowo sięgnęła dłonią do włosów, które dzięki fachowym zabiegom fryzjerskim skutecznie opierały się oznakom nadciągającej starości.

- Tak długo już tutaj siedzimy, a pan Vinney od wpół do trzeciej trzyma w ręku pustą szklanę.

To nie było już tylko upomnienie, lecz jawna sugestia. Bar znajdował się tuż obok, po drugiej stronie salonu, a Elizabeth miała nadszkakiwać panu Vinneyowi i zachowywać się jak debiutantka wobec swojego pierwszego kawalera. Wskazówki matki stawały się z każdą chwilą aż nadto oczywiste. Elizabeth jednak nie zamierzała się do nich stosować. Przeciwnie, Przez jej twarz przemknął wyraz pogardy, opuściła wzrok na czasopismo leżące na jej kolanach i sformuowała składającą się z jednego tylko słowa odpowiedź, która w ustach damy zabrzmiała bardzo niestosownie. Matka nie mogła jej nie dosłyszeć ani opacznie zrozumieć.

Barbara zafascynowana przysłuchiwała się tej wymianie zdań. Lady Elizabeth była dobrze po trzydziestce, kto wie, może nawet bliżej czterdziestki. Kobieta w tym wieku nie potrzebuje już wsparcia ze strony matki w sferze kontaktów z mężczyznami. Tymczasem nie ulegało wątpliwości, że lady Stinhurst wzięła na siebie rolę swatki. I po

mimo jawnej niechęci Elizabeth podejmowała działania, które pozwalały przypuszczać, że pragnie rzucić córkę w ramiona pana Vin-neya.

Trzeba przyznać, że dziennikarz nie okazywał z tego powodu najmniejszego entuzjazmu. Podobnie jak Elizabeth, starał się puszczać uwagi lady Stinhurst mimo uszu. Dłubał nierdzewnym, stalowym przyrządem w cybuchu fajki i bez skrępowania podsłuchiwał, co mówi Joanna Ellacourt w drugim końcu pokoju.

Aktorka była wściekła i najwyraźniej tego nie kryła.

- Wystrychnęła nas wszystkich na dudka, nie sądzisz? Świetny kawał nam zrobiła, nie ma co! Znakomity dowcip! - Posłała jadowite spojrzenie Irenę Sinclair, która trzymała się z dala od reszty towarzystwa, jak gdyby z powodu śmierci siostry jej obecność tutaj stałą się niepożądana.

- Kto najbardziej zyskał na wprowadzonych wczoraj zmianach tekstu? Sądzisz, że ja? Nigdy w życiu! Nie zniosę tego dłużej!

- Nic jeszcze nie zostało postanowione. Jo - powiedział David Sydeham pojednawczym tonem. - I daleko do tego. Teraz, kiedy autorka zmieniła tekst sztuki, twój kontrakt może zostać unieważniony.

- To tylko twoje pobożne życzenie. Nie masz przy sobie umowy, prawda? I nie możemy do niej zajrzeć, żeby to sprawdzić. Jak po tym, co się stało, mam uwierzyć, że do zerwania kontraktu wystarczy jedynie zmiana charakteryzacji? Chyba nie przypuszczasz, że zadowolę się twoim słowem. Wybacz mi mój sceptycyzm, ale uważam, że jesteś śmieszny. Należ mi jeszcze dzinu.

Sydeham bez słowa skinął głową na Roberta Gabriela, który pchnął butelkę w jego stronę. Była w znacznej części opróżniona. Sydeham napełnił szklanekę żony i zwrócił trunkiem aktorowi, który złapał flaszkę i mruknął z powstrzymywanym śmiechem:

- „Jesteś poza moim zasięgiem, a jednak wciąż cię widzę. Podejdź bliżej, abym mógł

cię pochwycić”. - Łypnął okiem na Joannę i nalał sobie kolejnego drinka. - Słodkie bary prowincjonalnych teatrów, Jo. „Czy ten nie był naszym pierwszym? Nie, chyba nie”. - Brzmienie, jakie nadał tym słowom, bardziej sugerowało wstęp do gry miłosnej niż tekst Makbeta.

Przed piętnastoma laty całe rzesze koleżanek szkolnych Barbary mdlały na widok Gabriela - aktora o urodzie Piotrusia Pana. Na niej jednak urok gwiazdora nigdy nie robił wrażenia. I najwyraźniej Joanna Ellacourt również nie poddawała się jego czarowi. Posiała mu morderczy uśmiech.

- Jak mogłabym kiedykolwiek o tym zapomnieć, kochanie? W połowie drugiego aktu opuściłeś dziesięć linijek tekstu i musiałam cię już do samego końca prowadzić.

Szczerze mówiąc, co najmniej od siedemnastu lat nie mogę się doczekać, kiedy

„wszystkie morza zabarwią się krwią”.

Gabriel prychnął śmiechem.

- Dziwka z Est Endu - oświadczył. - Zawsze wiarygodna w tej kreacji.

- Jesteś pijany.

Stwierdzenie aktorki było w dużej mierze prawdziwe. Francesca Gerrard.

wczuwając się w rolę właścicielki hotelu, postanowiła interweniować. Podniosła się z kanapy, na której siedziała obok swojego brata, lorda Stinhursta, i stanęła z niepewną miną. Starła się zapanować nad sytuacją i użyła błażej wymówki, zwracając się do Barbary:

- Sądzę, że przydałaby się nam odrobina kawy... - Jej dłoń dotknęła nerwowo kolekcji kolorowych paciorków, które niczym kolczatka zdobiły jej szyję. Kontakt z nimi najwyraźniej natchnął ją odwagą. Powtórzyła, tym razem bardziej stanowczym tonem: - Chcielibyśmy się napić kawy. Czy mogłaby nam pani to umożliwić? - A kiedy Barbara nie odpowiedziała, zwróciła się do lorda Stinhursta:

- Stuarcie...

- Będę wielce zobowiązany, jeśli postara się pani dla nas o kilka filiżanek kawy.

Niektórzy spośród nas chcą wytrzeźwieć.

Barbara przez chwilę rozkoszowała się sytuacją. Zastanawiała się, czy jeszcze kiedyś trafi jej się podobna okazja do usadzenia lorda.

- Przykro mi - odparła cierpko. A następnie zwróciła się do lady Helen: - Chodźmy już. Domyślam się, że z panią jako pierwszą inspektor będzie chciał rozmawiać.

Lady Helen czuła się jak ogłuszona, gdy chwiejnie przemierzała bibliotekę.

Uspokajała się w myślach, że to tylko brak pożywienia, ciągnący się bez końca, straszliwy dzień oraz upiorna niewygodna przebywania przez wiele godzin w nocnej bieliźnie w pokoju, w którym pobyt przyprawiał o klaustrofobię i jednocześnie groził zamrożeniem. Dotarła do drzwi, opatulila się płaszczem z największą godnością, na jaką się mogła zdobyć, i wyszła na korytarz. Sierżant Havers nie odstępowała jej, niczym natrętny, niepożądany cień.

- Dobrze się czujesz, Helen?

Lady Helen odwróciła się w stronę St. Jamesa. Była mu wdzięczna za to, że na nią zaczekał. Stał w mroku tuż pod drzwiami. Lynley i Macaskin już zniknęli na górnym podejściu schodów.

Przejechała dłonią po włosach, chcąc je przygładzić, prędko jednak zaniechała wysiłków i uśmiechnęła się smutno;

- Czy możesz sobie wyobrazić, czym jest dzień spędzony pośród osób, które się porozumiewają, cytując fragmenty dramatów? - spytała. - Odgrywamy je od wpół

do ósmej rano - od ataków wściekłości poprzez histerię i rozpacz do paranoi.

Szczerze mówiąc, już około południa byłam gotowa zaprzedać duszę diabłu za jeden z pistoletów Heddy Gabler. - Szczelniej owinęła się płaszczem i, powstrzymując drżenie, mocniej ściągnęła go przy szyi.

- Ale ja się dobrze czuję. Przynajmniej tak sędzę. - Spojrzała w stronę schodów, a potem ponownie zwróciła się do St. Jamesa: - Co ugryzło Tommy'ego?

Za jej plecami z niewiadomego powodu sierżant Havers poruszyła się gwałtownie, lady Helen jednak tego nie spostrzegła. Zauważyła natomiast, że St. James zwleka z odpowiedzią i gra na zwłokę, strzepując coś z nogawki spodni, choć nie ma na niej nic, co mogłoby przyciągnąć jego uwagę. W końcu odezwał się. Było to również pytanie:

- Co ty tutaj, na Boga, robisz, Helen? Obejrzała się w stronę zamkniętych drzwi biblioteki.

- Rhys mnie zaprosił. Miał reżyserować sztukę wystawianą przez Stinhursta na otwarcie Agincourt Theatre. Na ten weekend było zaplanowane pierwsze czytanie.

- Rhys? - zdziwił się St. James.

- Rhys Davies-Jones. Nie pamiętasz go? Moja siostra kiedyś się z nim spotykała.

Przed wieloma laty. Zanim... - Lady Helen bawiła się górnym guzikiem płaszcza, niepewna, jak dużo powinna powiedzieć. Prędko jednak podjęła decyzję. - Od ponad dwóch lat pracował na prowincji. To miała być jego pierwsza londyńska premiera od czasu... „Burzy”. Przed czterema laty. Byliśmy na tej sztuce. Z

pewnością sobie przypominasz. - Spostrzegła, że St. James dopiero teraz skojarzył ze sobą fakty.

- O Boże - powiedzia! niemal przeprasza ją. - A więc to by! Rhys Davies-Jones?

Zupełnie o tym zapomniałem.

Lady Helen nie mogła tego pojąć. Była pewna, że ona nigdy nie wymaże z pamięci tamtego zatrważającego wieczoru w teatrze, kiedy

Rhys wtargnął na scenę, nie pozostawiając nikomu wątpliwości, że znajduje się na granicy delirium. Zepchnął wszystkich aktorów na bok i zaczął ścigać demony, które widział jedynie on sam. I w ten oto sposób definitywnie zakończył swoją karierę. Lady Helen wciąż miała to wszystko przed oczami - scenę, rozgrywającą się na niej piekło i nieodwracalną krzywdę, jaką Rhys wyrządził sobie i innym. Pijacki bełkot zakłócił piękne słowa czwartego aktu i w jednej chwili obrócił wniwecz całą przeszłość i przyszłość reżysera.

- Po tym incydencie spędził cztery miesiące w szpitalu. Ale teraz... już całkiem wrócił do normy. Na początku ubiegłego miesiąca przypadkiem natknęłam się na niego na Brompton Road. Razem zjedliśmy kolację... i od tamtej pory często się widzimy.

- Rzeczywiście musiał już całkiem przyjść do siebie, skoro pracuje ze Stinhurstem, z Ellacourt i Gabrielem. To bardzo elitarne towarzystwo, jak...

- Jak na człowieka o jego reputacji? - Lady Helen zmarszczyła czoło i opuściła wzrok, lekko dotykając stopą jednego z kołków zespalaających elementy boazerii. -

Przypuszczam, że masz rację. Joy Sinclair była jego kuzynką. Utrzymywali bardzo bliskie stosunki. Sądzę, że w premierze sztuki upatrywała dla niego szansy powrotu do londyńskiego teatru. To głównie dzięki niej lord Stinhurst podpisał z Rhysem umowę.

- Miała wpływ na Stinhursta?

- Sądzę, że nie tylko na niego.

- Co przez to rozumiesz?

Lady Helen się zawahała. Nie należała do kobiet, które mają w zwyczaju obmawianie innych, nawet gdyby chodziło o śledztwo w sprawie morderstwa.

Wyjawianie cudzych tajemnic było niezgodne z jej zasadami, nawet jeśli oczekiwał

tęgo od niej St. James, któremu mogła bezgranicznie ufać. Niechętnie udzieliła odpowiedzi, rzucając przedtem szybkie spojrzenie w stronę sierżant Havers, jak gdyby chciała wyczytać z twarzy policjantki, w jakim stopniu może liczyć na jej dyskrecję.

- Prawdopodobnie Joy w ubiegłym roku miała romans z Robertem Gabrielem, Simonie, Wczoraj wieczorem straszliwie się posprzeczali. Gabriel domagał się od niej, żeby zapewniła jego byłą żonę o incydentalnym charakterze ich związku. Joy odmówiła. Kto wie, czy nie doszłoby pomiędzy nimi do rękoczynów, gdyby Rhys nie wtargnął do pokoju Joy i w porę nie interweniował.

St. James był w najwyższym stopniu zdumiony.

- Jak to? Nie bardzo rozumiem. To Joy Sinclair знаła żonę Gabriela? Wiedziała, że był żonaty?

- O tak - odparta lady Helen. - Robert Gabriel był przez dziewiętnaście lat mężem Irenę Sinclair, siostry Joy.

Inspektor Macaskin otworzył drzwi i wpuścił Lynleya oraz St. Jamesa do środka.

Namacał dłonią kontakt i w jednej chwili dwie mosiężne lampy w kształcie węży oświetliły pobjowisko na dole. Lynley stwierdził, że pokój jest piękny. Był

bardziej odpowiednim lokum dla głównej gwiazdy niż dla autorki sztuki. Ściany zdobiły kosztowne zielono-żółte tapety, a umeblowanie składało się z olbrzymiego wiktoriańskiego łóżka, dziewiętnastowiecznych krzeseł oraz równie starej komody i szafy. Podłogę przykrywał puszysty, nieco spłowiały dywan. Stare deski trzeszczały pod ciężarem kroków.

W pokoju wciąż widniały ślady brutalnej zbrodni, a w powietrzu unosił się intensywny zapach krwi i odrażająca woń zniszczenia. Centralne miejsce zajmowało łóżko z wymiętą, zbroczoną krwią pościelą, przedziurawioną pojedynczym, śmiertelnym rozcięciem, które wymownie świadczyło o sposobie, w jaki kobieta zginęła. Trzej mężczyźni wciągnęli gumowe rękawiczki i z powagą przystąpili do oględzin. Lynley uważnie rozejrzał się wokół siebie, Macaskin schował do kieszeni uniwersalne klucze Franceski Gerrard, a St. James centymetr po centymetrze badał wzrokiem zatrważający katafalk, jak gdyby się spodziewał, że w ten sposób odkryje tożsamość mordercy. Dwaj koledzy obserwowali jego poczynania, gdy wyjął z kieszeni małą składaną miarkę i delikatnie ją przyłożył do paskudnego rozcięcia na wierzchu pościeli. Nietypowy, gruby i wypchany wełną materac zachował wgłębienia w miejscu ramion, bioder i pośladków. Dodatkową zaletą jego elastyczności było to, że poddał się również broni zabójcy, bezbłędnie wskazując kierunek ciosu.

- Jedno uderzenie - rzucił przez ramię St. James. - Zostało wymierzone prawą ręką z lewej strony łóżka.

- Czy sprawcą morderstwa mogła być kobieta? - spytał krótko inspektor Macaskin.

- Tak. Jeżeli sztylet był dostatecznie ostry, użycie go nie wymagało dużej siły.

Kobieta mogła popełnić tę zbrodnię. - Na chwilę się zamyślił. - Nie mogę jednak wyobrazić sobie, żeby niewiasta była zdolna do popełnienia tak potwornego czynu.

Wzrok Macaskina spoczął na olbrzymiej plamie, która jeszcze nie całkiem zdążyła wsiąknąć w materac.

- Czy był ostry? O tak, i to bardzo - rzekł ponuro. - Jak pan myśli, czy morderca został spryskany krwią?

- Niekoniecznie. Przypuszczam, że mógł mieć trochę pobrudzoną prawą rękę. Ale jeśli zdołał zrobić to prędko i zasłonił się pościelą, skończyło się na kilku kroplach.

O ile potem nie wpadł w panikę, mógł je z łatwością wytrzeć w jedno z prześcieradeł, które i tak zostało potem przesiąknięte krwią.

A co z jego ubraniem? St. James przyjrzał się uważnie dwóm poduszkom, położył je na krześle i bardzo ostrożnie ściągnął z materaca prześcieradło.

- Sprawca zbrodni nie musiał mieć na sobie żadnego ubrania - zauważył. - O wiele łatwiej uporałby się z zadaniem, gdyby był nago. Mógł wtedy wrócić do swojego pokoju i wodą z mydłem po prostu zmyć z siebie krew. Jeśli rzeczywiście był nią schlapany.

- Ogromnie ryzykowne przedsięwzięcie, nie sądzi pan? - powiedział Macaskin. -

Nie wspominając już o przenikającym do szpiku kości zimnie.

St. James milczał, porównując dziurę w prześcieradle z przecięciem w materacu. „

- Popęlenie zbrodni również wiązało się z podjęciem wielkiego ryzyka. Joy Sinclair mogła się przecież obudzić i narobić wrzasku.

- Jeśli spala - wtrącił Lynley. Podeszedł do stojącej przy oknie toaletki. Na blacie znajdowały się rozmaite przedmioty: pudełko pudru, szczotki do włosów, suszarka, chusteczki higieniczne i płatanina biżuterii, a wśród niej trzy pierścionki, pięć srebrnych bransoletek, oraz dwa sznury koralu z kolorowych kamieni. Na podłodze leżała para złotych kolczyków w kształcie kpi. - Gdy ty i Deborah zatrzymujecie się w hotelu, czy zamykacie drzwi na klucz? - zwrócił się do St. Jamesa, nie odrywając wzroku od toaletki.

- Natychmiast po wejściu do pokoju - odparł zapytany z uśmiechem. -

Przypuszczam jednak, że to na skutek mieszkania pod jednym dachem z teściem.

Muszę ze wstydem przyznać, że wystarczy kilka dni spędzonych z dala od niego, a stajemy się beznadziejnie rozpustni.

- Gdzie zostawiacie klucz?

St. James przeniósł; wzrok z Lynleya na drzwi.

- Przeważnie w zamku.

- Tak też myślałem. - Lynley podniósł klucz z toaletki, biorąc go za metalowe kółko, do którego był przywieszony numerek. - Większość ludzi postępuje w ten sposób.

Jak myślisz, dlaczego Joy Sinclair po zamknięciu drzwi odłożyła go na toaletkę?

- Wczorajszego wieczoru miała tu miejsce awantura, prawda? A Joy w niej uczestniczyła. Pewnie była roztargniona albo zdenerwowana, kiedy tu przyszła, i w przyływie złego humoru po zamknięciu drzwi rzuciła klucz na blat mebla.

- Niewykluczone. Chyba że to nie ona je zamknęła. Może przyprowadziła tu kogoś, kto zamknął drzwi, gdy ona czekała na niego w łóżku. - Lynley spostrzegł, że inspektor Macaskin wydał usta. - Nie podziela pan mojej teorii?

Macaskin przez chwilę ssał kciuk, a potem opuścił rękę z niesmakiem, jak gdyby sama, wbrew jego woli. Ignęła do ust.

- Nie, nie sędzę, żeby ktoś razem z nią tutaj przyszedł.

Lynley odłożył klucz na toaletkę, podszedł do szafy i otworzył drzwi. Rzeczy zostały bezładnie wrzucone do środka: buty leżały z tyłu, dzinsy znajdowały się na stosie innych ubrań, a z otwartej walizki wysuwały się pończochy i bielizna.

Inspektor dokonał pokieznego przeglądu garderoby i spojrzal na Szkota.

- Dlaczego wyklucza pan tę ewentualność? - zapytał. St. James zaczął przeszukiwać zawartość komody.

- Wnioskuje na podstawie tego, co ofiara miała na sobie - wyjaśnił Macaskin. -

Prawdopodobnie trudno to było dostrzec na zdjęciu, ale była ubrana w męską górę od pizamy.

- Czy fakt ten nie potwierdza mojej teorii, że ktoś z nią był?

- Przypuszcza pan, że włożyła na siebie ubranie towarzyszącej jej osoby? Nie mogę się z tym zgodzić.

- Dlaczego nie? - Lynley zamknął szafę i oparł się o nią, nie spuszczać z Macaskina oczu.

- Spójrzmy na to realistycznie - rzekł Szkot z pewnością człowieka, który poświęcił

omawianemu tematowi wiele przemyśleń. - Czy mężczyzna szukający okazji do uwiedzenia kobiety wybiera się do jej pokoju w swojej najstarszej pizamie? Górna jej część, którą denatka miała na sobie, była bardzo sprana i przetarta na łokciach w dwóch miejscach. Przypuszczam, że właściciel

nosił ją jakieś sześć, siedem lat. A może nawet jeszcze dłużej. Niezbyt odpowiedni ubiór dla mężczyzny, który chce go zostawić kobiecie dla upamiętnienia wspólnie spędzonej nocy.

- Sądząc z pana opisu, piżama ta miała być czymś w rodzaju talizmanu - powiedział

w zamyśleniu Lynley. - Rzeczywiście, to zastanawiające. - Najwyraźniej chciał w ten sposób zachęcić Macaskina do dalszych wywodów. Szkot pokona! odległość dzielącą łóżko od toaletki, a stamtąd skierował się do komody, gestykulując dla podkreślenia swoich słów: -v- v,

- Załóżmy, że piżama nie należała do żadnego mężczyzny. Czy Joy czekałaby na swojego kochanka w najbardziej sfatygowanej nocnej bieliźnie? Trudno w to uwierzyć.

- Całkowicie się z panem zgadzam. - St. James odwrócił się tyłem do komody. - Nie znaleziono żadnych śladów walki. Musimy więc zakładać, że nawet jeśli denatka nie spała w chwili przybycia mordercy -i była nim osoba, którą wpuściła do pokoju na przyjacielską pogawędkę - to z pewnością spała, kiedy sztylet został zatopiony w jej gardle.

- Albo została zaskoczona przez kogoś, komu całkowicie ufała -powiedział powoli Lynley. - Ale czy w tym wypadku nie zamknęłaby sama drzwi na klucz?

- Nie musiała tego robić - orzekł szkocki inspektor. - Morderca mógł ją w tym wyręczyć, zabić ją i...

- Wrócić do pokoju Helen - dokończył lodowatym tonem Lynley. Gwałtownie odwrócił głowę w stronę St. Jamesa - Na Boga...

- Nie wyciągaj zbyt pochopnych wniosków - ostrzegł St. James, Wszyscy trzej usiedli przy małym, zawalonym gazetami stole przy oknie i rozejrzeli się po pokoju. Lynley zajął się przerzucaniem prasy, St. James podniósł pokrywkę dzbanka do herbaty na stojącej tu od rana tacy i z uwagą przyglądał się przezroczystej powłoce, jaka zebrała się na powierzchni płynu, a Macaskin piórem wystukiwał na zelówce swojego buta jednostajny rytm.

- Mamy dwie luki w czasie - zauważył St. James. - Dwadzieścia minut, a może nawet więcej, pomiędzy znalezieniem ciała a telefonicznym powiadomieniem policji. A następnie prawie dwie godziny, jakie upłynęły od chwili złożenia meldunku o morderstwie do momentu przybycia ekipy dochodzeniowej. -

Skierował wzrok na Szkota: - Z tego, co zrozumiałem, pokój, w którym dokonano zbrodni, nie został starannie przeszukany. Zanim pańscy ludzie zdążyli to zrobić, otrzymał pan od swojego szefa polecenie powrotu na posterunek, prawda?

-Tak.

- W takim razie równie dobrze może pan zlecić wykonanie tego zadania swoim podwładnym teraz, jeśli zechce pan po nich zatelefonować. Nie przypuszczam jednak, żeby wysiłki te na wiele się zdały. Do tej pory fałszywe dowody z pewnością zostały już podłożone.

- Albo usunięte - zauważył ponuro Macaskin. - Mamy jedynie słowo lorda Stinhursta, że pozamykał

wszystkie drzwi i czekał na nasze przybycie, nic więcej. . (

Tę ostatnią uwagę Lynley wziął do siebie. Wstał gwałtownie i bez słowa podszedł do komody, a następnie do szafy i toaletki. Obaj mężczyźni przyglądali mu się bez słowa, gdy otwierał szuflady, drzwiczki i zaglądał za meble.

- Gdzie jest tekst sztuki? - spytał. - Przyjechali tu po to, żeby nad nim popracować, czyż nie tak? Joy Sinclair była jego autorką. Gdzie się podziały notatki? Co się stało ze wszystkimi kopiami dramatu?

Macaskin zerwał się na równe nogi.

- Zaraz się tym zajmę - oświadczył i zniknął.

W chwili gdy zamknęły się za nim drzwi, z drugiej strony otworzyły się inne.

- Jesteśmy gotowe - oznajmiła sierżant Havers z pokoju lady Helen. Lynley spojrzał na St. Jamesa i ściągnął rękawiczki.

- Nie palę się do tej rozmowy - przyznał.

Lady Helen nigdy by nie przypuszczała, że jej pewność siebie jest aż tak bardzo związana z codzienną kąpielą. Wprost zżerała ją absurdalna potrzeba zanurzenia się w wannie. Niestety, sierżant Havers odmówiła jej prawa do tego niewyszukanego luksusu, oświadczając bez ogródek:

- Przykro mi. Muszę z panią zostać, a nie sądzę, aby oczekiwała pani ode mnie, że wyszoruję pani plecy.

W rezultacie lady Helen czuła się nieswojo, jak gdyby zmuszono ją do chodzenia w cudzej skórze.

Obie kobiety doszły jedynie do porozumienia w sprawie makijażu, chociaż malowanie się pod czujnym policjantki było bardzo krępujące i lady Helen wydawało się, że jest manekinem na wystawie. Wrażenie to spotęgowało się jeszcze podczas ubierania, kiedy to wciągała na siebie pierwsze z brzegu rzeczy, nie zwracając uwagi, co wkłada ani jak w tym wygląda. Rozpoznała tylko chłodne muśnięcie jedwabiu i szorstki dotyk wełny. Nie potrafiła jednak powiedzieć, czy części garderoby pasują do siebie, czy też ich kolory się kłócą, nadając jej wygląd kłowna.

Przez cały czas dobiegały ją głosy przebywających w sąsiednim pomieszczeniu mężczyzn. Nie rozmawiali głośno, a jednak doskonale ich słyszała. Zastanawiała się, co im powie, kiedy ją zapytają - a nie miała wątpliwości, że to zrobią - dlaczego ubiegłej nocy nie doszedł jej żaden odgłos z pokoju Joy Sinclair. Wciąż rozważała w myślach to pytanie, gdy sierżant Havers otworzyła wewnętrzne drzwi i wpuściła do pokoju St. Jamesa i Lynleya.

Lady Helen odwróciła się do nich.

- Żałośnie wyglądam, Tommy - powiedziała, uśmiechając się pogodnie. - Nigdy nie zdradź nikomu,

że widziałeś mnie o czwartej po południu w szlafroku i w rannych pantoflach. Musisz mi to przysiąc.

Lynley stanął bez słowa przy fotelu z wysokim oparciem, którego obicie było dobrane do różowo-żółtych tapet na ścianach, po czym usiadł w kącie, niespełna metr od drzwi. Przez długą chwilę i bez szczególnego powodu przyglądał się uważnie meblowi. Nagle się pochylił, wyciągnął zza siedzenia czarny męski krawat i z rozmyślną pedanterią przewiesił go przez poręcz krzesła. W końcu rozejrzał się wokół siebie i skinął głową, dając znak sierżant Havers. Policjantka otworzyła swój notatnik. Po takim wstępie nie wchodziła już w grę kolejna lekka uwaga, jaką lady Helen zaryzykowała w nadziei na przełamanie służbowej małomówności Lynleya.

Inspektor miał nad nią przewagę. I kobieta natychmiast się domyśliła, jak zamierza ją wykorzystać.

- Usiądź, Helen. - A gdy już wybrała miejsce, polecił:

- Przy stole, proszę.

Ustawienie mebli było tu identyczne jak w pokoju Joy Sinclair. Stół znajdował się w wykuszu przy oknie bez zasłon. Na dworze prędko się ściemniało. W szybach odbijały się upiorne cienie oraz złote pasmo światła lampy stojącej na nocnym stoliku przy przeciwległej ścianie. Mróz ozdobił okna od Zewnątrz fantazyjną pajęczyną. Lady Helen była pewna, że jeśli przyłoży dłonie do szyby, poczuje palące zimno, jak podczas kontaktu ciała z taflą gładkiego lodu.

Podeszła do jednego z krzeseł. Pochodziły z osiemnastego wieku i były obite nie wypłowiałą jeszcze tkaniną przedstawiającą motywy mitologiczne. Zdawała sobie sprawę z tego, że powinna rozpoznać postać młodego mężczyzny i kobiety o wyglądzie nimfy, którzy w sielskiej scenerii wyciągają do siebie ręce.

Przypuszczała, że Lynley wie, kim są. Ona jednak nie miała pewności, czy jest to Parys spragniony obiecaną nagrody za ogłoszenie werdyktu w sporze, czy też Echo próbująca usidlić Narcyza. W tej chwili nie przejmowała się jednak zbyt własną ignorancją.

Lynfey także usiadł przy stole. Jego wzrok spoczął na przedmiotach znajdujących się na blacie - na butelce koniaku, pełnej niedopałków popielniczce i talerzu z pomarańczami, z których jedna była napoczęta i wydzielala słabą cytrusową woń, Ogarnął wszystko uważnie spojrzeniem. Sierżant Havers przyłączyła się do nich, przysuwając taboret. St. James powoli krążył po pokoju.

Lady Helen widywała St. Jamesa przy pracy setki razy. Wiedziała, że jest mało prawdopodobne, aby jakiś szczegół uszedł jego uwagi. Obserwując jednak rutynowe, znajome zabiegi skierowane przeciwko sobie i będąc świadkiem pobieżnego przeglądania komody, toaletki, szafy i podłogi, dosłownie stężała. St.

James naruszał jej prawo do prywatności. Gdy odrzucił nakrycie nie pościelonego łóżka i w skupieniu przyglądał się prześcieradłu, straciła panowanie nad sobą i burknęła:

- Mój Boże, Simonie, czy to absolutnie konieczne?

Nikt nie odpowiedział na jej pytanie. Ich milczenie było jednak wystarczająco wymowne. Najpierw

spędziła dziewięć godzin pod kluczem w charakterze pospolitego przestępcy, a teraz musiała się poddać bezdusznemu przesłuchaniu.

Zachowywali się tak, jak gdyby we troje od lat nie przyjaźnili się ze sobą i nie wiązały ich różne bolesne sprawy. Wezbrała w niej złość niczym nabrzmiewający guz. Usiłowała nad nią zapanować, ale z umiarkowanym skutkiem. Ponownie skierowała wzrok na Lynleya, starając się nie zwracać uwagi na odgłosy zabiegów St.

Jamesa za jej plecami.

- Opowiedz nam o wczorajszej awanturze.

Sądząc po zachowaniu Lynleya, lady Helen przypuszczałaby raczej, że pierwsze pytanie będzie dotyczyło sypialni. Nieoczekiwany początek przesłuchania całkowicie ją zaskoczył i na moment zbił z tropu, co niewątpliwie było zamiarem inspektora.

- Żałuję, ale niewiele mam na ten temat do powiedzenia. Wiem tylko, że powodem kłótni był utwór sceniczny. Lord Stinhurst straszliwie się posprzeczał z jego autorką, Joy Sinclair. Joanna Ellacourt również była wściekła.

- Dlaczego?

- Wywnioskowałam, że Joy przywiozła tutaj ze sobą na pierwsze czytanie nie tę sztukę, na którą wszyscy podpisali kontrakty w Londynie. Oświadczyła przy kolacji, że wprowadziła w tekście kilka zmian. Prawdopodobnie okazały się znacznie bardziej gruntowne, niż ktokolwiek przypuszczał. Tematem dramatu nada! było tajemnicze morderstwo, ale na tym kończyła się zbieżność z pierwszą wersją utworu.

- Kiedy to wszystko się wydarzyło?

- Poszliśmy do salonu, gdzie miała się odbyć próba, i w niespełna pięć minut później wybuchła kłótnia. To było bardzo dziwne, Tommy. Nie zdążyli dobrze zacząć, gdy Francesca, siostra lorda Stinhursta, zerwała się na równe nogi, jak gdyby przeżyła największy szok w swoim życiu, i zaczęła wykrzykiwać do brata: „Nie! Stuart, po-wstrzymaj ją!”, a potem usiłowała wybiec z pokoju. Ojej wzburzeniu świadczy fakt, że cofając się, wpadła na dużą antyczną gablotę i roztrzaskała ją na kawałki. Aż dziw bierze, że się nie pokaleczyła. Wyszła jednak z tej przygody bez szwanku.

- Co w tym czasie robili inni?

Lady Helen opisała zachowanie każdej z obecnych w salonie osób, tak jak je zapamiętała: Robert Gabriel wytrzeszczał oczy na lorda Stinhursta, a ten z kolei najwyraźniej oczekiwał od niego, że się zajmie Joy albo pośpieszy z pomocą jego siostrze. Irenę Sinclair w miarę zaoznania się sytuacji coraz bardziej bladła, Joanna Ellacourt cisnęła na ziemię tekst sztuki i rozwścieczona wypadła z pokoju, a jej mąż, David Sy-deham, chwilę później wyszedł za nią. Joy Sinclair patrzyła z uśmiechem na lorda Stinhursta zza stolika z orzecha włoskiego i uśmiech ten najwyraźniej pobudził go do działania, gdyż zerwał się na równe nogi, chwycił ją za ramię, zaciągnął do sąsiedniego pokoju i z

hukiem zatrzasnął drzwi.

- A potem Elizabeth Rintoul wybiegła za swoją ciotką Francescą. Miałam wrażenie... że jest bliska łez, co wydawało mi się reakcją trochę dla niej nietypową -

zakończyła swoją relację lady Helen,

- Dlaczego tak sądzisz?

- Nic wiem. Myślę, że Elizabeth już dawno zrezygnowała z płaczu. Podobnie jak zaniechała wielu innych rzeczy - odparła lady Helen. - Między innymi utrzymywania przyjacielskich więzi z Joy Sinclair. Kiedyś były w bardzo zażyłych stosunkach, przynajmniej Rhys tak twierdzi.

Nie powiedziałaś mi, jak on się zachowywał po przeczytaniu tekstu - zauważył

Lynley. Nie dał jej jednak czasu na odpowiedź, podsumowując:

- A więc lord Stinhurst i Joy Sinclair kłócili się ze sobą. Czy ktoś jeszcze uczestniczył w tej sprzeczce?

- Nie, tylko oni. Słyszałam ich głosy dobiegające z sąsiedniego pokoju.

- Krzyczeli?

Głównie Joy. Lord Stinhurst mówił w sposób bardziej opanowany. Nie należy do mężczyzn, którzy muszą podnosić głos, żeby zdobyć czyjaś uwagę, nie sądzisz?

Dochodziły mnie tylko histeryczne wrzaski Joy, dotyczące jakiegoś mężczyzny o imieniu Alec. Jej zdaniem, ów Alec o czymś wiedział i lord Stinhurst zabił go z tego powodu. - Stojący obok niej St. James wstrzymał oddech i posłał Lynleyowi pełne namysłu spojrzenie. Lady Helen natychmiast pojęła jego sugestię i dodała pośpiesznie: - Z pewnością użyła metafory, Tommy. Było to coś w rodzaju: „Jeśli tak postąpisz, zabijesz swoją matkę”. Wiesz, co mam na myśli. W każdym razie lord Stinhurst nic na to nie odpowiedział. Opuścił pokój, oświadczając jedynie, że ich współpraca jest skończona. Być może ujął to inaczej, ale taki był sens jego słów.

- Co się stało potem?

- Joy i Stinhurst poszli osobno na górę. Ale wyglądali okropnie. Sprawiali wrażenie, jak gdyby żadne z nich nie wygrało w sporze i jakby oboje żałowali, że w ogóle do niego doszło. Jeremy Vinney usiłował zagadnąć Joy, gdy zjawiała się w holu, ale nie była w nastroju do rozmów. Niewykluczone, że również i ona płakała. Nie jestem jednak tego pewna.

- Dokąd się stamtąd udałaś, Helen? - Lynley uważnie przyglądał się popielniczce, niedopałkom i brudnym, szaroczarnym śladom popiołu na obrusie.

- Usłyszałam głosy w salonie. Zajrzałam tam, żeby sprawdzić, kto jest w pokoju.

- Dlaczego?

Lady Helen zastanawiała się, czy nie skłamać i nie wymyślić zabawnego opisu własnych, podyktowanych ciekawością działań. Zdecydowała się jednak wyznać prawdę.

- Szukałam Rhysa, Tommy.

- Ach, nie wiedziałem, że zniknął. Zjeżyła się, słysząc ton Lynleya.

- Wszyscy się rozpięchli po całym domu. - Zauważyła, że St. James zakończył już inspekcję pokoju. Zajął miejsce w fotelu przy drzwiach i, wygodnie w nim rozparty, przysłuchiwał się rozmowie. Wiedziała, że choć nie robi notatek, zapamięta każde słowo.

- Czy to Davies-Jones był w salonie?

- Nie. Zastałam tam lady Stinhurst - Marguerite Rintoul. A także Jeremy'ego Vinneya. Być może zwęszył temat artykułu dla swojej gazety, gdyż usiłował

wybadać kobietę, co się stało. Zresztą bez powodzenia. Ja też ją o to zagadnęłam, gdyż... sprawiała wrażenie, że

znajduje się w stanie całkowitego odrętwienia. Udzieliła mi krótkiej i dość dziwnej odpowiedzi. Użyła podobnych słów jak Francesca, w chwili kiedy się zwracała do lorda Stinhursta w salonie: „Powstrzymaj ją” czy coś w tym rodzaju.

- Ją? Miała na myśli Joy?

- Albo Elizabeth/swoją córkę. Wydaje mi się, że wspomniałam wtedy o niej i spytałam: „Czy mam przyprowadzić tutaj Elizabeth?”

Odpowiadając na pytania, lady Helen czuła się jak przesłuchiwany przez policję przestępca. Jej uwagi nie uchodziły żadne dźwięki: jednostajne skrzypienie pióra na papierze notesu sierżant Havers, trzask drzwi w drugim końcu korytarza, głos inspektora Macaskina nadzorującego poszukiwania i krzyki dwóch mężczyzn pomiędzy kolejnymi otwarciem drzwi w bibliotece na dole. Nie potrafiła ustalić tożsamości kłócących się osób.

- O której wróciłaś wczoraj wieczorem do swojego pokoju, Helen?

- Chyba było wpół do pierwszej. Nie wiem dokładnie.

- Co robiłaś po przyjściu tutaj?

- Rozebrałam się, przygotowałam do spania i przez jakiś czas czytałam.

- A potem?

Lady Helen nie udzieliła natychmiastowej odpowiedzi. Przez chwilę obserwowała uważnie twarz

Lynleya. Mogła sobie na to pozwolić, gdyż unikał jej wzroku. Jego rysy w chwili odprężenia miały wszystkie cechy klasycznej męskiej urody. Kiedy jednak wrócił do zadawania pytań, lady Helen dojrzał w twarzy Lynleya ponury cień zawziętości, którego nigdy przedtem nie zauważyła i nawet nie podejrzewała jego istnienia. Spostrzeżenie to sprawiło, że po raz pierwszy podczas ich długiej i zażyłej przyjaźni Lynley wydał jej się całkowicie niedostępny. Wyciągnęła rękę w stronę Tommy'ego, jak gdyby pragnąc zlikwidować dzielący ich dystans, Nie zamierzała dotykać Lynleya, lecz jedynie stworzyć wrażenie bliskości w sytuacji, kiedy osobisty kontakt nie wchodzi w rachubę. Gdy inspektor nie zareagował ani w żaden sposób nie odwzajemnił jej gestu, poczuła, iż musi szczerze powiedzieć to, co myśli:

- Widzę, że z jakiegoś powodu jesteś na mnie bardzo zły, Tommy. Proszę cię, powiedz mi, o co chodzi.

Lynley niemal odruchowo zacisnął dłoń w pięść, lecz zaraz ją rozprostował.

- Kiedy zaczęłaś palić?

W tym samym momencie lady Helen usłyszała, że sierżant Havers gwałtownie przerwała pisanie. Dostrzegła też, jak St. James za plecami Lynleya niespokojnie poruszył się w fotelu. Domyśliła się, że z jakiejś przyczyny jej pytanie ułatwiło Lynleyowi podjęcie decyzji, pod której wpływem oderwał swoją uwagę od pracy policyjnej i skierował ją na inny obszar - tam gdzie nie obowiązują przepisy, kodeksy ani procedury, wytyczające sztywno granice jego zawodu.

- Dobrze wiesz, że nie palę. - Cofnęła dłoń.

- Czy słyszałaś coś ubiegłej nocy? Joy Sinclair została zamordowana między drugą a szóstą rano.

- Niestety, nie. Z powodu wichury pobrzękiwały szyby w oknach. Pewnie w huku nawałnicy utonęły wszystkie dobiegające z jej pokoju odgłosy. O ile w ogóle jakieś były.

- Nawet gdyby pogoda dopisała, to i tak byś niczego nie usłyszała, bo nie byłaś sama, prawda? Domyślam się, że... pochłaniały cię inne sprawy.

- Masz rację. Nie byłam sama. - Dostrzegła, jak Lynleyowi tężeją rysy. Poza tym nawet nie drgnął.

- O której Davies-Jones przyszedł do twojego pokoju?

- O pierwszej.

- A o której wyszedł?

- Tuż po piątej.

- Patrzyłaś na zegarek?

- Obudzi! mnie. Był ubrany. Zapytałam go o godzinę. I powiedział mi.

- A między pierwszą a piątą, Helen? Na moment ogarnęło ją niedowierzanie.

- Czego dokładnie chciałbyś się dowiedzieć?

- Co wydarzyło się w tym pokoju pomiędzy pierwszą w nocy a piątą nad ranem.

Dokładnie, jak to ujęłaś - rzucił zimnym tonem.

Pytanie wywołało w niej niewyobrażalne wprost uczucie odrazy. Brutalnie ingerowało w jej osobiste życie i sugerowało, że lady Helen tylko czeka, żeby na nie odpowiedzieć. Spostrzegła, że sierżant Havers szeroko otworzyła usta. Szybko je jednak zamknęła, gdy Lynley zmierzył ją lodowatym spojrzeniem.

- Dlaczego mnie o to pytasz? - zwróciła się do niego lady Helen.

- Czy życzysz sobie prawnika, który by ci dokładnie wyjaśnił, o co mogę, a o co nie wolno mi pytać podczas przesłuchania w sprawie

o morderstwo? Możemy zatelefonować po kogoś, jeśli uznasz to za konieczne.

Tak nie postępuje przyjaciel, pomyślała ze smutkiem. Lynley nie był już jej roześmianym kumplem, z którym się przyjaźniła od ponad dziesięciu lat. Tego Tommy'ego nie znała i nie potrafiła mu udzielić żadnej rozsądnej odpowiedzi. Jego obecność wywoływała w niej chaos uczuć. Złość, żal i udręka walczyły w niej o lepsze. Zaatakowały ją zaciekle, i to nie po kolei, lecz jednocześnie. Ogarnęła ją nieprzeparata chęć ukarania go. Odezwała się w końcu, rozpaczliwie usiłując nadać słowom obojętne brzmienie:

- Rhys przyniósł mi koniak. - Wskazała na stojącą na stole butelkę. -

Rozmawialiśmy,

- Piłaś alkohol?

- Nie. Byłam już po drinku i nie miałam ochoty na następny.

- A on?

- Nie, on... nie może pić. Lynley spojrzał w stronę Havers.

- Niech pani każe Macaskinowi sprawdzić butelkę. Lady Helen domyśliła się, o co chodzi.

- Jest nie napoczęta!

- Obawiam się, że nie masz racji. - Lynley wziął od policjantki pióro i podważył nim folię zabezpieczającą szyjkę flaszki. Zsunęła się bez trudu, jak gdyby została już raz zdjęta, a potem ponownie lam umieszczona dla zachowania pozorów.

Lady Helen poczuła mdłości.

- Czy sugerujesz, że Rhys przywiózł tu ze sobą środki odurzające, aby mnie uspić i bezpiecznie się uporać z zamordowaniem Joy Sinclair - mój Boże, swojej kuzynki?

Że chciał, bym mu dostarczyła alibi? Czy naprawdę uważasz, że tak zrobi!?

- Twierdzisz, że rozmawialiście ze sobą, Helen. Czy mam przez to rozumieć, że gdy odmówiłaś wypicia trunku, który ze sobą przyniósł, reszta nocy upłynęła wam tylko na przyjacielskiej pogawędce?

Brak odpowiedzi na jej pytanie, sztywne trzymanie się formalnych reguł policyjnego przesłuchania, pochopna decyzja o przypisaniu człowiekowi winy i naginanie faktów w taki sposób, aby to uzasadniały -bardzo oburzyły lady Helen.

Niepewna, jak dalece postępowanie Lyn-leya zaciąży na ich przyjaźni, odparła, starannie dobierając słowa i powoli cedząc każdą sylabę:

- Oczywiście, że nie tylko, Tommy. Rhys kochał się ze mną. Trochę się przespaliśmy. A potem, znacznie później, kochaliśmy się jeszcze raz.

Lynley jednakże zupełnie nie zareagował na jej dobitne stwierdzenie. Nagle odór niedopałków stał się dla niej nie do zniesienia. Miała ochotę cisnąć Lynleyowi popielniczką prosto w twarz.

To wszystko? Nie opuszczał cię w środku nocy? Nie wstawał z łóżka?

Inspektor zaskoczył ją. Nim zdołała odpowiedzieć, przypomniał sobie:

- Ach tak, racja. Wstawał. O której to było, Helen? Opuściła wzrok na swoje dłonie.

- Nie wiem.

- Spałaś? -Tak.

- Co cię obudziło?

- Jakiś hałas, przypuszczam, że trzask zapalanej zapalki. Rhys stał przy stole i palił papierosa.

- Był ubrany?

- Nie.

- I nie robił nic innego, tylko palił? Zawahała się przez chwilę.

- Tak. Tylko palił.

- Coś jeszcze zauważyłaś, prawda?

- Nie. Chodzi mi tylko o to... - Wyciągał z niej słowo po słowie. Zmuszał ją do mówienia o sprawach, które powinny być przemilczane.

- O co? Zobaczyłaś, że nie wszystko z nim w porządku?

- Nie, to nie to.

Lynley nie spuszczał z jej twarzy swoich piwnych oczu - o przenikliwym i natarczywym spojrzeniu.

- Podeszłam do niego i stwierdziłam, że ma wilgotną skórę.

- Wilgotną? Czyżby się kąpał?

- Nie, był spocony. Na ramionach... wystąpiły mu... krople potu. A przecież panował tu straszny ziąb.

Lynley odruchowo spojrzał w stronę pokoju dramatopisarki.

- Nie rozumiesz, Tommy? Problemem był koniak. Rhys chciał się napić.

Rozpaczliwie potrzebował alkoholu. To choroba. I jego zachowanie nie miało nic wspólnego z Joy.

Mogła sobie darować wyjaśnienia, gdyż najwyraźniej Lynley podążał za własnym tokiem rozumowania.

- Ile papierosów wypalił, Helen?

- Pięć, może sześć. Możesz to sprawdzić.

Tworzył własną wersję przebiegu wydarzeń. Lady Helen wyraźnie to widziała.

Skoro Rhys Davies-Jones miał wystarczająco dużo czasu na wypalenie sześciu papierosów, których niedopałki leżały w popielniczce, a ona obudziła się dopiero przy ostatnim, to co jeszcze mógł zrobić? Nieważne, że ona doskonale wiedziała, jaki problem pochłaniał Rhysa, gdy spała: walka z legionami demonów i upiórów, które ciągnęły go do butelki koniaku jak człowieka o nieugaszonym pragnieniu.

Lynley już zdecydował, że Rhys wykorzystał ten czas, aby otworzyć drzwi, zamordować swoją kuzynkę i wrócić. Pot oblat go ze strachu.

Domyśliła się tego po milczeniu Lynleya, który nie zareagował na wypowiedziane przez nią zdanie. Nie uczynił najmniejszego ruchu.

- Chciał się napić - wyjaśniła. - Ale nie mógł sobie na to pozwolić. Dlatego palit. To wszystko.

- Ach tak. Czy mam przez to rozumieć, że jest alkoholikiem? Poczula ucisk w gardle. To tylko słowo, uspokoiłby ją Rhys z łagodnym uśmiechem. A samo słowo nie może mieć żadnej mocy, Helen.

- Tak.

- Zatem wstał z łóżka, a ty się nie obudziłaś. Wypalił pięć albo sześć papierosów, a ty przez cały ten czas spałaś.

- I pewnie chcesz dodać, że otworzył drzwi, aby zamordować Joy, i to również nie zakłóciło mojego snu?

- Na kluczu znajdują się jego odciski, Helen.

- Oczywiście, to nic dziwnego! Zamknął drzwi, zanim mnie wziął do łóżka. Czy zamierzasz mi wmówić, że to również stanowiło część jego planu? Twoim zdaniem, pewnie przekręcił klucz w zamku na moich oczach, żebym potem umiała wyjaśnić, skąd się tam wzięły jego odciski palców, prawda?

- Czyż nie spełniłaś właśnie jego oczekiwań? Zachłysnęła się powietrzem, nabierając oddechu.

- To prawdziwa podłość z twojej strony!

- Spałaś, kiedy wstał z łóżka i palit jednego papierosa za drugim. A teraz starasz się mnie przekonać, że masz lekki sen i wiedziałabyś, gdyby Davies-Jones wychodził z pokoju?

- Wiedziałabym!

Lynley obejrzał się przez ramię.

- St. James? - zwrócił się spokojnie do kolegi.

Zachowanie inspektora sprawiło, że sytuacja całkowicie wymknęła się Helen spod kontroli.

Skoczyła na równe nogi, przewracając krzesło do góry nogami. Jej dłoń brutalnie wymierzyła Lynleyowi policzek. Cios został zadany z szybkością błyskawicy i z siłą dorównującą wściekłości Helen.

- Jesteś draniem! - wykrzyknęła, zmierzając w stronę wyjścia.

- Zostań na miejscu - polecił jej Lynley. Odwróciła się do niego.

- Niech mnie pan aresztuje, inspektorze - powiedziała i opuściła pokój, trzasnąwszy drzwiami.

St. James natychmiast wyszedł za nią.

Barbara Havers zamknęła swój notatnik. Zrobiła to wystudiowanym gestem, aby zyskać czas do namysłu. Siedzący naprzeciwko niej Lynley sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki. Jego twarz wciąż była zaczerwieniona od wymierzonego przez lady Helen policzka, lecz nie drżały mu ręce. Wyjął papierosnicę i zapalniczkę, użył

obu, a następnie podał Barbarze. Również zapaliła, ale gdy tylko się zaciągnęła dymem, skrzywiła twarz i zgasła papierosa.

Nie należała do osób, które poświęcają zbyt wiele czasu na analizowanie własnych uczuć. Teraz jednak, zakłopotana, zastanawiała się, dlaczego przed chwilą chciała się wtrącić do rozmowy. Wszystkie pytania Lynleya mieściły się przecież w ramach standardowej policyjnej procedury. Jednak sposób, w jaki je zadawał, oraz wyraźnie wyczuwalna w jego tonie ohydna insynuacja sprawiła, że Barbara miała ochotę skoczyć mu do oczu w obronie przesłuchiwanej. Sama nie pojmowała kierujących nią pobudek. Głowiła się nad nimi po wyjściu kobiety i doszła do wniosku, że to z powodu uprzejmości, jaką lady Helen jej okazywała podczas całych miesięcy pracy przy boku Lynleya.

- Myślę, inspektorze, że trochę pan przesadził. - Przesunęła kciukiem wzdłuż okładki notatnika.

- Nie pora na to, aby dyskutować nad sposobem prowadzenia śledztwa - odparł.

Mówił dość opanowanym głosem, ale słyszalne w nim napięcie świadczyło o ogromnym wysiłku, jaki w to wkłada.

- To nie sprawa procedury, ale przyzwoitości. Potraktował pan Helen jak dziwkę. I jeśli zamierza pan powiedzieć, że na to zasłużyła, proponuję, żeby sięgnął pan pamięcią do kilku szczegółów z własnej burzliwej przeszłości. Czy przy bliższej analizie pana własne postęпки tak bardzo różnią się od tych, z których powodu naraził ją pan przed chwilą na upokorzenie?

Lynley zaciągnął się papierosem. Uznał jednak, że mu nie smakuje, i zgasił go w popielniczce. Na skutek gwałtownego ruchu, jaki przy tym wykonał, ubrudził sobie popiołem mankiet koszuli. Oboje wpatrywali się w czarną, kontrastującą z bielą materiału plamę.

- Helen miała pecha: znalazła się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie -

rzekł Lynley. - Nie ma sposobu wykluczenia jej z przesłuchania. Nie może liczyć na to, że w imię naszej wieloletniej przyjaźni okażą jej specjalne względy.

- Czy to jest w porządku? - spytała Barbara. - No cóż, w takim razie będę słuchała urzeczona, jak we dwóch poufnie ze sobą gawędzicie.

- Nie rozumiem, o czym pani mówi.

- O lordzie Ashertonie i o lordzie Stinhurście, którzy usiądą razem, aby się oddać przemysłom. Nie mogę się wprost doczekać chwili, kiedy potraktuje pan lorda Stinhursta w równie bezwzględny sposób jak Helen Clyde. I choć obaj jesteście parami, członkami elity społecznej oraz absolwentami Eton, to nic nie zmieni faktu, że lord Stinhurst znalazł się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym

czasie, czyż nie tak? - Barbara zdążyła na tyle poznać Lynleya, by spostrzec, że gwałtownie wzbiera w nim złość.

- Czego właściwie się pani po mnie spodziewała, sierżancie? Miałem zlekceważyć fakty? - I zaczął chłodnym tonem je wyliczać: - Zamknięte drzwi do pokoju Joy Sinclair od strony korytarza, brak kluczy uniwersalnych, które mogłyby posłużyć niecnym celom, odciski palców Davies-Jonesa na kluczu od drugich drzwi, zapewniających dostęp do sypialni ofiary, i wreszcie nieokreślony przeciąg czasu, gdy Helen spała. - A nie zastanawialiśmy się jeszcze nad tym - dodał - gdzie reżyser przebywał do pierwszej w nocy, przed złożeniem jej wizyty, ani dlaczego właśnie ona została umieszczona w pokoju obok Joy. Bardzo dogodne warunki do działania, nie sądzi pani? I zadziwiający zbieg okoliczności, że Davies-Jones przyszedł w środku nocy, żeby uwieść Helen akurat wtedy, kiedy jego kuzynka tuż obok została zamordowana.

- I w tym sęk, prawda? - wytknęła mu Barbara. - Nie tyle chodzi panu o morderstwo, co o uwiedzenie.

Lynley zgarnął ze stołu papierošnicę i zapalniczkę, schował je do kieszeni i wstał.

Nie odezwał się ani słowem. Nie oczekiwała odpowiedzi. Dobrze wiedziała, że w momentach przełomowych Lynley traci zdolność panowania nad sobą. Kiedy spostrzegła wyraz twarzy Lynleya w bibliotece, gdy ujrzał lady Helen, karykaturalnie wyglądającą w przydługim płaszczu, który smętnie płatał się jej wokół kostek, w jednej chwili nabrała przekonania, że sytuacja ma wszelkie dane ku temu, aby przerodzić się w osobisty dramat inspektora o niewyobraźalnych wprost rozmiarach.

W drzwiach sypialni pojawił się Macaskin. Jego rysy wykrzywiała wściekłość. Miał zaczerwienioną twarz i napięte mięśnie, a oczy rzucały złowróżbne błyski.

- W całym domu nie ma ani jednej kopii dramatu, inspektorze -oznajmił. - Wygląda na to, że poczciwy lord Stinhurst wszystkie spalił.

- Ładny gips - mruknęła Barbara, patrząc w sufit.

Na parterze, w północnym skrzydle budynku, znajdował się korytarz, stanowiący jeden bok kwadratu otaczającego dziedziniec, na którym śnieg sięga! niemal do parapetów okiennych z ołowianej blachy. Znajdowało się tam wyjście na teren posiadłości, obok którego Francesca Gerrard wyznaczyła miejsce na mały składzik.

Można się było w nim natknąć na porzucone kalosze, sprzęt wędkarski, zardzewiałe narzędzia ogrodnicze, płaszcze przeciwdeszczowe, kapelusze, kurtki i szaliki. Lady Helen uklękała na podłodze przed tym kramem i z wściekłością przerzucała gumowce, usiłując dobrać parę do tego, który już miała na nodze. Dobieg! ją charakterystyczny odgłos niezdarnych kroków schodzącego po schodach St.

Jamesa. Zaczęła zapamiętane grzebać pomiędzy gumiakami i koszykami na ryby, zdecydowana

opuścić dom, zanim jej kryjówka zostanie odkryta.

Jednakże przenikliwość, która zawsze pozwalała mu odczytywać myśli Helen, zanim ona sama je sobie uświadamiała, teraz również zaprowadziła go prosto do niej. Usłyszała jego urywany oddech - skutek pośpiechu, z jakim pokonał schody.

Nie musiała podnosić wzroku, by wiedzieć, że twarz Simona jest wykrzywiona ze złości, jaką budzi w nim własna ułomność. Lady Helen poczuła na ramieniu niepewny dotyk. Szarpnęła się.

- Wychodzę - oznajmiła.

- Nie możesz. Jest zbyt zimno. Poza tym zbyt dużo trudu sobie za-dalem, by cię wytropić w ciemnościach. Chciałbym z tobą porozmawiać, Helen.

- Nie sądzę, żebyśmy mieli sobie cokolwiek do powiedzenia. Masz przydzieloną rolę w tym przedstawieniu. A może tylko chciałeś dać dziewczynie lekkich obyczajów napiwek?

Podniosła wzrok i spostrzegła, że pod wpływem jej słów jego zamglone, błękitne oczy nagle pociemniały. To, że go zraniła, nie przyniosła jednak Helen satysfakcji.

Wręcz przeciwnie. W jednej chwili poczuła się pokonana. Zaniechała dalszych poszukiwań i wyprostowała się, w jednym kaloszu na nodze i z drugim bezużytecznym w ręce. St. James wyciągnął do niej rękę. Jego chłodne, szorstkie palce zamknęły się na jej dłoniach.

- Czuję się jak dziwka - szepnęła. - Miała suche, rozpalone oczy. Była daleka od łez.

- Nigdy mu tego nie wybaczę.

- Nie zamierzam cię o to prosić. Nie przyszedłem tu po to, żeby usprawiedliwiać Tommy'ego przed tobą. Chciałem ci tylko powiedzieć, że konfrontacja z rzeczywistością okazała się dzisiaj dla niego bardzo bolesna. Najwyraźniej nie był przygotowany na to, żeby stawić jej czoło. Ale to on sam będzie musiał się przed tobą wytłumaczyć. Gdy tylko poczuje się na siłach to zrobić.

Przygnębiona lady Helen pociągnęła za cholewkę kalosza. Był czarny i usmarowany czymś lepkiem, co sprawiało, że wydawał się jeszcze ciemniejszy.

- Zamierzasz mu powiedzieć?... - zagadnęła niespodziewanie St. Jamesa.

Uśmiechnął się ciepło, a jego brzydka, kanciasta twarz w jednej chwili uległa przeobrażeniu.

- Zawsze zazdrościłem ci mocnego snu, Helen. Przespałabyś wszystko - pożar, powódź i trzaskanie piorunów. Całymi godzinami mogiem leżeć obok ciebie rozbudzony i przeklinać w myślach twoje czyste sumienie, które sprawia, że masz lekki i niczym nie zakłócony sen. Często wyobrażałem sobie, że wprowadzam do twojej sypialni kawalerię Jej Królewskiej Mości, a ty tego nawet nie słyszysz. Ale nigdy nie powiedziałbym mu o tym. Są pewne sprawy, które dotyczą tylko nas dwojga. Pomimo wszystkiego, co się wydarzyło. A ta jest jedną z nich.

Lady Helen poczuła wzbierające pod powiekami łzy. Odwróciła wzrok, walcząc z nimi i próbując odzyskać głos. St. James nie czekał, aż jej się to uda. Pociągnął ją delikatnie w stronę wąskiej ławki pod ścianą. Wyżej, na kołkach, wisiało kilka płaszczy. Zdjął dwa z nich, jednym okrył jej ramiona, a drugi narzucił sam, gdyż do składziku wdzierało się zimno.

- Czy oprócz zmian, jakie Joy wprowadziła w tekście, zdarzyło się coś jeszcze, co mogło doprowadzić do wczorajszej kłótni? - spytał.

Lady Helen przeanalizowała w myślach godziny spędzone w towarzystwie londyńskiej grupy, nim w salonie powstało zamieszanie.

- Nie mogę tego stwierdzić z całą pewnością, ale odniosłam wrażenie, że wszyscy mieli zszarpane nerwy.

- Kto w szczególności?

- Przede wszystkim Joanna Ellacourt. Z tego, co zaobserwowałam przy drinkach ubiegłego wieczoru, była trochę zaniepokojona tym, że Joy pisze sztukę, która pomoże odbudować karierę jej siostrze.

- To ją denerwowało? Lady Helen skinęła głową.

- Premiera na otwarcie Agincourt Theatre zbiegała się z jubileuszem dwudziestolecia pracy scenicznej Joanny, Simonie. Aktorka liczyła na to, że na niej będzie skupiona uwaga widzów, a nie na Irenę Sinclair. Najwyraźniej jednak miała wątpliwości, czy tak się stanie.

Lady Helen opisała krótką scenę, której była świadkiem wczoraj w salonie, gdzie towarzystwo zebrało się przed kolacją. Lord Stinhurst stał przy pianinie z Rhysem Davies-Jonesem i obaj oglądali projekty kostiumów. Joanna Ellacourt dołączyła do nich, przemknawszy przez pokój w połyskującej, mocno wyciętej sukni, noszonej bez stanika, zgodnie z najnowszą modą. Gdy wzięła do ręki rysunki, żeby im się przyjrzeć, jej twarz natychmiast zdradziła, co aktorka myśli o projektach.

- Nie spodobały jej się kostiumy Irenę Sinclair - domyślił się St. James.

- Utrzymywała, że każdy z nich pokazuje Irenę jako... wampa. Zdaje się, że takiego właśnie użyła określenia. Zmięta szkice, oświadczyła lordowi Stinhurstowi, że kostiumolodzy będą musieli jeszcze raz nad nimi popracować, jeśli on nadal liczy na jej udział w przedstawieniu, i wrzuciła je do ognia. Wpadła w dziką furję.

Przypuszczam, że potem, gdy zaczęła czytać tekst dramatu i zobaczyła wprowadzone przez Joy zmiany, potwierdziły się jej najgorsze obawy. Dlatego cisnęła na ziemię swój egzemplarz i opuściła pokój. Co zaś do Joy... nie mogłam się oprzeć wrażeniu, że napawa się wywołanym przez siebie zamieszaniem.

- Jaka ona była, Helen?

Odpowiedź na to pytanie nie jest łatwa. Miała w sobie coś frapującego. Była raczej drobna i trudno byłoby ją nazwać pięknnością. Oliwkową cerą i czarnymi oczami przypominała z urody Cyganek, a jej

rzeźbione rysy, przywodzące na myśl kameę, świadczyły o inteligencji i sile charakteru. Wprost kipiała życiem i z całej jej postaci emanowała zmysłowość. Nawet szybkie i niecierpliwe podniesienie dłoni do ucha, by zdjąć kolczyk, mogło stać się w jej wykonaniu pełnym obietnic gestem.

- Obietnic pod którym adresem? - spytał St. James.

- Trudno powiedzieć. Przypuszczam, że z grona obecnych mężczyzn najbardziej był nią zainteresowany Jeremy Vinney. Wczoraj wieczorem, gdy ostatnia weszła do salonu, zerwała się z miejsca i natychmiast do niej podszedł. Nie odstępował jej również podczas kolacji.

- Byli kochankami?

- Nic w jej zachowaniu nie wskazywało na to, że łączy ich coś więcej niż przyjaźń.

Dziennikarz wspomniał, że w zeszłym tygodniu usiłował skontaktować się z nią telefonicznie i że kilkanaście razy nagrał się na automatyczną sekretarkę.

Przeprosiła go ze śmiechem, twierdząc, że nie sprawdzała, kto dzwonił. O pół roku przekroczyła termin oddania książki, na którą podpisała umowę z wydawcą, i nie miała ochoty na wysłuchiwanie jego utyskiwań, w obawie że obudzą w niej poczucie winy.

- Pisała książkę? - zdziwił się St. James. - Sądziłem, że była jedynie autorką sztuk teatralnych.

Lady Helen roześmiała się.

- To niewiarygodne, prawda? Pomyśleć tylko, że ja się uważam za osobę niezwykle pracowitą, jeśli w ciągu pięciu miesięcy zdołam odpisać na czyjś list.

- Wygląda na to, że Joy była kobietą, która łatwo potrafi wzbudzać zazdrość.

- Całkiem możliwe. Przypuszczam jednak, że nieświadomie zrażała do siebie ludzi.

- I lady Helen opowiedziała o niefrasobliwych komentarzach Joy dotyczących zawieszzonego nad kominkiem w salonie obrazu Reingale'a. Przedstawiał kobietę w białej sukni z okresu regencji, w towarzystwie dwojga dzieci i trącającego nosem piłkę teriera. - Oświadczyła, że nigdy nie zapomni tego płótna. Kiedy była dziewczynką, zwykła podczas wizyt w Westerbrae snuć fantazje, że jest ową kobietą: spokojną, podziwianą i śmiało patrzącą w przyszłość, z dwójką cudownych, uwielbiających ją pociech. Czyż można życzyć sobie w życiu czegoś więcej?

Zastanawiała się nad dziwnymi kolejami ludzkich losów. Irenę Sinclair siedziała wtedy pod obrazem. Przypominam sobie, że straszliwie się spłonila, słuchając wywodów siostry, rumieniec gwałtownie wypłynął na jej szyję i wpełzł na policzki.

- Dlaczego?

- No cóż, Irenę kiedyś mogła to wszystko powiedzieć o sobie. Była szczęśliwą i śmiało spoglądającą

w przyszłość mężatką z dwojgiem dzieci. Dopóki nie zjawiała się Joy i nie zniszczyła jej małżeństwa.

St. James odniósł się do tej informacji dość sceptycznie.

- Skąd masz pewność, że reakcję Irenę Sinclair spowodowały słowa Joy?

- Jestem o tym przekonana. Podczas kolacji, kiedy Joy rozmawiała z Jeremym Vinneyem i wygłaszała dowcipne komentarze na temat swojej nowej książki, zabawiając całe towarzystwo historiami o człowieku, z którym usiłowała przeprowadzić wywiad w Fens, Irenę... -Lady Helen się zawahała. Miała trudności z doborem słów, które by w pełni oddały niesamowite wrażenie, jakie wywarło na niej zachowanie Irenę Sinclair. - Irenę siedziała bez ruchu ze wzrokiem utkwionym w świece na stole... To był zatrważający widok. Wbijiała zęby widelca w swój kciuk.

Nie sądzę jednak, żeby cokolwiek czuła, Simonie.

St. James się zamyślił, skupiając uwagę na czubkach swoich butów. Były ubrudzone zaschniętym biotem z podjazdu. Pochylił się, żeby je wytrzeć.

- W takim razie Joanna Ellacourt musiała przecenić udział Irenę w zmienionej wersji sztuki. Dlaczego Joy Sinclair miałaby pisać rolę pod kątem siostry, skoro nadal przy każdej okazji starała się ją do siebie zrazić?

- Jak już powiedziałam, nie sądzę, by robiła to świadomie. Może czuła się winna. W końcu doprowadziła do rozpadu jej małżeństwa. I nic nie mogła już na to poradzić.

Ale była w stanie jej pomóc w odbudowaniu kariery.

- Dzięki spektaklowi z Robertem Gabrielem? Po burzliwym rozwodzie, do którego prawdopodobnie sama się przyczyniła? Czy takie postępowanie nie nosi znamion sadyzmu?

- Nie, jeśli w całym Londynie nie było innych chętnych, którzy daliby Irenę szansę powrotu na scenę, Simonie. Wypadła z obiegu wiele lat temu. To mogła być jej jedyna okazja.

- Opowiedz mi treść sztuki.

Lady Helen przypominała sobie, że Joy Sinclair zawiadomiła wszystkich o zmienionej wersji tekstu, zanim ktokolwiek miał okazję osobiście się z nim zapoznać. I zrobiła to w prowokacyjny sposób. Kiedy Francesca Gerrard zagadnęła ją o wprowadzone poprawki, Joy ro-zejrzała się po twarzach osób zgromadzonych przy stole i powiedziała z uśmiechem:

„Akcja przedstawienia rozgrywa się w domu bardzo podobnym do tego - w środku zimy, kiedy drogi są skute lodem, na przestrzeni wielu kilometrów nie ma żywej duszy i ucieczka nie wchodzi w rachubę. Tematem jest historia pewnej rodziny; opowieść o człowieku, który zginął, i o ludziach, którzy go zamordowali. A także o pobudkach, jakie nimi kierowały”. Lady Helen przyznała, że po takim wstępie niemal się spodziewała, że zaraz usłyszy o wyjących wilkach.

- To brzmi tak, jak gdyby chciała przekazać komuś jakąś wiadomość - zauważył St.

James.

- Prawda? A później, kiedy już wszyscy zebraliśmy się w salonie i wyjaśniała szczegółowo zmiany wątków w utworze, użyła bardzo podobnych sformułowań.

Fabula dramatu dotyczyła pewnej rodziny i pokrzyżowanych planów sylwestrowych. Z życiem najstarszego syna wiązała się jakaś straszliwa tajemnica, która mogła mieć dla wszystkich nieobliczalne skutki.

- Potem zaczęli czytać - powiedziała lady Helen. - Żałuję, że zwracałam tak małą uwagę na tekst, ale atmosfera w salonie była bardzo ciężka. Przywodziła na myśl garnek z wrzątkiem, i szczerze mówiąc, nie nadążałam za rozwojem wydarzeń.

Pamiętam tylko, że zanim Fran-cesca straciła panowanie nad sobą, starszy brat w dramacie rozmawiał przez telefon. Lord Stinhurst czytał jego rolę, ponieważ nie była jeszcze obsadzona. Po krótkiej wymianie zdań ów brat postanowił natychmiast opuścić dom, oświadczając, że po dwudziestu siedmiu latach nie stanie się kolejnym wasalem. Jestem prawie pewna, że wiernie powtórzyłam słowa, po których Francesca zerwała się na równe nogi. Wieczór był stracony.

Wasalem? - spytał St. James obojętnym tonem. Skinęła głową.

- Dziwne określenie, nie sądzisz? Akcja sztuki nie toczyła się przecież w epoce feudalnej. Pomyślałam wtedy, że to określenie jest dla mnie zbyt wymyślne, sztuczne.

- Ale inni je zrozumieli?

Z całą pewnością. W każdym razie lord Stinhurst, jego żona, Francesca Gerrard i Elizabeth. Odniosłam jednak wrażenie, że pozostałe osoby, i tak wytracone z równowagi ostatnimi zmianami tekstu, podobnie jak ja straciły w tym momencie orientację. - Lady Helen w roztargnieniu wodziła palcami wzdłuż obrzeża cholewki kalosza, który wciąż trzymała w ręce. - Wszystko wskazywało na to, że sztuka ma służyć wzniosłemu celowi, a także interesom wszystkich: dla lorda Stinhursta miała stać się uhonorowaniem jego osiągnięć w gmachu odnowionego Agincourt Theatre, dla Joanny Ellacourt okazją do uczczenia jubileuszu dwudziestolecia kariery scenicznej, dla Irenę Sinclair szansą powrotu do zawodu, a dla Rhysa -

wyreżyserowania największego przedsięwzięcia teatralnego w Londynie. Być może Joy przewidziała również rolę dla Jeremy'go Vinneya. Ktoś kiedyś wspomniał, że zanim został krytykiem teatralnym, pracował jako aktor. Szczerze mówiąc, nie było innej przyczyny - oprócz kontynuowania historii prasowej o renowacji teatru - która by uzasadniała jego obecność na próbach z tekstem. Sam widzisz, że żadna z tych osób nie miała powodu, żeby zamordować Joy Sinclair - zakończyła swoją relację lady Helen.

Uśmiechnął się do niej z czułością.

- Szczególnie Rhys. - Jego słowa zabrzmiały wyjątkowo łagodnie. Napotkała jego oczy. Dostrzegła

w nich życzliwość i współczucie.

Wiedziała, że nie zdoła tego znieść, i odwróciła wzrok. Była jednak pewna, że Simon jest jedynym człowiekiem, który wszystko zrozumie.

- Ubiegłej nocy z Rhysem... po raz pierwszy od wielu lat poczułam, że jestem naprawdę kochana, Simonie. Taka, jaka jestem, ze wszystkimi moimi zaletami i wadami, z całą moją przeszłością i przyszłością. Nie mogłabym powiedzieć tego o żadnym innym mężczyźnie od czasu... - zawahała się, nim dodała słowa, które nieuchronnie musiały paść z jej ust: - ...kiedy byłam z tobą. Nie spodziewałam się, że jeszcze kiedyś tego doświadczę. To, że nie zaznam więcej czegoś takiego, miało być moją karą za to, co się wydarzyło między nami przed laty. Karą, na którą sobie w pełni zasłużyłam.

St. James w milczeniu pokiwa! głową. Po chwili rzekł:

- Postaraj się skupić, Helen. Czy jesteś całkiem pewna, że nic nie słyszałaś ubiegłej nocy?

Odpowiedziała w typowy dla siebie sposób - także pytaniem.

- A czy ty, gdy kochałeś się po raz pierwszy z Deborah, zwracałeś uwagę na cokolwiek poza tym?

- Oczywiście, masz rację. Dom mógłby doszczętnie spłonąć, a ja pewnie bym tego nie zauważył. I, co gorsza, nawet bym się tym nie przejął. - Wstał, z powrotem powiesił płaszcz na kołku i sięgnął po jej dłoń. Gdy mu ją podała, zmarszczył brwi.

- Mój Boże, coś ty sobie zrobiła, Helen? - spytał.

- Nie rozumiem.

- Spójrz na swoją rękę.

Opuściła wzrok i stwierdziła, że jej palce są zbroczone krwią, tworzącą czarne obwódki pod paznokciami. Zdumiona, wytrzeszczyła oczy.

- Gdzie... Ja nie...

Zauważyła, że z boku spódnicy ma poplamioną krwią, która już zaschła na brązowym wełnianym materiale. Rozejrzała się za jej źródłem, natknęła się wzrokiem na kalosz, który wciąż trzymała w dłoni, podniosła go wyżej i w mrocznym świetle uważnie zbadała lepką substancję wokół cholewki. Bez słowa podała but St. Jamesowi.

Odwrócił go do góry nogami, stuknął nim mocno o drzewo i wy-trzepał dużą futrzaną rękawicę, która ociekała krwią Joy Sinclair i zdążyła się już przeobrazić w papkowatą masę. Najwyraźniej nie zdążono jeszcze tego dowodu usunąć.

Salon w posiadłości Westerbrae, usytuowany na lewo od szerokich schodów, był o połowę mniejszy od biblioteki. Lynleya dziwił nieco wybór tego pokoju na miejsce spotkania licznej grupy. A jednak

właśnie tutaj odbywało się czytanie tekstu Joy Sinclair, o czym świadczyły stojące na samym środku pomieszczenia stoły i krzesła dla aktorów oraz wolne miejsca pod ścianami przeznaczone dla osób przyglądają-

cych się próbie. Świadecko wczorajszemu niefortunnemu zgromadzeniu dawała także wisząca w powietrzu ciężka woń nikotyny, spalonych zapalek, resztek kawy i koniaku.

Kiedy pod czujnym okiem sierżant Havers do pokoju wszedł lord Stinhurst, Lynley wskazał mu miejsce nieopodal kominka, na skórzanym fotelu o niezbyt zachęcającym wyglądzie. Węgiel żarzący się w niewielkim palenisku przełamywał

panujący w pomieszczeniu ziąb. Zza zamkniętych drzwi dochodziły hałaśliwe odgłosy. Przybyła właśnie grupa dochodzeniowa z posterunku policji kryminalnej w Strathclyde.

Stinhurst usiadł, gdzie mu polecono, i założył nogę na nogę. Był w eleganckich, nienagannie odprasowanych spodniach. Odmówił zapalenia papierosa. Mógł służyć za przykład, w jakim stroju należy spędzać weekend na wsi. A jednak pomimo pewnych siebie gestów, cechujących człowieka obytego ze sceną i przywykłego do wystąpień przed szerokim audytorium, zdawał się wyczerpany. Lynley nie był

pewien, czy sprawiło to zmęczenie fizyczne, czy też wysiłek podtrzymania na duchu w krytycznej sytuacji kobiet należących do jego rodziny. Gdy sierżant Havers przerzucała kartki swojego notatnika, inspektor skorzystał z okazji i uważnie przyjrzał się Stinhurstowi.

Cary Grant, pomyślał, podsumowując jego wygląd. Spodobało mu się to porównanie. Choć Stinhurst był po siedemdziesiątce, jego twarz o mocno zarysowanych szczękach nic nie straciła z niezwyklej urody i młodzieńczej siły. Jego włosy, grube i bujne jak niegdyś, w ukośnie padającym, korzystnym świetle nisko zawieszanej lampy mieniły się różnymi odcieniami srebra. Miał jędrne ciało. Zadawał kłam określeniu „podeszły wiek”. Był żywym dowodem na to, że kluczem do młodości jest aktywny tryb życia i pracowitość.

Lynley jednak wyczuwał, że pod tą przystojną i sympatyczną powierzchownością ścierają się ze sobą silne prądy. Uznał, że jedyną szansę na zrozumienie tego człowieka stwarza zdobycie nad nim przewagi. Stinhurst zdawał się celować w kontrolowanie własnego ciała, a także uczuć i umysłu - który był żywy, bystry i, o ile Lynley zdążył stwierdzić, bezbłędny w umiejętności podejmowania decyzji, jaką najlepiej przyjąć metodę w fałszowaniu dowodów. O zdenerwowaniu mężczyzny w obliczu rozpoczynającego się śledztwa świadczyło tylko jednostajne przyciskanie kciuka do serdecznego palca prawej ręki. Ciąto pod paznokciami bladło i czerwieniało na skutek przerywanego i przywracanego krążenia krwi.

Gest ten nie uszedł uwagi Lynleya. Inspektor był ciekaw, czy pojawią się jeszcze inne oznaki rosnącego napięcia jego rozmówcy.

- Bardzo przypomina pan swojego ojca - oświadczył Stinhurst. -Podejrzewam, że często musi pan to styszeć.

Lynley widział, jak sierżant Havers gwałtownie podnosi do góry głowę.

- Raczej nie, zważywszy na rodzaj wykonywanej przeze mnie pracy. Proszę mi wyjaśnić, co pana skłoniło do spalenia kopii dramatu Joy Sinclair.

Jeśli niechęć przyznania się Lynleya do łączących ich więzi wprowadziła Stinhursta w zakłopotanie, to nie dał tego po sobie poznać.

- Nie zamierzam udzielać wyjaśnień przy obecnej tu sierżant.

Havers mocniej ścisnęła w garści ołówek, zmrużyła oczy i w odpowiedzi na tę arogancką uwagę obrzuciła starszego mężczyznę pełnym pogardy spojrzeniem.

Czekała na odpowiedź Lynleya i błysnęła przelotnym, pełnym satysfakcji uśmiechem, gdy oświadczył stanowczo;

- To niemożliwe.

Oparła się wygodnie o poręcz krzesła.

Stinhurst nie drgnął!. Domagając się usunięcia policjantki z pokoju, nawet nie spojrzał w jej stronę.

- Jestem zmuszony nalegać, Thomasie - powiedział jedynie.

Zwrócenie się do Lynleya po imieniu nie tylko przypomniało inspektorowi o gniewnym żądaniu swojej podwładnej, by potraktował Stinhursta z całą surowością, ale również o własnej wściekłości na wieść, że zlecono mu prowadzenie tej sprawy.

- Obawiam się, że nie ma pan prawa o to prosić.

- Ja... nie mam prawa? - Stinhurst posłał mu uśmiech gracza odkrywającego zwycięską kartę. - Nie muszę w ogóle z panem rozmawiać, Thomasie. Nasz system prawny nie nakłada na mnie takiego obowiązku. I obaj dobrze o tym wiemy. Albo sierżant wyjdzie, albo zaczekamy tutaj na przyjazd mojego adwokata z Londynu.

Stinhurst mówi! łagodnym tonem, jak gdyby upominał nieposłuszne dziecko. Jego słowa jednak w pełni odpowiadały faktom. Lynley natychmiast zdał sobie sprawę z alternatywy, przed jaką stanął: prawniczy menuet z adwokatem albo natychmiastowy kompromis i wyciągnięcie ze Stinhursta prawdy - co należało do jego obowiązków.

- Proszę poczekać na zewnątrz - zwrócił się do Havers, wytrzymując spojrzenie siedzącego naprzeciwko mężczyzny.

- Inspektorze... Opanowanie w jej głosie było nie do zniesienia.

- Niech pani przesłucha Gowana Kilbride'a i Mary Agnes Campbell. To nam zaoszczędzi trochę czasu.

Havers głośno nabrała powietrza w płuca.

- Czy mogłabym z panem zamienić kilka słów na osobności?

Na tyle Lynley mógł przystać. Wyszedł z Havers do holu i zamknął za sobą drzwi.

Sierżant pośpiesznie rozejrzała się na boki, sprawdzając przezornie, czy nikt ich nie usłyszy.

- Co, do diabła, pan wyprawia, inspektorze? szepnęła gniewnie. - Przecież nie może pan sam prowadzić przesłuchania. Zapomniał pan o procedurze, którą mnie pan raczył przez ostatnie piętnaście miesięcy i której pan tak cholernie przestrzega?

Jej gwałtowny wybuch nie wywarł na Lynleyu najmniejszego wrażenia.

- O ile dobrze się orientuję, sierżancie, to Webberly wyrzucił procedurę przez okno w tym samym momencie, w którym przydzielił nas do prowadzenia tej sprawy bez formalnej prośby urzędu śledczego w Strathclyde. I nie będę z tego powodu rozdzierał teraz szat.

- Musi pan mieć świadka! A także protokół! Jaki jest sens przesłuchiwanie Stinhursta, jeśli nie będzie żadnych zapisków, które mógłby pan wykorzystać przeciwko... - Przez jej twarz przemknął błysk na-glego olśnienia. - Chyba że zamierza pan dać wiarę każdemu słodkiemu słowu jego lordowskiej mości!

Lynley wystarczająco długo pracował z sierżant Havers, żeby wiedzieć, kiedy słowna utarczka z nią jest wstępem do przeobrażenia się w zajadłą kłótnię. Przerwał

jej:

- Będzie musiała pani sama zdecydować, Barbaro, czy niezależny czynnik, jakim jest arystokratyczne pochodzenie, stanowi wystarczający powód, żeby komuś nie ufać.

- Co pan sugeruje? Uważa pan, że powinnam ufać Stinhurstowi? Zniszczył mnóstwo dowodów, odmawia współpracy i nie ulega kwestii, że tkwi w tym morderstwie po same uszy. A ja mam mu wierzyć?

- Nie miałem na myśli Stinhursta, lecz siebie. Zaniemówiła, przyglądając mu się z otwartymi ustami. Odwróci!

się w stronę drzwi i znieruchomiał z ręką na klamce.

- Chcę, żeby przesłuchała pani Gowana i Mary Agnes. Proszę sporządzić dokładne notatki. Proszę skorzystać z pomocy konstabla La-nona. Czy wyraziłem się jasno?

Posłała mu miazdzące spojrzenie.

- Trudno wyrazić się w sposób bardziej zrozumiały... sir. Z trzaskiem zamknęła swój notatnik i odeszła.

Po powrocie do salonu Lynley stwierdził, że Stinhurst dostosował się do nowych okoliczności i rozluźnił mięśnie kręgosłupa oraz ramion, przyjmując bardziej swobodną pozę. Nie wydawał się już tak nieustępliwy, jak przed chwilą. Sprawiał

wrażenie człowieka niemal bezbronnego. Skierował na Lynleya oczy o barwie trawy. Ich spojrzenie było nieodgadnione.

- Dziękuję panu, Thomasie.

Nagła zmiana osobowości - iście kameleonowe przeobrażenie z wyniosłego dziedzica w pokornego dłużnika - przypomniało Lynleyowi, że życie Stinhursta upływało pomiędzy rzędami teatralnych krzeseł.

- Wróćmy do sprawy kopii dramatu.

- Zabójstwo Joy Sinclair nie ma nic wspólnego z jej sztuką. - Lord Stinhurst nie patrzył na inspektora, lecz skupił uwagę na rozbitej przedniej szybie szklanej gabloty przy drzwiach. Wstał z krzesła, podszedł do niej i spośród kawałków potłuczonej porcelany, której stos wciąż leżał na dolnej półce, wydobyl głowę drezdniejskiej pasterki. Trzymając ją w dłoni, wrócił na swoje miejsce.

- Nie przypuszczam, żeby Francie zdawała sobie sprawę z tego, że stłukła ten bibelot wczoraj wieczorem. To będzie dla niej cios. Dostała ów drobiazg w prezencie od naszego starszego brata. Byli ze sobą bardzo zżyci.

Lynley nie był w nastroju do wysłuchiwania historii rodzinnych.

- Jak pan wytłumaczy fakt, że policja zarejestrowała telefoniczną rozmowę z panem dopiero o siódmej dziesiąt rano? Przecież Mary Agnes Campbell znalazła ciało już o szóstej pięćdziesiąt. Dlaczego zawiadomienie policji zajęło panu aż dwadzieścia minut?

- Do chwili obecnej nie zdawałem sobie sprawy z tego, że upłynęło tak dużo czasu odparł Stinhurst.

Lynley był ciekaw, jak długo ćwiczy tę odpowiedź. Była wymijająca i sprytnie pomyślana, gdyż wykluczała jakiegokolwiek dalsze komentarze czy oskarżenia.

- W takim razie proszę mi dokładnie wyjaśnić, co wydarzyło się dzisiaj rano -

powiedział z rozmyślną uprzejmością. - Może w ten sposób zdołamy wypełnić tę lukę w czasie.

- Mary Agnes znalazła... Joy. Natychmiast pobiegła do mojej siostry, Franceski, a ta z kolei przyszła do mnie. - Lord Stinhurst najwyraźniej był przygotowany na następne pytanie inspektora, gdyż zaraz dodał; Moja siostra wpadła w panikę. Była przerażona. Przypuszczam, że nie pomyślała o obowiązku powiadomienia policji.

Dotychczas zdawała się we wszystkim na swojego męża, Phillipa, który potrafił

zaradzić każdej nieprzyjemnej sytuacji. Jako wdowa szukała oparcia we mnie. Nie ma w tym nic

niezwykłego, Thomasie.

- I to już wszystko?

Oczy Slinhursta spoczęły na porcelanowej główce, którą ostrożnie trzymał w dłoni.

- Kazałem Mary Agnes zebrać wszystkich w salonie.

- Nikt nie protestował? Stinhurst poniósł wzrok.

- Wszyscy byli zaszokowani. Nikt się przecież nie spodziewał, że osoba z najbliższego otoczenia zostanie w nocy zasztyletowana.

Lynley uniósł brwi.

- Rzuciłem okiem na ciało, gdy zamykałem rano drzwi na klucz.

- Postąpił pan bardzo przytomnie jak na człowieka, który po raz pierwszy w życiu natknął się na zwłoki ofiary zbrodni.

- Myślę, że zachowanie zimnej krwi to jedyna rozsądna reakcja w sytuacji, kiedy zbrodnia zostaje popełniona przez kogoś z bliskiego grona.

- Jest pan tego pewien? - spytał Lynley. - A nie przyszło panu na myśl, że mordercą mógł być ktoś z zewnątrz?

- Najbliższa wioska znajduje się osiem kilometrów stąd. Dotarcie tutaj zajęło dzisiaj policji prawie dwie godziny. Czy naprawdę wyobraża pan sobie, że ktoś przyszedł

tu w śniegowcach lub na nartach, by zgadzić Joy w środku nocy?

- Skąd przeprowadził pan rozmowę telefoniczną z policją?

- Z biura mojej siostry.

- Jak długo pan tam przebywał?

- Pięć minut, może krócej.

- I nigdzie więcej pan nie dzwonił?

Pytanie najwyraźniej zbiło Stinhursta z tropu. Jego twarz przybrała wyraz pełen rezerwy.

- Telefonowałem do domu mojej sekretarki w Londynie.

- W jakim celu?

- Chciałem ją zawiadomić o... sytuacji i prosić, żeby odwołała wszystkie moje spotkania

zaplanowane na niedzielny wieczór oraz na poniedziałek.

- Co za dalekowzroczność! Czyż nie zgodzi się pan ze mną, że myślenie o swoich planach tuż po odkryciu morderstwa dokonanego na osobie z grona bliskich osób jest nieco zastanawiające?

- Nic na to nie poradzę, jeśli dziwi pana moje zachowanie. Postąpiłem tak i już.

- A co to były za spotkania, które musiał pan odwołać?

- Nie mam pojęcia. Sekretarka zajmuje się moim rozkładem zajęć. Znam tylko harmonogram na najbliższy dzień. Często przebywam poza biurem. Taka organizacja obojgu nam ułatwia pracę - zakończył niecierpliwie, jak gdyby poczuł

się zmuszony do przyjęcia pozycji defensywnej.

Lynley pomyślał, że Stinhurst nie jest typem człowieka, który wymaga szczegółowo opracowanego planu działania, aby jego życie stało się łatwiejsze i bardziej znośne.

Zatem dwa ostatnie stwierdzenia niezupełnie odpowiadały prawdzie, lecz były jedynie płaszczykiem, pod którym usiłował coś ukryć. Inspektor był ciekaw, dlaczego Stinhurst zdecydował się skłamać.

- Na czym polegała rola Jeremy'ego Vinneya w pana planach weekendowych?

To było już drugie pytanie, na które Stinhurst najwyraźniej nie był przygotowany.

Jednak moment wahania wskazywał raczej na pełne namysłu zastanowienie niż na szukanie wykrętu.

- Joy chciała, żeby przyjechał tutaj z nami - odparł po chwili. -

Powiedziała mu o próbie z tekstem. Vinney napisał do „Timesa” serię artykułów poświęconych renowacji i wznowieniu działalności Agincourt Theatre.

Przypuszczam, że jego pobyt tutaj stwarzał naturalną okazję do rozwinięcia tej historii. Zatelefonował do mnie i spytał, czy może się do nas przyłączyć. Uznałem, że nie zaszkodzi nam przychylna opinia prasy przed premierą. Tym bardziej że oboje z Joy dobrze się znali, a ona bardzo nalegała na jego przyjazd.

- Do czego był jej tutaj potrzebny? Jest krytykiem, nie myślę się, prawda? Dlaczego zależało jej na tym, żeby zobaczyć inscenizację w trakcie jej powstawania? Czy Vinney był kochankiem Joy?

- Niewykluczone. Mężczyźni zawsze uważali ją za szalenie atrakcyjną kobietę.

Jeremy Vinney nie byłby pierwszy.

- A może jego zainteresowania ograniczały się wyłącznie do utworu scenicznego?

Dlaczego spali! pan wszystkie kopie tekstu?

Lynley postara! się, żeby w pytaniu zadźwięczała zapowiedź, że nadciąga to, co niechronne. Twarz Stinhursta odzwierciedlała pokorę, z jaką uznał ten fakt.

- Spalenie kopii nie miało nic wspólnego ze śmiercią Joy Sinclair, Thomasie. Sztuka w tej wersji nie została wystawiona. Gdybym się wycofa! z jej finansowania - a zrobiem to ubiegłego wieczoru - i tak umarłaby śmiercią naturalną.

- Umarłaby. Interesujący dobór siów. Dlaczego w takim razie spalił pan wszystkie jej egzemplarze?

Stinhurst nie odpowiedział. Siedział z oczami utkwionymi w płomieniach. Nie ulegało wątpliwości, że nie może podjąć decyzji. Jego twarz obrazowała walkę wewnętrzną. Subtelne szczegóły duchowej rozterki - natura ścierających się ze sobą sił oraz stawka, o jaką toczyła się gra - nie zostały jednak wyjaśnione.

- Pytałem o egzemplarze utworu scenicznego - przypomniał Lynley nieubłaganym tonem.

Ciało Stinhursta zadrżało konwulsyjnie, jak gdyby przeszedł je dreszcz.

- Spaliłem je z powodu wybranego przez Joy tematu - oznajmił. - To była sztuka o mojej żonie, Marguerite. oraz o jej romansie z moim starszym bratem. A także o ich dziecku, które mieli przed trzydziestoma siedmioma laty. O Elizabeth.

5

Gowan Kilbride od nowa przeżywał katusze. Wszystko zaczęło się w chwili, kiedy konstabl Lonan otworzył drzwi do biblioteki i wywołał Mary Agnes na przesłuchanie. Skoczyła na równe nogi, nie ukrywając, że pali się do spotkania z londyńską policją. Pogłębiło to udrękę chłopca. Jego męki sięgnęły zenitu, gdy uświadomił sobie, że od piętnastu minut dziewczyna znajduje się poza zasięgiem jego wzroku i pełnej oddania - nawet jeśli niewystarczającej - ochrony. Co gorsza, przebywała pod należytą, niezawodną i zdecydowaną męską opieką przedstawicieli Scotland Yardu. I w tym tkwił cały problem.

Gdy tylko policyjna ekipa z Londynu opuściła bibliotekę - a szczególnie gdy po krótkiej wymianie zdań z lady Helen wyszedł z pokoju wysoki, jasnowłosy detektyw kierujący dochodzeniem - Mary Agnes spojrzała na Gowana rozognionym wzrokiem:

- On jest boski - westchnęła.

Uwaga ta nie wróżyła nic dobrego. Ale Gowan, zakochany jak głupiec, drażył temat.

- Kto jest boski? - spytał zdenerwowany.

- Tamten policjant! - Mary Agnes zaczęła wygłaszać hymny pochwalne na cześć inspektora Lynleya. Gowan czuł, jak kolejne określenia głęboko zapadają mu w pamięć: włosy Anthony'ego Andrewsa, nos Charlesa Dance'a, oczy Bena Crossa i uśmiech Stinga. Nieważne, że mężczyzna ani razu się nie uśmiechnął. Mary Agnes w razie potrzeby potrafiła wyobrazić sobie brakujące szczegóły.

Już dostatecznie kłopotliwa była dla młodzieńca bezskuteczna rywalizacja o względy dziewczyny z Jeremym Ironsem. Teraz Gowan uświadomił sobie, że ma konkurenta groźniejszego niż cała grupa czołowych brytyjskich aktorów.

Rozgoryczony zazgrzytał zębami. Wprost zżymał się ze złości.

Ulokował się na obitym płótnem krześle. Po wielu godzinach siedzenia materiał

drażnił skórę niczym sztywny pancerz. Tuż obok, na stojaku niezwykle bogato zdobionym złoceniami, spoczywał cenny globus pani Gerrard. W kwadrans po uwięzieniu grupy został przezornie przesunięty do kąta, żeby ktoś go niechcący nie potracił. Gowan przyglądał się kuli z przygnębieniem. Miał ochotę ją kopnąć, a jeszcze chętniej wyrzuciłby globus przez okno. Rozpaczliwie myślał

o ucieczce.

Próbował stłumić tę myśl, zmuszając się do napawania oczu urokami bibliotecznego wnętrza. Stwierdził jednak, że nic go tutaj nie zachwyca. Białe ośmiokątne stiuki na suficie wymagały odmalowania, podobnie jak zdobiące ich środki girlandy. Lata palenia węglem i osiadania dymu papierosowego zrobiły swoje, a to, co wyglądało na głębokie cienie w zagłębieniach i w złobieniach dekoracji, w rzeczywistości było sadzą - brudem, który w najbliższych miesiącach zapowiada! co najmniej dwa tygodnie żmudnej pracy. Półki z książkami również nie wyglądały zachęcająco.

Setki, a może nawet tysiące zgromadzonych za szkłem egzemplarzy, oprawnych w skórę i od dawna nie używanych, pachniało zastarzałym kurzem. Znowu czyszczenie, odkurzanie

i tak dalej... Gdzie Mary Agnes tak długo się podziewa? Gowan musiał ją znaleźć.

Czuł potrzebę niezwłocznego opuszczenia biblioteki.

Obok niego rozległo się błagalne kobiece zawołanie:

- Mój Boże, nie zniosę tego ani chwili dłużej! Proszę mnie wypuścić!

Podczas pobytu aktorów Gowan stwierdził, że nie darzy ich zbyt wielką sympatią.

Ale po ostatnich dziewięciu godzinach spędzonych w towarzystwie tych ludzi doszedł do wniosku, że czuje wyjątkową odrazę do przedstawicieli tego zawodu.

- Jestem na granicy załamania nerwowego, Davidzie. Czy nie możesz zrobić czegoś, żeby nas stąd wydostać? - Joanna Ellacourt zaatakowała męża, nie przerywając nerwowej wędrówki po pokoju. Wykręcała i załamywała ręce, i paliła. Gowan zauważył, że aktorka od rana nie wyjmuje papierosa z ust. To głównie za jej przyczyną pokój cuchnął niczym tłąca się kupa śmieci. Zdenerwowanie Joanny sięgnęło zenitu, gdy do biblioteki ponownie weszła lady Helen. Jej obecność najwyraźniej stanowiła zagrożenie dla gwiazdy, która się obawiała, że w centrum uwagi zgromadzonych znajdzie się teraz inna osoba.

David Sydeham ze swojego głębokiego fotela podązał wzrokiem za szczupłą sylwetką żony.

- Czego ode mnie oczekujesz, Jo? Mam rozwalić drzwi i zdzielić policjanta po głowie? Jesteśmy na ich lasce, *ma belle*.

- Usiądź, Jo, kochanie - doradził jej życzliwie Robert Gabriel. Wyciągnął do niej rękę i wskazał miejsce obok siebie na kanapie przy kominku. Z wypalonego węgla pozostały jedynie małe szare bryłki, upstrzone żarzącymi się cętkami. - Przez cały C2as szarpiesz sobie nerwy. A policjantom właśnie o to chodzi. Nasze zdenerwowanie jest tym facetom bardzo na rękę i ułatwia im pracę.

- A pan, jak widzę, aż pała chęcią, by za wszelką cenę ją utrudnić - zauważył Jeremy Vinney podniesionym głosem.

- Co to, u diabła, ma znaczyć? - wybuchnął gniewem Gabriel. Vinney zlekceważył go, zapalił zapałkę i przytknął do cybucha fajki.

- Zadałem panu pytanie!

- Nie mam ochoty na nie odpowiadać. ~ Ty żałosny...

- Wszyscy wiemy, że Gabriel kłócił się wczoraj z Joy - zauważył rozsądnie Rhys Davies-Jones. Siedział w miejscu najbardziej oddalonym od baru, na krześle pod oknem. Przed chwilą rozsunął zasłony. Za szybami ukazała się oczom zebranych zionąca czernią otchłań nocy. - Nie sądzę, żeby ktokolwiek z nas musiał owijać ten fakt w bawełnę, gdyż policja i tak dotrze do sedna sprawy.

- Dotrze do sedna sprawy? - ostro zabrzmiał głos Roberta Gabriela. - To miło, że mnie obciążasz popełnieniem tej zbrodni, Rhys. Obawiam się jednak, że nikt w to nie uwierzy.

- Dlaczego nie? Masz alibi? - spyta! David Sydeham. - Według mnie, to ty jesteś najbardziej podejrzany, Robercie, Chyba że wskażesz inną osobę, z którą spędziłeś noc. - Uśmiechnął się sardonicznie. - Może myślisz o tej małej dziewczusce? I liczysz na to, że Mary Agnes rozplywa się wiaśnie w pochwałach nad twoją techniką miłosną? Pewnie gliny nie są w stanie spokojnie usiedzieć na miejscu, słuchając opowieści o tym, co czuje kobieta, mając ciebie między nogami. Czyżby Joy zamierzała wczoraj odkryć przed nami tę tajemnicę w tekście swojej nowej sztuki?

Gabriel skoczył na równe nogi, zderzając się z mosięzną stojącą lampą. Przez bibliotekę przetoczyły się błyskające kręgi światła.

- Równie dobrze mogłem...

- Przestańcie! - Joanna Ellacourt zasłoniła dłońmi uszy. - Nie zniosę tego dłużej!

Przestańcie!

Ale było już za późno. Gwałtowna wymiana zdań spadła na Gowana niby uderzenie pięści. Poderwał się z krzesła. Czterema susami pokonał pokój, dopadł Gabriela i z wściekłością odwrócił go twarzą do siebie.

- Niech cię piekło pochłonie, jeśli tknąłeś Mary Agnes! - wrzasnął. - Zrobiłeś to, powiedz?

Nie był jednak zainteresowany odpowiedzią. Domyślił się jej po minie aktora. Byli jednakowego wzrostu, ale atak furii dodał chłopakowi sił. Narastająca wściekłość zagrzała go do walki. Pojedynczy cios zwalił Gabriela na ziemię, Gowan rzucił się na niego, jedną ręką ścisnął go za gardło, a drugą okładał jego twarz celnymi i mocnymi razami.

- Co zrobiłeś Mary Agnes? - ryknął, zadając kolejne uderzenie.

- Jezu Chryste!

- Niech go ktoś powstrzyma!

Z trudem zachowywany spokój - krucha skorupa oglądy - pękł, przeradzając się w nieopisany chaos. Kończyny waliły zaciekle. Ochryple wrzaski rozdzierały powietrze. O palenisko roztrzaskało się szkło. Stopy kopały, przewracając krzesła.

Gowan oplótł ramieniem szyję aktora. Dysząc i łkając, zaciągnął mężczyznę do kominka.

- Powiedz mi! - Przycisnął przystojną, choć teraz wykrzywioną bólem twarz mężczyzny do ochronnej kraty, zaledwie kilka centymetrów od żarzących się węgli.

- Powiedz mi, ty draniu!

- Powstrzymaj go, Rhys! - Pobladła Irenę Sinclair siedziała sztywno oparta o poręcz krzesła.

Davies-Jones i Sydeham ominęli przewrócone meble oraz zastygłe w przerażeniu postacie lady Stinhurst i Franceski Gerrard, które przywodziły na myśl dwie wersje żony Lota. Dotarli do walczących i bezskutecznie starali się ich rozdzielić. Chłopak, któremu gniew dodał sił, trzymał aktora w nierozzerwalnym uścisku.

- Nie wierz mu, Gowan - szepnął pośpiesznie chłopcu do ucha Davies-Jones.

Mocno chwycił go za ramię i potrząsnął nim, w nadziei że przywróci mu rozsądek. -

Nie możesz tracić panowania nad sobą. Zostaw go, chłopcze. Wystarczy.

W jakiś sposób słowa i kryjące się w nich zrozumienie pobudek Gowana, przebiły się przez falę wściekłości i dotarli do adresata. Młodzieniec puścił Roberta Gabriela, wyszarpnął się Davies-Jonesowi i, dysząc konwulsyjnie, runął jak długi na ziemię.

Oczywiście, zdawał sobie sprawę z powagi sytuacji i z możliwości utraty pracy, a w konsekwencji również i Mary Agnes. Udręka nie odwzajemnionej miłości sprawiła jednak, że zapomniał o wszelkich zagrożeniach. Zaślepiiony bólem, nie pomyślał o wstrząsie, na jaki naraża

swoim niepoczytalnym zachowaniem inne obecne w bibliotece osoby. Pałał żądzą zadania bólu, gdyż sam został zraniony.

- Wiem o wszystkim! I opowiem o tym policji! Jeszcze mi za to zapłacisz!

- Gowanie! - krzyknęła zatrwożona Francesca Gerrard.

- Lepiej od razu wyjaw całą prawdę, chłopcze. Głupotą jest rzucanie takich pogroźek w sytuacji, gdy morderca przebywa w tym samym pokoju - zauważył

Rhys Davies-Jones.

Elizabeth Rintoul nawet nie drgnęła podczas bijatyki. Dopiero teraz się poruszyła, jak gdyby została nagle wyrwana z głębokiego snu.

- Nie ma go tutaj. Przecież mój ojciec poszedł do salonu.

- Domyślam się, jak pan postrzega Marguerite teraz, kiedy ma sześćdziesiąt dziewięć lat, a zasoby jej energii są już bliskie wyczerpania. Jednak jako trzydziestoczteroletnia kobieta, kiedy to wszystko się wydarzyło, była uroczą osobą

- pełną życia i entuzjastycznie do niego ustosunkowaną. - Lord Stinhurst nerwowo podszedł do innego krzesła, które stało nie na środku salonu, lecz na jego obrzeżu, poza zasięgiem światła. Usiadł na nim okrakiem i oparł ręce na kolanach. Gdy mówił, uważnie wpatrywał się dywan, jak gdyby zwarty, arabski wzór krył

interesujące go rozwiązanie. Jego głos był bezdźwięczny. Mężczyzna robił wrażenie recytatora, który wybrał dla swej interpretacji bardzo oszczędne środki wyrazu. -

Marguerite i mój brat, Geoffrey, zakochali się w sobie tuż po wojnie.

Lynley milczał. Zastanawiał się, jak można opowiadać o tak potwornej niewierności z tak niezwykłą powściągliwością. Beznamiętny ton Stinhursta świadczył o nim jako o człowieku emocjonalnie martwym i odpornym na kolejne zranienia -

dążącym do osiągnięcia wyżyn kariery, aby zapomnieć o fiasku osobistego życia.

- Geoff był wielokrotnie odznaczany. Wrócił z wojny jako bohater. Nic dziwnego, że wydał się Marguerite bardzo atrakcyjny. Wszyscy byli nim zauroczeni. Miał w sobie coś... co robiło na ludziach wrażenie. - Stinhurst zamilkł i pogrążył się w rozmyśleniach. Jego dłonie odnalazły się nawzajem i złączyły w mocnym uścisku.

- Czy pan również służył w wojsku w czasie wojny? - spytał Lynley.

- Tak, lecz nie z takim zacięciem i oddaniem jak Geoffrey. Mój brat był niczym ogień - zawsze w życiu błyszczał. I podobnie jak płomień, przyciągał do siebie małe i słabe stworzenia. Ćmy. A Marguerite była jedną z nich. Elizabeth została poczęta w czasie wizyty, jaką

moja żona złożyła w moim rodzinnym domu w Somerset. Stało się to latem, gdy przez dwa miesiące przemieszczałem się z miejsca na miejsca, reżyserując sztuki w prowincjonalnych teatrach.

Marguerite chciała jechać razem ze mną, lecz, prawdę mówiąc, byłaby wtedy dla mnie ciężarem... na zabawianie jej nie miałem czasu.

Postanowiłem więc ją gdzieś wysłać. - Nawet nie próbowałem ukryć pogardy dla samego siebie. - Moja żona nie była głupią gęsią, Thomasie. I nadal nią nie jest.

Domyśliła się, że nie mam ochoty jej ze sobą zabrać, i przestała mnie o to zadreć.

Powinienem być przewidzieć, co to może znaczyć, ale zbyt pochłaniały mnie sprawy związane z teatrem. Nie odgadłem, że Marguerite poczyniła własne plany. Wtedy nie miałem jeszcze pojęcia o tym, że wyjechała z Geoffreyem. Pod koniec lata dowiedziałem się tylko, że jest w ciąży. Nigdy mi nie powiedziała, kto jest ojcem dziecka.

Lynley doskonale rozumiał, dlaczego lady Stinhurst nie udzieliła mężowi tej informacji, jednak fakt, że po tym co się stało, Stuart Rin-toul nadal trwał w związku małżeńskim, był dla niego zupełnie pozbawiony sensu.

- Dlaczego pan się nie rozwiódł? Przynajmniej odzyskałby pan spokój.

- Ze względu na Aleca - odparł Stinhurst. - Naszego syna. Rozwód wprowadziłby wiele zamieszania. W tamtych czasach stałby się wielkim skandalem, o którym całymi miesiącami rozpisywałyby się na pierwszych stronach wszystkie gazety. Nic mogłem Aleca na to narażać. Zbyt wiele dla mnie znaczył. Przypuszczam, że więcej nawet niż małżeństwo.

- Ubiegłego wieczoru Joy oskarżyła pana o zabicie syna.

Przez usta Lynleya przemknął znużony uśmiech, w którym kryło się tyle samo smutku, co rezygnacji.

- Alec... mój syn służył w RAF-ie. Jego samolot się rozbił podczas próbnego lotu nad Orkadami w 1978 roku. Spadł... - Stinhurst szybko zamrugał powiekami i zmienił pozycję - .. do Morza Północnego.

- Joy o tym wiedziała?

- Oczywiście. Kochała się w Alecu. Chcieli się pobrać. Jego śmierć kompletnie ją załamała.

- Czy pan był przeciwny temu małżeństwu?

- Nie zachwycał mnie planowany związek, ale nic nie robiłem, żeby mu zapobiec.

Zasugerowałem tylko, żeby poczekali ze ślubem, dopóki Alec nie odbębni do końca służby.

Dobór słów był zdecydowanie osobliwy.

- Nie odbębni?

- Wszyscy mężczyźni w mojej rodzinie byli w wojsku. Ten model życia obowiązywał od trzystu lat i

nie chciałem, żeby Alec był pierwszym Rintoulem, który złamie tę tradycję. - Po raz pierwszy głos Stinhursta zabarwił się uczuciem. -

On jednak miał zdecydowanie niechętny stosunek do spraw wojskowych, Thomasie. Chciał studiować historię, pragnął się ożenić z Joy i zostać wykładowcą na uniwersytecie. A ja - ślepy głupiec, nedorzeczny patriota, który więcej miłości okazywał rodzinnym tradycjom niż własnemu synowi - nie dałem mu spokoju i nakłoniłem do zaciągnięcia się do armii. Wybrał Królewskie Siły Powietrzne.

Pewnie sądził, że dzięki temu będzie przebywał z dala od konfliktów zbrojnych. -

Stinhurst podniósł wzrok i pośpiesznie wyjaśnił, jak gdyby stawał w obronie syna: -

Nie o to chodzi, że bał się niebezpieczeństw. Po prostu nie mógł ścierpieć wojny. I chyba, jak na przyzwoitego historyka przystało, była to dość naturalne odczucie.

- Czy Alec wiedział o romansie swojej matki ze stryjem?

Stinhurst znów pochylił głowę. Ta rozmowa najwyraźniej go postarzyła i zmniejszyła ostatnie zasoby jego sił. Niezwykła zmiana, jak na człowieka o tak młodszej osobowości.

- Myślałem, że nie wie. Miałem taką nadzieję. Jednak wczoraj wieczorem Joy oświadczyła mi, że wiedział.

A zatem na próżno odgrywali przez te wszystkie lata komedię, która miała ochronić Aleca. Następne słowa Stinhursta były wiernym odbiciem myśli Lynleya.

- Zawsze byłem cholernie kulturalny. Żyliśmy zgodnie aż do ostatniego dnia 1962

roku i zachowywaliśmy pozory, że Elizabeth jest moją rodzoną córką.

- Co się wtedy stało?

- Odkryłem prawdę. Była to przypadkowa, niezamierzona uwaga, na której podstawie wywnioskowałem, że mój brat Geoffrey przebywał tamtego pamiętnego lata w Somerset, a nie w Londynie. I wtedy zrozumiałem. Myślę jednak, że podejrzewałem to od samego początku.

Stinhurst gwałtownie wstał z krzesła. Podeszedł do kominka, dorzucił do żaru kilka bryłek węgla i obserwował, jak obejmują je płomienie. Lynley czekał, zastanawiając się, czy nagła aktywność wynika z potrzeby stłumienia uczuć, czy chęci przemilczenia taktów z przeszłości.

- Stoczyliśmy wtedy ze sobą... zażartą bójkę. To nie była kłótnia, lecz fizyczna walka. Doszło do niej tutaj, w Westerbrae. Dopiero Phillip Gerrard, mąż mojej siostry, położył jej kres. Najgorzej wyszedł na tym Geoffrey. Odjechał tuż po północy.

- Był w stanie prowadzić samochód?

- Sądzę, że tak mu się wydawało. Bóg świadkiem, że nie próbowałem go zatrzymać.

Marguerite usiłowała to zrobić, ale nie chciał, żeby się do niego zbliżała. Ruszył

spod domu jak szalenciec i niespełna pięć minut później poniósł śmierć, spadając z przełęczy tuż poniżej farmy Hillview. Wpadł w poślizg i nie zdołał wziąć wirażu.

Skręcił sobie kark. A potem... spłonął.

Obaj milczeli. Z kominka wystrzelił kawałek węgla i wypalił ślad na brzegu dywanu. Powietrze wypełnił drażniący zapach tłącej się wetny. Stinhurst wrzucił

żarzący się węgielek z powrotem do paleniska i dokończył opowieść:

- Joy Sinclair przebywała tamtej nocy w Westerbrae. Przyjechała do nas na ferie.

Była jedną ze szkolnych koleżanek Elizabeth. Musiały do niej dotrzeć jakieś fragmenty kiótni i złożyła je w całość. Zawsze pasjonowało ją systematyzowanie informacji. Czy mogłaby znaleźć lepszy sposób, aby wziąć na mnie odwet za nieumyślne spowodowanie śmierci Aleca?

- Przecież od tamtej pory upłynęło już dziesięć lat. Dlaczego tak długo miałyby zwlekać z zemstą?

- Kim była Joy Sinclair przed dziesięcioma laty? Jak mogła się zemścić dwudziestopięcioletnia kobieta, która stała dopiero u progu kariery? Kto by jej zechciał wysłuchać? Była nikim. Teraz jednak - nagradzana licznymi wyróżnieniami i słynąca z wiarygodności w przedstawianiu faktów autorka - mogła liczyć na to, że znajdzie posłuch. Sprytnie to sobie obmyśliła, pisząc jedną sztukę w Londynie, a drugą przywożąc do Westerbrae. Nikt nie miał pojęcia o zamianie utworu scenicznego, dopóki wczoraj wieczorem nie zaczęła się próba czytana. Joy sprowadziła dziennikarza, żeby zapoznać go z najbardziej pikantnymi szczegółami.

Oczywiście nie wszystko przebiegło zgodnie z jej planem. Na skutek reakcji Franceski czytanie zostało przerwane na długo przedtem, nim wyszły na jaw najgorsze detale naszej plugawej rodzinnej sagi. A teraz dzieło Joy jest już unicestwione.

Słowa, będące jawnym przyznaniem się do winy, wprawiły Lynleya w zdumienie. Z

pewnością Stinhurst musiał mieć świadomość, w jak wielkim stopniu sam siebie obciąża.

- Chyba pan rozumie, że spalenie kopii dramatu przedstawia pana w bardzo złym świetle?

Producent w jednej chwili skierował oczy w stronę ognia. Przez jego brwi przemknął cień i sprawił, że śniada cera na policzkach wydała się jeszcze ciemniejsza.

- Nic na to nie poradzę, Thomasie. Musiałem ochraniać Marguerite i Elizabeth. Bóg świadkiem, że jestem im to winien. Szczególnie Elizabeth. Należą do mojej rodziny.

- Jego apatyczne oczy o przygasłym spojrzeniu, w których malowały się wszystkie odcienie bólu,

napotkały wzrok inspektora. - Przypuszczam, że nikt lepiej od pana nie rozumie, jak wiele znaczy dla mężczyzny jego rodzina.

Lynley doskonale pojmował Stinhursta. I to było najgorsze.

Dopiero teraz dostrzegł wzór tapety na ścianach salonu. Te same róże zdobiły ściany dziennego pokoju jego matki w Howenstow, a z pewnością także wiele innych jadalni, sypialni i bawialni w niezliczonych posiadłościach na terenie całego kraju.

Papierowe wyklejiny imitowały późnowiktoriański styl, a ich deseń tworzyły rozrzucone herbaciane róże o matowych płatkach, walczące o pierwszeństwo z li-

śmi, które z powodu upływu czasu i dymu były bardziej szare niż zielone.

Nie rozglądając się wokół, Lynley mógł zamknąć oczy i opisać umeblowanie - tak było podobne do wyposażenia salonu matki w Kornwalii: kominek z marmuru łączonego z żelazem i dębiną, dwie porcelanowe figurki po obu stronach jego obramowania, stojący zegar w kącie w drewnianej obudowie z włoskiego orzecha oraz jedna mała półka z ulubionymi lekturami. I, oczywiście, fotografie na stoliku z polerowanego drewna w niszy okiennej.

Wszystko w tym pokoju przypominało Lynleyowi o jakże podobnych dziejach zamożnych angielskich rodzin.

Dobry Boże, jak doskonale rozumiał Stinhursta. Arystokratyczny rodowód nakazywał lordowi troszczyć się o rodzinę i poczuwać do obowiązku bronienia jej. I Lynley był oddany swojej przez większość trzydziestu czterech lat życia. Więzy krwi krępowały jego swobodę, udaremniały zaspokajanie pragnień, uzależniały go od tradycji i kazały podporządkowywać się regułom przyprawiającej o klaustrofobię egzystencji. A jednak nie było od tego ucieczki. I jeśli nawet ktoś rezygnował z ziemi oraz tytułów, to i tak nie mógł odciąć się od korzeni. Ani zmienić swojego pochodzenia.

Oświetlenie jadalni w Westerbrae gwarantowało, że każdy wydawał się w nim o dziesięć lat młodszy. Działo się to za sprawą mosiężnych kinkietów na wyłożonych boazerią ścianach, a także lichtarzy rozstawionych w równych odległościach od siebie na błyszczącym blacie długiego mahoniowego stołu. Przy jednym jego końcu stała Barbara Havers nad rozłożonym planem domu, sporządzonym przez inspektora Macaskina. Porównywała go ze swoimi notatkami, mrużąc oczy przed dymem z papierosa, którego trzymała w ustach. Pałeczka nie strzeptywanego popiołu sugerowała, że palaczka usiłuje pobić rekord jej długości. Pracownik ekipy śledczej Macaskina, który głęboko przekonany o własnej muzykalności, gwizdał

melodię „Wspomnienia”, zbierał odciski palców z bogato zdobionych szkockich sztyletów, zawieszonych na ścianie nad kredensem. Stanowiły część większej ekspozycji, składającej się z eksponatów o równie śmiertelnościami działaniu - ha-labard, muszkietów i lochaberskich siekier.

Zerkając na plan, Barbara usiłowała nagiąć zeznania Gowana Kł-bridge'a, tak aby pasowały do jej koncepcji przebiegu wydarzeń. Zadanie to nie było jednak łatwe.

Ujawnione fakty podważały wiarygodność jej teorii. Odetchnęła z ulgą, gdy dobiegł

ją odgłos kroków w holu. Mogła teraz z czystym sumieniem skierować uwagę na inne sprawy. Podniosła wzrok. Niechcący strząsnęła popiół z papierosa na sweter.

Strzepnęła go, poirytowana, gdyż na wełnie pozostała szara smuga, przypominająca odcisk kciuka.

Do jadalni zajrzał Lynley. Unikając spotkania ze specjalistą od kryminalistyki, skinął głową na Barbarę, i wskazał jej drzwi po drugiej stronie pokoju. Policjantka zgarnęła notatki i podążyła za inspektorem. Minęła kotłownię, kredens i weszła do kuchni, gdzie unosił się zapach mięsa przyprawionego rozmarynem oraz perkoczącego na piecu sosu pomidorowego. Przy stole na środku pomieszczenia pochylała się nad deską kobieta o zaczerwienionej z pośpiechu twarzy i krajała kartofle nożem o wyjątkowo groźnym wyglądzie. Od stóp do głów była ubrana na biało i bardziej przypominała naukowca zatrudnionego w laboratorium niż kucharkę.

- Goście muszą dostać obiad - wyjaśniła zwięźle, widząc Barbarę i Lynleya, chociaż sposób, w jaki dzierżyła swe narzędzie, bardziej nasuwał myśl o samoobronie niż przygotowywaniu posiłku.

Lynley wymruczał jakąś uwagę kulinarną, nim ruszył dalej. Zaprowadził Barbarę w drugi koniec kuchni, a potem do mieszczącej się trzy stopnie niżej pomywalni.

Zagracone i słabo oświetlone pomieszczenie

było ustronne i ciepłe dzięki ogromnemu i głośno syczącemu w kącie bojlerowi, z którego kapała na splekaną posadzkę rdzawa woda. Atmosfera tego miejsca, wypełnionego prawie nieuchwytnym odorem pleśni i wonią mokrego drzewa, przypominała nieco łaźnię parową. Tuż za zbiornikiem znajdowały się schody prowadzące na wyższe piętra domu.

- Co Mary Agnes i Gowan mieli do powiedzenia? - spytał Lynley, gdy już zamknął drzwi.

Barbara podeszła do ziewu, zgasiła papierosa pod kranem i wrzuciła niedopałek do śmieci. Wsunęła za uszy swoje krótkie, ciemne włosy, przystanąła, żeby zdjąć z języka okruch tytoniu i dopiero wtedy skupiła uwagę na notatkach. Była wściekła na Lynleya, a fakt, że nie umiała sobie tego wytłumaczyć, wprawiał ją w zakłopotanie.

Nie wiedziała, czy powodem jest wcześniejsze zachowanie szefa, kiedy to wyprawi!

ją z salonu, czy też jego spodziewana reakcja na sporządzone przez nią zapiski. Ale cokolwiek było źródłem rozdrażnienia, wlało jej za skórę niczym zadra. I jak drzazga, dopóty jątrzyło ranę, dopóki tkwiło wewnątrz ciaia.

- Zacznijmy od Gowana - zaproponowała krótko, opierając się o drewniany blat ze spaczonych desek. Nie zdążył wyschnąć po ostatnim zmywaniu i Barbara poczuła, że ubranie przemaka jej w miejscu styczności z mokrą krawędzią blatu. Odsunęła się na bok. - W bibliotece, na chwilę przed moją rozmową z chłopakiem, doszło do straszliwej bójkii pomiędzy nim a Robertem Gabrielem.

- Jak wyglądało starcie?

- Była to krótka bijatyka, podczas której nasz gładki pan Gabriel zebrał tęgie baty.

Gowan nie omieszka! mi o tym opowiedzieć, podobnie jak i o kłótni pomiędzy Joy Sinclair a Gabrielem, którą podsłuchał wczoraj po południu. Prawdopodobnie tych dwoje miało kiedyś ze sobą romans. Aktor usiłował wymóc na Joy, aby powiedziała jego byłej żonie - Irenę Sinclair, swojej siostrze - że tylko raz poszli razem do łóżka.

- Dlaczego?

- Odniosłam wrażenie, że bardzo mu zależy na powrocie do żony. Sądził pewnie, że Joy może przyczynić się do pojednania, jeśli zapewni Irenę, że ich przygoda była tylko jednorazowym epizodem. Joy jednak odmówiła. Oświadczyła, że nie będzie się poniżać do kłamstwa.

- Do kłamstwa?

- Tak. Widocznie ich zażyłość nie była nic nie znaczącym związkiem. - Barbara zajrzała do notatek. - Gowan twierdził, że gdy Joy odmówiła współpracy, Gabriel wrzasnął: „Ty hipokrytko! Przez cały rok pieprzyłaś się ze mną po różnych zawoszonych dziurach w Londynie, a teraz śmiesz powiedzieć, że nie będziesz się poniżać do kłamstwa?” Kłócili się nadal, aż w końcu Gabriel się na nią rzucił. Przypierał ją do ziemi w chwili, kiedy Davies-Jones wdarł się do pokoju i ich rozdzielił. Gowan odnosił na górę czyjaś walizkę, kiedy to się stało. I widział

wszystko na własne oczy, ponieważ reżyser, wpadając do środka, zostawił drzwi otwarte na oścież.

- Co było powodem konfliktu chłopaka z Gabrielem w bibliotece?

- Czyjaś niedwuznaczna uwaga, chyba Sydehama, o Mary Agnes jako o alibi aktora na czas ubiegłej nocy.

- Ile w tym jest prawdy?

Barbara przez chwilę zastanawiała się nad odpowiedzią.

- Trudno powiedzieć. Dziewczyna wydaje się zafascynowana teatrem. Jest atrakcyjna, ma ładne ciało... - Barbara pokręciła głową. - Ale ten mężczyzna jest co najmniej dwadzieścia pięć lat od niej starszy, inspektorze. Jestem w stanie zrozumieć, że on by ją chętnie zbałamucił, ale trudno mi pojąć, dlaczego ona miałaby na to przystać. Chyba że... - Barbara zamyśliła się, rozważając różne możliwości. Zaintrygowała ją jedna, najbardziej prawdopodobna.

- Havers?

- No cóż, mogła wiązać z jego osobą nadzieje na porzucenie dotychczasowego życia. Dobrze pan wie, że często zdarzają się tego rodzaju historie. Zafascynowana gwiazdami sceny dziewczyna spotyka popularnego aktora i dostrzega możliwość zmiany swojej egzystencji przez związek z nim. Oddaje mu się, pełna nadziei, że razem z nim wyjedzie.

- Pytałaś ją o to?

- Nie. Dopiero po rozmowie z Mary Agnes usłyszałam o kłótni Gowana z Gabrielem. A potem już jej nie widziałam. - Stało się tak głównie z powodu zeznań Gowana, a także pewności, że Lynley niezwłocznie będzie chciał się zapoznać z informacjami.

Zdawał się czytać w jej myślach.

- Co Gowan zdołał ustalić odnośnie do przebiegu ubiegłej nocy?

- Wiele widział po przerwaniu próby, ponieważ musiał wysprzątać hol po kolizji tacy z alkoholami z Francescą Gerrard, gdy niespodziewanie wypadła z salonu.

Zajęło mu to prawie godzinę. Pomimo pomocy Helen.

Lynley zignorował ostatnią wzmiankę.

- I co dalej?

Barbara wiedziała, na jakich wiadomościach zależy inspektorowi. Nie śpieszyła się z ich przekazaniem, skupiając uwagę na drugoplanowych bohaterach dramatu, których kolejne wyjścia na scenę Gowan zapamięta! ze zdumiewającą dokładnością.

Lady Stinhurst, ubrana na czarno, błąkała się bez celu pomiędzy jadalnią, salonem i głównym holem aż do północy, kiedy to mąż zszedł po nią na dół. Jeremy Vin-ney deptał jej po piętach i zadawał pytania, które ona wytrwale ignorowała. Joanna Ellacourt przeleciała przez korytarz na piętrze jak burza gradowa, dając upust złemu humorowi po głośnej sprzeczce z mężem. A Irene Sinclair i Robert Gabriel zamknęli się w bibliotece. Dopiero o wpół do pierwszej zapanowała w domu względna cisza.

- Przypuszczam, że to nie wszystko, co Gowan widział! - dobiegły Barbarę słowa wypowiedziane przez Lynleya z typową dla niego przenikliwością.

Przygryzła zębami od wewnątrz dolną wargę.

- Rzeczywiście, to nie wszystko. Później, gdy już leżał w łóżku, usłyszał! na korytarzu czyjeś kroki. Jego pokój znajduje się na parterze tuż za rogiem, gdzie północno-zachodnie skrzydło budynku zbiega się z głównym holem. Nie jest pewien pory, wie tylko, że dawno minęła dwunasta. Sądzi, że raczej dochodziła pierwsza. Był zaintrygowany z powodu nerwowej atmosfery, jaka zapanowała wieczorem w domu. Wstał z łóżka, uchylił drzwi i nasłuchiwał.

- I co się wydarzyło?

~ Znowu rozległy się kroki, a także odgłos otwieranych i zamykanych drzwi. -

Barbara nie kwapiła się zbyt do relacjonowania dalszej opowieści chłopaka.

Wiedziała, że jej twarz odzwierciedla tę niechęć. Niemniej brnęła dalej, kończąc historię o tym, jak to Gowan opuścił swój pokój, dotarł do końca korytarza i zajrzał

zza węgła do głównego holu. Było ciemno - kilka minut wcześniej osobiście pogasił

wszystkie światła - ale lampy na zewnątrz posiadłości zapewniały słabą widoczność.

Barbara domyśliła się po nagiej zmianie wyrazu twarzy Lynleya, że odgadł, co nastąpiło dalej.

- Zobaczył Davies-Jonesa - stwierdził inspektor.

- Tak. Reżyser wychodził jednak z biblioteki, a nie z jadalni, gdzie znajdują się sztylety, inspektorze. Miał w ręce butelkę. Był to pewnie koniak, który zaniósł do Helen. - Czekala na moment, kiedy Lynley

wystąpi z nieuchronnym wnioskiem, jaki i jej się nasunął. Wyprawa do jadalni po sztylet była równie łatwa, jak po koniak do mieszczącej się dziewięć metrów dalej biblioteki. A ponadto wciąż pozostawał jeszcze niepodważalny fakt zamkniętych na klucz drzwi do pokoju Joy Sinclair.

Jednakże inspektor powiedział tylko:

- Czy chłopak coś jeszcze widział?

- Nie. Davies-Jones wszedł po schodach na górę. Lynley ponuro pokiwał głową.

- Zróbmy to samo.

Zaprowadził Barbarę do kuchennych schodów. Były wąskie, bez wykładziny, oświetlone zaledwie dwoma gołymi żarówkami i pozbawione jakichkolwiek dekoracji. Wiodły do zachodniego skrzydła gmachu.

- A co z Mary Agnes? - spytał, gdy się pięli w górę.

- Oświadczyła, zanim się jeszcze pojawił ów wątek z Gabrielem, że w nocy nie słyszała żadnych podejrzanych dźwięków z wyjątkiem odgłosów wichury. Mogły ją dobiegać w pokoju aktora, niekoniecznie we własnej sypialni. Jednakże jest pewna niejasność, o której, jak sądzę, powinien się pan dowiedzieć. - Czekala, aż Lynley skończy się badawczo przyglądać ścianie w górnej części schodów. Szpeciła ją spora plama przypominająca kształtem kontynent australijski. Wyglądało na to, że jest mokra.

- Natychmiast po odnalezieniu zwłok Mary Agnes pobiegła po Francescę Gerrard.

Obie sprowadziły lorda Stinhursta. Wszedł do pokoju ofiary, chwilę później go opuścił i polecił dziewczynie, żeby zaczekała u siebie, dopóki nie zjawi się po nią pani Gerrard.

- Obawiam się, że nie bardzo rozumiem, do czego pani zmierza. Havers.

- Francesca Gerrard przyszła po Mary Agnes po upływie dwudziestu minut. Dopiero wtedy lord Stinhurst kazał jej zbudzić wszystkich domowników i przekazać im, żeby zebrali się w salonie. Przedtem jednak kilka razy telefonował z biura siostry, które się mieści obok sypialni pokojówki, i dlatego dziewczyna wyraźnie słyszała jego głos. I co ciekawsze, inspektorze, również ze Stinhurstem ktoś się dwukrotnie łączył.

Kiedy Lynley nie zareagował na tę informację, Barbara poczuła, jak na nowo ogarniają irytacja.

- Pamięta pan lorda Stinhursta, sir? Chyba pan wie, kim jest? Człowiekiem, który obecnie powinien znajdować się w drodze na posterunek za zniszczenie dowodów, utrudnianie pracy policji i za popełnienie morderstwa.

- To przedwczesne wnioski - zauważył Lynley. Jego spokój spotęgował rozdrażnienie Barbary.

- Ach tak? Kiedy pan doszedł do tego znakomitego przekonania?

- Żaden z dotychczas poznanych faktów nie przekonuje mnie, że to lord Stinhurst zamordował Joy Sinclair. - Głos inspektora mógł uchodzić za wzorzec cierpliwości.

- Ale nawet gdybym dopuszczał możliwość jego udziału w zbrodni, to i tak nie aresztowałbym go tylko dlatego, że spalił plik egzemplarzy utworu scenicznego.

- Co takiego? - Głos Barbary zabrzmiał chrapliwie. - Już pan podjął decyzję co do Stinhursta. nie

mylę się, prawda? Na podstawie jednej rozmowy z facetem, który pierwsze dziesięć lat swojej kariery spędził na deskach scenicznych. Pewnie odstawił świetne przedstawienie, tłumacząc się dzisiaj przed panem! To przeżabawne, inspektorze! Odwalił pan kawa! dobrej policyjnej roboty! Może być pan z siebie dumny!

- Zapomina się pani, Havers.

Przywoływał ją do porządku. Uwagi Barbary nie uszło brzmiące w jego głosie ostrzeżenie. Wiedziała, że powinna spuścić z tonu, ale teraz, kiedy miała całkowitą rację, nie zamierzała tego robić.

- W jaki sposób przekonał pana o swojej niewinności? Czy powiedział, że wasi ojcowie byli kumplami z Eton? I że chciałby częściej widywać pana w waszym londyńskim klubie? A może po prostu zapewni!, że zniszczenie dowodów nie miało nic wspólnego z morderstwem i że może pan zaufać jego słowu - stowu dżentelmena?

- To sprawa bardziej złożona i nie mam ochoty jej teraz wyjaśniać. ...

- .. .komuś takiemu jak ja! Co za brednie! - dokończyła.

- Jeśli zdoła pani w sobie przezwyciężyć rozgoryczenie i uprzedzenia wobec innych, może również i panią ludzie będą darzyć zaufaniem -warknął Lynley. Zaraz jednak przystanął i odwrócił się do niej twarzą.

Najwyraźniej zaiował, że straci! nad sobą panowanie. Sprowokowała go do tego swoim zachowaniem. Pragnęła, aby kipiał! złością tak jak przedtem ona, w chwili kiedy ją wyprasza! z salonu. Widziała jednak wyraźnie, że nie zdołała go przekonać o ukartowanej grze Stinhursta. Zganiła się w myślach za własną głupotę i wybuchowość.

- Przepraszam pana, inspektorze - powiedziała po chwili żalonym tonem. - Znowu dafam się ponieść nerwom.

Lynley nie od razu się odezwał. Stali na schodach, oboje spięci, jak gdyby z różnych przyczyn dotkliwie cierpieli. Lynley z wyraźnym trudem otrząsnął się z ponurych rozmyślań.

- Aresztujemy ludzi na podstawie dowodów, Barbaro. . Spokojnie skinęła głową.

Krótki wybuch złości minął.

- Wiem o tym, sir. Uważam jednak, że... - Nie będzie chciał tego słuchać.

Znienawidzi ją. - Uważam, że lekceważy pan oczywiste fakty - brnęła ryzykownie.

~ A to może doprowadzić pana prosto do Davies-Jonesa, i to wcale nie na podstawie dowodów, lecz zgola czego innego... Niewykluczone, że nawet przed samym sobą boi się pan do tego przyznać.

- Nie o to chodzi - uciał Lynley, podejmując wędrówkę po stopniach w górę.

Na piętrze Barbara zidentyfikowała każdy mijany pokój: najbliżej schodów kuchennych znajdował się numer Gabriela, potem Vinneya, a w dalszej kolejności Elizabeth Rintoul i Irene Sinclair. Naprzeciwko ostatniego, po drugiej stronie holu, w miejscu gdzie zachodni korytarz skręcał w prawo, rozszerzał się i łączył z główną częścią gmachu, była sypialnia Rhysa Davies-Jonesa. Wszystkie drzwi pozamykano. Rozmieszczone w dużych odległościach od siebie kinkiety rzucały na białe ściany półkula bladego światła. Gdy przemierzali sień obwieszoną portretami przedstawiającymi ponure twarze kilku pokoleń przodków rodziny Gerrardów, spotkali St. Jamesa. Wręczył Lynleyowi plastikową torbę.

- Znaleźliśmy to oboje z Helen w jednym z kaloszy na dole. David Sydeham utrzymuje, że to jego własność.

6

David Sydeham nie wyglądał na mężczyznę, z którym kobieta o sławie i reputacji Joanny Ellacourt żyłaby w związku małżeńskim od blisko dwudziestu lat. Lynley znał bajki o tej parze - romantyczne bzdury, jakimi ilustrowane brukowce karmił swoich czytelników podróżujących metrem w godzinach szczytu. Głosiły one, że dwudziestodwuletni kasjer kolejowy, syn duchownego z prowincji - facet o zaledwie nieco urodziwszym niż przeciętny wyglądzie i niezachwianej pewności siebie - odkrył dziewiętnastoletnią panienkę z Nottingham, która w podrzędym teatrze grała rolę rozczochranej Celi. Namówił

ją, żeby połączyła swój los z jego, wyrwał ją z ponurego proletariackiego środowiska, zapewnił jej lekcje dykcji oraz śpiewu i poprowadził krok po kroku po szczeblach kariery, dopóki nie przeobraziła się, co od dawna przewidywał, w najbardziej cenioną aktorkę w kraju.

Dwadzieścia lat później Sydeham nadal był przystojny w pewien zmysłowy sposób, lecz jego męska uroda już przekwitła i niekorzystnie się na niej odbiły skłonności Davida do rozpusty. Skóra straciła dawną jędrność, pod brodą pojawiła się fałda, a dłonie i twarz stały się zdecydowanie zbyt obrzmiałe. Podobnie jak inni mężczyźni w Westerbrae, Sydeham nie miał okazji się dzisiaj ogolić, na skutek czego wydawał

się bardziej znużony życiem niż zwykle. Ciemny zarost podkreślał głębokie sińce pod oczami o ciężkich powiekach. Ubrany był z godnym uznania wyczuciem, by zaprezentować się od jak najlepszej strony. Choć miał posturę byka, umiejętnie tuszował ją krojem marynarki, koszulą i spodniami - rzeczami bez wątpienia szytymi na miarę. Jego ubiór wyglądał kosztownie, podobnie jak zegarek oraz sygnet, który w blasku ognia zamigotał złotem, w chwili gdy mężczyzna zajmował

miejsce w salonie. Lynley zauważył, że nie usiadł na krześle z twardym oparciem, lecz w wygodnym fotelu stojącym w półmroku na krańcu pokoju.

- Niezbyt dobrze zrozumiałem, na czym polegała tutaj pańska rola podczas weekendu - rzekł inspektor, gdy sierżant Havers zamknęła drzwi i usadowiła się przy stole.

Chce pan wiedzieć, czym się generalnie zajmuję? - Twarz Sydehama przybrała życzliwy wyraz. To była interesująca kwestia.

- Byłbym wdzięczny, gdyby zechciał mi pan to wyjaśnić.

- Czuwam nad karierą mojej żony. Sprawuję pieczę nad jej kontraktami, pilnuję rozkładu zajęć oraz interweniuję w razie nacisków. Czytuję jej teksty, ćwiczę z nią role i zarządzam jej pieniędzmi. - Sydeham zauważył zmianę wyrazu twarzy Lynleya. - Tak, zarządzam jej pieniędzmi. Wszystkimi. A jest ich trochę. Ona je zarabia, a ja lokuję w inwestycjach. Jak pan widzi, ma pan przed sobą utrzymanka, inspektorze. Po tej uwadze uśmiechnął się bez śladu rozbawienia. Najwidoczniej był uczulony na powierzchowną i niesprawiedliwą ocenę jego stosunków z żoną.

- Czy dobrze znał pan Joy Sinclair? - spytał Lynley.

- Chodzi panu o to, czy ją zabiłem? Po raz pierwszy zobaczyłem tę kobietę wczoraj o siódmej trzydzieści wieczorem. Joanna nie była zachwycona dokonanymi przez nią zmianami w utworze scenicznym. Zwykle w takich wypadkach negocjuję wprowadzenie poprawek z dramaturgami i nie mam zwyczaju ich mordować, jeśli nie podoba mi się to, co napisali.

- Dlaczego pańska żona nie była, jak pan to ujął, zachwycona sztuką?

Przez cały czas podejrzewała, że Joy użyje jej jako narzędzia umożliwiającego Irene powrót na scenę. Że odbędzie się to kosztem Joanny. Nazwisko żony miało przyciągnąć widownię i krytyków, lecz główną postacią dramatu, na której by się skupiły wszystkie oczy, byłaby Irene Sinclair. W każdym razie tego się Jo obawiała.

I kiedy zobaczyła zmieniony tekst, doszła do wniosku, że sprawdziły się jej najgorsze przypuszczenia. - Sydeham powoli się wyprostował, naprężając plecy. Był to dziwny gest. - Prawdę mówiąc, potem dość ostro pokłóciliśmy się o to z żoną.

- Czy może pan opowiedzieć o tej sprzeczce?

Była to typowa małżeńska kłótnia typu: „Spójrz tylko, w co mnie wpakowałeś”.

Joanna postanowiła, że nie wystąpi w tej sztuce.

- A cały problem został sprawnie rozwiązany, czyż nie tak? - zauważył Lynley.

Nozdrza Sydehama się rozdeły.

- Moja żona nie zamordowała Irene Sinclair, inspektorze. Ani ja tego nie zrobiłem.

Zabicie Joy nie położyłoby kresu naszemu prawdziwemu problemowi.

Oderwał nagle wzrok od Lynleya, obrzucił spojrzeniem sierżant Havers, a potem skupił uwagę na stoliku pod oknem i rozstawionych na nim fotografiach w srebrnych ramkach.

Lynley dostrzegł przynętę w oświadczeniu mężczyzny i postanowił dać się na nią schwytać.

- Wasz prawdziwy problem?

Sydeham ponownie odwróci! się do niego przodem.

- Robert Gabriel - oświadczy! zadumany. - Przeklęty Robert Gabriel.

Inspektor już przed wieloma laty się nauczył, że milczenie może być równie pożytecznym narzędziem podczas przesłuchania, jak każde pytanie. Oczekiwanie niemal zawsze pogłębiało napięcie, stawiając przesłuchującego w uprzywilejowanej pozycji - była to jedna z niewielu korzyści wynikających z posiadania policyjnej odznaki. Nie odezwa! się, pozwalając Sydehamowi dalej ciągnąć swoje wynurzenia, co mężczyzna niemal natychmiast zrobił.

- Gabriel od Jat zabiega o względy Joanny. Wyobraża sobie, że jest kimś pomiędzy Casanovą a Lothariem. Tyle że na Joannę nie działają jego wdzięki. Nigdy nie mogła znieść tego faceta.

Lynleya zdumiała ta rewelacja, gdyż Joanna Ellacourt i Robert Gabriel byli najbardziej znaną parą scenicznych kochanków. Najwyraźniej Sydeham prawidłowo odczytał jego reakcję, gdyż uśmiechnął się ze zrozumieniem.

- Moja żona jest świetną aktorką. I zawsze nią była. Prawda jest taka, że gdy w ubiegłym sezonie, podczas spektaklu „Otella”, Gabriel o jeden raz za dużo wsadził

jej rękę pod spódnicę, definitywnie zakończyła z nim współpracę. Niestety, nie uprzedziła mnie o niezłomności swojego postanowienia. A potem było już po fakcie. Podpisałem kontrakt ze Stinhurstem na tę ostatnią sztukę i osobiście dopilnowałem, żeby Gabriel również dostał w niej rolę.

- Dlaczego?

- Ze względów czysto finansowych. Gdy grają razem, stwarzają na scenie atmosferę wzajemnego zauroczenia sobą. A ludzie płacą za

to, żeby znaleźć się w zasięgu działania magii. Sądziłem, że Joanna zdoła się sama o siebie zatroszczyć, gdy będzie zmuszona znowu stanąć obok Gabriela na deskach teatru. Do leż pory jakoś sobie z nim radziła. Ukąsiła go jak rekin, gdy podczas scenicznego pocałunku usiłował jej wsunąć język do ust, a potem z powodu tego epizodu długo się z niego wyśmiewała. Nie przypuszczałem, że jeszcze jedna rola zagrana z nim razem wywoła u niej tak gwałtowną reakcję. Kiedy stwierdziłem, jak bardzo jest do niego uprzedzona, skłamałem, że to Stinhurst nalegał na zaangażowanie Gabriela. Niestety, wczoraj wieczorem aktor się wygadał, że to ja domagałem się jego udziału w inscenizacji. I to była jedna z przyczyn jej wybuchu.

- Czy to pewne, że nic dojdzie do wystawienia tej sztuki? Sydeham odpowiedział z nieumiejętnie ukrywanym zniecierpliwieniem:

- Śmierć Joy nie zmienia faktu, że Joanna wciąż jest związana kontraktem ze Stinhurstem na rolę w finansowanym przez niego przedsięwzięciu teatralnym.

Podobnie jak i Gabriel. A także Irenę Sinclair. Tak więc Jo musi z obojgiem współpracować, bez

względu na to, czy jej się to podoba, czy też nie. Domyślałam się, że Stinhurst zabierze ich do Londynu i jak najprędzej przystąpi do prób nowego dramatu. Gdybym chciał pomóc Joannie, a przynajmniej położyć kres naszemu nieporozumieniu, musiałbym zaplanować przedwczesne zejście z tego świata Gabriela albo Stinhursta. Śmierć Joy przyczyniła się jedynie do unicestwienia jej sztuki. A z tego faktu nie wynikają dla Joanny żadne korzyści, proszę mi wierzyć, inspektorze.

- W takim razie może dla pana?

Sydeham zmierzył Lynleya przeciągłym, taksującym spojrzeniem.

- Nie dostrzegam rozbieżności w interesach moich i żony. Lynley nie mógł odmówić słuszności temu stwierdzeniu.

- Kiedy ostatnio miał pan przy sobie rękawiczki?

Sydeham sprawiał wrażenie, że chętnie kontynuowałby poprzedni temat. Niemniej odpowiedział dość życzliwym tonem:

- Sądzę, że wczoraj po południu - zaraz po naszym przyjeździe. Francesca poprosiła mnie, żebym się wpisał do rejestru i, aby zadośćuczynić jej życzeniu, musiałem je zdjąć. Prawdę mówiąc, nie mam pojęcia, co z nimi potem zrobiłem. Nie przypominam sobie, żebym z powrotem je włożył, ale mogłem je wsadzić do kieszeni płaszcza.

- Czy właśnie wtedy widział je pan po raz ostatni? Nie zauważył pan ich zaginięcia?

- Nie były mi potrzebne. Oboje z Joanną nie wychodziliśmy na dwór. Nie wiedziałem, że zginęły, dopóki pański pracownik nie przyniósł przed kilkoma minutami jednej z nich do biblioteki. Druga może być w kieszeni mojego wierzchniego okrycia albo przy stanowisku recepcji, jeśli ją tam zostawiłem. Po prostu nie pamiętam.

- Sierżancie - skinął Lynley głową w kierunku Havers. Policjantka wstała, wyszła z pokoju i wróciła po chwili z drugą rękawiczką.

- Została znaleziona na podłodze pomiędzy ścianą a pulpitem recepcji - wyjaśniła, kładąc ją na stole.

Przez moment wszyscy troje przyglądali się jej uważnie. Skóra była doskonałej jakości, bardzo miękka, a po wewnętrznej stronie nadgarstka widniały ozdobione zakrętami inicjały: DS. Ledwo wyczuwalna woń rymarskiego mydła świadczyła o niedawnym czyszczeniu, lecz na szwach i na futrze od wewnątrz nie pozostały żadne ślady po środku czyszczącym.

- Kto siedział w recepcji, gdy przyjechaliście? - spytał Lynley. Twarz Sydehama przybrała wyraz pełen zadumy, gdy analizował

w myślał wydarzenia, jak gdyby do tej pory ich chronologia nie wydawała mu się istotna.

- Francesca Gerrard - powiedział powoli. - Jeremy Vinney pokazał się na moment w drzwiach salonu, żeby się przywitać. - Umilkł. Gestykulował, gdy mówił, unaoczniając pozycję każdej z

wymienianych postaci i wyobrażając sobie, że znowu ma ją przed sobą. - Był tam też chłopak, Gowan. Może nie od razu, ale wiem, że się w końcu pojawił. Przyszedł, aby wziąć bagaże i zaprowadzić nas do naszych pokoiów... Wydaje mi się, że dostrzegłem również Elizabeth Rintoul, córkę lorda Stinhursta - wybiegła z pokoju na korytarz przyległy do głównego holu. Nie jestem pewien, czy to była ona, ale na pewno kogoś tam widziałem.

Lynley i Havers wymienili pełne domysłów spojrzenia. Inspektor zwrócił uwagę Sydehama na plan domu, który policjantka przyniosła ze sobą. Był rozłożony na stole obok rękawicy.

- Skąd wybiegła?

Mężczyzna podniósł się z fotela, podszedł do szkicu i przyjrzał mu się z uwagą.

- Trudno powiedzieć. Widziałem ją w przelocie. Czmychnęła prędko, jak gdyby próbowała uniknąć spotkania z nami. Domyśliłem się jedynie, że to Elizabeth, z powodu tego dość osobliwego zachowania. Przypuszczam, że wybiegła z ostatniego pokoju. - Wskazał na biuro.

Lynley zamyślił się, usiłując powiązać ze sobą fakty. W biurze przechowywano klucze uniwersalne. Macaskin powiedział, że zwykle leżały zamknięte w szufladzie.

Przyzna! jednak, że Gowan Kilbride mógł również mieć do nich dostęp. A skoro tak, zamykanie szuflady było w najlepszym wypadku formalnością - czasami przestrzegana, a czasami nie. W dniu przybycia tak licznej grupy gości z pewnością biurko było otwarte, a każda osoba zajmująca się przygotowaniem pokoiów mogła stamtąd bez trudu wyjąć klucze. Zresztą mógł to uczynić ktokolwiek, kto wiedział o ich istnieniu - Elizabeth Rintoul, jej matka, ojciec, a nawet sama Joy Sinclair.

- Kiedy po raz ostatni widział pan Joy? - spytał Lynley. Sydeham nerwowo przestąpił z nogi na nogę. Wydawało się, że chce ponownie zająć miejsce w fotelu, inspektor doszedł jednak do wniosku, że woli, aby przesłuchiwany odpowiadał w pozycji stojącej.

- Chwilę po zakończeniu próby. Około jedenastej trzydzieści w nocy. Może trochę później. Nie zwracałem zbytniej uwagi na porę.

- Gdzie to było?

- Na korytarzu na piętrze. Szła do swojego pokoju. - Przez moment Sydeham wydawał się zmieszany, ale kontynuował wyjaśnienia: - Jak już powiedziałem, posprzeczałem się z Jo z powodu sztuki. Wypadła z salonu po próbie jak burza.

Znalazłem ją w galerii. Zamieniliśmy tam ze sobą kilka przykrych słów. Po kłótni z żoną czułem się przygnębiony. Poszedłem do biblioteki po butelkę whisky, i po drodze zobaczyłem Joy.

- Czy pan z nią rozmawiał?

- Najwyraźniej nie była w nastroju do rozmowy. Zabrałem alkohol do pokoju, wypilem kilka drinków... chyba cztery czy pięć... i zasnąłem.

- Gdzie w tym czasie przebywała pańska żona?

Sydeham skierował wzrok w stronę kominka. Jego dłonie automatycznie zagłębiły się w kieszeniach spodni, bezskutecznie poszukując papierosów, które uspokoiłyby jego nerwy. Nie ulegało wątpliwości, że było to pytanie, którego chciał uniknąć.

- Nie wiem. Opuściła galerię. Nie mam pojęcia, dokąd się stamtąd udała.

- Nie wie pan - powtórzył z namysłem inspektor.

- Wiele lat temu nauczyłem się schodzić jej z drogi, kiedy jest w złym humorze. A wczoraj wieczorem była wyjątkowo wściekła. Przewornie się oddaliłem, wypilem alkohol, zasnąłem i pogrążyłem się

w nieświadomości. Nie wiem, gdzie była. Mogę jedynie powiedzieć, że rano po przebudzeniu - gdy pokojówka zapukała do drzwi i bełkotliwym głosem poleciła się nam ubierać, a następnie przyjść do salonu - stwierdziłem, że Joanna leży obok mnie w łóżku. - Sydeham spostrzegł, że Havers przez cały czas pilnie notuje. Joanna była wytrącona z równowagi wyłącznie z mojego powodu - zapewnił. - Od pewnego czasu... niezbyt dobrze się układa między nami. Pragnęła przez jakiś czas pozostać z dala ode mnie. Wpadła w furię.

- Ale wróciła w nocy do waszego pokoju? Oczywiście.

- O której godzinie? O pierwszej? O drugiej?

- Nie wiem.

- Z pewnością obudził się pan, gdy weszła?

Głos Sydehama przybrał brzmienie świadczące o zniecierpliwieniu:

- Proszę mi wybaczyć określenie, inspektorze, ale czy zasnął pan kiedyś spity na umór? Ze snu nie wyrwałyby mnie nawet trąby jerychońskie.

- Nic pan nie słyszał? - nalegał Lynley. - Wiatru? Żadnych szmerów?

- Powiedziałem już panu.

- Nie dobiegły pana żadne odgłosy z sypialni Joy Sinclair? Zajmowała przecież sąsiedni pokój. Wprost trudno uwierzyć, żeby kobieta w chwili śmierci nie wydała z siebie ani jednego dźwięku. Albo że pańska żona otworzyła i zamknęła drzwi, a pan był nieświadom tego faktu. Co jeszcze mogło się wydarzyć bez pana wiedzy?

Sydeham spojrzął ostro na Lynleya, a potem przeniósł wzrok na Havers.

- Skoro podejrzewa pan Jo o popełnienie tej zbrodni, równie dobrze może pan i mnie ją przypisać. Część nocy spędziłem sam, czyż nie tak? Ale na tym polega pański problem. Z wyjątkiem Stinhursta

wszyscy przebywali sami w swoich pokojach.

Lynley nie przejął się wybuchem Sydehama.

- Proszę opowiedzieć o bibliotece.

O dziwo, nowy kierunek przesłuchania nie spowodował zmiany w wyrazie twarzy mężczyzny.

- Co pan chce wiedzieć?

- Czy zastał pan tam kogoś, gdy wszedł pan po whisky?

- Tylko Gabriela.

- Co robił?

- To samo, co i ja miałem w planie. Pił alkohol - dżin, sądząc po zapachu. I niewątpliwie się łudził, że niebawem się natknie na jakąś spódniczkę.

Lynley wyczuł ponury ton Sydehama.

- Widzę, że niezbyt wielką sympatią darzy pan Roberta Gabriela. Czy to na skutek niefortunnych awansów, jakie czynił pańskiej żonie, czy też są inne powody?

- Żadna z obecnych tutaj osób za nim nie przepada. Nikt go nie lubi. Wszyscy go tolerują przez wzgląd na jego niebywały talent aktorski. Szczerze mówiąc, dziwię się, że to nie on został zamordowany zamiast Joy Sinclair. Z pewnością nieraz sobie na to zasłużył.

Spostrzeżenie wydało się Lynleyowi interesujące. Ale za jeszcze ciekawszy uznał

fakt, że Sydeham nie odpowiedział na jego pytanie.

Najwyraźniej inspektor Macaskin i kucharka z Westerbrae postanowili przenieść narastający pomiędzy nimi konflikt do salonu, gdyż jednocześnie zjawili się w drzwiach z różnymi informacjami. Szkot nalegał, żeby wysłuchano go w pierwszej kolejności, a na biało odziana kobieta załamywała ręce za jego plecami, jak gdyby każda stracona chwila zagrażała istnieniu dochodzącego w piecu sufletu.

Macaskin zmierzył spojrzeniem Davida Sydehama od stóp do głów, gdy mężczyzna wyminął go w korytarzu.

- Zrobiliśmy wszystko, co do nas należało - oznajmił Lynleyowi. - Odciski palców zostały zebrane, pozostałe rutynowe działania także zakończono. Specjaliści od kryminalistyki po wykonaniu swoich zadań opieczętowali pokoje Sinclair i Clyde.

Kanalizacja wygląda na czystą, nie znaleziono w niej żadnych krwawych plam.

- Zbrodnia bez śladów. Chyba że została popełniona w rękawiczkach.

- Moi ludzie to sprawdzą. - Macaskin podrzucił głową, wskazując na bibliotekę, i spytał krótko:

- Czy mogę ich wypuścić? Kucharka twierdzi, że kolacja jest już gotowa, a oni chcieliby się przedtem trochę umyć.

Lynley zauważył, że prośenie o cokolwiek nie leży w naturze inspektora.

Przekazywanie spraw innemu oficerowi nie było jego utartym zwyczajem i gdy mówił, na tle gęstych, siwych włosów zaczerwieniły się koniuszki jego uszu.

Kucharka, jak gdyby wyławiając ze słów inspektora utajoną informację, dodała wojowniczo:

- Nie możecie ich morzyć głodem. To nie jest w porządku. - Najwidoczniej uważała, że policyjny *modus operandi* polega na trzymaniu całej grupy o chlebie i wodzie, dopóki morderca nie zostanie ujęty. -Przygotowałam skromny posiłek. Poza kanapkami nie mieli dzisiaj nic w ustach, inspektorze. W

przeciwieństwie do funkcjonariuszy - pokiwała znacząco głową - którzy opychają się od rana, o czym się zdołałam przekonać, gdy tylko zajrzałam do kuchni.

Lynley otworzył kopertę kieszonkowego zegarka i ze zdumieniem stwierdził, że jest wpół do dziewiątej. Nie odczuwał głodu, ale skoro specjaliści od kryminalistyki zakończyli swoją robotę, nie było powodu, żeby nie zezwolić gościom na posiłek i względną swobodę poruszania się po domu. Skinieniem głowy wyraził zgodę.

- W takim razie my już pojedziemy - powiedział Macaskin. - Zostawię z panem konstabla Lonana, a sam wrócę rano. Jeden z moich ludzi czeka, żeby zawieźć Stinhursta na posterunek.

- Chcę, żeby została!.

Szkot otworzył usta, zamknął je i ponownie otworzył!. Nie bacząc na wymogi regulaminu, rzeki:

Chodzi o kopie sztuki, inspektorze.

- Sam się tym zajmę - oświadczył Lynley stanowczym tonem. -Spalenie dowodu nie jest zbrodnią. Będzie przesłuchany w tej sprawie w stosownym czasie. - Spozstrzegł, że sierżant Havers się wzdrygnęła, jak gdyby dystansując się wobec decyzji, którą uważała za niesłuszną.

Macaskin zastanawia się, czy nie bronić swojego stanowiska, uznał jednak, że wycofując się, postąpi rozsądniej. Oficjalnemu pożegnaniu towarzyszyły szorstkie słowa:

- Umieściliśmy pańskie rzeczy w pokoju w północno-zachodnim skrzydle budynku.

Będzie go pan dzielił z St. Jamesem. Sąsiaduje z nową sypialnią Helen Clyde.

Ani rutynowe policyjne zabiegi, ani ustalenia dotyczące noclegu funkcjonariuszy nie obchodziły kucharki, która wciąż stała w drzwiach, gotowa sprowadzić rozmowę na tematy kulinarne, które przywiodły ją do salonu.

- Za dwadzieścia minut zapraszam na kolację, inspektorze - oświadczyła, odwracając się na pięcie. - Tymczasem.

Była to świetna okazja do zakończenia rozmowy. I Macaskin skwapliwie z niej skorzystał.

Kiedy Lynley poprosił Joannę Ellacourt do salonu, większość osób uwolnionych w końcu z całodziennego aresztu w bibliotece wciąż przebywała w holu głównym. Prośba ta, i to wyrażona natychmiast po przesłuchaniu męża aktorki, spowodowała, że nieliczna grupa ludzi wstrzymała oddechy. Wszyscy z ciekawością czekali na reakcję Joanny. Choć zaproszenie do rozmowy zostało sformułowane w dość oględny sposób, nikt nie miał wątpliwości, że nie odrzuca się tego rodzaju wezwań.

Tymczasem aktorka sprawiała wrażenie, że rozważa tę możliwość, wybierając pomiędzy jawną odmową a okazaniem wrogiego nastawienia do współpracy. W

końcu zwyciężyło to drugie i Joanna, wchodząc do salonu, dała wyraz swojemu oburzeniu w związku z dniem spędzonym w areszcie. Mijając Lynleya i Havers, nie zaszczyciła ich ani słowem. Usiadła przy kominku na wybranym przez siebie krześle ze skórzanym oparciem, którego przedtem Sydeham unikał i które Stinhurst tylko przez chwilę niechętnie zajmował. Wybór aktorki był intrygujący. Ujawnia!

Jej stanowczą decyzję odpowiadania w możliwie najbardziej szczerzy sposób albo też chęć wyzyskania korzystnych efektów padającego z kominka światła, aby w przełomowym momencie oszołomić urodą znudzonego widza. Joanna Ellacourt wiedziała, jak należy grać przed publicznością.

Patrząc na nią, Lynley nie mógł się nadziwić, że ma niemal czterdzieści lat. W

przyjaznym blasku płomieni, które nadawały jej skórze ciepłą barwę złota, wyglądała co najmniej o dziesięć lat młodziej. Jej widok przypomniawszy Lynleyowi o pierwszym wrażeniu, jakie wywarło na nim płótno „Diana w kąpeli” pędzla François Bouchera. Skóra Joanny lśniła równie wspaniale, podobnie wyglądały delikatne cienie na policzkach oraz łagodna linia ucha, gdy odrzuciła włosy na plecy. Była prawdziwą pięknoscią. Gdyby jej oczy zamiast chabrowego miały brązowy kolor, sama mogłaby pozować do obrazu Bouchera.

Nic dziwnego, że Gabriel zabiega o jej względy, pomyślał Lynley. Podsunął aktorce papierosa. Przyjęła poczęstunek. Jej dłoń, o bardzo długich i chłodnych palcach, mieniących się kilkoma brylantowymi pierścionkami, zamknęła się na jego ręce, aby unieruchomić płomień zapalniczki. Gest był sceniczny i jawnie kuszący.

- Dlaczego kłóciła się pani wczoraj ze swoim mężem? - spytał Lynley.

Joanna uniosła w górę swoje piękne brwi i przez chwilę mierzyła wzrokiem od stóp do głów sierżant

Havers, jak gdyby oceniając niechlujny wygląd spódnicy policjantki oraz jej wysmarowany sadzą sweter.

- Ponieważ zmęczyły mnie lubieżne zapędy Roberta Gabriela, na jakie bylam narażona przez ostatnie sześć miesięcy - odpowiedziała szczerze i umilkła, jak gdyby w oczekiwaniu na reakcję: pełne współczucia skinięcie głową albo wyrażające dezaprobatę cmoknięcie. Kiedy stało się oczywiste, że nic takiego nie nastąpi, niechętnie podjęła temat: - Za każdym razem w ostatniej scenie „Otella”

Gabriel miał wzwód, inspektorze wyjaśniła nieco napiętym głosem. - W momencie kiedy powinien mnie dusić, zaczynał się wić na łóżku, niczym dojrzewający płciowo dwunastolatek, który odkrył właśnie, ile przyjemności może mu sprawić mała kiełbaska między nogami. Miałam tego serdecznie dosyć. Sądziłam, że David to rozumie. Okazało się jednak, że zupełnie tego nie pojmował. I przygotował nowy kontrakt, znowu zmuszając mnie do współpracy z Gabrielem.

- Kłóciliście się z powodu nowej sztuki.

- Kłóciliśmy się o wszystko. Nowa sztuka była tylko jedną z przyczyn naszego sporu.

- Nie zgadzała się pani na udział Irenę Sinclair w przedstawieniu. Joanna strzepnęła do paleniska popiół z papierosa.

- Mój mąż nie mógł zaaranżować tego w głupszy sposób. Nie tylko naraził *mnie* na odpieranie przez następne dwanaście miesięcy ataków Roberta Gabriela, ale również na umożliwienie jego byłej żonie wspięcia się po moich plecach na wyżyny kariery. Nie będę pana okłamywała, inspektorze. Wcale mi nie żal, że ta sztuka Joy nigdy nie trafi na afisz. Może pan to nazwać jawnym przyznaniem się do winy, ale nie mam zamiaru odgrywać przed panem roli osoby pogrążonej w żałobie po śmierci kobiety, którą ledwie znałam. Zapewne uzna pan, że miałam motyw, aby ją zabić, ale nic na to nie poradzę.

- Pani mąż twierdzi, że nie było pani przez jakiś czas w pokoju.

- A zatem miałam sposobność załatwienia Joy? Sądzę, że właśnie tak to z pozoru wygląda.

- Dokąd się pani udała po waszej kłótni w galerii?

- Najpierw do naszego pokoju.

- O której to było?

- Myślę, że tuż po siódmej. Ale nie zostałam tam. Wiedziałam, że David zaraz wróci, pełen skruchy, i że będzie w typowy dla siebie sposób starał się załagodzić całą sprawę. A ja nie miałam na to ochoty. Udałam się więc do pokoju muzycznego obok galerii. Znajduje się tam stary gramofon i kilka jeszcze starszych płyt.

Słuchałam nagrań muzyki scenicznej. Nawiasem mówiąc, Francesca Gerrard jest ogromną miłośniczką Ethel Merman.

- Czy ktoś tam panią widział?

- I mógłby to potwierdzić? - Zaprzeczyła ruchem głowy, najwyraźniej nie poruszona faktem, że nie ma podstaw, aby inspektor mógł uznać jej alibi za wiarygodne. - Pokój muzyczny znajduje się na samym końcu korytarza w północno-zachodnim skrzydle budynku. Wątpię, żeby kogoś doszły stamtąd jakieś dźwięki. Chyba że Elizabeth swoim utartym zwyczajem podsłuchiwała pod drzwiami. Trzeba przyznać, że jest w tym niezrównana.

Lynley pozostawił tę uwagę bez komentarza.

- Kto przebywał w recepcji, gdy wczoraj przyjechaliście? Aktorka ujęła w palce kilka pasm swoich błyszczących w świetle

ognia włosów.

- Oprócz Franceski nie przypominam sobie nikogo. - Zmarszczyła w zamyśleniu brwi. - I Jeremy'ego Vinneya. Pamiętam, że ukazał się w drzwiach salonu i coś powiedział.

- To ciekawe, że jego obecność utkwiała pani w pamięci.

- Nie ma w tym nic nadzwyczajnego. Lata temu grał niewielką rolę w wystawianej w Norwich sztuce. Kiedy go wczoraj zobaczyłam, pomyślałam, że od tamtej pory nic nie wpłynęło na poprawę jego scenicznej prezencji. To znaczy, że nadal jej nie posiada. Zawsze wyglądał na scenie jak ktoś, kto opuścił piętnaście linijek tekstu i nie wie, jak wybrnąć z sytuacji. Nie nadawałby się nawet do roli rabarbaru, nieszczęśnik. Obawiam się, że nie został obdarzony talentem aktorskim. W tamtym czasie był bardzo zgnębiony, że nie zdołał stworzyć znaczącej kreacji.

- O której godzinie wróciła pani wczoraj do swojego pokoju?

- Nie jestem pewna. Nie patrzyłam na zegarek. Słuchałam nagrań, dopóki nie zmarzłam na kość. - Zapatrzyła się w ogień. W jej niewzruszonej postawie zaszła pewna zmiana, gdy przesunęła dłonią wzdłuż nienagannie odprasowanego kantu spodni. - To, co powiedziałam, niezupełnie pokrywa się z prawdą, inspektorze.

Chciałam mieć pewność, że David zdążył zasnąć. Zamierzałam dać mu szansę zachowania twarzy, chociaż gdy teraz o tym myślę, nie mam pojęcia, dlaczego mi na tym zależało.

- Na zachowaniu przez niego twarzy? - dociekał Lynley. Twarz Joanny bez wyraźnego powodu błysnęła uśmiechem. Było to

zwyczajne roztargnienie lub wynikająca z nawyku chęć zwrócenia uwagi widza na swoją urodę.

~ David ponosi winę za udział Roberta Gabriela w kontrakcie, inspektorze. Wiem, że gdybym wróciła wcześniej, starałby się załagodzić nasz spór.

Ale... - Odwróciła wzrok i koniuszkami języka dotknęła warg, jak gdyby chciała zyskać na czasie. - Przepraszam. Myślę, że nie powinnam o tym opowiadać. Choć pewnie postępuję głupio.

Przypuszczam, że może pan nawet podjąć decyzję o aresztowaniu mnie, prawda? Są jednak pewne sprawy... Wiem, że David również wolałby zatrzymać je dla siebie. Krótko mówiąc, nie mogłam wrócić do naszego pokoju, dopóki nie zasnął. Po prostu nie mogłam. Proszę mnie zrozumieć.

Lynley wiedział, że aktorka prosi go o oszczędzenie jej dalszych wynurzeń. Nie odezwał się jednak, czekając, aż na nowo podejmie temat. Odwróciła się profilem i

kilkakrotnie zaciągnęła papierosem, nim go zgasiła.

- David dążyłby do pojednania. Ale od prawie dwóch miesięcy nie jest w stanie...

sprostac zadaniu. Wiem, że pomimo to podejmowałby próby, przekonany, że jest mi to winien. Kolejne fiasko jeszcze bardziej pogorszyłoby nasz wzajemny układ.

Dlatego wróciłam do pokoju dopiero wtedy, gdy sądziłam, że zasnął.

Ta informacja była z całą pewnością fascynująca. W jej świetle imponująca długość pożycia małżeńskiego pary Ellacourt-Sydeham stawała się jeszcze bardziej niezrozumiała. Joanna, jak gdyby zdając sobie z tego sprawę, odezwała się ponownie. Jej głos przybrał ostre brzmienie i nie był zabarwiony ani uczuciem sentymentu, ani żalem:

- David jest nierozdzielnie związany z historią mojej kariery, inspektorze. Nie wstydę się przyznać, że jemu zawdzięczam to, kim jestem. Przez dwadzieścia lat był moim największym oparciem, najlepszym krytykiem i przyjacielem. Kogoś takiego nie porzuca się tylko dlatego, że od czasu do czasu w życiu pojawiają się pewne komplikacje.

Ostatnie oświadczenie aktorki było najbardziej krasomówczą deklaracją małżeńskiej wierności, jaką Lynley kiedykolwiek słyszał. Niemniej trudno mu było zignorować ocenę tej kobiety, dokonaną przez jej męża, Davida Sydehama.

Rzeczywiście miała niezrównany talent aktorski.

Sypialnia Franceski Gerrard znajdowała się na samym końcu korytarza na piętrze, przy holu w północno-wschodnim skrzydle, obok niestarannie przykrytej, nie używanej, starej harfy, która rzuciła na ścianę upiorne cienie. Nie wisiały tutaj żadne portrety, a stóp nie chroniły przed zimnem dywany. Trudno by nazwać to miejsce oazą wygody i bezpieczeństwa. Tylko spękany gipsowy tynk, przywodzący na

myśl misterną pajęczynę, oraz cienki jak papier chodnik na piętrze zdradzał ślady wielowiekowej historii budynku.

Oglądając się pośpiesznie za siebie, Elizabeth Rintoul przemknęła przez hol i zatrzymała się pod drzwiami ciotki, uważnie nasłuchując. Z zachodniej strony budynku dobiegał gwar głosów, ale wewnątrz pokoju panowała cisza. Nerwowo zapukała paznokciami w drewno. Rozległ się dźwięk przypominający odgłosy dziobania małych ptaków. Nikt nie odpowiedział. Zastukała ponownie.

- Ciociu Francie? - Szept był największym ryzykiem, na jakie się zdobyła. Znowu nie padła żadna

odpowieź.

Była pewna, że ciotka jest u siebie. Niespełna pięć minut temu widziała ją na tym korytarzu, gdy policja w końcu pootwieraa ich pokoje. Sięgnęła do gałki u drzwi.

Śliska, obróciła się w jej spoczonej dłoni.

W pomieszczeniu unosił się zatęchły zapach kulek aromatycznych, słodka i dusząca woń pudrów, odór środków przeciwbólowych oraz tanich perfum. Umeblowanie pokoju w pełni harmonizowało z nieprzytulną atmosferą pozbawionego ozdób korytarza. Składało się na nie wąskie łóżko, szafa z pojedynczymi drzwiami, komoda i lustro w ramie, które dawato zielonkawe i dziwnie wykrzywione odbicie -

czoło wydawało się w nim bulwiaste, a broda zbyt krótka.

Nie zawsze ten pokój należał do ciotki. Przeniosła się tutaj dopiero po śmierci męża, jak gdyby w ramach żałoby po nim wybrała to niewygodne i nieeleganckie pomieszczenie. Teraz też zdawała się go oplakiwać, gdy tak siedziała na brzegu łóżka, sztywno wyprostowana, i wpatrywała się w jego portret na ścianie - jedyną dekorację tego pokoju. Wuj Phillip miał na zdjęciu bardzo poważną minę i nie przypominał mężczyzny, którego Elizabeth pamiętała z czasów dzieciństwa. Była to podobizna melancholika, jakim się stał po pamiętnym sylwestrze. I po historii ze stryjem Geoffreyem.

Elizabeth cicho zamknęła za sobą drzwi. Gdy drewno trzasnęło, uderzając o obity tynk, ciotka wydała z siebie zduszony, płaczliwy spazm. Poderwała się z łóżka i odwróciła gwałtownie, z wyciągniętymi w obronnym geście przed sobą, zakrzywionymi jak szpony dłońmi.

Elizabeth zeszywniała. Reakcja ciotki przywróciła wspomnienia, które młoda kobieta odpychała i pragnęła wymazać z pamięci. Doskonale pamiętała siebie jako sześciolletnią, pogodną dziewczynkę, która kiedyś zawędrowała do stajni w Somerset. Wciąż miała przed oczami dziewczyny zatrudnione do pomocy w kuchni

- przykucnęły przy kamiennej ścianie budynku i podglądały przez szparę powstałą na skutek wykruszenia się zaprawy murarskiej. Słyszała ich zachęcające szepty: „Podejdz

tutaj, to pokażemy ci zniewieściałych chłopców, skarbie". Nie wiedząc, co to oznacza, lecz zawsze przyjaźnie nastawiona do ludzi i chętna do nawiązywania przyjaźni, mała Elizabeth pochyliła się nad otworem i zobaczyła dwóch stajennych.

Ich ubrania były wszędzie porozrzucone. Jeden z chłopaków stał na czworakach, a drugi - za nim i, sapiąc, wykonywał posuwiste ruchy. Ich ciała błyszczały od potu, niby natłuszczone oliwą. Gdy przerażona widokiem, gwałtownie odskoczyła od szpary w ścianie, usłyszała stłumiony chichot dziewczyn. Śmiały się z niej. Z jej niewinności i ze ślepej naiwności. Miała ochotę rzucić się na nie z pięściami, zranić je i wydrapać im oczy wyciągniętymi przed siebie i zakrzywionymi w szpony dłońmi, takimi, jakie zobaczyła teraz u cioci Franceski.

- Elizabeth! - Kobieta opuściła ramiona i rozluźniła się. - Przestraszyłaś mnie, moja droga.

Elizabeth ze znużeniem przyglądała się ciotce, obawiając się dalszych wspomnień, jakie mogłyby wywołać jej następny mimowolny gest. Starsza kobieta najwyraźniej szykowała się do kolacji, w chwili kiedy podobizna męża skłoniła ją do zadumy.

Nadejście Elizabeth wyrwało Franceskę z rozmyślań. Teraz przyglądała się swojemu odbiciu w lustrze, zaczesując szczotką przerzedzone, siwe włosy.

Uśmiechnęła się do bratanicy, lecz drżące usta zdradzały niepokój, który tak usilnie starała się ukryć.

- Gdy byłam młoda, zwykłam tak patrzeć w lustro, aby nie widzieć swojej twarzy.

Ludzie twierdzili, że to niemożliwe. Mnie się to jakoś udawało. Potrafiłam się uczesać, umalować i włożyć kolczyki. Dzięki temu nie musiałam za każdym razem stwierdzać, jaka jestem brzydka.

Elizabeth nie wysiliła się na żadną podnoszącą na duchu uwagę, Zaprzeczenie byłoby grubiaństwem, gdyż ciotka mówiła prawdę. Rzeczywiście nigdy nie była atrakcyjna. Obciążona wszystkimi niedobrymi cechami genetycznymi kolejnych pokoleń Rintoulów, miała długą, końską twarz, duże zęby i zbyt maty podbródek.

Jej wysoka i chuda sylwetka sprawiała wrażenie, że ciało składa się wyłącznie z kończyn i łokci. Elizabeth przypuszczała, że to z powodu braku urody ciotka obwieszała się zwykle biżuterią. Najwidoczniej chciała w ten sposób odwrócić uwagę od swojego fatalnego wyglądu.

- Nie wolno ci jej potępiać - powiedziała Francesca łagodnym tonem. - Ona naprawdę ma na uwadze twoje dobro. Nie powinnaś żywić do niej tak straszliwej urazy.

Elizabeth poczuła ucisk w gardle. Jak dobrze ciotka ją знаła. I jak doskonale zawsze potrafiła zrozumieć.

- „Przynieś panu Vinneyowi drinka, kochanie... Jego kieliszek jest prawie pusty”. -

Rozgoryczona naśladowała cichy głos matki. - Miałam ochotę umrzeć. Razem z Joy. To się już nigdy nie skończy.

- Zależy jej na twoim szczęściu, kochanie. A drogę do niego upatruje w małżeństwie.

- Takim jak jej własne? - powiedziała kwaśno Elizabeth. Ciotka zmarszczyła brwi.

Odłożyła szczotkę na toaletkę i starannie

wsunęła grzebień w jej włosie.

- Czy pokazywałam ci fotografie, które dostałam od Gowana? - spytała pogodnie, usiłując otworzyć górną szufladę, która zacięła się z opornym skrzypnięciem. -

Głuptas zobaczył w jakimś ilustrowanym piśmie zdjęcia domu przed i po renowacji.

Postanowił nasz też sfotografować, a także każdy pokój, abyśmy mogli po zakończonym remoncie wyeksponować wszystkie odbitki w salonie. Przypuszcza, że nasza dokumentacja zainteresuje historyków i że zawsze będziemy mogli ją wykorzystać... - Urwała, mocując się z szufladą, która nie chciała ustąpić, gdyż drewno napęczniało od zimowej wilgoci.

Elizabeth przyglądała się ciotce bez słowa. Ten sposób zachowania był typowy w jej rodzinnych kręgach - pytania pozostawione bez odpowiedzi, tajemnice i niedopowiedzenia. Wszyscy się zmówili, żeby pomijać milczeniem fakty z przeszłości: ojciec, matka, stryj Geoffrey i babcia. A teraz także ciotka Francie. Ona też lojalnie wypełniała nakazy, jakie narzucały jej więzy krwi.

Dalsze przebywanie w tym pokoju nie miało sensu. Elizabeth nie pozostawiało nic innego, jak wyjaśnić jedną jeszcze kwestię. Odzyskała już panowanie nad sobą, kiedy się odezwała:

- Ciociu Francie...

Kobieta podniosła wzrok. Wciąż szarpała się z szufladą, ciągnąc ją bezskutecznie, nieświadoma, że jej zabiegi świadczą jedynie o bezużyteczności mebla.

- Chcę, żeby ciocia wiedziała... Powinna ciocia wiedzieć o tym.. że wczoraj wieczorem nie zdołałam się, niestety, należycie wywiązać z zadania.

Francesca w końcu dała za wygraną i zostawiła uchwyt w spokoju.

- W jakim sensie, moja droga?

- Problem w tym... że nie była sama. Nie zastałam jej w pokoju.

Nie miałam okazji, żeby z nią porozmawiać i przekazać wiadomość od cioci.

- Nieważne, kochanie. Przecież chciałaś jak najlepiej, prawda? W każdym razie ja...

- Nie! Proszę!

Jak zwykle ciepły i współczujący głos ciotki był pełen zrozumienia, czym jest poczucie własnej niemożności, a także brak talentu i nadziei. W obliczu tej bezwarunkowej aprobaty Elizabeth zdławiła szloch. Nie zniósłaby łkania, bez względu na to, co je wywoływało: smutek czy ból. Odwróciła się na pięcie i opuściła pokój.

- A niech to wszyscy diabli!

Gowan Kilbride był u kresu wytrzymałości. Oprócz nerwowej atmosfery w bibliotece rozdrażnienie chłopca pogłębiła informacja, nie potwierdzona wprawdzie, ale i nie odrzucona, że Mary Agnes pozwalała Robertowi Gabrielowi na wiele przyjemności, które dla Gowana były niedostępne. A teraz jeszcze, po tym wszystkim, został wysłany przez panią Gerrard do pomywalni z zaleceniem naprawienia przeklętego bojlera, który nie funkcjonował prawidłowo od pięćdziesięciu lat... Zniesienie tego wszystkiego przekraczało ludzkie możliwości.

Z przekleństwem na ustach rzucił na posadzkę klucz do nakrętek, powodując odprysk starego kafla. Narzędzie odbiło się od podłogi i przepadło w kłębach pary wydobywającej się z piekielnego grzejnika na wodę.

- Do diabła! - wybuchnął chłopak, czując, jak narasta w nim gniew. Przykucnął i gdy po omacku przesuwiał dłonią po ziemi, oparzył

się, niechcący dotykając metalowego spodu bojlera.

- O Jezu Chryste! - zawył. Odskoczył na bok, mierząc wzrokiem stare urządzenie, jak gdyby było nieprzyjazną mu żywą istotą. Kopnął je dwa razy z wściekłością.

Pomyślał o Robercie Gabrielu z Mary Agnes i wymierzył zbiornikowi trzeciego kopniaka, urywając przy tym jedną z zardzewiałych rur. Parująca woda, sycząc, trysnęła łukiem.

- O rany! - jęknął Gowan. - Przepalony, zbutwiały i przeżarty od środka przez robaki ceber!

Chwycił wiszącą przy zlewie ścierkę i owinał nią rurę, żeby się jeszcze bardziej nie sparzyć. Sarkając na gorący prysznic, który zraszał jego twarz i włosy, położył się na wznak na ziemi. Jedną ręką usiłował umieścić rurę na swoim miejscu, a drugą szukał klucza. W końcu zlokalizował go przy ścianie za zbiornikiem. Podczołgał się w stronę na-rzędzia, lecz gdy centymetry dzieliły jego palce od celu, w pomywalni zgasło światło. Gowan uświadomił sobie, że na domiar złego przepaliła się jedyna oświetlająca pomieszczenie żarówka. Ciemności rozpraszała teraz tylko kontrolna lampka bojlera - słaby, bezużytecznie jarzący się czerwony promyk, który świecił

chłopcu prosto w oczy. Ten cios ostatecznie go załamał.

A niech to piekło pochłonie! - krzyknął. Uświadomił sobie, że nie jest sam.

- Kto tam? Proszę podejść i mi pomóc! Nikt nie odpowiedział.

- Jestem tutaj! Leżę na podłodze. Wciąż panowała cisza.

Odwrócił głowę. Bez powodzenia próbował przeniknąć wzrokiem mrok. Miał

zamiar zawołać ponownie, tym razem głośniej, gdy nagle dobiegi go odgłos pośpiesznie, zbliżających się kroków. Z przerażenia zjeżyły mu się włosy na karku, gdyż stąpanie brzmiało tak donośnie, jak gdyby jednocześnie zmierzało w jego stronę kilku napastników.

- Hej...

Cios pozbawił go głosu. Czyjaś dłoń schwyciła go za kark i uderzała jego głową o ziemię. Skronie rozdarł ogłuszający ból. Palce wypuściły z uścisku rurę, a strumień wody trysnął mu prosto w twarz, oślepiając go, piekąc i parząc ciało. Oszałały z trwogi zaczął się szamotać, lecz z dziką zawziętością został wepchnięty pod rurę.

Wrząca woda przemoczyła mu ubranie i pokryła bąblami jego piersi, brzuch i nogi.

Wełniana odzież oblepiła ciało niczym wosk i - nasączona wrzątkiem - wżerała się w skórę jak kwas.

- Ooo. ..

Próbował krzyknąć pod wpływem rozdzierającego bólu i panicznego lęku. Zaraz jednak czyjeś kolano wbiło się w jego plecy, a dłoń oplótła włosy i, przygniatając mu głowę do ziemi, usiłowała zanurzyć czoło, nos i brodę w parującej wodzie na posadzce.

Gowan poczuł, że ma pęknięty grzbiet nosa i zdartą skórę z twarzy. W chwili gdy zaczął pojmować, że niewidzialny prześladowca zamierza go utopić w tej niezbyt głębokiej kałuży, usłyszał charakterystyczny dźwięk metalu na kafłowej podłodze.

Sekundę później w jego plecy został wbity nóż.

Znowu zapaliło się światło.

Ktoś prędko wbiegł po schodach na górę.

7

Najważniejsze jest to, czy uwierzyłeś w opowieść Stinhursta -podkreślił St. James.

Znajdowali się w narożnym pokoju, usytuowanym w miejscu, gdzie północno-zachodnie skrzydło łączyło się z głównym budynkiem. Na umeblowanie tego małego pomieszczenia składały się solidne meble z buku i sosny, ściany wyłożono tapetą w bladoniebieskie paski, a w powietrzu unosiła się ledwo wyczuwalna, niemiła woń środków czyszczących i dezynfekcyjnych. Przez okno wychodzące na wnękę w zachodnim skrzydle Lynley widział Irenę Sinclair, która apatycznie spacerowała po swoim pokoju z sukienką przewieszoną przez ramię, jak gdyby nie mogła się zdecydować, czy mają na siebie włożyć. Jej twarz wyglądała mizernie - wydłużony, pobladły i okolony czarnymi włosami owal - niczym artystyczne studium potęgi kontrastu. Lynley opuścił firankę, odwrócił się tyłem do okna i stwierdził, że przyjaciel zaczął się już przebierać do kolacji.

By! to żenujący rytuał - tym bardziej krępujący, że St. James musiał się dziś obyć bez asysty swojego teścia. Co gorsza, potrzeba pomocy - traktowana przez każdą osobę w jego sytuacji jako coś zupełnie naturalnego - miała swoje źródło w nierozważnym zachowaniu Lynleya pewnej nocy. I teraz, gdy inspektor obserwował

przyjaciela, odczuwał chęć zaofiarowania mu pomocy i zarazem miał pewność, że jego oferta zostanie grzecznie odrzucona. Proteza nogi była teraz odczepiona, buty rozwiązane, a St. James poruszał się o kulach. Podczas tych wszystkich czynności jego twarz pozostała obojętna, jak gdyby zaledwie przed dziesięcioma laty nie był

zwinnym i wysportowanym mężczyzną.

- Opowieść Stinhursta brzmiała dość wiarygodnie, Simonie. Tego rodzaju historii nie wymyśla się na poczekaniu, aby uniknąć oskarżenia o morderstwo. Co by zyskał, ujawniając informację

kompromitującą jego żonę?

Czy sądzisz, że sam by się przede mną nie obwiniał? Przyznał przecież, że miał poważny motyw do popełnienia zbrodni.

- Motyw, którego nie można zweryfikować - zauważył St. James. - Chyba że o potwierdzenie poprosisz jego żonę. Stinhurst założył jednak, że prawdziwy dżentelmen, a za takiego cię uważa, nigdy tego nie robi. Jestem o tym głęboko przekonany.

- W razie potrzeby będę zmuszony się do tego uciec.

St. James upuścił jeden z butów na podłogę, a do drugiego zaczął wpychać protezę.

- Zostawmy na razie jego przewidywania dotyczące twojej reakcji, Tommy.

Założmy, że jego opowieść jest prawdziwa. To sprytny pomysł, żeby przedstawić tak oczywisty motyw zbrodni. Dzięki temu nie musisz tego motywu szukać, a odkrycie go nie wzbudzi twoich dodatkowych podejrzeń. Zaskoczony niezwyklejmi wynurzeniami, nie będziesz podejrzewał Stinhursta o dokonanie morderstwa, skoro od samego początku był z tobą całkowicie uczciwy. Bardzo mądre posunięcie, nie sądzisz? Jak dla mnie, o wiele za mądre. I czy można było wymyślić lepsze uzasadnienie pilnej potrzeby spalenia dowodu niż wyrażenie zgody na obecność tutaj Jeremy'ego Vinneya - człowieka, który z całą pewnością po zamordowaniu Joy podążyłby tropem tej nieprzyjemnej historii?

- Sugerujesz, że Stinhurst wiedział wcześniej o zmianach wprowadzonych przez Joy w sztuce i o tym, że chciała ujawnić romans żony lorda z jego bratem? To dlaczego w takim razie Helen został przydzielony sąsiedni pokój? I jak wytłumaczysz fakt, że wychodzące na korytarz drzwi były zamknięte, a odciski Davies-Jonesa znajdowały na kluczu? Twoja teoria nie trzyma się kupy, Simonie.

St. James nie próbował się spierać z przyjacielem.

- Skoro tak stawiasz sprawę, Tommy, to również Sydeham przebywał przez kilka godzin sam wczorajszej nocy, a także, jak się okazało, jego żona. Każde z nich miało okazję, żeby zabić Joy.

- Okazję, być może. Wygląda na to, że wszyscy ją mieli. Problemem jest motyw.

Nie wspominając już o fakcie, że drzwi do sypialni Joy były zamknięte. Morderca albo wiedział, gdzie są przechowywane klucze uniwersalne, albo przeszedł przez pokój Helen.

- Stinhurst również bez trudu mógł je zdobyć. Sam się przyznał, że przedtem wielokrotnie tu bywał.

- Podobnie jak jego żona, Elizabeth i Joy. Nawet David Sydeham mógł mieć dostęp do kluczy, jeśli po południu sprawdził, w którym pokoju zniknęła Elizabeth Rintoul w chwili jego przybycia z żoną. Ale to byłoby już naciąganie faktów, nieprawdaż? Z jakiego powodu interesowałaby go kryjówka córki Stinhursta? A co więcej, dlaczego miałby zabijać Joy Sinclair? Czy po to, żeby oszczędzić

swojej żonie współpracy z Robertem Gabrielem? Nonsens. Joanna Ellacuort nadal jest związana kontraktem i wygląda na to, że i tak będzie musiała wystąpić razem z Gabrielem. Sydeham niczego by nie zyskał, pozbywając się Joy.

- A zatem wracamy do punktu wyjścia. Jej śmierć była na rękę jednej tylko osobie -

Stuartowi Rintoulowi, lordowi Stinhurstowi. Teraz, kiedy autorka sztuki nie żyje, utwór, który okazał się dla niego bardzo kłopotliwy, nigdy przez nikogo nie zostanie wystawiony. Fakty nie wyglądają najlepiej, Tommy. Nie pojmuję, jak możesz lekceważyć tak poważny motyw.

- W tej sprawie...

Rozległo się pukanie do drzwi. Lynley poszedł je otworzyć. Na korytarzu stał Lonan z zapakowaną w plastikowy worek damską torebką na ramię. Trzymał ją w obu rękach sztywno wyciągniętych przed sobą, jak lokaj podający tacę z zakąskami wątpliwej jakości.

- Należała do Sinclair - wyjaśnił. - Inspektor pomyślał, że może zechce pan sprawdzić jej zawartość, zanim zostanie odesłana do laboratorium w celu zbadania odcisków palców.

Lynley odebrał pakunek, położył go na łóżku i wciągnął gumowe rękawiczki, które St. James wyjął ze stojącej pod nogami walizki i bez słowa mu podał.

- Gdzie ją znaleziono?

- W salonie, na krześle za kotarą pod oknem. Lynley przeszył komisarza ostrym wzrokiem.

- Została tam celowo schowana?

- Wygląda na to, że znalazła się w tym miejscu przypadkiem. Lynley rozsunał

zamek plastikowego worka, odwrócił go do góry

dnem i torba wyslizgnęła się na łóżko. Obaj mężczyźni patrzyli z zaciekawieniem, gdy inspektor otworzył ją i wysypał zawartość. Ich oczom ukazał się szereg interesujących przedmiotów, które Lynley bez pośpiechu podzielił na dwie kupki.

W pierwszej umieścił rzeczy, jakie można znaleźć w setkach tysięcy innych torebek przewieszonych przez ramiona setek tysięcy kobiet: komplet kluczy przytwierdzonych do dużego mosiężnego kółka, dwa tanie długopisy, napoczętą paczkę papierosów, reklamówkę zapalek i okulary przeciwsłoneczne w nowym skórzanym etui.

Pozostałe drobiazgi powędrowały na drugą stertę, gdzie potwierdzały fakt, że Joy Sinclair, podobnie jak większość pań, potrafiła zaznaczyć swoją indywidualność nawet we wnętrzu tak pospolitego przedmiotu, jakim jest czarna torba. Lynley przejrzał najpierw jej książeczkę czekową, szukając jakiegoś niezwykłego zapisu, ale na nic takiego się nie natknął. Najwyraźniej młoda kobieta niezbyt się troszczyła o stan swoich finansów, gdyż co najmniej od sześciu tygodni nie wpisywała stanu konta. Finansową nonszalancję wyjaśniała zawartość portfela, który mieścił prawie sto funtów w

banknotach o różnych nominałach. Sprawy pieniężne przestały zajmować Lynleya w chwili, gdy jego wzrok spoczął na dwóch pozostałych przedmiotach, jakie Joy Sinclair nosiła ze sobą - na jej kalendarzu z notesem oraz na magnetofonie o rozmiarach nie większych niż dłón.

Kalendarz był nowy i prawie nie używany. Jego właścicielka zaznaczyła w nim planowany weekend w Westerbrae, a dwa tygodnie wcześniej lunch z Jeremym Vinneyem. Były też notatki o przyjęciu w teatrze, o wizycie u dentysty, o jakiejś rocznicy, a także trzy umówione terminy, określone hasłem: *ulica Upper Grosvenor*. Ostatnie zapiski zostały przekreślone, jak gdyby do żadnego ze spotkań nie doszło. Lynley przewertował cały poprzedni miesiąc, ale niczego nie znalazł.

Jeszcze bardziej się cofnął. Na jednej ze stron, obejmującej cały tydzień, widniało nazwisko *P. Green* zapisane w poprzek kartki, a na następnej znajdowały się słowa zanotowane w podobny sposób: *rozdziały 1-3*. Z wyjątkiem uwagi na dwudziestej piątej stronie: *Urodziny S.*, nie było więcej zapisków.

- Chciałbym to zatrzymać, konstablu - powiedział Lynley po namyśle. - Chodzi mi o zawartość, a nie o samą torebkę. Czy mógłby pan zawiadomić o tym Macaskina, zanim odjedzie?

Lonan skinął głową i opuścił pokój. Gdy zamknęły się za nim drzwi, Lynley podszedł do łóżka, sięgnął po magneton i włączył go, rzucając spojrzenie w stronę St. Jamesa.

Jej głos był melodyjny i miły, a zarazem trochę ochryply i kokieteryjny. Miał

zmysłowe brzmienie, jakie niektóre kobiety przeklinają, a inne uważają za błogosławieństwo. Licznym trzaskom wyłącznika towarzyszyły zmieniające się dźwięki w tle nagrania - odgłosy ruchu ulicznego, metra lub gwałtowne eksplozje głośnej muzyki - jak gdyby Joy sięgała do swojej torby po magnetofon za każdym razem, ilekroć chciała utrwalić jakąś nagłą refleksję.

„...Postaraj się zbywać Ednę jeszcze co najmniej przez dwa dni. Na razie brak jakichkolwiek informacji. Może uwierzy, że zachorowałam na grypę... Na miłość boską, nie pozwól mamie w tym roku znowu zapomnieć o urodzinach Sally... John Darrow miał jak najlepsze zdanie o Hannah, dopóki na skutek przykrych okoliczności nie poznał prawdy... Dopilnuj biletów i znajdź jakieś przyzwoite miejsce, w którym można by się było zatrzymać. Tym razem zabierz ze sobą cieplejszy płaszcz... Jeremy, Jeremy. O Boże, dlaczego z tego powodu tak się wkurzam? Trudno to nazwać życiową propozycją... Było ciemno i pomimo śnieżnej zamieci... cudownie, Joy. A może by tak ruszyć ciemną nocą w tę nawalnicę i raz na zawsze zapomnieć o twórczości?... Zapamiętaj ten specyficzny zapach rozkładających się warzyw i szczątków rozbitego statku, które po ostatniej burzy spłynęły w dół rzeki... Rechot żab, odgłosy niestrudzonych pomp i, jak okiem sięgnąć, nizinny ład... A może by tak poradzić się Rhysa, jak najlepiej go podejść?

On umie postępować z ludźmi. Na pewno pomoże... Rhys chce...”

Po tych słowach Lynley wyłączył odtwarzanie. Podniósł wzrok i stwierdził, że St.

James mu się przygląda. Zanim to, co nieuchronne, zostało wypowiedziane, Lynley pozbiierał wszystkie przedmioty i wrzucił je do plastikowego worka, zwinął go i schował do szuflady.

- Dlaczego nie przesłuchałeś Davies-Jonesa? - spytał St. James. Lynley wrócił do półki na bagaż w nogach łóżka i otworzył swoją

walizkę. Wyjął wieczorowe ubranie, nie śpiesząc się z zaspokojeniem ciekawości przyjaciela.

Najłatwiej byłoby powiedzieć, że wstępne okoliczności nie zezwalają na przesłuchanie Walijczyka; rozwój sprawy cechuje pewna logika, za którą on, Lynley, intuicyjnie podąża, chcąc zobaczyć, dokąd go zaprowadzi. Wyjaśnienie to pokrywałoby się z prawdą. Ale istniały również i inne, niemiłe przesłanki inpektor walczył ze sobą, żeby nie dopuścić do konfrontacji z reżyserem. Fakt ten był dla niego czymś tak nowym, że nie zdołał się jeszcze z nim oswoić.

Z pokoju obok dobiegały go lekkie, szybkie i niestrudzone kroki Helen. Podczas ich wieloletniej znajomości słyszał je tysiące razy, choć wtedy nie zdawał sobie z tego sprawy. Odgłos brzmiał teraz ze zwielokrotnionym natężeniem, jak gdyby z zamiarem wyrycia się na stałe w jego świadomości.

- Nie chcę jej zranić - odezwał się w końcu.

St. James przymocowywał właśnie protezę do czarnego buta. Przerwał tę czynność i zastygł w bezruchu, z butem w jednej ręce, a z protezą z drugiej. Na jego twarzy, zwykle kamiennej, odmalowało się zdumienie.

- Wybrałeś dziwną metodę oszczędzenia jej, Tommy.

- Mówisz zupełnie jak Havers. Ciekawe, co byś zrobił na moim miejscu? Helen jest zdecydowana nie dopuszczać do swojej świadomości faktów. Czy nie powinienem jej teraz zwrócić na nie uwagi? Jeśli będę trzymał język za zębami, jeszcze bardziej zaangażuje się w związek z tym człowiekiem. Załamie się, gdy odkryje, jak została wykorzystana.

- Jeżeli rzeczywiście jest wykorzystywana.

Lynley wciągnął koszulę, pozapinał guziki ze źle ukrywanym rozdrażnieniem i zawiązał krawat.

- Jeżeli? A jak sądzisz, w jakim celu złożył jej wizytę ubiegłej nocy? Pytanie to pozostało bez odpowiedzi. Lynley czuł na twarzy wzrok przyjaciela. Jego palce szamotały się z krzywo zawiązanym supłem.

- A niech to wszyscy diabli - mruknął ze złością.

Rozległo się pukanie. Lady Helen otworzyła drzwi. Spodziewała się zastać w nich sierżant Havers, Lynleya lub St. Jamesa gotowych do odprowadzenia jej na kolację, jak gdyby była główną podejrzaną lub koronnym świadkiem pilnie potrzebującym policyjnej eskorty. Tymczasem na korytarzu stał Rhys. Nie odzywał się i miał

nietęgą minę, jak gdyby nie był pewien, jakie go spotka przyjęcie. Ale gdy tylko się uśmiechnęła, wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi.

Przyglądali się sobie jak kochankowie nękani poczuciem winy i spragnieni potajemnego spotkania.

Potrzeba ciszy, odosobnienia i wzajemnego wsparcia potęgowała czułość, wzajemne pożądanie i umacniała więź, jaka niedawno pomiędzy nimi się zrodziła. Gdy Rhys wyciągnął ramiona, lady Helen z entuzjazmem znalazła w nich schronienie.

Stęskniony, w milczeniu całował jej czoło, powieki, policzki i wreszcie usta. W

odpowiedzi rozchyliła wargi i mocniej objęła go ramionami, jak gdyby jego obecność mogła wymazać z pamięci najgorsze przeżycia minionego dnia. Kontakt z napierającym ciałem Rhysa wywołał słodką udrękę. Zaczęła drzeć, gdy przeszła ją niespodziewana i przyprawiająca o zawroty głowy strzała pożądania, która zjawiała się nagle i rozpaliała w niej krew jak ogień. Lady Helen ukryła twarz na jego piersi, a on ze znajomością rzeczy przesunął dłońmi wzdłuż jej ciała.

- Kochana - zdołał tylko wyszeptać. Odwróciła się do niego twarzą i znowu odnalazła jego usta.

- Mam na ciebie ochotę, dziewczyno - mruknął po chwili ze szkockim akcentem i stłumił śmiech. - Ale pewnie zdążyłaś już to zauważyć.

Lady Helen sięgnęła dłonią do jego włosów przyprószonych siwizną na skroniach i przyglądała je. Uśmiechnęła się. Czuła się podniesiona na duchu, choć nie była całkiem pewna, czy się powinna tak czuć.

- Gdzie, na Boga, Walijczyk zdołał opanować język szkocki?

Rhys się skrzywił i w jednej chwili zeszywniał. Lady Helen uświadomiła sobie, zanim jeszcze zdążył odpowiedzieć, że zadała niewłaściwe pytanie.

- W szpitalu.

- O mój Boże, bardzo cię przepraszam. Nie chciałam... Pokręcił głową, przyciągnął

ją bliżej do siebie i oparł policzek o jej

głowę.

- Nigdy ci o tym nie opowiadałem, prawda, Helen? Nie chciałem, żebyś się o tym dowiedziała.

- A więc nie mów...

- Szpital znajdował się tuż za Portree. Na wyspie Skye. Był środek zimy. Szare morze, szare niebo i szara ziemia. Łodzie odpływały w stronę stałego lądu, a ja marzyłem o tym, żeby się znaleźć na jednej z nich. Zwykłem myśleć, że na wyspie rozpiję się na dobre i już na zawsze zostanę alkoholikiem. Miejsce to doskonale nadawało się do poddania człowieka próbie. Rzecz sprowadzała się do wyboru pomiędzy ukradkowym pociąganiem whisky z butelki a biegłym opanowaniem szkockiego. Wybrałem szkocki. Naukę miałem zagwarantowaną dzięki mojemu współlokatorowi, który odmówił posługiwania się innym językiem. - Dotknął jej włosów, lecz jego gest był zaledwie muśnięciem. - Helen, na miłość boską, proszę cię, nie lituj się nade mną.

To typowe dla niego, pomyślała Helen. Zawsze zachowywał się w ten sposób i urywał w pół słowa, aby nie dzieliło go od reszty świata czyjeś współczucie.

Okazywana przez kogoś litość stawiała go w niekorzystnej sytuacji, narzucała mu rolę ofiary choroby, z której nigdy nie można się wyleczyć. Rozumiała go i podzielała jego ból.

- Jak możesz mnie posądzać o to, że się nad tobą lituję? Czy, twoim zdaniem, tym, co połączyło nas ubiegłej nocy, było współczucie?

Usłyszała jego nierówny oddech.

- Mam czterdzieści dwa lata. Czy wiesz o tym, Helen? Pewnie jestem o piętnaście lat od ciebie starszy. Mój Boże, a może dzieli nas jeszcze większa różnica wieku?

- Dwanaście lat.

- Byłem kiedyś żonaty. Zawarłem związek małżeński jako dwu-dziesięciolatka.

Toria miała dziewiętnaście lat. Oboje przyjechaliśmy właśnie do stolicy i sądziliśmy, że staniemy się nowymi objawieniami West Endu.

- Nie wiedziałam o tym.

- Rzuciła mnie. Sezony zimowe spędzałem pomiędzy Norfolk a Suffolk - przez dwa miesiące pracowałem w jednym mieście, a przez miesiąc w drugim.

Zatrzymywałem się w cuchnących hotelach lub w innych ponurych dziurach.

Tłumaczyłem sobie jednak, że nie jest tak źle, skoro moja rodzina ma co do garnka włożyć, a dzieci nie chodzą obdarte. Ale kiedyś, gdy wróciłem do Londynu, jej już nie było. Pojechała do Australii. Do mamy, do taty i do bezpiecznego domu - gdzie mogła liczyć na coś więcej niż tylko na chleb na stole i buty na nogach.

- Miał w oczach smutek.

- Jak długo trwało twoje małżeństwo?

- Zaledwie pięć lat. Ale to i tak wystarczająco długi czas. Obawiam się, że Toria ma o mnie jak najgorsze mniemanie.

- Nie mów tak...

- To prawda. W ciągu piętnastu lat widziałem moje dzieci tylko raz. Są już teraz nastolatkami - młodzieńcem i dorastającą panią

- którzy nawet mnie nie znają. A najgorsze, że sam jestem temu winien. Toria nie porzuciła mnie dlatego, że nie powiodło mi się w teatrze, choć Bóg świadkiem, że moje szanse na sukces rysowały

się wtedy bardzo mgliście. Opuściła mnie, ponieważ byłem pijakiem. I nadal nim jestem. Alkoholikiem, Helen. Nigdy nie wolno ci o tym zapominać. Nie pozwolę ci, żebyś o tym zapomniała.

Powtórzyła mu to, co sam jej powiedział pewnego wieczoru, gdy podczas wichury spacerowali po obrzeżach Hyde Parku.

- To tylko słowo, czyż nie? Posiada jedynie tę moc, jaką sami chcemy mu nadać.

Zaprzeczył ruchem głowy. Czują, jak mocno bije mu serce.

- Byłeś już przesłuchiwany?

- Nie.

Poczuła na karku dotyk jego chłodnych palców, gdy z namysłem, starannie dobierając każde słowo, powiedział ponad jej głową:

- Oni uważają, że to ja ją zabiłem, prawda, Helen?

Ramiona kobiety oplotły go mocniej, jak gdyby działały niezależnie od jej woli.

Wyreńczył ją w odpowiedzi:

- Wciąż się zastanawiam, jak mogli dojść do takiego wniosku. Przy-szedłem do twojego pokoju, przyniosłem ze sobą koniak, żeby cię upić, kochałem się z tobą, a potem zasztytowałem swoją kuzynkę. A dlaczego to zrobiłem, wkrótce się okaże. Już oni wymyślą jakiś powód.

- Koniak był napoczęty - szepnęła lady Helen.

- Podejrzewają, że coś wsypałem do środka? Mój Boże! A co z tobą, Helen? Ty też tak myślisz? Sądzisz, że przyszedłem do ciebie z zamiarem odurzenia cię środkami nasennymi, a potem zamordowania swojej kuzynki?

- Oczywiście, że nie. Lady Helen podniosła wzrok i ujrzała na twarzy Rhysa wyraz smutku i znużenia, złagodzony przez ulgę.

- Otworzyłem butelkę, gdy wstałem z łóżka - wyznał. - Bóg świadkiem, jak bardzo pragnąłem się napić. Rozpaczliwie pożądałem alkoholu. I wtedy się obudziłaś.

Podeszłaś do mnie i zrozumiałem, że ciebie pragnę bardziej.

- Nic musisz mi o tym mówić.

- Byłem bliski poddania się i o mało nie uległem słabości. Bardzo bliski. Od miesięcy się tak nie czułem. Gdyby cię przy mnie nie było...

- To już nieważne. Byłam i jestem przy tobie.

Z sąsiedniego pokoju dobiegały głosy - przez chwilę Lynley mówił coś gniewnym tonem, a potem rozległy się uspokajające słowa St. Jamesa. Przez chwilę oboje nasłuchiwali. Wreszcie Rhys się odezwał:

- Twoja lojalność zostanie poddana brutalnej próbie, Helen. Chyba zdajesz sobie z tego sprawę? I nawet jeśli zostaną a przedstawione niezbite dowody, ty sama będziesz musiała zdecydować, dlaczego przyszedłem do ciebie tamtej nocy, dlaczego chciałem być z tobą i dlaczego się z tobą kochałem. A najważniejsze, co robiłem w czasie, gdy spałaś.

- Nie muszę o niczym decydować - oświadczyła lady Helen. -Prawda jest tylko jedna.

Oczy Rhysa zamglily się i pociemniały.

- Mylisz się. Są dwie - moja i jego. Dobrze o tym wiesz.

Kiedy St. James i Lynley weszli do salonu, natychmiast się zorientowali, że czeka ich najbardziej niemiła kolacja w życiu. Obecne w pokoju osoby nie mogły się lepiej rozlokować, aby dać wyraz niezadowoleniu wywołanemu perspektywą posiłku w towarzystwie funkcjonariuszy Scotland Yardu.

Joanna Ellacourt wybrała centralne miejsce. Przyjęła na wpół siedzącą, na wpół

leżącą pozę na sofie z różanego drzewa w pobliżu kominka. Zaszczyciła przybyłych lodowatym spojrzeniem i zaraz odwróciła głowę.

Sącząc napój przypominający wyglądem różowy syrop z białą pianką, utkwiała oczy w gzymsie nad kominkiem, pochodzącym z czasów Jerzego II, jak gdyby chciała zapamiętać kształt jasnozielonych pilastrów. Reszta towarzystwa, zgromadzona wokół niej na kanapach i krzesłach, w chwili pojawienia się obu mężczyzn przerwała bezładne wypowiedzi.

Lynley ogarnął wzrokiem grupę, prędko odnotowując w myślach, że brakuje kilku osób, w wśród nich lady Helen i Rhysa Davies-Jonesa. W odległym kącie, nieopodal barku na kółkach, siedział niczym anioł stróż konstabl Lonan. Mierzył

zgrupowanych ostrym wzrokiem, jak gdyby nie wykluczał możliwości, że ktoś spośród nich dopuści się kolejnego aktu przemocy. Lynley i St. James podeszli do Szkota.

- Gdzie są pozostali? - spytał Lynley.

- Jeszcze nie zeszli na dół - odparł Szkot. - Właśnie zjawiała się jedna z pań.

Lynley obejrzał się i stwierdził, że mowa o Elizabeth Rintoul, córce lorda Stinhursta.

Zmierzała w stronę barku, jak gdyby szła na egzekucję. W przeciwieństwie do Joanny Ellacourt, która wybrała na dzisiejszy wieczór obcisłą atlasową suknię, nadającą się nawet na najbardziej uroczystą okazję, Elizabeth miała na sobie brązową tweedową spódnicę i obszerny zielony sweter. Ubranie było znoszone i źle dopasowane, a ponadto górną część garderoby zdobiły trzy wygryzione przez mole dziury, tworzące poniżej lewego ramienia wierzchołki trójkąta równoramiennego.

Elizabeth Rintoul miała trzydzieści pięć lat, lecz wydawała się starsza. Lynley uznał, że wygląda na kobietę w średnim wieku i wyjątkowo brzydko się starzeje. Jej włosy, na przykład, po nieudolnych próbach uzyskania odcienia rdzawego blondu, pokrywały smugi nienaturalnego, spłowiałego już brązu o miedzianym odcieniu.

Włosy były mocno skręcone i opadały Elizabeth na oczy, tworząc ekran, zza którego patrzyła świat. Zarówno ich kolor, jak i rodzaj uczesania wskazywały na to, że inspiracją było zdjęcie z żurnala, ale przy doborze fryzury nikt nie uwzględnił

karnacji kobiety ani kształtu jej mizernej, bladej i pociągłej twarzy o ostrych rysach.

Nad górną wargą zaczęły się pojawiać pierwsze zdradzające wiek zmarszczki.

Gdy przechodziła przez pokój, z całej postaci przebijało zaniepokojenie. Jedną rękę Elizabeth trzymała w kieszeni. Nie przedstawiła się policjantom ani nie zadała sobie trudu, by wygłosić jakąś wstępną, grzecznościową uwagę. Nie ulegało wątpliwości, że od ponad dwunastu godzin czeka, aby zadać swoje pytanie, i nie zamierza z tym zwlekać ani chwili dłużej. Zwracając się do Lynleya, nie patrzyła na niego. Jej oczy, nieumiejętnie podkreślone pastelowymi cieniami w kolorze akwamaryny, zaledwie prześlizgnęły się po jego twarzy w celu nawiązania kontaktu, a potem utknęły w ścianie za jego plecami, jak gdyby kobieta przemawiała do wiszącego tam obrazu.

- Ma pan naszyjnik? - spytała.

- Słucham?

Palce Elizabeth nerwowo mięły spódnice.

- Naszyjnik z pereł mojej ciotki. Dałam go Joy wczoraj wieczorem. Czy znalazł go pan w jej pokoju?

Siedzące przy kominku osoby zareagowały na to pytanie pomrukiem. Francesca Gerrard poderwała się z kanapy. Podeszła do bratanicy, chwyciła ją za łokieć i próbowała zaciągnąć na miejsce obok siebie. Unikała wzrokiem policjantów.

- Wszystko w porządku, Elizabeth - mruknęła. - O nic się nie martw, naprawdę.

Kobieta wyrwała się z jej uścisku.

- Jestem innego zdania, ciociu Francie. Od początku byłam przeciwna pomysłowi ofiarowania naszyjnika Joy. A teraz, kiedy ona nie żyje, chcę, żebyś go odzyskała. -

W dalszym ciągu na nikogo nie patrzyła. Cienie na powiekach podkreślały przekrwienie jej oczu.

Lynley skierował wzrok na St. Jamesa.

- C z y w pokoju znaleziono jakieś perły? Mężczyzna zaprzeczył ruchem głowy.

- Przecież zniosłam jej naszyjnik. Nie wróciła jeszcze do swojego pokoju. Poszła do... Poprosiłam

go, żeby jej... - Elizabeth umilkła, rozglądając się wokół siebie.

Zatrzymała spojrzenie na Jeremym Vinneyu.

- Nie oddał jej go pan, prawda? Pomimo danej mi obietnicy. Co pan z nim zrobił?

Dzin z tonikiem zawisł w połowie drogi do ust dziennikarza. Jego owłosione, tłuste palce mocniej zacisnęły się na szklance. Najwyraźniej oskarżenie było dla niego zaskoczeniem.

- Co z nim zrobiłem? Oczywiście, że jej oddałem. Niech pani nie plecie bzdur.

- Kłamie pan! - wrzasnęła piskliwie Elizabeth. - Twierdził pan, że ona nie chce z nikim rozmawiać! I schował go pan do kieszeni! Słysza-

łam, że oboje byliście w pokoju! Dobrze wiem, o co panu chodziło! A kiedy panu na to nie pozwoliła, poszedł pan za nią do jej pokoju, nie mylę się, prawda? Był pan na nią wściekły! I zamordował ją pan! A potem zabrał perły!

Vinney z niespodziewaną zwinnością, jak na człowieka jego postury, zerwał się na nogi. Próbował odepchnąć Davida Sydehama, który chwycił go za ramię.

- Ty zasuszona, mała jędzo! - wybuchnął. - Byłaś o nią tak zazdrosna, że prawdopodobnie sama ją zamordowałaś! Czy po to szpiegowałaś i podsłuchiwałaś pod drzwiami, żeby się karmić cudzymi doznaniem?

- Jezu Chryste, Vinney...

- Co z nią zrobiłeś? - Elizabeth z wściekłości wystąpiły na policzkach czerwone plamy. Jej usta wykrzywił szyderczy uśmiech. - Czy wykrwawiając ją, miałeś nadzieję wzbogacić swoje soki twórcze? Czy też chciałeś ją tylko przelecieć, jak wszyscy inni obecni tutaj mężczyźni?

- Elizabeth! - błagała słabym głosem Francesca Gerrard.

- Dobrze wiem, po co do niej poszedłeś! Przejrzałam twoje zamiary!

- Ona postradała zmysły - mruknęła z odrazą Joanna Ellacourt. Uwaga aktorki wytrąciła z równowagi lady Stinhurst.

- Jak pani śmie! Rozsiadła się pani niczym podstarzała Kleopatra, która potrzebuje mężczyzn jedynie do...

- Marguerite! - zagrzmiął głos jej męża. Wszyscy umilkli i zapanowała cisza.

Napięcie rozładowały odgłosy kroków na schodach i w holu. Chwilę później do pokoju weszli pozostali członkowie towarzystwa: sierżant Havers, lady Helen i Rhys Davies-Jones, a minutę po nich Robert Gabriel.

Aktor obrzucił spojrzeniem zdenerwowaną grupę przy kominku, osoby przy barku z alkoholami, a na końcu Elizabeth i Vinneya, którzy kipieli złością; wyglądało na to, że znowu są gotowi skoczyć sobie do oczu. Ta chwila należała do aktora i dobrze wiedział, jak ją wykorzystać.

- Ach, jak widzę, wszyscy znaleźliśmy się w rynsztoku - uśmiechnął się pogodnie. -

Zastanawiam się tylko, kto z nas patrzy w gwiazdy?

- Z pewnością nie Elizabeth - stwierdziła krótko Joanna Ellacourt i ponownie skupiła uwagę na swoim drinku.

Lynley dostrzegł kątem oka, że Davies-Jones zaciągnął lady Helen do barku i nalał

jej wytrawnej sherry. Zna nawet jej zwyczaje, pomy-

ślał z przygnębieniem i uznał, że ma już prawie wystarczającą ilość informacji o całej grupie.

- Proszę opowiedzieć mi o perłach.

Francesca Gerrard dotknęła pojedynczego łańcucha tanich koralików, które miała na szyi. Były brązowofioletowe i kłóciły się z zielenią jej bluzki. Nagle pochyliła głowę i sięgnęła nerwowo dłonią do ust, jak gdyby chciała ukryć przed badawczym spojrzeniem swoje wydatne zęby. Odezwała się zająkliwie, co sprawiało wrażenie, że jako osoba dobrze wychowana nie chce się narzucać.

- To... moja wina, inspektorze. To ja poprosiłam wczoraj Elizabeth, żeby ofiarowała perły Joy. Nie są, oczywiście, bezcenne. Sądziłam jednak, że gdyby potrzebowała pieniędzy...

- Ach, rozumiem. Chodziło o łapówkę. Francesca skierowała spojrzenie na brata.

- Stuarcie, czy nie zechciałbyś?... - zabrzmiały niepewnie jej słowa, ale lord Stinhurst się nie odezwał.

- Tak. Liczyłam na to, że może zechce wycofać tę sztukę.

- Powiedz, jaka była wartość pereł - nalegała zapalczywie Elizabeth.

Francesca skrzywiła się z niesmakiem, najwyraźniej nie przyzwyczajona, żeby publicznie omawiać tego typu sprawy.

- Otrzymałam je w prezencie ślubnym od Phillipa, mojego męża. Były... idealnie dobrane, zatem...

- Ich wartość przekraczała osiem tysięcy funtów - poinformowała oschle Elizabeth.

- Zamierzałam przekazać je kiedyś mojej córce. Nie doczekałam się jednak własnych dzieci i dlatego...

- Miały przejść w ręce naszej małej Elizabeth - dokończył tryumfalnie Jeremy Vinney. - Czyż trzeba

lepszego powodu, aby je ukraść z pokoju Joy? Ty podła dziwko! Sprytnie to obmyśliłaś, wytykając mnie palcem jako złodzieja!

Elizabeth rzuciła się w jego stronę. Lord Stinhurst poderwał się z miejsca i zagroził

jej drogę. Gdyby nie przybycie Mary Agnes, pewnie cała scena powtórzyłaby się od początku. Pokojówka stanęła niepewnie w drzwiach, wytrzeszczając oczy i obracając w palcach końce włosów splecionych w warkocze. Francesca Gerrard zagadnęła ją, starając się zażegnać kolejną kłótnię:

- Kolacja gotowa, Mary Agnes? Dziewczyna ogarnęła wzrokiem pokój.

- Gowan? - rzekła pytająco. - Nie ma go tutaj? Kucharka go potrzebuje... - Głos jej się załamał. - Czy nikt go nie widział?...

Lynley spojrzał na St. Jamesa, a potem na Havers. Wszystkich troje ogarnęła trwoga. I wszyscy jednocześnie ruszyli do wyjścia.

- Niech pan dopilnuje, żeby nikt nie opuszczał pokoju - polecił konstablowi Lonanowi Lynley.

Rozpierzchli się po całym domu. Havers udała się na górę, St. James zszedł na dół i ruszył północno-wschodnim korytarzem, a Lynley minął jadalnię, kredens, kotłownię i wpadł do kuchni. Kucharka spojrzała na niego zdumiona, rozlewając aromatyczny, parujący bulion z kociołka, który trzymała w dłoniach. Lynleya dobiegały z góry kroki sierżant Havers, przemierzającej korytarz w zachodnim skrzydle. Słyszał jej nawoływania i trzaski otwieranych drzwi.

Zbiegł po stopniach w dół i znalazł się przy wejściu do pomywalni. Gałka przekręciła się w dłoni, lecz drzwi nie ustępowały. Coś blokowało przejście.

- Havers! - zawołał, a gdy nie otrzymał odpowiedzi, z narastającym zaniepokojeniem ponowił okrzyk:

- Havers, do diabła!

Wkrótce dobiegł go odgłos jej szybkich kroków na kuchennych schodach, usłyszał, jak się zatrzymała i krzyknęła z niedowierzaniem, a potem doszedł go plusk wody, co przypominało odgłosy zabawy dziecka w brodziku. Cenne sekundy mijały. Nagle rozległ się przepełniony goryczą głos policjantki:

- Gowan! O Chryste!

- Havers, na miłość boską...

W pomywalni powstał ruch i słycać było szuranie. Drzwi uchylły się na cztery centymetry, umożliwiając Lynleyowi dostęp do buchającego gorącą parą, nieprzyjaznego wnętrza.

Na najwyższym stopniu pomieszczenia leżał na brzuchu Gowan. Plecy miał

powleczone purpurową mazią. Najwidoczniej usiłował uciec przed tryskającym z bojlera wrzątkiem, który mieszał się na posadzce z chłodną wodą. Zebrała się jej już kilkucentymetrowa warstwa i Havers, brodząc w niej, wróciła do zbiornika, aby odszukać zawór i zamknąć jej wypływ. Gdy wreszcie jej się to udało, pomieszczenie pograżyło się w niesamowitej ciszy. Zakłócił ją dopiero dobiegający z drugiej strony drzwi głos kucharki:

- Czy to Gowan? Czy to nasz chłopiec? I kobieta podniosła lament, a jej zawodzenia odbijały się od kuchennych ścian niczym dźwięki jakiegoś instrumentu.

Gdy umilkła, w gorącym powietrzu rozległ się inny odgłos. Gowan oddychał.

Jeszcze żył.

Lynley odwrócił go przodem do siebie. Twarz i szyja chłopaka zlewały się w jedną nierówną, czerwoną masę. Koszula i spodnie były wtopione ciało.

- Gowan! - zatkał Lynley. I zaraz zawołał:

- Havers, proszę zadzwonić po karetkę! Niech pani zawołała St. Jamesa. - Kobieta się nie poruszyła. - Prędko! Proszę wykonać moje polecenia!

Jej wzrok był utkwiony w twarzy chłopca. Lynley się odwrócił i spostrzegł, że oczy Gowana stają się szkliste. Wiedział, co to oznacza.

- Gowan! Nie!

Przez moment wydawało się, że chłopak podejmuje rozpaczliwą próbę odpowiedzi na wołanie z ciemności. Zadyszał chrapliwie, dusząc się krwawą plwociną:

- Nie...widziałem...

- Czego? - nalegał Lynley. - Czego nie widziałeś? Havers przechyliła się do przodu.

- Kto to był? Gowan, kto?

Z nadludzkim wysiłkiem jego wzrok odnalazł jej oczy. Ale chłopak niczego już więcej nie dodał. Jego ciało zadrgało konwulsyjnie, targnięte dreszczem, i znieruchomiało.

Lynley stwierdził, że wciąż ściska w dłoniach koszulę chłopca, jak gdyby podejmował szalony trud tchnięcia w udręczone ciało życia. Rozluźnił palce, pozwalając zwłokom spocząć na stopniach. Ogarnęła go potworna wściekłość, która rozplywała się po jego mięśniach, tkankach i wszystkich dosłownie wnętrznościach.

Inspektor miał ochotę ryczeć z bólu. Pomyślał o zmarnowanym życiu - o kolejnych pokoleniach z zimną krwią unicestwionych w osobie tego młodego człowieka, który... co zrobił? Kto zapłaci za tę zbrodnię? Co oznaczały jego słowa? Jaką zawierały informację?

Lynleyowi płonęły oczy, serce waliło i przez chwilę nie dopuszczał do świadomości faktu, że sierżant Havers coś do niego mówi. Jej głos załamał się żałościwie.

- On wyciągnął to diabelskie narzędzie! Och, mój Boże, inspektorze, on sam musiał to zrobić!

Lynley obserwował ją, gdy wróciła do kąta, gdzie umieszczono bojler. Nie zwracając uwagi na wodę, uklękła na posadzce z kawałkiem podartej ścierki w dłoni. Przez szmatę podniosła coś z kałuży. Był to kuchenny nóż, ten sam, który Lynley widział zaledwie kilka godzin temu w rękach zatrudnionej w Westerbrae kucharki.

8

W pomywalni nie było dużo miejsca, dlatego inspektor Macaskin spacerował po kuchni. Lewą dłonią przesuwiał wzdłuż roboczego blatu na środku pomieszczenia, a w prawej obgryzał ze złości paznokcie. Oderwał oczy od okna, w którym niewyraźnie odbijała się jego sylwetka, i skierował je na zamknięte drzwi jadalni.

Dobiegał stamtąd głośny kobiecy lament oraz ostro brzmiący męski głos. To rodzice Gowana, dopiero co przybyli z farmy Hillview, bezlitośnie atakowali Lynleya pierwszymi słowami podyktowanego rozpaczą gniewu. Podejrzani czekali na wezwanie policji w swoich zamkniętych i pilnie strzeżonych pokojach na piętrze.

Znowu to samo, pomyślał Macaskin. Zaklął głośno, obwiniając się o śmierć chłopca. Wyrzucał sobie, że gdyby przed kolacją nie nalegał na wypuszczenie gości z biblioteki, być może Gowan Kilbride żyłby nadal. Odwrócił się, słysząc, że St.

James i lekarz sądowy z posterunku w Strathclyde wychodzą z pomywalni.

Podszedł do nich pośpiesznie. Za ich plecami dostrzegł dwóch facetów od kryminalistyki. Mężczyźni wciąż pracowali w małym pomieszczeniu, starając się zabezpieczyć wszystkie ślady, jakich nie zdążyła zniszczyć para i woda.

- Przypuszczam, że przyczyną zgonu było uszkodzenie prawej arterii płucnej -

mruknął lekarz do Macaskina. Ściągnął rękawiczki i schował je do kieszeni marynarki.

Macaskin spojrzał pytająco na St. Jamesa.

- To może być ten sam morderca - rzekł. - Świadczy o tym pojedynczy cios zadany prawą ręką.

St. James skinął głową.

- Jak pan sądzi, kto by! sprawcą - mężczyzna czy kobieta? - dociekał Szkot.

St. James powoli wypuścił powietrze z płuc.

- Przypuszczam, że mężczyzna. Nie wykluczam jednak, że zbrodni dokonała kobieta.

- Ależ do tego trzeba było ogromnej siły!

- Albo przyływu andrealiny. Równie dobrze mogła to zrobić osoba słaba fizycznie, jeśli była czymś pobudzona.

- Pobudzona?

- Ślepą wściekłością, paniką albo strachem.

Macaskin zbyt mocno ugryzł się w palec. Poczuł w ustach smak krwi.

- Kto byłby do tego zdolny? Kto? - spytał, nie spodziewając się odpowiedzi.

Kiedy Lynley otworzył drzwi do pokoju Roberta Gabriela, widok aktora przywiódł

mu na myśl samotnego więźnia w celi. Mężczyzna wybrał najmniej wygodne krzesło, siedział pochylony do przodu, a jego starannie wypielęgnowane dłonie zwiisały beczynn timer z kolan.

Lynley nieraz widywał Gabriela na scenie, a najlepiej zapamięta! go w znakomitej roli Hamleta przed czterema laty. Człowiek, którego obecnie miał przed sobą, w niczym nie przypomina! aktora potrafiącego porwać publiczność znakomitą kreacją udręczonego psychicznie duńskiego księcia. Choć liczył obecnie niewiele ponad czterdzieści lat, wygląda! staro. Pod jego oczami pojawiły się worki, a wokół talii wyraźnie rysowała się fałda tłuszczu. Świetnie ostrzyżone i nienagannie uczesane włosy pomimo żelu nadającego im modną linię były przerzedzone na skroniach i wyglądały nienaturalnie, jak gdyby byty farbowane. Na czubku głowy ledwie starczało kosmyków na zakrycie łysiny, która tworzyła coraz to bardziej powiększającą się tonsurę. Młodzieżowy ubiór świadczy! o tym, że Gabriel lubi odzież o kolorystyce i o rozmiarach bardziej odpowiednich na wakacje w Miami Beach niż na zimowy weekend w Szkocji. Te sprzeczności sygnalizowały, że mężczyzna nie jest tak pewny siebie, jak można by tego oczekiwać.

Lynley wskazał giową Havers, aby zajęła drugie krzesło, a sam po-zosta! w pozycji stojącej. Wybrał miejsce obok zgrabnej dębowej komody, skąd dobrze widział

twarz aktora.

- Proszę mi opowiedzieć o Gowanie - polecił. Sierżant zaszeleściła kartkami notatnika.

- Gdy moja matka wciąż mnie o wszystko wypytywała, uważałem, że zachowuje się jak policjant - padła znudzona odpowiedź. - Teraz widzę, że miałem rację. - Gabriel rozmasował sobie kark, a potem wyprostował się na krześle i sięgnął po stojący na szafce nocnej budzik. -Mój syn mi go podarował. Proszę spojrzeć na ten bezwartościowy przedmiot. Nie mogę się zdobyć na to, żeby go wyrzucić do kosza, choć nie wskazuje już prawidłowo czasu. Ja to nazywam ojcowskim oddaniem. Matka mojego syna twierdzi, że to poczucie winy.

- Pokłóciliście się dzisiaj z Gowaniem w bibliotece późnym popołudniem.

Gabriel prychnął drwiąco.

- To prawda. Chłopak podejrzewał, że zasmakowałem we wspaniałych wdziękach Mary Agnes. I nie bardzo mu się to spodobało.

- A zasmakował pan?

- Chryste, jakbym słyszał moją byłą żonę.

- Być może. Jednakże to nie jest odpowiedź na moje pytanie.

- Rozmawiałem z dziewczyną - odburknął aktor. - To wszystko.

- Kiedy to było?

- Nie wiem. Wczoraj. Wkrótce po moim przyjeździe. Rozpakowywałem bagaże, gdy zapukała do mojego pokoju pod pretekstem dostarczenia ręczników, które nie były mi potrzebne. Zatrzymała się na krótką pogawędkę, wystarczająco długą jednak, aby się dowiedzieć, że znam wszystkich czołowych aktorów stanu wolnego.

- Gabriel odczekał chwilę, szykując się do defensywy, a gdy nie padło żadne dodatkowe pytanie, przyznał: - Zgoda, zgoda! Być może tu i ówdzie jej dotknąłem.

Prawdopodobnie nawet ją pocałowałem, ale nie jestem tego pewien.

- Być może dotknął jej pan? I nie jest pan pewien, czyją całował?

- To nie miało dla mnie znaczenia, inspektorze. Nie przypuszczałem, że będę się musiał rozliczać przed londyńską policją z każdej sekundy mojego życia.

- Z pańskich wyjaśnień wynika, że dotykanie i całowanie kogoś jest dla pana odruchem bezwarunkowym - zauważył Lynley uprzejmym, lecz niewzruszonym tonem. - Jak daleko musi się pan posunąć w kontaktach z kobietami, żeby zapamiętać własne zachowanie? Do całkowitego ich zniewolenia? Do usiłowania gwałtu?

- W porządku. Dziewczyna była dość chętna. I nie zabiłem chłopaka z tego powodu.

- Z jakiego powodu?

Gabriel miał przynajmniej na tyle rozsądku, żeby sprawiać wrażenie zakłopotanego.

- Mój Boże, całowaliśmy się przez chwilę i być może wsadziłem jej rękę pod spódnicę. Ale nie wzięłem jej do łóżka.

- W każdym razie nie wtedy.

- Nigdy! Niech pan ją o to zapyta! Powie panu to samo. - Przycisnął palce do skroni, jak gdyby chciał

uciszyć ból. Na jego twarzy, podrapanej podczas potyczki z Gowanem, malowało się skrajne wyczerpanie.

- Nie miałem pojęcia, że dziewczyna wpadła chłopakowi w oko. Wtedy nic wiedziałem nawet o jego istnieniu. O ile się orientowałem, była wolna. I, na Boga, nie protestowała. Z lubością oddawała się pieszczotom.

W ostatnim stwierdzeniu aktora zabrzmiała duma mężczyzny, który czuje nieprzepartą potrzebę opowiadania o swoich sercowych podbojach, choć wie, że szczylenie się opinią uwodziciela inni często uważają za dziecinadę. Lynley zastanawiał się, czy Gabriel rzeczywiście jest tego typu facetem.

- Co pan robił podczas ubiegłej nocy?

- Niewiele mam do powiedzenia na ten temat. Wypiłem drinka w bibliotece.

Rozmawiałem z Irenę. A potem poszedłem do łóżka.

- Sam?

- Tak, choć pewnie trudno będzie panu w to uwierzyć. Nie z Mary Agnes ani z żadną inną kobietą.

- W takim razie nie ma pan alibi, czyż nie tak?

- A po co mi alibi, inspektorze? Z jakiego powodu miałoby mi zależeć na śmierci Joy? Przyznaję, wdaliśmy się w romans, który stał się powodem rozpadu mojego małżeństwa. Ale gdybym chciał ją zabić, zrobiłbym to w ubiegłym roku, kiedy Irenę nas nakryła i zażądała rozwodu. Dlaczego aż do tej pory miałbym z tym zwlekać?

- Joy nie zaakceptowała pańskiego planu obmyślonego w celu odzyskania żony. Być może Irenę wróciłaby do pana, gdyby siostra ją zapewniła, że tylko raz ze sobą spaliście. Ale Joy nie miała zamiaru kłamać i nie chciała pójść panu na rękę.

- Przypuszcza pan, że ją z tego powodu zabiłem? Kiedy? I w jaki sposób? W całym domu nie ma osoby, która nie wiedziałaby, że drzwi do jej pokoju były zamknięte na klucz. Jak zdołałbym tego dokonać? Schować się w jej szafie i czekać, aż zaśnie? A może sądzi pan, że postanowiłem przejść na palcach tam i z powrotem przez sypialnię Helen Clyde, w nadziei że mnie nie zauważy?

Lynley nie dał się wciągnąć w krzykliwą szermierkę słowną.

- Dokąd udał się pan wczoraj po opuszczeniu biblioteki?

- Przyszedłem tutaj.

- Od razu?

- Oczywiście. Musiałem się umyć. Czuję się potwornie nieświeżo.

- Z których schodów pan skorzystał? Gabriel zamrugał powiekami.

- O co panu chodzi? Czy w tym domu jest jeszcze jakaś inna klatka schodowa?

Wszedłem schodami prowadzącymi z głównego holu.

- A nie tymi, które znajdują się po prawej stronie korytarza obok pańskiego pokoju?

Nie skorzystał pan z kuchennego przejścia prowadzącego do pomywalni?

- Nie miałem pojęcia o jego istnieniu, inspektorze. Nie zwykłem węszyć po cudzych domach w poszukiwaniu innego dojścia do mojego pokoju.

Brzmiało to dość rozsądnie i było niemożliwe do sprawdzenia, jeśli nikt nie widział aktora podczas ostatnich dwudziestu czterech godzin w kuchni ani w pomywalni. Z pewnością z kuchennych schodów korzystała Mary Agnes. Ale Gabriel nie był głuchy ani ściany nie były na tyle grube, żeby stłumić odgłos kroków.

Lynley uznał, że gwiazdor popełnił właśnie pierwszy błąd. Zamyślił się nad tym.

Był ciekaw, w jakiej jeszcze sprawie aktor go okłamał.

Inspektor Macaskin otworzył drzwi i wsunął głowę do pokoju. Był zupełnie opanowany, lecz w dwóch wypowiedzianych przez niego słowach zabrzmiała nuta tryumfu:

- Znaleźliśmy perły.

- Pani Gerrard miała je przy sobie - oznajmił Szkot. - Gdy moi ludzie przyszli przeszukać jej pokój, wręczyła im je bez oporów. Kazałem jej poczekać w salonie.

Po wyjściu z biblioteki Francesca Gerrard obwiesiła się dodatkową i w szokujący sposób dobraną biżuterią. Siedem różnych sznurów paciorków - od kości słoniowej po onyks - dołączyło do ciemno fioletowych koralików, a metalowe bransolety na przegubach dłoni dzwoniły przy każdym ruchu niczym kajdany. Do uszu były przypięte plastikowe klipsy w agresywne purpurowo-czarne paski. A jednak ta niegustowna demonstracja nie była przejawem ekscentryczności ani przesadnego zainteresowania własną osobą. Można ją było uznać raczej za odpowiednik posypywania głowy popiołem na znak żałoby po śmierci bliskiej osoby, obrzędu praktykowanego przez kobiety z innych kręgów kulturowych.

Nie ulegało bowiem wątpliwości, że Francesca Gerrard jest pogrążona w bólu.

Siedziała przy stole na środku pokoju, jedną rękę mocno przyciskając do talii, a drugą, zaciśniętą w pięść, podpierając czoło. Kiwała się rytmicznie z boku na bok i płakała. Jej łzy nie były udawane. Lynley dostatecznie często miał styczność z ludźmi, którzy kogoś utracili, by wiedzieć, kiedy ich

rozpacz jest prawdziwa.

- Niech pani jej coś przyniesie - zwrócił się do Havers. - Whisky, brandy lub sherry.

Cokolwiek. Alkohole są w bibliotece.

Sierżant spełniła polecenie i wróciła po chwili z butelką oraz ze szklankami. Do jednej z nich wlała kilka łyżek stołowych whisky. Woń, przywodząca na myśl zapach spalenizny, wzbiła się w powietrze niczym dźwięk.

Z nietypową dla siebie delikatnością Havers włożyła kobiecie szklankę w dłoń.

- Proszę, niech pani się napije doradziła. To panią trochę uspokoi.

- Nie mogę! Nie mogę! - zawołała kobieta. Pozwoliła jednak policjantce podnieść naczynie do swoich ust. Krzywiąc się, przełknęła łyk, zakasłała i pociągnęła następny.

- On był... Zwykłam o nim myśleć jak o własnym synu - wyznała załamującym się głosem. - Nie miałam swoich dzieci. Gowan... To ja jestem winna jego śmierci.

Prosiłam go, żeby u mnie pracował. Nie zależało mu specjalnie na tej posadzie.

Chciał pojechać do Londynu. Pragnął stać się drugim Jamesem Bondem. Marzył o tym. A teraz nie żyje. I to z mojej winy.

Inne obecne w salonie osoby dyskretnie zajęły miejsca, wystrzegając się gwałtownych ruchów. Havers usiadła obok Lynleya przy stole, a St. James i Macaskin usadowili się poza zasięgiem wzroku Franceski.

- Poczucie winy jest nierozdzielnie związane ze śmiercią - zauważył cicho Lynley. -

Ja również ponoszę odpowiedzialność za to, co spotkało tego chłopca. I nigdy sobie tego nie wybaczę.

Francesca podniosła wzrok, zdumiona. Widocznie nie spodziewała się po funkcjonariuszu policji takiego oświadczenia.

- Czuję się tak, jak gdyby część mnie również umarta... Nie potrafię tego dokładnie wytłumaczyć. - Jej głos zadrżał i umilkł.

Śmierć każdego człowieka mnie pomniejsza, ponieważ ludzkość to ja. Narażony przez lata na kontakt ze zbrodnią popełnianą na tysiące różnych sposobów, Lynley rozumiał Francescę o wiele lepiej, niż była to w stanie pojąć.

Przekona się pani, że w tej sytuacji ukojenie smutku nastąpi, gdy sprawiedliwości stanic się zadość. Nie natychmiast, oczywiście. Ale w końcu ból minie.

- A ja mam panu pomóc, by stało jej się zadość. Rozumiem. - Wyprostowała się na krześle, drżącymi dłońmi wytarła nos w zwiniętą chusteczkę, którą wyjęła z kieszeni, i pociągnęła niepewnie kolejny haust whisky. Jej oczy znów napełniły się łzami. Kilka spłynęło wilgotnym szlakiem wzdłuż policzka do ust,

- W jaki sposób naszyjnik znalazł się w pani pokoju? - spytał Lynley.

Sierżant Havers wyjęła ołówek.

Francesca się zawahała. Dwukrotnie otworzyła usta, zanim zdołała przemówić.

- Odebrałam go wczoraj w nocy. Powinnam powiedzieć o tym wcześniej, podczas przesłuchania w salonie. Chciałam się przyznać. Ale Elizabeth i pan Vinney zaczęli się kłócić... Nie wiedziałam, co robić. Wszystko rozegrało się tak szybko. A potem Gowan... - Zająknęła się na imieniu chłopca jak biegacz, który się potyka i, nie odzyskawszy w pełni równowagi, znowu stawia chwiejny krok,

- Rozumiem. Poszła pani po naszyjnik do pokoju Joy? A może autorka sama go pani odniosła?

- Poszłam do jej pokoju. Leżał na komodzie przy drzwiach. Rozmyśliłam się. Nie chciałam się z nim rozstawać.

- Czy odzyskała go pani z łatwością? Nie było żadnych dyskusji? Francesca zaprzeczyła ruchem głowy.

- Nie było, ponieważ Joy już spała.

- Widziała ją pani? Jak się pani dostała do jej pokoju? Czy drzwi były otwarte?

- Nie, Najpierw wybrałam się do niej bez kluczy. Sądziłam, że skoro wszyscy się znają, nikt się nie będzie zamykał. Ale jej drzwi były zamknięte. Wróciłam więc do biura po klucze uniwersalne.

- Czy klucz nie tkwił w zamku od wewnątrz? Francesca zmarszczyła brwi.

Nie... nie mógł się tam znajdować, gdyż nie zdołałabym otworzyć drzwi.

- Proszę nam opowiedzieć dokładnie, co pani robiła, pani Gerrard. Francesca chętnie odtworzyła trasę ze swojej sypialni do pokoju

Joy, gdzie po przekręceniu gałki stwierdziła, że drzwi są zamknięte od wewnątrz.

Wróciła do siebie, wyjęta z komody klucz do biurka, poszła do biura po uniwersalne klucze przechowywane w dolnej szufladzie, a stamtąd znowu powędrowała do numeru Joy. Gdy cicho otworzyła zamek i w padającym z korytarza snopie światła zobaczyła swój naszyjnik, wzięła go, ponownie zamknęła drzwi, wróciła do biura i odłożyła klucze na miejsce, a potem schowała perły do kasetki z biżuterią w swojej sypialni.

- Która była wtedy godzina? - dociekał Lynley.

- Kwadrans po trzeciej.

- Dokładnie?

Kobieta skinęła głową. Po chwili przystąpiła do dalszych wyjaśnień:

- Nie wiem, czy zdarzyło się panu kiedyś działać pod wpływem impulsu, a potem żałować swojego postępu, inspektorze? Mnie zrobiło się żal pereł zaraz potem, gdy Elizabeth zaniosiła je dramatopisarce. Leżałam w łóżku i zastanawiałam się, co zrobić. Chciałam uniknąć konfrontacji z Joy, a Stuarta wolałam nie kłopotać dodatkowymi problemami. Postanowiłam więc... Nazwijmy to kradzieżą. Znam dokładną godzinę, ponieważ leżałam, nie mogąc zasnąć, i patrzyłam na zegar.

Dokładnie o trzeciej piętnaście postanowiłam podjąć kroki w celu odzyskania naszyjnika.

- Powiedziała pani, że Joy spała. Widziała ją pani? Słyszała pani jej oddech?

- W pokoju panowały nieprzeniknione ciemności. Sądziłam... że śpi. Tak przypuszczałam. Po otwarciu zamka nie poruszyła się ani nie odezwała. Czy ona...

Francesca szeroko otworzyła oczy. - Chce pan powiedzieć, że już wtedy mogła nie żyć?

- Czy pani ją w ogóle widziała?

- Chodzi panu o to, czy ją widziałam w pościeli? Nie, jej łóżko znajdowało się poza zasięgiem mojego wzroku. Zasłaniały je drzwi, które uchyliłam zaledwie na kilka centymetrów. Oczywiście, myślałam, że ona...

- Czy biurko w pani gabinecie było zamknięte?

- O tak. Nigdy nie jest otwarte.

- Kto ma do niego klucze?

- Jeden należy do mnie, a drugi do Mary Agnes.

- Czy ktoś mógł panią widzieć, gdy szła pani do pokoju Joy? Albo w drodze do biura?

- Nikogo nie zauważyłam. Przypuszczam jednak... - Pokręciła głową. - Nie wiem.

- Przecież przechodziła pani obok kilku pokoi, prawda?

- To oczywiste, że gdyby ktoś był akurat na głównym korytarzu, na pewno by mnie zobaczył. Ale z pewnością ja też bym go spostrzegła. A przynajmniej usłyszałabym odgłos otwieranych drzwi.

Lynley podszedł do Macaskina. Szkot zdążył już wstać z miejsca i teraz przyglądał

się badawczo planowi domu, który od czasu przesłuchania Davida Sydehama wciąż leżał rozłożony

na stole, Oprócz sypialni lady Helen i Joy Sinclair cztery pokoje miały bezpośredni dostęp do głównego korytarza: Joanny Ellacourt i Davida Sydehama, lorda Stinhursta i jego żony, nie używana sypialnia Rhysa Davies-Jo-nesa oraz pokój Irenę Sinclair u zbiegu głównego korytarza z zachodnim skrzydłem budynku.

- Niewątpliwie kobieta ma rację - mruknął Macaskin do Lynleya, gdy obaj przestudiowali rozkład domu. - Z pewnością usłyszałyby coś albo zobaczyła i na pewno jej uwagi nie uszedłby fakt, że jest obserwowana.

- Pani Gerrard - rzucił Lynley przez ramię - czy jest pani absolutnie pewna, że drzwi do pokoju Joy Sinclair były ubiegłej nocy zamknięte na klucz?

- Oczywiście - odparła kobieta. - Pomyślałam, że wraz z poranną herbatą prześlę jej liścik, w którym zawiadomię ją o odebraniu perel. I być może rzeczywiście powinnam była tak postąpić. Ale wtedy...

- I schowała pani klucze z powrotem do biurka?

- Tak. Dlaczego wciąż wypytuje mnie pan o drzwi do pokoju denatki?

- Zamknęła pani szufladę na klucz?

Oczywiście. Jestem tego pewna. Nigdy o tym nie zapominam. Lynley obrócił się tyłem do stołu i skierował wzrok na Francescę.

- Czy może mi pani wyjaśnić, dlaczego Helen Clyde otrzymała pokój sąsiadujący z numerem Joy Sinclair? Czy stało się to przez przypadek?

Dłoń Franceski odruchowo powędrowała do koralu. Był to automatyczny gest, towarzyszący namysłowi.

- Helen Clyde? - upewniła się. - Czy to nie Stuart zasugerował... Nie, już wiem.

Mary Agnes odebrała telefon z Londynu. Zapamiętałam ten moment, ponieważ pokojówka zanotowała nazwisko zgodnie z jego brzmieniem i wydało mi się nie znane. Dlatego kazałam dziewczynie je wymówić.

- Nazwisko?

- Tak. Napisała *Joyce Encare*, i oczywiście nie skojarzyłam go z żadną osobą, dopóki Mary Agnes nie wypowiedziała tych dwóch słów: Joy Sinclair.

- Joy telefonowała osobiście?

- Tak. Zaraz się z nią skontaktowałam. Chyba było to... w ubiegły poniedziałek wieczorem. Poprosiła, żebym przydzieliła Helen Clyde sąsiedni pokój.

- Joy poprosiła o pokój dla Helen? - zapytał ostrym tonem Lynley. - Wymieniła jej nazwisko?

Francesca się zawahała. Opuściła oczy na plan domu, a potem je podniosła i napotkała wzrok Lynleya.

- Nie wyjaśniła dokładnie, o kogo chodzi. Powiedziała tylko, że jej kuzyn przywozi ze sobą gościa, i zapytała, czy mogłabym przydzielić tej osobie pokój sąsiadujący z jej numerem. Musiała wiedzieć, jak sędzę, że... - Kobiecie załamał się głos, a Lynley odepchnął się od stołu. Spojrzał najpierw na Macaskina, a potem na Havers i na St.

Jamesa. Dalsze odwlekanie sprawy nie miało sensu.

- Porozmawiam teraz z Davies-Jonesem - oświadczył.

Rhys Davies-Jones nie sprawiał wrażenia człowieka wystraszonego obecnością policji, pomimo eskorty Lonana, który mu towarzyszył w drodze z pokoju i odprowadził go pod same drzwi salonu, jak gdyby miał do czynienia z osobnikiem o podejrzanym reputacji. Walijczyk spojrzał wszystkim prosto w oczy, dając do zrozumienia, że nie ma nic do ukrycia. Czarny koń, o którym nikt by nie pomyślał...

Lynley ruchem głowy wskazał mu miejsce za stołem.

- Niech pan mi opowie o wczorajszej nocy.

Jedyną dostrzegalną reakcją reżysera na to polecenie było usunięcie z pola widzenia butelki z alkoholem. Wodził opuszkami palców wzdłuż krawędzi paczki papierosów, które wyjął z kieszeni marynarki, ale nie zapalił.

- O czym mam mówić?

- O pańskich odciskach palców na kluczu w drzwiach łączących pokoje Helen i Joy, o koniaku, który pan przyniósł do pokoju lady Clyde, a także o tym, gdzie się pan podziewał do pierwszej w nocy, kiedy to zjawił się pan u niej.

Znowu Davies-Jones nie zareagował ani na słowa, ani na wyrażnie w nich brzmiącą wrogość.

- Zabrałem ze sobą koniak i poszedłem do lady Helen, ponieważ chciałem się z nią spotkać, inspektorze - odpowiedział dość szczerze.

- Przyznaję, że postąpiłem giupio, uciekając się do szczeniackiego pretekstu, aby wejść do jej pokoju.

- Wygląda na to, że okazał się skuteczny.

Rhys Davies-Jones nic nie powiedział. Lynley się domyślił, że reżyser zamierza mówić możliwie jak najmniej, i z równie wielką determinacją natychmiast postanowił wycisnąć z tego człowieka wszystkie informacje i nie pominąć żadnego faktu.

- Skąd się wzięły odciski pańskich palców na kluczu?

- Zamknąłem drzwi. A mówiąc ściśle - dwie pary drzwi. Chcieliśmy być sami.

- Przyszedł pan do niej z koniakiem i zamknął obie pary drzwi? Czy to nie jawna demonstracja zamiarów?

Ciało Daviesa sprężyło się na moment.

- Nie tak to wyglądało.

- Zatem proszę powiedzieć jak.

- Przez chwilę rozmawialiśmy o wstępnym czytaniu tekstu. Sztuka Joy miała mi umożliwić powrót do londyńskiego teatru... po moich kłopotach. Zdenerwowałem się trochę z powodu obrotu, jaki przyjęła sprawa. Zrozumiałem, że jakiegokolwiek są zamiary mojej kuzynki, która nas tutaj zgromadziła i zapoznała ze zmianami w tekście, niewiele mają one wspólnego z wystawieniem dramatu. Byłem na nią zły, że stałem się pionkiem w jej grze, która okazała się aktem zemsty wymierzonym przeciwko Stinhurstowi. Oboje z Helen snuliśmy rozważania na ten temat.

Mówiliśmy o dzisiejszej próbie. Zastanawiałem się nad moją dalszą pracą. A kiedy zamierzałem odejść, lady Helen poprosiła mnie, żebym został. W tej sytuacji pozamykałem drzwi.

Davies-Jones spojrzal Lynleyowi prosto w oczy. Przez jego usta przemknął blady uśmiech.

- Zapewne inaczej pan to sobie wyobrażał, prawda, inspektorze? Lynley nie odpowiedział. Przyciągnął butelkę whisky, otworzył ją i nalał sobie drinka. Pałący trunek, który spłynął w dół przelęku, spełnił jego oczekiwania, inspektor umyślnie postawił na stole pomiędzy sobą a Rhysem nie do końca opróżnioną szklankę. Davies-Jones odwrócił wzrok. Uwagi Lynleya nie uszły jednak sztywnym ruchy jego głowy oraz napięte mięśnie karku - zdrajcy alkoholowego pragnienia. Reżyser drżącymi dłońmi zapalił papierosa.

- Z tego, co zrozumiałem, zaraz po wstępnym czytaniu zniknął pan i nie pokazywał

się nigdzie aż do pierwszej w nocy. Co pan robił podczas tych prawie dwóch godzin?

- Byłem na spacerze - odparł Davies-Jones.

Gdyby oświadczył, że poszedł popływać w jeziorze, Lynley nie zdziwiłby się bardziej.

- Podczas śnieżnej zamieci? Pomimo lodowatych podmuchów wichru wzbijających śnieżne tumany wybrał się pan na przechadzkę?

- Ruch na świeżym powietrzu to, w moim przekonaniu, skuteczny substytut butelki, inspektorze - odpowiedział bez ogródek Davies-Jones. - Choć przyznam, że wczoraj wolałbym butelkę. Uznałem jednak, że spacer jest rozsądniejszym wyjściem.

- Dokąd się pan udał?

- Szedłem wzdłuż szosy prowadzącej do farmy Hillview.

- Czy ktoś pana widział? Rozmawia! pan z kimś?

- Nie. Nikt nie może potwierdzić moich zeznań. W pełni zdaję sobie z tego sprawę.

Niemniej to, co powiedziałem, jest prawdą.

- A zatem powinien pan również zrozumieć, że z mojego punktu widzenia mógł pan spędzić ten czas na tysiąc różnych sposobów.

Davies-Jones chwycił przynętę.

- Jakich na przykład?

- Takich jak zgromadzenie przedmiotów niezbędnych do zamordowania kuzynki.

Walijczyk uśmiechnął się pogardliwie.

- To prawda. Rzeczywiście mogłem zejść bocznymi schodami na dół, przez kuchnię i pomywalnię dostać się do jadalni, a potem niepostrzeżenie zdjąć ze ściany sztylet.

Problemem pozostaje rękawiczka Sy-dehama, ale z pewnością potrafi pan wyjaśnić, w jaki sposób bez jego wiedzy zdołałem wejść w jej posiadanie.

- Jak widzę, jest pan doskonale zorientowany w rozkładzie domu - podkreślił

Lynley.

- Przyznaję. Wczesne popołudnie spędziłem na zwiedzaniu budynku. Interesuję się architekturą. Ale to chyba nie przestępstwo?

Lynley wziął do ręki szklankę z whisky i w zamyśleniu zawirował alkoholem wewnątrz niej.

- Jak długo przebywał pan w szpitalu?

- Czy to pytanie nie wykracza poza pańskie uprawnienia, inspektorze Lynley?

- Mam prawo interesować się wszystkim, co dotyczy tej sprawy. Jak długo trwała pańska kuracja odwykowa?

- Cztery miesiące - odpowiedział Davies-Jones lodowatym tonem.

- Był pan w prywatnej klinice?

-Tak.

- To musiała być dosyć kosztowna impreza?

- Do czego pan zmierza? Sugeruje pan, że zasztylowałem swoją kuzynkę, aby w ten sposób zdobyć środki potrzebne na opłacenie moich rachunków?

- Czy Joy miała pieniądze?

- Oczywiście, że miała. Była cholernie bogata. Może pan jednak być spokojny -
mnie nic nie zostawiła.

- Czyżby znał pan treść jej testamentu?

Napięcie spowodowane bliskością alkoholu, a także umiejętnie zastawiona pułapka, w którą dał się złapać, wywołało gwałtowną reakcję Davies-Jonesa:

- Znam, do cholery! Wszystko co do grosza zapisała Irene oraz jej dzieciom. Ale nie taką odpowiedź chciał pan usłyszeć, prawda, inspektorze?

Wybuch gniewu stwarzał okazję do zaskoczenia mężczyzny i Lyn-ley skwapliwie z niej skorzystał:

W ubiegły poniedziałek Joy poprosiła Francescę Gerrard, żeby przydzieliła jej pokój sąsiadujący z sypialnią Helen Clyde. Czy coś panu o tym wiadomo?

- O tym, że Helen... - Sięgnął po papierosy, lecz zaraz je odepchnął. - Nie, nie potrafię tego wyjaśnić.

- Czy może mi pan wytłumaczyć, skąd panna Sinclair wiedziała, że Helen będzie panu towarzyszyć podczas tego weekendu?

- Pewnie jej o tym powiedziałem.

- I zasugerował pan, że na pewno zechcą się lepiej poznać. A czy istnieje lepszy sposób na zawarcie bliższej znajomości niż zajęcie dwóch sąsiadujących ze sobą pokoiów?

- Nie, ten jest doskonały w wypadku dwóch pańienek z pensji, ale zbyt prymitywny jak na fortel mający ułatwić morderstwo.

- Jestem otwarty na wszelkie pańskie sugestie.

- Niestety, nie jestem w stanie ich panu przedstawić, inspektorze. Domyślam się jednak, że Joy przewidziała dla Helen rolę buforu. Chciała mieć obok siebie kogoś, kto nie zainwestował pieniędzy w tę sztukę i o kim wiedziała, że nie zapuka do niej, aby pogadać o zmianach w wygłaszanych przez bohaterów kwestiach. Dobrze pan wie, że tacy już są aktorzy. Zwykle nie dają autorom spokoju.

- A zatem podsunął jej pan Helen. To pan zaszczeplił w niej ten pomysł.

Nie zrobiłem nic takiego. Prosił mnie pan o wyjaśnienie. To najlepsze, jakie zdołałem wymyślić.

- Oczywiście. Jak w takim razie wytłumaczy pan fakt, że sypialnia Joy sąsiadowała również z

pokojem Joanny Ellacourt? Od tamtej strony nie zabezpieczała jej strefa buforowa.

- Nie wiem, o czym Joy myślała, Może nie miała żadnej koncepcji, a pan szuka wytłumaczenia, które w ogóle nie istnieje?

Lynley skinął głową, nie poruszony kryjącą się w stwierdzeniu reżysera złośliwością.

- Dokąd pan poszedł dzisiaj wieczorem, gdy wszyscy otrzymali pozwolenie opuszczenia biblioteki?

- Do swojego pokoju.

- Co pan tam robił?

- Wziąłem prysznic i przebrałem się.

- A potem?

Oczy Davies-Jonesa odnalazły butelkę. Z wyjątkiem wywoływanego od czasu do czasu przez którąś z osób szelestu w pokoju panowała całkowita cisza. Macaskin wyłowił z kieszeni rolkę miętusów.

- Poszedłem do Helen.

- Znowu? - spytał Lynley ironicznie. Reżyser gwałtownie podniósł głowę.

Co, do diabła, pan sugeruje?

- Przypuszczam, że to dosyć oczywiste. Zapewniła panu niezłe alibi. Pierwsze wczorajszej nocy, a drugie dzisiaj wieczorem.

Davies-Jones przez chwilę wpatrywał się w policjanta z niedowierzaniem, zanim wybuchnął śmiechem.

- Mój Boże, to zupełnie niewiarygodne! Bierze pan Helen za głupią gęś? Sądzi pan, że jest aż tak naiwna, aby do tego stopnia dać się zwieść mężczyźnie? I to nie raz, ale dwa razy? W ciągu dwudziestu czterech godzin? Za kogo ją pan uważa?

- Dobrze wiem, jakiego typu osobą jest Helen - oświadczył inspektor. - Całkowicie bezbronną wobec mężczyzny utrzymującego, że tylko ona jedna jest w stanie uleczyć jego słabość. Czyż nie tak pan to rozegrał? Czy nie tego fortelu pan użył, żeby wejść do jej łóżka? Jeśli ją tu zaraz sprowadzę, z pewnością się okaże, że dzisiejszy wieczór w jej pokoju był tylko lekko zmienioną wersją wczorajszego.

- Mój Boże, a pan nie może znieść myśli o tym, prawda? Jest pan chory z zazdrości.

I od chwili, kiedy się pan dowiedział, że z nią spałem, nie potrafi pan rozsądnie rozumować. Proszę uznać fakty, inspektorze. Niech pan ich nie nagina po to, żeby mnie przyprzeć do muru, skoro boi się pan w inny sposób dotrzymać mi pola.

Lynley poruszył się gwałtownie na krześle, lecz Macaskin i Havers byli już na nogach. Powrócił mu rozsądek.

- Zabierzcie go stąd - powiedział.

Barbara Havers zaczęła, aż Macaskin wyprowadzi reżysera z pokoju.

Obserwowała drzwi, a gdy się upewniła, że zostali sami, rzuciła błagalne spojrzenie w kierunku St. Jamesa. Obaj z Lynleyem, który włożył okulary i przeglądał jej notatki, dołączyli do niej przy stole. Porozstawiane wszędzie szklanki, resztki jedzenia na talerzach, pełne niedopałków popielnice i porozrzucone notatniki świadczyły o niedawnej obecności liczego towarzystwa. Woń panująca w pokoju przywodziła na myśl morową zarazę.

- Sir...

Lynley podniósł głowę. Barbara wzdrygnęła się na widok jego straszliwego znużenia. Twarz mężczyzny wyglądała tak, jak gdyby została przepuszczona przez wyżymaczkę jego własnego projektu.

- Sprawdźmy, co mamy - zaproponowała policjantka.

Ponad oprawką okularów Lynley przeniósł wzrok z niej na St. Jamesa.

- Mamy zamknięte drzwi - rzekł spokojnie. - I wiemy, że France-sca Gerrard skorzystała z jedyne go dostępnego klucza oprócz tego, który leżał w pokoju na toalecie. Mamy mężczyznę w sąsiednim pomieszczeniu i oczywistą drogę dostępu do ofiary. Teraz potrzebujemy już tylko motywu zbrodni.

Nie, pomyślała Barbara bezsilnie.

- Musi pan przyznać, że sąsiedztwo pokoi zajmowanych przez Helen i Joy było zupełnie przypadkowe - przekonywała opanowanym tonem, starając się zachować bezstronność. - On nie mógł wiedzieć o tym wcześniej.

- Naprawdę nie mógł? Przecież sam przyznał, że interesuje się architekturą. A domy z połączonymi pokojami można spotkać na terenie całego kraju. Nie potrzeba dyplomu uniwersyteckiego, aby się domyślić, że i w Westerbrae są takie. Albo że Joy zostanie przydzielony jeden z nich, skoro wyraźnie poprosiła, by Helen zamieszkała obok. Przypuszczam, że nikt inny nie zatelefonował do Franceski Gerrard z podobnym życzeniem.

- W świetle informacji, jakie obecnie posiadamy, również France-sea Gerrard mogła zamordować Joy, sir. - Barbara nie dawała za wygraną. - Kobieta była w pokoju ofiary. Sama to przyznała. Albo mogła dać klucze swojemu bratu i jemu zlecić mokrą robotę.

- W pani wersji sprawa zawsze powraca do Stinhursta.

- To nieprawda.

- Skoro chce pani pójść tym tropem, to jak wytłumaczy pani zabójstwo Gowana? Z

jakiego powodu Stinhurst miałby go zabić?

- Nie twierdę, że zrobił to Stinhurst, sir - zaprotestowała Barbara. Starła się zachować spokój i opanowanie do momentu, gdy pozna niepodważalny motyw Stuarta Rintoula i wykrzyczy go Lynleyowi prosto w twarz. - Zbrodni mogła się dopuścić Irene Sinclair. Podobnie jak Sydeham czy Ellacourt, skoro każde z nich przebywało osobno. A także Jeremy Vinney - jak twierdzi Elizabeth, Joy była wcze-

śniej w jego pokoju. Wszyscy wiemy, że pragnął posiadać Joy i spotkał się z kategoryczną odmową. Poszedł więc do jej pokoju i zabił ją w przyływie wściekłości.

- A w jaki sposób zamknął drzwi na klucz po wyjściu z jej sypialni?

- Tego nie wiem. Może wyszedł przez okno?

- Podczas zamieci, Havers? Naciąga pani fakty bardziej niż ja. -Lynley rzucił notatki na stół, zdjął okulary i przetarł oczy.

- Nie przeczę, że Davies-Jones miał dostęp do pokoju ofiary, inspektorze, jak również okazję do popełnienia morderstwa. Ale przecież sztuka Joy Sinclair umożliwia mu powrót na londyńską scenę, prawda? I na pewno nie wiedział, że fakt wycofania się Stinhursta z udziału w jej wystawieniu oznacza koniec całego przedsięwzięcia. Równie dobrze mógł je sfinansować ktoś inny. Według mnie, Davies-Jones jako jedyny w tym domu miał poważny powód, żeby chronić tę kobietę.

- Skoro mówimy o wskrzeszaniu przerwanych karier, jest jeszcze jedna osoba, której to dotyczy - siostra zamordowanej, Irene Sinclair - oświadczył St. James.

- Zastanawiałam się już, kiedy do mnie przyjdziecie.

Irene Sinclair wycofała się spod drzwi. Wróciła do swojego łóżka i usiadła na nim, opuszczając ramiona. Z powodu późnej pory była już przebrana do spania. Bardzo surowo prezentowała się w rannych pantoflach i w granatowym flanelowym szlafroku. Wystawała spod niego zapięta pod samą szyję biała koszula nocna, która unosiła się i opadała wraz z równomiernym oddechem kobiety. Strój cechowała dziwna bezosobowość. Choć był niewątpliwie praktyczny, wywoływał niezmiernie przygnębiające wrażenie, jak gdyby miał trzymać na uwięzi życie jego właścicielki.

Lynley zastanawiał się, czy Irene czasami chodzi po domu w starych dżinsach i wytartej bluzie, ale nie mógł sobie tego wyobrazić.

Jej podobieństwo do siostry było uderzające. Chociaż inspektor znał Joy jedynie z pośmiertnych fotografii, z łatwością dostrzegał u aktorki te same rysy co u siostry, mimo pięcioletniej różnicy wieku - wydatne kości policzkowe, szerokie brwi i nieco kanciasta linia żuchwy. Ta kobieta, której posągowa uroda oraz wspaniała figura z pewnością była powodem westchnień innych niewiast i przedmiotem pożądania mężczyzn, była tuż po czterdziestce. Jej twarz mogłaby być twarzą Medei. Irene miała ciemne włosy, które po lewej stronie nad czołem zaczęły nieubłaganie pokrywać siwe

pasma. Inne kobiety, o znacznie większej pewności siebie, dawno by je ufarbowały. Lynley przypuszcza! jednak, że Irene nawet nie zaświtał w głowie taki pomysł. Przyglądał się jej bez słowa. Jak, na Boga, Robert Gabriel, mając taką żonę, mógł kiedykolwiek odczuwać potrzebę zboczenia z drogi cnoty?

- Zapewne ktoś już panu powiedział, że siostra miała w zeszłym roku romans z moim mężem, inspektorze - zaczęła Irene, nie podnosząc głosu. - To żadna tajemnica. Dlatego nie oplakuję jej śmierci tak, jak powinnam. Ani jak prawdopodobnie w końcu będę. Gdy czyjeś życie rozpada się na kawałki za sprawą dwojga najbliższych ludzi, trudno wybaczyć i zapomnieć. Joy nie potrzebowała Roberta. W przeciwieństwie do mnie. A jednak mi go zabrała. I wciąż boli, kiedy o tym pomyślę, nawet teraz.

- Czy zerwali ze sobą? - spyta! Lynley.

Irene oderwała wzrok od ołówka Havers i skupiła uwagę na podłodze.

- Tak. - Pojedyncze słowo miało nieuchwytny posmak kłamstwa. Kobieta zaraz podjęła temat, jak gdyby próbowała je ukryć: -- Wiem nawet, kiedy ich romans się zaczął. Podczas jednego z tych przyjęć, na których ludzie zbyt dużo piją, a potem wygadują różne rzeczy, jakich w innych okolicznościach nigdy by nie powiedzieli.

Tamtego wieczoru Joy oświadczyła, że jeszcze nie miała mężczyzny, który potrafiłby ją zaspokoić za pierwszym razem. Robert potraktował to jako osobiste wyzwanie i niezwłocznie musiał się z nim zmierzyć. Tym, co czasami najbardziej mnie boli, jest świadomość, że Joy nie kochała Roberta, Od czasu śmierci Aleca Rintoula nikogo nie darzyła uczuciem.

- Temat młodego Rintoula wciąż powraca dzisiejszego wieczoru. Byli zaręczeni?

- Nieformalnie. Odejście Aleca odmieniło Joy.

- Na czym polegała ta zmiana?

- Trudno to wytłumaczyć. Zachowywała się jak szalona. Wyglądało to tak, jakby po stracie narzeczonego postanowiła się rzucić wir życia. Nie po to jednak, żeby z niego czerpać pełnymi garściami, lecz raczej by je unicestwić, a przy tym pociągnąć w dół za sobą, kogo tylko się da. Jej postępowanie nosiło znamiona choroby. Siostra angażowała się w coraz to nowe związki. Pożerała mężczyzn. Drapieżnie. I nie-nawistnie. Jak gdyby się mściła za to, że żaden z nich nie potrafi sprostać jej wyzwaniu i dopomóc w wymazaniu z pamięci Aleca.

Lynley podszedł do łóżka i położył zawartość torby Joy na kołdrze. Irene obrzuciła obojętnym wzrokiem przedmioty.

- Należały do Joy? - spytała.

Wręczył jej najpierw notatnik siostry. Zwlekała z otwarciem go, jak gdyby się obawiała zawartych w nim informacji. Jednakże w końcu podjęła wysiłek i po chwili rozszyfrowywała kolejne zapiski:

umówione spotkanie z wydawcą na Upper Grosvenor Street, urodziny córki Irene, Sally, ustalony przez samą Joy nieprzekraczalny termin zakończenia pracy nad trzema rozdziałami książki.

Lynley wskazał na nazwisko zanotowane w poprzek kartki obejmującej cały tydzień: *P. Green*.

- Ktoś nowy w jej życiu?

- Peter, Paul, Philip? Nie mam pojęcia, inspektorze. Może wybierała się z kimś na urlop, ale nic mi o tym nie wiadomo. Nieczęsto ze sobą rozmawiałyśmy. A jeśli już, to wyłącznie o sprawach zawodowych. Prawdopodobnie nie zwierzyłaby mi się z kolejnego związku w swoim życiu. Nie zdziwiłabym się jednak, gdyby miała kogoś nowego na oku. To byłoby bardzo do niej podobne. Naprawdę. - Z ponurą miną Irene brała po kolei do ręki inne przedmioty - portfel, reklamówkę zapalek, gumę do żucia i klucze. Nie odezwała się więcej.

Nie spuszczać z niej oczu, Lynley nacisnął klawisz przenośnego magnetofonu.

Kobieta wzdrygnęła się nieznacznie na dźwięk głosu siostry. Inspektor pozwoli!

maszynie odtwarzać nagranie - wibrujące podnieceniem radosne komentarze i plany na przyszłość. Słuchając ponownie Joy Sinclair, uznał, że nie robiła wrażenia osoby zdecydowanej kogoś zniszczyć.

W połowie nagrania Irene podniosła rękę do oczu. Pochyliła głowę.

- Czy któreś z tych zdań ma dla pani jakiś sens?

Kobieta pokręciła przecząco głową, nie otwierając oczu. Był to po-rywczy gest, a zarazem drugie jawne kłamstwo.

Lynley czekał. Najwyraźniej Irene całym wysiłkiem woli próbowała mu się wymknąć i bardziej zagłębić w sobie - zarówno fizycznie, jak i emocjonalnie.

- Nie zdoła jej pani w ten sposób pogrzebać, Irene - powiedział cicho. - Wiem, że właśnie tego pani chce. I rozumiem dlaczego. Ale to się na nic nie zda. Zawsze będzie panią prześladować. - Dostrzegł jej zaciskające się wokół czaszki palce.

Paznokcie wbiły się w ciało. - Nie musi pani darować jej krzywdy, jaką pani wyrządziła. Proszę tylko nie zrobić czegoś, czego nigdy nie zdoła pani sobie samej wybaczyć.

- Nie potrafię panu pomóc. - W głosie Irene zabrzmiało pełne udręki roztargnienie. -

Nie odczuwam żalu z powodu śmierci siostry. Jak więc mogłabym panu pomóc, skoro sama nie umiem sobie z tym poradzić?

- Pomoże mi pani, wyjaśniając wszystkie informacje zawarte na tej taśmie. -1

bezlitośnie włączył magnetofon, nienawidząc siebie za to, a jednocześnie pojmując, że to część jego pracy, od której nie może się uchylić. Nagranie dobiegło końca, a Irene wciąż milczała. Przewinął

taśmę i znowu nastawił ją od początku. A po chwili jeszcze raz.

Głos Joy stwarzał wrażenie, że w pokoju przebywa czwarta osoba. Śmiała się.

Dokuczała. Błagała. I po raz piąty łamała serce swojej siostrze, wypowiadając słowa: „Na miłość boską, nie pozwól mamie w tym roku znowu zapomnieć o urodzinach Sally”.

Irenę dopadła odtwarzacza, wyłączyła go, niezręcznie naciskając klawisze, i rzuciła na łóżko, jak gdyby dotknąwszy tego przedmiotu, czuła się zbrukana.

- Moja matka tylko wtedy pamiętała o urodzinach Sally, kiedy Joy jej o tym przypomniała - wykrztusiła z płaczem. Na twarzy Irenę malował się wyraz udręki, ale oczy pozostały suche. - A pomimo to nienawidziłam jej! I życzyłam jej śmierci!

Ale nie takiej! O Boże! Nie takiej! Czy ma pan pojęcie, co czuje człowiek, który niczego na świecie nie pragnie bardziej niż czyjegoś zgonu, i jego życzenie się spełnia? To jest tak, jak gdyby jakieś szydercze bóstwo wysłuchało naszych próśb, zakładając, że stać nas tylko na najpodlejsze intencje.

Dobry Boże, Lynley znał potęgę prostych słów. I święcie wierzył w jej istnienie.

Irenę Sinclair nigdy by się nie domyśliła, jak doskonale miał okazję ją poznać, gdy w najbardziej oczekiwanym momencie zmarł w Kornwalii kochanek jego własnej matki.

- Wypowiadane przez nią zdania mogły pochodzić z tekstu nowej sztuki. Czy rozpoznaje pani opisywane miejsce? Rozkładające się warzywa, a także rechot żab, odgłosy pomp i nizinny teren?

- Nie.

- Czy zna pani okoliczności towarzyszące śnieżnej zamieci? -Nie.

- A mężczyznę, o którym wspomniała - niejakiego Johna Darrowa? Włosy Irenę spłynęły w dół, gdy kobieta odwróciła głowę.

- John Darrow. Rozpoznała pani nazwisko - rzekł Lynley, dostrzegając jej nagłe poruszenie.

- Joy wspomniała o nim wczoraj wieczorem podczas kolacji. Powiedziała, że ostatnio bawiła w towarzystwie jakiegoś ponurego faceta - niejakiego Johna Darrowa.

- Czy to mężczyzna, z którym ostatnio była związana?

- Nie sądzę. Ktoś ją zapytał, chyba lady Stinhurst, nad czym obecnie pracuje. I właśnie wtedy padło nazwisko Johna Darrowa. Joy w typowy dla siebie sposób opowiadała ze śmiechem o trudnościach pisarskich i oświadczyła, że usiłuje zdobyć informacje dotyczące właśnie tego mężczyzny. Przypuszczam więc, że jego osoba miała związek z jej książką.

- Z książką? Zapewne ma pani na myśli jej nową sztukę? Twarz Irenę się zachmurzyła.

- Został pan źle poinformowany, inspektorze. Wyjąwszy wczesny utwór sceniczny sprzed sześciu lat i nowy dramat, który miał wystawić lord Stinhurst, siostra nie tworzyła dla potrzeb teatru. Była powieściopisarką. Pracowała jako dziennikarka i miała dostęp do różnych materiałów i dokumentów. Tematem jej książek były autentyczne zbrodnie. Interesowały ją przede wszystkim morderstwa. Nie wiedział

pan o tym?

Tematem jej książek były autentyczne zbrodnie. Przede wszystkim interesowały ją morderstwa. Oczywiście. Lynley wpatrywał się w mały magnetofon, nie ośmielając się uwierzyć, że brakujący element tej zagadki-trójkąta: motyw-narzędzie-okazja, jest aż tak łatwy do odnalezienia. Przeczował, że wreszcie ma to, czego szukał: motyw zbrodni. Wciąż jeszcze był niejasny, ale wystarczyło już tylko wyświetlić kilka szczegółów, żeby zobaczyć go jak na dłoni. A powiązanie tego motywu z osobą również znajdowało się na taśmie - kryło się w ostatnich słowach Joy:

„...poradz się Rhysa, jak go najlepiej podejść. On umie postępować z ludźmi”.

Lynley zaczął z powrotem pakować do torby przedmioty należące do ofiary. Czuł się podniesiony na duchu, a jednocześnie przepełniała go potworna złość na myśl o tym, co spotkało tę kobietę ubiegłej nocy, i o cenie, jaką on osobiście będzie zmuszony zapłacić, aby sprawiedliwości stało się zadość.

Gdy sierżant Havers wyszła już na korytarz, zatrzymały Lynleya przy drzwiach ostatnie słowa Irene Sinclair. Aktorka stała przy łóżku na tle tapety o stonowanych barwach, w wygodnie urządzonej sypialni, w którym nic było nic niepokojącego, napawającego lękiem, stwarzającego zagrożenie. Sprawiała jednak wrażenie osoby osaczonej w jego ścianach.

- Dziwią mnie tylko zapalki, inspektorze - powiedziała kobieta. - Joy nic paliła papierosów.

Marguerite Rintoul, hrabina Stinhurst, zgasła światło w sypialni. Nie zrobiła tego z powodu nadciągającej senności, gdyż doskonale wiedziała, że nie będzie mogła zasnąć. Skłoniły ją do tego raczej resztki kobiecej próżności. Ciemność ukrywała zmarszczki, które zaczęły tworzyć siatkę i żłobiły skórę. W zupełnym mroku lady Stinhurst czuła się bezpieczna - przestawała być zażywną matroną, której piękne niegdyś piersi teraz zaledwie centymetry dzieliły od talii, błyszczące ciemne włosy były efektem fachowych zabiegów najlepszych fryzjerów w Knights-bridge, a wypiełgnowane dłonie o jasno polakierowanych paznokciach, dłonie, które nikogo już nie pieściły, szpeciły plamy podeszłego wieku.

Odłożyła na nocną szafkę powieść. Jasna obwoluta przykryła mosiężną inkrustację w różanym drzewie. Tytuł książki brzmiał: „Szalona namiętność lata”. Co za górnolotność, pomyślała. I jak bardzo nie na miejscu.

Spojrzała w stronę męża, który siedział w fotelu pod oknem po drugiej stronie pokoju w słabym, prześwitującym przez chmury świetle blasku gwiazd. Pograżony w ciszy nocy, obserwował niewyraźne kształty i cienie na śniegu.

Lady Stinhurst, podobnie jak mąż kompletnie ubrana, siedziała na łóżku z głową wspartą o

wezgłowie. Na nogi miała narzucony wełniany koc. Chociaż znajdowała się niespełna trzy metry od męża, dzieliła ją od niego przepaść dwudziestu pięciu lat tajemnic i przemilczeń. Doszła do wniosku, że nadszedł czas, aby ją zniwelować.

Jednak myśl o tym ją paraliżowała. Za każdym razem, kiedy brała już oddech, żeby się w końcu odezwać, czuła ucisk w gardle. Sta-ranne wychowanie, cała jej przeszłość i środowisko, z którego się wywodziła, utrudniały jej realizację tego postanowienia. Życiowe doświadczenia nie przygotowały jej na zwykły akt konfrontacji.

Wiedziała, że ryzykowna próba pokonania nieprzewyciężonego muru wieloletniego milczenia męża jest równoznaczna z rzuceniem wszystkiego na jedną szalę i uczynieniem kroku w nieznaną. Już przedtem zapuszczała się na niepewny grunt nawiązania kontaktu z mężem. I jak dotąd, jej wysiłki na niewiele się zdały, a każde kolejne niepowodzenie straszliwie potem ciążyło. Mimo to jednak uznała, że pora przerwać tę ciszę.

Usiadła na krawędzi łóżka. Gdy wstała, niespodziewanie zakręciło jej się w głowie, lecz dziwne wrażenie zaraz ustąpiło. Przeszła przez pokój, świadoma panującego w nim przenikliwego zimna oraz nieznośnego ucisku w żołądku. Poczowała gorycz w ustach.

- Stuarcie. - Mąż się nie poruszył. Starannie dobierała słowa: -Musisz porozmawiać z Elizabeth. Musisz jej o wszystkim powiedzieć. Musisz.

-- Jak twierdziła Joy, ona już wie. I wiedział również Alec.

Ostatnie zdanie ciężko zaległo pomiędzy nimi. Było niczym cios zadany lady Stinhurst prosto w serce. Wciąż miała syna przed oczami - żywego, czułego i tak tragicznie młodego, w chwili gdy spotka! go przerażający, godny Ikara, koniec -

choć on, w przeciwieństwie do mitologicznego poprzednika, spłonął, nie tylko spada! z nieba. To nie w porządku, gdy rodzice żyją dłużej od swoich dzieci. Alec nie powinien był odchodzić, nie tak wcześnie. Kochała swojego syna pełną oddania, macierzyńską miłością. Przywoływanie wspomnień - rozdzieranie rany, którą czas w wypadku ich obojga jedynie zaogniał - było jednym ze sposobów jej męża na zakończenie każdej nieprzyjemnej dyskusji. I dotychczas ta metoda okazywała się niezawodna. Ale nie dzisiaj.

- Wie o Geoffreyu, ale nie zna całej prawdy. Słyszała kłótnię tamtego wieczoru, Stuarcie. Dotarli do niej odgłosy walki. - Lady Stinhurst umilkła, czekając na reakcję męża i jakiś znak świadczący o tym, że bezpiecznie może kontynuować swój wywód. Nic takiego jednak nie nastąpiło. - Spotkałeś się dzisiaj rano z Francescą, prawda? - drążyła dalej. - Czy powtórzyła ci wczorajszą rozmowę z Elizabeth? Po wstępnym czytaniu sztuki?

- Nie.

- Elizabeth widziała cię, gdy odjeżdżałeś tamtej nocy, Stuarcie.

Również Alec i Joy byli świadkami twojego odjazdu. Wszyscy wyglądali przez okno na piętrze. -

Lady Stinhurst czuła, jak załamuje jej się głos. Zmusiła się jednak, żeby mówić dalej: - Dobrze wiesz, jakie są dzieci. Trochę zobaczą, trochę usłyszą, a resztę same sobie dopowiedzą. Zdaniem Franceski, Elizabeth jest przekonana, że to ty zabiłeś Geof-freya. Wygląda na to, że sądzi tak... od wieczoru, kiedy to się stało.

Stinhurst nic nie powiedział. Był nieporuszony. Nie zmienił się rytm jego oddechu, wyniosła postawa ani nieruchome spojrzenie utkwione w zamarzniętych gruntach Westerbrae. Żona ostrożnie dotknęła palcami jego ramienia. Uchylił się przed jej dłonią. Opuściła rękę.

- Proszę cię, Stuarcie. - Nienawidziła się za drzenie w głosie, ale nie potrafiła go opanować. - Musisz powiedzieć jej prawdę. Przez dwadzieścia pięć lat swojego życia uważa cię za mordercę! Nie możesz pozwolić, by nadal tak myślała. Mój Boże! Nie wolno ci do tego dopuścić!

Nie patrzył na nią.

- Wykluczone - oświadczył cicho. Nie wierzyła własnym uszom.

- Przecież nie zabiłeś swojego brata! Nie jesteś odpowiedzialny za jego śmierć!

Zrobiłeś, co w twojej mocy...

- Jak mógłbym zniszczyć jedyne ciepłe wspomnienia Elizabeth? Ma ich tak niewiele. Na miłość boską, pozwólmy jej przynajmniej tych kilka zachować.

- Za cenę jej miłości do ciebie? Nie! Nie zgodzę się na to!

- Zgodzisz się. - Był nieugięty. W jego głosie zabrzmiała władczość, której lady Stinhurst jeszcze nigdy się nie przeciwstawiła. Ponieważ od nieposłuszeństwa do wypadnięcia z roli, jaką odgrywała przez całe swoje życie - córki, żony i matki -

dzieliłby ją już tylko krok. A o ile się orientowała, poza ciasnymi granicami wytyczonymi przez tych, którzy zawsze nią kierowali, znajdowała się próżnia. -

Wracaj do łóżka - odezwał się po chwili. - Jesteś zmęczona. Potrzebujesz snu.

Lady Stinhurst jak zwykle spełniła jego wolę.

Było dziesięć po drugiej w nocy, gdy inspektor Macaskin w końcu opuścił

Westerbrae. Obiecał możliwie jak najszybciej przekazać telefonicznie wyniki sekcji zwłok i raport z laboratorium kryminalistyki. Barbara Havers odprowadziła go do wyjścia, a potem dołączyła do Lynleya i St. Jamesa w salonie. Siedzieli przy stole, przed nimi leżały rzeczy należące do Joy Sinclair. Magnetofon był włączony po raz kolejny, a głos Joy to się podnosił, to znów stawał się cichszy, przekazując urywane informacje, które Barbara od dawna знаła już na pamięć. Nagranie kojarzyło się jej z dręczącym koszmarem i była zdania, że Lynley zaczyna się zachowywać jak człowiek ogarnięty obsesją. To nie przebłytki intuicji sprawiały, że jego mgliste wyobrażenie o motywie sprawcy zbrodni nabierało rozpoznawalnego kształtu. Postępowanie inspektora cechowała

pomysłowość w doszukiwaniu się domniemanej winy oraz nadmierne folgowanie własnej wyobraźni. Po raz pierwszy podczas tego męczącego dnia Barbara poczuła się nieswojo. Wielomiesięczna współpraca z Lynleyem pozwalała jej wierzyć, że pomimo gładkiego obejścia światowca i przejawiania skłonności do szczylenia się swoim pochodzeniem, którym ona serdecznie gardziła, jest najlepszym inspektorem, jakiemu kiedykolwiek partnerowała. Teraz jednakże intuicyjnie czuła, że przyjęta przez niego teoria jest fałszywa i opiera się na bardzo niepewnych podstawach. Usiadła, sięgnęła po zapalki pochodzące z torby Joy Sinclair i pogrążyła się w zadumie.

Na reklamówce widniał osobliwy znak firmowy, składający się z zaledwie trzech słów; *Wino jest orką* oraz przewróconego kufła z rozlanym piwem. Dowcipne, pomyślała. Rodzaj zabawnej pamiątki, którą się wrzuca do torebki i natychmiast o niej zapomina. Barbara Havers wiedziała jednak, że Lynley wkrótce uzna reklamówkę zapalek za kolejny dowód potwierdzający winę Davies-Jonesa. Była to tylko kwestia czasu. Według zeznania Irene Sinclair, jej siostra nie paliła, a przecież wszyscy widzieli Davies-Jonesa z papierosem.

- Potrzebujemy namacalnego dowodu. Tommy - tłumaczył mu St. James. - Wiesz równie dobrze jak ja, że oświadczenie lady Helen w pełni wyjaśnia, skąd się wzięły odciski jego palców na kluczu.

- Zdaję sobie z tego sprawę - odparł Lynley. - Ale będziemy mieli raport facetów od kryminalistyki ze Strathclyde.

- Nie wcześniej niż za kilka dni.

Lynley sprawiał wrażenie, że w ogóle go nie słucha.

- Jestem pewien, że znajdą dowody. Jakiś włos lub włókno. Wiesz, że trudno jest popełnić zbrodnię doskonałą.

- Jeśli Davies-Jones był wcześniej w pokoju Joy, a z zeznania Gowanana wynika, że zaglądał do niej w ciągu dnia, to na nic się nie zda znalezienie włosa lub włókna z jego płaszcza. Poza tym miejsce zbrodni zostało naruszone przez usunięcie ciała i w całym kraju nie ma takiego obrońcy, który by o tym dobrze nie wiedział. W moim przekonaniu dochodzenie sprowadzi się do odkrycia motywu morderstwa. Dowody rzeczowe okażą się zbyt słabe. Jedyne wiarygodny motyw będzie mógł

podtrzymać twoją hipotezę.

- W tym celu wybieram się jutro do Hampstead. Mam wrażenie, że brakujące elementy łamigłówki znajdują się w mieszkaniu Joy Sinclair i tylko czekają, aby je złożyć w całość.

Barbara nie wierzyła własnym uszom. Nie przypuszczała, że tak prędko opuszczą Westerbrae.

- A co z Gowanem, sir? Już pan zapomniał, że próbował nam coś powiedzieć?

Twierdził, że kogoś widział. Podczas przesłuchania utrzymywał, że wczoraj wieczorem natknął się jedynie na Davies-Jonesa. Nie sądzi pan, że usiłował zmienić swoje zeznanie?

- Nie dokończył zdania. Havers - odparł Lynley. - Zdołał wypowiedzieć zaledwie dwa słowa: „nie

widziałem". Kogo nie widział? A może czego? Koniaku, który rzekomo miał nieść Davies-Jones? Chłopak spodziewał się, że zobaczy coś w jego dłoni, skoro reżyser wyszedł z biblioteki - alkohol albo książkę. A jeśli tylko mu się zdawało, że widział butelkę? I później uświadomił sobie, że było to coś zupełnie innego, na przykład narzędzie zbrodni?

- Nie musiał spotkać Davies-Jonesa, lecz kogoś kto chciał wyglądać jak on i włożył na siebie jego płaszcz. To mógł być każdy.

Lynley gwałtownie poderwał się z miejsca.

- Dlaczego tak bardzo zależy pani na tym, żeby dowieść niewinności tego człowieka?

Barbara wywnioskowała z ostrego tonu inspektora, w jakim kierunku zmierzają jego myśli. Podjęła rzuconą rękawicę.

- A dlaczego pan postanowił przypisać mu winę? Lynley pozbiierał drobiazgi Joy Sinclair.

- Szukam sprawcy. Havers. To mój obowiązek. A jestem przekonany, że trop prowadzi do Hampstead. Jutro o wpół do dziewiątej niech pani będzie gotowa do wyjazdu.

Ruszył w stronę drzwi. Barbara spojrzała błagalnie na St. Jamesa, prosząc go wzrokiem, żeby wkroczył na niedostępny dla niej obszar, gdzie więzy przyjaźni są silniejsze od logiki i od reguł rządzących policyjnym dochodzeniem.

- Jesteś pewien, że postąpimy rozsądnie, wracając jutro do Londynu? - zapytał powoli St. James. Jak myślisz, kiedy śledztwo...

Lynley odwrócił się w drzwiach, twarz miał skrytą w padającym z holu cieniu.

- Tutaj, w Szkocji, oboje z Havers nie jesteśmy w stanie poprowadzić dochodzenia w profesjonalny sposób. Macaskin się tym zajmie. Co do przesłuchania pozostałych osób, zbierzemy ich adresy. Jest mało prawdopodobne, żeby wyjechali z kraju, skoro ich życie jest związane z londyńską sceną.

Po tych słowach wyszedł. Barbara z trudem wydobyła z siebie głos:

- Obawiam się, że Webberly będzie się za to domagał jego głowy. Nie może go pan powstrzymać?

- Mogę jedynie spróbować przemówić mu do rozsądku, Barbaro. Ale Tommy nie jest głupcem. Ma niezawodny instynkt. Skoro uważa, że wpadł na jakiś trop, nie pozostaje nam nic innego jak czekać, dopóki czegoś nie znajdzie.

Pomimo uspokajającego zapewnienia St. Jamesa, Barbara poczuła suchość w ustach.

- Czy Webberly może go za to wylać?

- Wszystko zależy od tego, jak dalej się potoczą sprawy. Ostrożne stwierdzenie zawierało wszystkie interesujące ją informacje.

- Uważa pan, że Lynley się myli, prawda? i podobnie jak ja, podejrzewa pan lorda Stinhursta. Dobry Boże, co się inspektorowi stało?

St. James sięgnął po butelkę whisky.

- Chodzi o Helen - oznajmił bez ogródek.

Lynley, z kluczem w dłoni, zawahał się przed drzwiami lady Helen. Było wpół do trzeciej. Obawiał się, że kobieta już śpi, a jego niepożądane najście zakłóci jej sen.

Musiał ją jednak zobaczyć. Nie okłamywał siebie co do celu tej wizyty, która nie miała nic wspólnego z jego policyjną pracą. Zapukał, otworzył drzwi i wszedł do środka.

Lady Helen nie spała, przemierzała pokój tam i z powrotem. Przystanąła na widok Lynleya. Zamknęła za sobą drzwi. Nie od razu się odezwał, koncentrując uwagę na szczegółach i usiłując zrozumieć, co mogą oznaczać.

Łóżko było nienaruszone, zasłane żółto-białą kapą. Pantofle, zgrabne czarne lakierki, stały obok na podłodze. To było jedyne, co Helen z siebie zdjęła oprócz leżącej na szafce nocnej biżuterii - złotych kolczyków, cienkiego łańcuszka i delikatnej bransoletki. Ostatnia ozdoba przykuła wzrok inspektora. Przez chwilę myślał z bólem o drobnych nadgarstkach kobiety. Poza tym w pokoju nie było nic do oglądania, nie licząc szafy, dwóch krzeseł i toaletki. W lustrze dostrzegł odbicie ich dwojga - stojących oko w oko śmiertelnych wrogów, któ-

rzy niespodziewanie na siebie wpadli i nie mają dość siły ani woli, żeby znowu ze sobą walczyć.

Wyminął Helen i podszedł do okna. Zachodnie skrzydło budynku tonęło w ciemnościach, a rozproszone światła tworzyły świecące szpary w szczelinach niedokładnie zaciągniętych kotar. Inni czekali, podobnie jak ona, na nadejście świtu.

Zasłonił szyby.

- Co robisz? - spytała słabym głosem.

- Jest tutaj stanowczo za zimno. - Dotknął grzejnika, poczuł słabe mrowienie ciepła, wrócił do drzwi i zawołał do młodego konstabla, który zajmował miejsce na górnym podejście schodów:

- Proszę sprawdzić, czy nie ma gdzieś kaloryfera elektrycznego! -Gdy mężczyzna skinął głową, zamknął drzwi i ponownie odwrócił się twarzą do Helen. Dzieląca ich odległość wydawała się ogromna. W powietrzu wyczuwało się wzajemną wrogość.

- Dlaczego trzymasz mnie pod kluczem, Tommy? Czyżbyś się obawiał, że kogoś zranię?

- Ależ skąd! Wszyscy zostali pozamykani w swoich pokojach. Jutro rano będzie już po wszystkim.

Na podłodze przy jednym z krzeseł leżała książka. Lynley sięgnął po nią. Stwierdził, że to kryminał. Egzemplarz nosił wyraźne ślady częstego wertowania. Widniały na nim zrobione na marginesach typowe dla Helen, dziwaczne zapiski - strzałki i wykrzykniki, podkreślenia i komentarze. Twierdziła zawsze, że żaden autor nie jest w stanie zamydląć jej oczu. I święcie wierzyła, że zdoła wcześniej od Lynleya rozwiązać każdą zagadkę literacką. Z tego powodu przez blisko dziesięć lat był

obdarowywany niepotrzebnymi już lekturami, których kartki miały ośle uszy.

„Przeczytaj tę książkę, kochanie. Nigdy nie rozwikłasz tej łamigłówki”.

Fala wspomnień, która go zalała, sprawiła, że poczuł się przygnębiony, opuszczony i zupełnie samotny. A to, co zamierzał powiedzieć Helen, mogło jedynie pogorszyć ich wzajemne stosunki. Wiedział jednak, że musi z nią porozmawiać, bez względu na cenę, jaką za to zapłaci.

- Nie mogę znieść, gdy patrzę, jak siebie krzywdzisz, Helen. Starasz się nadać swojej historii ze St. Jamesem inne zakończenie. Pragnę cię przed tym powstrzymać.

- Nie wiem, o czym mówisz. To nie ma nic wspólnego z Simonem. - Lady Helen pozostała na swoim miejscu po drugiej stronie pokoju, jak gdyby krok w kierunku inspektora był równoznaczny z kapitulacją. A ona nie zamierzała się poddawać.

Lynleyowi zdawało się, że dostrzega na jej szyi siniak, w miejscu gdzie rozcięcie kołnierza bluzki sięga wypukłości piersi. Kiedy jednak poruszyła głowę, ślad na skórze - złudzenie świetlne, czy wymysł nieszczęśliwej wyobraźni - zniknął.

- Ależ ma - zapewnił. - A może nie zauważyłaś, jak wiele go łączy z St. Jamesem?

Jest podobnym przypadkiem. Jediną różnicę stanowi alkoholizm zamiast kalectwa.

Ale tym razem go nie opuścisz. I nie czmychniesz, skwapliwie korzystając z pierwszej okazji.

Lady Helen odwróciła głowę. Rozchyliła usta, lecz zaraz je zamknęła. Zrozumiał, że postanowiła biernie przyjąć jego piętnujące słowa. Uświadomił sobie, że karząc ją, nigdy nie pojmie w pełni, co pociągającego znalazła w Walijczyku, i już zawsze będzie skazany na domysły, których ona nigdy nie potwierdzi. Uprzytomnił to sobie z narastającym bólem. Wciąż pragnął dotknąć Helen, czuł rozpaczliwą potrzebę kontaktu z nią i tęsknił za chwilą jej serdeczności.

- Znam cię, Helen. I zdaję sobie sprawę z tego. czym jest życie z poczuciem winy.

Czyż ktoś może o tym wiedzieć lepiej niż ja? To przeze mnie St. James został

kaleką. Ale ty zawsze uważałaś, że jeszcze ciężiej wobec niego zgrzeszyłaś, prawda?

Ponieważ przed laty, choć pewnie nigdy się do tego nie przyznasz, poczułaś w głębi duszy ulgę, gdy zerwał wasze zaręczyny. Została ci oszczędzona perspektywa życia z człowiekiem, który nic mógł już wykonywać czynności, które w tamtym czasie wydawały się tak absurdalnie ważne - uprawianie narciarstwa, kąpiele w uzdrowiskach, wspinaczki górskie i uczestnictwo w cudownych zabawach.

- Niech cię wszyscy diabli. - Jej głos był niewiele głośniejszy od szeptu. Napotkała jego oczy. Miała kredowobiałą twarz. To było ostrzeżenie. Zlekceważył je jednak; poddając się nieodpartej potrzebie kontynuowania wywodu.

- Przez dziesięć lat dręczyły cię wyrzuty sumienia z powodu porzucenia St. Jamesa.

A teraz dostrzegłaś szansę pogodzenia się z rzeczywistością i naprawienia wyrządzonych krzywd - tego, że pozwoliłaś mu samemu wyjechać na rekonwalescencję do Szwajcarii, że nie było cię przy nim, kiedy cię potrzebował, oraz że wykręciłaś się od małżeństwa i życia bardziej obfitującego w wyrzeczenia niż przyjemności. Davies-Jones ma być twoją pokutą. Postanowiłaś, że znowu z niego zrobisz pełnowartościowego mężczyznę, tak jak mogłaś, a nie zrobiłaś z St.

Jamesa. I tym sposobem będziesz w stanie w końcu sobie wybaczyć. Tak to właśnie zaplanowałaś, prawda?

- Sądzę, że powiedziałaś już wystarczająco wiele - wycodziła przez zęby.

- Jeszcze nie. - Szukał słów, które by do niej dotarły i przekonały ją, że sytuacja jest niezwykle poważna. - Ale on tylko pozornie przypomina St. Jamesa. Wysłuchaj mnie. Helen, bardzo cię o to proszę. Nie wiesz, jakim naprawdę człowiekiem jest Davies-Jones. Nie możesz o nim powiedzieć, że znasz go na wylot, od osiemnastego roku życia. Jest dla ciebie kimś obcym, kimś, kogo nie zdołasz naprawdę do końca zgłębić.

- Sugerujesz, że jest mordercą?

- Tak, skoro wolisz nazwać rzecz po imieniu.

Wzdrygnęła się, przerażona łatwością, z jaką przytaknęła. Jej szczupłe ciało czerpało siłę z gniewu, jaki nią zawładnął. Mięśnie twarzy i szyi napięły się. Lynley przypuszczał, że naprężyły się nawet pod delikatnym materiałem rękawów bluzki.

- Twoim zdaniem, nie mogę dostrzec oczywistego faktu, ponieważ zaślepiła mnie miłość, wyrzuty sumienia i poczucie winy? - Zrobiła gwałtowny gest ręką, wskazując na pokój, drzwi i znajdujący się za nimi korytarz. - Ciekawe, kiedy mógł

popęłnić morderstwo? Zaraz po wstępnym czytaniu wyszedł z domu. I wrócił

dopiero o pierwszej.

- To on twierdzi, że tak było.

- Chcesz mi wmówić, że mnie okłamał, Tommy? Wiem, że powiedział prawdę.

Spaceruje, ilekroć ma ochotę się napić. Napomknął kiedyś o tym jeszcze w Londynie. Wybrałam się z nim nawet wczoraj po południu nad jezioro, po jego wtrąceniu się do kłótni Joy z Gabrielem.

- Czy nie widzisz, jak sprytnie to wszystko zaaranżował? Chciał, żebyś mu uwierzyła wczoraj

wieczorem, że wybiera się na przechadzkę. Potrzebował twojego współczucia, żebyś mu pozwoliła zostać w swoim pokoju. A czy był lepszy sposób na osiągnięcie tego zamiaru niż oświadczenie, że idzie się przejść, aby stłumić głód alkoholowy? Czy mógłby liczyć na twoją litość, gdyby po próbie snuł się po domu?

- Usiłujesz mnie przekonać, że w czasie gdy spalam, Rhys zamordował swoją kuzynkę, a następnie wrócił do mojego pokoju i po raz drugi się ze mną kochał? To absurd.

- Dlaczego?

- Dlatego że go znam.

- Poszłaś z nim tylko do łóżka, Helen. Przyznasz chyba, że aby poznać drugiego człowieka, nie wystarczy przewalać się z nim po pościeli i pocić przez kilka, choćby najbardziej przyjemnych, godzin.

Już sam wyraz jej oczu świadczył, jak głęboko poczuła się zraniona.

- Gratuluję doboru słów - powiedziała z ironią. - Sprawily mi ból. Zamarło w nim serce.

- Nie chciałem cię urazić! Dobry Boże! Czy nie jesteś w stanie tego pojąć? Próbuję ci tylko zaoszczędzić cierpienie! Przykro mi z powodu tego, co się stało. I przepraszam, że wcześniej tak głupio cię potraktowałem. Fakty ubiegłej nocy pozostają jednak nie zmienione. Davies-Jones cię wykorzystał, żeby mieć do niej dojscie, Helen. A dzisiaj wieczorem znowu to zrobił po usunięciu Gowana. I nadal będzie się zasłaniał tobą, chyba że zdołam go przed tym powstrzymać. I zamierzam to uczynić. Z twoją pomocą lub bez niej.

Podniosła rękę do szyi i zacisnęła kołnierz bluzki.

- Ja miałabym ci w tym pomóc? Wolałabym raczej umrzeć.

Jej słowa i brzmienia w nich gorycz ugodziły Lynleya niczym cios. Nie musiał

odpowiadać dzięki pojawieniu się policjanta, który zdobył gdzieś piecyk elektryczny, mający zapewnić lady Helen ciepło przez resztę nocy.

9

Barbara Havers przystanąła na chwilę na szerokim podjeździe, nim ruszyła z powrotem w stronę domu. W nocy znowu sypał śnieg, ale tym razem opad był

niewielki i nie groził zamknięciem dróg. Z powodu ryzyka przemoczenia butów spacer po okolicy nie należał do przyjemności. Pomimo to Barbara postanowiła wyruszyć o świcie po bezsennej nocy na przechadzkę, aby się pozbyć we-wnętrznego chaosu wywołanego niepewnością, komu powinna okazać lojalność.

Logika mówiła jej, że przede wszystkim odpowiada wobec Scotland Yardu. Ścisłe trzymanie się

przepisów, zasad prawa i ustalonych policyjnych reguł zwiększało prawdopodobieństwo otrzymania w przyszłym roku awansu na stanowisko inspektora. W końcu dopiero w zeszłym miesiącu zdała egzamin - tym razem była całkowicie pewna, że jego wynik będzie pomyślny - a podczas ostatnich czterech kursów w ośrodku treningowym otrzymywała najwyższe noty. Wiedziała, że moment na awans jest odpowiedni, być może nawet najlepszy, jeśli tylko zdoła całą sprawę mądrze rozegrać.

Jednak z powodu Thomasa Lynleya sytuacja się komplikowała. W okresie minionych piętnastu miesięcy Barbara niemal każdą godzinę pracy spędziła u boku inspektora i poznała jego cechy, które znakomicie predysponowały go do zawodu policjanta i którym zawdzięczał swoją błyskotliwą karierę - od szeregowego policjanta przez sierżanta do inspektora, i to zaledwie w ciągu pięciu lat. Ten bystry mężczyzna o niezawodnej intuicji, obdarzony poczuciem humoru i wrażliwym sercem, był lubiany przez kolegów i cieszył się zaufaniem nadinspektora Webberly'ego. Barbara doceniała swój fart. Na Lyn-leyu mogła całkowicie polegać.

Cierpliwie znosił jej humory i ze stoickim spokojem wysłuchiwał, co miała do powiedzenia - nawet wtedy,

kiedy jej złośliwe ataki były wymierzone bezpośrednio w niego. Niestrudzenie zachęcał ją do swobodnego myślenia i otwartego wyrażania swych opinii, choćby były sprzeczne z jego własnymi. Nie przypominał żadnego ze znanych jej oficerów.

Zawdzięczała mu znacznie więcej niż tylko powrót do Scotland Yardu po degradacji do stopnia mundurowego funkcjonariusza patrolu przed piętnastoma miesiącami.

A teraz musiała dokonać wyboru pomiędzy lojalnością wobec Lynleya a swoją karierą. Ponieważ dzisiaj rano podczas wędrówki po lesie natknęła się przypadkiem na wskazówkę, o której miała podstawy sądzić, że pozwoli rozwiązać zagadkę.

Barbara stanęła przed koniecznością podjęcia decyzji, co dalej z tą wskazówką robić, a co ważniejsze, zrozumieć, co dokładnie ona oznacza.

Lodowate i kryształowo czyste powietrze szczypało w twarz. Czuła mroźne ukłucia w nosie, w gardle, w uszach i w oczach. Pomimo to kilka razy wzięła głęboki oddech, obrzucając wzrokiem błyszczącą i mieniącą się w blasku słońca biel śniegu, nim ruszyła w górę podjazdu, z trudem brnąc przez zaspę. Otrzepała buty, mocno tupiąc nogami na kamiennych schodach, i weszła do głównego holu Westerbrae.

Dochodziła ósma. W domu panował ruch, a na piętrze rozlegały się odgłosy kroków i przekręcanych w zamkach kluczy. Zapach bekonu, aromatyczna woń kawy i miły dla ucha gwar dobiegających z salonu rozmów sprawiały, że poranek wydawał się zupełnie normalny -jak gdyby wydarzenia ostatnich trzydziestu dwóch godzin były tylko częścią długiego, koszmarnego snu. Barbara zajrzała do bawialni. Lady Helen i St. James siedzieli we wschodniej części pokoju, w łagodnej plamie słonecznego światła. Pili kawę i prowadzili cichą rozmowę. Byli sami. St. James pokręcił głową i na moment położył rękę na ramieniu lady Helen. Ten subtelny gest wyrażał

zrozumienie i deklarację przyjaźni, dzięki której oboje stawali się silniejsi i bardziej odporni na

przeciwności losu niż każde z osobna.

Barbara, patrząc na nich, pojęła nagle, że powinna kierować się względami przyjaźni, a wtedy podjęcie decyzji będzie bardzo łatwe. Zrozumiała, że wcale nie musi wybierać pomiędzy karierą a Lynleyem, gdyż bez niego i tak nie ma przed sobą zawodowej przyszłości. Przeszła przez pokój i dołączyła do lady Helen i St.

Jamesa.

Ich wygląd świadczył o tym, że oboje również mieli za sobą ciężką noc. Bruzdy na twarzy St. Jamesa były zarysowane ostrzej niż zwykle, a wspaniała cera lady Helen sprawiała wrażenie, że jest niezwykle wiotka, niczym gardenia więdnąca przy najłżejszym dotyku. St. James na

widok Barbary poderwał się z miejsca. Machnięciem dłoni skwitowała tę towarzyską uprzejmość.

- Czy możecie ze mną wyjść? - spytała. - Znalazłam coś w lesie. Sądzę, że powinniście to zobaczyć. - Wyraz twarzy St. Jamesa wskazywał na to, że Simon wątpi, by zdołał pokonać śnieżne zaspę.

- Znaczna część drogi wyłożono kostką - pośpiesznie zapewniła Barbara. - Również ścieżka w lesie jest stosunkowo równa, a między drzewami trzeba przejść zaledwie sześćdziesiąt metrów.

- Żeby co tam zobaczyć? - spytała lady Helen.

- Grób - odparła policjantka.

Las został posadzony na południe od ścieżki okrążającej dom. Nie był to typowy dla krajobrazu Szkocji lesisty teren pośród wrzosowisk. Rosły tu angielskie dęby, buki, drzewa orzecha włoskiego i jawory, wszystko pomieszane z sosnami. Pomiędzy nimi prowadził wąski szlak, zaznaczony małymi kółkami namalowanymi żółtą farbą na pniach drzew.

Gruba warstwa śniegu na ziemi pod konarami potęgowała ciszę, która wydawała się nieziemską. Powietrze było nieruchome i choć na moment rozdarł je huk zapuszczanego silnika, to umilkł zaraz, pozostawiając za sobą niestrudzony plusk wody w jeziorze rozpościerającym się u podnóża zbocza. Posuwanie się naprzód nie było łatwe. Chociaż sierżant Havers rzeczywiście przetarła wąski szlak pośród drzew, to teren był nierówny i pokryty głębokimi zaspami. Dla człowieka, który ma trudności z poruszaniem się po zupełnie płaskiej i suchej powierzchni, pokonanie tej trasy stanowiło nie lada wyczyn.

Przebycie czterominutowego odcinka zajęło im kwadrans i mimo pomocnego ramienia lady Helen twarz St. Jamesa była złana potem. Policjantka doprowadziła ich w końcu do rozwidlenia dróg, skąd biegła mała odnoga, pnąca się łagodnie wśród zagajnika na niewielki pagórek. Prawdopodobnie w czasie lata wąska ścieżka i wzgórze ginęły w gęstwinie i nie były widoczne z daleka. Zimą jednak tryskające w porze kwitnienia kiściami różowych lub błękitnych kwiatów hortensje oraz tworzące zielony ochronny ekran drzewa orzecha włoskiego były nagie i nie utrudniały dostępu na szczyt wzniesienia, gdzie żelazny płot otaczał niewielki kwadrat ziemi. Biały puch ukrywał fakt, że ogrodzenie dawno temu uległo korozji.

- Skąd się tutaj wziął grób? - Lady Helen pierwsza przerwała ciszę. - Czyżby w pobliżu znajdował się kościół?

Havers wskazała miejsce, gdzie główna ścieżka wiała się w kierunku południowym.

- Za zakrętem jest kaplica, a także usytuowany w jej bliskim sąsiedztwie rodzinny grobowiec. W dole, tuż poniżej nas, widać starą przystań. Wygląda na to, że mieszkańcy Westerbrae łodzią przeprawiali się na pogrzeby.

- Podobnie jak wikingowie - zauważył St. James. - Czyj to grób, Barbaro? - Pchnął

furtkę. Skrzywił się, słysząc zgrzyt nie naoliwionego metalu. Na śniegu widniały już czyjeś ślady.

- Byłam tu wcześniej - wyjaśniła Havers. - Poszłam zwiedzić kaplicę rodzinną i w drodze powrotnej zauważyłam to miejsce. Zaintrygowało mnie. Musiałam się tutaj porozglądać. Proszę powiedzieć, co pan o tym myśli?

Barbara zaczekała przy bramie, a St. James i lady Helen skierowali się w stronę samotnego kamiennego nagrobka, brnąc po skrzypiącym pod butami śniegu.

Pomnik wyrastał z ziemi niczym szary znak wróżebny pod nagą, nisko się nad nim chylącą, gałęzią wiązu. Nagrobna płyta nie była bardzo stara i z pewnością pochodziła ze znacznie późniejszego okresu niż te, jakie można znaleźć na porozrzucanych po całym kraju, opuszczonych cmentarzach. A jednak grób był

bardzo zaniedbany. Szerniałe pnącza oplatały skromne kamienne ozdoby. St.

James przypuszczał, że w środku lata grób całkiem porastają chwasty i leśna trybula.

Słowa wyryte na kamieniu były jednak czytelne i tylko częściowo zniszczone przez warunki atmosferyczne.

Geoffrey Rintoul, wicehrabia Corleagh 1914-1963

W milczeniu przyglądali się uważnie samotnej mogile. Z gałęzi zsunęła się zwarta gruda śniegu i rozprysnęła się na kamieniu.

- To starszy brat lorda Stinhursta? - spytała lady Helen.

- Na to wygląda - powiedziała Havers. - Zastanawiające, nie sądzi pani?

- Dlaczego? - St. James prześlizgnął się wzrokiem po zagrodzonym terenie, szukając innych grobów. Nie znalazł jednak żadnego.

- Ponieważ siedziba rodzinna Rintoulów znajduje się w Somerset - odparła policjantka.

- Rzeczywiście. - St. James wiedział, że Havers mu się przygląda i usiłuje odgadnąć, co usłyszał od

Lynleya po jego rozmowie w cztery oczy ze Stinhurstem.

- Dlaczego Geoffrey został pochowany w Westerbrae, a nie w Somerset?

- Przypuszczam, że tutaj umarł. - St. James starał się nadać swojemu głosowi obojętne brzmienie.

- Wie pan równie dobrze jak ja, że angielska szlachta zwykła grzebać swoich zmarłych w obrębie rodzinnych posiadłości. Dlaczego ciało wicehrabiego nie zostało odwiezione do domu? A jeśli chce mnie pan przekonać - wyprzedziła jego odpowiedź - że nie mogli go stąd zabrać, to dlaczego nie pochowali go na cmentarzu rodziny Gerrard, kilkaset metrów dalej?

St. James starannie dobierał słowa:

- Może lubił to miejsce z widokiem na jezioro w dole, Barbaro. Jest zaciszne i niewątpliwie bardzo piękne latem. Nie doszukiwałbym się w tym niczego nadzwyczajnego.

- Nawet jeśli weźmiemy pod uwagę fakt, że Geoffrey Rintoul był starszym bratem Stinhursta i jemu należał się ty tui lorda?

St. James żartobliwie uniósł w górę brwi.

- Chyba nie sugeruje pani, że lord Stinhurst zamordował swojego brata po to, żeby uzyskać tytuł? W takim bowiem przypadku, chcąc ukryć zbrodnię, postąpiłby o wiele rozsądniej, zabierając GeofTrea do domu i chowając go z należytymi honorami w Somerset.

Lady Helen przysłuchiwała się w milczeniu tej wymianie zdań; odezwała się dopiero na wzmiankę o pogrzebie:

- Coś się tutaj nie zgadza, Simonie. Mąż Franceski, Phillip Gerrard, również nie jest pochowany na rodzinnym cmentarzu. Jego grób znajduje się na małej wyspie leżącej niedaleko od brzegu. Zobaczyłam grobowiec z okna zaraz po przyjeździe i zdumiona jego dziwnym wyglądem, zagadnęłam o niego Mary Agnes. Według pokojówki, mąż Franceski nalegał, żeby go tam pochowała. Nalegał, Simonie. To było jedno z postanowień jego testamentu. A kiedy Gowan powtórzył mi tę historię w niespełna kwadrans później, uznałam, że to pewnie jedna z barwniejszych legend związanych z tą okolicą.

- A widzi pan? Jakaś straszliwa i niesamowita tajemnica wiąże się z dziejami tych dwóch rodzin - wywnioskowała Havers. - Chyba nie sądzi pan, że przebywamy właśnie na rodzinnym cmentarzu Rinto-ulów? Nie ma tu innych mogił. A poza tym Rintoulowie nie są nawet Szkotami! Dlaczego pochowali tutaj jednego ze swoich, jeśli...

- Jeśli nie byli zmuszeni tego zrobić - mruknęła lady Helen.

- Może mieli taki kaprys - zamknął sprawę St. James. Barbara przeszła przez niewielki placyk i zatrzymała się przed mężczyzną.

- Inspektor Lynley opowiedział panu o przesłuchaniu lorda Stinhursta, prawda? I powtórzył panu

całą ich rozmowę. O co w niej chodziło?

St. James przez chwilę zastanawiał się, czy nie okłamać Barbary. Rozważał także możliwość przedstawienia jej brutalnej prawdy: że to, co Lynley mu powiedział, było przeznaczone wyłącznie dla jego uszu i że jej ta sprawa nie powinna obchodzić.

Przeczuwał jednak, że nie po to wyciągnęła ich tu, do lasu, by obciążyć lorda Stinhursta dwoma kolejnymi morderstwami, jakie podczas ostatnich dwóch dni zostały popełnione w Westerbrae. Mogła pokazać ten grób Lynleyowi i przedstawić mu argumenty świadczące o niezwykłości tego miejsca wiecznego spoczynku. Fakt, że postąpiła inaczej, zdaniem St. Jamesa wskazywał na dwie ewentualności - albo zbierała własne dowody, aby skompromitować Lynleya i podkreślić swoje zasługi w oczach przełożonych ze Scotland Yardu, albo szukała pomocy St. Jamesa w uchronieniu Lynleya przed popełnieniem straszliwej pomyłki.

Odwróciła się do niego tyłem, zamierzając odejść.

- W porządku, nie powinnam pytać. Jest pan jego przyjacielem, Simonie. Wiem, że rozmawiał o tym z panem. - Gwałtownym gestem nasunęła wełnianą czapkę na oczy, zasłaniając czoło i uszy, i z ponurą miną zapatrzyła się w jezioro.

Po chwili namysłu St. James uznał, że kobieta ma prawo poznać prawdę.

Zasługiwała na to. Postanowił, że jej zawierzy i da szansę udowodnienia, że warto było obdarzyć ją zaufaniem. Opowiedział jej zasłyszaną od Lynleya historię lorda Stinhursta.

Wdał się w zawiłą opowieść o miłości i zdradzie, zakończonej śmiercią Geoffreya Rintoula, a ona skubała w milczeniu uschłe badyłe chwastów przy ogrodzeniu. Jej oczy, zmrużone od blasku odbijającego się na śniegu słońca, spoczęły na pobliskim grobie. Kiedy St. James skończył, zadała tylko jedno pytanie:

- Czy pan w to wierzy?

- Nie wyobrażam sobie, aby człowiek zajmujący tak wysoką pozycję społeczną, jak Stinhurst, mógł szkalować przed kimś własną żonę. Nawet za cenę ocalenia własnej skóry - dodał pośpiesznie, gdy Barbara chciała mu przerwać.

- Jest na to zbyt szlachetny? - zapytała przebiegle.

Ma w sobie zbyt wiele dumy.

- Jeśli to kwestia dumy, jak pan twierdzi, a także zachowania pozorów, to dlaczego nie zadbał o nie w stu procentach?

- Co pani ma na myśli?

Do rozmowy wtrąciła się lady Helen:

- Jeśli Stinhurst postanowił utrzymywać, że wszystko jest w porządku, to dlaczego nie zabrał Geoffreya do domu i nie pochował go w Somerset, skoro zadał sobie tyle trudu, żeby przez tyle lat utrzymywać fikcyjne małżeństwo? Wydaje mi się, że zabranie stąd zwłok byłoby dla lorda znacznie mniej bolesnym doświadczeniem niż dzielenie trzydziestu sześciu lat życia z kobietą, która zrobiła z niego głupca, i to z jego własnym bratem.

Uwaga była bardzo trzeźwa i niezwykle typowa dla Helen. St. James nie mógł

odmówić jej rozumowaniu słuszności, choć nie przyznał tego głośno. Okazało się jednak, że nie musiał. Najwyraźniej sierżant Havers potrafiła czytać z jego twarzy.

- Proszę, niech pan mi pomoże rozwikłać tajemnicę rodziny Rin-toulów -

powiedziała z rozpaczą. - Przysięgam, że Stinhurst chce głęboko zakopać jakieś fakty. Przypuszczam, że inspektorowi Lynleyowi wręczono łopatę, aby się osobiście tym zajął. Nie wiem, na czyje zlecenie. Być może Scotland Yardu.

St. James zawahał się, zdając sobie sprawę, w jak trudnej sytuacji się postawi, wyrażając zgodę na udzielenie jej pomocy - będzie balansował ryzykownie pomiędzy zaufaniem Lynleya a niezachwianym przekonaniem Havers o winie Stinhursta.

- To nie będzie łatwe. Jeśli Tommy odkryje, że prowadzi pani tę sprawę na własną rękę, drogo będzie musiała pani za to zapłacić. Uzna to za niesubordynację.

- Pani kariera w Scotland Yardzie będzie skończona - dodała cicho lady Helen. -

Znowu wróci pani na ulicę jako mundurowa funkcjonariuszka patrolu policyjnego.

- Sądzicie, że o tym nie wiem? - Mimo pobladłej twarzy zachowywała stoicki spokój i pewność siebie. - A co się stanie z Lynleyem, jeśli się okaże, że naprawdę zostały zatuszowane jakieś fakty? I ujrzą światło dzienne, gdyż wyniucha je jakiś dziennikarz, na przykład Jeremy Vinney? Inspektor będzie chroniony, gdy wyjdzie na jaw, że jestem zaangażowana w sprawę Stinhursta. Wszyscy pomyślą, że to on zlecił mi jej zbadanie.

- Martwi się pani o Tommy'ego, prawda?

Sierżant Havers odwróciła wzrok, gdy padło niespodziewane pytanie lady Helen.

- Biedaczysko często wzbudza we mnie niezbyt przyjazne uczucia - odparła. - Ale jeśli ma być wylany z policji, nigdy nie pozwolę, aby stało się to za sprawą tak wielkiego głupca, jak Stinhurst.

Ta stanowcza i surowa odpowiedź skłoniła St. Jamesa do uśmiechu.

- Pomogę pani - oświadczył. - Ma pani na to moje słowo.

Mimo że szeroki stół z orzecha włoskiego uginał się pod ciężarem podgrzanych talerzy, nad którymi unosiły się różnorodne zapachy śniadaniowe - od wędzonych śledzi po smażone jajka Lynley zastał w

jadalni tylko jedną osobę. Elizabeth Rintoul siedziała odwrócona plecami do drzwi. Nie zareagowała na odgłos jego kroków i nie obejrzała się żeby sprawdzić, kto będzie jej towarzyszył przy posiłku. Bawiła się, tocząc widelcem parówkę po talerzu, i śledziła wzrokiem błyszczący, przypominający kształtem węża, ślad tłuszczu. Inspektor dołączył do kobiety, przynosząc sobie filiżankę kawy i jedną wystygłą grzanekę.

Przypuszczał, że Elizabeth Rintoul ubrała się już na powrotną podróż z rodzicami do Londynu. Czarna spódnica i szary sweter, podobnie jak strój, który miała na sobie wczoraj wieczorem, były zbyt obszerne. I choć włożyła dobrane kolorem do reszty ubioru czarne rajstopy, wyglądało na to, że mate oczko na kostce będzie się poszerzać w miarę upływu dnia. Na oparciu krzesła była przewieszona dziwaczna, długa, ciemnogramatowa peleryna w stylu Sarah Woodruff - zupełnie nie pasująca do osobowości Elizabeth.

Fakt, że kobieta nie kwapi się do spędzenia czasu w towarzystwie Lynleya. stał się oczywisty, w chwili gdy inspektor usiadł naprzeciwko niej. Z kamiennym wyrazem twarzy odsunęła do tyłu krzesło, najwyraźniej zamierzając wstać z miejsca.

- Z informacji, jakie otrzymałem, wynika, że Joy Sinclair była kiedyś zaręczona z pani bratem, Alekiem - powiedział Lynley. jak gdyby nie zauważył jej gestu.

Nie odrywała oczu od talerza. Z powrotem usiadła i zaczęła krajać parówkę na cieniutkie plasterki, lecz żadnego nie wzięła do ust. Nawet jak na kobietę jej postury miała niezwykle duże dłonie o guzowatych, brzydkich kostkach. Lynley spostrzegł, że pokrywają je głębokie zadraśnięcia pochodzące sprzed kilku dni.

- Koty. - Głos Elizabeth zabrzmiał bardziej niż niepewnie.

Lynley postanowił pominąć to wyjaśnienie milczeniem.

- Przygląda się pan moim dłoniom - podjęła temat. - To zadrapania kocich pazurów.

Zwierzaki te nie lubią, gdy przerywa się im kopulację. Ja jednak, szczerze mówiąc, nie żyję z sobą, aby tego rodzaju zabawy odbywały się w moim łóżku.

Ta dwuznaczna uwaga była nieumyślnym ujawnieniem faktów. Lynley zastanawiał się, jakie wnioski wysnułby z tego oświadczenia psychoanalitik.

- Chciała pani, żeby Joy poślubiła pańskiego brata?

- Jakie to ma teraz znaczenie? Alec nie żyje od wielu lat.

- Gdzie go poznała?

- Chodziłyśmy razem do szkoły. Od czasu do czasu przyjeżdżała ze mną do domu w czasie przerw semestralnych. Alec też tam bywał.

- Zaprzyjaźnili się ze sobą?

Elizabeth podniosła głowę. Lynley się zdumiał, że kobieca twarz może być tak całkowicie pozbawiona wyrazu. Przypominała maskę namalowaną niewprawną ręką.

- Joy przyjaźniła się z wszystkimi mężczyznami, inspektorze. Miała do tego szczególny dar. Mój brat był tylko jednym z wielu jej licznych wielbicieli.

- Odniosłem wrażenie, że jego traktowała znacznie poważniej niż innych.

- Oczywiście. Dlaczegoż by nie? Schlebiał jej próżności, gdy bez przerwy, jak głupiec, wyznawał jej miłość. A poza tym ilu innych kandydatów mogło jej zaoferować po śmierci taty tytuł hrabiny Stinhurst?

Zaczęła układać na talerzu wzór z kawałków parówki.

- Czy związek Joy z pani bratem miał negatywny wpływ na waszą przyjaźń?

Prychnęła ironicznym śmiechem.

- Śmierć Aleca najlepiej zweryfikowała naszą przyjaźń, inspektorze. Gdy umarł, stałam się dla Joy bezużyteczna. Tylko raz widziałam się z nią po pogrzebie brata.

Na dobre zniknęła z mojego życia.

- Aż do ostatniego weekendu.

- To prawda. Aż do teraz. Takimi byłyśmy przyjaciółkami.

- Czy często zwykła pani jeździć ze swoimi rodzicami na wypady ekipy teatralnej?

- Nigdy w nich nie uczestniczę. Ale jestem bardzo przywiązana do swojej ciotki. I miałam okazję się z nią zobaczyć. Dlatego tutaj przyjechałam. - Wokół jej ust i drgających nozdrzy pojawił się nieprzyjemny uśmiech, lecz zaraz zniknął. - Poza tym moja matka planowała połączenie mnie trwałym węzłem z Jcremyem Vinneyem. Nie mogłam jej rozczarować, skoro wiązała z tym weekendem tak wielkie nadzieje. Najwyraźniej liczyła na to, że moja róża zostanie w końcu zerwana, proszę wybaczyć tę metaforę. Lynley zignorował jej słowa.

- Vinney od dawna zna waszą rodzinę - raczej oznajmił, niż zapytał. Od dawna? Zna mojego ojca od zawsze, i to z obu stron rampy.

Lata temu, gdy pracowali w prowincjonalnych teatrach, uważał się za następcę Oliviera, ale tata go sprowadził na ziemię. Vinney zajął się więc krytyką teatralną i do dzisiaj z powodzeniem wykonuje ten zawód, uznając większość przedstawień za śmiecie. Jednak ta nowa sztuka... była bliska sercu mojego ojca. Miała być wystawiona na ponowne otwarcie Agincourt Theatre. Sadzę, że rodzice chcieli, żebym była tutaj razem z nimi. Liczyli na to, że moja obecność zapewni im dobre recenzje, jeśli się okaże, że Vinney jest zainteresowany tą... niezbyt zachwycającą łapówką. - Gwałtownie

przesunęła dłonią wzdłuż ciała. - Ja w zamian za życzliwy komentarz w „Timesie”. Rozwiązanie to zadowoliliby oboje moich rodziców.

Życzeniu mojej matki siałoby się zadość, gdyż w końcu należycie wypełniłabym swoje życiowe powołanie. Ziściłoby się również pragnienie mojego ojca o teatralnym podboju Londynu.

Mimo że Lynley próbował zmienić kierunek rozmowy, z rozmysłem wróciła do poprzedniego tematu, który chętnie podchwycił:

- Czy dlatego poszła pani do pokoju Jeremyego Vinneya tej nocy, kiedy zginęła Joy?

Elizabeth gwałtownie zareagowała na te słowa, podrywając do góry głowę.

- Ależ skąd! Przymilny kurdupel z palcami przypominającymi owłosione serdelki! -

Dziobnęła widelcem w talerz. To Joy spędzała czas z tym bydlakiem. Z tą żalosną kreaturą! Zawsze zabiegał o towarzystwo ludzi teatru, jak gdyby przebywanie między nimi mogło przysporzyć mu talentu, z którego braku przed wieloma laty nie zdołał zrobić kariery scenicznej! Godny politowania głupiec! - Nagły wybuch najwyraźniej wprawił ją w zakłopotanie. Pragnąc zatrzeć wrażenie wywołane atakiem gniewu, dodała: - Być może właśnie dlatego moja mama uważa go za odpowiedniego dla mnie kandydata na męża: dwie samotne krople toczące się w stronę zachodzącego słońca. O Boże, co za romantyczna myśl!

- Poszła pani jednak do jego pokoju...

- Szukałam Joy. Z powodu cioci Francie i jej cholernych pereł. Chociaż gdy się teraz nad tym zastanawiam, dochodzę do wniosku, że obie z matką wcześniej zaplanowały całą scenę. Zakładały, że Joy pobiegnie do siebie, żeby się nacieszyć nową zdobyczą, i zostawi nas z Vinneyem samych. Niewątpliwie mama była już wcześniej w jego pokoju z płatkami kwiatów oraz święconą wodą. Wielka szkoda.

Cały jej wysiłek został zmarnowany na Joy.

- Wygląda na to, że nie ma pani wątpliwości, co zaszło pomiędzy Joy i Vinneyem w jego pokoju. To mnie zastanawia. Widziała pani pannę Sinclair? Jest pani pewna, że to ona tam była, a nie ktoś inny?

- Ja... - Elizabeth umilkła. Nadal zabawiała się nożem i widelcem. - Oczywiście. To była Joy. Wyraźnie ich słyszałam.

- Ale nie widziała jej pani?

- Rozpoznałam jej głos.

- Było bardzo późno. Nie mógł brzmieć donośnie. Pewnie mówiła szeptem. O tej porze musiała się zachowywać cicho.

- To na pewno była Joy, bo któż by inny, jeśli nie ona? I czym się mogli zajmować po północy?

Czytaniem poezji? Gdy Joy szła do pokoju mężczyzny, to tylko w jednym celu, proszę mi wierzyć, inspektorze! Dobrze o tym wiem!

- Czy robiła to z Alekiem podczas wizyt w waszym domu? Elizabeth mocno zacisnęła usta. Ponownie zajęła się swoim talerzem.

- Proszę mi opowiedzieć o wszystkim, co się wydarzyło, od chwili gdy wyszła pani z próby wczoraj wieczorem.

Elizabeth przesunęła na talerzu kawałki parówki, układając je w zgrabny trójkąt, a potem zaczęła przecinać nożem na połowę każdy krążek. Starannie przepołowiła wszystkie plasterki i dopiero po upływie dobrej chwili odpowiedziała:

- Poszłam do ciotki. Była zdenerwowana. Chciałam jej pomóc.

- Lubi ją pani.

- Najwyraźniej dziwi to pana, inspektorze. Czy potrzeba cudu, żebym kogokolwiek darzyła sympatią?
- Gdy Lynley nie zareagował na jej sarkazm, odłożyła nóż i widelec, odsunęła do tyłu krzesło i spojrzała mu prosto w oczy. - Odprowadziłam ciotkę do jej pokoju. I zrobiłam jej kompres. A potem rozmawialiśmy.

- O czym?

Elizabeth uśmiechnęła się po raz ostatni, a jej nieoczekiwana reakcja świadczyła zarówno o rozbawieniu, jak i o świadomości przyparcia przeciwnika do muru.

- Omawialiśmy książkę zatytułowaną „O czym szumią wierzby”, jeśli już musi pan wiedzieć. Zapewne zna pan tę powieść, prawda? O Ropuchu. O Borsuku. O

Szczurku. I o Kreciku. - Wstała, sięgnęła po pelerynę i przewiesiła ją przez ramię.

- Jeśli nie ma pan więcej pytań, inspektorze, to pozwoli pan, że już pójdę. Mam jeszcze kilka spraw do załatwienia.

I wyszła. Lynley słyszał na korytarzu jej dudniący echem śmiech.

Irenę Sinclair poznała nowiny, gdy Robert Gabriel znalazł ją w pomieszczeniu, które Francesca Gerrard optymistycznie nazywała pokojem bilardowym. Znajdował

się na parterze, prowadziły do niego ostatnie drzwi, niemal niewidoczne za stertą wierzchniej odzieży, w końcu korytarza biegnącego w północno-wschodnim skrzydle gmachu. Irenę powita! wewnątrz zapach pleśni, zbutwiałego drewna oraz intensywna woń kurzu i brudu. Nie ulegało wątpliwości, że remont nie dotarł

jeszcze do tej części budynku. Kobieta uznała jednak, że jest z tego powodu zadowolona.

Na środku pokoju stał stary stół bilardowy, którego wyściółka z filcu była nie napięta i pofałdowana, a większość łuz pozbawiona siatki. Na półce przy ścianie leżały kije bilardowe i Irenę w zamyśleniu ich dotknęła, podchodząc do okna bez zasłon. Ich brak nie pozostawał bez wpływu na panujący w pomieszczeniu paraliżujący ziąb. Kobieta nie miała na sobie płaszcza, objęła się więc mocno ramionami, pocierając dłońmi ramiona w rękawach wełnianej sukienki. Tarcie niemal sprawiło jej ból.

Z okna niewiele było widać - za ledwie ogołocony z liści o tej porze roku olszynowy lasek, za którym sterczał z pagórka pokryty łupkiem dach przystani wioślarskiej.

Złudzenie optyczne, powstałe na skutek ukośnego ustawienia okna i niewielkiej wysokości wzniesienia sprawiało, że przywodził Irenę na myśl trójkątną narośl.

Zadumała się nad tym skojarzeniem, dostrzegając w nim pewną analogię do swojego życia.

- Wielkie nieba, Renie. Wszędzie cię szukam! Co tutaj robisz? - Robert Gabriel wszedł cicho i bezszelestnie zamknął za sobą spalone drzwi, po czym przeszedł

przez pokój i zbliżył się do żony. W ręce miał płaszcza. - Już zamierzałem wyjść przed dom, sądząc, że jesteś na dworze - wyjaśnił. Narzucił okrycie na jej ramiona.

Choć gest ten pozbawiony był ukrytego znaczenia, dotyk Gabriela napełnił Irenę odrazą. Mąż znajdował się tak blisko, że czuła wodę kolońską oraz ledwo uchwytną w jego oddechu woń kawy pomieszanej z zapachem pasty do zębów. Zebrało jej się na mdłości.

Jeśli Gabriel spostrzegł tę reakcję, nie dał tego po sobie poznać.

- Każą nam stąd wyjechać. Czy już kogoś aresztowali? Nie mogła się zmusić, żeby na niego spojrzeć.

- Jeszcze nie, o ile się orientuję.

- Oczywiście, nie ma pośpiechu. W każdej chwili i tak będziemy uchwytyni. Mój Boże, podróże tam i z powrotem do Londynu będą okropnie uciążliwe. Jednak wolę już jeździć niż tkwić w tej lodowatej dziurze. Czy wiesz, że ciepła woda skończyła się na dobre? I mała jest nadzieja na to, że naprawią stary bojler wcześniej niż za trzy dni. Warunki życia staną się tutaj skrajnie prymitywne.

Słyszałam cię - powiedziała. Jej głos był niewiele głośniejszy od szeptu i brzmiała w nim rozpacz. Czuła na sobie wzrok męża.

- Słyszałaś?

- Tak, słyszałam, Robercie. Wiem, że tamtej nocy byłeś z nią.

- Irenę, o czym ty...

- Och, nie musisz się obawiać, że powiem o tym policji. Nie pozwoliłaby mi na to duma. Sądzę jednak, że dlatego postanowiłaś mnie odszukać, prawda? Aby się upewnić, że masz zagwarantowane

moje milczenie?

- Nie wiem, o czym mówisz! Przyszedłem tutaj, ponieważ zamierzam cię zabrać z powrotem do Londynu. Nie chcę, żebyś wracała na własną rękę. Nie ma mowy o...

- To najbardziej zabawna historia, jaka mi się przydarzyła w życiu - przerwała lodowatym tonem. - Chciałam cię znaleźć. Sądziłam, że jestem gotowa, żeby ci wybaczyć, Robercie. Boże, dopomóż mi. Postanowiłam nawet... - Głos jej się załamał. Odwróciła się tyłem do męża, starając się odzyskać panowanie nad sobą. -

Miałam nawet zamiar pokazać ci zdjęcie naszego Jamesa. Czy wiesz, że w tym roku grał w przedstawieniu szkolnym rolę Mercutia? Zabrałam ze sobą dwie fotografie w podwójnej ramce - jedną Jamesa, a drugą twoją. Pamiętasz siebie w tej roli przed laty? Oczywiście, nie jesteście do siebie podobni, gdyż James ma moją karnację, niemniej sądziłam, że będziesz chciał mieć te odbitki. Głównie z powodu Jamesa.

Nie, to wcale nie tak było. Okłamuję samą siebie. A przysięgłam sobie ubiegłej nocy, że już nigdy nie będę. Postanowiłam zanieść ci te zdjęcia, ponieważ nienawidziłam cię i kochałam jednocześnie, a tamtego wieczoru, gdy byliśmy razem w bibliotece, przez moment myślałam, że mamy szansę ...

- Renie, na miłość boską...

- Nie! Słyszałam cię! Znowu powtórzyła się scena z Hampstead! I to dokładnie! A niektórzy twierdzą, że nic się w życiu nie powtarza! Co za plugawe kłamstwo!

Wystarczyło tylko otworzyć drzwi, a po raz drugi nakryłabym cię w łóżku z moją siostrą. Tak jak zrobiłam to w ubiegłym roku, z tą tylko różnicą, że tym razem byłabym jedynym świadkiem. Przynajmniej dzieciom zaoszczędziłoby to widoku spoconego tatusia, dyszącego i jęczącego nad uroczą ciocią Joy.

- To nie tak...

- ...jak ja myślę? - Poczwała, że od wzbierających łez drży jej twarz. To ją rozzłościło.

Robert wciąż był górą i miał ją za nic. - Nie mam zamiaru tego słuchać, Robercie.

Dosyć sprytnych kłamstw. Nie będzie już zapewnień: „To się stało tylko raz”.

Niczego więcej nie będzie.

Chwycił ją za ramię.

- Sądzisz, że zabiłem twoją siostrę? - Jego twarz miała chorobliwy wygląd może z powodu braku snu, a może pod wpływem poczucia winy.

Zaśmiała się chrapliwie, uwalniając się z jego uścisku.

- Nie, to nie w twoim stylu. Z martwej Joy nie miałbyś żadnego pożytku. Chyba nie jesteś zainteresowany rżnięciem zwłok?

- Nic takiego się nic zdarzyło!

- Czyżby słuch mnie zawiódł?

- Nie wiem, co słyszałaś! Ani kogo! Mógł z nią być każdy.

- W twoim pokoju? - zdziwiła się.

Jego oczy pod wpływem paniki stały się całkiem okrągłe.

- W moim... Renie, mój Boże, to nie to, co sądzisz!

Zrzuciła z ramion jego płaszcz. Okrycie upadło na ziemię, wzbijając tuman kurzu.

- Nie ma nic gorszego niż świadomość, że zawsze byłeś podłym łgarzem, Robercie.

Ponieważ przez ciebie stałam się osobą równie plugawą. Boże, dopomóż mi.

Sądziłam dotąd, że tylko śmierć Joy wyzwoli mnie od bólu. Teraz widzę jednak, że będzie to możliwe dopiero wtedy, gdy również i ty umrzesz.

- Jak możesz tak mówić? Czy naprawdę tego chcesz? Zaśmiała się z goryczą.

- Dobry Boże! Pragnę tego całym sercem.

Odsunął się od niej i od leżącego na podłodze płaszcz. Jego twarz miała barwę popiołu.

- A więc niech i tak będzie, kochanie - szepnął.

Lynley znalazł Jeremy'ego Vinneya na podjeździe przed domem. Dziennikarz wkładał do kufra wypożyczonego Morrisa swoją walizkę. Rękawice, szalik i płaszcz, w który szczelnie się opatulił, chroniły go przed zimnem. Jego oddech zamieniał się w obłoczki pary w powietrzu. Różowa skóra na wysokim czole połyskiwała w promieniach słońca i wyglądało to tak, jakby mężczyzna się pocił.

Lynley zdziwił się, że Vinney postanowił wyjechać pierwszy. Jak na dziennikarza, była to bez wątpienia zaskakująca decyzja. Ruszy! w stronę mężczyzny, a jego kroki skrzypiały na oblodzonym żwirze podjazdu. Vinney podniósł wzrok.

~ Wcześniej się pan stąd zabiera - zauważył inspektor.

Dziennikarz skinął głową w stronę domu, gdzie na kamiennych ścianach ślaziły się, niczym namalowane atramentem, ciemne cienie świtu.

- Niezbyt zachęcające miejsce, by przedłużać wizytę, nie sądzi pan? - Zatrzasną!

bagażnik i sprawdził, czy jest dobrze zamknięty. Przez chwilę grzebał w kluczach, upuścił je i sapnął, pochylając się, aby je podnieść i schować do zniszczonego skózanego etui. Gdy w końcu spojrzał na Lynleya, jego twarz zdradzała ślady smutku, jaki pozostaje po pierwszym szoku i rozpoczyna nieskończenie długi okres ciężkiej żałoby.

- Sądziłem, że dziennikarze jako ostatni opuszczają miejsce wydarzeń.

Vinney niespodziewanie zareagował na tę uwagę śmiechem, który zabrzmiał ironicznie i nieuprzejmie.

- Z powodu gorącego tematu? I nadziei na miejsce na pierwszej kolumnie? A także na umieszczenie tam własnego nazwiska i na szlachecki tytuł za samodzielne rozwiązanie tajemnicy zbrodni? Czy tak to pan sobie wyobraża, inspektorze?

Lynley odpowiedział pytaniem:

- Skąd się pan właściwie tutaj wziął, panie Vinney? Pozostałe osoby potrafiły wyjaśnić powody swojej obecności w Westerbrae. Pan jeden wciąż pozostaje zagadką. Czy mógłby mnie pan nieco oświecić?

- Czy wyjaśnienia udzielone wczoraj wieczorem przez naszą atrakcyjną Elizabeth nie są wystarczające? Czuję szaloną potrzebę zaciągnięcia Joy do łóżka. Albo, jeśli pan woli, chciałem ją wypytać o różne rzeczy, aby dzięki jej pomysłom zapewnić sobie błyskotliwą karierę. Proszę wybrać jedną z tych dwóch ewentualności.

- Szczerze mówiąc, wolę prawdę.

Vinney przełknął ślinę. Wyglądał na zbitego z tropu, jak gdyby oczekiwał od policji innej postawy niż zachowanie niczym nie zmaconego spokoju. Być może spodziewał się wojowniczego tonu albo palca prowokująco wymierzonego w swoją pierś.

- Przyjaźniłem się z nią, inspektorze. Prawdopodobnie była moim najlepszym przyjacielem. Czasami myślę nawet, że jedynym. A teraz już jej nie ma. - Skierował

pociemniałe nagle oczy w stronę nieruchomej taili jeziora w oddali. - Ludzie nie wierzą w przyjaźń między mężczyzną a kobietą, prawda, inspektorze? Pragną zaraz czegoś się w niej doszukać i pomniejszyć jej wartość.

Lynley nie pozostał obojętny na jego rozpacz. Spostrzegł jednak, że mężczyzna wyraźnie się uchyla od odpowiedzi.

- Czy to Joy zaaranżowała pański przyjazd? Wiem, że telefonował pan do Stinhursta. Czy przygotowała panu grunt przed tą rozmową? Czy pański pobyt tutaj był jej pomysłem? - Gdy Vinney skinął głową, spytał: - Dlaczego jej na tym zależało?

- Niepokoiła się, jak Stinhurst i aktorzy przyjmą wprowadzone przez nią w sztuce poprawki. Twierdziła, że chce mieć przy sobie przyjaciela, który ją wesprze moralnie, jeśli sprawy potoczą się nie po jej myśli. Od miesięcy śledzę renowację Agincourt Theatre. Moja prośba

o uczestniczenie w próbie sztuki zaplanowanej na jego otwarcie wydawała się całkiem sensowna. I przyjechałem. Żeby wesprzeć Joy, tak jak mnie o to prosiła.

Okazało się jednak, że nie sprostałem zadaniu, prawda? Równie dobrze mogła przybyć tu sama.

Widziałem pańskie nazwisko w jej notatniku.

- Wcale mnie to nie dziwi, Regularnie się spotykaliśmy w porze lunchu. To był utarty od wielu lat zwyczaj.

- Czy podczas tych spotkań napomknęła o planowanym weekendzie? Czy mówiła coś o związanych z nim oczekiwaniach?

- Powiadomiła mnie tylko, że odbędzie się próbne czytanie tekstu i że historia ta może mnie zainteresować.

- Miała na myśli temat sztuki?

Vinney milczał przez chwilę, błędząc gdzieś spojrzeniem. A gdy się w końcu odezwał, w jego głosie brzmiała zaduma, jak gdyby nagle odkrył coś, czego przedtem nie dostrzegął.

- Joy życzyła sobie, żebym napisał artykuł poprzedzający premierę - o aktorach, o akcji oraz o przyjętej przez nią konwencji dramatu. Przyjazd tutaj dawał mi ogólną orientację co do sposobu wystawienia sztuki. Tyle że... z łatwością mogłem uzyskać te informacje w Londynie. Dostatecznie często się tam widzujemy... widywaliśmy. Czyżby Joy się obawiała, że spotka ją tutaj coś złego, inspektorze? Dobry Boże, może zależało jej na tym, żebym dopilnował ujawnienia faktów?

Lynley nie skomentował ani głębokiego przekonania mężczyzny o nieudolności policji, ani

optymistycznego poglądu, że jeden dziennikarz jest w stanie wyręczyć przedstawicieli prawa w wykryciu prawdy. Niemniej odnotował w myśli, że wyjaśnienia Yinneya dotyczące celu jego obecności w Westerbrae są zaskakująco zbieżne z oceną lorda Stinhursta.

- A zatem przypuszcza pan, że niepokoiła się o własne bezpieczeństwo?

- Nie przyznała tego otwarcie - rzekł Vinney szczerze. - Ani nie robiła wrażenia osoby zastraszonej.

- Po co przyszła tamtej nocy do pańskiego pokoju?

- Powiedziała, że nie może zasnąć, gdyż jest zbyt rozstrojona nerwowo. Po sprzeczce ze Stinhurstem wróciła do swojego pokoju. Była jednak bardzo wzburzona. Zajrzała więc do mnie. Chciała porozmawiać.

- O której to było?

- Tuż po północy. Przypuszczam, że jakiś kwadrans po dwunastej.

- O czym mówiła?

- Najpierw o sztuce. O tym, że jest zobowiązana do wystawienia jej i że zrobi w tym celu wszystko, z pomocą Stinhursta lub bez. A potem napomknęła o Alecu Rintoulu.

I o Robercie Gabrielu. A także o Irenę. Czuła się podle po tym wszystkim, co spotkało jej siostrę. Rozpaczliwie pragnęła... żeby Irenę wróciła do Gabriela.

Dlatego nalegała na obsadzenie jej w sztuce. Sądziła, że jeśli tych dwoje zostanie rzuconych sobie w ramiona, natura dokona reszty. Utrzymywała, że bardzo zależy jej na przebaczeniu siostry, choć wiedziała, że nie może na nie liczyć. Ale moim zdaniem, nie tylko o to jej chodziło. Myślę, że Joy chciała przede wszystkim wybaczyć samej sobie. A to nie było możliwe, dopóki Gabriel i Irenę żyli w separacji.

Lynley uznał, że ta gładka przemowa Vinneya jest najwyraźniej szczerą. A jednak instynkt podpowiadał mu, że pozostało wiele niedomówień na temat nocnej wizyty Joy w pokoju dziennikarza.

- W pańskich ustach Joy urasta do rangi świętej. Vinney zaprzeczy! ruchem głowy.

- Miała swoje grzeszki. Ale jako na przyjacielu zawsze można było na niej polegać.

- O której godzinie Elizabeth Rintoul przyszła do pana z naszyjnikiem?

Vinney zgarnął śnieg z dachu morrisa, zanim odpowiedział.

- Wkrótce po Joy. Nie chciałem... Joy nie miała ochoty z nią rozmawiać.

Spodziewała się kolejnej kłótni z powodu sztuki. Dlatego nie wpuściłem Elizabeth do pokoju.

Zaledwie uchyliłem drzwi - nie była w stanie zajrzeć do środka. A ponieważ jej nie zaprosiłem, uznała, że Joy jest w moim łóżku. To bardzo dla niej typowe. Elizabeth nie potrafi wyobrazić sobie, że przedstawiciele odmiennych płci mogą utrzymywać jedynie przyjacielskie związki. Według niej, każda rozmowa z mężczyzną jest wstępem do zbliżenia seksualnego. Myślę, że to raczej smutne.

- Kiedy Joy opuściła pański pokój?

- Tuż po pierwszej.

- Czy ktoś ją widział, gdy wychodziła?

- Nikogo nie było w pobliżu. Nie sędzę, żeby została przez kogoś zauważona, chyba że Elizabeth wypatrzyła ją przez dziurkę od klucza. Albo Gabriel. Mój pokój znajdował się pomiędzy ich sypalnią.

- Czy odprowadził pan Joy pod jej drzwi? Nie. Dlaczego miałbym to robić?

- A zatem nie musiała od razu wrócić do siebie. Sądziła przecież, sam pan to przyznał, że nie będzie mogła zasnąć.

- Nie miała dokąd pójść. - Wyraz twarzy Vinneya zdradzał, że powoli docierają do niego słowa inspektora. - Podejrzewa pan, że się z kimś spotkała? Nie. Nie interesowała się żadną z obecnych tutaj osób.

- Skoro, jak pan utrzymuje, tylko przyjaźniliście się ze sobą, to skąd pewność, że nie łączyły jej z kimś bardziej zażyłe stosunki? Może z którymś z mężczyzn? Albo którąś z kobiet?

Sugestia sprawiła, że Vinney się zachmurzył. Zamrugnął powiekami i umknął

wzrokiem w bok.

Nigdy się nie okłamywaliśmy, inspektorze. Wiedziała o mnie wszystko. A ja cieszyłem się jej bezgranicznym zaufaniem. Z pewnością powiedziała mi, gdyby... - Umilkł nagle i, znużony potarł czoło wierzchem dłoni. - Czy pozwoli mi pan odjechać? Nie mam nic więcej do powiedzenia. Joy była moją przyjaciółką. A teraz nie żyje. - Ze słów Vinneya można było odnieść wrażenie, że pomiędzy dwoma ostatnimi stwierdzeniami istnieje jakiś związek.

Lynley był bardzo ciekaw, czy rzeczywiście tak jest. Zaintrygowany zażyłością dziennikarza z Joy Sinclair, poruszył nowy temat:

- Co mógłby pan powiedzieć o jakimś Johnie Darrowie? Vinney opuścił rękę.

- Darrowie? - powtórzył obojętnym tonem. - Absolutnie nic. Czy powinienem wiedzieć, kto to taki?

- Joy go znała. W każdym razie wszystko na to wskazuje. Irene przyznała nawet, że siostra wspomniała o nim przy kolacji, prawdopodobnie w związku ze swoją nową książką. Czy mógłby pan wyjaśnić, jakiego tematu miała ona dotyczyć? - Lynley uważnie przyglądał się twarzy Vinneya.

Oczekiwał od tego mężczyzny, przed którym Joy rzekomo niczego nie ukrywała, znaku świadczącego o nagłym przebłysku pamięci.

- Nic nie wiem. - Vinney wydawał się zakłopotany. Wyglądało na to, że fakty stoją w jawnej sprzeczności z jego wcześniejszymi zeznaniami. - Nigdy nie rozmawiała ze mną o swojej pracy.

- Rozumiem. - Lynley w zamyśleniu skinął głową. Dziennikarz przeniósł ciężar ciała z jednej nogi na drugą i przełożył z ręki do ręki klucze.

- Joy nosiła przenośny magnetofon w swojej torebce. Wiedział pan o tym?

- Tak, zwykła rejestrować nagłe spostrzeżenia.

- Na nagranej przez nią taśmie znajduje się również wzmianka o panu. Zastanawiała się, dlaczego z pańskiego powodu pieni się ze złości. Co mogło ją skłonić do takiej refleksji?

- Pieniła się z mojego powodu? - spytał podniesionym, pełnym niedowierzania głosem.

- „Jeremy, Jeremy. Dlaczego z jego powodu się tak wkurzam? Trudno to nazwać życiową propozycją^. To jej słowa. Czy potrafi je pan wyjaśnić?

Twarz Vinneya była dość spokojna. Jego wewnętrzne poruszenie zdradzał jednak niepokój w oczach.

- Nie. Niestety, nie potrafię. Nie mam pojęcia, o co jej chodziło. Nasze wzajemne związki nie wykraczały poza przyjaźń. W każdym razie nie z mojej strony.

Absolutnie nie.

Sześć zaprzeczeń. Lynley był zbyt dobrze obeznany z reakcjami przesłuchiwanym, by nie spostrzec, że ostatnia uwaga celowo kieruje rozmowę na inne tory. Vinney nie był wytrawnym łgarzem. Posiadał jednak umiejętność grania na zwłokę i sprytnego wykorzystywania sytuacji. I właśnie teraz to robił. Ale dlaczego?

- Nie będę zatrzymywał pana dłużej, panie Yinney - zakończył

rozmowę inspektor. - Przypuszczam, że pilno panu wrócić do Londynu.

Wyglądało na to, że dziennikarz chce jeszcze coś powiedzieć, ale rozmyślił się.

Wsiadł do samochodu i przekręcił kluczyk w stacyjce. Początkowo rozległy się dudniące dźwięki, świadczące o kłopotach z zapłonem, po chwili jednak silnik się zakrztusił i obudził do życia, wyrzucając z rury wydechowej przykre wyziewy. Gdy wycieraczki zgarniały z przedniej szyby śnieg, Vinney spuścił boczna.

- Joy była moją przyjaciółką, inspektorze. I niczym więcej. - Zawrócił pojazdem.

Koła obracały się w miejscu, ślizgając się na lodzie, dopóki nie napotkały żwiru.

Samochód wystrzelił w dół podjazdu, zmierzając w kierunku szosy.

Lynley obserwował odjazd Vinneya i zastanawiał się, co go skłoniło do powtórzenia ostatniej uwagi. Czyżby się obawiał, że detektyw jest bliski odgadnięcia jej ukrytego znaczenia? Z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu inspektor powróci! nagle myślami do Eton i do zagorzałej dyskusji w ostatniej klasie na temat ludzkich obsesji i wewnętrznego przymusu skłaniającego człowieka do podjęcia działania.

Omawiali tę kwestię na przykładzie Makbeta - gdy czyn został dokonany, wyrzuty sumienia usypiały dręczące wspomnienia. Dlaczego w człowieku nadal pozostaje nie zaspokojona potrzeba, choć zrealizował z powodzeniem czyn, o którym sądził, że sprawi mu radość? Profesor literatury spacerował po sali i zadawał natarczywe pytania. Wskazywał na coraz to innych chłopców, domagając się od nich, by wyrażali własne oceny, snuli domysły i bronili swoich racji. Potrzeby stają się zarzewiem wewnętrznego przymusu. Jakiego rodzaju potrzeby? Lynley uznał, że to bardzo dobre pytanie.

Poszpera! w kieszeni, szukając papierośnicy i ruszył w górę podjazdu. W tej samej chwili zza węgła budynku wyłonili się sierżant Havers i St. James. Nogawki ich spodni były oblepione śniegiem, jak gdyby brnęli przez zaspę. Tuż za nimi szła lady Helen.

Przez chwilę w niezręcznej ciszy wpatrywali się w siebie w milczeniu.

- Proszę zatelefonować do Scotland Yardu, Havers - wydał polecenie Lynley. -

Niech pani zawiadomi Webberly'ego, że dzisiaj przed południem wyruszamy w drogę powrotną do Londynu.

Policjantka skinęła głową i zniknęła za frontowymi drzwiami. St. James obrzucił

szybkim spojrzeniem lady Helen oraz Lynleya i też wszedł do domu.

- Wrócisz razem z nami, Helen? - spytał inspektor, gdy zostali sami. Z powrotem schował papierośnicę, nawet jej nie otwierając. - To będzie szybsza podróż. W

pobliżu Oban czeka na nas helikopter.

- Nie mogę, Tommy. Dobrze o tym wiesz.

W uprzejmej odmowie bezlitośnie zabrzmiała ostateczność jej postanowienia.

Oboje nie mieli już sobie nic do powiedzenia. A jednak Lynley stwierdził, że pragnie przełamać jej rezerwę i nawet gotów jest uciec się w tym celu do najbardziej niekonsekwentnego i pokrętnego sposobu. Takie rozstanie było nie do pomyślenia. I przyznał to na głos, zanim rozsądek, duma i sztywne zasady dobrego wychowania zdołały go przed tym powstrzymać:

- Nie zniosę, gdy tak bez słowa ode mnie odejdziesz, Helen.

Stała przed nim, uwięziona w snopie słonecznego światła. Promienie padały ukośnie, przenikając przez jej włosy i nadając im barwę starej markowej brandy.

Urocze ciemne oczy zabłysły na moment nieodgadnionym uczuciem, które jednak zaraz zgasło.

- Muszę już iść - oświadczyła cicho. Wyminęła Lynleya i weszła do domu.

Czuję się, jak gdyby umarł mi ktoś bliski, pomyślał. Tyle tylko że nie będzie należytego pogrzebu, okresu żałoby ani końca oplakiwania.

W swoim zagraconym londyńskim biurze nadinspektor Malcolm Webberly odłożył słuchawkę na widełki.

- Telefonowała Havers - wyjaśnił. W charakterystyczny dla siebie sposób zaczesał prawą dłońią przerzedzone blond włosy i naciągnął je mocno, jak gdyby chciał pobudzić ich porost na zaczątkach łysiny.

Sir David Hillier, główny nadinspektor, nie ruszył się spod okna, przy którym stał od kwadransa, mierząc obojętnym wzrokiem kontury gmachów na tle nieba. Jak zwykle, był nienagannie ubrany, a jego postawa świadczyła, że przywykł do odnoszenia sukcesów i potrafi umiejętnie sterować pomiędzy zdradzieckimi cieśninami władzy politycznej.

- Ico?

- Są już w drodze.

- I to wszystko?

- Nie. Według Havers wytropili ślad prowadzący do Hampstead. Zdaje się, że Sinclair pracowała tam nad swoją nową książką. U siebie w domu.

Hillier powoli odwrócił głowę, ale z powodu słońca za plecami jego twarz pozostała w cieniu.

- Książką? Jako dodatkiem do sztuki?

- Havers nie wyraziła się dość jasno w tej kwestii. Jednakże odniosłem wrażenie, że Lynley wpadł na jakiś trop, który ma związek z ostatnim dziełem ofiary.

Hillier skwitował tę uwagę chłodnym uśmiechem.

- Bogu dzięki za nadzwyczaj twórczą intuicję inspektora Lynleya.

- On jest moim najlepszym policjantem, Davidzie - rzeki Webberly z goryczą.

- Oczywiście. A poza tym wypełnia polecenia. Podobnie jak ty. Hillier znów odwrócił się przodem

do okna, aby dalej przyglądać się miastu.

10

Dopiero o wpóli do trzeciej po południu Lynley i Havers dotarli do małego narożnego domu, należącego do Joy Sinclair. Ten budynek z białej cegły w modnej londyńskiej dzielnicy Hampstead był świadectwem pisarskich sukcesów jego właścicielki. Łukowate frontowe okna, zasłonięte przezroczystymi, kremowymi fi-rankami, wychodziły na skrawek ogrodu, gdzie spały zimowym snem przycięte różane krzewy, jaśminy i kamelie. Z dwóch skrzynek przy głównym wejściu pięły się po ścianach pnącza dzikiego wina. Chociaż dom stał przy Flash Walk, do ogrodu wchodziło się od Back Lane -małej wybrukowanej alejki, łączącej się z Health Street, po której niemal bezgłośnie przesuwały się w ulicznym ruchu pojazdy.

Lynley otworzył kutą żelazną furtę i ruszył wyłożoną płytami ścieżką w stronę wejścia. Havers podążała za nim. Pomimo bezwietrznej pogody powietrze było ostre. Błade promienie zimowego słońca odbijały się w staroświeckiej lampie i w połyskującej mosiądzem szparze na listy pośrodku drzwi.

- Niezłe miejsce - przyznała niechętnie Havers. - Zwykły ogród za parkanem z cegły, zwykła dziewiętnastowieczna latarnia i zwykła, obsadzona drzewami ulica, zastawiona zwykłymi samochodami marki BMW. - Wskazała kciukiem na dom: -

Musiał ją kosztować parę funtów.

- Sądząc z tego, co Davies-Jones powiedział o testamencie panny Sinclair, odnoszę w rażenie, że było ją stać na takie mieszkanie - odparł Lynley. Otworzył drzwi i weszli do środka.

Znaleźli się w małym, nie umeblowanym przedpokoju z marmurową posadzką. Na podłodze leżała kilkudniowa porcja listów, wrzuconych przez listonosza szparą w drzwiach. Była to korespondencja, jakiej można oczekiwać w domu cieszącej się powodzeniem autorki -pięć ulotek reklamowych, rachunek za prąd, jedenaście listów od wydawców, rachunek telefoniczny, kilka małych kopert, prawdopodobnie z zaproszeniami, oraz przesyłki o większych rozmiarach z różnymi adresami zwrotnymi. Lynley wręczył wszystko Havers.

- Proszę to przejrzeć.

Odebrała od niego pocztę i oboje ruszyli w głąb domu. Przeszli przez oszklone matowymi szybami drzwi i znaleźli się w długim holu. Po lewej stronie znajdowały się wejścia do dwóch pokoiów, a po prawej schody. Pomieszczenie na końcu korytarza, wypełnione cieniami popołudnia, wyglądało na kuchnię.

Najpierw zajrzeli do salonu. Przez trzy duże okna sączyły się do środka słoneczne promienie. Snopy światła padały na niemal biały dywan, który wyglądał i pachniał

tak, jak gdyby został tu całkiem niedawno położony. Niewielka liczba sprzętów utrudniała odgadnięcie gustów właścicielki. Niskie krzesła poustawiane wokół

sięgających łydek stolików wskazywały na to, że była zwolenniczką nowoczesnych form. Potwierdzały to wybrane przez nią dzieła sztuki - trzy olejne obrazy w stylu Jacksona Pollocka, które czekały na zawieszenie pod ścianą, a także stojąca na jednym ze stolików marmurowa rzeźba o nieregularnych kształtach i nieokreślonym temacie. Podwójne drzwi na wschodniej ścianie prowadziły do jadalni, która też była skromnie umeblowana, z tym samym zamiłowaniem do oszczędnej prostoty współczesnych projektów. Lynley podszedł do jednego ze znajdujących się za stołem czterech francuskich okien. Zdumiał go widok prostych zamków oraz łatwości, z jaką mógł wtargnąć do środka nawet najmniej sprawny włamywacz.

Musiał, co prawda, przyznać, że w domu Joy Sinclair niewiele było wartościowych przedmiotów, chyba że na skandynawskie meble panowała akurat moda albo obrazy w salonie były prawdziwymi dziełami sztuki.

Sierżant Havers odsunęła jedno z krzeseł i usiadła przy stole. W zamyśleniu zaciskając usta, rozłożyła przed sobą korespondencję i zaczęła rozcinać koperty.

- Wygląda na to, że Joy była bardzo popularną damą. Znajduje się tutaj z tuzin różnych zaproszeń.

- Uhm. - Lynley wyrzwał na otoczony murem ogródek za domem. Była to kwadratowa działka, mieszcząca zaledwie jeden wąty jesion, kwiatową rabatkę wokół niego oraz skrawek trawnika pokryty cienką warstwą śniegu. Wszedł do kuchni.

Podobnie jak w salonie i jadalni, tu też dominowała atmosfera anonimowości.

Wykończone na czarno urządzenia kuchenne przechodzi-

ły w długi szereg białych szafek, pod jedną ze ścian stał sosnowy stół z dwoma krzesłami, jedynie gdzieś tam jaskrawiły się plamy kolorów - tu czerwona poduszka, tam niebieski imbryk na herbatę, a na haczyku za drzwiami żółty fartuch.

Lynley oparł się o blat kuchenny i rozejrzał uważnie wokół siebie. Podczas zwiedzania domów zawsze dowiadywał się czegoś o ich właścicielach; tutejsze umeblowanie wskazywało, że to wizja architekta, któremu kobieta, zupełnie nie zainteresowana otoczeniem, zostawiła całkowitą swobodę w zaprojektowaniu domu. Gustowny wystrój wnętrza, który nie wzbogacał wiedzy Lynleya, był

jednocześnie powściągliwą wizytówką sukcesu.

- Horrendalny rachunek telefoniczny! - krzyknęła Havers z jadalni. - Wygląda na to, że panna Sinclair spędzała większość czasu na pogawędkach z przyjaciółmi rozrzuconymi po całym świecie. Poprosiła o szczegółowy wydruk swoich rozmów.

- Dokąd telefonowała?

- Siedem razy do Nowego Jorku, czterokrotnie do Somerset, sześć razy do Walii i...

chwileczkę, niech spojrzę... dziesięć razy do Suffolk. Z wyjątkiem dwóch ostatnich połączeń wszystkie były bardzo krótkie.

- Czy dzwoniła zawsze o tej samej porze? I codziennie?

- Nie licząc telefonów do Walii, rozmowy pochodzą z okresu pięciu dni ubiegłego miesiąca.

- Proszę sprawdzić numery - polecił inspektor. Gdy Havers otworzyła kolejną kopertę, wyszedł do holu i skierował się w stronę schodów.

- Mam coś interesującego, sir! - zawołała policjantka i przeczytała na głos treść listu:

„Joy, nie odbierasz moich telefonów i nie odpowiadasz na listy. Do piątku czekam na wiadomość od Ciebie, w przeciwnym razie będę zmuszona skierować sprawę do naszego wydziału prawnego. Edna”.

Lynley zatrzymał się na pierwszym stopniu.

- Czy to jej wydawca?

- Redaktorka. List został napisany na firmowym papierze wydawnictwa. Wygląda na to, że Joy miała kłopoty, nie sądzi pan?

Lynley przypomniał sobie wcześniejsze informacje - nagraną na taśmie wzmiankę o zbyciu Edny i przekreślone w kalendarzu terminy spotkań na Upper Grosvenor Street.

- Proszę zatelefonować do wydawnictwa, Havers. Niech się pani postara możliwie jak najwięcej dowiedzieć. A potem proszę skontaktować się ze wszystkimi pozostałymi zamiejscowymi numerami figurującymi na wydruku. Ja pójdę się rozejrzeć na górze.

Gdy wszedł do sypialni, uderzyła go orgia barw - różnokolorowe poduszki na zniszczonych meblach z ratlanu i ubrania. Na stoliku przy nie zaścielonym łóżku stała fotografia, którą inspektor pośpiesznie obrzucił wzrokiem. Przedstawiała smukłego i chyba wrażliwego młodego mężczyznę, który stał przy fontannie na Wielkim Dziedzińcu Trinity College w Cambridge. Lynley dostrzegł coś znajomego w zarysie linii włosów nad czołem, układzie ramion i sposobie trzymania głowy.

Domyślił się, że to podobizna Aleca Rintoula, i odstawił ją na miejsce. Wszedł do mieszczącego się we frontowej części domu gabinetu. Pokój nie różnił się wyglądem od innych i pierwszą reakcją Lynleya, gdy się w nim znalazł, było zdumienie, jak w takim bałaganie ktoś w ogóle zdoła! pisać książki.

Przestąpił piętzącą się przy drzwiach stertę rękopisów i podszedł do ściany, gdzie nad komputerem wisiały dwie mapy. Pierwsza z nich, o dużych rozmiarach, była z rodzaju tych szczegółowych odwzorowań, jakie sprzedawane są w księgarniach turystom, którzy chcą mieć dokładną orientację w określonym regionie kraju. Ta przedstawiała okolice Suffolk, choć były na niej również widoczne obrzeża Cambridgeshire i Norfolk. Najw idoczniej Joy z niej korzystała, gdyż nazwa jednego z miasteczek została zakreślona na czerwono grubą obwódką, a jakieś sześć centymetrów dalej, w pobliżu miejscowości Mildenhall Fen, było postawione duże X. Lynley włożył okulary. Porthill Green, przeczytał w środku czerwonej otoczki.

Po chwili skojarzył tę nazwę z zapiskiem w notesie Joy: *P. Green*. A zatem notatka nie dotyczyła osoby, lecz miejsca.

Dostrzegł też inne zakreślenia wokół większych miast: Cambridge, Norwich, Ipswich, Bury St. Edmunds. Z każdego z nich były zaznaczone drogi wiodące do Porthill Green, a stamtąd do znaku X przy Mildenhall Fen. Lynley zastanawiał się, o czym obecność tych map w gabinecie autorki może świadczyć. Słyszał, jak sierżant Havers przeprowadza kolejne rozmowy telefoniczne i od czasu do czasu mruczy coś pod nosem, gdy jest niezadowolona z odpowiedzi, gdy czeka na uzyskanie połączenia albo gdy linia jest zajęta.

Przyjrzał się drugiej z map. Była sporządzona odręcznie i niedokładna - wykonany ołówkiem szkic ze wszystkimi charakterystycznymi dla tysiąca innych angielskich miasteczek punktami, które zostały określone bardzo ogólnikowo: kościół, sklep warzywny, pub, przychodnia, stacja benzynowa. Plan nie dostarczył Lynleyowi żadnych informacji z wyjątkiem tej, że stanowił bardzo pobieżne odwzorowanie Porthill Green. Choć świadczył o szczególnym zainteresowaniu Joy tym miejscem, nie wyjaśniał, co pisarka znalazła w owej miejscowości intrygującego ani co robiła, jeśli się tam wybrała z wizytą.

Lynley skierował uwagę na biurko. Tak jak w całym pokoju, tu też panował

absolutny nieład. Być może jego sprawczyni wiedziała, gdzie się co znajduje, lecz każda inna istota ludzka musiała się w tym rozgardiaszu zagubić. Na blacie, oprócz książek, map, notesów i przeróżnych papierów, znajdowały się także filiżanki, pióra, zszywacz do papieru i tubka z maścią rozgrzewającą do wcierania w zmęczone mięśnie. Lynley przez chwilę się namyślał. Z parteru nadal dobiegał głos prowadzącej telefoniczne rozmowy Havers.

Przeszukując rzeczy na biurku, doszedł do wniosku, że materiały musiały być gromadzone według jakiegoś systemu. Odkrycie go nie zabrało inspektorowi dużo czasu. W całości wydawały się przypadkową zbieraniną, analiza poszczególnych stosów wskazywała jednak na ich zamierzone wyodrębnienie. Na jednym z nich leżały książki specjalistyczne - trzy podręczniki z dziedziny psychologii, poświęcone zagadnieniom depresji i samobójstwa, oraz dwa zbiory raportów brytyjskiej policji. Obok znajdowały się wycinki z gazet ze szczegółowymi opisami rozmaitych rodzajów śmierci. Kolejna sterta zawierała reklamy i broszury przedstawiające różne części kraju. A na ostatniej kupce piętrzyła się korespondencja, na którą adresatka prawdopodobnie nie zdążyła odpowiedzieć.

Lynley przejrzał pocztę, odkładając na bok listy od wielbicieli. Kierował się instynktem w nadziei, że doprowadzi go on do jakiegoś istotnego odkrycia. I dokonał go w trzynastym z kolejnych listów.

Była to krótka, nie zawierająca więcej niż dziesięć zdań notatka od wydawcy Joy, który dopytywał się, kiedy otrzyma rękopis zatytułowany „Czy stryżek jest zbyt dobrym rozwiązaniem?” *O sześć miesięcy przekroczyła Pani termin, a zgodnie z warunkami naszej umowy...*

Nagle wszystkie materiały na biurku Joy zaczęły mieć ze sobą logiczny związek.

Podręczniki o samobójstwie, opracowania policyjne, artykuły o śmierci i tytuł

nowej książki. Lynley poczuł narastające podniecenie, które zwykle się pojawiało, gdy wiedział, że jest na właściwym tropie.

Podszedł do komputera. Spozrzegł dwie dyskietki - jedną z programem edytorskim, a drugą prawdopodobnie z nagrany tekstem Joy. - Havers! - zawołał. - Czy zna się pani na komputerach?

- Chwileczkę - odparła policjantka i zniżyła głos, mówiąc coś do słuchawki.

Lynley, zniecierpliwiony, włączył urządzenie. Po chwili na ekranie pojawiły się wskazówki. Obsługa była o wiele prostsza, niż sobie wyobrażał. W niespełną minutę miał przed sobą robocze opracowanie książki „Czy stryczek jest zbyt dobrym rozwiązaniem?”

Cały tekst składał się z jednego zdania: *Hannah postanowiła popełnić samobójstwo wieczorem 26 marca 1973 roku*. Nie było nic więcej. Fakt ten wyjaśniał przyczynę sporu z wydawcami o półroczne przekroczenie terminu złożenia rękopisu.

Lynley szukał dalszych informacji, wykorzystując każdą proponowaną przez komputer wskazówkę. Niestety, bez skutku. Albo zapis został usunięty, albo całe dzieło ograniczało się do tej jednej informacji, a od chwili jej zanotowania Joy nie posunęła się ani o krok dalej. Nic dziwnego, że jej wydawca pieni się ze złości i grozi podjęciem kroków prawnych, pomyślał Lynley.

Wyłączył komputer i ponownie spojrzął na biurko. Przez następne dziesięć minut grzebał wśród znajdujących się tam materiałów, usiłując odkryć coś więcej.

Poszukiwania nie przyniosły jednak rezultatu. Przystąpił więc do przejrzenia czterech szuflad sekretarzyka. Gdy przerzuczał zawartość drugiej z nich, do pokoju weszła Havers.

- Czy natknął się pan na coś interesującego? - spytała.

- Na książkę zatytułowaną „Czy stryczek jest zbyt dobrym rozwiązaniem?”, na niejaką Hannah, która postanowiła popełnić samobójstwo, i na miejscowość o nazwie Porthill Green - *P. Green* z notatnika ofiary, jak sądzę. A czy pani ma coś nowego?

- Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że mało kto w Nowym Jorku zaczyna pracę przed południem. Zdołałam się jednak dowiedzieć, że nowojorski numer należy do pośrednika panny Sinclair zajmującego się sprawami wydawniczymi.

- A pozostałe?

- Telefony do Somerset były połączeniami z domem Stinhursta.

- A co z listem od Edny? Czy skontaktowała się już pani w tej sprawie z wydawnictwem?

Havers skinęła głową.

- Joy sprzedała im prawo do wydania nowej książki na początku ubiegłego roku.

Tym razem zamierzała napisać coś innego. Tematem dotychczasowych jej prac było psychologiczne studium przestępcy i ofiary. Obecnie chciała się zająć problemem samobójstwa - jego prze-siankami i następstwami. Wydawca kupił ten projekt - zawsze przestrzegała obowiązujących terminów. Tym razem było inaczej. Na próżno od miesiący ją ścigali. Prawdę mówiąc, jej śmierć przyjęli jako wysłuchanie swoich cowieczornych modłów.

- A co z innymi numerami?

- Interesująca wydaje się rozmowa z Suffolk. Telefon odebrał chłopak - sądząc po głosie, nastolatek. Nie miał najmniejszego pojęcia, kim była Joy Sinclair ani dlaczego do nich telefonowała.

- I co w tym interesującego?

- Jego nazwisko, inspektorze. Chłopak nazywa się Teddy Darrow. A ojciec Teddy'ego ma na imię John. Rozmawiał ze mną z pubu „Winiarska Orka”. Lokal mieści się w samym centrum Porthill Green.

Lynley uśmiechnął się szeroko, czując nagły przyływ energii, towarzyszący zwykle potwierdzeniu domysłów.

- Na Boga, Havers. Czasami myślę, że stanowimy znakomity zespół. Jesteśmy na właściwym tropie. Nie czuje pani tego?

Policjantka nie odpowiedziała. Wertowała zgromadzone na biurku materiały.

- A więc znaleźliśmy Johna Darrowa, o którym Joy wspomniała podczas kolacji i którego nazwisko zostało zarejestrowane na jej taśmie - zadumał się Lynley. -

Odkryliśmy znaczenie hasła w notesie: *P. Green*. Wiemy, skąd się wzięły zapalki w jej torebce - to dowód na to, że była w tym pubie. Teraz musimy już tylko zbadać związek pomiędzy książką Joy a Johnem Darrowem oraz pomiędzy Johnem Darrowem a Westerbrae. - Nagle spojrzał na Havers. - Łączyła się pani jeszcze z innymi numerami, prawda? Czego dowiedziała się pani w Walii?

Nie spuszczał z niej oczu. Przeglądała wycinki prasowe, jak gdyby odczuwała nieprzepartą potrzebę zapoznania się z ich treścią. Lynley wiedział jednak, że ich nie czyta.

- Abonentka mieszka w Llanbister. Nazywa się Anghared Mynach.

- Po co Joy do niej telefonowała? Policjantka ociągała się z udzieleniem odpowiedzi.

- Szukała kogoś, sir.

Lynley zmrużył oczy. Zamknął szufladę sekretarzyka, której zawartość właśnie sprawdzał.

- Kogo?

Havers zmarszczyła brwi.

- Rhysa Davies-Jonesa. Anghared Mynach jest jego siostrą. Mieszkał u niej.

Wyraz twarzy Lynleya zdradza! jego reakcję na zasłyszana informację. Barbara Havers dobrze wiedziała, jakie fakty inspektor zestawia w myślach: nazwisko Johna Darrowa, które padło podczas kolacji tego samego wieczoru, kiedy Joy została zamordowana, wzmiankę o Rhysie Davies-Jonesie na taśmie magnetofonowej pisarki i dziesięć połączeń z Porthill Green oraz sześć telefonów do Walii, czyli sześć rozmów z Rhysem Davies-Jonesem.

Aby uniknąć dyskusji na ten temat, Barbara podeszła do sterty rękopisów obok drzwi gabinetu. Zaczęła je z zaciekawieniem przeglądać. Odzwierciedlały zainteresowanie Joy Sinclair problematyką morderstw i śmierci. Był tam szkic do psychologicznego studium gwałciciela z Yorkshire, nie dokończony artykuł

poświęcony zagadnieniu kalectwa, co najmniej sześćdziesiąt stron materiału dotyczącego śmierci lorda Mountbattena, plik odbitek szcztokowych książki „Nóż zagłębia się tylko raz” oraz trzy wersje innej książki z licznymi poprawkami redaktorskimi, pod tytułem „Śmierć w ciemnościach”. Czegoś jednak wyraźnie brakowało.

Lynley ponownie zajął się badaniem zawartości sekretarzyka. Barbara podeszła do biurka i otworzyła górną szufladę. Joy trzymała tu dyskietki komputerowe - dwa długie rzędy miękkich, czarnych kwadratów - każdy z tematem wypisanym na nalepce w górnym prawym rogu. Przejrzała je, odczytując tytuły. W miarę wykonywania tej czynności dojrzewała w niej pewność niczym nabrzmiewająca narośl. Zawartość drugiej i trzeciej szuflady była podobna - znajdowały się tam koperty, papeteria, taśmy do drukarki, spinacze, stare kalki, przylepce i nożyczki.

Nie tego jednak szukała. Zupełnie nie tego.

Kiedy Lynley zajął się przeglądaniem materiałów na półce z książkami, Barbara podeszła do sekretarzyka.

- Sprawdziłem już jego zawartość - oznajmił Lynley. Pilnie potrzebowała wymówki.

- Tylko spojrzę, sir.

W rzeczywistości trwało to prawie godzinę. W tym czasie Lynley zdjął obwolotę z ostatniej książki Sinclair i wsunął ją do kieszeni, wrócił do sypialni i poszedł zajrzeć do szafy na górnym podejście schodów. Barbarę dochodziły stamtąd odgłosy jego niestrudzonego szperania w osobistych rzeczach Joy. Było już po czwartej, kiedy zakończyła przeglądanie papierów. Przysiadła na piętach, usatysfakcjonowana potwierdzeniem własnych hipotez. Musiała teraz tylko podjąć decyzję, czy powiadomić o tym Lynleya, czy raczej trzymać język za zębami, dopóki nie pozna większej liczby faktów, których inspektor nie będzie w stanie odrzucić.

Zastanawiała się, dlaczego sam ich nie dostrzegł. Jak mogły ujść jego uwagi? Cóż, on widział tylko to, co chciał zobaczyć - trop prowadzący do Rhysa Davics-Jonesa.

Chęć znalezienia dowodu winy reżysera okazała się dla Lynleya zbyt kusząca. Stałą się zasłoną

dymną ukrywającą szczegół o zasadniczym znaczeniu - Joy Sinclair pisała ostatnio sztukę dla Stuarta Rin-toula, lorda Stinhursta. ale w jej gabinecie nie było śladu, który by o tym świadczył - żadnego brulionu, szkicu, listy głównych postaci -najmniejszego świstka papieru.

Ktoś przed nimi już przeszukał dom.

- Podwiozę panią do Acton, Havers zaproponował Lynley, gdy już wyszli z mieszkania Joy. Zmierzał w stronę swojego samochodu, srebrnego bentleya, przy którym zebrała się niewielka grupa chłopców. Zaglądali przez szyby do środka i z podziwem dotykali błyszczących błotników.

- Zaplanujmy na jutro wczesny wyjazd do Porthill Green. Czy wpół do ósmej odpowiada pani?

- Oczywiście, sir. Ale proszę się nie kłopotać z podwożeniem mnie do domu.

Skorzystam z metra. Mam przystanek tuż za rogiem Heath Street, przy głównej ulicy.

Lynley zatrzymał się i odwrócił w jej stronę.

- Niech pani nie będzie śmieszna, Barbaro. Dojazd zajmie pani całe wieki z powodu licznych przesiadek i Bóg jeden wie ilu przystanków. Proszę wsiąść do mojego samochodu.

Propozycja ta zabrzmiała jak rozkaz. Barbara zastanawiała się, jak odmówić Lynleyowi, by nie ściągnąć na siebie jego gniewu. Przejażdżka do Acton zabrałaby jej zbyt dużo cennego czasu. A bez względu na to, co on o tym sądził, jej dzień pracy jeszcze się nie skończył.

Użyła pierwszej wymówki, jaka przyszła jej na myśl, nie zastanawiając się nad tym, jak mało wyda mu się prawdopodobna:

- Prawdę mówiąc, mam randkę, sir - oznajmiła. Nagle zdała sobie sprawę z niedorzeczności tego pomysłu i dodała pośpiesznie, starając się złagodzić jego absurdalność: - Właściwie to nie randka, tylko spotkanie z kimś, kogo niedawno poznałam. Postanowiliśmy... zjeść razem kolację, a potem obejrzeć nowy film w

„Odeonie”. - Zganiła się w myślach za ten ostatni wytwór fantazji. Modliła się w duchu o to, że

by rzeczywiście w kinie „Odeon” wyświetlali jakiś premierowy film. Albo żeby Lynley był równie słabo zorientowany w repertuarze kin jak ona.

- Ach tak, rozumiem. Czy to ktoś, kogo znam? A niech to wszyscy diabli, pomyślała.

- Nie. To facet, którego przypadkowo poznałam w supermarkecie w zeszłym tygodniu. Zderzyliśmy się wózkami gdzieś pomiędzy owocami w puszkach a stoiskiem z herbatą.

Lynley się uśmiechnął.

- Takie znajomości często przeradzają się w trwałe związki. Może podrzucić panią do przystanku metra?

- Nie, dziękuję. Chętnie się przejdę. Do zobaczenia jutro, sir. Skinął głową. Patrzyła za nim, gdy zmierzał w stronę swojego samochodu. W jednej chwili otoczyły go pełne entuzjazmu dzieciaki.

- Czy to pański samochód? - pytały z podziwem. Ile kosztował?

- Czy te siedzenia są ze skóry? Mógłbym się nim przejechać?

Barbara usłyszała, jak Lynley się roześmiał. Widziała, jak pochylił się nad maską pojazdu i nawiązał z dziećmi przyjacielską pogawędkę. To cały on, pomyślała.

Podczas minionych trzydziestu trzech godzin spał nie dłużej niż trzy, niewiele brakuje, aby cały jego świat legł w gruzach, a pomimo to nie wzbrania się przed wysłuchiwaniami dziecięcej paplaniny. Przyglądała mu się, jak stoi w gronie malców i wyobrażała sobie z daleka mimiczne zmarszczki wokół jego roześmianych oczu oraz lekko krzywy uśmiech. Zastanawiała się, jak daleko byłaby skłonna się posunąć, byleby tylko uchronić karierę i przyszłość takiego człowieka.

Nie cofnęłabym się przed niczym, doszła do wniosku, ruszając w stronę przystanku metra.

Padało, gdy tego samego wieczoru przybyła o ósmej do domu St. Jamesa na Cheyne Row, w Chelsea. W brązowej poświacie ulicznych latarni śnieżynki przywodziły na myśl szybujące w powietrzu płatki bursztynu ścielące się na chodniku, na samochodach oraz na ozdobnych żelaznych balustradach balkonów i parkanach.

Opad był niewielki w porównaniu do zimowych zamieci, na tyle duży jednak, by utrudnić ruch uliczny na sąsiedniej Embankment. Hałas przejeżdżających pojazdów był dzisiaj stłumiony, a rozlegający się od czasu do czasu klakson, naciśnięty przez jakiegoś zniecierpliwionego kierowcę, wyjaśniał

przyczynę tego zjawiska.

Barbarze otworzył drzwi Joseph Cotter, człowiek, który w życiu St. Jamesa odgrywał dość niezwykłą rolę - lokaja i teścia. Przypuszczała, że ma nie więcej niż pięćdziesiąt lat. Był łysiejącym, niskim i mocno zbudowanym mężczyzną, fizycznie zupełnie niepodobnym do swojej smukłej córki. Nic zatem dziwnego, że przez długi czas Barbara nie podejrzewała, iż on i Deborah St. James są ze sobą spokrewnieni.

Nióśł właśnie zastawę do kawy na srebrnej tacy, uważając przy tym, żeby nie nadepnąć zabiegających o jego uwagę i płaczących mu się pod nogami dwóch zwierzątek - długowłosego jamnika i tłustego szarego kota. Wyolbrzymione cienie całej trójki odbijały się na wyłożonej ciemną boazerią ścianie.

- Brzoskwinia! Alaska! Z drogi! - zawołał, zanim odwróci! do Barbary swoją rumianą twarz. Ulubieńcy cofnęli się o dwa metry. - Proszę, niech panienka wejdzie.

St. James jest w swoim gabinecie. - Obrzucił Barbarę krytycznym spojrzeniem. -

Czy nie jest pani głodna, młoda damo? Tych dwoje dopiero co skończyło posiłek.

Pozwoli pani. że przyniosę jakąś przekąskę, zgoda?

- Dziękuję, panie Cotter. Chętnie bym coś zjadła. Od rana nie miałam nic w ustach.

Mężczyzna pokręcił głową,

- Ach, wy, policjanci - wyrazi! oględnie, aczkolwiek wymownie swoją dezaprobatę.

- Proszę chwilę zaczekać. Zaraz przygotuję dla pani coś smacznego.

Zapuka! do drzwi u podestu schodów i, nie czekając na odpowiedź, otworzył je na oścież. Barbara weszła za nim do gabinetu St. Jamesa - pomieszczenia zabudowanego sięgającymi sufitu bibliotecznymi półkami, wypełnionego niezliczonymi fotografiami oraz różnymi pomocami naukowymi i przyrządami, i zarazem najprzystulniejszego miejsca w całym domu przy Cheyne Row.

Palilo się w kominku, a mieszanina zapachu skóry i brandy tworzyła miły aromat, nieobcy atmosferze męskich klubów. St. James siedział na krześle przy palenisku, opierając nogę z protezą na zniszczonej otomanie. Naprzeciwko niego wcisnęła się w kątek kanapy lady Helen Clyde. Siedzieli w milczeniu, niczym stare małżeństwo albo przyjaciele, którzy są ze sobą tak blisko, że aby się porozumieć, nie potrzebują pomostu konwersacji.

- Przybyła pani sierżant, panie St. James - oświadczył Cotter, wnosząc kawę. Postawił zastawę na niskim stoliku przed kominkiem. Płomienie rzucały blask na porcelanę i migotały, odbijając się w srebrnej tacy niczym płynne złoto. -

Od rana jeszcze nic nie jadła. Jeśli obsłużycie się sami, to pójdę od razu przygotować jakiś posiłek.

- Sądzę, że poradzimy sobie i nie narobimy panu przy tym wielkiego wstydu, Cotter.

Czy znalazłby się jeszcze kawałek ciasta czekoladowego dla lady Helen? Ma na nie wielką ochotę, ale przecież pan ją zna. Jest zbyt dobrze wychowana, aby poprosić o dodatkową porcję.

- On jak zwykle kłamie - oświadczyła lady Helen. - Sam ma na nie ochotę, wie jednak, że będzie pan przeciwny jego obżarstwu.

Cotter obrzucił ich wzrokiem, nie dając się zwieść wymianie zdań.

- Dwa kawałki ciasta - oświadczył znacząco. - A także posiłek dla pani sierżant. -

Strzepnął rękaw swojej czarnej marynarki i opuścił pokój.

- Wygląda pani na zmordowaną - zwrócił się St. James do Barbary po wyjściu Cottera.

- To samo można o nas powiedzieć zauważyła lady Helen. - Napije się pani kawy, Barbaro?

- Poproszę o co najmniej dziesięć filiżanek. - Policjantka zdjęła płaszcz i wełnianą czapkę, rzuciła wszystko na kanapę i podeszła do kominka, by rozgrzać zdrętwiałe palce. - Pada śnieg.

Lady Helen wzruszyła ramionami.

- Po ubiegłym weekendzie są to ostatnie dwa słowa, jakie chciałabym usłyszeć. -

Podawała St. Jamesowi filiżankę i naląła kawę do dwóch następnych. - Mam nadzieję, że dzisiejszy dzień okazał się dla pani bardziej owocny niż dla mnie, Barbaro. Po pięciu godzinach spędzonych nad badaniem przeszłości Geoffreya Rintoula poczułam się tak, jak gdybym była członkiem kolegium watykańskiego, wstawiającym się za kandydatem przewidzianym do kanonizacji. - Uśmiechnęła się do St. Jamesa. - Czy zdołasz jeszcze raz tego wszystkiego wysłuchać?

- Marzę o tym - odparł. To mi pozwoli zastanowić się nad własną haniebną przeszłością i obudzić w sobie należyte poczucie winy.

- A powinieneś to zrobić, przyznaję. - Lady Helen znów usadowiła się na kanapie i odrzuciła do tyłu kilka falujących kosmyków, które opadły jej na twarz. Zsunęła z nóg pantofle i podwinęła pod siebie nogi, popijając kawę małymi łykami. Barbara zauważyła, że pomimo zmęczenia jest pełna wdzięku. Jej zachowanie cechowała duża pewność siebie i ogromna swoboda. Obecność tej kobiety zawsze przypominała Barbarze o własnej niezdarności i nieatrakcyjności. Zastanawiała się, jak żona St. Jamesa z pogodą ducha znosi fakt, że jej mąż i lady Helen pracują razem przez trzy dni każdego tygodnia w jego laboratorium kryminalistycznym na ostatnim piętrze ich domu.

Lady Helen sięgnęła po torebkę i wyjęła z niej maty czarny notes.

- Po kilku godzinach spędzonych nad opracowaniami Debretta, Burke'a i almanachem angielskiej szlachty, nie wspominając już o czterdziestopięciminutowej telefonicznej rozmowie z moim ojcem, który wie wszystko o każdym, kto kiedykolwiek miał jakiś tytuł, zdołałam ustalić, że Geoffrey Rintoul był wybitną osobistością. Pozwoli pani, że posłużę się notatkami. -

Otworzyła notes i prędko przebiegła wzrokiem pierwszą stronę. - Urodzi! się 14

listopada 1914 roku. Jego ojcem był Francis Rintoul, czternasty hrabia Stinhurst, a matką Astrid Servers - amerykańska debiutantka, która miała czelność umrzeć w 1925 roku i zostawić na barkach męża obowiązek wychowania trojga małych dzieci.

Sądząc po osiągnięciach Geoffreya, Francis wywią- zat się ze swoich ojcowskich zadań znakomicie.

- Nigdy się ponownie nie ożenił?

- Nigdy. Prawdopodobnie nie angażował się nawet w żadne potajemne związki.

Wszystko wskazuje na to, o czym się pani zaraz przekona, że w tej rodzinie dziedziczną cechą była awersja do spraw seksu.

- Jak się ma do tego romans Geoffreya ze szwagierką?

- Faktycznie, jest w tym wyraźna sprzeczność - przyznał St. James.

- Geoffrey kształcił się w Harrow i w Cambridge - ciągnęła dalej swój wywód lady Helen. W 1936 roku zdobył tytuł magistra ekonomii jako najlepszy student na roku i dostąpił zaszczytu wygłoszenia mowy i udziału w debacie. Jednak aż do października 1942 roku nikt się nim nie zainteresował, choć prawdę mówiąc, był

zadziwiającym człowiekiem. U boku Montgomery'ego walczył w dwunastodniowej bitwie pod El-Alamejn.

- W jakim stopniu?

- Kapitana. Był członkiem załogi czołgu. Podczas najcięższych walk jego maszyna stanęła w płomieniach, trafiona i unieruchomiona przez niemiecki pocisk. Geoffrey, mimo że sam odniósł rany, wyciągnął z płonącego pojazdu dwóch swoich rannych kolegów i zawlókł ich w bezpieczne miejsce ponad półtora kilometra dalej. Dostał

za to Victoria Cross.

- Takich ludzi nie chowa się w samotnych mogiłach na odludziu -skomentowała ten fakt Barbara.

- To jeszcze nie wszystko - rzekła lady Helen. - Na własną prośbę walczył w siłach sprzymierzonych na froncie bałkańskim, pomimo poważnych obrażeń, które uzasadniałyby jego zwolnienie ze służby wojskowej do końca wojny. W obliczu potencjalnej dominacji radzieckiej Churchill próbował zachować wpływy brytyjskie w tamtym rejonie Europy i najwyraźniej Geoffrey był jednym z jego ludzi. Po powrocie do domu został zatrudniony w Whitehall i pracował dla Ministerstwa Obrony.

- To dziwne, że człowiek takiego formatu nie kandydował do parlamentu.

- Proszono go o to. Niejednokrotnie. Ale nie chciał się zgodzić.

- Nigdy się nie ożenił?

- Nie.

St. James poruszył się na krześle. Lady Helen wyciągnęła rękę, powstrzymując go.

Sama wstała i bez słowa naląła mu jeszcze jedną filiżankę kawy. Zmarszczyła brwi, widząc, że używa cukru w nadmiernej ilości, i zabrała cukiernicę, gdy po raz piąty zanurzył w niej łyżeczkę.

- Czy był homoseksualistą? - spytała Barbara.

- Jeśli nawet, to zachowywał się dyskretnie. To samo odnosi się do jego związków z kobietami, jeżeli jakieś utrzymywał. Nigdzie się nie natknęłam na żadną kompromitującą go informację.

- I nigdzie nie było ani jednej wzmianki o jego romansie z żoną lorda Stinhursta, Margueritte Rintoul?

- Absolutnie żadnej.

- Zbyt piękny wizerunek, żeby mógł być prawdziwy - zauważył St. James. - A czego pani się dowiedziała, Barbaro?

Zamierzała wyjąć z kieszeni płaszcza własny notatnik, gdy do pokoju wszedł Cotter z obiecany ciastem dla St. Jamesa i lady Helen oraz półmiskiem wędlin, serów i pieczywa dla Barbary. Stwierdziła, że dopełnieniem naprędce przygotowanego dla niej posiłku jest trzeci kawałek ciasta. Uśmiechnęła się do Cottera z wdzięcznością.

Mrugnął przyjaźnie, sprawdził zawartość dzbanka i zniknął za drzwiami. Jego kroki zadudniły na schodach w holu.

- Najpierw zjedzmy - zaproponowała lady Helen. - Obawiam się, że mając przed sobą ciasto, nie zdołam się skupić na tym, co ma nam pani do powiedzenia.

Powrócimy do rozmowy, gdy skończy pani jeść kolację.

Barbara skinęła głową, z wdzięcznością przyjmując ukryte w słowach lady Helen zrozumienie, i ochoczo zaatakowała jedzenie, po-chłaniając naraz, niczym wygłodzony jeniec wojenny, trzy plasterki wędliny oraz dwa duże trójkątne kawałki sera. W końcu, gdy miała przed sobą już tylko ciasto i filiżankę kawy, wyjęła notes.

- Po kilku godzinach wertowania gazet w czytelnicy publicznej dowiedziałam się tylko, że śmierć Geoffreya była całkiem przypadkowa. Świadczą o tym zamieszczone w prasie materiały z dochodzenia. Wieczorem w dniu poprzedzającym jego śmierć, a także podczas godzin nocnych 1 stycznia 1963 roku w Westerbrae szalała zamieć.

- To bardzo prawdopodobne, zważywszy na pogodę podczas zeszłego weekendu - zauważyła lady Helen.

- Według oficera prowadzącego dochodzenie w tej sprawie, inspektora Glencalviego, odcinek drogi, na którym zdarzył się wypadek, był całkowicie oblodzony. Mężczyzna stracił panowanie nad pojazdem, który się przewrócił na bok, a następnie kilka razy przeokoziółkował.

- Rintoul nie wypadł z samochodu?

- Nie. Ale miał skręcony kark, a jego ciało było spalone. Lady Helen spojrzała pytająco na St. Jamesa.

- To chyba nie oznacza, że.,.

W dzisiejszych czasach zamiana ciał nie wchodzi w rachubę, Helen - oświadczył. -

Na pewno zwłoki zostały zidentyfikowane na podstawie karty dentystycznej denata i zdjęć rentgenowskich. Czy był jakiś świadek wypadku, Barbaro?

- Najbliżej miejsca katastrofy mieszkał właściciel farmy Hillview. Usłyszał huk i pierwszy przybył

na miejsce wypadku.

- Kto to taki?

- Hugh Kilbride, ojciec Gowana.

Przez chwilę milczeli, rozważając tę informację. Ogień trzasnął i wystrzelił w górę, gdy płomienie napotkały stwardniałą kroplę żywicy.

- Wciąż się zastanawiam, co Gowan miał na myśli, gdy wypowiadał słowa: „Nie widziałem...” Najpierw oczywiście sądziłam, że odnoszą się do śmierci Joy. Ale może dotyczyły czego innego? Na przykład przekazanej mu przez ojca informacji -

jakiegoś sekretu?

- Nie można tego wykluczyć.

- Jest coś jeszcze. - I Barbara opowiedziała im o swoich poszukiwaniach w gabinecie Joy i o braku jakichkolwiek materiałów związanych ze sztuką, którą kobieta pisała dla lorda Stinhursta.

Wiadomość ta zaintrygowała St. Jamesa.

- Czy były jakieś ślady włamania?

- Nie zauważyłam żadnych.

- Czy ktoś miał klucz do jej domu? - spytała lady Helen i zaraz dodała: - Coś się tutaj nie zgadza, prawda? Wszyscy zainteresowani sztuką przebywali w Westerbrae. W

jaki więc sposób dom pisarki został... chyba że ktoś zdążył wrócić do Londynu i wynieść wszystkie materiały z jej gabinetu przed naszym przybyciem. To jednak nie wydaje się prawdopodobne, prawda? Ani w ogóle możliwe. Poza tym kto mógł mieć klucz?

- Sądzę, że Ireneę. Robert Gabriel. A nawet... - Barbara się zawahała.

- Rhys? - spytała lady Helen.

Barbara poczuła się nieswojo. Ton, jakim Helen wypowiedziała nazwisko reżysera, mógł być interpretowany na tysiąc różnych sposobów.

- Niewykluczone. Numer jego telefonu figuruje w wykazie z urzędu telekomunikacji. Rozmowy z nim były przeplecione połączeniami z Porthill Green.

Lojalność wobec Lynleya powstrzymała Barbarę przed powiedzeniem czegoś więcej. Lodowa tafla, po której się poruszała, była dostatecznie krucha bez dostarczania lady Helen dodatkowych informacji, które ta mogłaby nieumyślnie lub celowo przekazać komuś innemu.

Lady Helen nie dopytywała się jednak o nic więcej.

- A Tommy sądzi, że w Porthill Green znajdzie motyw zbrodni Rhysa. To oczywiste. Szuka motywu. Sam się do tego przede mną przyznał.

- Żadna z tych wskazówek nie zbliża nas do poznania sztuki Joy, nieprawdaż? - Si.

James spojrzał na Barbarę. - Czy słowo „wasal” coś pani mówi?

Zmarszczyła brwi. Kojarzy mi się z feudalizmem i z lennem. A powinno znaczyć coś więcej?

- Jest w jakiś sposób powiązane z całą sprawą - oznajmiła lady Helen. - Jako jedyne z całej sztuki utkwilo mi w pamięci.

- Z jakiego powodu?

- Ponieważ wszystkim wydało się pozbawione sensu - z wyjątkiem członków rodziny Rintoulów. Zareagowali gwałtownie, kiedy jeden z bohaterów oświadczył, że nie zamierza stać się kolejnym wasalem. Było niczym znany im kod, który tylko oni potrafili odczytać.

- I co dalej? - westchnęła Barbara.

Ani St. James, ani lady Helen nie umieli jej na to pytanie odpowiedzieć. Na kilka minut wszyscy pograżyli się w rozmyślności. Ciszę przerwał dopiero odgłos otwieranych drzwi frontowych i mile brzmiące kobiece wołanie;

- Tato! Wróciłam. Zmarłam na kość i umieram z głodu. Zjem cokolwiek, nawet nerkówkę. Sam widzisz, jak bliska jestem śmierci głodowej. - Oświadczeniu temu zawtórował cichy śmiech.

Z górnego piętra dobiegł surowy głos Cottera:

- Twój mąż zjadł wszystko co do kęska, kochanie. To cię nauczy, aby nie zostawiać na tyle godzin biednego człowieka zdanego wyłącznie na siebie.

- Simon? Tak prędko wrócił? - W holu rozległy się pośpieszne kroki, drzwi otworzyły się gwałtownie i Deborah St. James powiedziała radośnie:

- Kochanie, nie uprzedziłeś mnie... - przerwała w pół słowa na widok kobiet. Jej wzrok zatrzymał się na mężu. Zdjęła kremowy beret, spod którego spłynęła na plecy lawina miedzianych włosów. Miała na sobie strój, jaki zwykła wkładać do pracy -

szary wełniany płaszcz w kolorze kości słoniowej, a pod nim szary kostium.

Przyniosła ze sobą ogromną metalową walizkę na kamerę, którą postawiła w pobliżu drzwi. - Filmowałam ślub - wyjaśniła. - Razem z przyjęciem weselnym.

Bałam się, że już nigdy nie zdołam się stamtąd wyrwać. Tak szybko wróciliście ze Szkocji? Co się

stało?

Twarz St. Jamesa rozjaśniła się w uśmiechu. Wyciągnął rękę do żony. Pośpiesznie do niego podeszła.

- Wiem dokładnie, dlaczego się z tobą ożeniłem, Deborah - oznajmił, całując ją czule i wplątując dłoń w jej włosy. - Chodziło mi o fotografię!

- Tak? A ja zawsze sądziłam, że zrobiłeś to, ponieważ zupełnie oszalałeś na punkcie moich perfum - odbiła piłeczkę.

- W żadnym wypadku. - Podniósł się z krzesła i podszedł do swojego biurka.

Pogrzebał w dużej szufladzie, wyjął książkę telefoniczną i szybko ją otworzył.

- Co robisz? - zdziwiła się lady Helen.

- Deborah udzieliła właśnie odpowiedzi na pytanie Barbary: „I co dalej?” Zajmiemy się zdjęciami.- Sięgnął po telefon. - A jeżeli jakieś istnieją, Jeremy Yinney jest jedyną osobą, która może je zdobyć.

11

Porthill Green było miasteczkiem, które wyrastało z torfowej ziemi Bagien Wschodnioangielskich niczym jakaś nienaturalna wypukłość. Leżało niemal w samym środku trójkąta utworzonego przez miasta okręgu Cambridgeshire i Suffolk Brandon, Mildenhall i Ely - a jego zasięg terytorialny ograniczał się do zbiegu trzech wąskich szlaków komunikacyjnych. Wiły się pośród pól buraków cukrowych, poprzecinanych kanałami o mostach nie przekraczających szerokości jednego pasa jezdni. W tutejszym krajobrazie dominował kolor szary, brązowy i zielony - od ponurego zimowego nieba poprzez ilaste grunty, nieregularnie pocętkowane skrawkami śniegu, po bujnie porastającą obrzeża dróg roślinność.

Miasteczko niewiele miało do zaoferowania. Przy głównej ulicy stało dziewięć budynków z surowego kamienia, cztery inne były otynkowane i podparte stemplami, których niestaranna konstrukcja groziła zawaleniem. Czarne jak smoła i odrapane szyldy informowały, że są to miejsca działalności gospodarczej. Stacja benzynowa, której pompy sprawiały wrażenie, że składają się wyłącznie ze szkła i skorodowanego metalu, trzymała samotnie straż na rogatkach. Na końcu głównej ulicy rosła trawa, od której miasteczko wzięło nazwę. Trawę pokrywała przyzma brudnego śniegu.

Lynley zaparkował samochód przy pasie zieleni, dokładnie naprzeciw pubu

„Winiarska Orka”. Lokal nie różnił się niczym od innych chyłących się ku upadkowi budynków. Inspektor przyglądał mu się przez chwilę, a sierżant Havers w tym czasie zapięła płaszcz pod samą szyję i sięgnęła po swoją torbę oraz notatnik.

Lynley zauważył, że dawna nazwa pubu ograniczała się do jednego słowa: „Orka”.

Po obu jej stronach były kiedyś umieszczone napisy: „Wina” i „Piwa”. Jednakże ostatni dawno

odpadł, pozostawiając

na ścianie ciemną plamę z wciąż czytelnymi kształtami liter. Zamiast powiesić nowy szyld lub odmalować budynek, ktoś przerobił pierwsze słowo. W ten sposób nazwa lokalu została zmieniona, niewątpliwie dla zabawy.

- To identycznie taka sama miejscowość, sierzancie - oświadczył inspektor, gdy pobieżnie zlustrował teren przez przednią szybę. Gdyby nie bury kundel, który obwąchiwał krzywo przycięty żywopłot, okolica sprawiałaby wrażenie całkowicie opustoszałej.

- Jak która, sir?

Jak ta na szkicu w gabinecie Joy Sinclair. Stacja benzynowa, sklep warzywny. A także przychodnia tuż za kościołem. Najwidoczniej pisarka dosyć długo tutaj przebywała, skoro tak dobrze zaznajomiła się z planem miasteczka. Jestem pewien, że ktoś musiał ją zapamiętać. Niech pani odwiedzi domy przy głównej ulicy, a ja w tym czasie zamienię słowo z Johnem Darrowem.

Havers sięgnęła do klamki przy drzwiach i westchnęła z rezygnacją.

Zawsze muszę się nadreptać - oświadczyła gderliwie.

- Świetna gimnastyka dla odświeżenia umysłu po wczorajszym wieczorze.

Spojrzała na niego tępym wzrokiem.

- Po wczorajszym wieczorze? Co pan ma na myśli?

- Kolację, film. W towarzystwie znajomego z supermarketu.

- Ach, o to panu chodzi - powiedziała, wierząc się niespokojnie na fotelu. - Nic godnego zapamiętania, proszę mi wierzyć. - Wysiadła z samochodu, wpuszczając do środka falę powietrza, w którym mieszała się woń morza, zdechłych ryb i gnijących odpadków. Podeszła do pierwszego z rzędu domów i zniknęła za pokrytymi czarną patyną drzwiami.

Jazda z Londynu trwała niespełna dwie godziny i pora była jeszcze wczesna. Lynley nic zdziwił się więc, gdy po przejściu na drugą stronę ulicy stwierdził, że drzwi do pubu są zamknięte. Cofnął się spod budynku i zadarł do góry głowę, spoglądając w kierunku, jak przypuszczał, mieszkania na piętrze. Ale nic nie wypatrzył. Miękkie zasłony okazały się skuteczną przeszkodą dla wścibskich oczu. W zasięgu wzroku nie było żadnego człowieka, samochodu ani motocykla świadczącego o tym, że dom aktualnie posiada jakiegoś właściciela. Ale gdy inspektor zajrzał przez brudną szybę do lokalu, dostrzegł w szparze pomiędzy żaluzjami, powstałej w miejscu brakującej listewki, światło na końcu sali, w przejściu prowadzącym do piwnicznych schodów.

Wrócił do drzwi i głośno zapukał. Po chwili usłyszał odgłos zbliżających się ciężkich kroków.

- Lokal zamknięty - dobiegł go donośny, męski głos.

- Pan Darrow? -Tak.

- Czy mógłby mnie pan wpuścić?

- W jakiej sprawie?

- Scotland Yard, Urząd do Spraw Kryminalnych. Informacja ta odniosła skutek, choć niewielki. Drzwi zostały odryglowane i uchyliły się na dwadzieścia centymetrów.

- Tutaj jest wszystko w porządku. - Oczy o kształcie i rozmiarach włoskich orzechów - brązowe o brzydkim, żółtawym odcieniu - zatrzymały się na legitymacji służbowej, którą Lynley trzyma! w ręce.

- Czy mogę wejść do środka?

Darrow nie podniósł wzroku, gdy zastanawiał się nad spełnieniem prośby funkcjonariusza.

- Nie przyszedł pan z powodu Teddy'ego, prawda?

- Pańskiego syna? Ależ nie, ta sprawa nie ma z nim nic wspólnego. Mężczyzna, najwyraźniej usatysfakcjonowany, szerzej uchylił

drzwi, cofnął się i wpuścił inspektora. Lokal był równie niepozorny jak miasteczko, które obsługiwał. Jediną dekorację z tyłu i powyżej baru o twardym, plastikowym blacie stanowiły różnorodne napisy identyfikujące gatunki sprzedawanych alkoholi.

Umeblowanie było bardzo skromne sześć stolików otoczonych krzesłami oraz biegnąca pod frontowymi oknami ławka wyściełana spłowiałymi od słońca po-duszkami. Ich czerwona niegdyś barwa przybrała teraz rdzaworóżowy odcień, a liczne ciemne plamy tworzyły na nich deseń. W powietrzu wisiał duszący zapach, powstały z dymu papierosowego i nie dopalonych polan w osmolonym kominku, a także na skutek nieotwierania okien, zapewne w obawie przed zimmem.

Darrow zajął miejsce za barem, być może z zamiarem potraktowania Lynleya jako klienta, pomimo jego służbowej misji i zbyt wczesnej pory. Inspektor przyjął

narzuconą sobie rolę, choć oznaczało to rozmowę w pozycji stojącej, a on wolałby przeprowadzić przesłuchanie przy jednym ze stolików.

Ocecił wiek groźnie wyglądającego mężczyzny na czterdzieści pięć lat. Karczmarz sprawiał wrażenie człowieka popędliwego, który z trudem opanowuje ataki furii.

Był zbudowany jak bokser - miał krępą sylwetkę z długimi, potężnymi kończynami, muskularną klatkę piersiową

oraz niezwykle małe, ładnie uformowane i płasko przylegające do głowy uszy. Jego wygodne ubranie świadczyło o tym, że ten człowiek w okamgnieniu potrafi przeobrazić się z szynkarza w uczestnika bójki. Nosił wełnianą koszulę, której podwinięte rękawy odsłaniały owłosione ręce, i luźne spodnie, zapewniające swobodę ruchów. Sądząc po wyglądzie Darrowa, Lynley nie przypuszczał, aby w

„Winiarskiej Orce" zdarzały się pijackie burdy - chyba że wywołane przez samego właściciela.

Inspektor miał w kieszeni obwolutę książki „Śmierć w ciemnościach", zabraną z gabinetu Joy Sinclair. Wyjął ją teraz i rozłożył tak, aby była widoczna fotografia uśmiechniętej autorki.

- Zna pan tę kobietę? - spytał.

Dostrzegł w oczach Darrowa nieomylny błysk rozpoznania.

- Znam ją. I co z tego?

- Trzy dni temu została zamordowana.

- Trzy dni temu byłem tutaj - oświadczył Darrow zdecydowanym tonem. - Sobota jest dla mnie najruchliwszym dniem tygodnia. Każdy obywatel tego miasteczka może to potwierdzić.

Nie takiej reakcji Lynley oczekiwał. Spodziewał się zaskoczenia, zmieszania albo zachowania pełnego rezerwy, ale na pewno nie natychmiastowego zaparcia się winy. Postawa mężczyzna była co najmniej zastanawiająca.

- Przyjechała tutaj, żeby się z panem spotkać oświadczył inspektor. -1

dziesięciokrotnie telefonowała do tego pubu w ciągu ostatniego miesiąca.

- I co z tego?

- Spodziewam się, że pan mi to wyjaśni.

Opanowane brzmienie głosu Lynleya najwyraźniej zbiło karczmarza z tropu. Fakt, że jego bojowa postawa i jawna demonstracja niechęci do współpracy nie wywarła najmniejszego wrażenia na londyńskim policjancie, w sposób widoczny wprowadził go w zakłopotanie.

- Nie miałem z nią nic wspólnego. Chciała napisać tę przeklętą książkę.

- O Hannah?

Mocno zaciśnięta szczęka Darrowa spowodowała napięcie każdego mięśnia na jego twarzy.

- Tak, o Hannah. - Podszedł do odwróconej do góry dnem butelki whisky Black Label i podstawił szklanekę pod kurek. Stojąc tyłem do inspektora, wychylił alkohol

- niejednym haustem, lecz trzema powolnymi łykami,

- Napije się pan? - spytał, ponownie nalewając sobie trunku.

- Nie, dziękuję.

Mężczyzna skinął głową i znowu opróżnił szklanekę.

- Zjawiała się znikąd - rzekł. - Przywiozła ze sobą wycinki prasowe o swoich publikacjach, chwaliła się otrzymanymi za nie nagrodami...

i sam nie wiem, czym jeszcze. Wyraziła się jasno, że oczekuje ode mnie informacji o Hannah i że powinienem być wdzięczny za jej uwagę. Otóż nie byłem. Nie zamierzałem jeszcze raz przeżywać tego piekła. Ani narażać na nie Teddy'ego.

Dzieciak wystarczająco wiele wycierpiał. Samobójcza śmierć jego matki dostarczała miejscowym damom tematu do plotek, gdy miał zaledwie dziesięć lat.

Nie chciałem ich znowu rozniecać ani dopuścić do grzebania się w przeszłości. To zakłóciłoby spokój chłopca.

- Czy Hannah była pańską żoną? -Tak.

- W jaki sposób Joy Sinclair się o tym dowiedziała?

- Twierdziła, że dopiero po dziewięciu czy dziesięciu miesiącach zapoznawania się z historiami samobójstw w poszukiwaniu jakiegoś interesującego przypadku natknęła się na materiały dotyczące Hannah. Oświadczyła, że przykuły jej uwagę. -

Głos mężczyzny zabarwił się goryczą. - Czy może pan to sobie wyobrazić? Przykuły jej uwagę. Han nie była dla niej osobą, lecz kawałkiem mięsa. Powiedziałem jej, żeby stąd spieprzała. Dokładnie takich użyłem słów.

- Dziesięć połączeń telefonicznych sugeruje, że była raczej nieustępliwa.

Darrow prychnął.

- Na próżno się trudziła, Teddy był zbyt mały, żeby wiedzieć, co się stało. Nie mogła więc z nim o tym porozmawiać. A ode mnie nie zdołała niczego wyciągnąć.

- Czy mam rozumieć, że książka nie mogła powstać bez pańskiej współpracy?

- Właśnie.

- Czy Joy Sinclair była sama, gdy przyjeżdżała spotkać się z panem?

-Tak.

- Nikt jej nie towarzyszył ani nie czekał na nią w samochodzie? Oczy Darrowa zmrużyły się podejrzliwie. Mężczyzna rzucił wzrokiem w stronę okna i znów spojrzął na inspektora.

- Co pan ma na myśli?

Lynley nie dopatrzył się w swoim pytaniu niczego niezrozumiałego. Zastanawiał

się, czy mężczyzna chce zyskać na czasie.

- Czy przyjeżdżała tutaj z kimś?

- Zawsze była sama.

- Pańska żona targnęła się na swoje życie w 1973 roku, prawda? Czy Joy Sinclair napomknęła kiedyś, dlaczego zainteresowało ją samobójstwo, które zostało popełnione tak dawno?

Twarz Darrowa pociemniała. Wykrzywił z odrazą usta.

- Spodobało jej się krzesło, inspektorze. Miała czelność mi o tym powiedzieć.

Zachwycił ją ten cholerny mebel.

- Krzesło?

- Tak. Han zgubiła but, gdy przewróciła kopnięciem krzesło. Pobudziło to wyobraźnię pisarki. Nazwała to... ostrą sceną. - Ponownie podszedł do butelki whisky.

- Proszę mi wybaczyć, ale fakt, że ktoś zamordował tę dziwkę, szczególnie mnie nie poruszył.

St. James i jego żona pracowali na ostatnim piętrze swego domu przy Cheyne Row -

Simon w swoim laboratorium kryminalistycznym, a Deborah w przyległej do niego ciemni. Drzwi pomiędzy ich pokojami były otwarte. St. James oderwał wzrok od raportu, który sporządzał dla zespołu obrońców w nadchodzącym procesie, i oddał się przyjemności obserwowania żony. Marszczyła czoło, pochylając się nad kolekcją zdjęć. Za ucho miała wetknięty ołówek, a wpięte we włosy grzebienie powstrzymywały bujne, kręcone kosmyki przed opadaniem na twarz. Światło błyszczało nad głową Deborah niczym aureola. Reszta postaci ginęła w mroku.

- Beznadzieja mruknęła, bazgrząc coś pośpiesznie na odwrocie zdjęcia, a inne wrzucając do stojącego u jej nóg kosza. - Cholerne światło... Dobry Boże, Deborah, gdzie się uczyłaś podstawowych elementów kompozycji!... Och, Jezu, ta odbitka jest jeszcze gorsza!

St. James się roześmiał. Deborah podniosła wzrok.

- Przepraszam, przeszkodziłam ci?

- Zawsze mi przeszkadzasz. Obawiam się, że zanadto mnie rozpraszasz. Zwłaszcza kiedy ponad dobę przebywam z dala od ciebie.

Lekkie kolory zabarwiły jej policzki.

- No cóż, cieszę się, że po roku małżeństwa pozostała w nas odrobina romantyzmu.

Ja... głuptas ze mnie, prawda? Ale nie mogę uwierzyć, że tylko przez jedną noc byłeś w Szkocji.

Tęskniłam za tobą, Simonie. Nie mam zamiaru już nigdy więcej kłaść się bez ciebie do łóżka. -

Zarumieniła się jeszcze bardziej, gdy St. James zsunął się ze swojego wysokiego stołka, przeszedł przez pokój i dołączył do niej w półmroku ciemni.

- Nie, kochanie... naprawdę nie miałam na myśli... Simonie, w ten sposób nigdy nie uporamy się z naszą robotą - protestowała nieszczerze, gdy wziął ją w ramiona.

St. James zaśmiał się cicho.

- Są ważniejsze rzeczy do zrobienia - orzekł i pocałował żonę. Znacznie później mruknął z zadowoleniem: - O Boże, tak. Te sprawy miały absolutny priorytet.

Na głos Cottera odskoczyli od siebie jak winowajcy. Tupał, wchodząc po schodach, i mówił kilka razy głośniejszym głosem niż zwykle.

- Oboje są na górze - grzmiał tubalnie. - Deb wywołuje zdjęcia, jak sądzę, a pan St.

James pracuje nad jakimś raportem w swoim laboratorium. To tylko piętro wyżej.

Nie trzeba się wysoko wspinać. Za moment będziemy na miejscu.

Ostatnie zdanie zostało wypowiedziane szczególnie donośnie. Deborah skwitowała je śmiechem.

- Nigdy nie wiem, czy powinnam czuć się przerażona czy rozbawiona zachowaniem mojego ojca - szepnęła. - W jaki sposób udaje mu się zawsze przejrzyć nasze zamiary?

- Wystarczy, że widzi, w jaki sposób na ciebie patrzę. Wierz mi, twój ojciec dokładnie wie, jakie myśli snują mi się po głowie. - St. James wrócił do laboratorium i w chwili gdy w drzwiach zjawił się Cotter, prowadząc ze sobą Vinneya, sumiennie pisał swój raport.

Trochę wysoko, prawda? - zauważył uprzejmie Cotter i rozejrzał się ukradkiem, czy nie przyłapał córki i jej męża *in flagranti*.

Vinney nie okazał zdziwienia z powodu przesadnie donośnego głosu, jakim Cotter obwieszczał ich przybycie. Wystąpił naprzód, trzymając w dłoni papierową teczkę.

Jego nalana twarz nie zdradzała żadnych oznak zmęczenia, a na brodzie widoczna była cienka linia, pozostała po niestarannym ogoleniu zarostu. Mężczyzna dotychczas nie zdjął płaszcza.

- Sądzę, że zdobyłem to, czego państwo potrzebowali - oznajmił. Cotter przed odejściem obrzucił córkę groźnym spojrzeniem

i uśmiechnął się figlarnie.

- A może nawet więcej - ciągnął Vinney. - Kolega, który opisywał przebieg śledztwa w sprawie tragicznej śmierci Geoffreya Rintoula

w 1963 roku, jest obecnie jednym z szefów naszego wydawnictwa. Poszperaliśmy w archiwach dzisiaj rano i natknęliśmy się na trzy zdjęcia oraz plik starych notatek. Są niezbyt czytelne, gdyż zostały sporządzone ołówkiem, ale, być może, zdołamy się czegoś z nich dowiedzieć. - Skierował badawcze spojrzenie na St. Jamesa. - Czy to Stinhurst zabił Joy? W tym kierunku pan zmierza, prawda?

Pytanie było logicznym wnioskiem, jaki mógł się nasunąć po ostatnich wydarzeniach, a Vinney jako dziennikarz miał prawo je zadać. St. James dobrze jednak wiedział, co się za tym kryje. Vinney odegrał potrójną rolę w dramacie, do którego doszło w Westerbrae - dziennikarza, przyjaciela ofiary i podejrzanego w jednej osobie. Dzięki zapewnieniu, że policja całkowicie zwalnia go z podejrzeń i kieruje je na inną osobę, znalazłby się na uprzywilejowanych pozycjach. A czy był

lepszy kandydat, wobec którego mógłby zademonstrować pełną gotowość do dziennikarskiej współpracy, niż St. James, znany jako przyjaciel Lynleya?

- Zaintrygował nas tylko pewien niezwykle fakt związany ze śmiercią Geoffreya Rintoula, nic więcej - odpowiedział Simon ostrożnie.

Wymijające wyjaśnienie rozczarowało Vinneya, lecz pilnował się, żeby tego nie okazać.

- Ach tak, rozumiem. - Zdjął płaszcz, a St. James przedstawił dziennikarza swojej żonie. Vinney położył papierową teczkę na laboratoryjnym stole i wyjął jej zawartość - plik papierów oraz trzy postrzępione zdjęcia. Gdy znów się odezwał, jego głos zabrzmiał rzeczowo i profesjonalnie: - Notatki ze śledztwa są prawie kompletne. Zważywszy na wielkie zasługi Geoffreya Rintoula, nasz człowiek upatrywał w tej sprawie szansy na zrobienie kariery dziennikarskiej, dlatego starał się nie pominąć żadnego szczegółu. Myślę, że może pan polegać na jego dokładności.

Raport był sporządzony na żółtym papierze, co dodatkowo utrudniało odczytanie spłowiałych ołówkowych zapisków.

- Jest tu wzmianka o jakiejś kłótni - zauważył St. James, przerzucając kartki.

Vinney przyciągnął do stolika laboratoryjny taboret.

- Rodzina szczerze zeznawała podczas śledztwa. Starszy pan Stinhurst, Francis Rintoul, ojciec obecnego lorda, przyznał, że pokłócił się z Geoffreyem przed jego wyjazdem w sylwestra.

- Pokłócił się? Z jakiego powodu? - St. James zagłębił się w dokumentach, pragnąc znaleźć szczegóły, które Vinney wyjawiał.

- Prawdopodobnie sprzeczka ta, wywołana działaniem alkoholu, dotyczyła faktów z odległej przeszłości rodziny.

Informacja niemal pokrywała się z tym, co Lynley powtórzył St. Jamesowi po swojej rozmowie z obecnym lordem. St. James nie mógł jednak uwierzyć, żeby starszy pan Rintoul roztrząsał przed sędzią śledczym historię trójkąta miłosnego swoich dwóch synów. Lojalność wobec rodziny wykluczała tę ewentualność.

- Czy podał jakieś przyczyny?

- Tak - przytaknął Vinney, wskazując zapiski pośrodku jednej z kartek. - Wszystko wskazuje na to, że Geoffreyowi pilno było wracać do Londynu i postanowił

wyjechać pomimo śnieżycy. Jego ojciec oświadczył, iż jest przeciwny podróży. Z

powodu fatalnej pogody. A także dlatego, że przez ostatnie pół roku prawie wcale nie widywał syna. Pragnął zatrzymać go przy sobie jak najdłużej. W tamtym okresie nie najlepiej układały się stosunki między nimi i starszy pan liczył na to, że noworoczne spotkanie pozwoli zniwelować dzielące ich różnice zdań.

- Co było powodem kłótni?

- Przypuszczam, że Francis Rintoul ostro zaatakował Geoffreya za to, że się nie żeni.

Sądzę, że chciał, aby syn poczuwał się do zapewnienia ciągłości rodu. W każdym razie ta sprawa była zarzewiem konfliktu w ich wzajemnych stosunkach. - Vinney zajrzał do notatek, zanim podjął dalsze wyjaśnienia. Zachowywał się skromnie, jak gdyby dobrze rozumiał potrzebę zachowania bezstronności podczas roztrząsania problemów rodziny Rintoulów. - Odnoszę wrażenie, że starszy pan przywykł, aby stawiać na swoim. Kiedy Geoffrey postanowił wrócić do Londynu, ojciec straci!

panowanie nad sobą i doszło pomiędzy nimi do kłótni.

- Czy wiadomo, dlaczego Geoffreyowi zależało na powrocie do stolicy? Czy chodziło o jakąś kobietę, której ojciec nie akceptował? A może o związek z mężczyzną, który chciał ukryć?

Z niezrozumiałego powodu Vinney przez długą chwilę się namy[^]ślał, jak gdyby słowa St. Jamesa kryły w sobie jakieś dodatkowe znaczenie. Odchrząknął!

Nie ma na ten temat żadnej informacji. Nie pojawił się nikt, kto by twierdził, że utrzymywał z nim nielegalne stosunki. Niech pan pomyśli o wszystkich brukowcach. Gdyby Geoffrey miał kogoś na boku, związana z nim osoba -

mężczyzna czy kobieta - prawdopodobnie sprzedałaby po jego śmierci historię o ich romansie za duże pieniądze.

Wszyscy wiedzą, że takie rzeczy zdarzały się na początku lat sześćdziesiątych, a prostytutki pełniły niemal funkcje ministrów w rządzie. Zna pan opowieść Christine Keeler o Johnie Profumo. To był dla torysów ogłuszający cios. Gdyby ktoś związany z Geffreym Rintoulem potrzebował pieniędzy, wystarczyłoby, żeby poszedł w ślady Keeler,

- Odnoszę wrażenie, że usiłuje pan coś zasugerować, nie mylę się, prawda? - spytał

St. James w zadumie. - Niewykluczone, że jest w tym nawet więcej, niż podejrzewamy. John Profumo był sekretarzem stanu podczas wojny. Geoffrey Rintoul pracował w Ministerstwie Obrony.

Dochodzenie po jego tragicznej śmierci miało miejsce w styczniu, a więc w tym samym miesiącu, kiedy w prasie zawrzało po odkryciu stosunków Profumo z Keeler. Czyżby pomiędzy tymi dwójkiem a Rintoulem istniał jakiś związek, którego my nie zdołaliśmy dostrzec?

Vinney zdawał się delectować użytym w liczbie mnogiej zaimkiem.

- Też chciałbym to wiedzieć. Ale jeśli jakaś prostytutka była w zażyłych stosunkach z Rintoulem, to czy trzymałaby język za zębami, skoro gazety chętnie zapłaciłyby jej fortunę za pikantną historię z prywatnego życia członka rządu?

- Może osoba, z którą Geoffrey utrzymywał potajemne stosunki, wcale nie była osobą lekkich obyczajów. I nie potrzebowała pieniędzy, a ujawnienie ich związku nie przyniosłoby jej korzyści.

- Sądzi pan, że to jakaś zamężna kobieta?

Ponownie wrócili do wersji opowiedzianej przez obecnego lorda Stinhursta o jego bracie i żonie. St. James naciska! dalej:

- Co mówili inni?

- Wszyscy potwierdzili zeznanie starszego pana Rintoula o kłótni. A także o tym, że Geoffrey wypadł z domu wściekły i o wypadku na krętej drodze w górzystym terenie. Jednakże jest jedna dość zagadkowa sprawa. Ciało było niemal całkowicie spalone. Aby dokonać formalnej identyfikacji, musiano je wysłać do Londynu na prześwietlenie i sprawdzić kartę dentystyczną. Lekarz Geoffreya, sir Andrew Higgins, osobiście zawiózł zwłoki. I był obecny przy ich badaniu razem z lekarzem medycyny sądowej ze Strathclyde.

- Procedura dość niezwykła, lecz prawdopodobna.

- Nie to miałem na myśli Vinney pokręci! głową. - Sir Andrew był przyjacielem ojca Geoffreya jeszcze z czasów szkolnych. Razem się uczyli w Harrow i Cambridge.

Należeli do tego samego klubu w Londynie. Lekarz zmarł w 1970 roku.

Informacja ta skłoniła St. Jamesa do wysnucia własnych wniosków. Sir Andrew mógł ukryć niewygodne fakty i wyjawiać tylko to, co uznał za stosowne. St.

Jamesowi najbardziej istotny wydał się jednak okres, w jakim omawiane zdarzenia miały miejsce - styczeń 1963 roku. Sam nie wiedział dlaczego. Sięgnął po fotografie.

Pierwsza przedstawiała grupę na ciemno ubranych osób tuż przed zajęciem miejsc w stojących rzędem limuzynach. St. James rozpoznał większość zebranych -

Francescę Gerrard uwieszoną na ramieniu mężczyzny w średnim wieku, prawdopodobnie jej męża Phillipa, a także Stuarta i Marguerite Rintoul pochylających się nad dwójkiem oszołomionych dzieci - zapewne Elizabeth oraz jej starszym bratem Alekiem. Za nimi, na stopniach budynku, stało kilku rozmawiających ze sobą mężczyzn. Ich twarze były zamazane. Druga fotografia została zrobiona na

miejscu wypadku - widać było wyraźnie zrytą i spaloną nawierzchnię ziemi. St. James zatrzymał wzrok na farmerze w roboczym ubraniu z owczarkiem collie. To Hugh Kilbride, ojciec Gowana, pierwszy człowiek na miejscu tragedii, odgadł. Na ostatniej z odbitek zostały uwiecznione osoby opuszczające jakiś budynek - prawdopodobnie gmach, w którym było prowadzone śledztwo. I tym razem St. James rozpoznał członków rodziny Rintoulów oraz mieszkańców Westerbrae. Ale dojrzał też kilka nieznanymi twarzy.

- Czy wie pan, kim są ci ludzie?

- To jest sir Andrew Higgins, a to poprzedni lord Stinhurst - wyjaśniał Vinney, wskazując kolejno wymieniane osoby. - Obok niego stoi prawnik rodziny. A innych pan zna, jak sądzę.

- Z wyjątkiem tego człowieka - oświadczył St. James. - Kto to taki? - Mężczyzna ów stał tuż za plecami ówczesnego lorda Stinhursta, po jego prawej ręce, i mówił coś do Stuarta Rintoula, pochylając się nieco ku niemu. Ten słuchał go z marsmem na czole i w roztargnieniu dotykał brody.

- Nie mam pojęcia - oświadczył Vinney. - Może to wiedzieć dziennikarz, który robił

notatki. Nie pomyślałem, żeby go o to spytać. Czy mam mu zanieść zdjęcie, żeby zidentyfikował tę osobę?

St. James zastanawiał się przez chwilę.

- Być może - powiedział powoli. - Deborah, czy mogłabyś rzucić okiem na te fotografie? - Kobieta dołączyła do nich i spojrzała ponad ramieniem męża na leżące na stole odbitki. St. James dał jej chwilę na zapoznanie się z nimi, a potem spytał:

- Czy możesz zrobić powiększenie ostatniego zdjęcia? Chodzi mi o oddzielne fotografie poszczególnych osób, a przede wszystkim ich twarzy.

Skinęła potakująco głową,

- Oczywiście uzyskam ziarnisty i nie najlepszej jakości obraz, ale postacie będą rozpoznawalne. Czy mam od razu się do tego zabrać?

- Bardzo cię o to proszę. - St. James spojrzał na Vinneya. - Wkrótce się przekonamy, co obecny lord Stinhurst będzie miał do powiedzenia na ten temat.

Dochodzenie w sprawie samobójstwa Hannah Darrow prowadziła policja w Mildenhall. Raymond Plater, ówczesny oficer śledczy, zajmował obecnie stanowisko szefa policji w mieście. Należał do tych ludzi, którzy przyzwyczajają się do posiadanego autorytetu jak do odzieży, co w miarę upływu czasu staje się coraz wygodniejsza. Nie był więc zachwycony, gdy oficerowie Scotland Yardu wetknęli w jego drzwi nosy, aby porozmawiać o sprawie, która została zamknięta przed piętnastoma laty.

- Dokładnie pamiętam ten przypadek - oświadczył, wprowadzając Lynieya i Havers do swojego gabinetu. Poprawił beżowe rolety z miną dumnego właściciela, a następnie sięgnął po telefon i

wykręcił trzycyfrowy numer.

- Tu Plater, Czy może mi pan przynieść akta dotyczące Hannah Darrow.

D-a-r-r-o-w. Prawdopodobnie z 1973 roku... Tak, to zamknięta sprawa. - Obrócił się na fotelu w stronę stolika i rzucił przez ramię; - Napijcie się kawy?

Gdy oboje zaakceptowali propozycję. Plater uruchomił okazały ekspres i po chwili podał im kubki parującego płynu oraz mleko i cukier. Jak na energicznego i gwałtownego z wyglądu człowieka, sam delektował się kawą z godnym podziwu znanstwem.

Mocna linia żuchwy i jasne skandynawskie oczy nadawały jego twarzy nieprzejednany wyraz. Swoją aparycją przywodził na myśl dzikich i wojowniczych wikingów, z których zapewne się wywodził.

- Nie jest pan pierwszą osobą, która pyta o tę nieszczęsną Darrow - oznajmił, rozpierając się wygodnie w fotelu.

- Uprzedziła nas pisarka, Joy Sinclair - rzekł Lyntey, a gdy Plater gwałtownie podniósł głowę, dodał pośpiesznie: - Została zamordowana podczas ostatniego weekendu w Szkocji.

Komisarz poruszył się w fotelu, co świadczyło o jego zainteresowaniu.

- Czy te dwie sprawy są ze sobą powiązane?

- Na razie to tylko moje przeczucie. Czy Joy Sinclair była u pana sama?

- Tak. Zachowywała się natarczywie. Przybyła nie zapowiedziana, a ponieważ nie należała do sił policyjnych, musiała chwilę zaczekać. - Plater się uśmiechnął. -

Około dwóch godzin, o ile dobrze pamiętam. Ale siedziała cierpliwie w holu, więc ją przyjąłem. Było to... na początku zeszłego miesiąca.

- Czego chciała?

- Przede wszystkim porozmawiać. I sprawdzić, co wiemy o tej samobójczyni.

Zwykle nikomu nie udostępniamy dokumentów, ale ona miała dwa listy polecające -

jeden od szefa policji w Walii, z którym razem pracowała nad książką, a drugi od szefa policji śledczej gdzieś z południa kraju. Chyba z Devon. Poza tym, o ile sobie przypominam, posiadała imponujące referencje. Nie pominęła żadnej sposobności przekonania mnie, że zasługuje na godzinną pogawędkę.

Grzeczne pukanie do drzwi obwieściło przybycie młodego konsta-bla, który wręczył swojemu pryncypałowi grubą papierową teczkę i zaraz się wycofał. Pater otworzył ją i wyjął plik policyjnych fotografii.

Była to standardowa, sporządzona przez ekipę śledczą dokumentacja.

Czarno-białe odbitki obrazowały śmierć z ponurą dbałością o szczegóły, łącznie z przedstawieniem wydłużonego cienia, jaki rzucało na ścianę wiszące ciało Hannah Darrow. Poza tym niewiele pozostawało do oglądania. Pomieszczenie z belkowanym sufitem, podłogą z szerokich, sękatych desek i ścianami z nie ociosanego drewna było niemal puste. Okna składały się z czterech kwater. Pod ciałem leżało zwyczajne krzesło z wyplatany siedzeniem, a o jego oparciu zaczepił

się pantofel. Kobieta użyła zamiast sznura ciemnego szalika, który był przywiązany do haka tkwiącego w belce sufitowej. Wisiała z pochyloną do przodu głową. Długie blond włosy tworzyły zasłonę, która skrywała najbardziej zatrważające szczegóły twarzy samobójczyni.

Lynley obejrzał po kolei wszystkie zdjęcia i poczuł ukłucie niepewności. Wręczył je Havers i nie spuszczał z niej oka, gdy przeglądała fotografie. Policjantka oddała je jednak bez słowa Platerowi.

- Gdzie wykonano zdjęcia? - spytał go inspektor.

- Kobieta została znaleziona we młynie nieopodal Mildenhall Fen, jakieś półtora kilometra za miasteczkiem.

- Czy młyn wciąż tam stoi?

Plater zaprzeczył ruchem głowy.

- Niestety, nie. Trzy, może cztery lata temu uległ zniszczeniu. Ale proszę mi wierzyć, niewiele było tam do oglądania. - W jego głosie pojawiła się nuta czujności. - Joy Sinclair również chciała go zobaczyć.

- I była tam? - spytał w zadumie Lynley. To życzenie wydało mu się dość osobliwe.

Zastanawia! się również nad słowami Johna Dar-rowa, że pisarka dopiero po dziesięciu miesiącach poszukiwań natknęła się na przypadek, który ją zainteresował.

- Czy jest pan pewien, że to było samobójstwo? - spyta! Platera.

Ten w odpowiedzi zaczął wertować akta. Wydobył z nich pojedynczą kartkę papieru. Była rozdarta w kilku miejscach i nosiła ślady licznych zagięć, jak gdyby została zmięta, a potem rozprostowana i włożona pomiędzy inne papiery. Lynley obrzucił wzrokiem kilka słów skreślonych dużym, dzieciennym pismem o zaokrąglonych literach i z małymi kółkami w miejscach kropek: *Muszę iść, czas na mnie... To drzewo już uschło, a mimo to razem z innymi chwieje się na wietrze. I wydaje mi się, że ja też, nawet jeśli umrę, będę jednak dalej z żywymi*

- tak czy inaczej. Żegnaj... *

~ Ta notatka brzmi dość jednoznacznie - skomentował Plater.

- Gdzie została znaleziona?

- Na stole kuchennym w domu denatki. Tuż obok leżało pióro, inspektorze.

- Kto się na nią natknął?

- Jej mąż. Najwidoczniej tamtego wieczoru miała mu pomagać w pubie. Gdy się nie zjawiła, poszedł na górę, do mieszkania. Zobaczył list, wpadł w panikę i wybiegił z domu. Nie zdołał jednak znaleźć żony, Wróci! więc, zamknął lokal i zwołał

mężczyzn, żeby pomogli mu w poszukiwaniach. Odkryli jej ciało we młynie. -

Plater znów zajrzał do akt. - Tuż po północy.

- Kto pierwszy wszedł do młyna?

- John Darrow. Razem z dwoma mieszkańcami miasteczka, z którymi nie był

szczególnie zaprzyjaźniony - dodał pośpiesznie, widząc, że Lynley zamierza mu przerwać. Uśmiechnął się uprzejmie. - Przypuszczam, że pomyślał pan to samo, co my w pierwszej chwili, inspektorze. Że Darrow zwabił żonę do młyna, powiesił ją i sam sfabrykował list.

* Cytaty z „Trzech sióstr” Antoniego Czechowa w przekładzie Natalii Gałczyńskiej.

Sprawdziliśmy to. Notatka jest autentyczna. Potwierdzili to nasi grafolodzy. Ć

choć na kartce znajdowały się odciski palców zarówno Hannah, jak i jej męża, łatwo uzasadnić ich pochodzenie. Darrow chwycił z kuchennego stołu list, który żona dla niego zostawiła - zachowanie w pełni zrozumiałe w tych okolicznościach.

Poza tym tamtego wieczoru Hannah Darrow obciążyła się balastem, aby mieć pewność, że skutecznie wykona to, co zaplanowała. Miała na sobie dwa wełniane płaszcze i dwa grube swetry. Nie sądził pan chyba, że mąż namówił ją do ubrania się w ten sposób na wieczorną przechadzkę?

Agincourt Theatre był wtłoczony pomiędzy dwa gmachy o znacznie bardziej imponującym wyglądzie; stał przy wąskiej uliczce odchodzącej od Shaftsbury Avenue. Po lewej stronie sąsiedował z hotelem „Royal Standard”, przed którym stał

portier w liberii i mierzył groźnym spojrzeniem zarówno przechodniów, jak i przejeżdżające pojazdy, a po prawej z Muzeum Historii Teatru, którego wystawa wypełniona była olśniewającymi kostiumami, zbrojami i rekwizytami z epoki elżbietańskiej. Teatr, ściśnięty niczym śledź w beczce, wydawał się zaniedbany i pilnie wymagający odnowienia. Wrażenie to jednak pryskało w chwili przejścia przez drzwi.

Lady Helen weszła do środka niemal w samo południe i oniemiała ze zdumienia.

Gdy była tutaj ostatnio, teatr należał do innego właściciela. Choć dawne ponure, wiktoriańskie wnętrza posiadało pewien dickensowski urok, to obecnie, po renowacji dokonanej przez lorda Slinhursta, jego widok wprost zapierał dech w piersiach. Oczywiście lady Helen czytała w gazetach

o wprowadzanych zmianach, ale nie była przygotowana na tak ogromną metamorfozę. Stinhurst dał wolną rękę architektom, którzy byli przeciwni wszelkim ograniczeniom przestrzennym i całkowicie otworzyli wnętrze budynku, zyskując światło i przestrzeń wznoszących się wysoko trzech kondygnacji balkonów. Efekt potęgowało użycie kolorów kontrastujących z pokrytymi sadzą zewnętrznymi ścianami. Podziwiając zamysł

twórczy wykonawców renowacji, którzy zmienili teatr nie do poznania, lady Helen zapomniała na moment o zdenerwowaniu przed czekającym ją spotkaniem.

Prawie do północy omawiali je w szczegółach z sierżant Havers i ze St. Jamesem.

Przeanalizowali wspólnie niemal każdy aspekt wizyty w Agincourt Theatre.

Ponieważ Havers nie była w stanie dostać się do gmachu bez wiedzy Lynleya, zadanie nakłonienia sekretarki Stinhursta do wynurzeń na temat telefonicznych połączeń jej szefa w dniu znalezienia ciała Joy Sinclair musiało spocząć na lady Helen albo na St. Jamesie.

Po trwającej do późnych godzin nocnych dyskusji doszli do zgodnego wniosku, że lady Helen jest z nich dwojga odpowiedniejszą osobą i ma większe szanse na zdobycie zaufania kobiety. O północy brzmiało to bardzo sensownie, a nawet pochlebnie - teraz jednak, gdy zaledwie kroki dzieliły ją od biur Agincourt i nieświadomej niczego sekretarki Stinhursta, lady Helen była dość niespokojna.

- Helen? Przyszłaś, aby wziąć udział w najnowszej burdzie?

Rhys Davies-Jones z kubkiem w dłoni stał w drzwiach prowadzących na widownię.

Helen uśmiechnęła się i razem z nim podeszła do baru, gdzie, bulgocząc, parzyła się kawa o intensywnym zapachu cykorii.

- Najgorsza kawa na świecie - oznajmił reżyser. - Z czasem można ją jednak polubić.

Masz ochotę się napić?- Gdy podziękowała, napełnił swój kubek. Płyn był ciemny i przywodził na myśl zużyty olej samochodowy.

- Co to za burda? O co tym razem poszło? - spytała.

- Chyba słowo „burda” nie jest najwłaściwszym określeniem - przyznał. - Sytuacja przypomina raczej polityczne manewry naszych zazdrosnych gwiazdorów w celu zdobycia czołowych ról w nowym scenicznym przedsięwzięciu Stinhursta. Jedyne problem polega na tym, że nie zapadła jeszcze decyzja co do wyboru dramatu.

Możesz więc sobie wyobrazić toczącą się od dwóch godzin walkę podjazdową o przeforsowanie własnych koncepcji.

- Nowe przedsięwzięcie sceniczne? - zdziwiła się lady Helen. - Nie chcesz powiedzieć chyba, że po tym, co spotkało Joy i Gowana, lord Stinhurst zamierza wystawić sztukę?

- Nie ma wyboru, Helen. Wszyscy jesteśmy z nim związani kontraktem, a teatr musi zostać otwarty za niespełna osiem tygodni. W przeciwnym razie Stinhurst straci wszystkie zainwestowane w Agincourt pieniądze. Nie twierdzę, że jest z tego powodu szczęśliwy. A sytuacja stanie się dla niego znacznie gorsza, gdy zostanie przyparty do muru przez prasę o to, co się stało z Joy. Nie przypuszczam, aby środki przekazu nie rzuciły się na tę historię. - Lekko dotknął spoczywającej na ladzie baru dłoni lady Helen. - Z tego powodu tutaj jesteś, prawda?

Nie sądziła, że go spotka, i dlatego nie miała w zanadrzu żadnego wyjaśnienia, które uzasadniałoby jej obecność w teatrze. Zaskoczona

pytaniem, użyła pierwszej wymówki, jaka się jej nasunęła na myśl. Ani przez chwilę nie zastawiała się nad tym, dlaczego go okłamuje.

- Niezupełnie. Byłam w pobliżu i pomyślałam, że pewnie cię tu zastanę. Zajrzałam więc, żeby się z tobą zobaczyć.

Zatrzymał nieruchome spojrzenie na jej oczach. Odczytała w jego wzroku, jak śmiesznie zabrzmiała jej odpowiedź. Nie należał do mężczyzn, którzy potrzebują dla podbudowania własnego ego kobiecych pochlebstw. A ona nie była kobietą skłoną do ich wygłaszania. I Rhys doskonale o tym wiedział.

- Ach tak. Rozumiem. - Przez chwilę przyglądał się z uwagą swojej kawie i przekładał kubek z ręki do ręki. Kiedy odezwał się znowu, mówił już innym tonem -

lekkim i naturalnym. - Chodźmy zatem na widownię. Co prawda, na razie nie ma nic do oglądania, gdyż nie zabraliśmy się jeszcze do pracy. A na dodatek wciąż wisi w powietrzu awantura. Joanna przez całe rano zadręczała Davida Sydehama nie kończącymi się pretensjami, a Gabriel usiłował w tym czasie dolać oliwy do ognia.

Naraził się niemal wszystkim obecnym, a najbardziej Ireneę. Spotkanie w każdej chwili może przerodzić się w bójkę, ale obfituje również w akcenty humorystyczne.

Przyłączysz się do nas?

Po wymówce, jakiej użyła, nie wypadało odmówić. Weszła na pogrążoną w mroku salę i zajęła miejsce w ostatnim rzędzie. Rhys uśmiechnął się do niej uprzejmie i ruszył w stronę jasno oświetlonej sceny oraz zgromadzonych wokół okrągłego stołu osób. Dobiegały stamtąd podniesione głosy, świadczące o ożywionej dyskusji.

- Rhys! - zawołała za nim. Zobaczymy się dzisiaj wieczorem? - spytała, gdy odwrócił się do niej.

Działała impulsywnie, po części powodowana skruchą, po części pożądaniem. Nie potrafiła powiedzieć, który z tych powodów był ważniejszy i bardziej naglący.

Wiedziała tylko, że nie może się z nim dzisiaj rozstać w kłamstwie.

- Przykro mi, ale to niemożliwe, Helen. Mam naradę ze Stuartem... z lordem Stinhurstem w sprawie

nowej sztuki.

- Ach tak, oczywiście. Nie pomyślałam o tym. Może innym razem...

- Jutro, zgoda? Pójdziemy razem na kolację, jeśli będziesz wolna. I, naturalnie, jeśli nadal będziesz miała na to ochotę.

- Bardzo mi zależy na spotkaniu z tobą. Naprawdę.

Stał w cieniu. Nie zdołała dostrzec jego twarzy. Słyszała tylko słowa i brzmiącą w nich czułość. Ton głosu Rhysa zdradzał, jak wiele kosztuje go to, co zdecydował się jej wyznać:

- Obudziłem się dzisiaj rano absolutnie przekonany o tym, że cię kocham, Helen. 1

to bardzo. Nie mogę jedynie pojąć, dlaczego żaden fakt w moim życiu nie wydał mi się dotychczas równie zatrważający.

- Rhys...

- Nie. Proszę. Powiesz mi o tym jutro. - Odwrócił się i odszedł zdecydowanym krokiem wzdłuż przejścia pomiędzy rzędami, wbiegł po stopniach i dołączył do innych.

Lady Helen zmuszała się, aby zatrzymać wzrok na scenie, ale jej myśli błądziły gdzie indziej. Uparcie wracały do problemu lojalności. Przypadkowe spotkanie stało się sprawdzianem jej przywiązania do Rhysa i stwierdziła bez wahania, że próba zakończyła się wynikiem negatywnym. Zastanawiała się, czy fakt ten oznacza najgorsze - to znaczy czy ona w głębi duszy nie ma aby wątpliwości, co Rhys naprawdę robił tamtej nocy w Westerbrae, w czasie gdy ona spała. Refleksja ta miała niszczycielską moc. Lady Helen poczuła dla siebie pogardę.

Zerwała się z miejsca i wróciła do drzwi wyjściowych. Postanowiła w rozmowie z sekretarką Stinhursta zrezygnować z wymyślonej historii i powiedzieć jej prawdę.

Uznała, że uczciwa postawa będzie w tym przypadku roztropniejszym rozwiązaniem.

- Chodzi o krzesło, Havers - chyba piąty raz z rzędu powtórzy! Lynley.

Na dworze panował coraz przenikliwszy ziąb. Lodowate powiewy wichru znad The Wash, których nie powstrzymywały nawet zalesione tereny ani wzgórza, smagały posępne równiny. Lynley ponownie skręcił w stronę Porthill Green, a sierżant Havers po raz trzeci skończyła uważnie przeglądać fotografie wykonane na miejscu samobójstwa, po czym umieściła je pośród wypożyczonych przez Platera akt Darrowa.

Dziwiła się w duchu. O ile zdołała stwierdzić, koncepcja Lynleya bazowała na bardzo niepewnych fundamentach.

- Nie rozumiem, jak na podstawie zdjęcia krzesła mógł pan wyciągnąć wniosek o przełomowym znaczeniu.

- Proszę jeszcze raz przestudiować fotografię. Gdyby kobieta sama się powiesiła, czy zdołałaby przewrócić krzesło na bok? Nie byłaby w stanie tego zrobić. Mogła wykopać je spod siebie, nawet jeśli stało obrócone bokiem. Ale i w tym wypadku wylądowałoby na oparciu, a nie na boku. Krzesło znalazłoby się w tej pozycji jedynie wtedy, gdyby noga Hannah Darrow zaplątała się pomiędzy szczeble tylnego oparcia.

- To mogło się zdarzyć. Kobieta zgubiła jeden pantofel - przypomniała Barbara.

- To prawda. Ale zgubiła prawy but, Havers. A na zdjęciu wyraźnie widać, że krzesło leży przewrócone na lewo od denatki.

Barbara stwierdziła, że Lynlcyowi najwyraźniej zależy na tym, żeby przekonać ją o słuszności swoich racji. Dalsze spieranie się z nim nie miało sensu. A jednak nie mogła się oprzeć potrzebie kontynuowania dyskusji.

- A zatem sugeruje pan, że Joy Sinclair podczas wertowania książki z przypadkami samobójstw natknęła się na morderstwo? Jak to się stało, że wybierając jeden przypadek spośród tak wielu, trafiła akurat na zabójstwo? Czy to nie zadziwiający zbieg okoliczności?

- Najpierw niech się pani zastanowi, z jakiego powodu pisarkę zaintrygowała śmierć Hannah Darrow. Proszę wziąć pod uwagę wszystkie niezwykle okoliczności towarzyszące samobójstwu, a zrozumie pani, dlaczego ten przypadek tak jaskrawo różnił się od innych, z którymi autorka się zatknęła. Lokalizacja - mokradła, system kanałów, okresowe powodzie, wydarty morzu ląd. Środowisko naturalne, które za-inspirowałoby każdego pisarza - od Dickensa po Dorothy Sayers. Jak Joy opisała tę okolicę na taśmie? „Rechtot żab, odgłosy pomp i jak okiem sięgnąć niziny ląd”.

Kolejną osobliwością jest miejsce tragedii - stary, porzucony młyn, a także dziwaczne ubranie, jakie ofiara miała na sobie: dwa grube płaszcze włożone na dwa wełniane swetry. I wreszcie uderzająca okoliczność, na którą Joy zwróciła uwagę, w chwili gdy obejrzała policyjne zdjęcia - pozycja krzesła.

- Skoro okoliczność ta była aż tak oczywista, to jak wyjaśni pan fakt, że Plater przeoczył ją w czasie śledztwa? Facet nie sprawia wrażenia zaściankowego funkcjonariusza.

- Zanim Plater znalazł się na miejscu tragedii, wszyscy mężczyźni z pubu szukali Hannah, przekonani, że popełniła samobójstwo. Kiedy więc ją znaleźli i zatelefonowali na policję, zameldowali, że się powiesiła. Nic w tym dziwnego, że Plater po przybyciu do młyna był przekonany, że ma przed sobą ofiarę samobójstwa.

Straci! obiektywny stosunek do sprawy, jeszcze zanim zobaczy! ciało. A na dodatek otrzymał przekonujący dowód na to, że Hannah Darrow opuściła mieszkanie z zamiarem targnięcia się na swoje życie. Mam na myśli jej list.

- Słyszał pan od Darrowa, że jest autentyczny.

- Oczywiście. To jej własne pismo, jestem tego pewien.

- Jak zatem pan wyjaśni...

- Dobry Boże, Havers, niech pani uważnie przyjrzy się temu świstkowi. Czy znajdzie pani bodaj jeden błędnie napisany wyraz? Czy brakuje chociaż jednego znaku przestankowego?

Barbara sięgnęła po kartkę i przesunęła po niej wzrokiem.

- Sądzi pan, że Hannah skopiowała ten tekst? Po co miałyby to robić? Aby nabrać wprawy w pisaniu? Dla zabicia nudy? Życie w Porthill Green z pewnością nie jest zbyt interesujące, ale nie mogę sobie wyobrazić, żeby dziewczyna z małego miasteczka zabijała czas, doskonaląc charakter pisma. A jeśli nawet tak było, nie sugeruje pan chyba, że gdy jej mąż natknął się na tę kartkę, natychmiast wpadł na pomysł, jak ją wykorzystać? Myśli pan, że zapobiegliwie gdzieś ją ukrył, czekając na odpowiedni moment? I na przykład włożył ją do szuflady w kuchennym stole?

Przypuszcza pan... że zabił swoją żonę? Jak? Kiedy? I w jaki sposób nakłonił ją do włożenia na siebie aż tylu ubrań? A nawet jeśli zdołał tego wszystkiego dokonać, nie wzbudzając przy tym niczyich podejrzeń, to co wiąże go z Westerbrae i ze śmiercią Joy Sinclair?

- Rozmowy telefoniczne - odparł Lynley. Wielokrotne połączenia z Walią i z Suffolk. Zapewne Joy Sinclair użalała się nieświadomie przed swoim kuzynem Rhysem Davies-Jonesem na Johna Darrowa, który potraktował ją tak obcesowo, i wspomniała o dojrzewających w niej podejrzaniach co do śmierci Hannah. A Davies-Jones czeka! tylko na sposobność. Zasugerował, żeby Joy zajęta pokój obok Helen, i wykończył ją przy pierwszej nadarzającej się okazji.

Barbara słuchała inspektora z niedowierzaniem. Jeszcze raz przekonała się, jak umiejętnie interpretuje wszystkie fakty, wykorzystując tylko to, co przybliżyła moment aresztowania Davies-Jonesa.

- Dlaczego miałyby to zrobić? - spytała z rozdrażnieniem. Ponieważ pomiędzy Darrowem a Davies-Jonesem istnieje jakiś

związek. Nie wiem jeszcze jaki. Może to dawna zażyłość. Może dług do spłacenia.

Albo wzajemna wiedza o sobie. Ale jakakolwiek kryje się za tym tajemnica, jesteśmy coraz bliżsi dotarcia do niej.

12

Lynley i Havers weszli do lokalu „Winiarska Orka” na kilka minut przed dwunastą w południe, tuż przed przerwą. John Darrow nie ukrywał swojego niezadowolenia z powodu ich przybycia. - Zaraz zamykamy - warknął.

Lynley nie zwracał uwagi na zachowanie mężczyzny, świadczące o niechęci do prowadzenia rozmowy. Podeszedł do baru, otworzył dokumenty i wyjął pożegnalny list Hannah Darrow. Stojąca obok niego Havers sięgnęła po notatnik. Darrow obserwował wszystkie te poczynania z wrogo zaciśniętymi ustami.

- Niech pan mi o tym opowie - polecił inspektor, podając mężczyźnie kartkę.

Karczmarz obrzucił ją pobieżnie ponurym spojrzeniem, ale się nie odezwał. Zebrał stojące rzędem na blacie kufle po piwie i zanurzał je z wściekłością w naczyniu z ciemną wodą.

- Jakiego wykształcenia miała pańska żona, panie Darrow? Ukończyła szkołę?

Studiowała na uniwersytecie? A może była samoukiem? Zamiłowaną czytelniczką na przykład?

Sądząc po nachmurzonej minie Darrowa, mężczyzna doszukiwał się w słowach inspektora pułapki. Najwidoczniej niczego się jednak nie dopatrywał, gdyż odparł

zwięźle:

- Hannah nie garnęła się do książek. Zakończyła edukację w piętnastym roku życia.

- Rozumiem, ale interesowała się zapewne przyrodą - bagiennymi terenami wschodniej Anglii, życiem roślin i innymi tego typu sprawami?

Mężczyzna odburknął pogardliwie:

- Czego pan właściwie ode mnie chce? Niech pan powie, co pana tu sprowadza, i zostawi mnie wreszcie w spokoju.

- Wspomniała w liście o drzewach. A właściwie o drzewie, które umarło, lecz wciąż kołysze się na wietrze. To bardzo poetyckie sformułowanie.

Nawet jak na wiadomość pozostawioną przez samobójczynię. Skąd naprawdę pochodzi ta notatka, Darrow? Kiedy pańska żona ją napisała? I po co? Gdzie pan tę kartkę znalazł? - Nie padła żadna odpowiedź. Karczmarz w milczeniu kontynuował

zmywanie kufli. Pobrzękiwały i chrobotwały, ocierając się o metalowy rondel.

- Tego wieczoru, kiedy umarła, opuścił pan pub. Dlaczego?

- Poszedłem jej szukać. Na piętrze, w mieszkaniu, znalazłem to. -Gwałtownym ruchem głowy wskazał list. - Leżał na stole w kuchni. Wybrałem się więc na poszukiwania.

- Dokąd się pan udał?

- Do miasteczka.

- Pukał pan od drzwi do drzwi? Zaglądał do szop? Przeszukiwał pan domy?

- Nie. Nie przypuszczałem, żeby zabita się w cudzym domu.

- Ale był pan pewien, że postanowiła targnąć się na swoje życie?

- Ta cholerna notatka nie pozostawiała żadnych wątpliwości.

- Rzeczywiście. Gdzie pan szukał żony?

- Tu i tam. Nie pamiętam dokładnie. Od tamtej pory upłynęło już piętnaście lat. Nie zwracałam wtedy na to uwagi. A teraz nie ma już o czym mówić. Czy wyraziłem się jasno? To zamknięta sprawa.

- Została kiedyś zamknięta - przyznał Lynley. - Domyślam się, że był pan z tego rad.

Aż nagle zjawiała się Joy Sinclair i zaczęła swego rodzaju ekshumację. Wygląda na to, że ktoś bardzo się tego obawiał. Dlaczego tak wiele razy do pana telefonowała, panie Darrow? Czego chciała?

Mężczyzna wyciągnął obie ręce z wody i zirytowany trzasnął nimi o blat baru.

- Już panu powiedziałem! Ta dziwka chciała rozmawiać ze mną o Hannah, aleja nie miałem na to ochoty. Nie zamierzałem dopuścić, aby grzebała się w przeszłości i babrała w naszym życiu. My już przeboleliśmy tę stratę i chcemy, aby tak pozostało.

A teraz się stąd wynoście albo mnie aresztujcie, do cholery!

Lynley się nie odezwał, patrząc spokojnie na swojego rozmówcę. Twarz mężczyzny pokryty cętki, a na jego rękach nabrzmiały żyły.

- Mamy pana zaaresztować? To dziwna sugestia, panie Darrow. Dlaczego mielibyśmy to robić, jeśli chodzi o śmierć samobójczą? Chyba że pańska żona nie pozbawiła się sama życia. Przypuszczam, że Joy Sinclair popełniła błąd, wyrażając wobec pana swoje wątpliwości w tej kwestii.

Wynoście się stąd! - ryknął Darrow. Lynley bez pośpiechu pozbierał materiały i schował je do teczki.

- Niebawem znów tu wrócimy - oświadczył uprzejmie.

Tego samego dnia około czwartej po południu towarzystwo zgromadzone w Agincourt ustaliło po siedmiogodzinnych dyskusjach, że na otwarcie teatru zostanie wystawiony jeden z dramatów Tennessee Wil-liamsa. Wybór sztuki pozostał jednak nadal tematem dyskusji.

St. James z tyłu widowni przyglądał się grupie na scenie. Stwierdził, że obszar poszukiwań został zawężony do trzech dzieł, i o ile zdoła! się zorientować, propozycje były kierowane pod adresem Joanny Ellacourt -najwidoczniej w oczekiwaniu na jej aprobatę. Zdecydowanie sprzeciwiła się „Tramwajowi zwanemu pożądaniem”. Jej niechęć wzrosła jeszcze, gdy dokonała szybkiej kalkulacji, ile czasu na scenie zyska i René Sinclair, jeśli na skutek czyjejś absurdalnej decyzji otrzyma rolę Stelli. Obsadzenie roli Blanche Dubois najwyraźniej nie budziło jej wątpliwości.

Przez cały kwadrans, podczas którego St. James był świadkiem spotkania, lord Stinhurst okazywał godną podziwu cierpliwość. Z niezwykłą wielkodusznością pozwolił wypowiedzieć się wszystkim aktorom, projektantom, reżyserowi i asystentom na temat kryzysu, w którego obliczu stoi zespół, i wyrazić przekonanie o naglącej potrzebie jak najszybszego rozpoczęcia prób. W końcu podniósł się z

miejsca, ugniatając palcami obolałe miejsce w wygięciu pleców.

- Jutro poznacie moją decyzję - oświadczył. - Zbyt długo już trwa to zebranie.

Spotkajmy się rano. O wpół do dziesiątej. Nastawcie się na pierwsze czytanie tekstu.

- Ani słowem nie napomkniesz, jakiego dokonałeś wyboru, Stuarcie? - spytała Joanna Ellacourt, przeciągając się leniwie. Odchyliła się do tyłu na krześle. W

świecie reflektorów jej opadające włosy przywodziły na myśl połyskujący złotem welon. Zajmujący miejsce obok niej Robert Gabriel czule przesunął po nich palcami.

- Niestety, to niemożliwe odparł lord Stinhurst. - Nie powziąłem jeszcze ostatecznej decyzji.

Joanna uśmiechnęła się do niego i poruszyła ramieniem, żeby strącić ze swoich włosów rękę Gabriela.

- Powiedz mi, jak mam cię przekonać do mojej ulubionej sztuki, kochanie?

Gabriel zaśmiał się niskim, gardłowym śmiechem.

- No cóż, Stuarcie, Bóg świadkiem, że nasza droga Jo celuje w umiejętności perswazji.

Przez moment nikt nie zareagował na te słowa. W pierwszej chwili nikt się nawet nie poruszył - nikt z wyjątkiem Davida Sydehama. Mężczyzna powoli podniósł

głowę znad tekstu, który przeglądał, i utkwiał wzrok w aktorze. Jego twarz miała zacięty, wrogi wyraz, lecz Gabriel najwyraźniej się tym nie przejął.

Rhys Davies-Jones rzucił swoje egzemplarze sztuk na stół.

- O Chryste, jesteś nieznośny - zwrócił aktorowi uwagę znużonym głosem.

- A już myślałam, że oboje z Rhysem nigdy nie zgodzimy się w żadnej kwestii -

dodała Joanna.

Irenę Sinclair odsunęła krzesło od stołu. Rozległ się zgrzytliwy odgłos tarcia drewnianych nóg o deski sceny.

- W porządku. Ja idę do domu - powiedziała dość miłym tonem i skierowała się do głównego przejścia pomiędzy rzędami. Kiedy mijała St. Jamesa, spostrzegł, ile trudu kosztuje ją panowanie nad własną twarzą. Nie mógł się nadziwić, jak zdołała tak długo znosić wspólne życie z Gabrielem.

Gdy inni aktorzy zaczęli się rozchodzić, zmierzając do bocznych wyjść, St. James wstał z miejsca i skierował się w stronę pierwszego rzędu. Widownia nie była duża.

Mieściła zaledwie pięćset osób. Nad otwartą i wysuniętą do przodu sceną unosiła się mgiełka papierosowego dymu. St. James wszedł po schodach na proscenium.

- Ma pan chwilę czasu, lordzie Stinhurst?

Stuart Rintoul naradzał się cicho z młodym i chudym jak tyczka mężczyzną, który marszczył brwi i ze skupioną uwagą zapisywał coś w notatniku.

- Niech pan dopilnuje, żebyście mieli wystarczającą liczbę egzemplarzy tekstu na jutrzejszą próbę - polecił na koniec. I dopiero wtedy podniósł wzrok.

- A zatem okłamał ich pan, że nie podjął jeszcze decyzji - zauważył St. James.

Stinhurst nie od razu zareagował na to stwierdzenie.

- Nie potrzebujemy już tych wszystkich świateł, Donaldzie! - zawołał najpierw i w odpowiedzi scena pogrążyła się w przepastnym mroku. Tylko stół pozostał nadal oświetlony. Stinhurst usiadł przy nim, wyjął fajkę, tytoń i położył wszystko na blacie. - Niekiedy łatwiej jest powiedzieć nieprawdę - przyznał. - Obawiam się, że z czasem każdy

producent teatralny nabiera w tym biegłości. Gdyby znalazł się pan kiedyś w centrum szarpaniny twórczych jaźni, zrozumiałby pan, co mam na myśli.

- Najwyraźniej ta grupa posiada szczególne zdolności do stwarzania konfliktowych sytuacji.

- To zrozumiale. W ciągu ostatnich trzech dni jej członkowie przeżyli prawdziwe piekło. - Stinhurst napełnił fajkę. Miał sztywno wyprostowane ramiona, co kontrastowało z malującym się na jego twarzy i brzmiącym w głosie znużeniem. -

Domyślam się, że nie przyszedł pan tutaj z towarzyską wizytą?

St. James wręczył mu plik powiększeń, jakie Deborah wykonała ze zdjęć pochodzących z akt śledztwa w sprawie śmierci Geoffreya Rintoula. Każda fotografia przedstawiała jedynie twarz i część sylwetki. Nic nie wskazywało na to, że ludzie ci należeli kiedyś do tej samej grupy. Deborah szczególnie o to zadbała.

- Czy mógłby pan ustalić tożsamość tych osób?

Stinhurst, zapominając o fajce, zajął się przeglądaniem odbitek, powoli biorąc każdą z nich do ręki. St. James dostrzegał w jego ruchach wyraźne niezdecydowanie i zastanawiał się, czy mężczyzna zgodzi się z nim współpracować. Niewątpliwie Stinhurst był w pełni świadom, że nie ma obowiązku niczego ujawniać. Niemniej zdawał się również dobrze wiedzieć, jak odmowa pomocy zostanie zinterpretowana przez inspektora kierującego dochodzeniem. Atutem St. Jamesa był pozornie oficjalny charakter wizyty oraz przekonanie Stinhursta, że składa on ją na polecenie Lynleya. Po wnikliwych oględzinach lord Stinhurst ułożył fotografie w rzędzie i, wskazując na nie po kolei, wyjaśniał:

- Mój ojciec, mąż mojej siostry, Phillip Gerrard, moja siostra Francesca, moja żona Marguerite, prawnik mojego ojca - zmarł przed kilkoma laty i w tej chwili nie mogę przypomnieć sobie jego nazwiska. A to nasz rodzinny lekarz. I wreszcie moja podobizna.

Pominał mężczyznę, na ustaleniu tożsamości którego najbardziej im zależało. St.

James wskazał palcem zdjęcie leżące obok odbitki przedstawiającej siostrę Stinhursta.

- A kim jest człowiek sfotografowany z profilu? Stuart Rintoul zmarszczył brwi.

- Nie wiem. Chyba nigdy go nie widziałem.

- To dziwne - zauważył St. James.

- Dlaczego?

- Ponieważ na oryginalnej fotce, z której zostały zrobione wszystkie powiększenia, ten mężczyzna mówi coś do pana. A pan sprawia wrażenie, że go dobrze zna.

- Może i znalazłem go w tamtym czasie. Ale od śmierci mojego brata minęło już dwadzieścia pięć lat. Nie oczekuje pan chyba ode mnie, że po upływie tak długiego czasu będę pamięta! każdą uczestniczącą w śledztwie osobę.

- To prawda - przyzna! St. James, z satysfakcją odnotowując w myślach, że ani słowem nie wspomniał swojemu rozmówcy o pochodzeniu fotografii.

Stinhurst poderwał się z miejsca.

- Czy mogę jeszcze w czymś pomóc, panie St. James? Mój dzień pracy się nie skończył. Muszę jeszcze dopilnować wielu spraw.

Nie spojrzał już więcej na odbitki, szykując się do wyjścia i zabierając ze stołu fajkę i tytoń. Nie była to naturalna reakcja. Stinhurst robi! wrażenie, że unika wzrokiem fotografii, aby jego twarz nie zdradziła więcej, niż miałyby ochotę wyjawic. Jedno jest pewne, stwierdził St. James. Lord Stinhurst niewątpliwie wie, kim jest mężczyzna na zdjęciu.

Pewien rodzaj oświetlenia nie tai ciągłego i nieuchronnego procesu starzenia się.

Światło takie jest nieubłagane, eksponuje każdą usterkę urody i odsłania nagą prawdę. Są to słoneczne promienie, ostre i fluoryzujące sufitowe żarówki w biurówcach i powódź blasku reflektorów na planie zdjęciowym podczas filmowania bez łagodzących filtrów. Bezlitośnie obnażają one wszystkie najgorsze braki.

Lampy przy toalecie w garderobie Joanny Ellacourt zdawały się również należeć do tego typu oświetlenia. Przynajmniej dzisiaj.

W pomieszczeniu panował chłód, tak jak zawsze aktorka sobie tego życzyła, aby kwiaty otrzymywane

od licznych wielbicieli przed przedstawieniem zachowały świeżość. Teraz jednak nie było tu żadnych kwiatów. W powietrzu unosił się zapach charakterystyczny dla każdej garderoby, jaką zajmowała - mieszanina aromatycznych kremów, środków ściągających i płynów stojących na stoliku.

Joanna jedynie mgliście zdawała sobie sprawę z tej woni, gdy nieruchomym wzrokiem wpatrywała się w swoje odbicie w lustrze, zmuszając oczy, aby spoczęły na każdym zwiastunie obwieszczającym nadejście wieku średniego - zarysowują-

cych się zmarszczkach od nosa do brody, delikatnej pajęczynie wokół oczu i pierwszych śladach naciągniętej skóry na szyi - preludium do starczych powrozów, których już nigdy nie będzie można się pozbyć.

Uśmiechnęła się ironicznie na myśl o tym, że zdołała się wyrwać z brudnego, pięciopokojowego rodzinnego domu w Nottingham i uciec od tego wszystkiego, co stanowiło koszmarne grzęzawisko jej życia: od widoku nie ogolonego ojca -

maszynisty na zasiłku dla bezrobotnych przesiadującego całymi dniami w ponurym nastroju przy oknie; od głosu matki utyskującej na zimno nieustannie przedostające się okiennymi szparami; od czarno-białego telewizora, którego siły głosu nie można uregulować za pomocą połamanych pokręteł; od przyszłości, jaką sobie wybrała każda z jej sióstr, będącej odtworzeniem historii małżeństwa rodziców, nie kończącego się produkowaniem dzieci w osiemnastomiesięcznych odstępach czasu; od życia pozbawionego wszelkiej nadziei i radości. Joanna wyzwoliła się z tego wszystkiego. Ale nie mogła uniknąć powolnego procesu rozkładu, który jest pisany każdemu człowiekowi.

Jak większość egocentrycznych istot, których uroda króluje na scenie, ekranie i okładkach niezliczonych magazynów, dość długo sądziła, że czas okaże się dla niej łaskawy. Prawdę mówiąc, zwykła myśleć, iż starzenie się jej nie dotyczy. Zwłaszcza że David zawsze utwierdzał ją w tym przekonaniu.

Mąż nie tylko wyswobodził ją od przygnębiającej egzystencji Nottingham, ale był

dla niej prawdziwą opoką w tym niestałym świecie, gdzie sława jest efemeryczna, a odkrycie przez krytyków nowego talentu może oznaczać ruinę kariery uznanej aktorki, która całe życie poświęciła scenie. David doskonale znał wszystkie te sprawy. I dobrze wiedział, jak ją one przerażają. Poprzez swoje stałe wsparcie i

miłość - mimo jej napadów złego humoru, ciągłych żądań i licznych flirtów

-uspokajał ją i odsuwał strach. Było tak aż do czasu wypłynięcia sztuki Joy Sinclair, kiedy to ich wzajemne stosunki uległy nieodwracalnej zmianie.

Joanna utkwiała oczy w swoim odbiciu, nie patrząc na nie, i na nowo poczuła wzbierającą złość. Już nie tę płomienną wściekłość, która tamtego wieczoru w Westerbrae ogarnęła ją z nieracjonalną i żądną zemsty intensywnością. Tamto uczucie już się wypaliło. Pozostał zaledwie żarzący się płomyk, który groził jednak ponownym wybuchem pod wpływem najmniejszego nawet rozdrażnienia.

David ją zdradził. Zmuszała się, żeby sobie o tym wciąż od nowa przypominać, aby do jej świadomości nie przedostała się przypadkiem myśl o dwudziestoleciu wspólnego pożycia. Mogłaby wtedy ulec pokusie przebaczenia mężowi. A postanowiła, że nigdy mu tego nie zapomni.

Dobrze wiedział, na co była narażona, gdy ostatnio partnerowała Robertowi Gabrielowi w „Otelii”. Zdawał sobie sprawę z tego, jak ona gardzi umizgami aktora, który miał się wszelkimi sposobami, żeby ją zdobyć - to niby nieumyślnie przesuwając dłonią po jej piersiach, to przeciągał sceniczne pocałunki przed liczną widownią, przekonaną o wiernym trzymaniu się scenariusza, to wypowiadał na osobności dwuznaczne komplementy albo szczylił się swoimi możliwościami seksualnymi.

- Choć może ci się to nie podobać, oboje z Gabrielem tworzyście na scenie niepowtarzalne wrażenie wzajemnego zauroczenia sobą - twierdził David.

Nigdy nie okazywał z tego powodu zazdrości ani niepokoju. Zawsze ją to zastanawiało. Aż do teraz,

Okłamał ją co do sztuki Joy Sinclair. Utrzymywał, że udział Roberta Gabriela w przedstawieniu to pomysł Stinhursta. Zapewniał, że nie można było pominąć tego aktora w obsadzie. Teraz poznała prawdę, choć truchlała na myśl o tym, co się za nią kryje. Wyrzucenie Gabriela oznaczało zmniejszenie dochodów ze spektakli. Było to równoznaczne z obcięciem finansowych udziałów Joanny, a tym samym udziałów jej męża. A David lubił pieniądze. Przywykł do swoich butów firmy Lobb, do swoich rolls-royce'ów, do domu przy Regent's Park, do letniskowego domku na wsi i do garniturów z Savile Row. Cóż z tego, że żona będzie musiała przez kolejny rok toczyć walkę z Gabrielem i znosić jego uciążliwe zaloty, skoro on, David, wszystko to zatrzyma? W końcu jakoś sobie radziła z tym problemem przez ponad dziesięć lat.

Gdy otworzyły się drzwi do garderoby, Joanna nie zadała sobie trudu, żeby odwrócić głowę. Lustro zapewniało jej doskonały widok. Ale i bez patrzenia w nie wiedziała, kto wchodzi. W ciągu dwudziestu lat wspólnego życia nauczyła się rozpoznawać odgłosy związane z obecnością męża - pewne kroki, trzask zapałki w chwili zapalania papierosa, szelest odzieży w zetknięciu ze skórą, gdy się ubierał, i powolne rozluźnienie mięśni, kiedy kładł się spać. Były dla niego tak charakterystyczne, że każdy z nich potrafiła nieomylnie zidentyfikować.

Jednak teraz nie zamierzała ich analizować. Sięgnęła po szczotkę do włosów, odsunęła na bok kasetkę z kosmetykami i zajęła się czesaniem, licząc pociągnięcia szczotki od jednego do stu, jak gdyby każde z nich oddalało ją od sięgającego dawnych czasów wspólnego życia z Davidem Sydehamem.

Nie odezwał się, wchodząc do pokoju. Jak zwykle podszedł do kanapy, ale tym razem na niej nie usiadł. Nic nie mówił, dopóki nie skończyła czesać włosów.

Odłożyła szczotkę na stolik, odwróciła się w jego stronę i z obojętnym wyrazem twarzy zmierzyła go wzrokiem.

- Przypuszczam, że może zdołam łatwiej zasnąć, jeśli się dowiem, dlaczego to zrobiłaś - powiedział.

Lady Helen przybyła do domu St. Jamesa tego samego dnia tuż przed szóstą wieczorem. Była

zniechęcona i przygnębiona. Nawet taca z jęczmiennymi placuszkami, śmietanką, herbatą i kanapkami w gabinecie gospodarza nie zdołała jej rozchmurzyć.

- Zdaje mi się, że dobrze by ci zrobił kieliszek sherry - zauważył St. James, gdy zdjęła płaszcz i rękawiczki.

Lady Helen zaczęła grzebać w swojej torebce w poszukiwaniu notesu.

- Istotnie, właśnie tego mi potrzeba przyznała z ciężkim sercem.

- Nie dopisało ci szczęście? - spytała Deborah. Siedziała na otomanie po prawej stronie kominka, ukradkiem podając kęs placuszka Brzoskwini - małej jamniczce, która czekała cierpliwie u stóp swojej pani i od czasu do czasu delikatnie badała różowym językiem smak jej kostki. Szary kocur, imieniem Alaska, leżał zwinięty w kłębek na stosie dokumentów St. Jamesa na samym środku biurka. Nie poruszył się w chwili wejścia lady Helen, choć w jego zamkniętych dotąd ślepiach pojawiła się szparka.

- Nie o to chodzi - odparła lady Helen, przyjmując z wdzięcznością przyniesiony przez St. Jamesa kieliszek z alkoholem. Zdobyłam informacje, których potrzebowaliśmy. Chodzi jednak o to...

- ...że nie na wiele się zdadzą Rhysowi - domyślił się St. James. Posłała mu uśmiech, zdając sobie sprawę z tego, że jest on zaledwie

drżącym wygięciem ust. Słowa Simona dziwnie ją zabolowały. Z niespodziewaną siłą zawładnęła nią rozpacz i lady Helen uświadomiła sobie, jak wielkie wiązała nadzieje ze spotkaniem z sekretarką lorda Stinhursta. Bardzo liczyła na to, że wyjaśnienia kobiety rozwieją wszelkie podejrzenia kierowane pod adresem Rhysa.

- Rzeczywiście nie będą mu pomocne. Obawiam się, że w ogóle mogą się okazać nieprzydatne.

- Opowiedz nam o tej wizycie.

Lady Helen niewiele miała do powiedzenia. Sekretarka lorda Stinhursta dość chętnie odtworzyła z pamięci wszystkie rozmowy telefoniczne, jakie przeprowadziła na zlecenie szefa, gdy zrozumiała, jak istotną odgrywają rolę w oczyszczeniu go z zarzutów współudziału w zamordowaniu Joy Sinclair. Mówiła z lady Helen otwarcie i okazała jej dużą pomoc. Nie zawahała się nawet wyjąć notesu z zapisaną wiadomością, którą Stinhurst polecił jej przekazać każdemu z wybranych abonentów. Informacja była dość jasna: „Na skutek wypadku zostałem zatrzymany w Szkocji. Skontaktuję się natychmiast po powrocie”.

Tylko jedna rozmowa różniła się od pozostałych. I choć wydawała się dość dziwna, nie wyglądało na to, żeby jej celem miało być zatuszowanie własnej winy: „Jestem zmuszony po raz drugi w tym miesiącu niepokoić pana na skutek wypłynięcia dawnych faktów. Ogromnie mi przykro z tego powodu. Proszę zatelefonować do mnie do Westerbrae, jeśli nie sprawi to panu kłopotu”.

- "Wypłynięcie dawnych faktów"? - powtórzył St. James. - Dość osobliwy dobór słów. Jesteś pewna, że się nie przestyszałaś, Helen?

- Całkowicie. Sekretarka Stinhursta zanotowała to zdanie.

~ Może chodzi o jakieś sprawy teatralne - zasugerowała Deborah. Siedzący obok niej St. James poprawił się niezręcznie na krześle. Przeniosła się na otomanę, żeby mógł swobodnie ułożyć nogę.

- Kto otrzymał tę ostatnią wiadomość, Helen? Zajrzała do notatek.

- Sir Kenneth Willingate.

- Przyjaciel? Kolega?

- Tego nie wiem. - Lady Helen się zawahała, obmyślając sposób na wzbudzenie zainteresowania St. Jamesa ostatnią informacją. Wiedziała, jak mało istotny może mu się wydać szczegół, z którym ona wiązała tak duże nadzieje, licząc na to, że poprowadzi ich w nowym kierunku i odwróci uwagę od Rhysa. - Prawdopodobnie chwytam się jak tonący brzytwy, ale zastanowił mnie jeden fakt związany z ostatnim połączeniem - wyznała szczerze. - Celem wszystkich pozostałych było odwołanie spotkań, które Stinhurst zaplanował na najbliższych kilka dni. Sekretarka odczytała nazwiska umówionych osób z notatnika, gdzie zapisywała jego rozkład zajęć.

Ostatni telefon do Willingate'a nie miał jednak nic wspólnego z tym harmonogramem. Nazwisko mężczyzny w ogóle nie figurowało w notesie. Stinhurst albo umówił się z nim bez powiadamiania o tym swojej sekretarki...

- ...albo przekazana Willingate'owi wiadomość wcale nie dotyczyła spotkania -

dokończyła za nią Deborah.

- Istnieją dwa sposoby, abyśmy się mogli o tym przekonać - zauważył St. James. -

Albo zmusimy Stinhursta do wyjawienia nam tej informacji, albo samodzielnie wytropimy Willingate'a. Obawiam się jednak, że bez zaangażowania w tę sprawę Tommy'ego nie zdołamy posunąć się ani o krok dalej. Sadzę, że nie pozostaje nam nic innego, jak podzielić się z nim naszą skąpą wiedzą i pozwolić, aby poszedł tym tropem.

- Dobrze wiesz, że Tommy zlekceważył tę wskazówkę - zaprotestowała lady Helen.

- Szuka dowodów potwierdzających winę Rhy-sa. Będzie się dokopywał jedynie do tych faktów, które pozwolą mu go aresztować. Nic innego się teraz dla niego nie liczy! Czy ostatni weekend nie był dla ciebie wystarczającym na to dowodem? Poza tym, jeśli wprowadzisz go w tę sprawę, z pewnością odkryje, że Barbara na własną rękę prowadziła dochodzenie... z naszą pomocą, Simonie. Nie możesz jej tego zrobić.

St. James westchnął.

- Nie zdołasz ochronić ich obojga, Helen. Będziesz musiała zdecydować, czy zaryzykujesz rzucenie na pożarcie Tommy'emu Barbary Havers, czy poświęcisz Rhysa.

- Nie zamierzam poświęcać żadnego z nich. Pokręci! głową.

- Rozumiem, co czujesz, ale obawiam się, że staniesz przed koniecznością dokonania wyboru.

Barbara Havers wyczuła napięcie, gdy tylko Cotter wprowadził ją do salonu.

Panująca w pokoju atmosfera była wyjątkowo ciężka i na-elektryzowana. Nagła cisza, przerywana pośpiesznymi formułkami powitalnymi, zdradzała zakłopotanie trzech obecnych w salonie osób.

- O co chodzi? - spytała sierżant.

Musiała przyznać, że nie można odmówić im szczerości reakcji.

- Simon uważa, że bez Tommy "ego nie zdołamy się posunąć dalej. - I lady Helen opowiedziała Barbarze o osobliwej wiadomości, przekazanej telefonicznie przez Stinhursta sir Kennethowi Willingate'owi.

- Nie jesteśmy upoważnieni, żeby wścibiać nosy w prywatne sprawy tych ludzi, Barbaro - dodał St. James, gdy lady Helen zakończyła swoją relację. - Poza tym, dobrze pani wie, że nie mają obowiązku z nami rozmawiać. Albo Tommy podejmie ten wątek, albo znajdziemy się w ślepych zaułku.

Barbara zamyśliła się nad tym. Była pewna, że Lynley nie zwróci się przeciwko przedstawicielowi swojej własnej klasy. To byłoby dla niego zbyt trudne. Wiedziała też, że inspektor analizowanie wiadomości telefonicznej o niezrozumiałej treści, przekazanej jakiemuś nieznanemu londyńczykowi o nazwisku WilHngate, uzna za stratę czasu. Tym bardziej, pomyślała zrezygnowana, że osobą, która ją przesłała, był lord Stinhurst. St. James miał rację. Jeśli sami podążą tym tropem, znajdą się w martwym punkcie. Ale jeśli ona nie zdoła ich nakłonić, żeby kontynuowali dochodzenie bez Lynleya, Stinhurst wyjdzie z tej sprawy całkiem czysty - bez jednej rysy na swojej nieposzlakowanej opinii.

Oczywiście zdajemy sobie sprawę z tego, że jeśli Tommy odkryje pani udział w prowadzonym bez jego upoważnienia śledztwie...

- Wcale się tym nie przejmuję - rzuciła Barbara szorstkim tonem, ze zdumieniem stwierdzając, że powiedziała szczerą prawdę.

- Może pani zostać zawieszona w wykonywaniu obowiązków albo z powrotem skierowana do służby patrolowej. A nawet wyrzucona z pracy.

- To w tej chwili nie ma znaczenia. Spędziłam cały dzień na ściganiu widm we wschodniej Anglii, bez nadziei na to, że moje działanie przyniesie jakiś pożytek. A teraz, gdy trafiliśmy wreszcie na trop, mam zamiar nim podążać. I nie cofnę się przed tym tylko dlatego, że ktoś może kazać mi znowu włożyć mundur. Albo wyłączyć mnie z roboty. Lub zrobić cokolwiek innego. Skoro więc musimy mu o tym powiedzieć, zrobmy to. Wprowadźmy go we wszystko. - Spojrzała im prosto oczy. -

Najlepiej od razu mieć to za sobą.

Na przekór jej decyzji, inni byli pełni wątpliwości. Nie chce się pani jeszcze nad tym zastanowić? -

spytała lady Helen.

- Nie ma nad czym - odparła Barbara. Mówiła opryskliwym tonem, a następne słowa nie zabrzmiały łagodniej. - Zrozumcie mnie. Byłam świadkiem śmierci Gowana.

Wyciągnął nóż ze swoich pleców i czołgał się po posadzce pomywalni w nadziei na uzyskanie pomocy. Jego skóra wyglądała jak ugotowane mięso. Miał złamany nos i rozplątane wargi. Chcę się dowiedzieć, kto tak urządził szesnastoletniego chłopca. I jeśli przyskrzynienie mordercy ma mnie kosztować utratę pracy, to, moim zdaniem, będzie to bardzo niewysoka cena. Kto się do mnie przyłączy?

Donośne głosy na korytarzu przeszkodziły w odpowiedzi. Drzwi się otworzyły i Jeremy Vinney wepchnął się przed Cottera. Ciężko dyszał i był czerwony na twarzy.

Miał przemoczone do kolan nogi, a gołe ręce były spierzchnięte z zimna.

- Nie mogłem złapać taksówki - wysapał. - Biegłem przez całą drogę od Sloane Square. Bałem się, że możemy się rozminąć. - Zdarł z siebie płaszcz i rzucił go na kanapę. Dowiedziałem się, kim jest mężczyzna na zdjęciu. I musiałem natychmiast was o tym zawiadomić. Nazywa się Willingate.

- Kenneth?

- Ten sam. - Vinney pochylił się i, trzymając dłonie na kolanach, starał się odzyskać oddech.

- Istotniejsze wydaje się jednak, co robi ów mężczyzna. - Dziennikarz błysnął

uśmiechem. - Nie wiem, kim był w 1963 roku, ale obecnie pełni funkcję szefa sekcji piątej Wywiadu Wojskowego.

13

Nie było osoby w pokoju, która nie pojęłaby w pełni, co się kryje za słowami Jeremy'ego Vinneya: Wywiad Wojskowy, sekcja piąta. Nagle stało się jasne, dlaczego dziennikarz wtargnął do pokoju pewien entuzjastycznego przyjęcia i przeświadczony o doniosłym znaczeniu zdobytej informacji dla toczącego się śledztwa. I jeśli nawet był przedtem uważany za jednego z podejrzanych, to teraz, w świetle nowych dowodów, nie padał już na niego żaden cień. Jak gdyby przekonany o tym, kontynuował wyjaśnienia:

- To jeszcze nie wszystko. Nie dawała mi spokoju nasza poranna rozmowa o sprawie Profumo-Keeler z 1963 roku. Przejrzałem więc artykuły z tamtego okresu, aby sprawdzić, czy nie ma w nich wzmianki świadczącej o powiązaniu historii tej pary ze śmiercią Geoffreya Rintoula. Sądziłem, że może Rintoul romansował z jakąś prostytutką i owej nocy, kiedy zginął, pędził na spotkanie z nią do Londynu.

- Tamta historia należy do zamierzchłej przeszłości - zauważyła Deborah. - Z

pewnością tego rodzaju skandal w obecnych czasach nie zaciążyłby już na reputacji rodziny.

Lady Helen podzielała tę opinię. Jej komentarz świadczył jednak o tym, że niechętnie się do tego przyznaje:

- To prawda, Simonie. Czy ktoś zamordowałby Joy, zniszczył wszystkie kopie sztuki i zabił Gowana tylko dlatego, że Geoffrey Rintoul spotykał się z jakąś prostytutką przed dwudziestoma pięcioma laty? Kto uzna domniemany romans z przeszłości za wiarygodny motyw popełnionych zbrodni?

- Wszystko zależy od wagi spraw, jakimi się zajmował w Ministerstwie Obrony -

odparł St. James. - Weźmy na przykład przypadek Profumo. Był sekretarzem stanu do spraw wojny i utrzymywał zażyłe

stosunki z prostytutką, która widywała się również, co wyszło na jaw, z mężczyzną nazwiskiem Jewgienij Iwanow.

- Z pracownikiem ambasady sowieckiej, a jednocześnie agentem wywiadu - dodał

Vinney i spokojnie podjął dalsze wyjaśnienia: - Podczas przesłuchania na policji w całkiem innej sprawie Christine Keeler wyjawiała z własnej woli, że Rosjanie prosili ją, aby wyciągnęła od Johna Profumo informację o terminie przekazania Niemcom przez Amerykanów pewnych tajemnic atomowych.

- Urocza osoba - zawyrokowała lady Helen.

- Wiadomość o tym przedostała się do prasy, co prawdopodobnie było zamiarem Keeler, i Profumo znalazł się w opałach.

- Podobnie jak i cały rząd - uzupełniła Havers. Vinney przytaknął skinieniem głowy.

- Laburzyści domagali się, aby stosunki Profumo z Keeler stały się tematem debaty w Izbie Gmin, a liberałowie żądali natychmiastowej rezygnacji premiera.

- Dlaczego? - spytała Deborah.

- Twierdzili, że będąc głową służby bezpieczeństwa, albo musiał wiedzieć o związku Profumo z tą prostytutką i ukrywał go, albo też jest niekompetentny i winien zaniedbania służbowego. Być może premier przeczuwał, że nie przetrwa następnego skandalu i odwołania kolejnego ministra. A to z pewnością musiałyby nastąpić, gdyby życie osobiste Profumo zostało dokładnie zbadane. Zaryzykował

więc, licząc na to, że sprawa przeciwko Profumo nie zostanie wytoczona. Gdyby romans sekretarza stanu wyszedł na jaw tuż po historii z Vassallem, premierowi nie pozostałoby nic innego, jak podać się do dymisji.

- Z Vassallem? - Lady Helen zeszywniała. Z pobladłą twarzą pochyliła się do przodu w swoim krześle.

Vinney spojrział na nią, najwyraźniej zdumiony jej reakcją.

- William Vassall. Został skazany na więzienie w październiku 1962 roku. Był urzędnikiem Admiralicji, który szpiegował na rzecz Sowietów.

- Mój Boże! - krzyknęła lady Helen, zrywając się na równe nogi i odwracając do St. Jamesa.

- To fragment tekstu sztuki, na który tak gwałtownie zareagowali wszyscy członkowie rodziny Rintoulów, Simonie! „Kolejny Vassall.” Bohater dramatu oświadczał, że niezwłocznie wraca do Londynu i nie będzie kolejnym Vassallem, A oni, słysząc to zdanie, doskonale wiedzieli, co oznacza. Od razu zrozumieli jego sens! Francesca, Elizabeth, lord i lady Stinhurst! Wszyscy pojęli treść tej kwestii! Nie chodziło wcale o związek z prostytutką! Zupełnie nie o to! St. James też podniósł się ze swojego krzesła.

- Tommy pójdzie tym tropem, Helen. Jakim tropem? - spytała Deborah.

- Geoffreya Rintoula, kochanie. Jeszcze jednego Vassalla. Wygląda na to, że starszy syn poprzedniego lorda Stinhursta był sowiecką wtyczką. I najwyraźniej wiedziała o tym cała rodzina, jak również większość członków rządu.

Lynley drzwi między jadalnią a salonem zostawił otwarte, aby móc podczas kolacji słuchać muzyki. Od kilku dni jedzenie nie sprawiało mu przyjemności, a dzisiejszy wieczór nie należał pod tym względem do wyjątków. Lynley odsunął talerz z niemal nie tkniętą pieczenią jagnięcą i całkowicie oddał się słuchaniu rozbrzmiewającej w sąsiednim pokoju symfonii Beethovena. Cofnął się z krzesłem od stołu i wygodnie rozparty, wyciągnął przed siebie nogi.

W czasie ostatnich dwudziestu czterech godzin starał się ignorować skutki, jakie dla lady Helen będzie miała budowana przez niego i wymierzona przeciwko Rhysowi Davies-Jonesowi hipoteza. Posuwając się wytrwale do przodu i wiążąc ze sobą kolejne fakty, zdołał całkowicie usunąć Helen ze swoich myśli. Teraz jednak wdarła się w nie i zakłóciła jego spokój.

Wiedział, dlaczego kobieta wzbrania się przed uznaniem winy reżysera. Przecież łączyły ich zażyłe stosunki. Lynley był tylko ciekaw jej reakcji w obliczu popartej szeregiem niezbitych dowodów prawdy, że została z zimną krwią wykorzystana, aby ułatwić Rhysowi popełnienie zbrodni. Zastanawiał się, czy zdoła zapobiec spustoszeniu, jakie w jej życiu wywoła ujawnienie tej rewelacji. Głowiąc się nad tym problemem, zrozumiał, że straszliwie mu Helen brakuje. Nie mógł się dłużej uchylać od zaakceptowania tego faktu. Pojął też, że jeśli będzie kontynuował swój pościg za Davies-Jonesem, bezpowrotnie ją utraci.

- Jaśnie panie? - W drzwiach stał zmieszany lokaj i ocierał czubek lewego buta o prawą nogawkę spodni, jak gdyby odczuwał potrzebę doprowadzenia do porządku swojego, i tak już nienaganego, wyglądu. Poprawił dłonią staranną fryzurę.

Piękniś Brummel z Eaton Terrace, pomyślał Lynley.

- O co chodzi, Denton? - spytał zachęcająco, gdyż odniósł wrażenie, że miody człowiek nigdy nie skończy poprawiać swojego stroju i włosów.

- Lady Helen Clyde czeka, jaśnie panie. A także St. James i sierżant Havers.

Wyraz twarzy lokaja był typowym przykładem nonszalancji - postawy, jaką niewątpliwie uznał za stosowną na tę okazję. Jednakże ton jego głosu zdradzał

niezmiernie zdziwienie, i Lynley zastanawiał się, jak wiele Denton zdążył się już dowiedzieć od wszechwiedzącej służby o jego konflikcie z lady Helen Caroline. W

końcu od trzech lat Lynley nosił się z poważnymi zamiarami względem tej kobiety.

- Nie trzymaj ich na korytarzu.

- Mam ich poprosić do salonu? - dociekał lokaj. Zbyt wnikliwie, zdaniem Lynleya.

Inspektor wstał, potakując ruchem głowy, przemilczał też pełne irytacji słowa: „Nie przypuszczam, żeby chcieli się ze mną widzieć w kuchni”.

Gdy chwilę później dołączył do nich, stali obok siebie w kącie pokoju. Wybrali miejsce pod portretem ojca Lynleya i, korzystając z tego, że muzyka zagłuszała ich rozmowę, naradzali się cicho i pośpiesznie. Zamilkli na widok Lynleya. I zaraz, jak gdyby jego obecność pobudziła ich do działania, zaczęli zdejmować z siebie płaszcze, nakrycia głów, rękawiczki i szaliki. Ich zachowanie sugerowało, że grają na zwłokę. Lynley wyłączył stereo, odłożył na miejsce płytę i spojrzał na nich z zaciekawieniem. Wydawali się nienaturalnie opanowani.

- Natknęliśmy się na ważną dla dochodzenia informację. Tommy - oświadczył St.

James w sposób wskazujący, że zgodnie z planem on miał zagaic rozmowę.

- Co to za informacja?

- Dotyczy lorda Stinhursta.

Inspektor natychmiast skierował wzrok na sierżant Havers. Wytrzymała jego spojrzenie.

- Czy pani ma z tym coś wspólnego. Havers?

- Tak, sir.

- To moja robota, Tommy - zapewnił St. James, zanim Lynley zdołał się ponownie odezwać.

- Barbara znalazła i pokazała mi grób Geoffreya Rintoula na terenie posiadłości Westerbrae. Sprawa okazała się warta zbadania.

Lynley z trudem zachowywał spokój.

- Dlaczego? - spytał.

- Z powodu treści testamentu Phillipa Gerrarda, męża Franceski, który sobie nie życzył, żeby go pochowano w obrębie posiadłości Westerbrae - odpowiedziała impulsywnie lady Helen. - A także rozmów telefonicznych, jakie lord Stinhurst przeprowadził rano w dniu morderstwa. Ich celem nie było jedynie odwołanie spotkań, Tommy. Ponieważ. ..

Lynley spojrział na St. Jamesa, boleśnie odczuwając zdradziecki cios zadany z najmniej oczekiwanej strony.

- Mój Boże! Powtórzyłeś im treść mojej rozmowy ze Stinhurstem. St. James miał

tyle poczucia przyzwoitości, żeby spuścić oczy.

- Przykro mi. Naprawdę. Ale nie miałem wyboru.

- Nie miałeś wyboru - powtórzył z niedowierzaniem Lynley. Lady Helen z wyciągniętą ręką zrobiła niepewny krok w jego kierunku.

- Wiem, Tommy, co teraz czujesz. Masz wrażenie, że wszyscy są przeciwko tobie.

Ale tak wcale nie jest. Proszę cię, posłuchaj.

Współczucie Helen było ostatnią rzeczą, jaką Lynley mógł w tym momencie znieść.

- Sądzę, że mamy absolutną jasność, o co chodzi tobie, Helen - wypalił bez zastanowienia. - Biorąc pod uwagę twój związek z tą sprawą, trudno uważać cię za najbardziej obiektywną orędowniczkę prawdy.

Lady Helen opuściła dłoń, a jej twarz wykrzywiła się w grymasie bólu.

- To samo można powiedzieć o tobie, jeśli mamy już być wobec siebie szczerzy -

zauważył St. James lodowatym z gniewu głosem. Odczekał chwilę, a kiedy ponownie się odezwał, mówił już tonem opanowanym, lecz równie nieprzejednanym, jak poprzednio: - Lord Stinhurst zmyślił historię o bracie i o swojej żonie. Od początku do końca. Niewykluczone, że zrobił to za wiedzą i przyzwoleniem Scotland Yardu. A twoi szefowie celowo wybrali cię do prowadzenia śledztwa w tej sprawie, gdyż uznali, że ty jako jedyny przyjmiesz bez zastrzeżeń wyjaśnienia Stinhursta. Jego brat i żona nigdy nie mieli ze sobą romansu, Tommy. Chcesz poznać fakty, czy wolisz, żebyśmy się stąd wynieśli?

Lynley poczuł przenikający do szpiku kości chłód.

- O czym ty, na miłość boską, mówisz? St. James podszedł do krzesła.

- Przyszliśmy po to, żeby ci o tym opowiedzieć. Sądzę jednak, że przedtem dobrze by nam wszystkim zrobił kieliszek brandy.

Gdy St. James przekazywał informacje, jakie zebrali o Geoffreyu Rintoulu. Barbara Havers przyglądała się Lynleyowi i oceniała jego reakcję. Wiedziała, z jak wielką nieufnością odniesie się do rewelacji

o Stinhurście z powodu uprzywilejowanego statusu społecznego mężczyzny, który tak bardzo przypominał jego własny. Cała psychika inspektora była nastawiona na zdecydowane odrzucenie przedstawianych przez nich faktów i domysłów. A Barbara była na tyle dobrą policjantką, aby wiedzieć, na jak niepewnych podstawach bazują niektóre z nich. Dopiero wtedy mogliby mieć pewność, że Geoffrey Rintoul, który przez całe lata zajmował się poufnymi sprawami Ministerstwa Obrony, rzeczywiście pracował jako agent sowieckiego wywiadu, gdyby lord Stinhurst osobiście to potwierdził.

Idealnym rozwiązaniem byłoby zdobycie dostępu do komputera sekcji piątej Wywiadu Wojskowego. Nawet napis „Dane zastrzeżone” w teczce z aktami Geoffreya Rintoula stanowiłby potwierdzenie, że było przeciwko niemu prowadzone dochodzenie przez agencję kontrwywiadu. Nie mieli jednak dostępu do tych informacji. Nie posiadali też żadnego źródła w obrębie samej agencji, które uwiarygodniłoby ich hipotezę. Nie mogli nawet skorzystać z usług Wydziału Specjalnego Scotland Yardu, skoro londyńska policja zaakceptowała zmyśloną przez lorda Stinhursta wersję okoliczności śmierci jego brata w Szkocji. Wszystko zależało więc od tego, czy Lynley zdoła przewyciężyć swoje uprzedzenie do Davies-Jonesa i zdecyduje się stawić czoło faktom. A fakty sprowadzały się do jednego - że to lord Stinhurst, a nie Davies-Jones miał najpoważniejszy motyw, aby zamordować Joy Sinclair. Dzięki udostępnionym przez siostrę kluczom wszedł do pokoju

i zgładził kobietę, której utwór sceniczny, poprawiony bez jego wiedzy, groził

ujawnieniem mrocznej rodzinnej tajemnicy.

- Kiedy więc padło nazwisko Vassalla, Stinhurst pojął, czego dotyczy sztuka Joy dokończył St. James. - Zważ tylko, jak przeszłość Geoffreya Rintoula sprzyjała szpiegowaniu na rzecz Sowietów, Tommy. W latach trzydziestych poszedł do Cambridge. Obaj wiemy, że w tamtym okresie Rosjanie prowadzili szeroko zakrojoną akcję pozyskiwania agentów. Rintoul studiował ekonomię, a więc i nauki Marksa, w skutek czego był bardziej podatny na argumenty komunistów. Interesująca wydaje się również jego postawa w czasie wojny - domagał się wysłania na Bałkany, co umożliwiło mu kontakt z Rosjanami. Wcale bym się nie dziwił, gdybym odkrył, że już tam prowadził działalność szpiegowską. Z całą pewnością właśnie wtedy otrzymał najważniejsze zadanie - wkręcenie się do Ministerstwa Obrony. Bóg jeden wie, ilu poufnych danych dostarczył Sowietom przez te wszystkie lata.

Nikt się nie odezwał, gdy St. James skończył mówić. Uwaga wszystkich była skierowana na Lynleya. Zajmowali miejsca pod portretem siódmego lorda Ashertona. Inspektor utkwił w nim wzrok, jak gdyby chciał zasięgnąć opinii swojego ojca. Miał nieodgadniony wyraz twarzy.

- Powtórz, jak brzmiała wiadomość przekazana przez Stinhursta Willingate'owi -

poprosił w końcu.

St. James pochylił się do przodu.

- Stinhurst powiedział, że na skutek wypłynięcia pewnych faktów z przeszłości, zmuszony jest po raz drugi w tym miesiącu zakłócić Wil-lingate'owi spokój. I prosił

go, żeby zatelefonował do Westerbrae, jeśli nie sprawi mu to kłopotu.

- Gdy się dowiedzieliśmy, kim jest Willingate, wiadomość ta nabrała dla nas większego sensu podjęła wyjaśnienia Barbara. Czuliła pilną potrzebę przekonania swojego zwierzchnika do ich racji. - Najwyraźniej Stinhurst zawiadomił

Willingate^, że szpiegowska działalność jego brata GeofTreya wyszła na jaw po raz drugi - za pierwszym razem miało to miejsce w noc sylwestrową 1962 roku.

Oczekiwał, że szef kontrwywiadu zatelefonuje do Westerbrae i zaradzi problemowi, jaki stworzyła śmierć Joy Sinclair oraz napisana przez nią sztuka, odsłaniająca szczegóły z niechlubnej przeszłości Geoffreya.

Lynley skinął głową. Barbara mówiła dalej:

- Oczywiście, lord Stinhurst nie mógł osobiście zawiadomić o tym Willingate'a, prawda? Rejestr telefonicznych połączeń z Westerbrae ujawniłby nam numer rozmówcy. Skontaktował się więc ze swoją sekretarką, która zajęła się resztą. A Willingate, pojmując wagę przekazanej informacji, rzeczywiście zadzwonił do niego, sir. 1 to dwukrotnie, jak przypuszczam. Pamięta pan? Mary Agnes zeznała, że dwa razy dzwonił telefon. Zapewne telefonował Willingate. Po raz pierwszy po to, aby się dowiedzieć, co się właściwie stało, a po raz drugi, żeby przekazać Stinhurstowi, co zdołał załatwić ze Scotland Yardem.

- Pamiętaj również o tym, że według inspektora Macaskina, policja kryminalna ze Strathclyde wcale się nie zwracała o pomoc w do Scotland Yardu - przypomniał St.

James. - Ich szef został po prostu powiadomiony, że Yard przejmuje tę sprawę.

Prawdopodobnie Willingate to zaaranżował. Skontaktował się z kimś we władzach londyń-

skiej policji, a potem ponownie zadzwonił do Stinhursta, żeby mu powiedzieć, kim będzie oficer prowadzący dochodzenie. Sądzę, że Stinhurst ochoczo powitał

pojawienie się twojej osoby na scenie, Tommy. Miał cały dzień na przygotowanie historii, w którą ty, człowiek równy mu pochodzeniem, na pewno uwierzysz.

Opowieść ta musiała dotyczyć spraw osobistych, żeby dżentelmen, za jakiego cię uważał, nikomu jej nie powtórzył. Czyż był lepszy pomysł niż przypisanie swojej żonie dziecka z rzekomo nieprawego łoża? Sprytnie to sobie wymyślił. Nie wziął

tylko pod uwagę ewentualności, że zrelacjonujesz mi naszą rozmowę. Ani że ja nie zachowam się, jak na dżentelmena przystało, i nadużyję twojego zaufania. Przykro mi, że tak postąpiłem. Nic bym nie powiedział, gdybym widział inne wyjście. Mam nadzieję, że mi wierzysz.

Lynley sięgnął po brandy, napełnił swój kieliszek i podał karafkę St. Jamesowi. Nic trzęsły mu się dłonie ani nie zmienił się wyraz jego twarzy. Na ulicy dwukrotnie rozległ się klakson zaparkowanego przy Eaton Terrace pojazdu. Z pobliskiego domu ktoś krzyknął w odpowiedzi.

Czując narastającą potrzebę zmuszenia inspektora do zajęcia stanowiska, Barbara zabrała głos:

- Dlaczego rząd zaangażował się w tę sprawę? Oto pytanie, na jakie usiłujemy odpowiedzieć, sir. Wyjaśnienie jest proste: prawdopodobnie dlatego, że w 1963

roku tuszował działalność Rintoula, być może wykorzystując akt o tajemnicy państwowej w celu oszczędzenia premierowi przykrości związanych z wykryciem sowieckiego szpiega w najwyższych kręgach rządowych, i to wkrótce po ujawnieniu niechlubnej sprawy Vassalla i skandalu z Profumo. Martwy Geoffrey Rintoul nie był w stanie wyrządzić więcej szkód Ministerstwu Obrony. Ale mógł zniszczyć samego premiera, jeśli pojawiłyby się przecieki o jego działalności szpiegowskiej.

Dlatego rząd im zapobiegł. I teraz jego przedstawiciele najwidoczniej również woleli, żeby zmyślona wersja wydarzeń nie została zdemaskowana. W przeciwnym razie znaleźliby się w bardzo kłopotliwej sytuacji. A może mieli jakiś dług wobec rodziny Rintoulów i w ten sposób chcieli go spłacić? W każdym razie znowu postanowili ukryć sprawę łeb. Tylko... - Barbara umilkła, zastanawiając się, jak przekazać tę ostatnią informację. Wiedziała, że pomimo ciągłych kłótni z Lynleyem i dzielących ich różnic nie będzie w stanie zadać mu aż tak wielkiego bólu.

Inspektor sam skorzystał ze sposobności:

- Ja miałem ich w tym wyręczyć - rzekł, a jego głos zabrzmiał głucho. -1 Webberly o tym wiedział. Od samego początku.

Z kryjącego się za jego słowami przygnębienia Barbara domyśliła się, co Lynley sądzi o sytuacji. Według niego, była świadectwem, że jest on dla swoich przełożonych ze stołecznej policji pionkiem spisany na straty. Nie liczyły się dla nich jego zasługi i odznaczenia. I gdyby jego nieświadome zabiegi zatarcia śladów winy Stinhursta w toczącym się śledztwie wyszły na jaw, a kariera legła w gruzach, nikt by się tym nie przejął. Nieważne, że pogląd ten nie odpowiadał prawdzie.

Barbara wiedziała, że nawet chwilowe przekonanie o takim stanowisku szefostwa policji wytrawi dumę inspektora niczym środek żrący.

W czasie minionych piętnastu miesięcy nauczyła się go kochać, nienawidzić i w pełni rozumieć. Nigdy przedtem jednak nie zauważyła, żeby jego arystokratyczne pochodzenie było dla niego powodem udręki. Z godnością dźwiga! brzemię więzów krwi, nawet w chwilach, kiedy najbardziej pragnął je z siebie zrzucić.

- Skąd Joy Sinclair wiedziała o tym wszystkim? - spyta! Lynley. Jego twarz była doskonale

opanowana.

- Lord Stinhurst sam jej to wyjawi!. Była obecna w Westerbrae w dniu śmierci Geoffreya.

- A ja nawet nie spostrzegłem w jej gabinecie braku bodaj jednego egzemplarza sztuki. - Głos inspektora był pełen wyrzutu. - Chryste, kto to zrobił?

- Dżentelmeni z kontrwywiadu nie zostawili wizytówek po przeszukaniu domu, Tommy - wyjaśni! St. James. - Nie ma dowodu na to, że w ogóle tam byli. Nie chcieli, żebyś się dowiedział o ich wizycie. A poza tym nie szukałeś informacji dotyczącej sztuki.

- Pomimo to nie powinienem być ślepy. - Lynley uśmiechnął się ponuro do Barbary.

- Dobra robota, sierżancie. Nie chcę nawet myśleć o tym, dokąd byśmy zaszli, gdybym nie miał pani przy sobie.

Choć pochwała Lynleya napełniła Barbarę radością, kobieta nigdy nie czuła się bardziej podle. I to w sytuacji, kiedy racja była po jej stronie.

- Co my teraz... - zawahała się, nie chcąc jeszcze bardziej odbierać mu autorytetu.

- Pójdziemy rano po Stinhursta. - Wsta! z miejsca. - Chciałbym przez resztę wieczoru rozważyć dalsze niezbędne posunięcia.

Barbara wiedziała, co inspektor ma na myśli: musiał zastanowić się nad samym sobą po tym, jak został wykorzystany przez Scotland

Yard. Chciała powiedzieć coś, co złagodziłoby cios. Pragnęła go przekonać, że nie zdołano go użyć jako narzędzia do zatuszowania sprawy i że nie dał się wywieść w pole. Wiedziała jednak, że Lynley dostrzeże kryjącą się w jej słowach prawdę: że to jej nie zdołano zamydląć oczu i że to ona uratowała go przed jego własną bezdenną głupotą.

Gdy wszystko zostało już powiedziane, zaczęli wkładać płaszcze, czapki, wciągać rękawiczki i wiązać szaliki. Z powodu nagłej ciszy atmosfera stała się ciężka.

Lynley starał się zyskać na czasie. Odstawił na miejsce karafkę, zebrał na tacę pękate kryształowe kieliszki i pogasił światła w salonie. I dopiero wtedy wyszedł za nimi do holu.

Lady Helen stała przy drzwiach w smudze światła. Milczała przez całą godzinę w salonie, a teraz, kiedy do nich dołączył, odezwała się niepewnie:

- Tommy...

- Spotkamy się o dziewiątej w teatrze. Havers - uciał Lynley. - Proszę przyprowadzić ze sobą konstabla, aby pomógł przy aresztowaniu Stinhursta.

Jeśli Barbara dotychczas nie pojmowała w pełni nietrwałości swojego tryumfu w grze, jaką była

służba śledcza, krótka wymiana zdań uświadomiła jej istotę rzeczy z niebywałą przejrzystością. Policjantka spostrzegła powiększającą się przepaść pomiędzy Lynleyem a lady Helen i czuła z bolesną pewnością, że staje się ona nie do pokonania.

- Tak jest, sir - powiedziała tylko i ruszyła do drzwi.

- Tommy, nie możesz dłużej mnie lekceważyć - nalegała lady Helen. Lynley spojrział na nią po raz pierwszy od czasu, kiedy St. James rozpoczął swoje wyjaśnienia w salonie.

- Myliłem się co do niego, Helen. Ale nie znasz jeszcze mojego najcięższego grzechu. Żałuję, że nie miałem racji.

Skinął na pożegnanie głową i zostawił ich samych.

W środę świt wstał pod ołowianym niebem. Dzień był jeszcze zimniejszy niż poprzedni. Śnieg utworzył wzdłuż krawężnika cienką i twardą skorupę, brudną od spalin.

Gdy Lynley zajechał o ósmej czterdzieści pięć pod Agincourt Theatre, sierżant Havers, otulona po czubek nosa w swój nietwarzowy płaszcz z brązowej wełny, czekała już przed wejściem do budynku w towarzystwie młodego konstabla. Lynley zauważył ponuro, że wybór policjanta został dokonany przez podwładną w sposób bardzo przemyślany - na Winstonie Nkacie tytuł i bogactwo Stinhursta z pewnością nie robify żadnego wrażenia. Dwudziestopięcioletni Nkata, ostoja Wojowników Brixtona - jednego z najbardziej brutalnych gangów w mieście - dzięki cierpliwemu wstawiennictwu i wiernej przyjaźni trzech nieustępliwych twardzieli z oddziału policyjnego A7 pretendował obecnie do osiągnięcia wyżyn kariery w Urzędzie Śledczym do Spraw Kryminalnych Scotland Yardu. Był żywym dowodem na to, że jeśli się nie da wsadzić kogoś za kratki, trzeba go zawrócić ze złej drogi.

Nkata błysnął w stronę Lynleya jednym ze swoich promiennych uśmiechów.

- Inspektorze! - zawołał. - Dlaczego nigdy nie przejeżdża pan tym cackiem przez moją dzielnicę? Chętnie byśmy je podpalili.

- Proszę mnie zawiadomić, gdy wybuchną następne zamieszki - odparł Lynley sucho.

- Przyślemy panu zaproszenie. I dopilnujemy, żeby każdy miał szansę być przy tym obecny.

- Ach tak. Tylko nie zrób mi zawodu.

Ciemnoskóry mężczyzna odrzucił do tyłu głowę i wybuchnął niewymuszonym śmiechem.

- Lubię pana, inspektorze - oświadczył. - Proszę mi podać swój adres. Sądzę, że poślubię pańską siostrę.

Lynley się uśmiechnął.

- Jesteś dla niej o wiele za dobry, Nkata. Nie wspomnę już, że jest o jakieś szesnaście lat dla ciebie za młoda. Jeśli jednak dzisiaj rano będziesz się przyzwoicie zachowywał, myślę, że zawrzemy

odpowiednią umowę.

Spojrzał na Havers.

- Czy Stinhurst już przyjechał? Skinęła głową.

- Dziesięć minut temu. - I domyślając się, o co inspektor chce ją zapytać, dodała: -

Nie widział nas. Piliśmy kawę po drugiej stronie ulicy. Przyjechał razem ze swoją żoną, inspektorze.

- To łut szczęścia - zauważył Lynley. - Wejźmy do środka. Wewnątrz teatru aż huczało od przygotowań przed premierą.

Drzwi na widownię były otwarte, a zgiełk rozmów i śmiechów mieszał się z odgłosami pracy ekipy scenografów, którzy robili pomiary do dekoracji. Asystenci reżysera uwijali się z notatnikami w dłoniach i ołówkami wetkniętymi za uszy. W

kącie przy barze projektant i dziennikarz pochylali się nad dużym arkuszem papieru i szkicowali afisze reklamowe. To miejsce działalności twórczej kipiało dzisiaj rano podnieceniem. Lynley nie odczuwał jednak żalu, że stanie się narzędziem, które położy kres zadowoleniu tych wszystkich ludzi, gdyż to niechybnie musiało nastąpić w chwili aresztowania Stinhursta.

Gdy zmierzali w stronę drzwi prowadzących do biur w przeciwległej części budynku, pojawił się w nich lord Stinhurst. Podążał za swoją żoną, która mówiła coś, wyraźnie poruszona, i gestykulowała gwałtownie, obracając na palcu duży pierścionek z brylantem. Znieruchomiała na widok policji; zamilkła, przystanęła i przestała się bawić biżuterią.

Stinhurst życzliwie ustosunkował się do prośby Lynleya o udostępnienie jakiegoś ustronnego kąta.

- Zapraszam do mojego gabinetu - zaproponował. - Czy moja żona będzie... -

zawahał się znacząco.

Inspektor jednak już postanowił, jak wykorzysta obecność lady Stinhurst. Lepsza jego część domagała się, aby pozwolił jej odejść w spokoju, i wzbraniała się przed wykorzystaniem jej jako pionka w grze faktów i fikcji, druga natomiast potrzebowała jej jako narzędzia szantażu. Nienawidził siebie za to, a mimo to wiedział, że i tak się kobietą posłuży.

- Chciałbym, żeby lady Stinhurst była obecna przy rozmowie - oświadczył zwięźle.

Gdy Nkata zajął stanowisko pod drzwiami, a sekretarka została poinformowana, żeby nie łączyć żadnych rozmów z wyjątkiem tych od policji, Lynley i Havers weszli do gabinetu. Pokój pod wieloma względami przypominał samego właściciela

- kolory tapet były w zimnych, czarno-szarych barwach, wyposażenie stanowiło nieodzowne, zgrabne biurko z twardego drzewa oraz obite kosztowną tkaniną głę-

bokie fotele, a w powietrzu unosiła się ledwo wyczuwalna woń tytoniu fajkowego.

Na ścianach w gustownych ramach wisiały plakaty z poprzednich inscenizacji Stinhursta - świadectwa jego trwających ponad trzydzieści lat sukcesów, począwszy od „Henryka V” w Londynie przez „Trzy siostry” w Norwich, „Rosencrantz i Guildenstern nie żyją” w Keswick, „Dom lalki” w Londynie, „Prywatne kłamstwa”

w Exeter, „Eauiusa” w Brighton aż po „Amadeusza” w Londynie. Po jednej stronie stał stół konferencyjny i krzesła. I właśnie tam Lynley wszystkich skierował. Nie życzył sobie, aby Stinhurst znalazł się w uprzywilejowanej pozycji, prowadząc rozmowę z policją poprzez szerokość swojego wypolerowanego biurka.

Gdy Havers sięgnęła po notatnik, inspektor wyjął zdjęcia ze śledztwa, jak również wykonane przez Deborah St. James powiększenia.

Bez słowa rozłożył je na stole. Jeśli wszystko to, co powiedział St. James, było prawdą, to niewątpliwie Stinhurst wczoraj po południu telefonował do sir Kennetha Willingate'a. I był dobrze przygotowany na to przesłuchanie. Podczas długiej, bezsennej nocy Lynley rozważał różne sposoby odparcia nowego steku sprytnie obmyślonych kłamstw. Uświadomił sobie, że Stuart Rintoul ma przynajmniej jedną piętę Achillesową, i postarał się, by jego pierwsza uwaga zrobiła wrażenie na Stinhurście.

- Jeremy Vinney zna całą historię, lordzie Stinhurst. Nie wiem, czy ją opublikuje, gdyż jak dotąd nie posiada żadnego wiarygodnego dowodu na jej potwierdzenie.

Jestem jednak przekonany o tym, że zacznie go szukać. - W umyślnym skupieniu układał równym rzędem fotografie. - Może mnie pan po raz kolejny oszukać.

Zajmiemy się szczegółowym omówieniem tej fałszywej historii, jaką opowiedział

mi pan podczas ubiegłego weekendu w Westerbrae. Albo zdecyduje się pan wyznać prawdę. Chcę jedynie podkreślić, że autentyczne fakty, związane z pańskim bratem, nie będą dla mnie niczym nowym. Zostałem z nimi zapoznany przez St. Jamesa, któremu bezgranicznie ufam. Pańskie kłamstwo *stoi* w jawnej sprzeczności z grobem pańskiego brata w Szkocji. Nic więc dziwnego, że o Geoffreyu wie teraz nie tylko sierżant Havers, ale także St. James, lady Helen oraz Jeremy Vinney. I dowie się każdy, kto będzie miał dostęp do raportu w Scotland Yardzie, jaki złożę w tej sprawie. - Lynley spostrzegł, że Stinhurst skierował wzrok na żonę. - Jak więc będzie? - spytał, rozsiadając się wygodnie na krześle. - Czy porozmawiamy o tamtym lecie, kiedy to pański brat przebywał w Somerset, pan podróżował po prowincjonalnych teatrach, a pańska żona...

- Wystarczy - uciął Stinhurst. Uśmiechnął się zimno. - Złapał mnie pan w moje własne sidła, inspektorze. Brawo.

Lady Stinhurst siedziała, wykręcając złożone na kolanach dłonie.

- O co chodzi, Stuarcie? Co im powiedziałaś?

Pytanie nie mogło paść w bardziej stosownym momencie. Lynley czekał na odpowiedź mężczyzny. Po długiej chwili, pod badawczym spojrzeniem policjantów, Stinhurst zwrócił się z wyjaśnieniami do swojej żony. Jego wypowiedź

była nie pozostawiającym wątpliwości dowodem na to, że jest mistrzem w grze zaskakiwania przeciwnika i wytrącania mu broni z ręki.

- Powiedziałem, że z byliście Geoffreyem kochankami - wyjaśnił. - Twierdziłem, że Elizabeth jest waszym dzieckiem i że tematem sztuki Joy Sinclair był wasz romans. Oświadczyłem, że bez mojej wiedzy wprowadziła poprawki do tekstu, żeby w ten sposób pomścić śmierć Aleca. Na szczęście przynajmniej to ostatnie twierdzenie odpowiadało prawdzie. Przykro mi.

Oniemiała ze zdumienia lady Stinhurst siedziała w całkowitym milczeniu. Poruszała wargami, lecz nie wydobywały się z nich żadne słowa. Część mięśni jej twarzy pod wpływem wysiłku chwycił skurcz. W końcu zdołała przemówić:

- Geoff? Chyba nigdy nie myślałeś, że ja i Geoffrey... Och, mój Boże, Stuarcie!

Stinhurst zrobił gest w stronę żony, lecz ona krzyknęła bezwiednie i wzdrygnęła się przed jego dotykiem. Wyszarpnęła mu się, pozostawiając jego rękę na stole.

Podkurczyła palce i zacisnęła je wewnątrz dłoni,

- Oczywiście, że nie. Musiałem im coś jednak powiedzieć, aby ich trzymać z dala od Geoffa. Nie miałem innego wyjścia...

- Musiałeś im coś powiedzieć... Ale przecież on nie żyje. - Z jej twarzy stopniowo odpływała krew, w miarę jak docierała do kobiety cała ohyda postępuku męża. -

GeofTajuz nie ma wśród żywych. Aleja jestem, Stuarcie, ja jestem! Zrobiłeś ze mnie dziwkę, żeby osłaniać nieboszczyka! Poświęciłeś mnie! Mój Boże! Jak mogłeś w ten sposób postąpić!

Stinhurst pokręcił głową.

- Nie chodziło mi o martwego człowieka, lecz o żywego i obecnego w tym pokoju -

wyjaśnił, starannie dobierając słowa. - Wybacz mi, jeśli zdołasz. Zawsze byłem tchórzem i pewnie już nim do końca zostanę. Próbowałem chronić samego siebie.

- Przed czym? Przecież nie zrobiłeś nic złego. Stuarcie, na miłość boską! Nic nie zrobiłeś tamtego wieczoru. Jak możesz mówić...

- To nieprawda. Nie mogę ci tego wyjaśnić.

- Czego wyjaśnić? Odpowiedz natychmiast!

Stinhurst przez długą chwilę patrzył na swoją żonę, badając jej twarz; zbierał się na odwagę.

- Ja byłem tym, który wydał Geoffa rządowi. Wy wszyscy poznaliście straszliwą prawdę o Geoffie w sylwestra. Aleja, Boże przebac, wiedziałem o jego szpiegowskiej działalności na rzecz Sowietów od 1949 roku.

Stinhurst siedział nieruchomo, wyprostowany, jak gdyby w obawie, że najmniejszy gest spowoduje otwarcie śluzu i wyleją się przez

nią nagromadzone w ciągu trzydziestu dziewięciu lat cierpienia. Mówi!

opanowanym tonem, choć z każdą chwilą miał coraz bardziej zaczerwienione oczy, które jednak pozostały suche. Lyniey zastanawia! się, czy Stinhurst po tylu latach życia w kłamstwie zdolny jest do uronienia bodaj jednej łzy.

- O tym, że Geoff jest marksistą, wiedziałem już, gdy byliśmy w Cambridge. Nie robił z tego tajemnicy i, szczerze mówiąc, uznałem to za dobry kawał - za dziecinadę, z której z wiekiem się wyrasta. Śmiałem się z przewrotności losu, wyobrażając sobie przyszłego lorda Stinhursta zaangażowanego w walkę robotników o zmianę biegu historii. Nie wiedziałem jednak, że jego zapatrywania polityczne zostały skwapliwie odnotowane i że jeszcze w czasach studenckich dał

się namówić do prowadzenia działalności szpiegowskiej.

- Dał się namówić? - upewnił się Lyniey.

- To znana metoda, polegająca na kuszeniu studenta za pomocą pochlebstw i wpajania mu przekonania, że odgrywa ważną rolę w planowanym procesie przemian.

- Jak się pan o tym dowiedział?

- Zupełnie przypadkowo, tuż po wojnie, gdy obaj przebywaliśmy w Somerset.

Zdarzyło się to podczas weekendu, kiedy urodził się mój syn Alec. Szukałem Geoffa, gdy tylko zobaczyłem Marguerite i dziecko. To był... - Uśmiechnął się do żony po raz pierwszy i ostatni. Jej twarz nie zdradzała najmniejszej reakcji. -

Doczekałem się syna. Byłem bardzo szczęśliwy. Chciałem powiadomić o tym Geoffa. Poszedłem za nim i znalazłem go w naszej kryjówce z czasów chłopięcych zabaw -w opuszczonej chacie w Quantock Hills. Najwidoczniej uważał rodzinną posiadłość za bezpieczne miejsce.

- Zastał go pan z kimś? Stinhurst skinął głową.

- Pewnie pomyślałbym, że to zwykły farmer, gdybym kilka dni wcześniej nie natknął się na Geoffa w gabinecie, gdy siedział nad plikiem rządowych akt, oznakowanych jaskrawymi literami w nagłówku jako ściśle tajne. Wtedy jeszcze nie wzbudziło to moich podejrzeń. Sądziłem, że zabrał do domu papiery, nad którymi musi popracować. Jego aktówka leżała na biurku, a on wkładał jakiś dokument do dużej koperty z szarego papieru. Nie miała ani naszego rodowego stempla, ani rządowego. Dokładnie to pamiętam. Nie zastanawiałem się nad tym aż do chwili, kiedy znalazłem Geoffa w chacie i zobaczyłem, jak przekazuje tę właśnie kopertę nieznanemu. Gdybym przyszedł minutę

wcześniej lub później, prawdopodobnie byłbym przekonany, że towarzyszącym mu mężczyzną jest rzeczywiście jakiś farmer z Somerset. Stało się jednak inaczej i, kiedy zobaczyłem, jak koperta przechodzi z rąk do rąk, domyśliłem się najgorszego.

Oczywiście, przez moment usiłowałem przekonać samego siebie, że to tylko zwykły zbieg okoliczności i niemożliwe, aby to była ta sama koperta, którą widziałem w gabinecie. Ale jeśli spotkanie, którego byłem świadkiem, miało na celu niewinną wymianę informacji - jawną i całkowicie legalną - to dlaczego dokonywano jej w Quantock Hills, na całkowitym odludziu?

- Skoro pan ich nakrył, dlaczego nie zrobili nic, żeby powstrzymać pana... przed wyjawieniem ich tajemnicy? - spytał Lynley pozbawionym emocji głosem.

- Nie byli pewni, co widziałem. Ale nawet gdyby byli, to i tak mogłem czuć się bezpieczny. Geoff nigdy by się nie zgodził na wyeliminowanie własnego brata. W

gruncie rzeczy, w przeciwieństwie do mnie, był prawdziwym mężczyzną.

Lady Stinhurst odwróciła wzrok.

- Nie mów tak o sobie.

- Niestety, obawiam się, że to prawda.

- Przyznał się do swojej działalności? - dociekał Lynley

- Gdy nieznajomy odszedł, przyparłem Geoffreya do muru. Nie próbował się nawet niczego wypierać ani nie był zawstydzony. Wierzył w sprawę. A ja... sam nie wiem, w co wtedy wierzyłem. Wiedziałem tylko, że jest moim bratem. Kochałem go.

Zawsze tak było. I choć to, co robił, wydawało mi się odrażające, nie mógłbym go zdradzić. Wiedziałby, że to ja go wydałem. Dlatego milczałem. Jednak w miarę upływu lat ta sprawa zżerała mnie coraz bardziej.

- Przypuszczam, że w 1962 roku dostrzegł pan w końcu okazję do podjęcia działań.

- Rząd w październiku wniósł do sądu pozew przeciwko Williamowi Vassallowi.

Od września toczyło się śledztwo przeciwko podejrzanemu o szpiegostwo włoskiemu fizykowi, Giuseppe Martellemu. Pomyślałem, że jeśli działalność Geoffreya zostanie odkryta teraz, nie przyjdzie mu do głowy, że to ja go wydałem rządowi. Przecież od tylu lat wiedziałem, kim jest. Tak więc w listopadzie...

ujawniłem władzom znane mi fakty. Brat został poddany inwigilacji. Miałem nadzieję i modliłem się o to z całego serca, żeby odkrył, iż znajduje się pod policyjnym nadzorem. Chciałem, żeby uciekł do Sowietów. I niemal mu się to udało.

- Co go przed tym powstrzymało?

Stinhurst, słysząc to pytanie, zacisnął dłonie w pięści. Pod wpływem napięcia trzęsły mu się ręce, a palce i knykcie stały się całkiem białe. W sąsiednim gabinecie zadzwonił telefon i zabrzmiał czyjś zaraźliwy śmiech. Sierżant Havers przerwała pisanie i rzuciła pytające spojrzenie na Lynleya.

- Co go przed tym powstrzymało? - powtórzył inspektor.

- Powiedz, Stuarcie - wymamrotała lady Stinhurst. - Powiedz prawdę. Chociaż raz.

Wyjaw ją w końcu.

Stinhurst otarł powieki.

- Mój ojciec - wyznał ze spopielałą twarzą. - To on go zabił.

Stinhurst z wbitym w podłogę wzrokiem przemierzał pokój, a jego szczupła, wysoka sylwetka, z wyjątkiem pochylonej głowy, była prosta niczym stalowy pręt.

- Tamtego sylwestrowego wieczoru wiele się wydarzyło, jak przedstawiła to Joy w swojej sztuce. Geoff rozmawiał przez telefon, gdy bez jego wiedzy obaj z ojcem weszliśmy do biblioteki, gdzie usłyszeliśmy część wymiany zdań. Brat nakazywał

komuś zabrać ze swego mieszkania książkę kodów, aby nie została rozpracowana cała siatka. Ojciec zaczął go wypytywać. Ale Geoffowi - niedościgłemu mistrzowi kra-somówstwa - pilno było natychmiast wyruszyć w drogę. Nie zamierzał tracić czasu na poddawanie się ojcowskiemu śledztwu. Miał umysł zaprzątnięty swoimi problemami, nie był w stanie jasno myśleć, nie udzielał logicznych odpowiedzi i ojciec w końcu domyślił się prawdy. To nie było zbyt trudne, po tym, co do nas obu dotarło z rozmowy telefonicznej. Kiedy ojciec utwierdził się w swoich najgorszych podejrzeniach, coś w nim pękło. Dla niego działalność brata oznaczała nie tylko spiskowanie przeciwko bezpieczeństwu państwa, ale również zdradę wobec wszystkich pokoleń Rintoulów i tradycji rodzinnych. Sadzę, że w jednej chwili zawładnęła nim przemożna potrzeba wymazania tej niechlubnej karty z historii rodziny. Tak więc... - Stinhurst przyglądał się przez chwilę uroczym plakatom zdobiącym ściany jego gabinetu. - .. .mój ojciec go dopadł. Był rozjuszony jak byk.

A ja, mój Boże, biernie się temu przyglądałem. Zamarłem z trwogi, niezdolny do wykonania jakiegokolwiek ruchu. Od tamtej pory co noc odtwarzam w myślach tamtą chwilę, Thomasie, kiedy usłyszałem trzask łamanego, niczym konar drzewa, karku Geoffa.

- Czy mąż pańskiej siostry, Franceski, był zamieszany w to morderstwo? - spytał

Lynley.

- Nie był świadkiem rozmowy telefonicznej Geoffreya w bibliotece, ale kiedy on, Francesca i Marguerite usłyszeli krzyki mojego ojca, zbiegli po schodach na dół. I wtargnęli do pokoju w chwili... kiedy to się stato. Oczywiście Phillip natychmiast ruszył do telefonu, przekonany o konieczności niezwłocznego powiadomienia policji. Ale my... wszyscy odwieśliśmy go od tego zamiaru. Z obawy przed skandalem. Procesem. I nieuchronnym wsadzeniem ojca za kratki. Francesca na samą myśl o tym wpadła w histerię. Phillip początkowo dość stanowczo obstawał

przy swoim, ale cóż mógł zrobić, skoro miał nas wszystkich przeciwko sobie, a szczególnie Francie? Pomógł więc nam zawieźć ciało Geoffreya do rozwidlenia dróg, gdzie lewa odnoga szosy prowadzi do farmy Hillview. a prawa, wiodąca do wioski Kilparie, opada stromo w dół. Wzięliśmy samochód brata, aby pozostały ślady kół tylko jednego pojazdu. - Uśmiechnął się. Przyłożyliśmy się do tego niezwykle starannie. Od zbiegu dróg teren staje się bardzo spadzisty, z dwiema serpentynami wijącymi się jak węże jedna za drugą. Uruchomiliśmy silnik i puściliśmy samochód z Geoffreym za kierownicą. Pojazd nabrał prędkości. Na pierwszym wirażu przeleciał przez szosę, wytamał barierkę i wylądował na zakręcie poniżej, a następnie spadł z nasypu i stanął w płomieniach. - Lord Stinhurst wyjął z kieszeni białą chusteczkę, doskonale wyprany lniany kwadrat, i otarł oczy. Wrócił

do stołu, ale nie usiadł.

- Potem wróciliśmy do domu. Niemal cała droga była oblodzona, więc nasze buty nie zostawiały śladów. Nigdy nie kwestionowano faktu, że to był wypadek. -

Dotknął palcami fotografii ojca, która wciąż leżała pomiędzy innymi zdjęciami Lynleya.

- Dlaczego w takim razie fatygowano z Londynu sir Andrew Higginsa dla zidentyfikowania zwłok?

- Na wszelki wypadek. Gdyby ktoś dopatrył się czegoś niezwykłego w obrażeniach odniesionych przez Geoffreya i przedstawiona przez nas historia zaczęła budzić wątpliwości. Sir Andrew był przyjacielem mojego ojca od najdawniejszych czasów, i można mu było zaufać.

-- W jaki sposób Willingate został wmieszany w tę sprawę?

- Przybył do Westerbrae w dwie godziny po wypadku. Jechał po Geoffa, żeby go zabrać do Londynu na przesłuchanie. Ostrzeżenie o groźbie jego wizyty było najwyraźniej celem telefonu, jaki brat otrzymał. Ojciec wyznał Willingate'owi prawdę. I obaj doszli do porozumienia. Uzgodnili, że okoliczności śmierci Geoffreya pozostaną tajemnicą państwową. Rząd nie był zainteresowany rozpowszechnianiem wiadomości, że w Ministerstwie Obrony od lat działał sowiecki szpieg, teraz, kiedy ten już nie żył. Mój ojciec też nie pragnął ujawniania działalności mojego brata ani odpowiadania przed sądem za zabójstwo. Tak więc nasza wersja o wypadku została utrzymana. Pozostali członkowie rodziny zobowiązali się do milczenia. 1

dochowaliśmy tajemnicy. Ale Phillip Gerrard był bardzo przyzwoitym człowiekiem. I myśl o tym, że pozwolił, by został nakłoniony do zatuszowania zbrodni, zadreczęła go przez resztę życia.

- Czy to dlatego nie jest pochowany na terenie posiadłości Westerbrae?

- Uważał, że to ziemia przeklęta.

- Dlaczego pana brat tam spoczywa?

- Ojciec nie życzył sobie jego ciała w Somerset. Ledwie zdołaliśmy go przekonać, żeby w ogóle zgodził się na pogrzeb. - Stinhurst w końcu spojrzął na swoją żonę. -

Wywrotowa działalność Geoffreya zaciążyła na życiu każdego z nas. A najbardziej na naszym, prawda, Mag? Straciliśmy Aleca. Straciliśmy Elizabeth, I siebie nawzajem.

- Od tamtej pory Geoffrey zawsze stał pomiędzy nami - rzekła bezdźwięcznie. -

Przez te wszystkie lata. Zachowywałeś się tak, jak gdybyś to ty go zabił, a nie twój ojciec. Czasami nawet zastanawiałam się, czy rzeczywiście tak nie było.

Stinhurst pokręcił głową, najwyraźniej nie zamierzając oczyszczać się z zarzutu.

- Oczywiście, że to zrobiłem. Tamtego wieczoru w bibliotece, gdy w ułamku sekundy ważyła się decyzja, mogłem podbiec i powstrzymać ojca. Leżeli na podłodze i... Geoff patrzył na mnie. Jestem ostatnią osobą, Maggie, którą widział. A ostatnią myślą, jaka przemknęła przez jego głowę, musiało być to, że rodzony brat nie ruszy się z miejsca, nie kiwnie palcem, spokojnie patrząc, jak on umiera. Równie dobrze sam mogłem go zabić. I tak jak ojciec, jestem odpowiedzialny za jego śmierć.

Zdrada, niczym plaga, kosztuje dużo krwi. W świetle poznanej historii Lynley uznał

te słowa Webstera za wyjątkowo trafne. Działalność Geoffreya była jej źródłem, a potem zdrada rozprzestrzeniała się, siejąc zniszczenie, na całą jego rodzinę.

Wreszcie, nienasycona, zaczęła pochłaniać kolejne ofiary - osoby, które miały styczność z Rintoulami: Joy Sinclair i Gowana Kilbride'a. Teraz wreszcie nadeszła pora, by położyć jej kres.

Do wyjaśnienia pozostał jeszcze tylko jeden szczegół.

- Dlaczego w zeszłym tygodniu zaangażował pan w tę sprawę kontrwywiad?

- Ponieważ czułem się bezradny. Wiedziałem, że każde śledztwo nieuchronnie skupi się na tekście sztuki, która była czytana na kilka godzin przed śmiercią Joy.

Uważałem - byłem tego pewien - że wnikliwa analiza tekstu wyjawí wszystko to, co moja rodzina i rząd z taką pieczołowitością trzymaliśmy w ukryciu przez dwadzieścia pięć lat. Kiedy Willingate zatelefonował do mnie, wyraził zgodę na zniszczenie wszystkich egzemplarzy utworu scenicznego. Następnie skontaktował

się z pańskimi ludźmi z Wydziału Specjalnego, a oni z kolei z szefem policji londyńskiej, który obiecał przysłać kogoś godnego zaufania do Westerbrae.

Ostatnie słowa znów przepełniły Lynleya goryczą, którą bezskutecznie usiłował w sobie zwalczyć. Zrozumiał, że gdyby nie obecność Helen w Westerbrae i porażająca nowina o jej związku z Rhysem Davies-Jonesem, odkryłby kłamstwa Stinhursta, sam znalazłby grób Geoffreya Rintoula i bez pomocy przyjaciół wyciągnął własne wnioski. Jedynie głębokie przekonanie o tym pozwalało mu w obecnej chwili zachować resztkę szacunku dla siebie.

- Muszę pana poprosić o złożenie wyczerpującego zeznania na posterunku Scotland Yardu - oświadczył.

- Oczywiście - odparł Stinhurst, a zaprzeczenie, jakie nastąpiło tuż po wyrażeniu zgody, było równie natychmiastowe, jak mechaniczne: -Nie zabiłem Joy Sinclair, Thomasie, przysięgam.

On tego nie zrobił - potwierdziła lady Stinhurst zrezygnowanym tonem. Lynley nie zareagował na jej słowa. Dodała więc: - Gdyby tamtej nocy opuścił naszą sypialnię, wiedziałabym o tym, inspektorze.

Lady Stinhurst nie mogła wybrać mniej odpowiedniej chwili na przekonywanie Lynleya do swojej prawdomówności.

- Proszę zabrać lorda Stinhursta na wstępne przesłuchanie, sierżancie - polecił. -

Niech pani dopilnuje, żeby lady Stinhurst została odwieziona do domu.

Policjantka skinęła głową.

- A co z panem, inspektorze?

Przez chwilę rozważał pytanie w myślach, ale wciąż potrzebował czasu, żeby oswoić się z tym, co się stało.

- Wkrótce też tam przyjadę.

Kiedy lady Stinhurst odjechała taksówką do rodzinnego domu w Holland Park, a sierżant Havers wraz z Nkatą wyprowadzili lorda Stinhursta z Agincourt Theatre, Lynley wrócił do budynku. Nie uśmiechała mu się perspektywa przypadkowego spotkania z Davies-Jone-sem, a nie miał wątpliwości, że mężczyzna przebywa gdzieś w gmachu. Jednakże coś kazało mu pozostać tu jeszcze przez chwilę. Może była to pokuta za grzech, jakiego się dopuścił, podejrzewając reżysera o popełnienie zbrodni i robiąc wszystko, żeby Helen również dostrzegła w nim domniemanego zabójcę. Kierując się bardziej gniewem niż rozsądkiem, wygrzebywał jedynie fakty sprzyjające wytoczeniu sprawy przeciwko Walijczykowi, lekceważył zaś te, które obciążały winą inną osobę.

A wszystko dlatego, pomyślał z ironią, że zachowywałem się jak skończony głupiec. Nie pojmowałem, jak wiele Helen znaczy w moim życiu. Tyle że teraz jest już za późno.

- Nie musisz mnie pocieszać... - dobiegł go drżący kobiecy głos z drugiej strony baru, z miejsca poza zasięgiem jego wzroku. - Nie przybyłam tu na innych, lecz na równych warunkach. Zaproponowałeś, żebyśmy otwarcie ze sobą porozmawiali. A więc zróbmy to! Pomówmy szczerze, bez oszczędzania siebie nawzajem i bez poczucia wstydu!

- Jo... wtrącił David Sydeham.

- Nie jest już dla nikogo tajemnicą, że cię kocham. I nigdy nie było. Darzę cię uczuciem od czasu, kiedy cię poprosiłam, żebyś odczytał palcami wyryte w kamieniu imię anioła. Tak, moje miłosne schorzenie datuje się aż od tak dawna, i od tamtej pory nie daje mi spokoju. To moja historia...

- Joanno, opuściłaś co najmniej dziesięć linijek tekstu!

- Nieprawda!

Wymiana zdań pomiędzy Sydehamem i Joanną Ellacourt sprawiła, że Lynley minął

hol, podszedł do baru, bezceremonialnie wyrwał mężczyźnie egzemplarz tekstu z ręki i bez słowa przebiegł wzrokiem stronę z wypowiedzią Almy ze sztuki „Lato i dym”. Nie miał przy sobie okularów, więc litery zlewały się trochę ze sobą. Ale były czytelne. I nie dawały się wymazać.

Nie musisz mnie pocieszać. Nie przybyłam tu na innych, lecz na równych warunkach.

Zaproponowałeś, żebyśmy otwarcie ze sobą porozmawiali. A więc zrobmy to!

Pomówmy szczerze bez oszczędzania siebie nawzajem i bez poczucia wstydu. Nie jest już dla nikogo tajemnicą, że cię

*kocham. I nigdy nie było. Darzę cię uczuciem od czasu, kiedy cię poprosiłam, żebyś odczytał palcami wyryte w kamieniu imię anioła. Tak, pamiętam długie popołudnia naszego dzieciństwa...**

A jednak Lynley nadal przez chwilę sądził, że Joanna Ellacourt nie posługuje się słowami napisanymi przez Tennessee Williamsa, lecz mówi o sobie. Podobnie jak myślał komisarz Plater, gdy przed piętnastoma laty natknął się na list pożegnalny Hannah Darrow w Porthill Green.

* Cytat ze sztuki „Lato i dym” Tennessee Wiliiamsa w przekładzie A. Mianowskiej.

14

Z powodu korka na trasie MI I Lynley dotarł do Porthill Green dopiero po pierwszej po południu. Chmury całkowicie zasnuły horyzont niczym olbrzymie kłęбки szarej wełny. W powietrzu wisiała burza. Pub „Winiarska Orka” nie był jeszcze zamknięty na południową przerwę, ale pomimo to inspektor nie od razu udał się na spotkanie z Johnem Darrowem. Najpierw, brnąc po chrzęszczącym śniegu, zalegającym trawnik, skierował się do budki telefonicznej, niebezpiecznie przechylonej w kierunku morza, i połączył się ze Scotland Yardem. Po chwili dobiegł go głos sierżant Havers, a także brzęk naczyń i odgłosy rozmów w oddali. Domyślił się, że odebrała telefon w kasynie oficerskim.

- Co się z panem dzieje, do jasnej cholery? - spytała zaczepnie. Zaraz się jednak poprawiła: - Skąd pan dzwoni? Telefonował do pana inspektor Macaskin.

Zakończyli sekcję zwłok Sinclair i Gowana. Ma-caskin prosił o przekazanie panu, że pisarka poniosła śmierć pomiędzy godziną drugą a trzecią piętnaście w nocy.

Powiedział też, że według wszelkiego prawdopodobieństwa nie była w inny sposób nękana. Chciał zapewne delikatnie dać do zrozumienia, że nie ma dowodów popełnienia gwałtu na ofierze ani odbycia przez nią stosunku płciowego. Oznajmił, że specjaliści od kryminalistyki nie zbadali jeszcze wszystkich zabezpieczonych w pokoju śladów. Obiecał skontaktować się z nimi, gdy tylko się z tym uporają.

Lynley błogosławił w myślach skrupulatność Macaskina i jego bezinteresowną gotowość okazania pomocy pomimo ingerencji Scotland Yardu.

- Mamy oświadczenie Stinhursta. Choć wielokrotnie relacjonował przebieg sobotniego wieczoru w Westerbrae, nie zdołałam go przyłapać na żadnej sprzeczności. - Havers prychnęła pogardliwie. - Przed chwilą przyszedł jego adwokat - typowy zadzierający nosa prawnik. Na pewno został przysłany przez lady Stinhurst, gdyż jego lordowska mość nigdy by się nie poniżył, żeby poprosić kogoś takiego jak ja albo Nkata o skorzystanie z telefonu.

Trzymamy go w jednej z sal przesłuchań, ale jeśli wkrótce nie zjawi się ktoś z jakimś konkretnym dowodem albo naocznym świadkiem, będziemy w poważnych kłopotach. Gdzie się pan, na miłość boską, podziewa?

- Jestem w Porthill Green - uciął jej indagację. - Niech mnie pani posłucha. Nie zamierzam się spierać co do udziału Stinhursta w zabójstwie Joy Sinclair. Ale nie zostawię nie rozwiązanej sprawy Dar-row. Proszę nie zapominać, że drzwi do pokoju pisarki były zamknięte, Havers. A zatem, żeby się do niej dostać, morderca musiał przejść przez pokój Helen.

- Przecież ustaliliśmy, że równie dobrze Francesca Gerrard mogła dać...

- List pożegnalny Hannah Darrow został przepisany ze sztuki.

- Ze sztuki? Jakiej?

Lynley spojrzał poprzez trawnik w stronę pubu. Z komina wił się dym, niczym wąż na tle nieba.

- Nie wiem. Przypuszczam jednak, że John Darrow będzie umiał odpowiedzieć na to pytanie. I sądzę, że udzieli mi tej informacji.

- Dokąd nas to zaprowadzi, inspektorze? I co mam począć z jego lordowską mością, w czasie gdy pan bawi w rejonie Bagien Wschod-nioangielskich?

- Niech mu pani każe jeszcze raz wszystko od początku opowiedzieć. Może zrobić to w obecności swojego prawnika, jeśli będzie nalegał. Zna pani zasady, Havers.

Wymyślcie coś razem z Nkatą. I zmieńcie pytania.

- A co potem?

- Niech mu pani pozwoli wrócić do domu.

- Inspektorze...

- Wie pani równie dobrze jak ja, że na razie nie mamy na niego żadnego haka. Może jedynie zniszczenie dowodów, jakim było spalenie egzemplarzy utworu. Ale absolutnie nic więcej, nie licząc faktu, że brat był sowieckim szpiegiem przed dwudziestoma pięcioma laty, a on utrudniał ujawnienie prawdziwych okoliczności jego śmierci. Nie przypuszczam jednak, aby aresztowanie Stinhursta z

tego powodu było możliwe. Jego adwokat będzie nalegał na wniesienie oskarżenia albo też na zwolnienie swojego klienta. Nie łądzi się pani chyba, że postąpi inaczej.

- Może uzyskamy dodatkowe informacje od specjalistów ze Strathclyde - obstawała przy swoim.
- Niewykluczone. Jeśli tak się stanie, to znowu go zamkniemy. Obecnie jednak zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy. Czy wyraziłem się jasno?
- Co mam robić, gdy puszczyć wolno Stinhursta? Uchwycił rozdrażnienie w jej głosie.
- Proszę pójść do mojego gabinetu. Zamknąć drzwi. Z nikim się nie spotykać. I czekać na wiadomość ode mnie.
- A jeśli Webberly zażąda raportu o postępach śledztwa?
- Niech mu pani powie, żeby poszedł do diabła. Zaraz potem, gdy poinformuje go pani, że wiemy o udziale w tej sprawie Wydziału Specjalnego i sekcji piątej Wywiadu Wojskowego.

Usłyszał, jak Havers wbrew sobie - śmieje się po drugiej stronie linii.

- Z przyjemnością, sir. Zwykłam zawsze mawiać, że gdy statek tonie, kilka dodatkowych dziur w dziobie nie jest mu już w stanie zaszkodzić.

Kiedy Lynley poprosił o lunch i kufel piwa, John Darrow sprawiał wrażenie, że najchętniej odmówiłby przyjęcia zamówienia. Jednakże obecność trzech mężczyzn o srogim wyglądzie przy barze oraz starszej kobiety, która drzemała nad dżinem i gorzkimi kroplami nieopodal trzaskającego ognia w kominku najwyraźniej odwiodła go od tego zamiaru. I tak oto Lynley w niespełna pięć minut potem pałaszował z ogromnego talerza przy stoliku pod oknem sery stilton i cheddar, marynowane cebule oraz chrupiący chleb.

Posiłając się, zachowywał spokój i nie zwracał uwagi na zaciekawienie innych gości, przejawiające się w zadawanych półgłosem pytaniach. Miejscowi farmerzy, bo mężczyźni zapewne nimi byli, musieli wkrótce odejść do swoich zajęć, a Johnowi Darrowowi nie pozostawało nic innego, jak stawić czoło kolejnemu przesłuchaniu, którego za wszelką cenę starał się uniknąć.

Od chwili przybycia Lynleya zaczął okazywać mężczyznom przy barze wyjątkową serdeczność, najwyraźniej licząc na to, że niezwykle dla niego przyływ dobroduszości zachęci ich do przedłużenia pobytu w lokalu. Rozprawiali z ożywieniem o sporcie i o meczu piłkarskim rozegranym przez drużynę Newcastle, gdy drzwi pubu otworzyły się i do środka szybko wszedł z zimna młody -

szesnastoletni na oko -chłopak.

Lynley widział go w chwili, gdy nadszedł z kierunku Mildenhall na starym motorze o trudnej do ustalenia barwie z powodu oblepiającego go błota. Młody człowiek miał na sobie ciężkie robocze buty, niebieskie dżinsy i starą skórzaną kurtkę - a wszystko nosiło liczne plamy tłuszczu. Zaparkował przed lokalem i spędził kilka minut po drugiej stronie ulicy, podziwiając samochód Lynleya i wiodąc dłonią wzdłuż gładkiej linii dachu. Miał mocną budowę ojca i jasną karnację matki.

- Czyja to fura? - zawołał pogodnie, wchodząc do pubu.

- Moja - odparł Lynley.

Chłopak podszedł do niego, odrzucając włosy z czoła z typową dla młodych pewnością siebie, i powiedział:

- Naprawdę piękne auto. - Wyrzwał przez okno, mierząc pojazd pożądlwym wzrokiem. - Zapewne kosztowało pana parę funtów.

- 1 nadal kosztuje. Pożera takie ilości paliwa, że nieraz się czuję, jak gdybym sam jeden wspierał British Petroleum. Szczerze mówiąc, często myślę nad tym, czy się nie przesiąść na twój środek transportu.

- Przepraszam, ale nie rozumiem. Lynley skinął głową w kierunku ulicy.

- Mówię o motocyklu.

- Ach, o tym. - Chłopak się roześmiał. - Grzmotnąłem nim w ubiegłym tygodniu i nie doznał najmniejszego uszczerbku. Chociaż trudno to stwierdzić. Jest tak stary, że...

- Masz robotę, Teddy - przerwa! ostro John Darrow. - Zajmij się swoimi obowiązkami.

Jego słowa nie tylko skutecznie ucięły rozmowę pomiędzy synem i londyńskim policjantem, ale także przypomniały innym o późnej porze. Farmerzy rzucili na bar monety i banknoty, staruszkę przy kominku obudziło własne głośne sapnięcie i po chwili w pubie został tylko Lynley z Johnem Darrowem. Dobiegające z mieszkania na górze przytłumione dźwięki rock and rolla i trzaskanie drzwiczek kredensu świadczyły o tym, że Teddy zabrał się do pracy.

- Nie chodzi do szkoły - zauważył Lynley. Właściciel pubu pokręcił głową.

- Zakończył naukę. Wdał się w matkę. Nie garnął się do książek.

- Pańska żona nie lubiiia czytać?

- Hannah? Nigdy nie widziałem, żeby coś wzięła do ręki. Chyba nawet nie było w domu żadnej powieści.

Lynley obmacai kieszeń w poszukiwaniu papierosów, zapali! w zamyśleniu i otworzył teczkę z aktami Hannah Darrow. Wyjął jej list pożegnalny.

- W takim razie to dziwne, nie sądzi pan? Jak pan myśli, skąd to przepisała?

Darrow zacisnął usta, rozpoznając kartkę, którą Lynley już przedtem mu pokazywał.

- Nie mam nic więcej na ten temat do powiedzenia.

- Obawiam się, że pan ma. - Lynley z kartką w ręce zbliżył się do mężczyzny za barem.

- Pańska żona została zamordowana, panie Darrow, i przypuszczam, że pan wie o tym od piętnastu lat. Szczerze mówiąc, aż do dzisiejszego ranka byłem przekonany, że to pan jest sprawcą jej śmierci. Teraz jednak już nie mam takiej pewności. Ale nie zamierzam stąd wyjechać, dopóki nie powie mi pan prawdy. Joy Sinclair zginęła, ponieważ była bliska odkrycia, co spotkało Hannah. Jeśli więc pan sądzi, że sprawa jej zabójstwa zostanie odłożona *ad acta* tylko dlatego, że woli pan nie mówić, co

zdarzyło się w tym miasteczku w 1973 roku, proponuję, żeby pan to sobie jeszcze raz przemyślał. Jeśli nie wyrazi pan zgody na współpracę, pojedziemy do Mildenhall na pogawędkę z Platerem. We trzech. Pan, Teddy i ja. Z pewnością pański syn przypomni sobie jakieś fakty związane z okolicznościami śmierci swojej matki.

- Niech pan nie miesza do tego mojego chłopaka! On nie ma z tym nic wspólnego! O

niczym nie wie! I nie może się dowiedzieć!

- O czym nie może się dowiedzieć, panie Darrow? - spytał inspektor. Właściciel pubu bawił się porcelanowymi kurkami, ale jego twarz miała znużony wyraz.

- Niech pan mnie posłucha, Darrow - przekonywał dalej Lynley. - Nie wiem, co wtedy zaszło. Ale szesnastoletni chłopak - rówieśnik pańskiego syna - został

brutalnie zamordowany, gdyż był bliski odkrycia mordercy. Mogę przysiąc, że tego samego, który zgładził pańską żonę. Dobrze pan wie, że została zamordowana. A więc, na miłość boską, niech mi pan pomoże, zanim znowu ktoś zginie.

Darrow wpatrywał się w niego tępym wzrokiem.

- Chłopak, powiada pan?

Lynley usłyszał raczej, niż dostrzegł, pierwsze oznaki kruszenia się murów obronnych, jakimi się mężczyzna obwarował, nacierał więc bezlitośnie, wykorzystując swoją przewagę:

- Tak, chłopak, niejaki Gowan Kilbride. Pragnął jedynie wyjechać do Londynu i zostać kolejnym Jamesem Bondem. To było jego chłopięce marzenie. Ale zmarł na schodach pomywalni w Szkocji z twarzą i ciałem poparzonymi do żywego mięsa i z rzeźniczym nożem w plecach. A jeśli zabójca przybędzie tutaj, zastanawiając się, jak wiele Joy Sinclair zdoła się od pana dowiedzieć... W jaki sposób, na Boga, zdoła pan ocalić życie syna i swoje własne przed człowiekiem - kobietą lub mężczyzną - którego pan nawet nie zna?

Darrow najwyraźniej toczył ze sobą walkę wewnętrzną, rozważając w myślach to, o co Lynley go prosił: aby wrócił do przeszłości, wskrzesił wspomnienia i od nowa przeżył cały ten koszmar. A wszystko po to, żeby on i jego syn byli bezpieczni przed mordercą, który tak okrutnie obszedł się z nimi przed wieloma laty.

Przesunął językiem po spierzchniętych wargach.

- To był mężczyzna.

Darrow zamknął od wewnątrz drzwi pubu i obaj z Lynleyem usiedli przy stoliku nieopodal kominka. Karczmarz przyniósł ze sobą nie napoczętą butelkę whisky Old Bushmill, odkręcił korek i nalał alkohol do szklanki. Co najmniej przez minutę pił bez słowa, zbierając siły, aby w końcu wyrzucić z siebie to, co musiało zostać powiedziane.

- Tamtego wieczoru śledził pan Hannah, gdy wyszła z domu - domyśli! się Lynley.

Mężczyzna otarł usta mankietem koszuli.

- Tak. Miała mi pomagać w pubie razem z jedną z tutejszych dziewczyn. Poszedłem więc po nią na górę i znalazłem na kuchennym stole list. Inny niż ten, który ma pan w aktach. Zawiadamiła mnie, że odchodzi. Wyjeżdżała ze swoim kochankiem -

jakimś ważniakiem - do Londynu. I miała grać w sztuce, Lynley poczuł podniecenie, gdy jego domysły zostały potwierdzone. Okazało się, że pomimo tego wszystkiego, co usłyszał od St. Jamesa, Helen, Barbary Havers i Stinhursta, instynkt go nie zawiodł i nie naprowadził na fałszywy trop.

- Czy to wszystko było napisane w liście?

Darrow ponuro pokiwał głową i wbił wzrok w szkło. Whisky wydzielala intensywny zapach siodu.

- Zakwestionowała... moją męskość. Dokonała porównania, abym nie miał

wątpliwości, co zamierza ani dlaczego postanowiła odejść. Oświadczyła, że chce mieć prawdziwego mężczyznę - takiego, który potrafi należycie kochać kobietę i wie, jak ją zadowolić w łóżku. Wyznała, że ze mną nigdy nie było jej dobrze. Nigdy. Natomiast ten facet... Opisała mi, jak on to z nią robi, na wszelki wypadek, gdybym kiedyś miał ochotę na jakąś kobietę. Wydawało jej się, że wyświadcza mi przysługę.

- Skąd pan wiedział, gdzie jej szukać?

- Widziałem ją. Po przeczytaniu listu podszedłem do okna. Musiała opuścić dom kilka minut przed moim wejściem na górę, gdyż dostrzegłem ją na skraju miasteczka. Niosła olbrzymią walizę i zmierzała ścieżką w stronę kanału przecinającego bagna.

- Czy od razu pomyślał pan o młynie?

- Wtedy myślałem tylko o tym, że jak dopadnę tej cholernej dziwki, to stłukę ją na kwaśne jabłko, Po chwili jednak doszedłem do wniosku, że zabawniej będzie, gdy pójdę za nią, przyłapię ich i obojgu dobiorę się do skóry. Szedłem więc za nią, zachowując dystans.

- Nie zorientowała się, że pan ją śledzi?

- Było ciemno. Trzymałem się skraju ścieżki, gdzie rosną najgęstsze krzewy. Kilka razy się obejrzała. Pomyślałem, że wie o mojej obecności. Ale nie przerwała marszu. Wyprzedzała mnie znacznie, gdy dotarła do miejsca, gdzie kanał biegnie w dół, Nie zauważyłem zakrętu... Gdy po przebyciu jakichś trzystu metrów zorientowałem się w końcu, że ją zgubiłem, odgadłem, dokąd się mogła udać - na tym odludziu nie miała zbyt wielu możliwości. Szybko zawróciłem i podążyłem w stronę młyna. W odległości trzydziestu metrów od niego leżała jej walizka.

- Poszła dalej bez niej?

- Była potwornie ciężka. Pomyślałem, że Hannah chce sprowadzić faceta, żeby wziął jej bagaż. Postanowiłem poczekać na niego przy ścieżce. A potem spotkać się z nią we młynie. - Darrow ponownie nalał sobie whisky i popchnął butelkę w stronę Lynleya, inspektor jednak odmówił poczęstunku. - Ale nikt nie wrócił po walizkę -

mówił dalej karczmarz. - Odczekałem jakieś pięć minut. A potem zakradłem się bliżej, żeby mieć lepsze pole widzenia. Nim zdołałem dotrzeć do skraju zarośli, facet wybiegił z młyna. Rzucił się w przeciwną stronę. Po chwili usłyszałem odgłos zapuszczanego silnika i samochód odjechał.

- Czy zdążył się pan przyjrzeć temu mężczyźnie?

- Było zbyt ciemno. I dzieliła nas za duża odległość. Po chwili wszedłem do młyna.

I znalazłem ją. - Odstawił szklankę na stół. - Została powieszona.

- Czy wyglądała tak, jak na policyjnej fotografii?

- Tak. Z tą jedynie różnicą, że z kieszeni jej płaszcza wystawał papier, który wyciągnąłem. I właśnie tę kartkę przekazałem policji. Gdy ją przeczytałem, pojąłem, że to miał być list samobójczyny.

- Śmierć pańskiej żony nie wyglądałaby jednak na samobójstwo, gdyby walizka nadal leżała w miejscu, gdzie została porzucona. Zabrał więc ją pan ze sobą do domu.

- Rzeczywiście tak zrobiłem. Zaniósłem ją na górę. A potem wszcząłem alarm, wykorzystując kartkę z kieszeni płaszcza. Znaleziony na stole list spaliłem.

Pomimo ciężkich przejść Darrowa Lynley poczuł, że ogarnia go wściekłość na tego mężczyznę. Kobieta została bezlitośnie, z zimną krwią pozbawiona życia, a jej śmierć po piętnastu latach wciąż pozostawała nie pomszczona.

- Dlaczego pan to wszystko zrobił? Chyba zależało panu na tym, żeby morderca został postawiony przed sądem.

Szyderczy wyraz twarzy Darrowa zdradzał znużenie.

- Nie ma pan pojęcia, jak wygląda życie w małym miasteczku. Skąd pan może wiedzieć, co czuje mężczyzna, gdy wszyscy sąsiedzi wyśmiewają się z niego, że jego lubieżna żoneczka, która próbowała go porzucić dla jakiegoś alfonsa lepiej dogadzającego jej w łóżku, została zamordowana? I to nie przez męża, co każdy by zrozumiał, ale przez łotra zabawiającego się z nią za jego plecami. Gdybym pozwolił, żeby morderstwo Hannah zostało odkryte, wiadomość o nim rozeszłaby się lotem błyskawicy. Chyba nie sądzi pan, że stałoby się inaczej? Choć mówi!

podniesionym z przejęcia głosem, wrócił do odpowiedzi na pytanie inspektora: -

Dzięki temu przynajmniej Teddy nigdy się nie dowiedział, jaka naprawdę była jego matka. Hannah nic żyje. A spokój chłopca jest wart tego, aby morderca uniknął kary.

- Wolał pan utrzymywać syna raczej w przekonaniu, że jego matka popełniła samobójstwo, niż że jego ojciec był rogakzem?

Darrow mocno grzmotnął pięścią w poplamiony blat stolika.

- Tak! Ponieważ to ze mną żył przez piętnaście lat. I mnie codziennie patrzył w oczy. A kiedy to robił, widział mężczyznę, na Boga. A nie jakiegoś mazgaja, który nie potrafił nawet dopilnować, żeby jego kobieta dochowała przysięgi małżeńskiej.

Sądzi pan, że tamten facet potrafiłby ją przy sobie zatrzymać? - Znów napełnił

szklankę alkoholem, rozlewając go, gdy butelka omal nie wyslizgnęła mu się z ręki i uderzyła o krawędź naczynia. - Obiecywał jej lekcje gry aktorskiej, korepetycje i rolę w sztuce. Ale jak płomienna byłaby jej miłość, gdyby to wszystko doszło już do skutku...

Rolę w sztuce, lekcje gry aktorskiej, korepetycje? Skąd pan to wie? Czy napisała o tym w liście?

Darrow poderwał się nagle z miejsca, podszedł do kominka i przez chwilę nie odpowiadał. Lynley nagle pojął przyczynę dziesięciu rozmów telefonicznych przeprowadzonych przez Joy Sinclair z właścicielem pubu i zrozumiał, jaką wiadomość chciała od niego wyciągnąć. Z pewnością mężczyzna nieopatrznie wygadał się przed nią w złości, że istnieje źródło informacji, którego tak rozpaczliwie potrzebowała do napisania książki.

- Czy istnieje jakaś taśma, panie Darrow? Albo pamiętnik? A może dziennik?

Nic padła żadna odpowiedź.

- Dobry Boże, człowieku, powiedział pan już tak wiele! Zna pan nazwisko zabójcy?

- Nie.

- To co pan wie? I skąd się pan o tym dowiedział? Mężczyzna wciąż patrzy! w ogień z kamiennym wyrazem twarzy.

Ale jego pierś unosiła się i opadała pod wpływem hamowanych emocji.

- Z jej dziennika. Dziewczyna zawsze była cholernie pochłonięta sobą. Wszystko zapisywała. Jej zapiski znajdowały się w walizce razem z innymi rzeczami.

Lynley zdecydował się na rozpaczliwy strzał, wiedząc, że jeśli niezręcznie sformułuje swoją wypowiedź, mężczyzna oświadczy, że dawno wszystko zniszczył.

- Niech pan mi pokaże ten dziennik, Darrow. Nie mogę panu obiecać, że Teddy nigdy nie pozna prawdy o swojej matce. Przysięgam jednak, że ode mnie niczego się nie dowie.

Darrow zwiesił nisko głowę.

- Jak mogę to zrobić? wymamrotał. Lynley naciska! dalej:

- Wiem, że Joy Sinclair odgrzebała bolesne wspomnienia i tym samym sprawiła panu przykrość. Ale, na miłość boską, czy zasłużyła sobie na to, żeby umierać w samotności z gardłem przesytytym czterdzie-stopięciocentymetrowym sztyletem?

Kto z nas zasługuje na taką śmierć? Jaka popełniona w życiu zbrodnia zasługuje na tego rodzaju karę? A Gowan? Co powie pan o chłopcu? Nic absolutnie nie zrobił, a mimo to również zginął. Panie Darrow! Niech się pan zastanowi! Nie może pan pozwolić, aby tych dwoje zginęło na próżno!

Wszystko zostało już powiedziane, a Lynley nie miał innego wyjścia niż czekać na decyzję mężczyzny. W kominku strzelił ogień. Z paleniska wypadł duży, żarzący się węgiel i uderzył o kratę ochronną. W mieszkaniu na piętrze syn Darrowa nadal wypełniał swoje obowiązki. Po chwili dręczącej ciszy właściciel pubu z trudem podniósł głowę.

- Proszę pozwolić ze mną na górę - powiedział bezdźwięcznym głosem.

Do mieszkania prowadziły z tyłu budynku zewnętrzne raczej niż wewnętrzne schody. Wysypana żwirem ścieżka poniżej biegła poprzez zbitą gęstwinę nagich konarów do bramy, za którą ciągnęły się bezkresne pola. Krajobraz urozmaicały tylko pojedyncze drzewa, gdzieś kanał i niezgrabny kształt wiatraka na horyzoncie. Wszystko było bezbarwne pod smutnym niebem, a w powietrzu unosiła się intensywna woń torfu, powstałego na skutek ciągłych powodzi i procesu rozkładu, nierozzerwalnie związanego z tą opustoszałą częścią kraju. W oddali rytmicznie pracowały pompy odwadniające.

John Darrow otworzył drzwi i wpuścił Lynleya do kuchni, gdzie Teddy - na czworakach, ze ścierką w dłoni i wiadrem wody obok - starał się odczyścić wnętrze oblepionego brudem pieca, który dawno miał już za sobą lata świetności. Podłoga wokół była mokra i nie umyta. Z radia na blacie kuchennym dobiegał skrzekliwy głos jakiegoś piosenkarza. Gdy weszli, młodzieniec podniósł wzrok, przerywając mozolną robotę, a na jego twarzy pojawił się rozbrajający uśmiech.

- Zbyt długo nie był czyszczony, tato. Obawiam się, że dłużej skuteczniej poprawiłoby jego wygląd. - Otarł dłonią twarz, pozostawiając na policzku smugę sadzy.

- Zejdź na dół, chłopcze - powiedział Darrow gderliwym, a jednocześnie pełnym ciepła głosem. - Przypilnuj pubu. Piec może poczekać.

Chłopak przyjął polecenie z nie ukrywanym entuzjazmem. Skoczył na równe nogi i wyłączył radio.

- Codziennie będę go szorował po trochu, zgoda? - Znów pokazał zęby w uśmiechu.

- Być może w ten sposób doprowadzimy go do porządku na przyszłe święta Bożego Narodzenia. - Figlarnie zsalutował w powietrzu i wyszedł.

Gdy tylko zamknęły się za nim drzwi, właściciel pubu zwrócił się do Lynleya:

- Trzymam jej rzeczy na poddaszu. Byłbym wdzięczny, gdyby tam je pan zechciał

przejrzeć. Wolałbym, żeby Teddy nie zastał pana nad lekturą. Mógłby się nią zainteresować. Pomieszczenie nie jest ogrzewane. Radzę włożyć płaszcz. Ale jest tam przynajmniej światło.

Poprowadził Lynleya przez skromnie umeblowany salon do mrocznego holu, skąd wiodły drzwi do dwóch sypialni. W suficie wnęki na końcu korytarza znajdowała się kłapa umożliwiająca dostęp do strychu. Darrow otworzył ją i ściągnął składaną metalową drabinę, na oko całkiem nową.

- Wdrapuję się tam od czasu do czasu. Ilekroć odczuwam potrzebę odświeżenia pamięci - wyjaśnił, jak gdyby czytał w myślach inspektora.

- Potrzebę odświeżenia pamięci?

- Kiedy brakuje mi kobiety - wyjaśnił Darrow sucho. - W takich chwilach wystarczy, że przejrzę dziennik Hannah. Od razu jestem wyleczony z moich zachcianek. -

Zaczął wchodzić na górę.

Atmosfera strychu przywodziła na myśl wnętrze grobu. Panowała tu nieziemskie cisza, zaduch i temperatura tylko nieznacznie wyższa niż na dworze. Kartony i kufry pokrywała gruba warstwa kurzu. Wskutek nagłego ruchu wzbily się w górę tumany pyłu. Pomieszczenie było małe i przesiąknięte wonią starości - charakterystycznym, ledwo uchwytnym zapachem kamfory, spleśniałej odzieży oraz mokrego, butwiejącego drewna. Blade promienie popołudniowego światła z trudem przebijały się przez pojedyncze brudne okno tuż pod dachem.

Darrow pociągnął za zwisający z sufitu sznurek i żarówka rzuciła na podłogę snop światła w kształcie stożka. Skinieniem głowy wskazał na dwa kufry stojące po obu stronach drewnianego krzesła. Lynley zauważył, że ani krzesło, ani kufry nie są zakurzone. Zastanawiał się, jak często Darrow składa wizyty w tym grobowcu swojego małżeństwa,

- Jej rzeczy nie są uporządkowane - oświadczył mężczyzna. - Nie rozmyślałem zbyt nad tym, co z nimi robię. Tego wieczoru, kiedy umarła, w pośpiechu wrzuciłem jej walizę do komody, zanim poderwałem na nogi całe miasteczko i zorganizowałem poszukiwania. A potem, po pogrzebie, spakowałem wszystko do tych dwóch kufrów.

- Dlaczego tamtego wieczoru włożyła na siebie dwa płaszcze i dwa swetry?

- Z chciwości, inspektorze. Nie mogła już niczego więcej upchać do walizy, dlatego albo musiała je włożyć, albo nieść osobno. Łatwiej było się w nie ubrać. Tym bardziej że na dworze panował chłód.

- Darrow wyjął z kieszeni komplet kluczy i otworzył zamki w kufrach po

obu stronach krzesła. Podniósł wieko jednego, potem drugiego, i powiedział:

- Zostawię pana z jej dobytkiem. Dziennik leży na samym wierzchu.

Gdy wyszedł, Lynley włożył okulary do czytania. Ale nie od razu sięgnął po pięć związanych sznurkiem zeszytów na stercie ubrań. Najpierw zaczął uważnie przeglądać inne rzeczy osobiste Hannah Darrow, aby wyrobić sobie opinię, jaką była kobietą.

Jej tanie stroje najwyraźniej miały sprawiać wrażenie kosztownych. Były tam przepocone swetry w krzykliwych kolorach, obcisłe spódnice, przewiewne, krótkie sukienki z głęboko wyciętymi dekoltami, wypchane na siedzeniu spodnie z wąskimi nogawkami i z zamkiem z przodu. Gdy Lynley wnikliwie je zbadał, stwierdził, że materiał w okolicy metalowych zębów suwaka jest silnie rozciągnięty. Kobieta nosiła ubrania mocno dopasowane do ciała - podkreślające jej kształty.

Z dużej plastikowej kosmetyczki wydobywała się dziwna woń zwierzęcego tłuszczu. Kosmetyczka zawierała różne tanie kosmetyki i kremy - pudełko pasteli do oczu, z pół tuzina bardzo ciemnych szminek, zalotkę, tusz do rzęs, trzy albo cztery rodzaje płynów do zmywania makijażu i paczkę bawełnianych wacików. W bocznej kieszeni tkwił pięćmiesięczny zapas środków antykoncepcyjnych. Jeden zestaw pigułek był częściowo zużyty.

W torbie na zakupy z nadrukiem „Norwich” znajdowała się nowa bielizna. Jej wybór również świadczy! o braku gustu osoby, która go dokonała - odzwierciedla!

wyobrażenia prostej, niewykształconej dziewczyny o tym, co mężczyźni uważają za ponętne: skąpe majtki bikini ze szkarłatnych, czarnych lub ciemnopurpurowych koronek, pasy do podwiązek z tego samego materiału i w tych samych kolorach, przezroczyście biustonosze wycięte aż do brodawek, z umieszczonymi w strategicznych miejscach skromnymi kokardkami, rozcięte do pasa halki ze śliskiego materiału oraz dwie identyczne atlasowe koszule nocne, niewiele zakrywające i mocno wydekoltowane.

Pod spodem leżał plik fotografii. Przeglądając je, Lynley stwierdził, że przedstawiają samą Hannah. Na każdej starała się wyglądać jak najlepiej, zarówno gdy pozowała w drzwiach, kiedy uśmiechała się z końskiego grzbietu czy siedziała na plaży, a wiatr rozwiewał jej włosy. Być może zdjęcia te miały być wykorzystane dla celów reklamowych. A może Hannah Darrow potrzebowała ich, gdyż potwierdzały jej urodę i przekonywały, że w ogóle istnieje.

Lynley podniósł leżący na samym wierzchu sterty ubrań dziennik o spękanej ze starości okładce. Niektóre kartki były pozłepiane, a inne napęczniały od wilgoci. Przerzucił je ostrożnie, dopóki nie dotarł do ostatniej notatki z 25 marca 1973 roku. Została sporządzona tym samym dziecinnym piśmem co list pożegnalny, ale w przeciwieństwie do niego było tu mnóstwo poprzekręcanych wyrazów i błędów ortograficznych.

Postanowione. Jutro wieczorem wyjeżdżam. Tak się cieszę, że oboje w końcu podjęliśmy tę decyzję. Dzisiaj omawialiśmy to przez kilka godzin, dopóki wszystko nie zostało zaplanowane. A potem, kiedy chciałam się z nim kochać, oświadczył, że pora jest zbyt późna. Przez chwilę sądziłam nawet, że się na mnie gniewa, gdyż odepchnął moją rękę, ale zaraz uśmiechnął się tym swoim rozbrajającym uśmiechem, i powiedział: „Kochanie, w Londynie będziemy mieli na to mnóstwo czasu codziennie wieczorem”. Londyn!!! LONDYNU! Już jutro o tej porze!

Zapewnił, że wszystkim się zajął i mieszkanie jest przygotowane na nasz przyjazd.

Nie wyobrażam sobie, jak zdołam przeżyć jutrzejszy dzień. Z dała od mojego ukochanego. Od mojego najdroższego!

Lynley podniósł wzrok, kierując spojrzenie na pojedyncze okno i pyłki kurzu wirujące w skąym, wąskim snopie światła. Nie brał pod uwagę możliwości, że zdołają go poruszyć słowa od tak dawna już nieżyjącej kobiety -

osoby, która nosiła krzykliwy makijaż, ubierała się z zamysłem wzbudzenia żądzy u mężczyzn i którą podnieceniem napawała myśl o nowym życiu w mieście, Londyn zaś wyobrażała sobie jako miejsce, gdzie ziszczą się jej marzenia. A jednak jej wyznania wywołały w inspektorze żywy oddźwięk. Kipiąca optymizmem Hannah Darrow przypominała spragnioną wody roślinę, po raz pierwszy rozkwitającą dzięki wprawnej pielęgnacji i uwadze. Nawet wtedy, kiedy niezręcznie odwoływała się do zmysłowości, robiła to w sposób podświadomie niewinny. Nieobyta w świecie, stała się dla zabójcy idealnym celem.

Lynley zaczął wertować pamiętnik, pobieżnie przerzucając wzrokiem poszczególne zapisy w poszukiwaniu tego, od którego datował się związek kobiety z owym nie zidentyfikowanym mężczyzną. 15 stycznia 1973 roku. Poczuł, jak płomień pewności powoli rozpała przepływającą w jego żyłach krew.

Nigdy nie spędziłam równie wspaniałego dnia jak dzisiejszy w Norwich. Aż trudno w to uwierzyć po kłótni, jaką miałam z Johnem. Obie z mamą wybrałyśmy się na zakupy, co, jej zdaniem, miało mnie rozweselić. Po drodze wstąpiłyśmy po ciocię Pammy i zabrałyśmy ją ze sobą. (Znowu od rana zaglądała do kieliszka i straszliwie cuchnęła dzinem -to było okropne.) Podczas lunchu zobaczyłyśmy afisz teatralny.

Pammy uznała, że należy się nam trochę przyjemności i zabrała nas na tę sztukę.

Pewnie dlatego, jak przypuszczam, że miała ochotę na drzemkę, którą sobie ucięła, donośnie chrapiąc, aż siedzący za nią mężczyzna musiał kopnąć w jej fotel. Nigdy przedtem nie byłam w teatrze, nie do wiary, prawda? Główną postacią dramatu była księżna, której przekazywano dłonie zabitych mężczyzn, potem ona sama została uduszona, a wszyscy zasztyletowali się nawzajem. Jeden z bohaterów twierdził, że jest wilkiem. Niezłe widowisko. Ale najpiękniejsze były kostiumy: długie suknie i niezwykle nakrycia głowy. Jeszcze nigdy takich nie widziałam. Damy były bardzo piękne, a mężczyźni nosili śmieszne trykoty z małymi woreczkami z przodu. Na koniec księżna otrzymała kwiaty, a ludzie powstawali z miejsc i klaska/i.

Przeczytałam w programie, że zespół teatralny jeździ po całym kraju, wystawiającie sztuki. A to dopiero pomysł! Doszłam do wniosku, że również chcę coś robić.

Nienawidzę tkwienia w tej dziurze, jaką jest PGreen. Czasami mam ochotę krzyknąć na widok pubu. A na dodatek John wiecznie się do mnie doбира, podczas gdy ja zupełnie nie jestem w nastroju. Nie byłabym z nim, gdyby nie dziecko, ale on nie chce w to uwierzyć.

W następnym tygodniu relacjonowała ze znużeniem swoje codzienne życie -

kolejne przepierki, doglądanie dziecka, telefoniczne rozmowy z matką, sprzątanie mieszkania i zajęcia w pubie. Najwyraźniej nie miała żadnych przyjaciółek.

Spędzała czas jedynie na pracy i oglądaniu telewizji. Dopiero 25 stycznia Lynley znalazł zapis mający związek ze sprawą.

Coś się wydarzyło. Kiedy o tym myślę, sama nie mogę w to uwierzyć. Okłamałam Johna, że znowu krwawię i muszę pojechać do lekarza. Do nowego specjalisty w Norwich. Zapowiedziałam, że wstąpię do cioci Pammy na kolację, więc niech się nie martwi, jeśli późno wrócę. Nie mam pojęcia, co mnie do tego skłoniło! Chciałam jeszcze raz obejrzeć tę sztukę, a przede wszystkim kostiumy! Miałam niezbyt dobre miejsce z tyłu, byłam bez okularów i grano inne przedstawienie - śmiertelnie nudne.

podczas którego różni ludzie rozprawiali o planach małżeńskich i wyjazdach, a trzy damy nienawidziły kobiety, którą poślubił ich brat. Zabawne wydało mi się tylko to, że grali ci sami aktorzy! I byli całkiem inni niż w poprzedniej sztuce. Nie mogłam się nadziwić, że nie pomieszają im się w głowach wszystkie role. Gdy spektakl dobiegł

końca, obeszłam budynek teatru i zaczaiłam się przy tylnym wyjściu. Pomyślałam, że może uda mi się zamienić z kimś słowo i poprosić o autograf. Przez godzinę czekałam. Ale aktorzy wychodzili parami albo w grupach. Tylko jeden mężczyzna pojawił się samotnie. Nie wiem, kogo grał na scenie, gdyż jak już wspomniałam, siedziałam niemal na końcu widowni. Chciałam, żeby podpisał się w moim programie, ale byłam zbyt zdenerwowana. I zamiast go zaczepić, poszłam za nim!!!

Nie wiem, co mnie do tego podkusiło. Wszedł do pubu, zamówił danie i drinka. Przez chwilę go obserwowałam, a potem zbliżyłam się do niego i powiedziałam: „ Grał

pan w sztuce, prawda? Czy mógłby pan złożyć podpis w moim programie?" O Boże, jakież on był przystojny. Robił wrażenie szczerze zaskoczonego. Poprosił, żebym usiadła. A gdy zaczęliśmy rozmawiać, przyznał, że od wielu lat jest związany z teatrem. Powiedziałam mu, jak bardzo podobała mi się sztuka o księżnej i zachwyciłam się kostiumami. Oświadczył, że jeśli mam ochotę, mogę wrócić do teatru i przyjrzeć się im z bliska, a nawet włożyć jakiś na siebie. I poszliśmy tam! Ileż miejsca znajdowało się po drugiej stronie sceny! Nie wiedziałam, co o tym myśleć, O

tych wszystkich garderobach! I o dekoracjach. Wykonane z drewna, ładząco przypominały wyglądem kamienie!!! Weszliśmy do jednego z pomieszczeń, a on pokazał

mi wiszące rzędem kostiumy. Były uszyte z aksamitu! Nigdy nie dotykałam równie miękkiego materiału. Spytał, czy chcę przymierzyć jeden z nich. I zapewnił, że nikt się o tym nigdy nie dowie. A ja wprost o tym marzyłam!!! Tylko kiedy już zdejmowałam z siebie jedną z tych sukni, zaplątały mi się włosy. Mój towarzysz pośpieszył z pomocą, a potem zaczął całować mnie po szyi i przesuwiał dłońmi po całym moim ciele. W kącie stała kanapa, ale on powiedział, że nie, ściągnął z wieszaków na ziemię całą garderobę i kochaliśmy się, leżąc na niej na podłodze!

Nagle rozległy się kobiece głosy dobiegające z głębi budynku. Byłam naprawdę przerażona, ale on uspokoił mnie i zapewnił, że nie muszę się niczym przejmować. A ja po chwili, mój Boże, miałam wszystko w nosie. Roześmiał się uszczęśliwiony i zaczął wszystko od nowa. Nawet mnie nie bola/o!!! Było mi na przemian zimno i gorąco i działy się wewnątrz mnie dziwne rzeczy. Znowu wybuchnęła śmiechem i powiedział, że jestem głuptasem, bo tak być powinno! Spytał, czy przyjadę

do niego w przyszłym tygodniu. Czy przyjadę!!! Wróciłam do domu po północy, ale John nie dowiedział się o tym, gdyż wciąż obsługiwał gości w pubie. Miałam nadzieję, że nie będzie miał na mnie ochoty. Nie mogłam nawet

o tym myśleć. Z nim to jest zawsze bardzo bolesne.

Przez pięć kolejnych dni autorka dziennika oddawała się wspomnieniom miłosnych uniesień z Norwich. Były to patetyczne nonsensy, jakie legną się w głowie młodej dziewczyny, kiedy po raz pierwszy zostaje w pełni rozbudzona do przeżywania rozkoszy, a oddawanie się mężczyźnie przestaje być dla niej wypełnianiem obowiązku. Szóstego dnia jej myśli podążyły w innym kierunku. Stało się to 31

stycznia.

On nie zostanie tutaj na zawsze. Jego zespół w marcu wyjeżdża! Nie mogę znieść myśli o tym. Zobaczę się z nim jutro. Spróbuję dostać od niego domowy adres. John pytał, dlaczego znowu wybieram się do Norwich, a ja powiedziałam, że muszę pójść do lekarza. Skłamałam, że odczuwam przykre bóle i lekarz zalecił, aby mąż przez jakiś czas się do mnie nie zbliżał, dopóki dolegliwości nie ustąpią. John chciał

wiedzieć, jak długo to potrwa. Ico to za bóle? Wyjaśniłam mu, że zawsze cierpię, kiedy to ze mną robi, że coś jest u mnie nie w porządku i że, zdaniem lekarza, musi się wstrzymać, dopóki moje dolegliwości nie ustąpią. Powiedziałam, że nie czuję się dobrze od czasu urodzenia Teddy'ego. Nie wiem, czy mi uwierzył, ale dzięki Bogu, nie dotknął mnie od tamtego czasu.

Na następnej stronie relacjonowała spotkanie z kochankiem: *Zabrał mnie do siebie!!! Mieszka w niezbyt eleganckim miejscu. Zajmuje zaledwie ciasną sypialnię w starym domu blisko katedry. Nie ma tam dosłownie żadnych własnych rzeczy, ponieważ jego prawdziwe mieszkanie znajduje się w Londynie.*

Zdziwiłam się, że wynajął pokój tak daleko od teatru. Powiedział jednak, że lubi spacerować. I zauważył z uśmiechem, że przecież oboje nie mamy dużych potrzeb.

Zaczął rozbierać mnie jeszcze przy drzwiach i po raz pierwszy zrobiliśmy to na stojąco!!! Potem powiedziałam mu, że wiem o jego wyjeździe w marcu z trupą teatralną. I oświadczyłam, że mogłabym zostać aktorką. Praca tanie wydaje mi się zbyt trudna i potrafiłabym wykonywać ją równie dobrze jak damy, które widziałam na scenie. Uznał, że powinnam o tym pomyśleć,

i obiecał, że dopilnuje, abym pobierała lekcje i miała własnego nauczyciela. Potem poczułam, że jestem głodna, i zaproponowałam, żebyśmy poszli coś zjeść. Oświadczył, że też jest wygłodzony ...ale nie chodzi mu o jedzenie!

Najwyraźniej przez następny tydzień Hannah nie kontaktowała się ze swoim ukochanym. Spędziła za to większość czasu na obmyślaniu wspólnej z nim, skupionej wokół sceny przyszłości. Głównie w teatrze Hannah upatrywała szansy na związanie nieznanego ze sobą

i ucieczkę z Porthill Green. Krótko napisała o swoich planach 10 lutego: *Troszczy się o mnie. Sam mnie o tym zapewnił. Mama twierdzi, że wszyscy tak mówią i nie trzeba im wierzyć. Ale on jest inny. I wiem, że powiedział prawdę.*

Przemyślałam to sobie i doszłam do wniosku, że najlepiej postąpię, jeśli przyłączę się do zespołu. Nie spodziewam się na początek dużej roli. Nie znam się za dobrze na aktorstwie, ale dość łatwo wszystko zapamiętuję. A kiedy już się stanę członkiem zespołu, nie będę musiała się martwić rozłakami. Nie chcę go stracić. Dałam mu numer telefonu, żeby mógł tutaj do mnie zadzwonić, ale jeszcze się nie odezwał.

Wiem, że jest zajęty. A jeśli do jutra nie zatelefonuje, pojedę do Norwich zobaczyć się z nim. Zaczekam przed wyjściem z teatru.

Jej wizyta w Norwich została odnotowana dopiero 13 lutego: Mnóstwo się wydarzyło. Pojechałam do Norwich. Zdawało mi się, że całe wieki czekam przed teatrem. W końcu wyszedł. A to nie był sam. Towarzyszyła mu jedna z grających w sztuce dam i jeszcze jakiś mężczyzna. Rozmawiali ze sobą, jak gdyby się o coś spierali. Zawołałam go. Nie usłyszał mnie, więc zbliżyłam się do niego i dotknęłam jego ramienia. Kiedy to zrobiłam, wszyscy wyglądali na zdumionych. A potem on się uśmiechnął, powiedział dobry wieczór i spytał, czy długo tutaj czekam.

Przeprosił mnie na chwilę i odszedł razem z dwojgiem nieznajomych do samochodu.

Kobieta i mężczyzna wsiedli do wozu i odjechali, a on wrócił do mnie. Widziałam, że jest wściekły. Chciałam wiedzieć, dlaczego nie przedstawił mnie swoim przyjaciółom. Zdziwił się, co ja tutaj robię, i miał pretensje o to, że nie uprzedziłam go o swoim przyjeździe. Spytałam, czy się mnie wstydzi. Powiedział, że bym nie była głuptasem. Czyż nie wiem, że próbuje załatwić dla mnie miejsce w zespole?

Oświadczył, że nie może zrobić żadnego ruchu, dopóki nie będę do tego przygotowana. Członkowie grupy są profesjonalistami i nie zaakceptują w swoim gronie

amatorki, dlatego muszę się zachowywać tak, jak gdybym była zawodową aktorką.

Zaczęłam płakać. Starał się mnie uspokoić. Poszliśmy do jego mieszkania. Boże, zostałam u niego aż do drugiej w nocy. Pojechałam tam znowu przedwczoraj, a on mnie zapewnił, że stara się o angaż dla mnie, ale będę się musiała nauczyć na pamięć bardzo trudnego fragmentu sztuki. Miałam nadzieję na rolę księżnej, lecz okazało się, że jest to kwestia z innego dramatu. Kazał mi przepisać urywek, a potem go zapamiętać. Rola wydała mi się straszliwie długa. Spytałam, dlaczego nie mogę dostać jednego egzemplarza tekstu. Wyjaśnił, że jest ich zbyt mało, że brak zostanie natychmiast zauważony, wszyscy się domyślą naszych planów i mój angaż nie będzie dla nikogo niespodzianką. A więc zabrałam się do roboty. Nie zdążyłam jednak wszystkiego przepisać i musiałam wrócić nazajutrz. Kochaliśmy się. Na początku nie wydawał się zachwycony, ale potem był bardzo szczęśliwy!!!

W ostatnim zdaniu dziewczyna nieświadomie przyznawała, że jej stosunki z mężczyzną bazują na bardzo nikłych podstawach. Nie uszło to uwagi Lynleya.

Dziwił się, dlaczego sama tego nie zauważyła. Prawdopodobnie zbyt pochłaniała ją perspektywa przyłączenia się do zespołu teatralnego oraz rozpoczęcia nowego życia u boku innego mężczyzny i dlatego nie dostrzegła momentu, kiedy akt miłosny stał

się zwykłą rutyną.

Następny zapis pochodził z 23 lutego:

Teddy był chory przez pięć dni. John rozprawiał o tym bez końca i myślałam już, że zacznę wrzeszczeć. Ale i tak dwa razy zdołałam się wyrwać z domu, żeby dokończyć przepisywania tekstu. Nadal nie rozumiem, dlaczego nie mogę dostać jednego egzemplarza. On jednak wciąż obstaje przy swoim, że nie chce, aby inni się o tym dowiedzieli. Kazał mi wykuć na pamięć rolę i nie przejmować się tym, czy dobrze ją zagram. Obiecał, że mi pokaże, jak to się robi. Nic dziwnego - zna się na aktorstwie!

Jest w tym doskonały! Poza tym to tylko osiem stron. Ale ja zamierzam go zaskoczyć

- po mistrzowsku odegram przed nim tę scenę! I rozwieję wszystkie jego wątpliwości co do mojej osoby. Czasami mam wrażenie, że on we mnie nie wierzy. Z wyjątkiem tych momentów, kiedy idziemy razem do łóżka. Dobrze wie, jak za nim szaleję.

Prawie nie ma takiej chwili, żebym go nie pragnęła. On to lubi. Zwykł powtarzać: „

Och, Boże, Hannah, nikt nie potrafi lepiej od ciebie mnie zadowolić!" A potem zapomina, o czym rozmawialiśmy, i znowu to robimy.

Przez kilka następnych dni Hannah wdawała się w szczegółowe opisy ich aktów miłosnych. Te strony nosiły ślady częstego wertowania -bez wątpienia do tej części dziennika John Darrow zaglądał, ilekroć chciał przypomnieć sobie swoją żonę od najgorszej strony. Ponieważ była bardzo skrupulatna w zapisach, nie pomijała niczego, a na koniec porównywała budowę swojego męża i kochanka oraz ich zachowanie w łóżku. To była bardzo brutalna ocena, nad którą żaden mężczyzna nie mógłby przejść do porządku dziennego. Dawała Lynleyowi wyobrażenie o tym, jak wyglądał list pożegnalny Hannah do Johna Darrowa.

Przedostatni zapis nosił datę 23 marca:

Ćwiczyłam przez cały tydzień, gdy John był na dole w pubie. Teddy patrzył ze swojego łóżeczka i wybuchał śmiechem na widok mamy tańczącej po pokoju, niczym rosyjska dama. Nauczyłam się roli. Było to dziecinnie łatwe. Za dwa dni wyjeżdżam do Norwich i tam zadecydujemy, co robimy i kiedy otrzymam angaż. Nie mogę się doczekać. Już teraz czuję się bez niego samotna. John napastował mnie dzisiaj rano.

Zachował się jak świnia. Przypomniiał, że już dwa miesiące upłynęły od czasu, kiedy lekarz zabronił mu zbliżać się do mnie. i oświadczył, że on nie będzie dłużej czekał

na pozwolenie. Omal nie zwymiotowałam, gdy włożył mi język do ust. Zapytał, czy teraz nie jest lepiej, i zrobił mi to tak mocno, że z trudem powstrzymałam płacz. I tylko pomyśleć, że zaledwie

dwa miesiące temu sądziłam, że to ma tak wyglądać i że ja muszę to znosić. Nie mogę się teraz z tego nie śmiać. Postanowiłam powiedzieć o tym Johnowi na odchodnym. Po dzisiejszym przedpołudniu w pełni sobie na to zasłużył. Uważa siebie za wspaniałego MEŹCZYZNĘ. Gdyby wiedział, co ja i prawdziwy mężczyzna robimy ze sobą w łóżku, pewnie by zemdłał. O Boże, nie wiem, czy zdołam wytrzymać jeszcze dwa dni dzielące mnie od spotkania z nim. Jak ja go Kocham!

Lynley zamknął dziennik, a informacje zawarte w notatkach Hannah Darrow zaczęły mu się układać w głowie jak elementy rozwiązanej w końcu łamigłówki.

„Tańczę po pokoju niczym rosyjska dama”. Sztuka o mężczyźnie, który się żeni, a jego siostry nienawidzą przyszłej bratowej. Ludzie rozprawiający bez końca o zawieraniu małżeństw i o wyjazdach. I afisz teatralny na ścianie w gabinecie lorda Stinhursta. „Trzy siostry” w Norwich. Historia życia i śmierci Hannah Darrow.

Zaczął przeszukiwać jej pozostałe rzeczy, kopiąc w ubraniach, grzebiąc w torebkach i szperając pomiędzy rękawiczkami i biżuterią. Ale znalazł to, czego szukał, dopiero w drugim kufrze. Na jego dnie, pod swetrami, butami i dziewczęcym albumem z wycinankami i pamiątkami, leżał stary program teatralny. O jego okładkę zaczepione były okulary Hannah w drucianej oprawce. Okładka był wzdłuż przekątnej przedzielona paskiem, aby zaznaczyć, że zespół ma dwa przedstawienia w swoim repertuarze. W górnej części widniały białe litery na czarnym tle, w dolnej kolory były odwrócone: „Księżna d"Amalii" i „Trzy siostry”.

Lynley niecierpliwie przewertował strony, szukając obsady. A kiedy miał ją już przed sobą, wpatrywał się w tekst z niedowierzaniem, nie mogąc uwierzyć, jak ironia losu zaważyła na wyborze uczestniczących w przedstawieniu osób. Ponieważ z wyjątkiem Irene Sinclair oraz tych odtwórców ról, którzy go nie interesowali, pozostali członkowie zespołu byli absolutnie ci sami: Joanna Ellacourt, Robert Gabriel i Rhys Davies-Jones, a także, żeby sprawa stała się jeszcze bardziej skomplikowana, Jeremy Vinney w jakimś epizodzie. Był to, niewątpliwie, łabędzi śpiew jego krótkiej scenicznej kariery.

Lynley rzucił program na ziemię. Wstał z krzesła i, pocierając czoło, zaczął

spacerować po małym pomieszczeniu. W uwagach Hannah poświęconych jej kochankowi musi przecież znajdować się coś, co ujawniałoby jego tożsamość, nawet w pośredni sposób - jakaś wzmianka, którą Lynley przeoczył, nie zdając sobie sprawy z doniosłości jej znaczenia. Znow usiadł na krześle, wziął dziennik i zaczął

go czytać od początku.

Dopiero gdy po raz czwarty zapoznawał się z tekstem, doznał olśnienia: „Obiecał, że mi pokaże, jak to się robi. Nic dziwnego - zna się na aktorstwie. Jest w tym doskonały!” Słowa te mogły wskazywać jedynie na dwie ewentualności: że mordercą był albo reżyser, albo aktor grający w scenie, z której pochodził „list pożegnalny” Hannah. Reżyser potrafiłby przekazać niewykształconej dziewczynie podstawy gry scenicznej. Aktor grający w tej samej scenie z łatwością zademonstrowałby, jak powinna zagrać tę rolę, gdyż od kilku tygodni widział, jak to robi partnerująca mu aktorka.

Po szybkim przejrzeniu programu Lynley stwierdził, że reżyserem był Stinhurst.

Zanotował w myślach punkt na korzyść intuicji sierżant Havers. Teraz należało już tylko sprawdzić, z jakiej części dramatu „Trzy siostry” pochodzi „list pożegnalny” i kto grał w tej scenie. Lynley domyślał się przebiegu wydarzeń - Hannah poszła na spotkanie z kochankiem z ośmioma stronami skrupulatnie przepisane go tekstu w kieszeni. Miała próbować rolę. Mężczyzna, który ją zamordował, wydarł z jej rękopisu tylko kartkę wyglądającą na list samobójczyny, resztę zabrał ze sobą i wyszedł z młyna, zostawiając jej ciało zwisające z sufitu.

Lynley pozamykał kufry, zgasił światło i zgarnął stertę dzienników oraz program.

Na dole zastał w salonie Teddy'ego. Chłopak siedział z nogami opartymi o tani, poplamiony jedzeniem stół i jadł palcami rybę z niebieskiego blaszanego talerza.

Obok na podłodze stał do połowy opróżniony kufel piwa. Mały kolorowy odbiornik telewizyjny był nastawiony na program sportowy - transmisję z zawodów narciarskich. Na widok Lynleya chłopak zerwał się z miejsca i wyłączył telewizor.

- Czy macie w domu jakieś książki z utworami scenicznymi? - spytał Lynley, choć by! pewien odpowiedzi.

- Książki z utworami scenicznymi? - powtórzył młodzieniec i zaprzeczył ruchem głowy. - Niestety, nie. Ale mamy ptyty. A także różne pisma. - Zorientował się jednak najwyraźniej, że inspektorowi nie chodzi o rozrywkę. - Tata powiedział, że jest pan policjantem. Zabroni! mi z panem rozmawiać.

- A ty, jak widzę, nie wypełniasz jego polecenia.

Chłopak się skrzywił i skinął głową, wskazując na dzienniki, które Lynley trzymał pod pachą.

- Chodzi o mamę, prawda? Przeczytałem je kiedyś. Ojciec zostawił klucz w zamku któregoś wieczoru. Dobrze znam ich treść. - Po chwili, wpychając dłoń do kieszeni niebieskich dzinsów, niezręcznie podjął wypowiedź: - Nie rozmawialiśmy o tym.

Nie sądzę, żeby tata mógł o tym mówić. Czy zawiadomi mnie pan, gdy ten facet zostanie zatrzymany?

Lynley się zawahał. Chłopak znowu się odezwał!:

- Ona była moją matką. Może nie zaliczała się do osób idealnych, ale była moją matką. Nie wyrządziła mi krzywdy. I nie popełniła samobójstwa.

- To prawda. Nie zrobiła tego. Lynley skierował się w stronę drzwi. Zatrzymał się przy nich, obmyślając sposób spełnienia życzenia chłopca.

- Czytaj prasę, Teddy. Jeśli aresztujemy mężczyznę, który zamordował Joy Sinclair, to będzie facet, o którego ci chodzi.

- Czy zamknie go pan również z powodu mojej mamy, inspektorze? Lyniey zastanawiał się przez chwilę, czy nie skłamać, aby oszczędzić chłopcu jeszcze jednej brutalnej prawdy. Ale gdy uważnie się przyjrzał jego miłej, teraz zaniepokojonej twarzy, zrozumiał, że nie może tego zrobić.

- Nie, chyba że sam się do tego przyzna.

Teddy skinął głową z dziecinnie przemądrzałym wyrazem twarzy, ale z powodu mocno zaciśniętych szczęk zbieleła mu broda. Powiedział z rozmyślną, choć przesyconą bólem niedbałością:

- Domyślam się, że nie ma dowodów.

- Masz rację. Ale to będzie ten sam mężczyzna, Teddy. Wierz mi. Chłopak z powrotem podszedł do telewizora. Bawił się gałką, ale nie włączał odbiornika.

- Trochę ją pamiętam. Niech go pan dopadnie - poprosił cichym głosem.

Lyniey postanowił nie tracić czasu i nie narażać się na ryzyko, że nie znajdzie na miejscu biblioteki publicznej, dlatego zrezygnował z zatrzymywania się w Mildenhall i *pojechał prosto* do Newmarket. Jednakże, gdy już się tam znalazł, z powodu wzmożonego o tej porze ruchu ulicznego spędził w korkach ponad dwadzieścia minut. Dopiero kwadrans po szóstej zajechał pod budynek, jakiego szukał. Zaparkował w niedozwolonym miejscu, zostawiając opartą o kierownicę w widocznym miejscu swoją legitymację służbową. Zmartwił się na widok znowu padającego śniegu. Pojmował, że w tej sytuacji każda chwila jest cenna.

Niewłocznie wbiegł po schodach do biblioteki ze zwiniętym programem teatralnym z Norwich w kieszeni płaszcza.

Wnętrze budynku pachniało pszczelim woskiem, starym papierem i przeciążonym centralnym systemem grzewczym. Było to miejsce wysokich okien, ciemnych szaf na książki, mosiężnych lamp z małymi białymi abażurami na stolikach i olbrzymim biurkiem w kształcie litery U, za którym mężczyzna w dobrze skrojonym garniturze i dużych okularach na nosie pompował do komputera informacje. W tym sta-romodnym otoczeniu to urządzenie wydawało się dziwnie nie na miejscu. Ale przynajmniej nie robiło hałasu.

Lyniey podszedł do katalogu, szukając nazwiska Czechow. Po pięciu minutach siedział przy jednym z długich, zniszczonych stołów z otwartym egzemplarzem

„Trzech sióstr” przed sobą. Przerzucił najpierw tekst sztuki, czytając początek każdej kwestii. Gdy dotarł do po-

łowy dramatu, uświadomił sobie jednak, że to, co Hannah powiedziała, mogło pochodzić ze środka kwestii. Przemawiały za tym obszerne wypowiedzi bohaterów, a także sposób, w jaki „list pożegnalny” został oderwany od reszty kartki. Inspektor wrócił do początku, tym razem wolniej przeglądając tekst. Przez cały czas był

świadom, że złe warunki atmosferyczne zahamują ruch pojazdów na drodze do Londynu. Niepokoił się z powodu upływającego czasu i dręczyła go obawa o to, co się może wydarzyć podczas jego

nieobecności w mieście. Niemal trzydzieści minut zajęło mu odszukanie właściwego fragmentu - na dziesiątej stronie czwartego aktu sztuki. Dla pewności przeczytał go dwukrotnie.

Jakie głupstwa, jakie śmieszne drobiazgi nabierają czasami wagi w życiu, i to całkiem nieoczekiwanie, ni z tego, ni z owego. Człowiek kpi z nich, dalej uważa je za głupstwa, a jednak idzie i nie może się zatrzymać. Ach, nie mówmy już o tym! Jestem wesół. Jakbym po raz pierwszy w życiu oglądał te świerki, klony, brzozy, a wszystko patrzy na mnie z ciekawością i czeka. Jak piękne są drzewa i właściwie jak piękne powinno być życie wśród nich!

Muszę iść, czas na mnie... To drzewo już uschło, a mimo to razem z innymi chwieje się na wietrze. I wydaje mi się, że ja też, nawet jeśli umrę, będę jednak dalej z żywymi

- tak czy inaczej. Żegnaj...

Mówiła te słowa niejedna z kobiet, jak Lynley pierwotnie zakładał, lecz mężczyzna; baron Tuzenbach podczas rozmowy z Iriną w ostatniej scenie dramatu. Inspektor wyjął z kieszeni program z Norwich, otworzył go na stronie z obsadą, przesunął

palcem wzdłuż kartki i znalazł to, czego się najbardziej obawiał, a jednocześnie na co liczył. Zimą 1973 roku rolę Tuzenbacha grał Rhys Davies-Jones, Iriny - Joanna Ellacourt, Fieraponta - Jeremy Vinney, a Andrieja - Robert Gabriel.

W końcu Lynley miał potrzebne mu potwierdzenie. Któż bowiem lepiej wiedział

jakiego użyć cytatu, niż aktor, który wypowiadał go na scenie co wieczór?

Człowiek, któremu Helen ufała, którego kochała i w którego niewinność święcie wierzyła.

Lynley odłożył książkę na półkę i poszedł szukać telefonu.

15

Przez cały dzień lady Helen wiedziała, że powinna tryumfować. W końcu dowiedli tego, o czym ona od samego początku była przekonana. Udowodnili, że Tommy się mylił. Poprzez odkrycie przeszłości lorda Stinhursta wykazali, że wszystkie podejrzenia skierowane przeciwko Rhysowi Davies-Jonesowi w związku ze śmiercią Joy Sinclair i Gowana Kilbride'a były bezpodstawne. Wpłynęli tym samym na zmianę kierunku toczącego się śledztwa. Kiedy więc sierżant Havers zatelefonowała do St. Jamesa w południe z informacją, że Stinhurst został zabrany na przesłuchanie i że potwierdził fakt współpracy swojego brata z Sowietami, lady Helen zdziwiła się, że nie ogarnęła jej fala uniesienia.

Tuż po drugiej opuściła dom St. Jamesa i spędziła resztę dnia na przygotowaniach do wieczornego spotkania - miłosnej uroczystości - z Rhysem. Godzinami przemierzała ulice Knightsbridge w poszukiwaniu sukni, która oddawałaby jej nastrój. Wkrótce jednak doszła do wniosku, że nie potrafi określić stanu swojej psychiki. Niczego nie była pewna.

Początkowo usiłowała sobie wmówić, że powodem jej wewnętrznego zamętu jest wyparcie się Stinhursta udziału w zamordowaniu Joy Sinclair i Gowana Kilbride'a.

Wiedziała jednak, że nie zdoła się długo oszukiwać, bo jeśli Stuart Rintoul rzeczywiście jest winien zabójstw w Szkocji, specjaliści od kryminalistyki ze Strathclyde wkrótce znajdą obciążające go dowody - jakiś włos, plamkę krwi lub odciski palców. Musiała spojrzeć prawdzie w oczy i przyznać, co jest prawdziwym źródłem jej emocjonalnego niepokoju - nie chodziło o winę, czy niewinność lorda Stinhursta, lecz o Tommy'ego o jego zrozpaczoną twarz i ostatnie słowa, jakie do niej wypowiedział wczoraj wieczorem.

Zdawała sobie w pełni sprawę, że nie może dopuścić do tego, aby ból Lynleya w jakikolwiek sposób zaważył na jej opinii. Ponieważ Rhys był niewinny. Niewinny. Przez ostatnie cztery dni kurczowo trzymała się tej pewności, nie myśląc o niczym innym i nie poddając się niczym sugestiom.

Pragnęła, żeby w oczach wszystkich został całkowicie oczyszczony. Chciała, by postrzegano go takim, jakim jest w istocie.

Minęła właśnie siódma, gdy taksówka podwiozła ją pod dom na Onslow Square.

Padającemu obficie śniegowi towarzyszył silny wiatr ze wschodu, zawiewający żelazne ogrodzenie trawnika miękkimi czapami białego puchu. Gdy lady Helen poczuła na policzkach i na rękach rozkosznie parzące płatki, przystanęła na chwilę, wdychając mroźne powietrze, i napawała oczy przeobrażeniami, jakim zawsze ulegało miasto po świeżych opadach śniegu. A potem, drżąc na całym ciele, zgarnęła swoje paczki i wbiegła po wyłożonych terakotą schodach do drzwi wejściowych domu, w którym mieszkała. Zaczęła szperać w torebce w poszukiwaniu kluczy, lecz zanim zdążyła je znaleźć, służąca otworzyła drzwi i pośpiesznie wciągnęła ją do środka.

Caroline Shepherd od trzech lat pracowała u lady Helen. Była o pięć lat młodsza od swojej chlebodawczyni i szczerze jej oddana.

Dzięki Bogu! - powiedziała prosto z mostu, zatraskując drzwi, w chwili gdy powiew lodowatego powietrza rozburzył chmurę jej czarnych włosów. -

Niepokoiliam się o panią. Jest już po siódmej. Od pół godziny telefonuje co chwila lord Asherton. A także St. James. I ta policjantka ze Scotland Yardu. A pan Rhys Davies-Jones od dwudziestu minut czeka na panią w salonie.

Lady Helen słuchała służącej w roztargnieniu i dotarła do niej tylko ostatnia wiadomość. Gdy pośpiesznie wchodziły na górę po schodach, wręczyła pakunki młodej kobiecie.

- Och, mój Boże, czyżbym była aż tak spóźniona? Rhys pewnie się już zastanawia, co się ze mną stało. Masz dzisiaj wieczorem wychodne, prawda? Bardzo cię przepraszam, Caroline. Pewnie z mojego powodu nie zdążysz na randkę. Umówiłaś się dzisiaj z Dentonem? Mam nadzieję, że mi wybaczy.

- Zrobi to, gdy go o to poproszę powiedziała z uśmiechem Caroline. - Zaniosę tylko sprawunki do pani pokoju i zaraz znikam.

Lady Helen i Caroline zajmowały największe mieszkanie w budynku - siedem pokoi na pierwszym

piętrze oraz ogromny salon z widokiem na plac na parterze.

Przez rozsunięte zasłony we francuskich drzwiach prowadzących na mały, pokryty kołdrą śniegu balkon sączyło się światło. Stał przy nich Rhys Davies-Jones.

Odwrócił się, gdy lady Helen weszła do pokoju.

- Prawie przez cały dzień trzymali Stinhursta w Scotland Yardzie - oznajmił ze ściągniętymi brwiami.

Zawahała się w progu.

- Tak. wiem o tym.

- Czy oni naprawdę myślą... nie mogę w to uwierzyć, Helen. Znam Stinhursta od lat.

On nie mógłby...

Szybkim krokiem przemierzyła pokój i podeszła do niego.

- Wszystkich ich znasz od lat, Rhys. A jednak ktoś z tego grona ją zabił. A także Gowana.

- Ale Stuart? Nie. Nie mogę... Dobry Boże, dlaczego miałby to zrobić? - spytał

porywczo.

Część jego postaci była ukryta w mroku i lady Helen nie widziała go wyraźnie, ale usłyszała w głosie mężczyzny błagalną prośbę o zaufanie. Ufała mu. Była tego pewna. A pomimo to nie zdobyłaby się na zdradzenie szczegółów dotyczących przeszłości rodziny Stinhursta, ponieważ robiąc to, równocześnie ujawniłaby poniżenie Lynleya i wszystkie błędy, jakie popełnił w ciągu ubiegłych kilku lat. Jej długa przyjaźń z Tommym - choć, być może, już zakończona - sprawiała, że ona nie potrafiłaby wystawić go na pośmiewisko, nawet jeśli sobie na to zasłużył.

- Myślałam o tobie przez cały dzień - powiedziała tylko, kładąc rękę na ramieniu Rhysa. - Tommy wie, że jesteś niewinny. Ja ani przez chwilę w to nie wątpiłam. A teraz jesteśmy tutaj razem. Czy coś poza tym ma jakieś znaczenie?

Jeszcze mówiąc te słowa, wyczuła zmianę w jego postawie. Napięcie ustąpiło.

Wyciągnął do niej rękę, a jego twarz rozjaśniła się ciepłym, cudownym uśmiechem.

- Och, Boże, oczywiście, że nie, Helen. Liczysz się tylko ty i ja. -Przyciągnął ją do siebie, pocałował i wyszeptał jedno słowo: „kochana”. Nieważne, że od kilku dni przeżywali koszmar. To należało już do przeszłości. Teraz nadeszła pora, żeby znowu spojrzeć w przyszłość. Odciągnął ją od okna i zaprowadził do kanapy stojącej przed niskim kominkiem w przeciwległym kącie pokoju. Przytulił ją i znowu pocałował. Tym razem zrobił to z większą pewnością siebie i z narastającą namiętnością, która jej też się udzieliła. Po długiej chwili uniósł głowę i ojcowskim gestem pogłaskał Helen po policzku i po karku. - To szaleństwo, Helen.

Przyszedłem, żeby cię zaprosić na kolację, a stwierdzam, że myślę tylko o tym, żeby cię wziąć do łóżka. Przyznaję się do tego ze wstydem. Lepiej stąd wyjdźmy, zanim całkowicie stracę zainteresowanie posiłkiem.

Podniosła rękę do jego policzka i uśmiechnęła się z czułością, po-czuwszy, jaki jest rozpalony.

Rhys zamruczał pod wpływem jej pieszczoty, znów się nad nią pochylił, a jego dłonie rozpięły guziki bluzki. A potem jego ciepłe usta przesunęły się wzdłuż jej nagiej szyi i ramion. Palce musnęły piersi.

- Kocham cię - szepnął i ponownie odszukał jej usta. Rozległ się przenikliwy dźwięk telefonu.

Odskoczyli od siebie, jak gdyby do pokoju nagle wtargnął jakiś intruz, pełni poczucia winy. Nikt nie odbierał telefonu. Dopiero po czwartym działającym na nerwy, brzęczącym dzwonku lady Helen uświadomiła sobie, że Caroline ma dzisiaj wolne i wyszła z domu o dwie godziny później, niż planowała. Byli w mieszkaniu tylko we dwoje z Rhysem.

Z wciąż mocno bijącym sercem skierowała się do holu i po dziewiątym sygnale podniosła słuchawkę.

- Helen. Dzięki Bogu. Dzięki Bogu. Czy Davies-Jones jest u ciebie? To był Lynley.

Słyszac napięcie w jego głosie, nieomylnie świadczące o silnym zaniepokojeniu, lady Helen zamarła. Czowała, jak jej umysł ogarnia bezwład.

- O co chodzi? Gdzie jesteś? - Zauważyła, że nieświadomie ścisza głos.

- Dzwonię z budki w pobliżu Bishop's Stortford. Na M1 1 miał miejsce duży wypadek, a wszystkie boczne drogi, w jakie się zapiściłem, były nieprzejezdne z powodu śniegu. Nie mam pojęcia, o której zdołam dotrzeć do Londynu. Czy Havers już z tobą rozmawiała? Otrzymałaś wiadomość od St. Jamesa? Do diabła z tym, nie odpowiedziałaś na moje pytanie. Czy Davies-Jones jest u ciebie?

- Dopiero przed chwilą wróciłam do domu. O co chodzi? Czy wydarzyło się coś złego?

- Odpowiedz mi. Czy on jest razem z tobą?

Rhys wciąż siedział na kanapie w salonie. Pochylał się w stronę ognia i obserwował

plomień. Lady Helen widziała grę światła na jego twarzy i kręconych włosach. Nie mogła wydobyć z siebie słowa. Natarczywy ton Lynleya powstrzymywał ją przed tym.

Inspektor zaczął szybko mówić, przekazując jej zatrważające słowa i żarliwie usiłując przekonać ją o ich prawdzie:

- Posłuchaj mnie, Helen. Była pewna dziewczyna, niejaka Hannah Darrow. Poznał

ją, gdy grał w „Trzech siostrach” w Norwich, pod koniec stycznia 1973 roku. Mieli ze sobą romans. Ona była mężatką

z dzieckiem. Zamierzała dla niego porzucić męża i syna. Obiecał, że załatwi jej przesłuchanie w teatrze. Nauczyła się roli, którą dla niej wybrał, wierząc, że potem uciekną razem z nim do Londynu. Ale tego wieczoru, kiedy mieli wyjechać, zamordował ją. A potem, pozorując samobójstwo, powiesił ją we młynie. Zdołała jedynie wyszeptać:

- Nie. Stinhurst...

- Stinhurst nie ma nic wspólnego z morderstwem Joy! Sinclair zamierzała napisać o Hannah Darrow. Jej nowa książka miała być poświęcona tamtej kobiecie. Ale popełniła błąd, zdradzając swoje zamiary Rhysowi Davies-Jonesowi. Telefonowała do niego do Walii. Na magnetofonie, który nosiła w torebce, zarejestrowała nawet przypomnienie dla siebie samej - chciała się poradzić Davies-Jonesa, jak podejść Johna Darrowa, męża Hannah. Nie rozumiesz? Rhys przez cały czas wiedział, że Joy pisała tę książkę. Został o tym poinformowany już w ubiegłym miesiącu.

Zasugerował więc Joy, żeby zarezerwowała dla ciebie sąsiedni pokój, aby mógł

mieć do niej łatwy dostęp. Od szóstej moi ludzie go wszędzie szukają. Na miłość boską, Helen, powiedz, czy on jest u ciebie?

Zbierała w sobie wszystkie siły, które powstrzymałyby ją przed udzieleniem odpowiedzi. Pały ją oczy, czuła suchość w gardle i miała wrażenie, że ktoś ścisną w imadle jej żołądek. I choć walczyła z nasuwającymi się, jakże żywymi wspomnieniami, wyraźnie słyszała głos Rhysa oraz pełne potępienia słowa, które z taką łatwością wypowiedział w Westerbrae: „Spędziłem zimowy sezon teatralny w Norfolk i w Suffolk... a kiedy wróciłem do Londynu, jej już nie było”.

- Hannah zostawiła dziennik - wytoczył w rozpaczy Lynley kolejny argument. - A także program teatralny. Widziałem jedno i drugie. I wszystko przeczytałem. Helen, błagam cię, uwierz mi, kochanie. Mówię prawdę!

Spostrzegła kątem oka, że Rhys wstał, podszedł do kominka i sięgnął po pogrzebacz. Spojrzał w jej kierunku. Miał posępny wyraz twarzy. Nie! To niemożliwe. To absurd. Nie jest w niebezpieczeństwie. Nic jej nie zagraża ze strony Rhysa. Nie mógłby być mordercą. Nie zabił swojej kuzynki. Nie potrafiłby nikogo skrzywdzić. Tommy mówi! dalej:

- Zaaranżował to tak, że własnoręcznie przepisała scenę z dramatu, a potem wykorzystał część tego tekstu i zostawił ją na miejscu zbrodni jako list pożegnalny.

Ale słowa... pochodziły z jego własnej

kwestii w sztuce. Z monologu Tuzenbacha. To on był Tuzenbachem. Zamordował

troje ludzi, Helen. Gowan zmarł w moich ramionach. Na miłość boską, odpowiedz mi. No, mów! Nie zwlekaj!

Usta ułożyły się same wbrew jej woli, i wypowiedziały straszliwe słowo:

-Tak.

- Jest u ciebie? I znowu: -Tak.

- Jesteś z nim sama? Tak.

- Ach, mój Boże. Czy Caroline ma wychodne? Było to bardzo łatwe. A słowo dziecinnie proste. - Tak.

Lynley mówił dalej, a Rhys odwrócił się do ognia, pogrzebał w nim, dorzucił polano i wrócił na kanapę. Obserwując go, zdała sobie sprawę z konsekwencji tego, co przed chwilą zrobiła, i z wyboru, jakiego właśnie dokonała. Poczła pod powiekami piekące Izy, a w gardle skurcz, i wiedziała, że jest zgubiona.

- Posłuchaj mnie uważnie, Helen. Chcę go śledzić, dopóki nie dostaniemy końcowego raportu specjalistów od kryminalistyki ze Strathclyde. Mógłbym go od razu zatrzymać. Problem w tym, że na razie nic na niego nie mamy. Zaraz zadzwonię do stołecznej policji. Wyślą do ciebie policjanta, ale to może potrwać ze dwadzieścia minut. Czy możesz go do tego czasu zatrzymać? Czy czujesz się przy nim na tyle bezpieczna, żeby się podjąć tego zadania?

Staczała ze sobą straszliwą walkę, starając się opanować ogarniającą ją rozpacz. Nie była w stanie się odezwać.

Lynley, sądząc z głosu, również wydawał się zraniony.

- Helen! Odpowiedz! Zdołasz z nim pozostać jeszcze dwadzieścia minut? Na miłość boską...

Miała zdrętwiałe i zupełnie suche wargi.

- Mogę to zrobić. Z łatwością.

Przez chwilę nie padły żadne słowa, jak gdyby Lynley analizował w myślach sens jej odpowiedzi. A potem spytał ostro:

- Jakie on ma plany wobec ciebie na dzisiejszy wieczór? Milczała.

- Odpowiedz! Zamierza pójść z tobą do łóżka? - A kiedy wciąż się nie odzywała, zawołał:

- Proszę cię, Helen, odpowiedz! Ustyszafa swój własny, peien rozpacz szept:

- To akurat powinno bez trudu zająć dwadzieścia minut, nie sądzisz?

- Nie! Helen! Nie... - wrzeszczał, kiedy odkładała słuchawkę.

Stała z pochyloną głową, starając się odzyskać panowanie nad sobą. Teraz Lynley łączył się ze Scotland Yardem i od tej chwili rozpoczynał się bieg owych dwudziestu minut.

Wydawało jej się dziwne, że nie odczuwa strachu. W uszach dudniły jej uderzenia serca i miała wyschnięte gardło, ale się nie bala. Przebywała w mieszkaniu sam na sam z mordercą, od Tommy'ego

dzieliły ją kilometry, a śnieżna nawałnica uniemożliwiała ucieczkę. A pomimo to wcale nie była przerażona. Gdy pod powiekami wezbrały piekące łzy, które domagały się ujścia, zrozumiała, dlaczego nie odczuwa lęku - wszystko nagle straciło sens. Teraz już nic nie miało dla niej znaczenia. A kwestia przeżycia stała się jej absolutnie obojętna.

Barbara Havers odebrała telefon od Lynleya po drugim sygnale. Było piętnaście po siódmej i od dwóch godzin siedziała przy jego biurku, paląc jednego papierosa za drugim. Miała obolałe od dymu gardło i mocno napięte nerwy. Słyszając głos szefa w słuchawce, odczuła wielką ulgę, a nagłe odprężenie zmanifestowało się wybuchem złości. Zaraz jednak przerwała stek przekleństw, gdyż wychwyciła wyraźnie brzmiące w słowach Lynleya napięcie.

- Havers? Gdzie jest konstab! Nkata?

- Nkata? - powtórzyła głupio. - Pojechał do domu.

- Niech go pani z powrotem ściągnie. Chcę, żeby się stawił na Onslow Square. I to natychmiast!

Zgasiła papierosa i sięgnęła po kartkę papieru.

- Znalazł pan Rhysa Davies-Jonesa?

- Jest u Helen. Chcę, żeby był śledzony. W razie konieczności będziemy zmuszeni go zatrzymać.

- Na jakiej podstawie? - spytała z niedowierzaniem. - Nie mamy żadnego punktu zaczepienia oprócz informacji z dziennika Hannah Darrow. Jest to równie kruchy dowód jak ten, który przemawiał za winą Stinhursta. Sam pan przyznał, że z wyjątkiem Irene Sinclair każda z czterech osób obecnych w Westerbrae uczestniczyła w spektaklach teatralnych w Norwich w 1973 roku. Sprawa w dalszym ciągu dotyczy Stinhursta. Poza tym Macaskin...

- Niech się pani ze mną nie spiera, Havers. W tej chwili nie mam czasu na wysłuchiwanie pani argumentów. Proszę zrobić to, co powiedziałem. A potem niech pani zatelefonuje do Helen i zatrzymają przy telefonie co najmniej przez pół godziny. A nawet dłużej, jeśli pani zdoła. Zrozumiała mnie pani?

- Przez pół godziny? Czym mam ją zabawiać? Opowieściami z mojego za kichanego życia?

Lynley wydal jakiś nieartykułowany odgłos świadczący o krańcowym rozdrażnieniu.

- Do diabła, niech pani natychmiast wykona moje polecenie! I czeka na mnie w Scotland Yardzie!

Połączenie zostało przerwane.

Havers zatelefonowała do komisarza Nkaty, wysłała go w drogę, cisnęła słuchawkę na widełki i zapatrzyła się ponuro w dokumenty leżące na biurku Lynleya. Były to informacje z biura śledczego w Strathclyde - raport dotyczący odcisków palców, wyniki badania struktury włókien, analizy plam krwi, czterech włosów znalezionych w pobliżu łóżka oraz koniaku przyniesionego przez Rhysa Davies-Jonesa do pokoju Helen. A wszystko to sprowadzało się do zera. Nie mieli jednego

konkretnego argumentu, który natychmiast nie zostałby podważony nawet przez niezbyt biegłego adwokata.

Barbarę niepokoiła myśl, że Lynley jeszcze nie zdaje sobie z tego sprawy. I jeśli zamierzali postawić Rhysa Davies-Jonesa lub kogokolwiek innego przed sądem, nie mogli liczyć na to, że zrobią to na podstawie niepodważalnego dowodu, dostarczonego przez inspektora Macaskina ze Szkocji.

Miała na imię Lynette. Gdy leżała pod nim, wijąc się w zapamiętaniu i jęcząc z uznaniem przy każdym jego pchnięciu, Robert Gabriel musiał trzymać się w ryzach, żeby nie nazwać jej innym imieniem. Podczas ubiegłych kilku miesięcy było ich tak wiele. Któż zdołałby je wszystkie spamiętać? W odpowiedniej chwili jednak przypominał sobie, kim dziewczyna jest - dziewiętnastoletnią praktykantką, poznającą tajniki scenografii w Agincourt Theatre; cienki żółty podkoszulek i obcisłe dżinsy leżały teraz gdzieś na podłodze w jego pogrążonej w mroku garderobie. Prędko odkrył ku swojej ogromnej radości, że dziewczyna nic więcej na sobie nie ma.

Jej paznokcie wbiły się w jego plecy. Wydał pomruk zadowolenia, choć zdecydowanie wolałby, żeby inaczej sygnalizowała potęgującą się rozkosz.

Kontynuował stosunek, obchodząc się z dziewczyną

w sposób, jaki wyraźnie preferowała - dość brutalnie. Starał się przy tym nie wdychać woni jej ciężkich perfum ani ledwo wyczuwalnego oleistego zapachu, jaki wydzielały jej włosy. Oddał się rozmyślaniom o innych sprawach, mrużąc cicho dla zachęty do czasu jej pełnego zaspokojenia - do momentu, kiedy mógł zacząć dążyć do osiągnięcia własnej satysfakcji. Lubił uważać siebie za partnera, który bardziej dba o kobiety niż większość mężczyzn i któremu naprawdę zależy na tym, żeby odczuwały przy nim zadowolenie.

- Och, nie przerywaj! Nie zniosę tego!

Ani ja, pomyślał Gabriel, gdy jej paznokcie tańczyły niepohamowanie wzdłuż jego kręgosłupa. Gdy recytując w myślach, dojrzał do trzech czwartych trzeciego monologu Hamleta, ekstatyczne łkania dziewczyny osiągnęły crescendo. Jej ciało wygięło się w łuk. Wrzasnęła przeraźliwie, a paznokcie zatopiły się w jego pośladkach. Gabriel zanotował w myślach, żeby w przyszłości stronić od nastolatek.

W decyzji tej utwierdziło go dalsze zachowanie Lynette. Po osiągnięciu zadowolenia przypominała bezwładny przedmiot, była całkiem bierna i najwyraźniej niezbyt skora do czekania, aż on się zaspokoi. Zrobił to bardzo prędko, wykrzykując z udawanym zachwytem w stosownym momencie jej imię *i* marząc przy tym, podobnie jak ona, żeby czym prędzej doprowadzić to spotkanie do końca.

Pomyślał, że może projektantka kostiumów okaże się jutro bardziej trafnym wy-borem.

- Było niezłe, co? - zapytała Lynette, ziewając, gdy skończył. Usiadła, spuściła nogi z kanapy i po omacku zaczęła szukać na podłodze swojego ubrania. - Masz zegarek?

Gabriel spojrział na podświetlony cyferblat.

- Jest kwadrans po dziewiątej - odparł i wbrew przemożnej chęci jak najszybszego pozbycia się dziewczyny przesunął dłonią w górę jej pleców.

- Powtórzmy to jutro wieczorem, Lyn. Doprowadzasz mnie do szaleństwa -

wymruczał, na wypadek gdyby się okazało, że projektantka kostiumów jest nieosiągalna.

Zachichotała, wzięła go za rękę i położyła ją na swoich piersiach o rozmiarach melonów. Pomimo jej młodego wieku stały się już trochę obwisłe - był to skutek nienoszenia stanika.

- Nie mogę, skarbie. Mój mąż jest dzisiaj w drodze, ale jutro wieczorem wraca.

Gabriel poderwał się gwałtownie.

- Twój mąż? O Chryste! Dlaczego nie powiedziałaś mi, że jesteś mężatką?

Lynette znów zachichotała, wbijając się w dzinsy.

- Nie pytałeś o to, prawda? Jeździ ciężarówką i nie ma go przynajmniej przez trzy noce w tygodniu. Tak więc...

Boże! Kierowca ciężarówki! O kamieniach zamiast mięśni i współczynnika inteligencji dużej dyni!

- Posłuchaj, Lynette - powiedział pośpiesznie. - Ostudźmy nasze zapały. Nie chcę wchodzić w drogę twojemu mężowi.

Wyczuł raczej, niż dostrzegł, jej niedbałe wzruszenie ramion. Wciągnęła wreszcie dzinsy i odrzuciła włosy do tyłu. Znowu doszedł go ich nieprzyjemny zapach. I znowu wstrzymał oddech.

- Jest dość tępy - wyznała. - Nigdy się o tym nie dowie. Nie musimy się go obawiać, dopóki jestem na miejscu, ilekroć mnie potrzebuje.

- Nie byłbym tego taki pewien - rzekł Gabriel. Poklepała go po policzku.

- Daj mi znać, kiedy znowu najdzie cię ochota na figle. Nie jesteś zły. Trochę zbyt powolny, ale to kwestia wieku.

- Mojego wieku? - upewnił się.

- Oczywiście - oświadczyła pogodnym tonem. - Kiedy facet posuwa się w latach, potrzebuje trochę więcej czasu, żeby się rozgrzać, prawda? Ja to rozumiem. - Na czworakach zaczęła przeszukiwać podłogę.

- Nie widziałaś mojej torebki? O, jest! No to już idę. Może spotkamy się w niedzielę? W tym czasie mój Jim znowu będzie w drodze. - Rzuciwszy te słowa na pożegnanie, podeszła do drzwi i zostawiła go samego w ciemnościach.

Mój wiek, pomyślał i usłyszał ironiczny chichot swojej matki. Wiedział, że zapaliłaby jednego z tych swoich idiotycznych, tureckich papierosów, obrzucając go pełnym namysłu spojrzeniem i starając się przy tym zachować obojętną minę.

Miałaby typowy wyraz twarzy psychoanalityka. Nienawidził jej, ilekroć go przybierała, i przeklinał siebie za to, że urodził się synem kobiety, będącej wyznawczynią teorii Freuda. To, z czym mamy do czynienia, powiedziałaaby, jest typowe dla mężczyzny w twoich latach, Robercie. Kryzys wieku średniego, nagła świadomość nadciągającej starości, zwątpienie w sens życia i szukanie lekarstwa na odmłodzenie się. Twój nadmierny popęd seksualny jest bodźcem do odkrywania nowych sposobów samookreślenia się. Obawiam się jednak, że zawsze sprowadzają się one do spraw seksu. Najwyraźniej na tym polega twój dylemat. Stawia to w bardzo przykrych sytuacjach twoją żonę, która jako jedyna oddziałuje na ciebie stabilizująco. Ale ty się boisz Irene, prawda? Nigdy nie potrafiłeś sprostać wymogom jej kobiecości. Zawsze była w stosunku do ciebie zbyt wymagająca. Domagała się od ciebie dojrzałego stosunku do życia, na który nie było cię stać. Dopadłeś więc jej siostry, żeby ją ukarać i żeby się znowu poczuć młodo. Ale nie zdołasz wszystkiego zdobyć, chłopcze. Ludzie, którzy zbyt wiele pragną, przeważnie kończą na niczym.

Najbardziej bolesny był fakt, że matka mówiła prawdę. Od początku do końca.

Gabriel jęknął, usiadł i zaczął rozglądać się za ubraniami. Nagle otworzyły się drzwi do garderoby.

Skierował wzrok w stronę wejścia i dostrzegł krępa sylwetkę na tle pogrążonego w całkowitych ciemnościach korytarza. Zdażył tylko pomyśleć, że ktoś pogasił

wszystkie światła w holu, gdy postać wtargnęła do środka i przebiegła przez pokój.

Gabriela doszedł zapach whisky, papierosów i drażniący odór potu. A potem na jego twarz, piersi i plecy spadł grad ciosów. Usłyszał raczej, niż poczuł, trzask pękających żeber. W ustach miał smak krwi i rozdarłe dziąsło, gdyż ząb wbił się w policzek.

Napastnik sapał z wysiłku, zapluwaf się z wściekłości i z dziką zawziętością wymierzył ostatni, czwarty już cios pomiędzy nogi Gabriela.

- Odtąd trzymaj swojego kutasa w portkach, ty draniu. Gabriel pomyślał tylko: absolutnie żadnych nastolatek w przyszłości, i straci! przytomność.

Lynley odłożył słuchawkę i spojrzał na Barbarę.

- Nikt nie odpowiada - rzekł. Dostrzegła skurcz mięśni na jego twarzy.

- O której Nkata po raz pierwszy zadzwonił?

- Kwadrans po ósmej odparła.

- Gdzie wtedy był Davies-Jones?

- Wszedł do sklepu monopolowego w pobliżu stacji Kensington. Nkata znajdował

się na zewnątrz, w budce telefonicznej.

- Czy reżyser był sam? Nie zabrał ze sobą Helen? Jest pani tego pewna?

- Nikogo przy nim nie było, sir.

- Ale rozmawiała z nią pani, prawda, Havers? Potem, gdy już Davies-Jones opuścił jej mieszkanie?

Barbara skinęła głową z narastającą troską o inspektora. Wolałaby jej nie odczuwać.

Wyglądał na skrajnie wyczerpanego.

- Zatelefonowała do mnie, sir. Tuż po jego wyjściu.

- I co powiedziała?

Barbara cierpliwie jeszcze raz powtórzyła słowa lady Helen:

- Powiadomiła mnie tylko, że wyszedł. Próbowałam przedtem zatrzymać ją przy telefonie przez dwadzieścia minut, jak pan o to prosił. Ale ona nie miała ochoty na rozmowę, inspektorze. Powiedziała tylko, że ma gościa i że skontaktuje się ze mną później. I to wszystko. Szczerze mówiąc, odniosłam wrażenie, że nie chciała skorzystać z mojej pomocy. - Barbara dostrzegła zaniepokojenie na twarzy Lynleya.

- Być może jeszcze wtedy... nie uważała go za mordercę... - dokończyła.

Lynley odchrząknął.

- Wykluczone. Została już o tym uprzedzona.

Przyciągnął do siebie leżące na blacie biurka notatki Havers. Znajdowały się tam dwa rodzaje informacji. Pierwsze dotyczyły wyników przesłuchania Stinhursta, a drugie zawierały końcowy raport inspektora Macaskina z urzędu śledczego w Strathclyde. Lynley włożył okulary i zagłębił się w lekturze. Z powodu późnej pory za drzwiami jego gabinetu ucichł panujący zwykle w wydziale zgiełk. Tylko dzwonek telefonu, od czasu do czasu czyjś podniesiony głos i nagły wybuch śmiechu świadczyły o tym, że nie są sami w budynku. Padający za oknem śnieg tłumił odgłosy miasta.

Barbara siedziała naprzeciwko inspektora z pamiętnikiem Hannah Darrow w jednej ręce i z programem teatralnym z „Trzech sióstr” w drugiej. W całości zapoznała się z ich treścią i teraz czekała, jak Lynley oceni materiały przygotowane przez nią w czasie, gdy był we wschodniej Anglii i tkwił uwięziony w korku w drodze powrotnej do Londynu.

Zauważyła, że podczas czytania zmarszczył brwi. Przeżycia ostatnich dni wyraźnie wycisnęły na nim swoje piętno. Odwróciła wzrok, starając się na podstawie uważnej obserwacji stwierdzić, co w urządzeniu biura odzwierciedla dwoistość charakteru inspektora. Biblioteczne półki ugięły się pod

ciężarem fachowych książek. Były tam podręczniki prawa, prace poświęcone zagadnieniom medycyny sądowej, komentarze do wyroków i szereg opracowań z Instytutu Badań Policyjnych, oceniających skuteczność działania Scotland Yardu. Księgozbiór wydawał się dość standardowy, zważywszy na to, że jego właścicielem był człowiek skoncentrowany na własnej karierze zawodowej. Ściany gabinetu jednak, choć niewiele na nich wisiało, przedstawiały Lynleya odartego z profesjonalnej osobowości - mężczyznę o psychice targanej licznymi wstrząsami. Dwie litografie z rejonu południowo-zachodniej Ameryki dowodziły jego nieodpartego zamiłowania do ciszy i spokoju, a pojedyncza fotografia ujawniała, co od dawna inspektorowi leży na sercu.

Było to stare zdjęcie St. Jamesa zrobione jeszcze przed wypadkiem, który kosztował go utratę nogi. Barbara zwróciła uwagę na najdrobniejsze szczegóły - na sposób, w jaki St. James stoi i opiera się skrzyżowanymi rękami o młotek do gry w krykieta, na duże, poszarpane rozdarcie na lewym kolanie jego białych flanelowych spodni, na zabrudzony trawą materiał i plamę tworzącą kłębiasty cień na biodrze oraz szczerze uradowaną minę, wyraz niczym nie zakłóconej radości. Lato przeminęło, pomyślała Barbara. Dla St. Jamesa lato skończyło się na dobre.

Doskonale wiedziała, dlaczego fotografia została tutaj powieszona. Odwróciła od niej oczy.

Lynley siedział z pochyloną głową i podpierał się na rękę. Trzema palcami pocierał

brew. Dopiero po dłuższej chwili podniósł wzrok, zdjął okulary i napotkał spojrzenie Barbary.

- Nie ma tu nic, na podstawie czego moglibyśmy dokonać aresztowania -

powiedział, wskazując przekazane przez Macaskina informacje.

Barbara się zawahała. Jego gniew podczas dzisiejszej rozmowy niemal przekonał ją, że popełniła błąd, domagając się przymknienia Stin-hursta. Długo namyślała się nad odpowiedzią i nad podkreśleniem oczywistych faktów. Okazało się to jednak zbyt słabe. Lynley najwyraźniej sam je dostrzegał.

- Przecież, na Boga, nie mogę zamknąć Davies-Jonesa na podstawie programu teatralnego sprzed piętnastu lat. Jeśli to nasz jedyny dowód, równie dobrze możemy ich wszystkich wsadzić za kratki.

- Ale to lord Stinhurst spalił w Westerbrae kopie sztuki - zauważyła Barbara. - Nie powinniśmy tego faktu tracić z oczu.

- Jeśli zamierza pani dowieść, że to on zabił Joy, aby zapewnić sobie jej milczenie na temat swojego brata, to tak. Rzeczywiście powinniśmy brać pod uwagę tę okoliczność - zgodził się Lynley. - Tyle tylko że z chwilą ukazania się sztuki Joy i ujawnienia historii o Geoffreju Rintoulu Stinhurst byłby co najwyżej narażony na utratę dobrego imienia rodziny. Zabójcę Hannah Darrow natomiast czekało zdema-skowanie, proces sądowy i więzienie, gdyby Sinclair napisała swoją książkę. Czyje motywacje wydają się pani logiczniej pasować do morderstwa?

- Być może... - Barbara wiedziała, że swoją sugestią musi przekazać w sposób niezwykle delikatny - ...mamy podwójny motyw, lecz jednego mordercę.

- Znowu Stinhursta?

- To on reżyserował „Trzy siostry” w Norwich, inspektorze. I może on był tym mężczyzną, którego poznała Hannah Darrow. Poza tym mógł dostać klucz do pokoju Joy od Franceski.

- Proszę przeanalizować fakty, o których pani zapomniała, Havers. Z gabinetu Joy Sinclair zostały usunięte materiały dotyczące Geoffreya Rintoula. Wszystko zaś, co dotyczyło Hannah Darrow - i co doprowadziło nas do odkrycia okoliczności jej śmierci w 1973 roku - leżało na widocznym miejscu.

- Oczywiście, sir. Ale przecież Stinhurst nie mógł poprosić chłopców z kontrwywiadu, żeby zatarli również wszelkie ślady dotyczące Hannah Darrow.

Osoba ta nie była przedmiotem zainteresowania rządu. Tragedia jej rodziny nie została objęta tajemnicą państwową. A poza tym skąd mógł wiedzieć, co Joy Sinclair zdołała ustalić w związku z zabójstwem Hannah Darrow? Przecież tylko wspomniała o Johnie Darrowie podczas kolacji. Jeśli Stinhurst... w porządku, jeśli zabójca nie był przed owym feralnym weekendem w gabinecie Joy, skąd mógł mieć pewność, jakie zebrała materiały w tej sprawie?

Lynley zapatrzył się gdzieś poza nią. Odgadła z wyrazu jego twarzy, że doznał

nagłego olśnienia.

- Podsunęła mi pani pewien pomysł, Havers. - Zaczął bębnić palcami po blacie biurka. Skierował wzrok na dziennik, który Barbara trzymała w dłoniach. - Sądzę, że obejdziemy się bez dowodów w urzędzie śledczego w Strathclyde - oznajmił w końcu. - Ale będziemy potrzebowali pomocy Irene Sinclair.

- Irene Sinclair?

W zamyśleniu skinął głową.

- W niej cała nasza nadzieja. Jest jedyną osobą z ich grona, która nie brała udziału w inscenizacji „Trzech sióstr” w 1973 roku.

Poinformowani przez sąsiadkę, która została ściągnięta do zaopiekowania się zdenerwowanymi dziećmi, znaleźli Irene Sinclair nie w jej domu w Bloomsbury, lecz w poczekalni pogotowia na terenie pobliskiego szpitala University College.

Gdy weszli, zerwała się na równe nogi.

- Prosił, żeby nie zawiadamiać policji! - zawołała histerycznie. - Skąd... w jaki sposób... Czy telefonował do was lekarz?

- Byliśmy u pani w domu. - Lynley pociągnął ją do jednej ze stojących rzędem pod ścianą kanap. W pomieszczeniu panował większy niż zazwyczaj tłok. Wśród oczekujących pełno było ofiar różnych chorób i wypadków, którzy manifestowali swoje przypadłości krzykami, jękami i odgłosami, jakie zwykle towarzyszą nudnościom. W powietrzu unosił się typowy dla wszystkich szpitali zapach leków

i środków dezynfekcyjnych.

- Co się stało?

Irene zapadła się w kanapę i, podpierając policzek dłonią, pokręciła głową.

- Robert został pobity. W teatrze.

- W nocy? Co tam robił o tak późnej porze?

- Przeglądał swoją rolę. Jutro rano mamy drugie czytanie sztuki i chciał się przekonać, jak jego tekst zabrzmiał na scenie.

Lynley stwierdził, że ona sama nie wierzy w tę historię.

- Czy znajdował się na scenie w chwili, kiedy został zaatakowany?

- Nie, wrócił do swojej garderoby, żeby się czegoś napić. Ktoś zgasił światła i wszedł tam za nim. Potem Robert dowlóknął się jakoś do telefonu. Mój numer był

jedynym, jaki zdołał sobie przypomnieć. -Ostatnie słowa zabrzmiały tak, jak gdyby usprawiedliwiała swoją obecność w szpitalu.

- Nie pamiętał numeru pogotowia?

- Nie chciał w to mieszać policji. - Spojrzała na nich z zaniepokojeniem. - Aleja się cieszę, że przyjechaliście. Może zdołacie przemówić mu do rozsądku. Dla mnie to oczywiste, że miał być kolejną ofiarą!

Lynley przysunął bliżej niewygodne krzesło z plastiku, żeby zasłonić Irene przed wścibskimi spojrzeniami gapiów. Havers postąpiła podobnie.

- Skąd to przypuszczenie? - spytał Lynley.

Twarz Irene wydawała się napięta, jak gdyby te trzy słowa wprawiły kobietę w zakłopotanie. Coś jednak podpowiedziało Lynleyowi, że była to część zaimprovizowanego naprędce przedstawienia, które specjalnie przed nim zamierzała odegrać.

- A jak pan sądzi? Z jakiego powodu został napadnięty? Ma złamane dwa żebra, podbite oczy i stracił ząb. Kto inny mógłby być odpowiedzialny za ten atak agresji?

- Morderca, którego szukamy, nie działa w ten sposób - podkre-

ślił Lynley. - Mamy do czynienia ze sprawcą, który posługuje się nożem, a nie pięściami. Wypadek pani męża nie wygląda na usiłowanie zabójstwa.

- Dlaczego zatem został pobity? Czy ma pan jakąś koncepcję w tej sprawie? -

Zadając pytania, wyprostowała się sztywno, jak gdyby czuła się urażona i nie mogła zaakceptować odmiennej od swojej opinii policjanta.

- Sadzę, że pani zna odpowiedź. Przypuszczam, że nie przekazała nam pani wszystkiego o wydarzeniach, jakie się rozegrały dzisiejszej nocy. Chroni go pani.

Ale dlaczego? Czym, na Boga, zasłużył sobie na tak wielkie oddanie? Zranił panią na wszystkie możliwe sposoby. Odnosił się do pani pogardliwie i nawet nie starał się tego przed nikim ukrywać. Ireń, niech pani mnie posłucha...

Podniosła do góry dłoń. Lynley domyślił się, że krótkie przedstawienie dobiegło końca, Udręka zabrzmiała w jej głosie, gdy Ireń odezwała się: W porządku. Nie o wszystkim powiedziałam. Był z kobietą. Nie wiem, co to za osoba. Nigdy by mi nie wyjawiał jej nazwiska. Kiedy przyjechałam do teatru... on wciąż... nie był w stanie... - Jąkała się, szukając odpowiednich słów. - Nie zdołał

doprowadzić do porządku swojego ubrania.

Lynley nie wierzył własnym uszom. Jak ciężkim przeżyciem musiało być dla niej pośpieszenie mężowi na pomoc i ucieszenie jego lęku, gdy już nieomylnie rozpoznała zapach niedawnego stosunku i zmuszona była ubrać go w te same rzeczy, które zdarł z siebie w pośpiechu, żeby kochać się z inną kobietą.

- Usiłuję zrozumieć, dlaczego pani wciąż poczuwa się do lojalności wobec mężczyzny, który posunął się do tego, żeby zdradzić panią z pani rodzoną siostrą. -

Inspektor mówi! powoli i z namysłem ważył każde słowo. Nie mieściło mu się w głowie, czemu Ireń postanowiła kryć Roberta dzisiejszego wieczoru. Wróci!

myślami do zeznań kobiety o przebiegu wydarzeń nocy, kiedy zginęła Joy Sinclair, i dostrzegł w jej postępowaniu wyraźną prawidłowość.

- Nie powiedziała mi pani również wszystkiego o tamtej nocy, kiedy zmarła pańska siostra. Nawet w tamtej sprawie chroniła go pani, dlaczego?

Na moment zamknęła oczy.

- Jest ojcem moich dzieci - odparta z godnością.

- Czy sądzi pani, że osłaniając go, również i je pani chroni?

- W pewnym sensie tak.

John Darrow nie ująłby tego lepiej. Ale tym razem Lynley wiedział, jaki nadać kierunek rozmowie. Teddy Darrow wskazał mu drogę.

- Dzieci zwykle odkrywają najgorszą prawdę o swoich rodzicach, bez względu na to, jak bardzo dorośli pragnęliby je przed tym powstrzymać. Pani milczenie nie służy obecnie innemu celowi niż

krycie zabójcy pani siostry.

- On tego nie zrobił. Nie byłby do tego zdolny. Mogę uwierzyć niemal we wszystko, ale w nie w to, że zabójcą jest Robert.

Lynley pochylił się w jej stronę i nakrył swoimi dłońmi jej zziębnięte ręce.

- A jednak przypuszcza pani, że to on zabił pańską siostrę, i nie dzieli się pani ze mną swoimi podejrzeniami, aby w ten sposób chronić swoje dzieci. Chce im pani oszczędzić upokorzenia, że mają ojca mordercę.

- On nie byłby do tego zdolny. Nie mógłby tego zrobić.

- Uważa pani, że to on jest sprawcą jej śmierci. Dlaczego?

- Jeśli to nie Gabriel zabił pani siostrę, informacje, jakie nam pani przekaże, mogą mu tylko pomóc - odezwała się sierżant Havers.

Irene Sinclair pokręciła głową. Jej oczy z przerażenia stały się ogromne jak spodki.

- Tylko nie to. - Spojrzała na nich po kolei, wbijając palce w skórę zniszczonej torebki. Przypominała zbiega gotowego do podjęcia dalszej ucieczki, który nagle uświadamia sobie bezcelowość swoich wysiłków. Kiedy w końcu zaczęła znowu mówić, jej ciałem wstrząsały dreszcze, jak gdyby cierpiała na jakąś chorobę. I w pewnym sensie rzeczywiście tak było. - Tamtej nocy moja siostra była w pokoju Gabriela. Słyszałam ich. Poszłam do niego. Jakaż byłam głupia... O Boże, dlaczego jestem taka beznadziejnie głupia? Przedtem, już po próbie, rozmawiałam z nim w bibliotece i przez chwilę sądziłam, że stosunki między nami rzeczywiście znów mogą ułożyć się tak, jak niegdyś. Mówiliśmy o naszych dzieciach... i o naszym życiu w przeszłości. Poszłam więc potem do jego pokoju, gdyż chciałam... Mój Boże, sama nie wiem, na co liczyłam. - Wsunęła dłoń w swoje ciemne włosy i ścisnęła je mocno na czubku głowy, jak gdyby pragnęła zadać sobie ból. - Ile razy można robić z siebie idiotkę w jednym życiu? Niemal po raz drugi wpadłam na moją siostrę i Roberta. A najzabawniejsze jest to, że wypowiadał dokładnie te same słowa co wtedy, kiedy nakryłam go z Joy w Hampstead: „No, dalej, dziecińko! Prędzej, Joy!

Mocniej! Mocniej!" I ryczał przy tym jak rozjuszony byk.

Lynley słuchał jej słów, widząc w myślach przesuwane się jak w kalejdoskopie obrazy, i analizował skutki nowo poznanych okoliczności dla śledztwa. Wydarzenia tamtej nocy ukazały mu się w nowej perspektywie.

- O której to było?

- Późno. Na pewno po pierwszej. Być może dochodziła już druga. Nie wiem dokładnie.

- Słyszała go pani? Jest pani tego pewna?

- Och, tak. Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości. - Zawstydzona pochyliła głowę.

Lynley pomyślał, że mimo wszystko wciąż jest gotowa bronić tego mężczyzny. To szczerze, bezinteresowne poświęcenie było nie do pojęcia. Nie zamierzał jednak roztrząsać tego problemu i zadał Irene pytanie z innej beczki:

- Czy pamięta pani, gdzie pani była w marcu 1973 roku? Chyba nie od razu zrozumiała, o co mu chodzi.

- W 1973 roku? Na pewno... w Londynie. Opiekowałam się Jamesem. Naszym synem. Urodził się w styczniu i wzięłam trochę wolnego.

- Ale Gabriela nie było razem z wami? Zastanawiała się przez chwilę.

- Wydaje mi się, że przebywał poza domem. Sądzę, że występował wtedy z teatrem na prowincji. Dlaczego pan o to pyta? I jaki to ma związek ze sprawą?

Zasadniczy, pomyślał Lynley. Zebra! wszystkie siły, żeby skłonić ją do wysłuchania i zrozumienia jego następnych słów.

- Pani siostra zbierała materiały do swojej nowej książki, której tematem miało być morderstwo popełnione w marcu 1973 roku. Kimkolwiek był morderca, to on zamordował również Joy Sinclair i Gowa-na Kilbride'a. Niestety, dowód, jaki posiadamy, jest całkowicie bezużyteczny, Irene. Obawiam się, że będziemy potrzebowali pani pomocy, jeśli zechcemy postawić tę kreaturę przed sądem.

Spojrzała na niego błagalnie, licząc na to, że powie jej prawdę.

- Czy to Robert?

- Nie przypuszczam. Mimo wszystkich przekazanych nam przez panią informacji.

Nie widzę sposobu, jak mógłby wejść w posiadanie klucza od pokoju Joy.

- Sama mogła mu dać. Przecież była razem z nim tamtej nocy. Lynley uświadomił

sobie, że rzeczywiście istniała taka ewentualność. Jak miał to wyjaśnić Irene? I jak dopasować własną opinię do

faktów przedstawionych w raporcie z sekcji zwłok Joy Sinclair? A gdyby mu się to nawet udało, jak powiedzieć Irene, że przystając na współpracę z policją, nie tylko dowiedzie niewinności męża, ale także potwierdzi winę swojego kuzyna, Rhysa Davies-Jonesa?

- Czy pomoże nam pani? - spytał.

Widział walkę wewnętrzną kobiety i rozumiał jej dylemat. Decyzja sprowadzała się do prostego wyboru pomiędzy dalszym chronieniem Roberta dla dobra dzieci a aktywnym udziałem w planie, którego rezultatem mogło być postawienie zabójcy jej siostry przed sądem. Wybierając pierwszą ewentualność, narażała się na niepewność, czy osłania człowieka, który rzeczywiście jest niewinny.

Współpraca z policją natomiast była równoznaczna z aktem przebaczenia - pośmiertnym odpuszczeniem siostrze grzechu, jaki tamta wobec niej popełniła.

Był to wybór pomiędzy człowiekiem żyjącym i umarłym, przy czym po żyjącym mogła się jedynie spodziewać dalszych kłamstw, a umarły obiecywał spokój wewnętrzny, wynikający z zaniechania zemsty i pogodzenia się z życiem. Na pozór dokonanie wyboru zdawało się łatwe. Lynley jednak zbyt dobrze wiedział, że decyzje podejmowane pod wpływem odruchów serca mogą być całkowicie irracjonalne. Miał jedynie nadzieję, że Irene dojrzała do tego, by dostrzec, że jej małżeństwo z Gabrielem jest od lat dotknięte chorobą wiarołomstwa i że jej nieszczęsna siostra odegrała w tym dramacie niepowodzeń jedynie epizodyczną rolę.

Irene drgnęła. Jej palce oderwały się od skórzanej torebki, pozostawiając na niej wilgotne ślady. Głos kobiety załamał się, lecz zaraz się opanowała:

- Pomogę panu. Co mam zrobić?

- Chciałbym, żeby spędziła pani dzisiejszy wieczór w domu swojej siostry, w Hampstead. Sierżant Havers pojedzie tam razem z panią.

16

Gdy nazajutrz o wpół do jedenastej przed południem Deborah St. James otworzyła Lynleyowi drzwi, jej niesforne włosy, poplamiony fartuch nałożony na wyświechtane dżinsy i zwykła koszula w kratę dobitnie świadczyły o tym, że przeszkodził jej w pracy. Pomimo to twarz dziewczyny rozjaśniła się w uśmiechu na jego widok.

- Trochę rozrywki, dzięki Bogu! - ucieszyła się Deborah. - Ostatnie dwie godziny spędziłam w ciemni, gdzie towarzystwa dotrzymywali mi jedynie Brzoskwinia i Alaska. Oba zwierzaki są słodkie, jak na psa i kota, ale niezbyt skore do prowadzenia rozmów. Simon jest u siebie w laboratorium, a gdy się oddaje pracy, też marny z niego kompan. Cieszę się, że przyszedłeś. Być może zdołasz go namówić na przedpołudniową kawę. - Zaczekała, aż gość zdejmie płaszcz i szalik, a potem lekko dotknęła jego ramienia.

- Czy dobrze się czujesz, Tommy? Może potrafiłabym w czymś... Widzisz, dotarło do mnie to i owo... Nie wyglądasz najlepiej. Dobrze sypiasz? Jadłeś już śniadanie?

Chcesz, żebym poprosiła tatę... Miałbyś ochotę... - Przygryzła wargi. - Dlaczego zawsze paplam, jak idiotka?

Lynley zareagował czułym uśmiechem na tę lawinę słów, delikatnie wsunął

dziewczynie za ucho niesforne kosmyk włosów i ruszył za nią w stronę schodów.

Idąc, nadal mówiła:

- Telefonował Jeremy Vinney. Simon po rozmowie z nim oddał się jednej z tych swoich długich i tajemniczych kontemplacji. A pięć minut później zadzwoniła do niego Helen.

Lynley przystanął.

- To Helen nie ma tutaj? - Mimo że starał się panować nad głosem, spostrzegł, że Deborah z łatwością odczytała to, co pragnął ukryć. Jej zielone oczy złagodniały.

- Nie, nie ma jej u nas, Tommy. To z jej powodu przyszedłeś, prawda? - I nie czekając na odpowiedź, dodała uprzejmie: - Wejdz na górę i porozmawiaj z Simonem. W końcu nikt nie zna jej lepiej niż on.

St. James zderzył się z nimi w drzwiach swojego laboratorium ze starym egzemplarzem „Medycyny sądowej” Simpsona w jednej ręce i z próbką anatomiczną o wyjątkowo przerażającym wyglądzie w drugiej; był to przechowywany w formalinie ludzki palec.

- Cóż to, uczestniczysz w próbie „Andronika”? - spytała Deborah ze śmiechem.

Odebrała mężowi słoik i książkę, a potem w przelocie cmoknęła go w policzek. -

Przyszedł Tommy, kochanie.

Lynley zagadnął St. Jamesa wprost. Chciał nadać swojemu pytaniu czysto profesjonalny charakter, aby wydało się zwykłym zasięgnięciem informacji w związku z prowadzoną sprawą. Nie miał jednak złudzeń co do rezultatu swoich zabiegów.

- St. James, gdzie jest Helen? Od wczoraj usiłuję skontaktować się z nią telefonicznie, a rano wstąpiłem do niej do domu. Co się z nią dzieje? Czy coś ci powiedziała?

Wszedł za przyjacielem do laboratorium i niecierpliwie czekał na odpowiedź. St.

James zanotował coś prędko na komputerze, ale się nie odezwał. Lynley znalazł go na tyle dobrze, aby wiedzieć, że nie należy wywierać na niego nacisku. Okiełznał

ogarniające go złe przeczucia i dla zabicia czasu wodził wzrokiem po pokoju, w którym Helen spędziła tak wiele godzin.

Laboratorium było od lat sanktuarium St. Jamesa - naukowym rajem komputerów, drukarek laserowych, mikroskopów, aparatury do hodowli bakterii, półek zastawionych próbkami, ścian obwieszonych wykresami i mapami oraz ekranu wideo, na którym można było powiększać obraz próbek krwi, włosów lub tkanek.

To ostatnie osiągnięcie współczesnej techniki było najnowszym nabytkiem w laboratorium Simona i Lynley wciąż miał świeżo w pamięci śmiech Helen opisującej mu zabiegi St. Jamesa, gdy zaledwie trzy tygodnie temu usiłował zapoznać ją z obsługą tego urządzenia. To beznadziejne, kochany Tommy. Kamera wideo podłączona do mikroskopu! Czy możesz wyobrazić sobie moje oszołomienie? Mój Boże, przeraża mnie magia wieku komputerowego! Dopiero niedawno pojęłam, co trzeba zrobić, aby zgotować wodę w kuchence mikrofalowej! Stwierdzenie to oczywiście było mocno przesadzone. Niemniej Lynley się roześmiał, uwolniony nagle od wszystkich trosk dnia codziennego. Na tym właśnie polegał szczególny dar Helen.

Musiał poznać prawdę.

- Co się z nią dzieje? Co ci powiedziała?

St. James wzbogacił zapis komputerowy o jeszcze jedną informację, zbadał uważnie na ekranie powstałe na jej skutek zmiany na wykresie i wyłączył urządzenie.

- Powtórzyła mi jedynie twoje słowa - odparł spokojnym głosem. - Niestety, nie udzieliła żadnych więcej wyjaśnień.

Lynley wiedział, jak przełamać nadmierną ostrożność przyjaciela. Postanowił

jednak na razie nie angażować się w dyskusję, do której prowokowały go słowa St.

Jamesa. Chwilowo dostosował się do sytuacji.

- Deborah powiedziała, że telefonował do ciebie Vinney.

- Rzeczywiście - St. James okręcił się na swoim obrotowym krześle, niezdarnie dźwignął się z miejsca i podszedł do roboczego blatu ze starannie uporządkowanymi przyrządami. Spośród pięciu stojących rzędem mikroskopów trzy były w użyciu. -

Wygląda na to, że żadna gazeta nie podała wiadomości o śmierci Joy Sinclair.

Podobno artykuł w tej sprawie, jaki Vinney dzisiaj złożył, został odrzucony przez jego wydawcę.

- Nic dziwnego. W końcu Vinney jest krytykiem teatralnym - zauważył Lynley.

- Tak, ale gdy telefonicznie zasięgnął informacji, czy któryś z jego kolegów zajmuje się morderstwami w Szkocji, dowiedział się, że nikomu nie zlecono zrelacjonowania tych wydarzeń. Ktoś z góry ukręci! sprawie !eb. Do czasu aresztowania sprawcy, jak poinformowano Vinneya. Dziennikarz, mówiąc oględnie, był bardzo poruszony. - St. James podniósł wzrok znad stosu przygotowywanych do obejrzenia przezroczy. - Jest na tropie przeszłości Geoffreya Rintoula, Tommy. I jej związku ze śmiercią Joy Sinclair. Nie sądzę, żeby dał za wygraną, dopóki cała sprawa nie znajdzie się na lamach prasy.

- Niedoczekanie! Po pierwsze, nie ma ani jednego dowodu przeciwko Geoffreypowi Rintoulowi. Po drugie, zabójca niedoszłego lorda Stinhursta nie żyje. A bez solidnych podstaw żadna gazeta w kraju nie zaryzykuje opublikowania historii, która może się okazać oszczerstwem przeciwko powszechnie szanowanej rodzinie, jaką są Stinhurstowie.

Lynleya ogarnęło nagle zniecierpliwienie. Czuł przemożną potrzebę ruchu.

Przemierzył pokój, podszedł do okna i wyjrzał na ogród w dole. Po wczorajszych opadach był okryty śniegiem, jak i cała okolica, a wszystkie rośliny ktoś starannie pootulał konopiami i wysypał

na ogrodowy mur okruchy chleba. Miłosierna ręka Deborah, pomyślał Lynley.

- Irene Sinclair uważa, że Joy przebywała w noc swojej śmierci w pokoju jej męża -

oznajmił i pokrótce zrelacjonował zwierzenia żony Gabriela. - Opowiedziała mi o tym wczoraj. Ukrywała przede mną ten szczegół w nadziei, że w ten sposób ochroni Roberta.

- Czyżby Joy spotkała się wtedy i z Gabrielem, i z Vinneyem? Lynley zaprzeczył ruchem głowy.

- Nie wyobrażam sobie, aby to było możliwe. Nie sądzę, żeby była z Gabrielem. W każdym razie na pewno nie poszła z nim do łóżka. - I zapoznał przyjaciela z wynikiem sekcji zwłok, przekazanym z urzędu śledczego w Strathclyde.

- Może zespół specjalistów ze Szkocji popełnił błąd - podsunął St. James.

Lynley skwitował tę sugestię uśmiechem.

- Pod nadzorem Macaskina? Na ile procent oceniasz prawdopodobieństwo pomyłki?

Z pewnością ja bym na to nie liczył. Wczoraj w pierwszej chwili pomyślałem, że Irene musiała się przesłyszeć.

- Uważasz, że Gabriel był z kimś innym?

- Tak. Sądzę, że obecność Joy to jedynie domysł Irene. Albo że zakładała najgorszą ze swojego punktu widzenia ewentualność. Potem jednak doszedłem do wniosku, że równie dobrze mogła mnie okłamać po to, aby wciągnąć Gabriela w sprawę zabójstwa Joy, zapewniając mnie przy tym, że kryje go ze względu na dzieci.

- Doskonale obmyślona zemsta - zauważyła Deborah z drzwi ciemni, w których stała i przysłuchiwała się rozmowie z kliszą negatywów w jednej ręce i szkłem powiększającym w drugiej.

St. James w roztargnieniu przekładał stos przezroczy.

- Rzeczywiście. Trzeba przyznać, że sprytnie to sobie wykombinowała. Wiemy od Elizabeth Rintoul, że Joy Sinclair była w pokoju Vin-neya. Mamy więc potwierdzenie zeznań dziennikarza, jeśli Elizabeth można ufać. Ale kto potwierdzi teorię Irene, że Joy była również z jej mężem? Gabriel? Oczywiście, że nie.

Stanowczo temu zaprzeczy. Sami zatem musimy zdecydować, komu wierzyć: romansującemu mężowi czy od dawna cierpiącej z tego powodu żonie. - Spojrzał na Lynleya. - Czy na pewno nie mylisz się co do Davies-Jonesa?

Lynley znów odwrócił się do okna. Pytanie St. Jamesa przypomniało mu o budzącym niepokój raporcie, jakiego trzy godziny wcześniej wysłuchał od Nkaty tuż po zakończeniu całonocnego śledzenia Davies-Jonesa. Zawarte w nim informacje nie pozostawiały żadnych wątpliwości. Po

opuszczeniu mieszkania Helen reżyser wszedł do sklepu monopolowego, gdzie nabył cztery butelki alkoholu. Nkata był absolutnie pewien tej liczby, gdyż po dokonaniu zakupu Davies-Jones wybrał się na spacer. Na dworze panował mróz, lecz on zdawał się nie zauważać ani niskiej temperatury, ani bezustannie padającego śniegu. Przebył Brompton Road, okrążył Hyde Park, przemierzył Baker Street i na koniec dotarł do swojego mieszkania przy St. John's Wood. Wędrówka trwała ponad dwie godziny. Podczas tej marszruty odkorkowywał jedną butelkę po drugiej. Nie pociągał jednak z flaszek, lecz z dziką zawziętością wylewał po kolei ich zawartość na ulicę. Obszedł się w ten sposób ze wszystkimi czterema. Nkata mówił o tym, kiwając głową nad marnotrawstwem dobrego alkoholu.

Lynley po raz kolejny się zastanowił się nad zachowaniem Davies-Jonesa.

Świadczyło ono o tym, że Rhys zerwał z nałogiem alkoholizmu i stara się za wszelką cenę wykorzystać szansę powrotu do kariery zawodowej oraz ułożenia sobie na nowo życia. Mężczyzna widać uznał, że nic nie zdoła mu zagrozić, a już na pewno nie przeszłość.

- Nie, nie myślę się. To on jest mordercą - powiedział Lynley.

Irenę Sinclair wiedziała, że oto stoi przed życiową rolą i sama będzie musiała wyczuć odpowiedni moment, gdyż nikt jej nie podpowie, że właśnie nadchodzi.

Oczy wszystkich skierują się na nią nie w chwili pojawienia się na scenie ani w szczytowym punkcie aktorskiego popisu. Będzie zmuszona zrezygnować z obu tych przyjemności na rzecz teatru faktu. Przedstawienie rozpoczęło się tuż po przerwie na lunch, gdy ona i Jeremy Vinney niemal równocześnie przybyli do Agincourt Theatre.

Wyskoczyła z taksówki, w chwili gdy Vinney przedzierał się z kawiarni na drugą stronę zatłoczonej pojazdami ulicy. Rozległ się ostrzegawczy klakson samochodowy i Irenę podniosła wzrok. Dziennikarz nie zdążył włożyć płaszcza.

Zastanawiała się, czy to jej przybycie skłoniło go do pośpiesznego opuszczenia lokalu. Po chwili mężczyzna potwierdził jej domysły. W jego słowach zabrzmiało podniecenie:

- Wygląda na to, że ktoś się wczoraj dobra! Gabrielowi do skóry - rzuci! złośliwie.

Irenę zatrzymała się w drzwiach. Mocno zacisnęła palce na klamce i przez rękawiczkę poczuła ostre ukiucie zimna. Wypytywanie Vinneya, skąd się o tym dowiedział, nie miało sensu. Robert przywłókł

się dzisiaj rano do teatru na drugie czytanie sztuki pomimo zalepionych plastrami żeber, opuchniętego oka i pięciu szwów w dolnej szczęce. Wiadomość o jego pobiciu lotem błyskawicy rozniosła się po budynku. I choć jego przybyciu towarzyszyły pełne oburzenia okrzyki pozostałych członków obsady, pracowników obsługi technicznej, scenografów i asystentów reżysera, to każda z tych osób mogła po kryjomu zatelefonować do Vinneya i przekazać mu tę nowinę. Szczególnie jeśli któraś z nich czuła potrzebę wykorzystania okazji i nadania sprawie rozgłosu, aby w ten sposób wyrównać swoje prywatne porachunki z Robertem Gabrielem.

- Chcesz opublikować tę informację? - Otuliła się szczelniej płaszczem i weszła do teatru. Vinncy

podążał za nią. Nikogo nie było w zasięgu wzroku. W budynku panowała cisza. Tylko intensywna woń dymu papierosowego świadczyła o tym, że aktorzy i inni pracownicy uczestniczyli dzisiaj rano w próbie.

- Co Robert miał do powiedzenia w tej sprawie? Nie, bój się nie zamierzam o tym pisać.

- To po co tutaj przyszedłeś? - Szybkim krokiem zmierzała w stronę widowni.

Vinney nie odstępował jej ani na krok, Chwycił ją za ramię i zatrzymał tuż przed ciężkimi, dębowymi drzwiami.

- Ponieważ twoja siostra była moją przyjaciółką. I dlatego, że nie zdołałem wyciągnąć ani jednego słowa od stołecznej policji na temat długiego popołudnia, jakie funkcjonariusze spędzili z naszym melancholijnym lordem Stinhurstem. A także z tego powodu, że wczoraj wieczorem nie udało mi się telefonicznie skontaktować ze Stinhurstem, a mój wydawca oświadczył, że nie mogę napisać ani słowa o morderstwie Sinclair, dopóki nie uzyskam na to graniczącego z cudem zezwolenia z góry. Potwornie cuchnąca sprawa. Czy to cię w ogóle nie obchodzi, Irene? - Wbił palce w jej ramię.

- Jesteś nikczemny, że o to pytasz.

- Trudno zważać na formy, gdy giną ludzie, którzy nie są mi obojętni, a życie toczy się dalej, jak gdyby nic się nie wydarzyło.

Pod wpływem gniewu poczuła dławienie w gardle.

- Sądzisz, że ja nie przejmuję się tym, co spotkało moją siostrę?

- Myślę, że jesteś tym zachwycona - odparł. - Największą przyjemnością sprawiłoby ci własnoręczne wbicie sztyletu w jej gardło.

Okrutne słowa dziennikarza były dla Irene wstrząsem. Czowała, jak z twarzy odpływa jej cała krew.

- Mój Boże, to nieprawda. I ty dobrze o tym wiesz rzuciła, wiedząc, że za chwilę załamię jej się głos. Wyszarpnęła ramię i rzuciła się w stronę widowni, niezupełnie świadoma faktu, że on podąża za nią i zajmuje jej miejsce w ciemnościach ostatniego rzędu, niczym czyhająca w mroku Nemezis, orędowniczka śmierci.

Konfrontacja z Vinneyem była akurat najmniej potrzebna Irene przed ponownym spotkaniem z członkami zespołu. Miała nadzieję, że wykorzysta godzinną przerwę na to, by wymyślić sposób zagrania roli, jaką sierżant Havers narzuciła jej ubiegłej nocy. Teraz jednakże czuła, że ma spoczone dłonie, że serce jej wali, a umysł buntuje się gwałtownie przeciwko ostatniemu oskarżeniu Vinneya. Dziennikarz nie miał

racji. Zbliżając się do pustej sceny, wciąż zaklinała się na to sama przed sobą.

Jednakże stanowczy protest przeciwko jego opinii okazał się niewystarczającym środkiem uciszenia wewnętrznego zamętu, jaki czuła w sobie. Tym bardziej że tak wiele zależało dzisiaj od jej

umiejętności gry i od przypomnienia sobie wyniesionych ze szkoły dramatycznej niezawodnych technik. Zajęła miejsce na środku sceny przy samotnie stojącym stole, oparła czoło na rękach i zamknęła oczy.

Sposób ten nie sprawdził się jednak i nie pomógł jej wczuć się w rolę, gdy chwilę później dobiegły ją zbliżające się kroki i głos kuzyna:

- Dobrze się czujesz, Irene? - zatroskał się Davies-Jones. Podniosła wzrok i posłała mu znudzony uśmiech.

- Tak, dziękuję. Jestem tylko trochę zmęczona. - Tyle powinno na razie wystarczyć.

Zaczęli schodzić się inni. Irene słyszała ich raczej, niż widziała. Odnotowywała w myślach pojawienie się każdej osoby. Przysłuchiwała się wypowiedziom aktorów, doszukując się śladu napięcia w ich głosach, oznak winy lub narastającego niepokoju. Robert Gabriel, pełen animuszu, zajął miejsce obok niej. Uśmiechając się ponuro, przesunął palcami po swojej spuchniętej twarzy.

- Nie miałem jeszcze okazji, żeby ci podziękować za to, co wczoraj wieczorem dla mnie zrobiłaś - odezwał się czułym tonem. - Jest mi bardzo przykro... Renie. I ogromnie cię za wszystko przepraszam. Chciałem ci to powiedzieć, gdy lekarze skończyli mnie opatrywać, ale już cię nie było. Telefonowałem do ciebie, ale James powiedział, że jesteś w mieszkaniu Joy, w Hampstead. - Umilkł na chwilę, zamyślony. - Renie, sądziłem... Łudziłem się, że moglibyśmy...

- Nie - ucięła. - Wczorajszej nocy miałam dużo czasu na przemyślenia. I nie zmarnowałam go. W końcu uzyskałam całkowitą jasność co do nas dwojga.

Robert odgadł z jej tonu, do jakich doszła wniosków, i odwrócił wzrok.

- Wyobrażam sobie, o czym mogłaś myśleć w mieszkaniu swojej siostry -

powiedział zasmucony nieodwołalnością jej postanowienia.

Przybycie Joanny Ellacourt wybawiło Irenę od odpowiedzi. Czmychnęła w stronę przejścia, wsuwając się pomiędzy męża i lorda Stinhursta. Głos zabrał David Sydeham:

- Oczekujemy ostatecznego zatwierdzenia wszystkich kostiumów, Stuarcie. Wiem, że sprawa ta nie jest przedmiotem kontraktu. Zważywszy jednak na to, co się stało, sądzę, że mamy prawo negocjować dołączenie do naszej umowy dodatkowej klauzuli. Zdaniem Joanny...

Aktorka nie czekała, aż mąż dotrze do sedna sprawy:

~ Chcę mieć kostium, który rozwieje wszelkie wątpliwości, komu przypadła w udziale główna rola - oświadczyła znaczącym tonem, kierując chłodne spojrzenie w stronę Irenę.

Stinhurst nie udzielił odpowiedzi żadnemu z nich. Wyglądał i poruszał się jak człowiek, który gwałtownie się posunął w latach. Pokonanie schodów zdawało się wyczerpać cały zasób jego energii. Miał na sobie ten sam garnitur, koszulę i krawat co wczoraj, ciemnoszara marynarka była

wymięta. Wyglądało na to, że Stinhurst zupełnie stracił zainteresowanie swoim wyglądem. Irene przeszedł dreszcz, gdy go obserwowała. Zastanawiała się, czy ten człowiek dożyje otwarcia teatru. Usiadł i dał Davies-Jonesowi znak skinieniem głowy. Rozpoczęła się próba czytana sztuki.

Gdy dotarli do połowy tekstu, Irene pozwoliła sobie na drzemkę. W teatrze było bardzo ciepło, na scenie panował zaduch, głosy aktorów wznosiły się i opadały w hipnotycznym rytmie i zaśnięcie okazało się sprawą o wiele prostszą, niż sądziła.

Nagle przestała się martwić, czy uwierzą w autentyczność odgrywanej przez nią roli. Znowu stała się aktorką, jaką była przed laty, zanim w jej życie wkroczył

Robert Gabriel i, narażając ją na upokorzenia - zarówno w domu, jak i w miejscach publicznych - stopniowo podkopywał jej wiarę w siebie.

Gdy już niemal jej się zdawało, że zaczyna o czymś śnić, usłyszała złośliwą kwestię Joanny Ellacourt:

- Niech ją ktoś, na miłość boską, obudzi! Nie mam zamiaru odbywać próby, gdy ona siedzi tutaj i chrapie niczym wiekowa babuła przy kuchennym piecu.

Renie!

- Irene!

Gwałtownie otworzyła oczy,

- Czyżbym zasnęła? Ogromnie przepraszam.

- Za późno położyłaś się spać, kochanie? - spytała zgryźliwym tonem Joanna.

- Obawiam się, że tak... Ja... - Irene przełknęła ślinę, uśmiechnęła się i zatrzepotała rękami, żeby ukryć ból. - Prawie całą noc spędziłam na przeglądaniu rzeczy Joy w Hampstead.

Oświadczenie Irene wprowadziło wszystkich w osłupienie. Była zadowolona, widząc, jaki efekt wywarły na nich jej słowa, i przez chwilę podzielała gniew Jeremy'ego Vinneya. Jak prędko zapomnieli o jej siostrze i jak wygodnie toczyło się dalej ich życie! Miała jednak nadzieję, że ktoś z nich wkrótce natknie się na przeszkodę i na jej piętrzeniu postanowiła skupić wszystkie swoje siły. Przywołała do oczu łzy.

- Znalazłam dziennik - oświadczyła nieszczercze.

Joanna Ellacourt, jak gdyby wiedzioma instynktem, że przedstawienie, którego obecnie jest świadkiem, może usunąć ją w cień, starała się ściągnąć na siebie powszechną uwagę.

- Niewątpliwie musiała to być fascynująca lektura, zważywszy na życie, jakie wiodła Joy - zauważyła. Jeśli się obudzisz, może również i nasza sztuka okaże się interesująca.

Irene zaprzeczyła ruchem głowy. Pozwoliła sobie na nieznaczne podniesienie głosu:

- Nie o to chodzi. Widzicie, to wcale nie był dziennik mojej siostry. Nadszedł

wczoraj przesyłką ekspresową. Kiedy otworzyłam paczkę, znalazłam list od męża nieszczęsnej kobiety, która była autorką tych zapisków...

- Czy naprawdę musimy teraz się tym zajmować? - Twarz Joanny pobladła ze złości.

- ... i zaczęłam je czytać. Wkrótce zorientowałam się, że jest to materiał, na który Joy czekała, aby wykorzystać go w swojej nowej książce. I o którym wspominała tamtego wieczoru w Szkocji. Nagle uświadomiłam sobie... że ona naprawdę nie żyje i że już nigdy nie wróci. -Po twarzy Irene zaczęły spływać rześiste łzy; stwierdziła w duchu, że po raz pierwszy ogarnął ją szczerzy smutek. Jej następne słowa zaledwie w ogólnym zarysie pokrywały się ze scenariuszem, jaki obie z sierżant Havers tak starannie opracowały. Wiedziała, że jej wypowiedź jest chaotyczna, ale czuła, że musi wyrzucić z siebie cisnące się na usta słowa. W tej chwili nic więcej nie miało dla niej znaczenia. - I że niczego już nie dokona. I nagle, gdy patrzyłam na dziennik Hannah Darrow,

zrozumiałam, że powinnam napisać tę książkę zamiast Joy. Aby w ten sposób powiedzieć... że wiem, jak do tego wszystkiego doszło... że w końcu pojęłam. To bolało. Och, Boże, i to jak bardzo! Ale zrozumiałam. I nie sądzę... Nigdy nie przestała być moją siostrą. Choć nie zdążyłam jej o tym powiedzieć. Och, Boże, i nie mogę zrobić tego teraz, bo ona nie żyje!

A potem, kiedy wreszcie to wszystko z siebie wyrzuciła, dała upust łzom. Wiedziała już, co jest ich źródłem - rozpacz po utracie siostry, którą kochała i której zbyt późno przebaczyła. Opłakiwała swoją zmarnowaną młodość - poświęconą mężczyźnie, który, jak się w końcu okazało, nic dla niej nie znaczył. Szlochała gorzko nad minionymi latami i nad nie wypowiedzianymi słowami, pogrążając się całkowicie w uczuciu smutku.

Siedząca naprzeciw niej Joanna Ellacourt znowu się odezwała:

- Dosyć tego. Niech ktoś z nią coś zrobi, bo będzie się mazać przez resztę dnia.

Davidzie! - zwróciła się do męża wymownym tonem.

Sydeham patrzył jednak w stronę widowni.

- Mamy gościa - oświadczył.

Podążyli wzrokiem we wskazanym kierunku. Pośrodku głównego przejścia stała Marguerite Rintoul, żona lorda Stinhursta.

Zaczekała, aż drzwi do jego gabinetu zostaną zamknięte.

- Gdzie spędziłeś zeszłą noc, Stuarcie? - zażądała wyjaśnień. Mówiła szorstkim tonem. Zdjęła płaszcz oraz rękawiczki i rzuciła wszystko na krzesło.

Uświadamiała sobie dokładnie, że jeszcze dwadzieścia cztery godziny temu nie zadałaby tego pytania. Zaakceptowała by nieobecność męża w typowy dla siebie, tchórzliwy sposób: byłaby zraniona, wystraszona, pełna obaw i lęku przed poznaniem prawdy. Teraz jednak ten etap życia miała już za sobą. Wczorajsze rewelacje, ujawnione w tym pokoju, a także wnikliwe badanie własnej duszy podczas długich nocnych godzin zaowocowało gwałtownym gniewem, którego nie był w stanie powstrzymać mur rozmyślnego lekceważenia, jakie mąż jej okazywał.

Stinhurst podszedł do biurka i zajął miejsce w solidnym skórzanym fotelu.

- Siadaj - polecił.

Zona się jednak nie poruszyła.

- Zadałam pytanie i chcę usłyszeć odpowiedź. Gdzie spędziłeś wczorajszą noc? Nie uwierzę, że trzymali cię do dziewiątej rano w Scotland Yardzie. Nie uważaj mnie za aż tak wielką idiotkę.

- Pojechałem do hotelu - odparł Stinhurst.

- A nie do klubu?

- Nie. Zależało mi na odosobnieniu.

- Na czymś, czego oczywiście nie mógłbyś znaleźć w domu. Przez chwilę Stinhurst się nie odzywał, przekładając w dłoniach nóż

do otwierania listów. Na jego srebrnej powierzchni odbijało się światło.

- Doszedłem do wniosku, że nie potrafię spojrzeć ci w oczy.

Jej reakcja na to zdanie sygnalizowała najdobitniej, na czym polega zmiana w ich wzajemnych stosunkach. Mówił spokojnym, lecz zająkliwym głosem, jak gdyby najmniejsza prowokacja mogła stać się powodem jego załamania. Miał bladą twarz, przekrwione oczy, a gdy odłożył nóż na biurko, Marguerite dojrzała, że drżą mu ręce. A jednak widok ten wcale jej nie poruszył. Wiedziała doskonale, że przyczyną przygnębienia męża nie jest troska o jej dobro, o szczęście ich córki ani nawet o własną pomyślność, lecz obawa, czy zdoła ukryć przed dziennikarzami historię nikczemnego życia i gwałtownej śmierci Geof-freya Rintoula. Widziała Jeremy'ego Vinneya z tyłu widowni. I знаła powód jego obecności w teatrze. Z nową siłą wezbrał w niej gniew.

- Jak zwykle, cierpliwie czekałam w domu, Stuarcie. Martwiłam się o ciebie i o przebieg wydarzeń w Scotland Yardzie. Przez wiele godzin. Sądziłam, że ta tragedia w jakiś sposób zbliży nas do siebie. Dopiero potem doszłam do wniosku, że byłam głupia. Liczyłam na pojednanie mimo historii, jaką wymyśliłeś o moim „romansie”

z twoim bratem. Nadal wierzyłam, że zdołamy uratować nasze małżeństwo. Czy możesz to sobie wyobrazić? A ciebie nawet nie było stać na krótką rozmowę telefoniczną. Czekałam posłusznie, jak głupia gęś. Aż w końcu uświadomiłam sobie, że między nami nie ma już żadnego uczucia. Umarło przed wieloma laty, tylko że ja bałam się spojrzeć w oczy faktom. Aż do ubiegłej nocy.

Lord Stinhurst uniósł dłoń w górę, jak gdyby w nadziei zapobieżenia dalszym słowom żony.

- Wybrałaś niezbyt stosowny moment na tę rozmowę. Nie czas teraz na dyskutowanie problemów naszego małżeństwa. Wydaje mi się, że przynajmniej z tego powinnaś zdawać sobie sprawę.

Jak zwykle, starał się ją odprawić z kwitkiem. Ton jego głosu był zimny i surowy.

Dziwne, lecz nie wywierało to już na niej żadnego wrażenia. Uśmiechnęła się uprzejmie.

- Źle mnie zrozumiałaś. Nie rozmawiamy o naszym małżeństwie, Stuarcie. W sprawie naszego związku nie zostało już nic do powiedzenia.

- Dlaczego zatem...

- Wyjawiłam Elizabeth prawdę o dziadku. Sądziłam, że zrobimy to razem wczoraj wieczorem. Ale gdy nie wróciłeś do domu, poinformowałam ją o wszystkim sama. -

Przeszła przez pokój i zatrzymała się przed biurkiem. Oparła się pięściami o stary blat. Na jej palcach widniały ślady po pierścionkach. Stinhurst przyglądał się żonie bez słowa. - i wiesz, co powiedziała, gdy wyznałam, że jej ukochany dziadek zabił

wujka Geoffreya, własnoręcznie łamiąc mu kark?

Stinhurst pokręcił głową. Spuścił wzrok.

- Powiedziała: „Mamo, zasłaniasz mi ekran. Czy mogłabyś się trochę przesunąć?”

Czy to nie komiczne? Tyle lat poświęconych na osłanianie świętej pamięci dziadka, którego uwielbiała, zostało skwitowanych w ten oto sposób. Oczywiście, natychmiast się usunęłam, tak jak sobie życzyła. To typowe dla mnie, prawda?

Zawsze byłam zgodna i chętna do zadowalania innych. Stale łudziłam się, że sprawy przyjmą w końcu pomyślny obrót, i zbyt długo bagatelizowałam niepowodzenia.

Żyjąc w związku, który tylko z pozoru był małżeństwem, zostałam całkowicie odczłowieczona. Przechadzałam się po luksusowym domu w Holland Park, w którym nie brak niczego z wyjątkiem tego, na czym najbardziej zależało mi przez te wszystkie lata: miłości. - Lady Stinhurst obserwowała męża w oczekiwaniu na reakcję. Jego twarz pozostała jednak niewzruszona. - Zrozumiałam, że nie zdołam już ocalić Elizabeth. Zbyt wiele lat jej życia upłynęło wśród kłamstw i półprawd.

Tylko ona sama może się jeszcze uratować. Podobnie jak ja.,

- Co to ma znaczyć?

- Opuszczam cię - oznajmiła. - Nie wiem, czy to ostateczna decyzja. Nie mam dość odwagi, żeby tak twierdzić. Wyjeżdżam do Somerset i pozostanę tam dopóty, dopóki sobie wszystkiego nie

uporządkuję i nie będę miała pewności, czego chcę.

Nie musisz się martwić, jeśli wytrwam w tym postanowieniu. Nie mam zbyt wielkich wymagań. Potrzebuję tylko kilku pokoi, trochę spokoju i ciszy.

Niewątpliwie zdołamy dojść w tej sprawie do porozumienia. A jeśli nie, to cieszący się naszym zaufaniem prawnicy...

Stinhurst okręcił się w swoim obrotowym fotelu.

- Nie rób mi tego. Nie dzisiaj. Proszę. Dość mam innych problemów, wierz mi.

Zaśmiała się ironicznie.

- Oto do czego sprowadza się cała sprawa, prawda? Zamierzam sprawić ci jeszcze jeden kłopot. Stanę się przyczyną kolejnej niedogodności, gdyż znów będziesz się musiał tłumaczyć przed inspektorem Lynleyem. Zgoda, mogę poczekać, lecz pora, aby ci wszystko wygarnąć, jest równie dobra, jak każda inna.

- Wszystko wygarnąć?

- Jest jeszcze jedna sprawa, o której muszę cię powiadomić, nim wyjdę. Rano telefonowała Francesca. Powiedziała, że nie wytrzyma tego dłużej. Nie po tym, co spotkało Gowana. Sądziła, że jakoś sobie z tym poradzi. Ale chłopak był jej zbyt bliski i ona nie może znieść myśli o tym, że przyczyniła się do jego śmierci.

Początkowo zamierzała zachować milczenie, ze względu na ciebie, oczywiście.

Doszła jednak do wniosku, że nie zdoła dłużej zachowywać pozorów. Dlatego postanowiła dzisiaj po południu porozmawiać z inspektorem Macaskinem.

- O czym ty mówisz?

Lady Stinhurst wciągnęła rękawiczki i sięgnęła po płaszcz, szykując się do wyjścia.

Nieznane dotąd uczucie wrogości sprawiło jej przyjemność.

- Francesca nie powiedziała policji prawdy o tym, co robiła ani co widziała tamtej nocy, kiedy została zamordowana Joy Sinclair.

- Przyniosłam chińskie jedzenie, tato. - Barbara Havers wsunęła głowę w drzwi, zaglądając do salonu. - Muszę cię jednak poprosić, żebyś tym razem nie bił się z mamą o krewetki. A gdzie to ona się podziewa?

Ojciec siedział przed telewizorem grzmiącym na cały regulator i oglądał program BBC-I. Górna pozioma linia obrazu była przesunięta w dół, ludzie na ekranie mieli głowy poobcinane do wysokości brwi, a audycja dotyczyła bodaj literatury science-fiction.

- Tato? - powtórzyła Barbara.

Ojciec się nie odezwał. Weszła więc do pokoju, ściszyła odbiornik i odwróciła się w stronę ojca. Spał z otwartymi ustami; z nosa sterczały mu rurki, zapewniające dopływ tlenu. Podłoga wokół krzesła usłana była gazetami, na kolanach ojca też leżała otwarta gazeta. W pomieszczeniu, podobnie jak w całym domu, panował

zaduch, a ściany, podłoga i meble zdawały się emanować słodkawym, zatęchłym zapachem starych ludzi, który się miesza! z silniejszą wonią niedawno przypalonej i niejadalnej stawy.

Zabiegi Barbary narobiły wystarczającego hałasu, aby obudzić starca. Uśmiechnął

się na jej widok, odsłaniając szerniałe i połamane zęby oraz puste miejsca po nich.

- Chyba się trochę zdrzemnąłem, Barbie.

- Gdzie mama?

Jimmy Havers zamrugnął powiekami, wyjął rurki z nosa i sięgnął po chusteczkę, w którą odkasłał obfitą plwocinę. Jego oddech przypominał bulgotanie wody.

- Jest obok, u sąsiadki. Pani Gustafson znowu nabawiła się grypy i mama zaniósł ją trochę zupy.

Znając wątpliwe talenty kulinarne swojej matki, Barbara zastanawiała się przez chwilę, czy stan zdrowia pani Gustafson przypadkiem się nie pogorszy po spożyciu owej ciecicy. Niemniej optymizmem natchnął ją fakt, że matka zaryzykowała wyjście z domu. Zdobyła się na to po raz pierwszy od lat.

- Przyniosłam chińskie jedzenie - oznajmiła ojcu, podnosząc reklamówkę. - Będę musiała jeszcze wyjść dzisiaj wieczorem. Mam zaledwie pół godziny na posiłek.

Ojciec zmarszczył brwi.

- Mamie się to nie spodoba, Barbie. Ani trochę.

- Właśnie dlatego przyniosłam jedzenie. Chciałam, żebyście je potraktowali jako ofiarę złożoną na ołtarzu pojednania. - Weszła do znajdującej się w głębi mieszkania kuchni i serce w niej zamarło. Obok zlewozmywaka stał tuzin pełnych zupy puszek z otwartymi wiekami, a do wszystkich były wetknięte łyżki, jak gdyby matka próbowała każdej stawy, nim zdecydowała, którą zaofiarować sąsiadce. Trzy zupy, podgrzewane w oddzielnych garnkach i lekkomyślnie pozostawione na ogniu, wydzielaly zapach zwęglonych warzyw i przypalonego mleka. Otwarta paczka z wysypującymi się biszkoptami leżała niebezpiecznie blisko płomienia - celofan został pośpiesznie rozdarty i rzucony na podłogę.

- A niech to wszyscy diabli - powiedziała Barbara słabym głosem, zakręcając palniki. Położyła paczkę zjedzeniem na kuchennym stole, obok najnowszego katalogu z informacjami turystycznymi. Jedno spojrzenie wystarczyło, aby stwierdzić, że celem podróży matki w bieżącym tygodniu jest

Brazylia. Barbara nie była jednak zainteresowana przeglądaniem tego rodzaju wydawnictw. Odszukała pod zlewem worek na śmieci i zaczęła do niego wrzucać puszki z zupą. Nagle otworzyły się frontowe drzwi, na nie wysłanej dywanem podłodze holu rozległy się niepewne kroki i w wejściu do kuchni pojawiła się matka z mocno porysowaną plastikową tacą w dłoniach. Wciąż znajdowały się na niej biszkopty, zupa i pomarszczone ze starości jabłko.

- Wystygła - oznajmiła pani Havers, starając się ukryć zmieszanie w swoich bezbarwnych oczach. Na sobie miała zniszczoną podomkę i włożony na nią, krzywo zapięty fartuch. - Zapomniałam ją przykryć. A gdy dotarłam na miejsce, przy pani Gustafson siedziała jej córka. Powiedziała, że matka nie będzie tego jadła.

Barbara rzuciła okiem na podejrzaną miksturę i błogosławiła córkę pani Gustafson za roztropność, nawet jeśli kobiecie brakowało taktu. Zupa była mieszanką przeróżnych produktów - nieapetyczną strawą z łuskanego grochu, ryby i mały oraz pomidorów i ryżu. Potrawa szybko wystygła i na jej powierzchni utworzył się pofałdowany kożuch, który przypominał wyglądem zakrzepłą krew. Widok ten przyprawił Barbarę o mdłości.

- Nie szkodzi, mam - powiedziała. - Najważniejsze, że o niej pomyślałaś. I pani Gustafson z pewnością się o tym dowie. Chciałaś jej przecież okazać życzliwość.

Matka uśmiechnęła się bezmyślnie.

- To prawda - przyznała i postawiła tacę na samej krawędzi stołu. Barbara rzuciła się, aby zapobiec jej runięciu na ziemię.

- Widziałaś już Brazylię, kochanie? - Pani Havers dotknęła z czułością podartej okładki ze sztucznej skóry. - Dzisiaj trochę pracowałam nad materiałami.

- Tak, przejrzałam pobieżnie zdjęcia. - Barbara nadal wrzucała do worka na śmieci różne rzeczy z kuchennego blatu. W zlewie piętrzył się stos brudnych naczyń.

Dobywający się stamtąd odór zepsutej żywności świadczył o tym, że na spodzie znajdują się resztki potraw.

- Przyniosłam chińskie danie - poinformowała Barbara matkę. -Niestety, znowu będę musiała na chwilę was opuścić.

- Och, nie, kochanie. Chcesz wyjść na ten ziab? Przecież już się całkiem ściemniło.

Młode damy nie powinny nocami się włóczyć same po ulicach.

- Wzywają mnie moje policyjne obowiązki, mam - wyjaśniła Barbara. Podeszła do kredensu i stwierdziła, że zostały tam już tylko dwa czyste talerze. Zbagatelizowała jednak sprawę. Postanowiła, że gdy rodzice się posilą, ona zje resztę wprost z kartonu. Gdy nakrywała do stołu, a matka snuła się za nią krok w krok bez celu, rozległ się dzwonek do drzwi. Obie spojrzały na siebie zdumione.

Twarz matki się zachmurzyła.

- Nie sądzisz chyba, że to... Wiem, że Tony nie wróci. On nie żyje, prawda?

- Tak. on nie żyje, mamó - powiedziała stanowczym tonem Barbara. - Nastaw wodę na herbatę, a ja pójdę wpuścić gościa.

Dzwonek zabrzączał ponownie. Mrucząc coś ze zniecierpliwieniem, zapaliła światło na zewnątrz. Nie wierzyła własnym oczom - w progu stała lady Helen Clyde.

Kobieta od stóp do głów była ubrana na czarno i fakt ten powinien stanowić dla Barbary czytelny sygnał. Lecz w tamtej chwili uświadomiła sobie tylko jedną zatrważającą prawdę - że jeśli to nie koszmar, z którego szczęśliwie się przebudzi, będzie zmuszona poprosić tę damę do środka.

Oto najmłodsza córka dziesiątego lorda Hesfield, dziedziczka wielkiej posiadłości w Surrey i mieszkanka jednej z najelegantszych dzielnic Londynu składa właśnie wizytę w najgorszej okolicy Acton... Ale w jakim celu?

Barbara wpatrywała się w kobietę bez słowa, ukradkiem rozglądając się za jej samochodem. Mały czerwony morris stał zaparkowany kilka domów dalej. Z tyłu dobiegł Barbarę zdenerwowany i płaczliwy głos matki:

- Kto to przyszedł, kochanie? To nie...

- Nie, mamó. Wszystko w porządku. O nic się nie martw! - zawołała przez ramię.

- Niech mi pani wybaczy, Barbaro - powiedziała lady Helen. - Nie zakłócałabym pani spokoju, gdybym miała inne wyjście.

Jej słowa pomogły Barbarze wrócić do rzeczywistości. Szerzej otworzyła drzwi.

- Proszę, niech pani wejdzie.

Gdy lady Helen ją wyminęła i stanęła w holu, Barbara przyłapała się na tym, że mimo woli patrzy na swoje mieszkanie oczami tamtej kobiety i postrzega je jako miejsce, gdzie nierozzerwalnie splata się ze sobą obłęd i bieda; widziała zniszczone linoleum pokrywane od miesięcy nie mytą podłogę, pełną śladów butów i kałuż po stopniałym śniegu, obdartą w kątach wyblakłą tapetę z wilgotną i pokrytą pleśnią plamą nieopodal drzwi, zniszczone schody, rząd wieszaków na ścianie, na których ktoś niedbale powiesił mocno sfatygowane i od lat nie noszone płaszcze, stary rattanowy stojak na parasole; czuła odór przypalonego jedzenia, starości i zaniedbania.

„Mój pokój tak nie wygląda! miała ochotę zawołać. - Nie jestem w stanie się nimi zajmować, opiać rachunki, gotować posiłki i pilnować, żeby zachowywali czystość!”

Nic jednak nie powiedziała. Czekwała, aż lady Helen się odezwie. Czuła, jak zalewa ją fala palącego wstydu, gdy w drzwiach salonu zjawił się powłóczyący nogami ojciec w swoich obwisłych spodniach i poplamionej szarej koszuli, ciągnąc za sobą na wózku butlę z tlenem.

- To mój ojciec - przedstawiła go Barbara i zaraz dodała, gdy z kuchni, niczym wystraszona mysz, wyjrzała matka: - A to moja matka.

Lady Helen podeszła do Jimmy'ego Haversa z wyciągniętą dłonią.

- Nazywam się Helen Clyde - powiedziała, a następnie spojrzała w kierunku kuchni.

- Przeszkodziłam państwu w kolacji, prawda, pani Havers?

Jimmy Havers uśmiechnął się wylewnie.

- Mamy dzisiaj chińskie danie. Z pewnością i dla pani wystarczy jedzenia, prawda, Barbie?

W innych okolicznościach Barbarę może rozbawiłaby myśl o lady Helen, która je prosto z kartonu, siedząc przy kuchennym stole, i rozprawia z matką o podróżach do Brazylii, do Turcji i do Grecji, aktualnie zaprzatających ogarnięty szaleństwem umysł. Teraz jednak czuła się słaba i poniżona tym, że lady Helen odkryła prawdę i może się kiedyś zdradzić przed Lynleyem swoją wiedzą na temat warunków jej życia.

- Bardzo dziękuję - odpowiedziała uprzejmie lady Helen - ale nie jestem głodna. -

Starła się uśmiechnąć do Barbary, ale jej wysiłek przyniósł bardzo nikłe efekty.

Widząc to, policjantka uświadomiła sobie, że choć sama nie najlepiej się czuje z powodu niespodziewanych odwiedzin, samopoczucie lady Helen jest znacznie gorsze.

- Pozwoli pani, że najpierw ich nakarmię, Helen - powiedziała uprzejmie. Zechce pani przejść do salonu i nie zwracać uwagi na panujący tam bałagan.

I nie czekając, jak kobieta zareaguje na widok reprezentacyjnego pokoju umeblowanego starymi, rozchybotanymi sprzętami i wszechobecną atmosferę upadku i zniszczenia, zaprowadziła ojca do kuchni. Chwilę zajęło jej uciszanie bojaźliwych utyskiwań matki, wywołanych wizytą niespodziewanego gościa. Gdy rozkładała na talerze ryż, smażone krewetki, kurczaki z sezamem oraz wołowinę, zastanawiała się, co mogło sprowadzić tę kobietę w jej progi. Nie chciała dopuścić do siebie myśli, że lady Helen wie o mechanizmie, jaki został uruchomiony dzisiejszego wieczoru w celu dokonania aresztowania. Odrzucała przypuszczenie, że główną przyczyną wizyty jest zastawiona na sprawcę zbrodni zasadzka. A jednak przez cały czas w głębi serca czuła, że nie może być innego wytłumaczenia. Ona i lady Helen Clyde nie obracały się w tych samych kręgach. I z pewnością kobieta nie odwiedziła jej w celach towarzyskich, działając pod wpływem nagłego impulsu.

Gdy Barbara dołączyła do niej kilka minut później, lady Helen nie trzymała jej długo w niepewności. Siedziała na brzegu zapadniętej, wypchanej sztucznym włosiem kanapy, a wzrok miała utkwiony w przeciwległej ścianie, gdzie pomiędzy dziesięcioma ciemnymi kwadratowymi śladami na tapecie - pozostałościami po poprzedniej kolekcji pamiątek wisiało pojedyncze zdjęcie młodszego brata Barbary.

Gdy tylko gospodyni weszła do pokoju, lady Helen zerwała się na nogi.

- Zamierzam towarzyszyć pani dzisiaj wieczorem. - Ręką zrobiła ruch, świadczący o zakłopotaniu. - Może powinnam nadać temu anonsowi uprzejmieszą formę, myślę jednak, że to nieistotne.

Barbara również doszła do wniosku, że nie ma powodu kłamać:

- Skąd się pani dowiedziała o naszej akcji?

- Godzinę temu telefonowałam do Tommy'ego. Denton powiedział mi, że Tommy dzisiaj wieczorem prowadzi nadzór policyjny. On w zasadzie nie zajmuje się inwigilacją, prawda? Reszty domyśliłam się sama. - Znowu uczyniła pełen zakłopotania gest i z niezadowoloną miną powiedziała: - Gdybym знаła miejsce zasadzki, po prostu bym tam poszła. Ale nie wiem, gdzie ją zorganizowano. Denton nie potrafił mi udzielić żadnej wskazówki. W całym Scotland Yardzie nie ma osoby, która chciałaby mi to wyjawić. Dlatego przyszłam do pani. Jestem gotowa panią śledzić, jeżeli nie zgodzi się pani na moje towarzystwo. - Zniżyła głos: - Jest mi ogromnie przykro. Zdaję sobie sprawę, w jakiej sytuacji panią stawiam. I wiem, jak wściekły będzie Tommy. Na nas obie.

- Dlaczego zatem pani to robi?

Lady Helen ponownie skierowała wzrok na fotografię brata Barbary. Było to stare i niezbyt dobre zdjęcie jeszcze ze szkolnych czasów, lecz przedstawiało Tony'ego takim, jakim Barbara chciała go zapamiętać - uśmiechniętego, z brakującym zębem z przodu, z figlarną, piegowatą buzią i bujną czupryną.

- Po tym... co się stało, muszę tam być - oświadczyła lady Helen. - To jedyny sposób, abym zdołała zakończyć tę sprawę i wybaczyć sobie własną bezgraniczną głupotę.

Chcę być obecna w chwili jego aresz-

towania. - Spojrzała na policjantkę. Barbara zobaczyła, że kobieta jest straszliwie blada. Wyglądała na słabą i chorą.

- Nie potrafię opisać tego, co czuję, wiedząc, że on mnie oszukał. A na dodatek dręczy mnie świadomość, jak podle obeszłam się z Tom-mym. I to tylko dlatego, że pragnę! odsłonić przede mną prawdę.

- Telefonowaliśmy do pani wczoraj wieczorem. Również i dzisiaj inspektor usiłował

skontaktować się z panią. Szaleje z niepokoju.

- Przykro mi... Nie chciałam... Nie byłam w stanie spojrzeć mu w oczy.

- Proszę mi wybaczyć, że to mówię - zaczęła niepewnie Barbara - ale nie sądzę, aby fakt, że racja jest po jego stronie, sprawiał mu przyjemność. Na pewno nie potrafiłby cieszyć się z tego pani kosztem.

Na tych słowach poprzestała i nie wspomniała o swoim popołudniowym spotkaniu z Lynleyem, o tym, jak nerwowo krążył po pokoju, ustalając skład ekipy operacyjnej, ani o jego nieustannych telefonach do mieszkania Helen, do jej rodzinnej posiadłości w Surrey i do domu St. Jamesa. Nie

powiedziała, jak w miarę upływu czasu nachodziły go coraz czarniejsze myśli, jak podskakiwał na dźwięk każdego dzwonka telefonu, ani że - pomimo obojętnego tonu głosu - z jego twarzy nie ustępował wyraz napięcia.

- Pozwoli mi pani pójść ze sobą? - spytała lady Helen. Barbara wiedziała, że pytanie jest czysto formalne,

- Nie wiem, jak mogłabym panią przed tym powstrzymać - odparła.

Lynley od wpół do piątej po południu przebywał w mieszkaniu Joy Sinclair w Hampstead. Niedługo po nim przybyli pozostali członkowie ekipy i ulokowali się w wyznaczonych miejscach - dwaj w brudnej furgonetce z jakimś defektem koła, na środku ulicy Flask Walk, jeden w okolicy księgarni na rogu Back Lane, jeden w sklepie zielarskim, a jeszcze jeden na głównej ulicy, naprzeciwko stacji metra.

Lynley zaczął się w miejscu, które - jak uznał - zapewniało najłatwiejszy dostęp do domu: przy drzwiach salonu wychodzących na ogród z tyłu budynku. Siedział w jednym z niskich foteli w pogrążonym w mroku pokoju i przysłuchiwał się rozmowom, jakie prowadzili przez radio jego ludzie na zewnątrz.

Było tuż po ósmej, gdy ekipa z furgonetki zaanonsowała:

- Pojawiła się Havers na końcu Flask Walk, sir. Nie jest sama. Zdumiony Lynley zerwał się na równe nogi, podszedł do frontowych drzwi i otworzył je z donośnym skrzypnięciem, w chwili gdy sier-

żant Havers i lady Helen przechodziły pod uliczną latarnią, a ich twarze oświetla!

nieziemski, bursztynowy blask. Po szybkim zlustrowaniu ulicy przemierzyły pośpiesznie ogród przed domem i skierowały się do wejścia.

- Co to, na miłość boską, ma... - zaczął się pieklić Lynley, gdy zamknął drzwi, a obie kobiety stanęły przed nim w mrocznym holu.

- Nie zostawiłam jej wyboru, Tommy - wyjaśniła lady Helen. - Dowiedziałam się od Dentona, że zastawiliście zasadzkę. Domyśliłam się reszty i pojechałam do domu sierżant Havers.

- Nie chcę, żebyś tu była. Do diabła, wszystko się może zdarzyć. Wrócił do salonu po nadajnik.

- Będę tutaj kogoś potrzebował... - zaczął.

- Nie! Nie rób mi tego! - Lady Helen rozpaczliwie wyciągnęła ręce w jego stronę, ale go nie dotknęła. - Zrobię wszystko, o co mnie prosisz wczoraj wieczorem. Tylko pozwól mi zostać. Muszę tu być. Tommy. Nie będę ci wchodzić w drogę. Obiecuję.

Przysięgam. Pozwól mi zakończyć tę sprawę według mojego uznania.

Poczu! się nagle rozdarty. Dobrze wiedział, co należy do jego obowiązków. Nie miał wątpliwości,

jakie postępowanie jest słuszne. Lady Helen nie powinna przebywać w miejscu, które w każdej chwili może stać się terenem ogólnej bijatyki.

Na usta cisnęły mu się słowa stosowne do okoliczności, choć pełne szacunku - ale zanim zdążył je wypowiedzieć, kobieta znów się odezwała, a jej słowa zapiekły go do żywego:

- Pozwól, abym pogodziła się ze stratą Rhysa w sposób, jaki wydaje mi się najlepszy. Błagam cię o to, Tommy.

- Inspektorze? - zatrzeszczał w słuchawce czyjś głos. Polecenie Lynleya zabrzmiało chrapliwie:

- Wszystko w porządku. Zostańcie na swoich pozycjach.

- Dziękuję - szepnęła lady Helen.

Nie zdołał jej odpowiedzieć. Nie mógł się skupić na niczym innym niż na jednym, wymownym zdaniu: „Zrobię wszystko, o co mnie prosisz”. Przypomniawszy sobie ostatnie słowa, jakie skierowała do niego wczoraj wieczorem, i nie mógł znieść myśli o tym, co owa deklaracja oznacza. Nie był w stanie wydobyć z siebie głosu.

Wyminął ją i skierował się do mrocznego kąta jadalni; uchylił nieznacznie zasłony, aby się rozejrzeć po Back Lane. Niczego nie dostrzegł i wrócił na swoje miejsce.

Rozpoczęło się wspólne długie wyczekiwanie.

Przez następnych sześć godzin lady Helen dotrzymywała słowa. Nie ruszała się z fotela w salonie. I nie odzywała się ani słowem. Lynleyowi chwilami zdawało się.

że zasnęła, ale nie widział jej dokładnie. Twarz Helen była zaledwie rozmazaną plamą pod czarną chustką, jaką miała na głowie.

Na skutek gry świateł wydawała się ulotną zjawą, a jej postać wtapiała się w mrok niczym podobizny na fotografiach, płowiejące z upływem lat i w końcu nierozpoznawalne. Ciepłe piwne oczy, łuki brwi, łagodny kontur policzków i ust oraz świadcząca o uporze linia podbródka - wszystko to stawało się mniej wyraźne w miarę mijania godzin. Lynley siedział obok sierżant Havers, która stanowiła trzeci wierzchołek tego trójkąta oczekiwania, a naprzeciw miał lady Helen.

Niespodziewanie zapragnął tej kobiety w nie znany mu dotychczas sposób. Uczucie to nie miało nic wspólnego z seksem; było wołaniem do pokrewnej i niezbędnej do samorealizacji duszy. Czuł się tak, jakby przebył ogromny dystans tylko po to, aby znowu się zjawić w miejscu startu i po raz pierwszy nauczyć się je dobrze rozpoznawać.

Przez cały czas nie odstępowało go jednak mgliste przeświadczenie, że się spóźnił.

Dziesięć po drugiej w nocy radio z trzaskiem obudziło się do życia.

- Mamy towarzystwo, inspektorze. Osobnik zbliża się od strony Fiask Walk. Stara się trzymać

ciemności... Och, co za znakomita technika. .. Rozgląda się za policjantami... Ciemne ubranie, ciemna wełniana czapka i postawiony kołnierz płaszcza... Zatrzymał się w odległości trzech domów od gniazdka. Głos umilkł na kilka minut, a potem znowu podjął szeptem swój monolog: - Przeszedł na drugą stronę ulicy, żeby się jeszcze raz rozejrzeć... Nadal się zbliża. Znow przeciął jezdnię i zmierza w kierunku Back Lane... To nasz ptaszek, inspektorze. Nikt nie chodzi tędy o drugiej w nocy, i to w tak podłą pogodę... Straciłem go z oczu... Skręcił w Back Lane.

Inny głos przejął relacjonowanie wydarzeń:

- Podejrzany zbliża się do muru ogrodowego... wciąga coś na twarz... przesuwa dłonią wzdłuż cegieł...

Lynley wyłączy! radio. Bezszelestnie ukrył się w najbardziej mrocznym miejscu salonu. Sierżant Havers stanęła za nim. Z tyłu - lady Helen.

W pierwszym momencie inspektor niczego nie dostrzegł za drzwiami. Dopiero po chwili na tle atramentowego nieba pojawił się czarny kształt i na ogrodowym murze wyrosło ciało intruza. Mężczyzna przerzucił najpierw jedną nogę przez ogrodzenie, a potem drugą. Rozległ się cichy stuk, gdy zeskoczył na ziemię. Jego twarz była nierozpoznawalna, co wydawało się dziwne, ponieważ gwiazdy i pryzmy śniegu, rozpraszające mrok w blasku ulicznych latarni przy Back Lane, zapewniały wystarczająco dużo światła. Na tle białego puchu wyraźnie rysował się kontur drzewa, a zaprawa murarska odcinała się barwą od cegieł w ogrodowym murze. Inspektor dostrzegł, że mężczyzna nosi narciarską maskę.

- Helen, cofnij się - wykrztusił Lynley. Kobieta ani drgnęła. Obejrzał się przez ramię i zobaczył, że jej szeroko otwarte oczy są utkwione w przybyszu i śledzą, jak zakrada się do drzwi. Kobieta podniosła rękę zaciśniętą w pięść i przycisnęła ją do ust.

A potem nastąpiło niewytłumaczalne.

Gdy mężczyzna pokonał cztery stopnie, sięgnął do klamki i zaczął się z nią mocować, lady Helen wydała z siebie oszalały z trwogi krzyk:

- Nie! Och, Boże! Rhys! Nagle powstał straszliwy zamęt.

Postać na zewnątrz znieruchomiała na sekundę, zaraz jednak dopadła muru i pokonała go jednym skokiem.

- Jezu Chryste! - krzyknęła sierżant Havers, rzucając się w stronę drzwi i błyskawicznie je otwierając. Do domu wtargnęło mroźne powietrze nocy.

Zaskoczenie spowodowane reakcją lady Helen obezwładniło Lynleya i przez moment nie był w stanie wykonać żadnego ruchu. Ona nie mogła... Nie chciała chyba... Ona nigdy... Zbliżyła się do niego w ciemnościach.

- Tommy, proszę cię...

Jej osłabły głos nagle przywrócił mu zmysły. Odepchną! ją na bok, chwycił radio i rzuci! zwięźle:

- Straciliśmy go.

Potem popędził do drzwi frontowych i wypadł na dwór, nieświadomy odgłosów pościgu za plecami.

- Ucieka w stronę głównej ulicy! - rozleg! się krzyk od strony księgarni naprzeciwko i Lynley pomkną! we wskazanym kierunku.

Widział przed sobą umykającą czarną postać i stysza! oszalałe dudnienie jej kroków: na chodniku. Spozrzegł, jak poślizgnęła się na skrawku lodu, lecz natychmiast odzyskała równowagę i pobiegła dalej. Podejrzany nie szukał schronienia w mroku.

Wręcz przeciwnie - gnał na złamanie karku środkiem jezdni w świetle ulicznych latarni.

Odgłosy jego ucieczki odbijały się donośnym echem w nocnym powietrzu.

Lynley słyszał pędzącą kilka kroków za sobą sierżant Havers. Biegła, ile tchu w piersi, i klęła szpetnie pod adresem lady Helen, używając wszystkich znanych sobie obelżywych wyrazów.

- Zatrzymać się! Policja! - Dwaj policjanci z furgonetki wyskoczyli zza rogu i również rzucili się w pogoń.

Ofiara pościgu wypadła na Heath Street - jedną z większych arterii Hampstead Village. Światła reflektorów nadjeżdżającego z przeciwka samochodu schwytały ją w potrzask jak zwierzę. Zapiszczały opony i rozległ się oszalały dźwięk klaksonu.

Duży mercedes zahamował ostro. Tylko centymetry dzieliły wóz od zbiega.

Mężczyzna nie wyminął jednak przeszkody, lecz rzucił się w stronę drzwiczek.

Nawet z odległości kilkudziesięciu metrów Lynley słyszał krzyki pasażerów.

- Stać! - Inny policjant wyłoni! się zza rogu głównej ulicy, w odległości niespełna trzydziestu metrów od mercedesa. Na czarno odziana postać dała nura w prawo i kontynuowała ucieczkę, podążając w górę uliczką.

Zwłoka przy samochodzie kosztowała jednak zbiega stratę czasu oraz spowodowała zmniejszenie dystansu, jaki go dzieli! od ścigających. Lynley miał go już niemal w zasięgu ręki. Był dostatecznie blisko, żeby słyszeć rżący oddech, gdy mężczyzna pędził w stronę wąskich kamiennych schodów wiodących na wierzchołek wzgórza.

Uciekinier brał po trzy stopnie naraz. Zatrzymał się na szczycie, gdzie w ocienionym łuku przed frontowymi drzwiami jednego z domów stał metalowy koszyk z pustymi butelkami na mleko. Nim podjął dalszą ucieczkę, chwycił go i rzucił w dół

schodów, ale hałas tłuczonego szkła zatrwożył jedynie kilka psów w sąsiedztwie, które zaczęły wyc

przeraźliwie. W okolicznych domach pozapalały się światła, co ułatwiło Lynleyowi wspinaczkę i omijanie ostrych odłamków.

Ulicę u wylotu schodów porastały po obu stronach olbrzymie, rzucające groźne cienie buki i jawory. Lynley przystanął pod nimi na chwilę. Wypatrywał ruchu w ciemnościach. Nasłuchiwał odgłosów ucieczki w nocnym wietrze i naszczekiwania psów. Havers dołączyła do niego, z trudem łapiąc oddech. Nie przestawała złorzeczyć.

- Gdzie on...

Lynley jako pierwszy wychwycił dochodzący z lewej strony dźwięk. Głuche uderzenie o metal, gdy zbieg, którego pole widzenia ograniczała narciarska maska, wpadł na pojemnik na śmieci. Więcej inspektorowi nie było potrzeba.

- Zmierz w stronę kościoła! Trzeba sprowadzić posiłki - zawrócił Havers. - Niech im pani powie, żeby odcięli mu odwrót przy kościele Świętego Jana. Proszę nie zwlekać!

Nie czekał, żeby się przekonać, czy podwładna wypełni jego polecenie. Dudniący odgłos kroków z przodu znowu wciągnął go w pościg. Pokonał Holly Hill, a gdy się znalazł u wylotu wąskiej uliczki, stwierdził z tryumfem, że wszystko układa się po jego myśli. Z jednej strony znajdował się wysoki mur, z drugiej otwarta przestrzeń.

Ulica nie zapewniała absolutnie żadnego schronienia. Nagle jakieś czterdzieści metrów przed sobą dostrzegł swoją ofiarę. Mężczyzna skręcił w otwartą bramę w murze. Gdy inspektor tam dotarł, zobaczył, że podjazd nie jest odśnieżony, a wydłużone ślady butów prowadzą poprzez szeroki trawnik do ogrodu. Mężczyzna mocował się z żywopłotem z ostrokrzewu i kolczastymi liśćmi, o które zahaczyło się jego ubranie. Zaskowyczał z bólu. Gdzieś w pobliżu zaczął zaciekle ujadać pies.

Zapaliły się światła reflektorów. Na głównej ulicy, w dole, zawyły syreny, a ich odgłos w miarę zbliżania się policyjnych radiowozów stawał się coraz to bardziej ogłuszający.

Krytyczna sytuacja najwyraźniej spowodowała przyływ andreali-ny potrzebnej mężczyźnie do wyswobodzenia się z krzewów. Posłał Lynleyowi dzikie spojrzenie, ocenił dzielącą ich odległość i wyrwał się z bolesnego uścisku roślin. Upadł na kolana przy dalszym krańcu żywopłotu, zaraz jednak zerwał się z ziemi i podjął

ucieczkę. Lynley rzucił się w przeciwnym kierunku - drugiej bramy, którą zauważył!

w murze. Dobiegł do niej, brnąc przez śnieg - kosztowało go to stratę co najmniej trzydziestu sekund - i wypadł na ulicę.

Na prawo majaczył w ciemnościach kościół Świętego Jana, otoczony niskim parkanem z cegły. Poruszający się przy nim cień przykucnął, odbił się od ziemi i przesadził go jednym susem. Lynley pobiegł tam.

Z łatwością pokonał murek i wylądował w śniegu. W jednej chwili spostrzegł po lewej stronie mknącą w kierunku cmentarza postać. Coraz bardziej wznagało się wycie syren i głośnym echem

odbijał się pisk skrzypiących na mokrej nawierzchni opon.

Lynley brnął poprzez sięgające kolan zasy, aż znalazł się w miejscu, gdzie chodnik był odśnieżony. Kształt w ciemnościach zaczął kluczyć pomiędzy grobami.

Na ten błąd inspektor tylko czekał. Śnieg zalega! tam grubszą warstwą i niektóre pomniki były całkowicie zasypane. Słyszał, jak mężczyzna wpada co chwila na płyty nagrobne, walcząc zapamiętałe

o przedarcie się na drugą stronę cmentarza do biegnącej w dole za parkanem ulicy.

Po chwili syreny umilkły i tylko błyskały wirujące niebieskie światła. Policjanci zaczęli się wdrapywać na mur cmentarny. Nieśli latarki, które miały im pomóc w schwytaniu uciekiniera. Jednak padające łukiem, białe i tworzące na śniegu jasną poświatę światło rozproszyło mrok wokół grobów i zbieg przyspieszył kroku. Teraz szybciej omijał sarkofagi i pomniki, zmierzając w kierunku ogrodzenia po przeciwległej stronie cmentarza.

Lynley trzymał się odśnieżonej ścieżki, wijącej się pomiędzy drzewami - gęsto zasadzonymi sosnami, których igły wymościły skutym lodem chodnik i utworzyły chropowatą, umożliwiającą stawianie pewnych kroków nawierzchnię. Łatwość poruszania się sprawiła, że inspektor zyskał na czasie - zaoszczędził cenne sekundy i wykorzystał je na zlokalizowanie przeciwnika.

Mężczyznę dzieliło jakieś sześć metrów od celu. Po lewej stronie odcinali zbiegowi odwrót dwaj brnący po śniegu policjanci, z tyłu siedziała mu na karku Havers, a po prawej stronie miał Lynleya. Znalazł się potrzasku. Z dzikim okrzykiem, który miał

sygnalizować ostatni przyływ sił, uciekinier wykonał skok w przód. Inspektor jednak był szybszy i zdążył go dopaść.

Wywiązała się szamotanina. Ścigany zdołał się wyrwać Lynleyowi i stanął przed kolejną szansą pokonania parkanu. Odbił się od ziemi, mocno się uczepił górnej krawędzi muru, dźwignął w górę ciało i zaczął przechodzić na drugą stronę.

Lynley przystąpił do kontrataku. Chwycił przeciwnika za czarny sweter, ściągnął w dół, otoczył ramieniem jego szyję i rzucił go na śnieg. Gdy Havers zjawiała się u boku inspektora, sapiąc niczym zmęczony długodystansowiec, stał nad swoją ollarą, ciężko dysząc. Dwaj policjanci dołączyli do nich, a jeden z nich zdołał nawet powiedzieć: „Jesteś skończony, synu”, nim dostał ataku kaszlu.

Lynley jednym szarpnięciem postawił mężczyznę na nogi, zdarł mu z twarzy narciarską maskę i złapał go w snop światła latarki.

To był David Sydeham.

Drzwi do sypialni Joy nie były zamknięte - powiedział Sydeham. Zajęli miejsca przy stole o metalowych nogach w jednej z sal przesłuchań w Scotland Yardzie. Pokój został tak zaprojektowany,

aby zapobiec ucieczkom. Nie było tu ani jednej ozdoby, która mogłaby bodaj w najmniejszym stopniu działać na wyobraźnię. Sydeham nie patrzył na nikogo, gdy mówił - ani na siedzącego naprzeciwko Lyn-leya, który usiłował dopasować do siebie wszystkie szczegóły, ani na sierżant Havers, która po raz pierwszy nie sporządzała notatek, a jedynie od czasu do czasu wtrącała jakieś pytania, żeby w istotny sposób wzbogacić wiedzę o sprawie. Unikał także widoku ziewającej steno-grafki - weteranki pracy w policji - od dwudziestu dwóch lat notującej wszystko z wyrazem znudzenia na twarzy, który miał świadczyć o tym, jak dobrze są jej znane zawilości stosunków między ludźmi, kończące się aktami przemocy. Sydeham siedział odwrócony bokiem i mieli możliwość obserwowania go z profilu. Utkwił wzrok w kącie pokoju, gdzie leżała martwa ćma, jakby ujrzał w niej symbol swoich brutalnych czynów.

W jego głosie - oprócz skrajnego znużenia nie było śladu jakichkolwiek emocji.

Zegar wskazywał wpół do czwartej nad ranem.

Zabrałem sztylet wcześniej, kiedy zszedłem na dół do biblioteki po whisky. Bez trudu zdjąłem go ze ściany w jadalni, skorzystałem z przejścia przez kuchnię oraz schodów dla służby i zaniósłem go do mojego pokoju. A potem, oczywiście, nie pozostało mi nic innego, jak zaczekać na odpowiedni moment.

- Wiedział pan, że pańska żona była z Robertem Gabrielem?

Sydeham spojrział na swego rolexa, którego złota koperta połyskiwała pod czarnym swetrem. Pieszczotliwie przesunął palcem wokół

cyferblatu. Miała nienawykłe do pracy, duże dłonie, które wcale nie sprawiały wrażenia, że są rękami mordercy.

- Nie potrzebowałem wiele czasu, żeby się tego domyślić, inspektorze - odparł w końcu. - Joanna z pewnością już pana powiadomiła, że chciałem, aby nadal była związana z Gabrielem. Dopilnowała więc, aby mojemu życzeniu stało się zadość. W

teatrze faktu. Odegrała się na mnie po mistrzowsku, nie sądzi pan? Oczywiście, na początku nie byłem pewien, czy jest u niego. Łudziłem się, że może nadąsana zaszyła się w jakiś *kąt*. *Chociaż* pewnie już wtedy przeczuwałem, że to nie byłoby w jej stylu. W każdym razie Gabriel z rozbijającą szczerością rozprawiał potem w Agincourt Theatre o swoich łózkowych podbojach. *Chociaż* w tego typu sprawach postąpiłby rozsądniej, zachowując milczenie, nieprawdaż?

- To pan go pobił tamtej nocy w jego garderobie? Sydeham uśmiechnął się blado.

- To był jedyny moment w całej tej cholernej historii, który sprawił mi prawdziwą przyjemność. Nie lubię, inspektorze, kiedy inni faceci dobierają się do mojej żony, bez względu na to, czy jest im przychylna, czy też nie.

- Ale nie przeszkodziło to panu gorliwie zająć się cudzą żoną.

- Ach, mówi pan o Hannah Darrow. Przewidywałem, że ta mała flirciara w końcu dobierze mi się do

skóry. - Sydeham sięgnął po stojący przed nim na stole styropianowy kubek z kawą. Jego paznokcie wycisnęły na nim wzór w półksiężycy.

- Kiedy Joy opowiadała przy kolacji o swojej nowej książce i wspomniała o dzienniku, który usitowała wyciągnąć od Johna Darrowa, widziałem jasno, ku czemu sprawy zmierzają. Nie wyglądało na to, żeby Joy dała za wygraną tylko dlatego, że za pierwszym razem spotkała ją odmowa. Nie zrobiłaby tak zawrotnej kariery, gdyby się uchylała od podejmowania wyzwań. Tak więc kiedy mówiła o dzienniku, wiedziałem, że wejście w jego posiadanie jest w jej wypadku tylko kwestią czasu. A ponieważ nie miałem pojęcia, co Hannah w nim napisała, nie mogłem sobie pozwolić na ryzyko.

- Co się wydarzyło tamtego wieczoru z Hannah Darrow? Sydeham skierował wzrok na Lynleya.

- Spotkaliśmy się we młynie. Była około czterdziestu minut spóźniona i zacząłem już myśleć, a raczej zrodziła się we mnie nadzieja, że nie przyjdzie. Zjawiała się jednak w końcu, jak zwykle roznamiętniona. Pragnęła od razu się ze mną kochać na podłodze. Ale... zbyłem

ją. Kupiłem jej szalik, który widziała w jednym z butików w Norwich. I nalegałem, żeby pozwoliła, bym od razu jej go założył na szyję. - Obserwował swoje dłonie, które nie przestawały się bawić białym kubkiem. - To było dosyć łatwe. Całowałem ją, zaciskając węzeł.

Lynley pomyślał o pewnej niewinnej wzmiance w dzienniku kobiety; wcześniej nie zwrócił na ten szczegół uwagi. Zaryzykował użycie dobrze przemyślanego stwierdzenia:

- Jestem zdziwiony, że tam we młynie nie wykorzystał jej pan po raz ostatni, skoro sama tego chciała.

Natychmiast otrzymał nagrodę, na jaką Uczył:

- Straciłem zainteresowanie tą kobietą. Każde kolejne spotkanie stawało się coraz trudniejsze. - Sydeham zaśmiał się krótko, nieświadomie przybierając pogardliwą minę. - Zawsze miałem przed oczami Joannę.

- Piękną kobietę, która zdobyła sławę i stała się obiektem płomiennych fantazji mężczyzn. A tymczasem okazało się, że własny mąż nie jest w stanie sprostać jej oczekiwaniom.

- Wiernie przedstawił pan fakty, inspektorze. Świetnie pan to ujął.

- A jednak trwał pan u boku Joanny przez te wszystkie lata.

- Ona jest jedynym sukcesem, jaki odniosłem w życiu. Prawdziwym sukcesem. Nikt nie rezygnuje ze swoich osiągnięć i, jeśli o mnie chodzi, nigdy nie brałem takiego rozwiązania pod uwagę. Nie pozwoliłbym jej odejść. Hannah po prostu zjawiała się w złym okresie dla mnie i dla Jo. Mniej więcej od trzech tygodni nie układało się pomiędzy nami - Jo zastanawiała się nad podpisaniem umowy z londyńskim agentem, a ja się czułem pominięty. Bezużyteczny. Prawdopodobnie od tamtego czasu datuje się początek moich... kłopotów. I wtedy zjawiała się Hannah. Przez miesiąc lub dwa miałem wrażenie, że jestem innym mężczyzną. Podczas każdego spotkania szliśmy do łóżka. Czasami

kochaliśmy się po dwa, a nawet po trzy razy tego samego wieczoru. O Chryste. Byłem jak nowo narodzony.

- Dopóki nie postanowiła zostać aktorką, jak pańska żona?

- Tak, wtedy historia się powtórzyła.

Dlaczego musiał ją pan zabić? Nie wystarczyło po prostu z nią zerwać?

- Znalazła mój londyński adres. Miałem wystarczające kłopoty z powodu jej nieoczekiwanego pojawienia się przed teatrem, gdy ja i Jo wychodziliśmy z budynku w towarzystwie londyńskiego agenta. Po tym incydencie wiedziałem już, że jeśli zostawię ją w tej prowincjonalnej dziurze, pewnego dnia zapuka do drzwi naszego mieszkania. A wtedy straciłbym Joannę. Nie miałem wyboru.

- A co z Gowanem Kilbride'em? W czym on zawinił? Sydeham odstawił na stół

kubek po kawie - całkowicie już nieprzydatny, z wgniecionym do środka brzegiem.

- Wiedział o rękawicach, inspektorze.

Zakończyli wstępne przesłuchanie Sydehama kwadrans po piątej rano. Słaniali się ze zmęczenia i mieli zaczerwienione oczy, gdy wyprowadzili go na korytarz, aby zadzwonił do żony. Lynley, patrząc za nim, przyłapał się na tym, że ogarnia go współczucie dla tego mężczyzny. Był zdziwiony - przecież sprawiedliwości stało się zadość. Jednakże dobrze wiedział, że dopiero teraz wszyscy zaczną odczuwać skutki tych morderstw - przypominało to staw, którego powierzchnia nie może pozostać nie zmacona, gdy wrzuci się do niej kamień. Odwrócił głowę.

Pozostało jeszcze kilka spraw do załatwienia, między innymi rozmowa z przedstawicielami prasy, którzy w końcu wyrazili gotowość opublikowania oświadczeń na temat zabójstw i zjawili się nie wiadomo skąd, zarzucając go pytaniami i domagając się wywiadów.

Przepchnął się pomiędzy nimi, mnąc w garści wiadomość od nadinspektora Webberly'ego, którą ktoś mu wcisnął do ręki. Gdy zmierzał w stronę windy, z wyczerpania niemal nie widząc na oczy, towarzyszyła mu tylko jedna myśl. Muszę odnaleźć Helen, powtarza! sobie. Ale najpierw musiał zaspokoić potrzebę snu.

Pokonał drogę do domu jak automat i w ubraniu rzucił się na łóżko. Nie obudził się, gdy Denton zdejmował mu buty i nakrywał go kocem. Spał aż do popołudnia.

- To była sprawa jej krótkowzroczności - wyjaśnił Lynley. - Zwróciłem uwagę niemal na wszystko w pamiętnikach Hannah Darrow z wyjątkiem wzmianki, że podczas drugiego pobytu w teatrze nie miała okularów i nie widziała wyraźnie sceny. Przypuszczała jedynie, że Sydeham jest jednym z aktorów, ponieważ po zakończonym przedstawieniu wyszedł tylnymi drzwiami. Zasugerowałem się rolą Davies-Jonesa w „Trzech siostrach” i nie doceniłem znaczenia faktu, że w scenie, z której pochodził list pożegnalny samobójczyni, uczestniczyła również Joanna Ellacourt. Sydeham znał na pamięć kwestie wszystkich aktorów w scenach, w których grała - być może nawet lepiej od nich

samych. Pracował z żoną nad tekstem. Byłem tego świadkiem w Agin-court Theatre.

- Czy Joanna Ellacourt wiedziała, że jej mąż jest mordercą? - spytał St. James.

Lynley zaprzeczył ruchem głowy i uśmiechnął się blado, przyjmując od Deborah filiżankę herbaty. We trójkę siedzieli w gabinecie St. Jamesa, dzieląc uwagę pomiędzy kanapki, ciastka, placek z owocami i herbatę. Od szyby w oknie odbijał

się mglisty promień popołudniowego słońca i oświetlał pryzmę śniegu na dworze. Z

oddali dobiegały odgłosy wzmożonego w godzinie szczytu ruchu ulicznego na Embankment - samochody rozpoczęły swój hałaśliwy i powolny przejazd w stronę przedmieść.

- Została poinformowana przez Mary Agnes Campbell, że drzwi do pokoju Joy są zamknięte na klucz - odparł. - Sądziła, podobnie jak ja, że zabójcą jest Davies-Jones.

Nie wiedziała - jak wszyscy aż do wczorajszego popołudnia że drzwi do numeru Joy nie były zamknięte przez całą noc. Zamknęła je dopiero Franeesca, gdy szukając naszyjnika, weszła do pokoju kwadrans po trzeciej nad ranem. Znalazła pisarkę martwą. Przypuszczała, że morderstwo popełnił brat. Chcąc go chronić, zeszła do biura po klucze i zamknęła drzwi. Powinienem być się domyślić kłamstwa, gdy powiedziała, że perły leżały na komodzie przy wejściu. Dlaczego Joy miałaby je tam zostawiać, skoro reszta jej biżuterii znajdowała się na toaletce po drugiej stronie pokoju? Teraz dostrzegam swój błąd.

St. James wybrał kolejną kanapkę.

- Czy sytuacja uległaby zmianie, gdyby Macaskin zdołał cię złapać wczoraj, przed twoim wyjazdem do Hampstead?

- Cóż mógłby mi powiedzieć? Powiadomiłby mnie tylko, że Franeesca Gerrard przyznała się do kłamstwa w sprawie zamknięcia drzwi. Nie jestem pewien, czy miałbym na tyle rozsądku, żeby powiązać ze sobą okoliczności, które dotychczas wolałem ignorować: fakt, że w pokoju Roberta Gabriela przebywała kobieta; że Joanna nie była z Sydehamem przez kilka godzin w noc śmierci Joy, do czego sam się przyznał; i wreszcie że łatwo pomylić imiona Jo i Joy - szczególnie w wypadku Gabriela, który niestrudzenie ugania się za kobietami i każdą usiłuje zaciągnąć do łóżka.

- A zatem Irenę Sinclair się przesłyszała. - St. James poruszył się w fotelu, aby przyjąć wygodniejszą pozycję i skrzywił się z bólu, gdy dolna część aparatu ortopedycznego zahaczyła o obszycie kanapy. Odpiął go, mrużąc ze złością.

- Ale dlaczego Joanna Ellacourt? Aktorka nie ukrywała przecież swojej niechęci do Gabriela. A może była to niechęć udawana? Część spisku?

- Tamtej nocy Sydeham budzi! w niej większą odrazę niż Gabriel - przede wszystkim dlatego, że zmusi! ją do grania w sztuce Joy. Czuliła się przez niego zdradzona. I chciała go zranić. Poszła więc o wpół do dwunastej w nocy do pokoju aktora, aby się zemścić na mężu i odplącić mu pięknym za nadobne. Nie wiedziała jednak, że idąc do Gabriela, daje Sydehamowi okazję, na którą czeka! od

chwili, kiedy Joy wspomniała przy kolacji o Johnie Darrowie.

- Zapewne Hannah Darrow nie była świadoma faktu, że Sydeham jest żonaty.

Najwidoczniej przytaknął Lynley. - Tylko raz widziała go z żoną, ale i wtedy był z nimi jeszcze inny mężczyzna. Wiedziała jedynie, że Sydehama ma kontakty z nauczycielami śpiewu i gry aktorskiej i była pewna, że lekcje zapewnią jej sukces.

Sydeham jawił się tej niewykształconej kobiecie jako klucz do nowego życia. A tymczasem to ona była kluczem do podbudowania jego nadwątlonej wiary we własną męskość.

- Jak sądzisz, czy Joy Sinclair wiedziała o związku Hannah Darrow z Sydehamem? -

spytał St. James.

- Nie posunęła się aż tak daleko w swoich badaniach. A John Darrow był

zdecydowany nigdy nie odkryć przed nią prawdy. Rzuciła jedynie niewinną uwagę przy kolacji. Sydeham jednak nie mógł sobie pozwolić na ryzyko. I dlatego ją zabił.

A wczorajsza wzmianka w teatrze o dzienniku Hannah, którą zrobiła Irene, sprowadziła go oczywiście ubiegłej nocy do Hampstead.

Deborah do tej pory przysłuchiwała się rozmowie w milczeniu, teraz jednak, zakłopotana, zabrała głos:

- Czy mordując Joy Sinclair, nie podejmował jeszcze większego ryzyka? Jego żona mogła przecież w każdej chwili wrócić do pokoju i spostrzec jego nieobecność.

Albo mógł zostać zauważony przez kogoś na korytarzu.

Lynley wzruszył ramionami.

- Nie miał wątpliwości co do tego. gdzie przebywa Joanna. Deb. A znał na tyle dobrze Gabriela, żeby wiedzieć, iż zatrzymają przy sobie dopóty, dopóki będzie w stanie popisywać się przed nią swoją niespożytą męskością. Zlokalizowanie innych obecnych w domu osób nic nastreczyło mu większych trudności. Kiedy więc usłyszał, że Joy tuż

przed pierwszą wróciła z pokoju Vinneya, musiał jedynie chwilę odczekać, aż zaśnie.

Deborah uczepiła się swojej poprzedniej myśli:

- Ale jego własna żona... - mruknęła, sprawiając wrażenie zasmuconej.

- Domyślam się, że Sydeham chętnie przystał na to, aby Gabriel raz czy dwa wykorzystał jego żonę, jeśli dzięki temu morderstwo mogło mu ujść na sucho. Ale nie miał zamiaru pozwolić aktorowi przechwalać się tym w towarzystwie. Zaczai!

się więc i poczekał, aż Gabriel zostanie w teatrze sam. A potem zaatakował go w garderobie.

- Ciekaw jestem, czy Gabriel wie, kto go pobił - zadumał się St. James.

- Jeśli chodzi o Gabriela, napastnikiem prawdopodobnie mógł być niemal każdy mężczyzna. Miał zresztą szczęście, że spral go akurat Sydeham. Każdy inny byiby gotów faceta zabić. Sydeham nie chciał tego zrobić.

- Dlaczego nie? - zdziwiła się Deborah. - Sądzę, że po tym, co zaszło pomiędzy Gabrielem i Joanną, Sydeham byłby szczęśliwy, widząc go martwym.

- Sydeham nie jest głupcem. Ostatnia rzecz, na jakiej by mu zależało, to zawężenie mojej listy podejrzanych. - Lynley pokiwał głową, po czym dodał ze wstydem: -

Oczywiście, nie wiedział, że ja sam już ją skutecznie zawęziłem. Ograniczyłem tę listę do jednej osoby. Sierżant Havers najlepiej to ujęła: „Kawał dobrej policyjnej roboty, z której można być dumnym”.

Żadne z pozostałych dwojga się nie odezwało. Deborah obracała w dłoniach wieczko porcelanowej filiżanki i powoli wodziła palcem po płatkach delikatnej róży.

St. James przesuwiał na swoim talerzu okruchy z kanapek. Nie patrzyli na Lynleya.

Wiedział, że kierując się lojalnością i przyjaźnią wobec Helen, pragnęliby uniknąć odpowiedzi na pytanie, które przyszedł im zadać. A jednak wciąż miał nadzieję, choć na to nie zasiugiwał, że jego więź z tymi dwojgiem jest nadal bardzo silna. I że pojmą jego nieprzepartą potrzebę odnalezienia Helen, mimo iż ona pragnie pozostać w ukryciu. Dlatego zadal to pytanie:

- St. James, gdzie jest Helen? Wczoraj w nocy po powrocie do mieszkania Joy Sinclair stwierdziłem, że zniknęła. Co się z nią dzieje?

Widział, jak ręka Deborah opada i zaciska się na fałdach rdzawej wełnianej spódnicy. St. James podniósł głowę.

- Zbyt wiele od nas wymagasz - odparł.

Takiej właśnie odpowiedzi Lynley oczekiwał i był pewien, że mu się słusznie należy. Pomimo to nalegał dalej:

- Nie jestem w stanie odwrócić tego, co się stało. I nie zdołam już zmienić faktu, że zachowałem się jak głupiec. Ale przynajmniej mogę ją przeprosić i powiedzieć jej...

- Za wcześnie. Nie jest na to przygotowana.

Lynley poczuł, jak wzbiera w nim złość z powodu nieprzejednanego stanowiska przyjaciela.

- A niech cię wszyscy diabli, St. James! Próbowala go ostrzec! Czy o tym także was poinformowała?

Gdy przeszedł na drugą stronę muru, krzyknęła, a on ją usłyszał i niewiele brakowało, abyśmy go zgubili. Z winy Helen. Skoro więc nie jest gotowa, żeby się ze mną zobaczyć, sama może mi to zakomunikować.

Pozwólcie jej podjąć decyzję.

- To właśnie postanowienie Helen, Tommy.

Słowa te zostały wypowiedziane tak chłodnym tonem, że gniew Lynleya opadł.

Nagle poczuł ucisk w gardle.

- A zatem wyjechała razem z nim. Dokąd? Do Walii? Zapadło milczenie. Deborah się poruszyła, posyłając przeciągłe

spojrzenie mężowi, który odwrócił głowę w stronę wygasłego kominka.

Lynleya ogarniało coraz większe przygnębienie. Podobnie jak St. Jamesowie zachowała się Caroline Shepherd podczas jego dzisiejszej wizyty w mieszkaniu Helen, a także rodzice Helen i jej trzy siostry, gdy rozmawiał z nimi przez telefon.

Był świadom, że w pełni zasłużył sobie na tę karę, a mimo to nie chciał jej uznać za uczciwą ani za sprawiedliwą.

- Na miłość boską, Simonie. - Odczuwał rozdzierającą rozpacz. - Kocham ją. Nikt nie wie lepiej niż ty, czym jest rozstanie z ukochaną osobą. Wszystko tak... bez jednego słowa wyjaśnienia. Bez pozostawienia cienia szansy. Proszę cię. Powiedz mi.

Spostrzegł, jak Deborah nagle zaciska dłoń na ręce męża. Prawie nie słyszał jej głosu, gdy zwróciła się do Simona:

- Przepraszam cię, mój kochany. Wybacz mi, ale nie zniosę tego dłużej. - A potem powiedziała do Lynleya: - Pojechała na wyspę Skye, Tommy. Jest tam sama.

Przed wyruszeniem na północ w ślad za Helen Lynleyowi pozostało już tylko jedno zadanie: rozmowa z nadinspektorem Webberlym

i nadanie - za jego pośrednictwem - urzędowego biegu sprawie. Zresztą nie tylko tej jednej. Zlekceważył poranną wiadomość od pryncypa-

ła z oficjalnymi gratulacjami i zaproszeniem do jak najrychlejszego spotkania.

Wyrzucał sobie, że ślepa zazdrość kierowała każdym jego krokiem podczas prowadzenia śledztwa, i nie kwapił się do wysłuchiwania niczyich pochwał pod swoim adresem. A tym bardziej pochwał człowieka, który bez skrupułów użył go jako bezwolnego narzędzia w mistrzowskiej grze oszustów.

Zwłaszcza, że oprócz winy Sydehama i niewinności Davies-Jonesa wciąż pozostawał problem lorda

Stinhursta. I służalcza postawa Scotland Yardu wobec zaangażowania rządu w utrzymanie przez dwadzieścia pięć lat w tajemnicy przed opinią publiczną brudnej sprawy.

Jeszcze tylko to miał do załatwienia. Wcześniej nie czuł się przygotowany na konfrontację z szefem. Ale teraz był gotów stawić mu czoło.

Znalazł Webberly'ego przy okrągłym stole w jego gabinecie. Na blacie jak zwykle piętrzyły się otwarte akta, książki, fotografie, raporty i brudne naczynia.

Nadinspektor, zaciskając w zębach cygaro, które wypełniało i tak już przyprawiające o klaustrofobię pomieszczenie smrodliwym całunem dymu, pochylał się nad planem miasta, którego granice były zakreślone żółtym odbłaskowym flamastrem. Przemawiał do siedzącej za biurkiem sekretarki. Kobieta przytakiwała i notowała skwapliwie, przez cały czas machając dłonią przed twarzą i bezskutecznie starając się uchronić swój elegancko skrojony kostium oraz gładkie blond włosy przed przesiąknięciem dymem. Sekretarka jak zwykle starała się możliwie najbardziej upodobnić do księżnej Walii.

Przewróciła oczami na widok Lynleya i nieznacznie zmarszczyła nos, dając wyraz niezadowoleniu z powodu nieprzyjemnego zapachu i panującego w gabinecie bałaganu.

- Przyszedł inspektor Lynley, nadinspektorze - zaanonsowała. Lynley spodziewał się sprostowania. Tych dwoje zwykło zawsze

prowadzić między sobą tę grę - Webberly wolał używać słowa „pan” zamiast wymieniać stanowisko służbowe, Dorothea Harriman ("proszę, mów mi Dee") cierpiała na tytułomanię.

Dzisiejszego popołudnia jednakże nadinspektor zaledwie mruknął i podniósł wzrok znad mapy, mówiąc:

- Zapisała pani wszystko, Harriman?

Sekretarka sprawdziła notatki i poprawiła wysoki kołnierz bluzki, do której nosiła efektowny krawat.

- Tak, panie nadinspektorze. Czy mam to przepisać na maszynie?

- Gdyby pani mogła. Proszę sporządzić trzydzieści kopii i rozprowadzić je według zwykłego klucza.

Harriman westchnęła.

- Czy mogę o coś spytać, zanim odejdę, nadinspektorze? Nie, proszę nic nie mówić, już znam odpowiedź: „Weźmiesz sobie za to wolny dzień”. - Stała Lynleyowi znaczące spojrzenie. - W ramach wolnych dni mogłabym spędzić miodowy miesiąc.

O ile znalazłby się ktoś tak miły, żeby mi się oświadczyć.

Lynley się uśmiechnął.

- Niebawale! I pomyśleć tylko, że jestem zajęty dzisiaj wieczorem. Sekretarka skwitowała śmiechem odpowiedź, pozbierała swoje notatki i zgarnęła trzy papierowe kubki Webberly'ego do kosza.

- Niech pan nakłoni szefa, żeby zrobił coś z tym potwornym bałaganem - poprosiła, wychodząc.

Webberly nie odezwał się, dopóki nie zostali sami. Zwinął mapę, wsunął ją do jednej ze swoich szuflad i podszedł do biurka. Nie usiadł jednak przy nim, lecz zabawiając się wydmuchiowaniem dymu, obserwował kontury Londynu na tle nieba za oknem.

- Niektórzy twierdzą, że wystrzegam się awansu z braku ambicji - zwierzył się, nie odwracając głowy. - Ale prawdziwym powodem jest ten widok. Gdybym musiał

zmienić gabinet, straciłbym obraz zapalających się ulicznych latarni o zmroku. Nie potrafię opisać ogromu przyjemności, jakiej mi to dostarcza od lat. - Jego piegowate dłonie bawiły się dewizką od zegarka. Strzepnięty popiół z cygara spadł na ziemię.

Lynley przypomniał sobie, jak lubił kiedyś tego człowieka i jak wysoko cenił

znakomity umysł, który kryła zaniedbana powierzchowność. To za sprawą swojego intelektu mężczyzna ten wydobywał z podwładnych ich najlepsze cechy i świadomie wykorzystywał siłę psychiczną każdego z nich, nigdy nie bazując na ich słabościach. Lynley najbardziej podziwiał w swoim zwierzchniku zdolność postrzegania ludzi takimi, jakimi są. Teraz jednak miał okazję poznać odwrotną stronę tej umiejętności i stwierdził, że mogła zostać, a w jego wypadku została, użyta do odkrycia niedoskonałości ludzkiego charakteru i posłużenia się nią jako środkiem do realizacji cudzego pomysłu.

Webberly nie miał najmniejszej wątpliwości, że Lynley uwierzy słowu lorda. Ten rodzaj wiary był elementarną częścią wychowania Lyn-leya, a poleganie na „słowie dżentelmena” stanowiło od wieków przestrzeganą zasadę członków jego klasy; zasadę tę podobnie jak prawo pierworództwa, niełatwo było odrzucić. I właśnie z tym Webberly wiązał swoje nadzieje, wysyłając Lynleya do Westerbrae, aby wysłuchał

zmyślonej opowieści Stinhursta o wiarołomstwie jego żony. Nie mógł się oprzeć na MacPhersonie, Stewarcie, Hału czy jakimkolwiek innym inspektorze. Każdy z nich sceptycznie odniósłby się do tej historii, zapoznałby z nią lady Helen i niezwłocznie odkrył prawdę o Geoffreyu Rintoulu.

Ani członkowie rządu, ani szefowie Scotland Yardu nie chcieli do tego dopuścić.

Dlatego posłali tam człowieka, o którym wiedzieli, że będzie polegał na słowie dżentelmena i pomoże zachować w tajemnicy wszelkie powiązania lorda Stinhursta, których ujawnienie groziłoby skandalem. W przekonaniu Lynleya taka postawa zwierzchnika była czymś niewybaczalnym. Nie mógł zapomnieć Webberly'emu, że tak go potraktował. I nie był w stanie wybaczyć sobie, że bezrozumnie spełnił

położone w nim oczekiwania.

Fakt, że Stinhurst nie był winien śmierci Joy Sinclair, nie miał dla niego żadnego znaczenia. Przecież

jego szefowie ze Scotland Yardu nie wiedzieli o tym i wcale się tym nie przejmowali - pragnęli jedynie, żeby nie wyszła na jaw tamta historia z przeszłości. Gdyby to Stinhurst był zabójcą, uniknąłby kary. Lynley wiedział, że ani rząd, ani jego przełożeni ze stołecznej policji nie odczuwaliby z tego powodu najmniejszych wyrzutów sumienia, byleby tylko tajemnica Geoffreya Rintoula pozostała bezpieczna.

Poczuł się podle. Miał wrażenie, że jest zbrukany. Sięgnął do kieszeni po swoją legitymację służbową i cisnął ją na biurko Webberly'ego.

Nadinspektor spojrział na dokument, a potem na Lynleya. Zmrużył oczy w obłoku dymu.

- Co to ma znaczyć?

- Skończyłem z tym.

Sądząc z wyrazu twarzy Webberly'ego, nowina go zmroziła.

- Wolałbym się mylić co do pańskich intencji, inspektorze.

- Nie ma potrzeby się oszukiwać. Stinhurst jest bezpieczny. Cała historia jest bezpieczna.

Webberly wyjął cygaro z ust. I, rozsypując popiół, zgasił je pomiędzy niedopałkami na popielnicze.

- Niech pan tego nie robi. Nie ma powodu.

- Nie lubię, kiedy się mnie wykorzystuje. Mam niezły wykręt. -Lynley skierował się w stronę drzwi. - Zabiorę moje rzeczy...

Dłoń nadinspektora grzmotnęła o blat biurka, wzbijając w górę papiery. Podstawka na ołówki runęła na podłogę.

- A sądzi pan, że ja lubię być wykorzystywany, inspektorze? Co pan wymyślił w związku z tą sprawą? I jaką przypisał mi pan w niej rolę?

- Wiem o Stinhurście. I o jego bracie. A także o ich ojcu. Oraz o tym, dlaczego do Szkocji zostałem wysłany właśnie ja, a nie ktoś inny.

- Znam tylko te fakty, które mi przekazano. To nie ja wydałem polecenie wysłania pana na północ, ale sam naczelny komisarz, Hil-lier. Ja również nie byłem tym zachwycony. Ale nie pozostawiono mi w tej sprawie wyboru.

- Ach tak? No cóż, pewnie powinienem się cieszyć, że przynajmniej mam prawo decydowania o własnych poczynaniach. I właśnie zamierzam z niego skorzystać.

Twarz Webberly'ego poczerwieniała ze złości. Jego głos zachował jednak opanowane brzmienie:

- Nie jest pan w stanie jasno myśleć. Niech pan rozważy kilka rzeczy, zanim pański słuszny gniew

doprowadzi pana do godnej chwały męczeńskiej śmierci zawodowej.

Nie wiedziałem nic o Stinhurście i nadał nie wiem. Chętnie wysłucham historii o nim, jeśli zechce mi pan ją zrelacjonować. Mogę powiedzieć tylko jedno, mianowicie że od samego początku, kiedy Hillier przyszedł do mnie i polecił

przekazać tę sprawę tylko panu i nikomu innemu, podejrzewałem, że kryje się za tym coś niedobrego.

- A pomimo to zlecił mi ją pan.

- Niech pan nie będzie głupcem! Nie miałem nic do powiedzenia. W każdym razie przejrzałem ich niezbyt czyste zamiary. I przydzieliłem do tego zadania również Havers. Pan nie chciał z nią współpracować, prawda? Staczał pan ze mną o to prawdziwe boje. A jak pan myśli, dlaczego nalegałem na jej udział w dochodzeniu?

Ponieważ byłem pewien, że w razie potrzeby uczepi się Stinhursta jak rzep psiego ogona. I okazało się, że miałem rację, prawda? Do diabła, niech mi pan odpowie!

Nie pomyliłem się, prawda?

- Rzeczywiście, przyjął pan słusznie założenie. Webberly mocno uderzył pięścią w otwartą dłoń.

- Ci dranie! Widziałem, że próbowali go chronić. Nie miałem jednak pojęcia, z jakiego powodu. - Rzucił w stronę Lynleya chmurno spojrzenie. - Ale przypuszczam, że pan i tak mi nie wierzy.

- To prawda. Nie wierzę. Nie jest pan człowiekiem bezsilnym. I ni gdy nim pan nie był.

- Jest pan w błędzie. Wykonuję polecenia służbowe. Nietrudno być człowiekiem nieugiętym i bezgranicznie prawym, kiedy można wyjść stąd w każdej chwili. Aleja się nie cieszę takim rodzajem wolności jak pan. Nie mam innych dochodów ani posiadłości na wsi. Nie pracuję tutaj dla kaprysu, lecz dla chleba. A kiedy otrzymuję rozkaz, wykonuję go. Choćby mi się wydawał najbardziej nieprzyjemny.

- A jeśliby mordercą był Stinhurst? A ja bez jego aresztowania zamknąłbym sprawę?

- Nie zrobiłby pan tego. Wierzyłem w Havers. I ufałem panu. Byłem pewien, że pański instynkt doprowadzi pana w końcu do zabójcy.

- Ale nie doprowadził - rzekł Lynley. Słowa te drogo go kosztowały i boleśnie raniły jego dumę. Zastanawiał się, dlaczego fakt, że okazał się głupcem, aż tak głęboko go porusza.

Webberly uważnie przyglądał się jego twarzy. A kiedy się odezwał, jego głos zabrzmiał serdeczniej:

- Dlatego rzuca pan tę robotę, prawda? Nie z mojego powodu ani z powodu Stinhursta. I nie dlatego, że jakiś wysoko postawiony urzędnik uznał pana za człowieka, który zachowa się zgodnie z jego oczekiwaniami. Rezygnuje pan z tej pracy, ponieważ popełnił pan błąd i stracił obiektywny stosunek do sprawy, czyż nie tak? Poszedł pan niewłaściwym tropem. Właśnie o to chodzi. Witamy w klubie

zblakanych policjantów, inspektorze. Od tej pory nie będzie pan już uchodził za nieomylnego glinę.

Webberly sięgnął po legitymację służbową Lynleya i przez chwilę się nią bawił, nim oddał dokument inspektorowi, który bez ceregieli wsunął go do wewnętrznej kieszeni płaszcza.

- Przykro mi, że wydarzyła się ta historia ze Stinhurstem - powiedział nadinspektor.

- Nie mogę panu obiecać, że się to nie powtórzy w przyszłości. Ale przypuszczam, że wtedy nie będzie już pan potrzebował sierżant Havers, aby przypomniała panu, że przede wszystkim jest pan policjantem, a dopiero potem jakimś tam zakichanym parem. - Wrócił do biurka i ogarnął wzrokiem panujący na nim bałagan.

- Należy się panu urlop, inspektorze. Niech go pan wykorzystysta i do wtorku nie melduje się w pracy. - A kiedy już to powiedział, podniósł wzrok. Jego słowa zabrzmiały teraz ciszej: - Umiejętność wybaczenia sobie jest tą częścią naszej roboty, chłopcze, w której nigdy nie nabiera się wprawy.

Gdy Lynley wyjeżdżał z podziemnego parkingu na ulicę Broadway, dobiegło go stłumione wołanie. Prędko zapadał zmierzch. Hamując, spojrzał w stronę stacji metra przy St. James Park i pośród przechodniów dostrzegł Jeremy'ego Vinneya. Dziennikarz pędził wielkimi susami po chodniku, a poły płaszcza trzepotały pomiędzy jego kolanami, niczym skrzydła niezdarne ptaka. Biegając, wymachiwał swoim kołnosesem. Zapisane stronice powiewały na wietrze. Lynley spuścił szybę, gdy mężczyzna dopadł samochodu.

- Napisałem historię o Geoffreju Rintoulu - wydyszał dziennikarz, usiłując się uśmiechnąć. - O Jezu, ale mam szczęście, że pana złapałem! Potrzebne mi pańskie potwierdzenie. Nieoficjalne. Chciałbym się tylko na nie powołać przed moimi szefami.

Lynley obserwował, jak wiatr gna przez ulicę tumany śniegu. Rozpoznał grupę sekretarek ze Scotland Yardu, które po zakończonym dniu pracy zmierzały do stacji metra. Ich śmiech niczym muzyka wzbił się w powietrze.

- Nie ma żadnej historii - oznajmił.

Vinney zmienił się na twarzy. Zaufanie, z jakim odniósł się do inspektora, gdzieś zniknęło.

- Przecież rozmawiał pan ze Stinhurstem! Nie wmówi mi pan chyba, że Rintoul nie potwierdzi! każdego szczegółu z przeszłości swojego brata! Jak mógłby czemukolwiek zaprzeczyć? Mimo zdjęć Willinga-te'a ze śledztwa i sztuki, w której Joy ujawniła wszystkie pozostałe szczegóły sprawy? Nie powie mi pan, że Stinhurst się wszystkiego wyparł!

- Nie ma żadnej historii, panie Vinney - powtórzy! Lynley. - Bardzo mi przykro.

Zaczął zasuwać szybę, lecz nim zdoła! podciągnąć ją do samej góry, dziennikarz zahaczy! o nią palce.

- Ona tego chciała! - Jego głos miał niemal błagalne brzmienie. - Zależało jej na tym, żebym podążył tym tropem. Dobrze pan wie, że po to właśnie tam pojechałem.

Pragnęła, żeby wszystko, co dotyczyło Geoffreya Rintoula, wyszło na światło dzienne.

Dochodzenie było zamknięte. Morderca pisarki został ujęty. A pomimo to Vinney prowadził swoje prywatne śledztwo. Nie miał szansy na to, by związek dziennikarzy stanął w jego obronie, gdyż rząd zdecydowany był ukreślić sprawę łeb. Lojalność wobec zmarłej nie wymagała aż takich poświęceń. Raz jeszcze Lynley zastanowił

się, co leży w podstaw owej gorliwości dziennikarza i jaki dług honorowy zaciągnął

Vinney wobec Joy Sinclair.

- Jer! Jerry! Pośpiesz się, na miłość boską! Paulie na nas czeka i dobrze wiesz, że wpadnie we wściekłość, jeśli znowu się spóźnimy.

Gios dobiega! z drugiej strony ulicy. Był wysoki, rozdrażniony i miał niemal kobiece brzmienie. Lynley podąży! wzrokiem w ślad za nim. W przejściu prowadzącym do stacji metra stał młody, co najwyżej dwudziestoletni mężczyzna.

Przestępował z nogi na nogę i kulił ramiona z zimna. Jedno ze świateł pasażu oświetlało jego twarz. Była aż boleśnie przystojna, a jej doskonale rysy cechowało niemal renesansowe piękno. I Lynleyowi nasunęła się na myśl ocena człowieka renesansu - Marlowe'a - równie trafna dziś, jak w XVI wieku: „Bardziej pisane mu niebezpieczeństwo niż zdobycie złotego runa”.

Tak oto w końcu ostatni fragment puzzli trafił na właściwe miejsce. Lynley nie mógł

pojąć, dlaczego wcześniej go nie dopasował. Joy nie mówiła na taśmie magnetofonowej o Vinneyu, lecz zwracała się do niego, aby zapamiętać meritum sprawy, którą pragnęła poruszyć w przyszłej rozmowie z przyjacielem. I oto po drugiej stronie ulicy znajdowało się źródło jej troski: „Po co się tak ekscytować z jego powodu. Trudno to nazwać życiowym interesem”.

- Jerry! Jemmy! - rozległ się znowu przymilny głos. Młodzieniec obrócił się na pięcie - niecierpliwy szczeniak. Roześmiał się, gdy płaszcz zafalował wokół jego ciała niczym strój cyrkowego kłowna.

Lynley znów skierował oczy na dziennikarza. Vinney umknął wzrokiem w bok. Nie patrzył jednak na chłopaka, lecz w stronę Victoria Street.

- Czy to nie Freud powiedział, że nic nie dzieje się przypadkowo? - W tonie Vinneya zabrzmiała rezygnacja. - Zależało mi na tym, żeby pan się o tym dowiedział i zrozumiał, co miałem na myśli, gdy mówiłem, że oboje z Joy zawsze byliśmy tylko przyjaciółmi. Może pan to nazwać uwolnieniem się od winy i kary. Albo usprawiedliwieniem się. To teraz nie stanowi żadnej różnicy.

- Ona wiedziała?

- Nie miałem przed nią tajemnic. Zresztą nawet gdybym próbował coś przed nią ukryć, nie sądzę, żeby mi się to udało. - Vinney znowu spojrzął w stronę młodzieńca. Jego twarz złagodniała. Usta wygięły mu się w uśmiechu pełnym czułości.

- Cięży na nas klątwa miłości, nie sądzi pan, inspektorze? Nie daje nam spokoju.

Wciąż szukamy uczucia na tysiące różnych sposobów, a jeśli dopisze nam szczęście, spotykamy miłość zniecka. I czujemy się wtedy wolnymi ludźmi, prawda? Nawet jeśli jesteśmy zmuszeni dźwigać jej straszliwe brzemie.

- Przypuszczam, że Joy to rozumiała.

Bóg świadkiem, że tylko ona jedna. - Cofną rękę od okna. -Dlatego jestem jej winien artykuł o Rintoulach. Chciałaby tego - ujawnienia tej historii i odkrycia prawdy. Lynley zaprzeczył ruchem głowy.

- Chciała zemsty, panie Vinney. I sądzę, że jej pragnieniu stało się zadość. W

pewnym sensie.

- Naprawdę pozwoli pan, aby sprawa na tym się skończyła, inspektorze? Po tym, co ci ludzie panu zrobili? - Vinney machnął w kierunku gmachu za ich plecami.

- Ponosimy odpowiedzialność za własne czyny - odparł Lynley. Skinął głową, podniósł szybę i odjechał.

Swoją podróż na Skye Lynley wspominał potem jako mglistą fatamorganę ciągle zmieniających się krajobrazów, z których zaledwie mgliście zdawał sobie sprawę, gdy mknął na północ. Przystawał jedynie po to, żeby kupić żywność oraz paliwo, i tylko raz się zatrzymał na kilkugodzinny odpoczynek w gospodzie, gdzieś pomiędzy Carlisle a Glasgow. Dojechał do Kyle of Lochalsh - małego miasteczka położonego naprzeciwko wyspy Skye - późnym popołudniem następnego dnia.

Skręcił na parking przed hotelem usytuowany tuż nad brzegiem i zapatrzył się w cieśninę, której sfałdowana powierzchnia przybrała barwę starych monet.

Zachodziło słońce i majestatyczny szczyt Sgurrha-Coinnich zdawał się pokryty srebrem. Daleko w dole z basenu portowego odbił prom i zaczął się powoli przesuwać w stronę lądu, wioząc ciężarówkę, dwoje turystów przytulonych do siebie w ochronie przed przejmującym zimnem oraz jedną samotną postać. Jej gładkie kasztanowe włosy wiatr zwiewa! na twarz oświetloną ostatnimi promieniami zimowego słońca. Kobieta pochylała się, jak gdyby w oczekiwaniu na błogosławieństwo.

Widok Helen w jednej chwili uświadomił Lynleyowi, że jego przybycie to czyste szaleństwo. Wiedział, że jest ostatnią osobą, z którą miałaby ochotę się zobaczyć.

Rozumiał jej pragnienie odosobnienia. A jednak nic nie było w stanie powstrzymać go przed spotkaniem z nią. Gdy prom zbliżył się do brzegu, zobaczył, że jej oczy zatrzymały się na bentleyu. Wysiadł z samochodu, włożył płaszcz i zszedł w dół po trapie. Owionął go lodowaty poryw wichru, uderzając w policzki i smagając włosy.

Poczuł w ustach sól odległego północnego Atlantyku.

Prom przybił do brzegu, ciężarówka ruszyła, wyrzucając cuchnący dym, i potoczyła się drogą na Invergarry. Obok Lynleya przeszło dwoje roześmianych turystów - mężczyzna i kobieta, którzy przystanęli, żeby się pocałować, nim ruszyli w stronę przeciwległego brzegu wyspy Skye. Nad lądem wisiały chmury, a ich gołębia szarość przybrała w blasku zachodzącego słońca różnobarwne odcienie.

Podczas trwającej wiele godzin podróży na północ Lynley miał czas na zastanowienie się, co powie Helen, kiedy ją w końcu zobaczy. Ale gdy zeszła z promu, odgarniając włosy z policzków, nie był w stanie wydobyć z siebie słowa.

Pragnął tylko wziąć ją w ramiona, lecz wiedział ponad wszelką wątpliwość, że nie ma do tego prawa. Dołączył więc do niej bez słowa i razem ruszyli w stronę hotelu.

Weszli do środka. Hol był pusty, a przez szerokie okna widzieli wodę, góry i rozjaśnione promieniami słońca chmury nad wyspą. Lady Helen zatrzymała się przed szybą. I chociaż jej cała postawa - lekko pochylona głowa i nieznacznie przygarbione plecy - świadczyły o przemożnym pragnieniu samotności, Lynley nie mógł się zdobyć na to żeby ją opuścić, kiedy dzieliło ich tak wiele niedomówień.

Gdy się do niej zbliżył, dostrzegł cienie pod jej oczami skutek zarówno smutku, jak i zmęczenia. Ręce trzymała skrzyżowane przed sobą, jak gdyby chciała się ogrzać, lub przed czymś obronić.

- Dlaczego, na Boga, zabił Gowana? W całej tej tragedii śmierć chłopca wydaje mi się najbardziej bezsensowna, Tommy.

Lynley zastanawiał się, jak mogło mu przyjść do głowy, że Helen powita go lawiną wymówek, na które z pewnością sobie zasłużył. Był gotów ich wysłuchać i przyznać jej rację. W zamęcie ostatnich dni zupełnie zapomniał o zwykłej ludzkiej przyzwoitości, stanowiącej nieodłączną cechę charakteru Helen. Powinien był

wiedzieć, że nie postawi na pierwszym miejscu siebie, lecz Gowana.

- David Sydeham zezna! w Westerbrae, że zostawił rękawiczki przy stanowisku recepcji - odparł, patrząc, jak Helen w zamyśleniu opuszcza powieki, a jej ciemne rzęsy odcinają się wyraźnie od śmietankowej cery. - Oświadczył, że je tam położył, gdy oboje z Joanną przyjechali do pensjonatu.

Skinęła głową na znak, że rozumie.

- Kiedy tamtego wieczoru po wstępnym czytaniu tekstu Francesca Gerrard wpadła na Gowana, rozlewając alkohole, chłopak musiał posprzątać cały korytarz. Na pewno zauważyłby rękawiczki Davida Sydehama, nie sądzisz? Ale chyba nie od razu sobie przypomniał, że ich tam nie było - powiedziała.

- Tak. Przypuszczam, że tak się właśnie stało. W każdym razie gdy Gowan uświadomił sobie ten fakt, zrozumiał, co to oznacza. Jedna rękawiczka, którą sierżant Havers znalazła nazajutrz obok recepcji i druga - ta, na którą ty się natknęłaś w bucie - mogły tam trafić tylko w jeden sposób: za

pośrednictwem Sydehama, po zabiciu Joy. Sądzę, że to właśnie usiłował mi Gowan powiedzieć tuż przed śmiercią. Starał się powiadomić mnie, że nie widział rękawiczek w recepcji.

Aleja... myślałem, że mówi o Rhysie.

Lynley spostrzegł, jak jej oczy przymknęły się z bólem na dźwięk tego imienia.

Najwyraźniej nie spodziewała się, że wymówi je przy niej.

- W jaki sposób Sydeham zdołał popełnić tę drugą zbrodnię?

- Wciąż jeszcze był w salonie, gdy przyszedł do mnie Macaskin w towarzystwie kucharki z Westerbrae i spytał, czy można wypuścić gości z biblioteki. A potem zakradł się do kuchni i chwycił nóż.

- Mimo że dom był pełen ludzi? I mimo obecności funkcjonariuszy policji?

- Ekipa śledcza szykowała się do odjazdu. A goście rozpięchli się po całym domu.

Poza tym wymagało to zaledwie kilku minut. A kiedy się już uporał z całą sprawą, wrócił tylnymi schodami do swojego pokoju.

Lynley odruchowo podniósł rękę i delikatnie pogłaskał Helen po włosach, przesuwając palcami aż do końca splotów. Dotknął przy tym jej ramienia. Nie odsunęła się od niego. Poczował, jak serce wali mu w piersiach.

- Chciałem cię przeprosić za wszystko. Musiałem się z tobą zobaczyć i przynajmniej wyrazić moje ubolewanie z powodu tego, co się stało, Helen.

Nie spojrzała na niego. Najwyraźniej to zadanie przerastało jej siły. Kiedy się odezwała, jej głos był ledwie słyszalny. Mówiła ze wzrokiem utkwionym w odległych ruinach Caistel Maol, gdy słońce po raz ostatni tego dnia dosięgło jego zwietrzałych murów.

- Miałaś rację, Tommy. Powiedziałaś, że próbuję odtworzyć historię z Simonem i nadać jej inne zakończenie. Uświadomiłam sobie, że izeczywiście tak było. Także i zakończenie wcale się nie zmieniło, prawda? Jak się okazało, z godną podziwu konsekwencją znowu postąpiłam tak samo. Szpitalna sala, z której wybiegłam, zostawiając Simona zupełnie samego, jest jedynym brakującym szczegółem w drugim nieszczęsnym scenariuszu.

Słyszał gorycz w jej głosie. Z każdym słowem dawała upust obrzydzeniu do samej siebie.

Nie, to nie tak - zaprotestował nieporadnie.

- Niestety, tak. Rhys wiedział, że to z tobą rozmawiam przez telefon. Kiedy to się wydarzyło? Dwa dni temu? Zdaje mi się, że od tamtej pory upłynęły całe wieki. A kiedy się rozłączyłam, spytał mnie, czy to ty dzwoniłaś. Skłamałam, że mój ojciec.

Ale on i tak wiedział. I nie uszedł jego uwagi fakt, że zdołałeś mnie przekonać o jego winie. Oczywiście, wszystkiemu zaprzeczyłam. A kiedy usiłował się dowiedzieć, czy powiedziałam ci, że jest u mnie, również i wtedy odpowiadałam przecząco.

Ale on był pewien, że kłamię. I uznał, że dokonałam wyboru zgodnego z jego przewidywaniami. - Uniosła w górę dłoń, jak gdyby chciała dotknąć policzka, lecz wyglądało na to, że ten gest wymaga przerastającego jej możliwości wysiłku.

Opuściła rękę bezwładnie. - Nie musiałam nawet czekać, aż trzy razy zapieje kur.

Zdaję sobie sprawę z tego, ile zła wyrządziłam. Nam obojgu.

Jakiegokolwiek kierowały Lynleyem pobudki, gdy podejmował decyzję o odnalezieniu lady Helen, wiedział, że musi ją przekonać o swoim własnym udziale w winie, którą ona się obciążała. Tyle jej się od niego należało. Przynajmniej tyle.

- To nie twoja wina, Helen. Wcale byś tak nie postąpiła, gdybym cię do tego nie zmusił. Cóż mogłaś pomyśleć innego, gdy powiadomiłem cię o Hannah Darrow? W

co miałaś wierzyć? I komu, jeśli nie mnie, mogłaś zaufać?

- O to właśnie chodzi. Powinnam była zaufać Rhysowi bez względu na to, co mi powiedziałeś. Wiedziałam o tym już wtedy i wiem teraz. A jednak wybrałam ciebie.

Kiedy Rhys się zorientował, odszedł ode mnie. Któż może wziąć mu to za zte?

Przekonanie kobiety, że jej kochanek jest mordercą, musi mieć dla każdego związku nieodwracalne skutki. - W końcu spojrzała na niego. Była tak blisko, że niemal czuła

świeży, naturalny zapach jej włosów. - A ja aż do tamtej nocy w Hampstead byłam przekonana, że mordercą jest Rhys.

- Dlaczego w takim razie go ostrzegłaś? Chciałaś mnie w ten sposób ukarać?

- Ostrzegłam go?... Sądysz, że to zrobiłam? Nie, kiedy ten mężczyzna przeszedł

przez mur, od razu wiedziałam, że to nie Rhys. Nauczyłam się rozpoznawać... jego sylwetkę, a tamten człowiek był zbyt potężnej postury. Dlatego odruchowo zareagowałam. Przerażeniem napełniła mnie myśl o tym, jaką krzywdę mu wyrządziłam, i świadomość, że go utraciłam na zawsze. - Z powrotem odwróciła głowę w stronę okna. Jednak tylko na krótką chwilę. Gdy znów zaczęła mówić, odszukała wzrokiem oczy Lynleya.

- W Westerbrae widziałam siebie w roli jego wybawicielki - uczciwej, silnej kobiety, która pomaga mu się podnieść z upadku. Uważałam, że ze względu na mnie on nigdy więcej nie sięgnie po alkohol. Jak więc widzisz, trafiłeś w sedno - w gruncie rzeczy przypadek Rhysa był bardzo podobny do sprawy Simona.

- Nie, Helen. Nie wiedziałem wtedy, co mówię. Byłem na wpół oszalały z zazdrości.

- To nie zmienia faktu, że miałeś rację.

Podczas ich rozmowy hol pogrążył się mroku. Zjawił się barman, zapalił światła i otworzył bar w przeciwnym końcu sali. Od strony recepcji dobiegały ich głosy -

zapadały tam przełomowe decyzje, dotyczące zakupu widokówek i toczyła się wesoła debata o planach na jutrzejszy dzień. Lynley przysłuchiwał się rozmowom, tęskniąc za cudowną normalnością urlopu spędzanego poza domem w towarzystwie ukochanej.

Lady Helen poruszyła się.

- Muszę się przebrać do kolacji - oświadczyła i ruszyła w stronę windy.

- Po co tutaj przyjechałaś? - spytał niespodziewanie Lynley.

- Chciałam zobaczyć Skye w środku zimy. Musiałam się przekonać, czym jest samotny pobyt tutaj.

Położył jej rękę na ramieniu. Ciepło ciała Helen było niczym tchnienie życia.

- I zdążyłaś już to zrobić?

Oboje wiedzieli, o co ją naprawdę pyta. Zamiast mu jednak odpowiedzieć, podeszła do windy i nacisnęła guzik, obserwując w roztargnieniu wędrujące światelko, jak gdyby przyglądała się zadziwiającemu aktowi geniuszu twórczego. Lynley podszedł

do niej. Ledwie ją słyszał, gdy się odezwała:

- Proszę cię, daj spokój. Nie chciałabym sprawić nikomu z nas dodatkowego bólu.

Gdzieś w górze, nad nimi, warczała maszynownia. Lynley wiedział, że Helen za chwilę go opuści i zniknie w swoim pokoju, szukając odosobnienia, po które tu przyjechała. Rozumiał, że nie chodzi o krótką rozłąkę z nim, która zaraz nastąpi.

Decyzja Helen o rozstaniu została podjęta na czas nieokreślony, nieskończenie odległy. A może była ostateczna. Wiedział, że wybrał najgorszy moment na rozmowę. Liczył się jednak z tym, że okazja może się już nie powtórzyć.

- Helen. - Gdy na niego spojrzała, zobaczył, że jej oczy są wypełnione łzami. -

Wyjdź za mnie.

Zareagowała na jego słowa śmiechem - nie był to jednak przejaw wesołości, lecz rozpaczy. Zrobiła krótki wymowny gest, rozpaczliwie bezradny.

- Wiesz, jak bardzo cię kocham powiedział. - Nie mów mi tylko, że jest już za późno.

Pochyliła głowę. Drzwi windy otworzyły się przed nią. Jak gdyby zachęcona ich widokiem, ujęła w słowa to, co spodziewał się usłyszeć:

- Nie chcę się z tobą widywać, Tommy. Przez jakiś czas. Głęboko ubodła go ta decyzja. Zdołał tylko zapytać:

- Jak długo?

Przez kilka miesięcy. Może dłużej.

- To brzmi jak wyrok śmierci.

- Bardzo mi przykro, ale tego mi teraz potrzeba. - Weszła do windy i nacisnęła guzik z numerem swojego piętra. - Nawet po tym wszystkim nie potrafiłabym cię zranić, Tommy. Nigdy nie byłam do tego zdolna.

- Kocham cię - wyznał. A potem powtórzył to jeszcze raz, jak gdyby każde słowo miało być oddzielnym, strzelistym aktem skruchy: -Kocham cię, Helen.

Zobaczył, jak rozchylają się jej usta. Zanim drzwi windy się zamknęły, zdołał dostrzec jej przelotny, słodki uśmiech.

Barbara Havers siedziała w barze „Pod Królewską Bronią” niedaleko Scotland Yardu, popijając piwo, zgodnie ze swoim cotygodniowym obyczajem. Od pół

godziny pochylała się nad jednym kuflem. Tylko godzina dzieliła lokal od zamknięcia i Barbara dawno już powinna była wrócić do swoich rodziców w Acton, ale wciąż się nie mogła zmusić do wyjścia. Papierkowa robota została wykonana, sporządzono raporty i sfinalizowano rozmowy z Macaskinem. Lecz, jak zwykle u końca każdej sprawy, miała poczucie własnej nieprzydatności. Wiedziała, że ludzie nadal będą się dopuszczać wobec siebie brutalnych aktów przemocy pomimo jej mizernych wysiłków powstrzymania ich przed tym.

- Czy można się tu czegoś napić? Słyszając głos Lynleya, podniosła wzrok.

- Myślałam, że pojechał pan na Skye! Jezu Chryste! Wygląda pan na skonanego!

Jej spostrzeżenie odpowiadało prawdzie. Był nie ogolony, miał wymięte ubranie i w ogóle wyglądał jak półtora nieszczęścia.

- Bo jestem skonany! - przyznał, mężnie podejmując wysiłek posłania jej uśmiechu.

- Straciłem rachubę czasu i spędziłem w samochodzie kilka dni. Co pani pije?

Przypuszczam, że dzisiaj nie jest to sam tonik?

- Rzeczywiście, dzisiaj przerzuciłam się na piwo. Ale skoro pan jest tutaj, mogę zmienić truciznę.

Zależy od tego. kto płaci.

Rozumiem. - Zdjął płaszcz, rzucił go niedbale na sąsiedni stolik i ciężko opadł na krzesło. Pogrzebał w kieszeni i wyjął z niej papierośnicę i zapalniczkę. Jak zwykle, Barbara nie odmówiła poczęstunku, przyglądając się inspektorowi znad ognia, który jej podał.

- Co się stało? - spytała. Zapalił papierosa.

- Nic. - A h a .

Palili w ciszy. Lynley zapomniał zamówić sobie drinka. Barbara czekała.

Nagle, z oczami utkwionymi w przeciwległej ścianie, wyznał:

- Oświadczyłem się jej, Barbaro. Tego się spodziewała.

- Nie wygląda pan na zwiastuna dobrych wieści.

- To prawda. - Odchrząknął, przyglądając się badawczo koniuszkowi swojego papierosa.

Westchnęła i stwierdziła ze zdumieniem, że na równi z nim odczuwa ciężkie brzemienie jego okrutnego smutku. Nieopodal, w barze, Evelyn, zaniedbana barmanka o zamglonym spojrzeniu, liczyła dzisiejsze wpływy kasowe i starała się lekceważyć niewybredne zaloty dwóch stałych klientów lokalu. Barbara zawołała ją po imieniu.

- Słucham? - odpowiedziała Evelyn, ziewając.

- Przynieś nam dwie whisky Glenlivets. Bez wody. - Barbara spojrzała na Lynleya i dodała: -1 uzupełniaj szklanki, gdy będą puste, zgoda?

- Oczywiście.

Gdy już podano alkohol do stolika i Lynley sięgnął po portfel, Barbara zaprotestowała:

- Dzisiaj ja stawiam, sir.

- Czy to jakaś uroczystość, sierżancie?

- Nie. Przebudzenie. - Wychyliła swoją whisky, która rozpałała jej krew niczym płomień. - Pańskie zdrowie, inspektorze. Pijmy dziś na umór. Upijmy się.

Table of Contents

[Rozpoczni](#)